

RMFLFM

Nowy terroryzm w najnowszym superbestsellerze

# TOM CLANCY

AMBER



## ZĘBY TYGRYSA

ἸΜΝ

# TOM CLANCY

ZĘBY TYGRYSA

(THE TEETH OF THE TIGER)

Przełożył: Paweł Martin

Wydanie oryginalne: 2003

Wydanie polskie: 2004

*Chrisowi i Charliemu*

*– witajcie na pokładzie*

*...i oczywiście lady Alex, której światło jak zawsze płonie jasno Nocą ludzie śpią spokojnie w swoich łóżkach tylko dlatego, że na straży stoją mężczyźni o surowych obliczach, gotowi stosować przemoc w ich imieniu.*

George Orwell

*To wojna nieznanych wojowników; niechże jednak wszyscy zmagają się, nie tracąc ducha ni poczucia obowiązku...*

Winston Churchill

*Czy państwo może rządzić*

*Tak w niebie, jak i na ziemi?*

*Czy zabić ludzkość będzie mądrzej*

*Między nienarodzonymi?...*

*Trwają spory najzjadlsze*

*Między scholastykami,*

*Lecz święte państwa zawsze*

*Świętymi się kończą wojnami.*

*Czy ludem rządzi władcy piecza,*

*Czy głośne gardłowanie?*

*Czy szybciej będzie zginąć od miecza,*

*Czy taniej przez głosowanie...?*

*Te sprawy są już uludą*

*(I szczęścia nam już nie odbiorą),*

*Bo święta swoboda ludu*

*Skończyła się niewolą.*

*Ktokolwiek dla jakiegokolwiek sprawy*

*Nadawać pragnąłby lub brać*

*Władzę ponad lub poza prawem,*

*Nie zasługuje, by trwać!*

*Czy masz na straży świętego*

*Państwa, króla czy ludu stać?*

*Nie musisz znosić tego.*

*Do ręki weź broń i zgładź!*

*Teraz wszyscy razem:*

*Był kiedyś lud – zrodził się z przerażenia.*

*Był kiedyś lud – piekło, jakiego nie zna ziemia.*

*Skończył w piachu. O, przeciwni naturze!*

*Był kiedyś lud – niech się to nigdy nie powtórzy!*

Rudyard Kipling *Pieśń Macdonougha*

**Prolog**

# NA DRUGIM BRZEGU

David Greengold urodził się w tej najbardziej amerykańskiej ze społeczności – na Brooklynie. Podczas jego bar micwy wydarzyło się jednak coś, co zmieniło jego życie.

Oznajmiwszy: „Od dziś jestem mężczyzną”, poszedł na przyjęcie i poznał na nim rodzinę z Izraela. Przybyły stamtąd wuj Moses był świetnie prosperującym handlarzem diamentami.

Sam ojciec Davida miał siedem sklepów jubilerskich – najbardziej reprezentacyjny znajdował się na Czterdziestej ulicy na Manhattanie.

Kiedy ojciec z wujem gadali o interesach nad kieliszkami kalifornijskiego wina, David przysiadł się do starszego o dziesięć lat Daniela, który dopiero co zaczął pracować dla Mosadu, głównej izraelskiej agencji wywiadowczej. Jak każdy złotodziób Daniel zaczął

raczyć swego kuzyna opowieściami. Odbił obowiązkową służbę wojskową w izraelskiej jednostce spadochroniarzy; wykonał jedenaście skoków i posmakował walki podczas wojny sześciodniowej w 1967 roku. Dla niego była to przyjemna wojna. W jego kompanii obyło się bez poważnych strat, a po stronie wroga było akurat tylu zabitych, że wyglądało to niemal jak sport – polowanie na zwierzę niebezpieczną, które zakończyło się mniej więcej tak, jak to sobie wyobrażał przed wojną.

Opowieści Daniela były miłą odmianą po ponurych relacjach telewizyjnych z Wietnamu, od których rozpoczynały się każde wieczorne wiadomości. Z entuzjazmem podbudowanym świeżo potwierdzoną tożsamością religijną David postanowił emigrować do żydowskiej ojczyzny, jak tylko skończy gimnazjum. Jego ojciec podczas drugiej wojny światowej służył

w 2. Dywizji Pancерnej i nie był zachwycony tą przygodą. Jeszcze mniej podobała mu się perspektywa wysłania syna do azjatyckiej dżungli, na wojnę, do której nie palił się ani on, ani żaden z jego znajomych. I tak po ukończeniu szkoły średniej młody David, nie bacząc na nic, poleciał samolotem El Al do Izraela. Podszlifował hebrajski, odsłużył wojsko, a potem, jak jego kuzyn, został zwerbowany przez Mosad.

Radził sobie nieźle – na tyle dobrze, że został szefem placówki w Rzymie. Był to ważny przydział. Jego kuzyn Daniel tymczasem odszedł z Mosadu i zajął się prowadzeniem rodzinnego interesu, co opłacało się znacznie bardziej niż praca na państwowej pensji.

Kierowanie rezydenturą Mosadu w Rzymie było czasochłonne. Davidowi podlegało trzech pełnoetatowych oficerów wywiadu, do których należało zbieranie informacji. Część z nich uzyskiwali od agenta Hassana. Był Palestyńczykiem i miał nieźle powiązania z PFLP –

Ludowym Frontem Wyzwolenia Palestyny – a wyniesioną stamtąd wiedzę dzielił się ze swoimi wrogami za pieniądze – wystarczające, by stać go było na komfortowe mieszkanie kilometr od budynku włoskiego parlamentu. David miał dziś odebrać od niego przesyłkę.

Miejsce było już wcześniej używane – męska toaleta w Ristorante Giovanni, niedaleko Hiszpańskich

Schodów. David nie śpiesząc się z przyjemnością zjadł lunch – podawali tu pyszną cielęcinę po francusku. Kiedy dopił białe wino, wstał i poszedł po przesyłkę.

„Martwa” skrzynka kontaktowa znajdowała się pod ostatnim pisuarem po lewej – niezłe miejsce, bo tego urynału nigdy nie sprawdzano ani nie czyszczono. Przymocowano tam stalową płytkę. Nawet gdyby ktoś ją zauważył, wyglądała całkiem niewinnie – wytłoczono na niej nazwę producenta oraz numer bez znaczenia. David podszedł do schowka i postanowił

skorzystać ze sposobności, robiąc to, co większość mężczyzn robi, stając przed pisuarem. I wtedy usłyszał, jak otwierają się drzwi. Ktokolwiek to był, nie interesował się nim, ale lepiej było się upewnić. David upuścił paczkę papierosów, a kiedy się schylił, by podnieść ją prawą ręką, lewą zgarnął ze skrytki pakiet z magnesem. Był fachowcem jak zawodowy magik, który odwraca uwagę gestem jednej ręki, a drugą wykonuje sztuczkę. Tyle że tym razem sztuczka się nie udała. Ledwo zabrał pakiet, kiedy z tyłu ktoś na niego wpadł.

– Przepraszam, staruszk... to jest, chciałem powiedzieć, signore poprawił się ktoś mówiący po angielsku, chyba z oksfordzkim akcentem. Ot, zachowanie cywilizowanego człowieka, który chce rozładować sytuację.

Greengold nawet nie odpowiedział, tylko podszedł do umywalki, żeby umyć ręce, odkręcił wodę... i spojrzął w lustro.

Zazwyczaj mózg reaguje szybciej niż ręce. David zobaczył niebieskie oczy mężczyzny, który na niego wpadł. Były całkiem zwykłe, ale ich spojrzenie – nie. Zanim mózg nakazał

ciału zareagować, lewa ręka mężczyzny znalazła się na czole Davida. Jednocześnie coś zimnego i ostrego wbiło się w jego kark, tuż pod czaszką. Napastnik szarpnął jego głowę do tyłu – nóż wszedł gładko w rdzeń kręgowy i go przeciął.

Śmierć nie nastąpiła od razu. Ciało zwiotczało, kiedy do mięśni przestały płynąć impulsy elektrochemiczne, i David stracił czucie. Tylko kark jeszcze go piekł, ale nie był to ostry ból, jak to w szoku. David usiłował oddychać. Nie rozumiał, że nigdy już tego nie zrobi.

Napastnik zaniósł do kabiny. David mógł już tylko patrzeć i myśleć. Ujrzał obcą twarz i ta twarz odwzajemniła spojrzenie. Mężczyzna patrzył na niego jak na rzecz, przedmiot niegodzien nawet nienawiści. David bezsilnie przyglądał się, jak napastnik sadza go na toalecie i sięga do kieszeni płaszcza, najwyraźniej by ukraść portfel. Więc to po prostu napad?

Na wysokiego rangą oficera Mosadu? Niemożliwe. Mężczyzna chwycił Davida za włosy, żeby unieść opadającą głowę.

– *Salem alejkum* – powiedział. Pokój z tobą.

Więc to Arab? Ale nie ma w nim nic arabskiego!



Morderca zauważył zaskoczenie na twarzy Davida.

– Naprawdę ufałeś Hassanowi, Żydzie? – spytał. W jego głosie nie było satysfakcji.

Beznamiętny ton wyrażał pogardę.

W ostatnich chwilach życia, zanim jego mózg umarł z braku tlenu, David Greengold zdał

sobie sprawę, że padł ofiarą starej jak świat szpiegowskiej pułapki – „fałszywej flagi”. Hassan przekazywał mu informacje tylko po to, by go zidentyfikować – by go wystawić. Taka głupia śmierć. Zdążył jeszcze tylko pomyśleć: *Adonai echad*.

Zabójca upewnił się, że ma czyste ręce i ubranie. Cios noża taki jak ten nie powoduje dużego krwotoku. Schował do kieszeni portfel i pakiet z „martwej” skrzynki, poprawił

marynarkę i wyszedł z toalety. Przystanął przy swoim stoliku i zostawił dwadzieścia trzy euro za swój posiłek, dając tylko kilka centów napiwku. Przecież szybko tu nie wróci. Wyszedł od Giovanniego i nie śpiesząc się, przeciął plac. Zauważył sklep Brioni i uznał, że przydałby mu się nowy garnitur.

W Pentagonie nie ma kwatery głównej korpusu amerykańskich marines. W tym największym na świecie biurowcu znalazło się miejsce dla wojsk lądowych, marynarki i sił

powietrznych, ale nie wiedzieć czemu pominięto marines, którzy musieli zadowolić się własnym kompleksem budynków, Navy Annex – odległym o niecałe pół kilometra, jadąc Lee Highway – w Arlington w stanie Wirginia. Niewielkie to poświęcenie. Marines zawsze byli przybranym dzieckiem amerykańskiej armii. Formalnie podlegali marynarce – pierwotnie mieli stanowić jej prywatną armię. Chodziło o to, by nie okrętować żołnierzy piechoty, bo wojska lądowe i marynarka nigdy nie darzyły się sympatią.

Z czasem marines zaczęli sami o sobie stanowić. Przez ponad wiek byli jedynymi amerykańskimi siłami lądowymi wysyłanymi za granicę. Ponieważ nie musieli martwić się o zaopatrzenie w ciężki sprzęt czy nawet o zaplecze medyczne – od tego mieli kalmaryl –

wszyscy marines byli strzelcami. Każdy, kto nie żywił ciepłych uczuć dla Stanów Zjednoczonych, musiał więc patrzeć na nich z lękiem i respektem. Dlatego też, choć szanowani, nie byli ulubieńcami amerykańskich żołnierzy. Bardziej stateczne formacje miały im za złe, że za bardzo się popisują, puszą i dbają o swój wizerunek.

Korpus marines był miniaturą armii. Miał nawet własne siły powietrzne – niewielkie, ale o ostrych kłach. Teraz do tej armii należał też szef wywiadu, choć niektórzy pracownicy uważali termin „wywiad marines” za sprzeczny sam w sobie. Powstała kwatera główna wywiadu marines, co świadczyło o tym, że zielone berety usiłują nadążyć za pozostałymi formacjami. Jej szefem, tak zwanym M-2 – cyfra 2 identyfikowała pracownika wywiadu – był

1 *Potoczne określenie marynarzy stanowiących zaplecze marines (przyp. tłum.)* generał dywizji Terry Broughton, niewysoki, dobrze zbudowany żołnierz piechoty, któremu zwalono na barki tę robotę, by wniósł nieco realizmu do szpiegowskiego rzemiosła i by wszyscy pamiętali, że za stosem papierkowej roboty kryje się człowiek z karabinem, który potrzebuje rzetelnych informacji, żeby przeżyć. Pod względem wrodzonej inteligencji żołnierze korpusu nikomu nie ustępowali. Nawet komputerowym magikom z lotnictwa, którzy uważali, że każdy, kto potrafi pilotować samolot, po prostu musi być bystrzejszy od innych. Za jedenaście miesięcy Broughton miał przejąć dowództwo nad 2. Dywizją Marines z bazą Camp Lejeune w Karolinie Północnej. Ta wyczekiwana wiadomość nadeszła ledwie tydzień temu i generał wciąż jeszcze miał wyśmienity nastrój.

Dobrze to wróżyło kapitanowi Brianowi Carusowi; nie przestraszył się audiencji u generała, ale uznał, że musi zachować ostrożność. Miał na sobie oliwkowy mundur klasy A, pas oficerski oraz wszystkie baretki, jakich się dosłużył. Nie było ich znowu tak wiele, choć niektóre mogły się podobać. Tak samo jak jego złote skrzydła spadochroniarza i kolekcja odznaczeń strzelca wyborowego, która mogła zrobić wrażenie nawet na takim zawodowcu jak generał Broughton.

M-2 zatrudnił podpułkownika jako gońca oraz czarnoskórą starszą sierżant broni jako osobistą sekretarkę. Młodemu kapitanowi zdało się to dziwaczne, ale ostatecznie korpusu nikt nigdy nie oskarżył o nadmiar logiki. Dwieście trzydzieści lat tradycji nieskrępowanej postępowaniem, jak zwykli mawiać.

– Generał prosi – oznajmiła siedząca za biurkiem sierżant, odkładając słuchawkę telefonu.

– Dziękuję, sierżancie. – Caruso wstał i podszedł do drzwi, które otworzyła mu podoficer.

Broughton był dokładnie taki, jak sobie Caruso wyobrażał. Miał metr siedemdziesiąt parę wzrostu i klatkę piersiową, od której mogły odbijać się kule, włosy tylko nieco dłuższe niż szczecina. Dla większości marines włosy długości dwunastu milimetrów oznaczały konieczność wizyty u fryzjera. Generał podniósł wzrok znad papierów i zmierzył gościa zimnym spojrzeniem piwnych oczu.

Caruso nie zasalutował. Tak jak oficerowie marynarki marines nie salutują, chyba że są pod bronią lub noszą czapkę od munduru. Badanie wzrokiem trwało około trzech sekund, a kapitanowi wydawało się, że z tydzień.

– Dzień dobry, sir.

– Proszę spocząć, kapitanie – generał wskazał skórzany fotel.

Caruso usiadł. Pozostał jednak czujny i gotów natychmiast wstać.

– Domyśla się pan, dlaczego tu pana wezwano? – zagadnął Broughton.

– Nie, sir, nie powiedziano mi tego.

– Jak się panu podoba w zwiadzie?

– W porządku, sir. Mam chyba najlepszych podoficerów w całym korpusie, a praca jest interesująca.

– Piszą tu, że wykonał pan dobrą robotę w Afganistanie. – Broughton uniósł teczkę oklejoną na krawędziach czerwono-białą taśmą, co znaczyło, że materiały są ściśle tajne. Ale w końcu operacje specjalne często podpadały pod tę kategorię. A Caruso był cholernie pewien, że zadania w Afganistanie nie pokazywano w *NBC Nightly News*.

– Faktycznie, było dość ciekawie, sir.

– Dobrą robotą, piszą, było wydostanie z tego wszystkich pana ludzi żywych.

– Generale, jestem pewien, że to głównie zasługa tego żołnierza SEAL, który był z nami.

Kapral Ward został postrzelony. Było z nim źle, ale podoficer Randall uratował mu życie.

Przedstawiłem go do odznaczenia. Mam nadzieję, że je dostanie.

– Dostanie – zapewnił go Broughton. – I pan też.

– Sir, ja tylko wykonywałem swoją pracę – zaprotestował Caruso. – Moi ludzie odwalili całą...

– A to właśnie charakteryzuje dobrego młodego oficera – uciął M-2. – Czytałem wasze sprawozdanie z walk. Czytałem też relację strzelca Sullivana. Pisz, że świetnie sobie pan poradził jak na młodego oficera w pierwszej akcji bojowej. – Sierżant broni Joe Sullivan zdążył już powąchać prochu w Libanie i Kuwejcie oraz w kilku innych miejscach, które nigdy nie znalazły się w wiadomościach telewizyjnych. – Sullivan pracował kiedyś dla mnie –

poinformował. – Dostanie awans.

Caruso skinął głową.

– Tak jest, sir. Na pewno chciałby pójść w górę.

– Widziałem pana raport na jego temat. – M-2 wyjął kolejną teczkę, tym razem nie ściśle tajną. – Nie skąpi pan pochwał swoim ludziom, kapitanie. Dlaczego?

Caruso zamrugął zdziwiony.

– Sir... dobrze się spisali. Nie mógłbym oczekiwać więcej. Z moimi marines mógłbym stawić czoło każdemu. Nawet młodziaki mogą się kiedyś dosłużyć sierżanta, a dwóch z nich to urodzeni strzelcy wyborowi. Ciężko pracują i są na tyle bystrzy, żeby robić, co trzeba, zanim się odezwę. Przynajmniej jeden z nich to materiał na oficera. Sir, to moi ludzie i mam cholerne szczęście, że tak jest.

– Dobrze ich pan wytrenował – dodał Broughton.

– To moja praca, sir.

– Już nie, kapitanie.

– Przepraszam, sir? Przede mną kolejne czternaście miesięcy z batalionem, a nowego zadania jeszcze mi nie wyznaczono. – Caruso z ochotą zostałby w drugim oddziale zwiadu na zawsze. Kombinował, że wkrótce awansuje na majora, może przejdzie do batalionu S-3 i wskoczy na stanowisko oficera operacyjnego batalionu zwiadowczego dywizji.

– A ten facet z Agencji, który poszedł z wami w góry... jak się z nim pracowało?

– James Hardesty. Podobno był w wojskowych siłach specjalnych. Pod czterdziestkę, ale w niezłej formie jak na starszego gościa. Mówi dwoma miejscowymi językami. Nie robi w portki, kiedy jest gorąco. Cóż... niezłe mnie osłaniał.

M-2 znów machnął ściśle tajną teczką.

– Mówi, że uratował pan jego cztery litery w tej zasadzce.

– Niestety, sir, wpadliśmy w zasadzkę, a to dla nikogo nie jest powodem do dumy. Pan Hardesty z kapralem Wardem przeprowadzał rozpoznanie, kiedy ja uruchamiałem radiostację satelitarną. Tamci kolesie sprytnie się zasadzili, ale sami się zdemaskowali. Zbyt szybko otworzyli ogień do pana Hardesty'ego, chybili pierwszą salwą, a my obeszlśmy ich i zaraz byliśmy na wzgórzu. Nie wystawili straży jak trzeba. Strzelec Sullivan poprowadził swój oddział na prawo i kiedy dotarli na pozycje, ja poprowadziłem swoją grupę środkiem. Zabrało nam to w sumie dziesięć do piętnastu minut. Potem strzelec Sullivan zdjął nasz cel strzałem w głowę z dziesięciu metrów. Chcieliśmy wziąć go żywcem, ale sprawy potoczyły się tak, że się nie dało. – Caruso wzruszył ramionami. Przełożeni mają może wpływ na nominacje oficerskie, ale nie na okoliczności w danej chwili. Tamten człowiek ani myślał dostać się do amerykańskiej niewoli, a na kimś takim ciężko położyć łapę. Ostateczny wynik: jeden z marines poważnie postrzelony i szesnastu martwych Arabów. Plus dwaj żywi jeńcy, z którymi mogły sobie uciąć pogawędkę typki z wywiadu. Wypad okazał się bardziej produktywny, niż ktokolwiek mógł oczekiwać. Afgańczycy byli dzielni, lecz nie szaleni, a ściślej, wybierali męczeństwo tylko na własnych warunkach.

– Czegoś się pan nauczył, kapitanie? – zagadnął Broughton.

– Nie można być za bardzo wytrenowanym, sir, ani w zbyt dobrej kondycji. Prawdziwa walka to znacznie gorszy bajzel niż ćwiczenia. Tak jak mówiłem, Afgańczycy są dzielni, ale niewyszkoleni. Nigdy nie wiadomo, którzy pójdą na noże, a którzy się poddadzą. W Quantico nauczyli nas, żeby ufać swojemu instynktowi, ale instynkt to nie rozum i nie zawsze wiadomo, czy słucha się właściwego głosu. – Caruso znów wzruszył ramionami, w końcu jednak powiedział: – Według mnie w moim i moich marines przypadku zdało to egzamin, ale tak naprawdę to nie wiem dlaczego.

– Niech pan za dużo nie myśli, kapitanie. Kiedy wszystko się pieprzy, nie ma czasu na myślenie. Myśleć trzeba wcześniej. Rzecz w tym, jak szkoli pan swoich ludzi i przydziela im zadania. Trzeba przygotować umysł do działania, choć człowiek nigdy do końca nie wie co i jak. Tak czy inaczej,

nieźle to wszystko wyszło. Zrobił pan wrażenie na tym całym Hardestym, a to całkiem poważny klient. Oto jak do tego doszło – zakończył Broughton.

– Przepraszam, sir?

– Agencja chce z panem pomówić – oznajmił M-2. – Łowca talentów podsunął im pana nazwisko.

– Co miałbym robić, sir?

– Tego mi nie powiedzieli. Szukają ludzi do pracy w terenie. Nie sądzę, żeby chodziło o szpiegostwo. Raczej o zaplecze paramilitarne. Według mnie o nowy biznes antyterrorystyczny. Nie powiem, żebym był zachwycony perspektywą utraty obiecującego młodego marine. Jednak w tej sprawie nie mam nic do gadania. Może pan odrzucić ich ofertę, ale najpierw musi pan z nimi pogadać.

– Rozumiem. – Tak naprawdę guzik rozumiał.

– Może ktoś im przypomniał o innym eks-marine, któremu nieźle poszło tam na górze... –

zastanawiał się Broughton.

– Ma pan ma myśli wujka Jacka? Jezu... przepraszam, sir, ale starałem się tego unikać, od kiedy poszedłem do szkoły zasadniczej. Jestem tylko zwykłym marine stopnia O-3, sir. Nie proszę o nic więcej.

– No i dobrze – skwitował Broughton. Miał przed sobą niezwykle obiecującego młodego oficera, który przeczytał *Podręcznik oficera korpusu marines* od deski do deski i zapamiętał

wszystko, co istotne. Jeśli można mu było coś zarzucić, to tylko zbytnią szczerość. Ale w końcu sam kiedyś taki był. – No cóż, ma pan się zjawić na górze za dwie godziny. U

niejakiego Pete’a Alexandra. To kolejny eks-żołnierz sił specjalnych. Pomagał Agencji w przeprowadzeniu operacji w Afganistanie w latach osiemdziesiątych. Ponoć w porządku z niego gość, tylko nie chce od podstaw szkolić młodych talentów. Niech pan uważa na portfel, kapitanie – rzucił na koniec.

– Tak jest, sir – obiecał Caruso i stanął na baczność. M-2 pożegnał gościa uśmiechem.

– *Semper fi*, synu.

– Tak jest, sir. – Caruso wyszedł z biura, skinął głową pani sierżant, nie odezwał się do podpułkownika, który nawet nie raczył podnieść wzroku, i zszedł po schodach, zastanawiając się, w co, u diabła, się pakuje.

Setki kilometrów dalej inny Caruso myślał dokładnie to samo.

FBI zapracowało sobie na opinię jednej z najlepszych amerykańskich agencji egzekucji prawa, prowadząc dochodzenia w sprawach międzystanowych porwań, od momentu wejścia w życie prawa Lindbergha w latach trzydziestych. Sukcesy w zamykaniu tego rodzaju spraw niemal całkowicie położyły kres porwaniom dla pieniędzy. Przynajmniej zaprzestali tego niegłupi przestępcy. Biuro zamknęło każdą z tych spraw i zawodowi przestępcy w końcu połapali się, że to gra dla frajerów. Tak było przez całe lata, do czasu gdy zaczęły się porwania nie dla pieniędzy.

Tych porywaczy było o wiele trudniej schwytać.

Penelope Davidson zaginęła dziś rano w drodze do szkoły. Rodzice zadzwonili na policję niecałą godzinę od zniknięcia. Wkrótce miejscowe biuro szeryfa skontaktowało się z FBI.

Procedury zezwalały na włączenie do sprawy FBI, jeśli podejrzewano, że ofiara mogła zostać przewieziona za granicę stanu. Georgetown w Alabamie znajdowało się o pół godziny jazdy od granicy z Missisipi, więc biuro FBI w Birmingham dopadło sprawy jak kot myszy. W

nomenklaturze FBI porwanie to „siódemka”. Na to hasło niemal wszyscy agenci w biurze wsiedli w samochody i pognali na południowy zachód do małego miasteczka farmersko-targowego. Ale w głębi duszy każdy obawiał się, że to robota głupiego. Sprawy porwań miały swój zegar. Większość ofiar wykorzystywano seksualnie i zabijano w ciągu czterech do sześciu godzin. Tylko cud mógł pomóc odzyskać dziecko w tak krótkim czasie. A cuda nie zdarzają się często.

Jednak większość agentów sama miała żony i dzieci, więc zachowywali się tak, jakby szanse wciąż istniały. ASAC, dyżurny zastępca agenta specjalnego, z biura jako pierwszy rozmawiał z miejscowym szeryfem Paulem Turnerem. Biuro w swej wyższości uważało go za śledczego amatora. On myślał o sobie podobnie. Żołądek mu się wywracał na myśl o zgwałconej i zamordowanej dziewczynce w jego jurysdykcji. Pomoc federalnych przyjął z entuzjazmem. Każdemu mundurowemu wręczono zdjęcie. Zweryfikowano mapy. Miejscowi gliniarze i agenci specjaliści FBI przeszukali obszar między domem Davidsonów i znajdującą się pięć przecznic dalej szkołą publiczną, do której dziewczynka chodziła każdego ranka od dwóch miesięcy. Przepytali każdego, kto tam mieszkał. Tymczasem w Birmingham komputer wyszukiwał ewentualnych przestępców seksualnych mieszkających w promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów.

Wysłano agentów i policjantów stanowych z Alabamy, by wszystkich przepytąć.

Przeszukano każdy dom. Zazwyczaj za pozwoleniem właściciela, ale dość często bez, bo miejscowi sędziowie surowo traktowali sprawy porwań.

Dla agenta specjalnego Dominica Carusa nie była to pierwsza poważna sprawa. Była to jednak jego pierwsza „siódemka”. Chociaż był bezdzietnym kawalerem, na myśl o zaginionym dziecku krew w jego żyłach najpierw stężała, a potem zawrzała. Na „oficjalnym”

zdjęciu ze szkoły dziewczynka miała błękitne oczy, ciemniejące blond włosy i ślicznie się uśmiechała. W tej „siódemce” nie chodziło o pieniądze. Zwykła robotnicza rodzina. Ojciec był

monterem w miejscowym przedsiębiorstwie elektrycznym, matka pracowała na pół etatu jako pomoc pielęgniarska w szpitalu. Oboje byli praktykującymi metodystami. Żadne na pierwszy rzut oka nie wyglądało na osobę znęcającą się nad dzieckiem – choć to też trzeba sprawdzić. Starszy agent z biura terenowego w Birmingham doskonale opracowywał profile przestępców. Jego wstępna diagnoza przerażała: nieznany podejrzany mógł być seryjnym porywaczem i mordercą. Kimś, dla kogo dzieci były atrakcyjne seksualnie i kto wiedział, że po popełnieniu tej zbrodni najbezpieczniej jest zabić ofiarę.

Caruso był przekonany, że porywacz gdzieś tu jest.

Dominic Caruso, młody agent, ledwie rok po Quantico, służył już na drugiej placówce.

Agenci FBI stanu wolnego mogli wybierać sobie przydziały z równym powodzeniem, co wróbel zmagający się z huraganem. Najpierw skierowano go do Newark w New Jersey.

Pracował tam całe siedem miesięcy, lecz Alabama bardziej mu odpowiadała. Pogoda często była kiepska, ale było tu znacznie więcej przestrzeni niż w tamtym brudnym, zatłoczonym mieście. Teraz przydzielono go do patrolowania obszaru na zachód od Georgetown. Miał

szukać i czekać na jakieś konkretne informacje. Nie potrafił jeszcze efektywnie przepytować świadków – takie umiejętności rozwija się latami. Ale i tak uważał się za niegłupiego, w końcu dyplom w college'u zrobił z psychologii.

Szukaj samochodu z małą dziewczynką, mówił sobie. Może nie siedzi w foteliku? –

zastanawiał się. Z fotelika mogłaby wyglądać z samochodu i gestem wezwać pomoc... Zatem nie. Podejrzany chyba ją związał, skuł lub skrepował taśmą izolacyjną – i najpewniej zakneblował. Mała dziewczynka, bezbronna i przerażona. Na samą myśl mocniej zacisnął

dłonie na kierownicy. Zachrypiało radio.

– Baza w Birmingham do wszystkich jednostek „siedem”. Mamy zgłoszenie, że podejrzany może jechać pikapem, prawdopodobnie białym fordem, lekko przybrudzonym.

Tablice rejestracyjne z Alabamy. Jeśli zauważycie wóz odpowiadający temu opisowi, zgłóście to, a my ściągniemy lokalną policję, żeby go sprawdzili.

Co znaczy, nie włączajcie „koguta” i nie zatrzymujcie go sami, chyba że musicie, pomyślał Caruso. Czas się zastanowić.

Gdybym był taką kreaturą, to dokąd bym pojechał? Caruso zwolnił. Tam gdzie da się łatwo dojechać, pomyślał. Niekoniecznie drogą główną... może być porządna boczna, ze zjazdem w jakieś bardziej ustronne miejsce. Łatwo wjechać, łatwo wyjechać... sąsiedzi nie widzą i nie słyszą, co robisz...

Chwycił za mikrofon.

– Caruso do bazy w Birmingham.

– Tak, Dominic? – zgłosił się agent dyżurujący przy radiostacji. Komunikacja radiowa FBI była zaszyfrowana. Mógł ją podsłuchać tylko ktoś z dobrym deszyfratorem.

– Ta biała furgonetka. Na ile to potwierdzone?

– Starsza kobieta mówi, że kiedy wychodziła po gazetę, widziała dziewczynkę odpowiadającą rysopisowi, która rozmawiała z jakimś gościem obok białej furgonetki.

Potencjalny podejrzany to biały mężczyzna, wiek nieznany, brak szczegółowych danych.

Niewiele, Dom, ale to wszystko, co mamy – zameldował agent specjalny Sandy Ellis.

– Ile jest w okolicy osób wykorzystujących dzieci? – drążył Caruso.

– Według komputera, dziewiętnaście. Nasi ludzie rozmawiają ze wszystkimi. Jak na razie, bez rezultatów. Tylko tyle mamy, stary.

– Zrozumiałem, Sandy. Bez odbioru.

Jeszcze więcej jeżdżenia. Jeszcze więcej poszukiwań. Zastanawiał się, czy to choć trochę podobne do tego, czego jego brat Brian doświadczył w Afganistanie, samotnie polując na wroga... Zaczął wypatrywać polnych dróg... może na którejś zobaczy świeże ślady opon.

Znów popatrzył na niewielkich rozmiarów zdjęcie. Słodka mała dziewczynka. Dopiero uczyła się abecadła. Dziecko, dla którego świat był zawsze bezpiecznym miejscem, a o wszystkim decydowali mama i tata. Dziecko, które chodziło do szkółki niedzielnej, robiło zabawki z kartonów i uczyło się śpiewać piosenki...

Patrzył to w lewo, to w prawo. Jakies sto metrów dalej polna droga skręcała w las.

Zwolnił i zobaczył, że wije się łagodną serpentyną, a zza rzadko rosnących drzew widać...

...tani dom o szkieletowej konstrukcji... a obok niego... róg furgonetki?... Ale raczej beżowej niż białej...

Cóż... dziewczynkę widziała staruszka... jak daleko od niej stała furgonetka?... w słońcu czy w cieniu?... Tyle czynników, tyle zmiennych... Choć była świetną uczelnią, akademia FBI nie mogła przygotować na wszystko... Do diabła, nawet na część wszystkiego... Trzeba ufać instynktowi i doświadczeniu...

Ale Caruso miał ledwie rok doświadczenia.

A jednak...

Zatrzymał samochód.

– Caruso do bazy w Birmingham.



– Tak, Dominic – odpowiedział Sandy Ellis.

Caruso podał swoją lokalizację.

– Ruszam do sektora 10-7, żeby się bliżej przyjrzeć.

– Zrozumiałem, Dom. Potrzebujesz wsparcia?

– Nie, Sandy. To pewnie nic takiego. Zapukam tylko i porozmawiam z lokatorem.

– OK, czekam.

Caruso nie miał przenośnego radia – mieli je miejscowi gliniarze, a nie federalni. I tak znalazł się poza zasięgiem, choć mógł posłużyć się swoją komórką. Przy boku, w dobrze dopasowanej kaburze na prawym biodrze, nosił smitha&wessona 1076. Wsiadł z samochodu i przymknął drzwi, nie zamykając ich, by nie robić hałasu. Ludzie zawsze zwracali uwagę na odgłos zatrzaskiwanych drzwi samochodu.

Miał na sobie ciemnooliwkowy garnitur. Dobrze się składa, pomyślał, skręcając w prawo.

Najpierw przyjrzy się furgonetce. Szedł normalnym krokiem, patrząc w okna odrapanego domu. Miał nadzieję, że zobaczy w nich twarz, ale chyba lepiej, że się nie pojawiła.

Ford miał z sześć lat. Drobne wgniecenia i zadrapania karoserii. Kierowca ustawił

samochód tak, by przesuwne drzwi były jak najbliżej domu. Tak zrobiłby cieśla lub hydraulik. Albo ktoś, kto niósłby stawiające opór ciało. Caruso trzymał prawą rękę w pogotowiu, marynarkę miał rozpiętą. Każdy glina na świecie ćwiczył szybkie sięganie po broń, często przed lustrem. Lecz tylko głupiec strzela w ruchu.

Nie śpieszył się. Okno po stronie kierowcy było opuszczone. W środku pusto, tylko goła podłoga z niemalowanego metalu, koło zapasowe, podnośnik... duża rolka taśmy izolacyjnej...

Dużo jej. Końcówka była podwinięta, tak by można było oderwać taśmę bez zahaczania paznokciami. Wielu ludzi tak robi. Tuż za fotelem pasażera był dywanik... przyklejony taśmą do podłogi. Czy z oparcia fotela nie zwisają czasem resztki taśmy? Co to może znaczyć?

Czemu tam? – zastanawiał się. Nagle zaczęła go mrowić skóra na przedramionach –

nowe odczucie. Nigdy sam nikogo nie aresztował. Nigdy jeszcze nie brał udziału w dochodzeniu w sprawie zbrodni. No, przynajmniej nie w takim, które miałyby jakieś rozwiązanie. W Newark na krótko przydzielono go do zbiegłych więźniów i dokonał w sumie trzech aresztowań – ale zawsze z bardziej doświadczonym agentem, który prowadził sprawę.

I on miał teraz więcej doświadczenia, był bardziej zaprawiony... Ale to wciąż za mało, napomniał

się.

Odwrocił głowę ku domowi. Jego umysł pracował gorączkowo. Co mam? Nie za wiele.

Zwykła furgonetka. W środku żadnych bezpośrednich dowodów. Tylko pusta furgonetka, rolka taśmy izolacyjnej i dywanik na stalowej podłodze.

A jednak...

Wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer biura.

– FBI. W czym mogę pomóc? – odezwał się kobiecy głos.

– Caruso do Ellisa. – Tak było szybciej.

– Co tam masz, Dom?

– Białego forda econoline, tablice z Alabamy. Edward, Robert, sześć, pięć, zero, jeden.

Zaparkowany w mojej lokalizacji. Sandy...

– Tak, Dominic?

– Zapukam do drzwi tego gościa.

– Chcesz wsparcia?

Caruso zastanowił się przez sekundę.

– Tak. Odbiór.

– Konny patrol jest o dziesięć minut drogi. Zostań na stanowisku – poradził Ellis.

– Zrozumiałem. Czekam.

Ale na szali ważyło się życie dziewczynki...

Podkradł się do domu. Starał się, by nikt go nie zauważył. I wtedy czas stanął w miejscu.

Kiedy usłyszał krzyk, omal nie wyskoczył ze skóry. Okropny, przeraźliwy krzyk, jakby komuś śmierć zajrzała w oczy. Mózg przetworzył informację i Caruso już trzymał w dłoniach swój pistolet automatyczny, na wysokości mostka – wymierzony co prawda w niebo, ale jednak. Zdał sobie sprawę, że krzyczała kobieta... i coś zaskoczyło mu w głowie.

Na tyle szybko, na ile mógł się poruszać bez hałasu, przebiegł na ganek pod nierównym, tanim dachem. Frontowe drzwi to była niemal w całości druciana siatka przeciw owadom.

Potrzebny był gruntowny remont. Prawdopodobnie dom wynajmowano i na pewno za grosze.

Przez siatkę Caruso zobaczył korytarz prowadzący na lewo do kuchni i na prawo do łazienki.

Zajrzał do niej. Stąd widać było tylko porcelanową toaletę i umywalkę.

Zastanowił się, czy ma powody, by wtargnąć do domu, i natychmiast zdecydował, że tak, aż nadto. Otworzył drzwi i wśliznął się do środka możliwie jak najciszej. Korytarz wyłożony był tanim, brudnym dywanem. Caruso ruszył przed siebie, wciąż trzymając broń do góry, czujny i gotów natychmiast reagować. Teraz nie widział już kuchni, za to mógł zajrzeć do łazienki...

Penny Davidson, cała we krwi, leżała w wannie, naga, z szeroko otwartymi błękitnymi oczami i gardłem rozciętym od ucha do ucha. Na szyi ziała wielka, rozwarta rana.

Caruso zamarł, tylko oczy zarejestrowały obraz. Natychmiast pomyślał o człowieku, który to zrobił – on żyje i jest gdzieś blisko.

Usłyszał hałas, gdzieś z przodu po lewej. Telewizor w jadalni. Morderca pewnie tam jest.

Może dwóch? Nie ma czasu ani sensu się nad tym zastanawiać.

Powoli, ostrożnie, z łomoczącym sercem, przesunął się do przodu i wyjrzał zza rogu. Był

tam, pod czterdziestkę, biały, z rzednącymi włosami. W napięciu, uważnie oglądał film –

horror, dlatego Caruso usłyszał krzyk – i sączył piwo z puszki. Na twarzy wyraz spokojnego zadowolenia. Pewnie miał taki przez cały czas, pomyślał Dominic. Na stole po prawej leżał –

Jeżu! – zakrwawiony nóż rzeźnicki. A koszulka mordercy spryskana była krwią. Krwią z gardła dziewczynki.

„Problem z tymi skurwielami jest taki, że nigdy nie stawiają oporu – mówił instruktor z akademii FBI. – O tak, są dzielni jak John Wayne, kiedy mają w łapach dzieci, ale nie opierają się uzbrojonym glinom, nigdy. I wiecie co? Cholerna szkoda”.

Nie pójdziesz dziś do więzienia. Myśl pojawiła się w mózgu Carusa jakby bez jego udziału. Prawym kciukiem odciągnął kurek, w każdej chwili mógł teraz strzelić. Zauważył, że ręce ma jak z lodu.

Tuż za rogiem, zza którego wszedł do pokoju, stał stary, zniszczony stolik nocny, a na nim tani wazon z niebieskiego szkła. Nie było w nim kwiatów. Powoli i ostrożnie Caruso uniósł nogę... i wywrócił stolik. Wazon roztrzaskał się głośno na drewnianej podłodze.

Mężczyzna podskoczył i odwrócił się do niespodziewanego gościa. Jego reakcja obronna była raczej instynktowna niż racjonalna – chwycił leżący na stole nóż rzeźnicki. Caruso nie zdążył się nawet uśmiechnąć, choć wiedział, że ten morderca popełnił ostami w swoim życiu błąd. Każdy amerykański stróż prawa wie, że człowiek z nożem w odległości mniejszej niż sześć i pół metra stanowi bezpośrednio, śmiertelne zagrożenie. A ten nawet zaczął wstawać.

Ale nigdy nie wstał.

Caruso puścił cyngiel smitha, posyłając pierwszy nabój prosto w serce mordercy, potem kolejne dwa po niecałej sekundzie. Na koszulce pojawiła się czerwona plama. Mężczyzna spojrzął w dół, na klatkę piersiową, w górę na Carusa, osłupiały z zaskoczenia. Osunął się na ziemię bez krzyku czy choćby jęku.

Caruso przeszukał jedyną sypialnię. Nikogo. Tak samo w kuchni. Tylne drzwi były zamknięte od środka. Chwila ulgi. W domu byli tylko oni dwaj. Raz jeszcze spojrzął na porywacza. Oczy miał wciąż otwarte. Ale Dominic nie chybił. Najpierw jednak, jak go uczono, rozbroił trupa i skuł mu ręce. Potem sprawdził puls na tętnicy szyjnej, właściwie niepotrzebnie. Facet oglądał już tylko drzwi do piekła. Caruso wyciągnął komórkę i ponownie wybrał numer biura.

– Dom? – zgodł Ellis, gdy odebrał telefon.

– Tak, Sandy, to ja. Właśnie go zdjąłem.

– Co?! Co masz na myśli?

– Znalazłem dziewczynkę. Martwą, z rozciętym gardłem. Wszedłem, a gość wyskoczył na mnie z nożem. Zdjąłem go, stary. Też jest, kurwa, martwy.

– Jezu, Dominic! Szeryf jest w pobliżu. Czekaj.

– Zrozumiałem. Czekam, Sandy.

Niecałą minutę później usłyszał syrenę. Wyszedł na ganek. Zabezpieczył pistolet i schował go do kabury. Wyjął z marynarki legitymację FBI i kiedy szeryf zbliżył się z rewolwerem w dłoni, uniósł ją w prawej ręce.

– Wszystko jest pod kontrolą – oznajmił najspokojniej, jak w takiej chwili potrafił. Był wypompowany. Gestem zaprosił szeryfa Turnera do środka, ale sam został na zewnątrz.

Minutę czy dwie później gliniarz wrócił. Smitha&wessona schował do kabury.

Turner był hollywoodzkim wyobrażeniem szeryfa z Południa. Wysoki, z muskularnymi ramionami i pasem na broń wrzynającym się głęboko w talię. Tyle tylko, że czarny. Jak nie z tego filmu.

– Co się stało? – spytał.

– Dasz mi minutę? – Caruso wziął głęboki wdech. Przez moment zastanawiał się, jak opowiedzieć tę historię. Ważne było, by Turner wszystko dobrze zrozumiał, bo zabójstwo podlegało jego jurysdykcji.

– Pewno. – Turner sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął paczkę koolsów.

Zaproponował papierosa Dominicowi; ten potrząsnął głową i usiadł na niepomalowanej drewnianej

podłódze.

Spróbował ułożyć sobie wszystko w głowie. Co dokładnie się stało? Co dokładnie zrobił?

I jak dokładnie miał to wyjaśnić? Coś podpowiadało mu, że wcale nie czuł żalu. Na pewno nie żałował tego drania. A żałować Penelope Davidson było za późno. O godzinę? Może tylko o pół? Dziewczynka nie wróci dziś do domu. Jej matka nigdy już nie ułoży jej do snu, ojciec nigdy nie przytuli. Wniosek? Agent specjalny Dominic Caruso wcale nie czuł żalu.

Szkoda tylko, że tak bardzo się spóźnił.

– Możesz mówić? – zagadnął szeryf Turner.

– Szukałem takiego miejsca i kiedy przejeżdżałem obok, zobaczyłem zaparkowaną furgonetkę... – zaczął Caruso. Po chwili wstał i poprowadził szeryfa do domu, aby zrelacjonować mu inne szczegóły. – No i przewróciłem stolik. On mnie zobaczył i sięgnął po nóż... a ja wyciągnąłem pistolet i wystrzeliłem do sukinsyna. Chyba trzy naboje.

– Aha... – Turner podszedł do ciała. Porywacz nie stracił wiele krwi. Wszystkie trzy kule przeszły prosto przez serce, które natychmiast przestało pompować krew.

Paul Turner nie był wcale taki wysoki, jak mogło się wydawać rządowemu agentowi.

Popatrzył na ciało i odwrócił się do drzwi, skąd strzelał Caruso. Wzrokiem zmierzył odległość i kąt.

– A zatem – stwierdził – potknąłeś się o ten stolik. Facet widzi cię, chwyta nóż, a ty, bojąc się o swoje życie, wyciągasz pistolet i oddajesz trzy krótkie strzały, tak?

– Tak właśnie było, tak.

– Aha – podsumował szeryf, który niemal każdego sezonu ubijał jelenia. Sięgnął do prawej kieszeni spodni i wyciągnął brelok.

Był to prezent od ojca, bagażowego w pulmanie na starym Illinois Central. Do staroświeckiego breloka przylutowano srebrną dolarówkę z 1948 roku, o średnicy około trzech i pół centymetra. Przytrzymał ją nad klatką piersiową porywacza, tak że całkiem zakryła wszystkie trzy rany wlotowe. Spojrzenie miał bardzo sceptyczne. Naraz jednak popatrzył w kierunku łazienki – i wydał łagodniejszy werdykt.

– I tak właśnie napiszemy. Niezły strzał, chłopcze.

W kilka minut zjechały się samochody policji i FBI. Zaraz potem przybyła furgonetka z laboratorium Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego Alabamy, by przeprowadzić dochodzenie

kryminalistyczne. Fotograf zużył dwadzieścia trzy rolki kolorowego filmu czułości 400. Nóż podejrzanego zabrano do zdjęcia odcisków i porównania grupy krwi z grupą krwi ofiary. Zwykła formalność, ale procedury były szczególnie surowe w sprawach morderstw. Na koniec naciągnięto worek na ciało dziewczynki i zabrano zwłoki. Rodzice będą musieli dokonać identyfikacji. Na szczęście twarz była niezmienną.

Jako jeden z ostatnich przybył Ben Harding, dyżurny agent specjalny z biura terenowego Federalnego Biura Śledczego w Birmingham. W przypadku strzelaniny musiał napisać formalny raport dla swego dalekiego znajomego, dyrektora Dana Murraya. Najpierw upewnił

się, że Caruso był w dobrej formie fizycznej i psychicznej, a potem poszedł złożyć wyrazy uszanowania Paulowi Turnerowi i poprosił o jego opinię o strzelaninie. Caruso obserwował z daleka, jak Turner gestykułuje, opowiadając przebieg wydarzeń, a Harding twierdząco kiwa głową. Dobrze, że szeryf oficjalnie potwierdził jego wersję. Przysłuchiwał się temu również kapitan policjantów stanowych – i też kiwał głową.

Ale tak naprawdę Dominica Carusa guzik to obchodziło. Wiedział, że dobrze zrobił, tyle że o godzinę za późno. W końcu Harding podszedł do niego.

– Jak się czujesz, Dominicu?

– Ciężko mi – odparł Caruso. – Spóźniłem się, cholernie się spóźniłem... tak, wiem że nierozsądnie byłoby oczekiwać czego innego.

Harding chwycił go za ramię i potrząsnął.

– Lepiej tego zrobić nie mogłeś, młody. – Pauza. – Jak doszło do strzelaniny?

Caruso powtórzył swoją historię. Brzmiała teraz dla niego niemal jak prawda. Pewnie mógłby powiedzieć całą prawdę i nic by mu za to nie zrobili. Ale po co ryzykować?

Oficjalnie strzał był czysty i to mu wystarczyło – przynajmniej do akt.

Harding słuchał i kiwał głową zamyślony. Trzeba będzie odwalić papierkową robotę i przesłać do Waszyngtonu. Ale gazetom powinno się spodobać, że agent FBI zastrzelił

porywacza w dniu popełnienia przestępstwa. Pewnie znajdą dowody, że nie była to jedyna zbrodnia tego skurwiela. Trzeba będzie jeszcze drobiazgowo przeszukać dom. Znalezione już kamerę cyfrową i nikogo by nie zdziwiło, gdyby wyszło na jaw, że poprzednie zbrodnie ten drań zapisał na swoim pececie. Jeśli tak, to Caruso zamknął kilka spraw za jednym zamachem. Jeśli tak, to Caruso stanie się wielką gwiazdą FBI.

Jak wielką, nie mógł tego jeszcze wiedzieć ani Harding, ani sam Caruso, ale łowca talentów znajdzie Dominica Carusa.

I jeszcze kogoś.

## **Rozdział 1**

# CAMPUS

Miasteczko West Odenton w stanie Maryland to właściwie żadne miasto. Jest tam tylko poczta dla okolicznych mieszkańców, kilka stacji benzynowych i sklepów 7-Eleven oraz zwyczajne fast foody dla tych, co potrzebują tłustego śniadania w drodze z domu w Columbii w Marylandzie do pracy w Waszyngtonie. Niecały kilometr od skromnego budynku poczty znajduje się dziesięciopiętrowy biurowiec w stylu budynków rządowych. Na okazałym frontowym trawniku umieszczono niski ozdobny monolit z szarej cegły ze srebrnymi literami Hendley Associates, ale bez wyjaśnienia, co to takiego. Czegoś się jednak można było domyślać. Dach budynku – płaski, żelbetowy, z wierzchu pokryty smołą i żwirem. W małej nadbudówce – maszyna windy. Inna kanciasta konstrukcja nie zdradzała swego przeznaczenia. W rzeczywistości zbudowana była z białych włókien szklanych, przez które łatwo przenikają fale radiowe. Sam budynek był niezwykle tylko pod jednym względem: z wyjątkiem kilku starych stodół na tytoń, wysokich ledwie na osiem metrów, była to jedyna ponad dwupiętrowa budowla na linii łączącej NSA – Agencja Bezpieczeństwa Narodowego –

w Fort Meade w Marylandzie z kwaterą główną CIA w Langley w Wirginii. Kilku innych przedsiębiorców chciało budować na tej linii, ale nigdy nie uzyskali pozwolenia na budowę – z wielu przyczyn, z których żadna nie była prawdziwa.

Za budynkiem znajdowało się kilka anten, jak przy lokalnej stacji telewizyjnej – sześć sześciometrowych parabolicznych talerzy otoczonych prawie czterometrową siatką zwieńczoną drutem kolczastym. Anteny nastawiono na różne komercyjne satelity telekomunikacyjne. Cały kompleks zajmował ponad sześć hektarów w hrabstwie Howard w stanie Maryland. Ludzie, którzy w nim pracowali, nazywali go Campusem. W pobliżu znajdowało się Laboratorium Fizyki Stosowanej Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa, od dawna pełniące delikatną funkcję konsultanta rządowego.

W oczach opinii publicznej firma Hendley Associates uchodziła za przedsiębiorstwo zajmujące się handlem akcjami, obligacjami i walutami. Tak się jednak dziwnie składało, że niewiele działała publicznie. Nieznani byli jej klienci i choć szeptano, że lokalnie udziela się charytatywnie (plotki głosiły, że szczodrości firmy najwięcej zawdzięcza Szkoła Medyczna przy Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa), nic nigdy nie przedostało się do mediów. Firma nie miała nawet działu public relations. Nie słyszano też, żeby zajmowała się czymś niestosownym, chociaż wiadomo było, że jej dyrektor generalny ma dość pogmatwaną przeszłość, więc unika rozgłosu – i to na tyle zręcznie i kulturalnie, że po kilku próbach lokalne media przestały go nagabywać. Pracownicy Hendleya mieszkali w okolicznych miejscowościach, głównie w Columbii, należeli do wyższej klasy średniej i byli ucieleśnieniem przeciętności.

Gerald Paul Hendley junior miał za sobą błyskotliwą karierę na rynku surowców, dorobił się wtedy pokaźnej fortuny. Przed czterdziestką wystartował w wyborach i wkrótce został senatorem z Karoliny Południowej. Niezwykle szybko zdobył sobie reputację niezależnego legislatora, który wystrzega się grup interesów i ich ofert finansowania kampanii, podążając ścieżką niezależnej kariery politycznej. Skłaniał się ku liberalizmowi w przedmiocie praw obywatelskich,



ale był zdecydowanie konserwatywny w kwestiach obronności i stosunków międzynarodowych. Nigdy nie wahał się mówić, co myśli, dlatego chętnie o nim pisano. W

końcu zaczęto mówić o aspiracjach prezydenckich.

Jednak pod koniec drugiej sześciolletniej kadencji przeżył wielką osobistą tragedię. Stracił

żonę i troje dzieci w wypadku na autostradzie międzystanowej 185. Na przedmieściach Columbi w Karolinie Południowej ich samochód wpadł pod koła ciągnika siodłowego i został zmiądzony. Wkrótce potem, na samym początku kampanii o trzecią kadencję, spadło na niego kolejne nieszczęście. Zawsze utrzymywał w tajemnicy swój prywatny pakiet inwestycyjny, uważał bowiem, że skoro nie bierze pieniędzy na kampanie, nie musi szczegółowo ujawniać swojego majątku. Tymczasem publicysta „New York Timesa” ujawnił, że pakiet ten nosi znamiona spekulacji z wykorzystaniem informacji poufnych. Gazety i telewizja zaczęły drążyć sprawę i potwierdziły to podejrzenie. Na nic nie zdały się tłumaczenia Hendleya, że komisja do spraw giełdy i papierów wartościowych nigdy nie opublikowała interpretacji tego prawa. Niektórzy uznali, że wykorzystał wiedzę o przyszłych wydatkach rządu na korzyść sektora handlu nieruchomościami. On sam i jego współinwestorzy zarobili na tym ponad pięćdziesiąt milionów dolarów. Co gorsza, kiedy podczas publicznej debaty zapytał go o to kandydat republikanów, „pan czyste ręce” popełnił

aż dwa błędy. Po pierwsze, stracił panowanie nad sobą przed kamerami. Po drugie, powiedział mieszkańcom Karoliny Południowej, że jeśli wątpią w jego uczciwość, to mogą głosować na głupca, z którym dzieli scenę. Zaskakujące jak na człowieka, który nigdy w swej politycznej karierze się nie potknął. Kosztowało go to pięć procent głosów. Od tego momentu jego bezbarwna kampania szła coraz gorzej. Mimo solidarnego głosu tych, którzy pamiętali jego rodzinną tragedię, w fatalnym stylu stracił swój mandat demokracji, a na dodatek wydał

jeszcze jadowite oświadczenie końcowe. Na dobre odszedł z życia publicznego. Nie wrócił

nawet na swą plantację na północ od Charleston, co więcej przeprowadził się do Marylandu, zostawiając przeszłość za sobą. Jeszcze jedno ogniste oświadczenie – i spalił za sobą wszystkie mosty w Kongresie.

Zamieszkał na osiemnastowiecznej farmie, gdzie hoduje konie rasy appaloosa. Hobby?

Jeździectwo i gra – kiepska – w golfa. Prowadzi spokojne życie farmera dżentelmena. Pracuje też w Campusie siedem do ośmiu godzin dziennie, a do pracy dojeżdża przedłużonym cadillakiem z szoferem.

Ma teraz pięćdziesiąt dwa lata. Wysoki, szczupły, srebrzystowłosy, niby dobrze znany, a właściwie wcale nieznan. Może to tylko zostało z jego politycznej przeszłości.

– Dobrze się pan spisał w górach – stwierdził Jim Hardesty, gestem wskazując młodemu marine krzesło.

– Dziękuję, sir. Panu też nieźle poszło.

– Kapitanie, nieźle to jest zawsze, jak człowiek wraca do domu cały. Nauczyłem się tego od mojego oficera szkoleniowego. Jakies szesnaście lat temu – dodał.

Kapitan Caruso policzył w myślach i uznał, że Hardesty jest nieco starszy, niż się wydaje.

Ranga kapitana Sił Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych, potem CIA, do tego szesnaście lat – bliżej pięćdziesiątki niż czterdziestki. Musiał ciężko pracować nad formą.

– A więc co mogę dla pana zrobić? – spytał.

– Co panu powiedział Terry?

– Że będę rozmawiać z niejakim Pete’em Alexandrem.

– Pete dostał nagłe wezwanie – wyjaśnił Hardesty.

Caruso przyjął wyjaśnienie za dobrą monetę.

– OK. Tak czy siak generał powiedział, że prowadzicie tu w Agencji jakiś konkurs talentów, ale nie chcecie sobie ich sami wychować – odparł szczerze.

– Terry to dobry człowiek i świetny marine, ale czasem trochę zaściankowy.

– Może i tak, panie Hardesty, ale wkrótce będzie moim szefem, kiedy przejmie dowództwo 2. Dywizji Marines, a ja wolę pozostać po właściwej stronie. A pan wciąż mi nie mówi, po co tu jestem.

– Podoba się pan w korpusie? – spytał Hardesty.

Młody marine skinął głową.

– Tak, sir. Płaca nieszczeólna, ale więcej mi nie trzeba, a pracuję z najlepszymi.

– Właśnie, ci w górach byli nieźli. Od jak dawna pan nimi dowodzi?

– W sumie? Jakies czternaście miesięcy, sir.

– Dobrze ich pan wyszkolił.

– Za to mi płacą, sir, no i miałem dobry materiał.

– Z tą drobną potyczką też pan sobie nieźle poradził – zauważył Hardesty, notując zaobserwowane reakcje.

Kapitan Caruso nie był na tyle skromny, by uważać to za „drobną” potyczkę. Latające wokół pociski były całkiem realne, a zatem i potyczka była całkiem spora. Stwierdził jednak z satysfakcją, że jego szkolenie dało niemal tak dobre wyniki, jak to zapowiadali oficerowie podczas wszystkich zajęć i ćwiczeń w terenie. Nie ma to jak korpus marines! A niech to.

– Tak, sir – rzucił tylko, dodając: – I dziękuję za pomoc, sir.

– Trochę za stary jestem na te rzeczy, ale miło wiedzieć, że wciąż wiem, jak to się robi. –

I starczy, lecz tego już Hardesty nie powiedział. Walka to zabawa dla dzieciaków, a on już z tego wyrósł. – Myślał pan o tym, kapitanie? – spytał po chwili.

– Nie bardzo, sir. Napisałem raport z akcji.

Hardesty czytał ten raport.

– Dręczą cię może koszmary?

Pytanie zaskoczyło Carusa. Koszmary? Dlaczego miałby je mieć?

– Nie, sir – odparł z wyraźnym zdziwieniem.

– Wyrzuty sumienia? – drażył Hardesty.

– Sir, ci ludzie prowadzili wojnę z moim krajem. My odpowiedzieliśmy tym samym. Kto nie ryzykuje, ten w więzieniu nie siedzi. Jeśli mieli żony i dzieci, to przykro mi z tego powodu, ale kiedy się z kimś zadziera, trzeba być przygotowanym na wszystko.

– Życie jest brutalne, co?

– Sir, lepiej nie kopać tygrysa w zadek, chyba że się wie, jak sobie poradzić z jego zębami.

Żadnych koszmarów, żadnego poczucia winy, pomyślał Hardesty. Tak właśnie powinno być. Ale te miłsze, łagodniejsze Stany Zjednoczone nie zawsze tak wychowywały ludzi.

Caruso był wojownikiem. Hardesty odchylił się na krześle i uważnie przyjrzał swojemu gościowi, zanim znów się odezwał.

– Kapitanie... pyta pan, dlaczego się tu znalazł... Czyta pan gazety, wie, jakie problemy mamy z nową falą międzynarodowego terroryzmu. Agencja i Biuro stoczyły wiele walk o terytorium. Na poziomie operacyjnym to zwykle nie problem, na poziomie dowodzenia też nie. Dyrektor FBI, Murray, to dobry żołnierz. Kiedy pracował jako attaché prawny w Londynie, świetnie się dogadywał z naszymi ludźmi.

– Chodzi o tych ze środkowego poziomu, tak? – spytał Caruso. W korpusie też się z tym zetknął. Oficerowie sztabowi warczeli na innych oficerów sztabowych i spierali się, czyj tatuś skopałby tyłek innemu tatusiowi. Pewnie było tak już u starożytnych Greków i Rzymian.

Bezproduktywna głupota.

– Bingo – potwierdził Hardesty. – Może jeden Bóg potrafiłby to naprawić, ale tylko jakby miał dobry dzień. Biurokraci za dobrze się okopali. W wojsku nie jest jeszcze tak źle. Tam sytuacja często się zmienia i ludzie mają poczucie misji. Zazwyczaj każdy stara się ją wypełniać. Zwłaszcza jeśli dzięki temu sam pójdzie wyżej. Ogólnie rzecz biorąc, im dalej jesteś od pierwszej linii, tym bardziej prawdopodobne, że zagubisz się w szczegółach. Tak więc szukamy ludzi, którzy wiedzą, co to pierwsza linia.

– A jaka będzie ich misja?

– Identyfikacja, lokalizacja i usuwanie zagrożeń ze strony terrorystów.

– Usuwanie? – spytał Caruso.

– Neutralizacja. Kiedy to konieczne i dogodne, trzeba po prostu zabić sukinsyna. Zebrać informacje o naturze i wadze zagrożenia, a potem podjąć konieczne działania w zależności od rodzaju zagrożenia. Zadanie jest zasadniczo wywiadowcze. Agencja ma zbyt wiele ograniczeń w działaniu. Grupa specjalna nie.

– Naprawdę? – No, to spore zaskoczenie.

Hardesty spokojnie potaknął.

– Naprawdę. Nie będzie pan pracować dla CIA. Może pan korzystać z zasobów Agencji, ale na tym koniec.

– Więc dla kogo bym pracował?

– Jeszcze będzie czas, żeby o tym pogadać. – Hardesty uniósł teczkę marine. – Należysz do trzech procent oficerów marines z najwyższym ilorazem inteligencji. Superwyniki niemal w każdej dziedzinie. Szczególnie duże wrażenie robią twoje zdolności lingwistyczne.

– Mój ojciec jest Amerykaninem, znaczy tu się urodził, ale jego ojciec przyłynął na statku z Włoch. Prowadził, nadal prowadzi, restaurację w Seattle. Ojciec w młodości mówił

głównie po włosku i dalej mówi, a ja i brat się od niego nauczyliśmy. W szkole średniej i college'u uczyłem się hiszpańskiego. Nie mogę uchodzić za Hiszpana, ale język znam nieźle.

– Specjalizacja z inżynierii?

– To też po tacie. Piszą tam o tym. Ojciec pracuje przy aerodynamice dla Boeinga, głównie projektuje skrzydła i powierzchnie sterujące. Wie pan już o mojej mamie, o tym też tam jest. Jest przede wszystkim mamą. Teraz, kiedy Dominic i ja dorośliśmy, pomaga w miejscowych szkołach katolickich.

– Brat w FBI?

Brian skinął głową.

– Tak. Zdał egzamin z prawa i zaciągnął się do federalnych.

– Teraz jest na pierwszych stronach gazet – oznajmił Hardesty, podając przefaksowaną stronę z gazety z Birmingham. Brian omiół ją wzrokiem.

– Byle tak dalej, Dom – szepnął, kiedy doczytał do czwartego akapitu.

Hardesty’emu się to spodobało.

Lot z Birmingham na krajowe lotnisko Reagana w Waszyngtonie trwał mniej niż dwie godziny. Dominic Caruso zszedł do metra i wskoczył do pociągu do Budynku Hoovera, na rogu Dziesiątej i Pennsylvania Avenue. Dzięki odznace nie musiał przejść przez wykrywacz metali. Agenci FBI mieli prawo nosić spluwy. Jego automat dorobił się pierwszego nacięcia na kolbie. Oczywiście nie dosłownie, ale agenci FBI żartowali tak sobie czasem.

Biuro zastępcy dyrektora Augustusa Ernsta Wenera znajdowało się na najwyższym piętrze. Wychodziło na Pennsylvania Avenue. Sekretarka gestem zaprosiła go do środka.

Caruso nigdy nie spotkał Gusa Wenera. Ten doświadczony agent i eks-marine był

wysoki, szczupły i miał w sobie coś z małpy, ale w sensie pozytywnym. Wcześniej w FBI dowodził HRT – Zespołem do spraw Odbijania Zakładników – i dwoma wydziałami terenowymi. Miał już odejść na emeryturę, kiedy jego bliski przyjaciel, dyrektor Daniel E.

Murray, namówił go do wzięcia tej roboty. Wydział antyterrorystyczny nie mógł się równać z wydziałami kryminalnym i kontrwywiadowczym, ale z dnia na dzień zyskiwał na znaczeniu.

– Niech pan usiądzie – powiedział Werner, wskazując fotel. Minutę później skończył

rozmawiać przez telefon. Odłożył słuchawkę i nacisnął przycisk NIE PRZESZKADZAĆ. –

Ben Harding mi to przefaksował – oznajmił, pokazując wczorajszy raport ze strzelaniny. –

Jak to było?

– Wszystko jest tu napisane, sir. – Dominic potrzebował trzech godzin, by pozbierać myśli i przelać je na papier zgodnie z biurokratycznymi procedurami FBI. Dziwne...

Czynność, która trwała mniej niż sześćdziesiąt sekund, musiał tak długo wyjaśniać.

– A co pan pominął, Dominicu? – spytał Werner, przyglądając mu się badawczo, tak badawczo jak nikt dotąd.

– Nic, sir – odparł Caruso.

– Dominicu, mamy w Biurze kilku bardzo dobrych strzelców. Jestem jednym z nich –

oznajmił Gus Werner. – Trzy strzały, wszystkie w serce, z czterech i pół metra to niezły wynik. Jak na kogoś, kto właśnie potknął się o stół, to istny cud. Dla Bena Hardinga nie było to niezwykle, ale dla dyrektora Murraya i dla mnie owszem. Dan też jest niezłym strzelcem. Przeczytał ten faks w nocy i poprosił o opinię. Dan nigdy nie skasował

podejrzanego. Ja tak, trzykrotnie, dwa razy do spółki z HRT, że tak powiem, i raz sam, w Des Moines w Iowa. To też było porwanie. Widziałem, co zrobił dwóm swoim ofiarom, małym chłopcom... i wiesz co, naprawdę nie chciałem, żeby jakiś psychiatra opowiadał o nim ławie przysięgłych, że miał trudne dzieciństwo i że naprawdę to nie była jego wina... całe to gówna, które się słyszy w ładnych i czystych salach sądu, gdzie przysięgli widzą tylko zdjęcia, a i to niekoniecznie, jeśli obrońca zdoła przekonać sędziego, że są zbyt drastyczne. I wiesz co?

Musiałem stać się prawem. Nie egzekwować prawo, wyjaśniać prawo czy stanowić prawo.

Tego dnia, dwadzieścia dwa lata temu, musiałem być prawem. Karzącą ręką Boga. I wiesz co? Świetnie się z tym czułem.

– Skąd pan wiedział?...

– Skąd wiedziałem, że to nasz chłoptaś? Zbierał pamiątki. Głowy. W jego przyczepie było ich osiem. Tak więc nie miałem wątpliwości. Leżał przy nim nóż, no to powiedziałem mu, żeby go podniósł. Zrobił to, a ja wpakowałem mu cztery kule w klatkę piersiową z trzech metrów i nawet przez moment nie czułem żalu. – Przerwał. – Niewiele osób zna tę historię.

Nawet żonie nie powiedziałem. Więc nie mów mi, że potknąłeś się o stół, wyciągnąłeś swojego smitha i wpakowałeś trzy kulki w serce podejrzanego, stojąc na jednej nodze, dobra?

– Tak jest, sir. – To była dwuznaczna odpowiedź. – Panie Wemer...

– Mam na imię Gus – poprawił go zastępca dyrektora.

– Sir – upierał się Caruso. Kiedy starsi od niego kazali mówić sobie po imieniu, robił się nerwowy.

– Sir, gdybym powiedział coś takiego w oficjalnym dokumencie rządowym, przyznałbym się niemal do morderstwa. On naprawdę podniósł ten nóż, naprawdę wstawał, naprawdę był tylko ze cztery metry ode mnie, a w Quantico uczyli nas, żeby traktować coś takiego jako bezpośrednie zagrożenie życia. Owszem, strzeliłem, i było to słuszne, zgodne z przepisami FBI w kwestii użycia ostrej broni.

Wemer pokiwał głową.

– Zdałeś egzamin z prawa, prawda?

– Tak jest, sir. Zrobiłem aplikację w Wirginii i Waszyngtonie. Jeszcze nie w Alabamie.

– Na chwilę przestań być prawnikiem – poradził Wemer. – Wciąż mam rewolwer, z którego rozwaliłem tego skurwiela. Smith&wesson, model 66, czterocalowy. Nawet czasami noszę go w pracy. Dominicu, zrobiłeś to, co każdy agent chciałby zrobić choć raz. Sam wymierzyłeś sprawiedliwość. Nie rób sobie z tego powodu wyrzutów.

– Nie robię, sir – zapewnił go Caruso. – Ta dziewczynka, Penelope... nie mogłem jej uratować, ale przynajmniej ten skurwiela nigdy już tego nie robi. – Popatrzył Wernerowi prosto w oczy. – Wie pan, jakie to uczucie.

– O tak. – Gus Werner przyjrzał się uważnie Dominicowi. – I jesteś pewien, że nie masz wyrzutów sumienia?

– Lecąc tu, godzinę się zdrzemnąłem, sir. – Kiedy to mówił, starał się nie uśmiechać.

Za to Werner pozwolił sobie na uśmiech. Skinął głową.

– Dostaniesz oficjalną pochwałę z biura dyrektora. Żadnego papierka z OPR.

OPR to wydział spraw wewnętrznych FBI zajmujący się odpowiedzialnością osobistą.

Choć szeregowi agenci FBI czuli do niego respekt, nie darzyli go jednak sympatią. Było takie powiedzenie: „Jeśli znęca się nad zwierzętami i moczy łóżko, to albo jest seryjnym mordercą, albo pracuje dla OPR”.

Werner podniósł teczkę Carusa.

– Piszą, że jesteś bystry... masz zdolności lingwistyczne... Nie chciałbyś przyjechać do Waszyngtonu? Szukam do swojego biznesu ludzi, którzy wiedzą, jak myśleć w biegu.

Gerry Hendley nie był zbytnim formalistą. Do pracy wkładał marynarkę i krawat, ale gdy tylko przyszedł do biura, marynarka lądowała na wieszaku. Miał świetną sekretarkę, Helen Connolly. Tak jak on pochodziła z Karoliny Południowej. Przejrzał z nią swój rozkład dnia, po czym wziął do ręki „Wall Street Journal” i sprawdził pierwszą stronę. Pochłonął już dzisiejszego „New York Timesa” i „Washington Post”, by dowiedzieć się, co tam w polityce.

Jak zwykle utyskiwał przy tym, że nigdy niczego nie robią porządnie. Zegar cyfrowy na biurku wskazywał, że zostało mu dwadzieścia minut do pierwszego spotkania. Włączył

komputer, by przeczytać poranne wydanie „Early Bird”, serwisu prasowego dla wyższych urzędników administracji rządowej. Przejrzał go, aby sprawdzić, czy czytając poranne wydania gazet niczego nie przeoczył. Raczej nie, z wyjątkiem interesującego artykułu w

„Virginia Pilot” o dorocznej Konferencji Fletchera, organizowanej przez marynarkę i korpus marines w bazie marynarki w Norfolk. Rozmawiali o terroryzmie. I to całkiem inteligentnie, ocenił Hendley. Ludziom w mundurach często to się zdarzało. W przeciwieństwie do wybieranych polityków.

Dobiliśmy Związek Radziecki, pomyślał Hendley, i oczekiwaliśmy, że na świecie zapanuje spokój. Ale nie spostrzegliśmy, że nastał czas świrów z kałasznikowami z demobilu.

A oni znają, podstawy chemii lub po prostu każdy chce przehandlować własne życie za życie domniemanego wroga.

Kolejne zaniedbanie – brak odpowiedniego przygotowania wywiadu. Nawet prezydent doświadczony w sprawach tajnych operacji i najlepszy dyrektor CIA w historii Ameryki za wiele nie zrobili.

Co prawda dali sporo ludzi. Dodatkowe pięćset osób w Agencji liczącej dwadzieścia tysięcy nie wyglądało imponująco, ale spowodowało podwojenie ich liczby w zarządzie operacyjnym. Dzięki temu siły CIA były już tylko w połowie tak niezadowolające jak dotychczas – wciąż jednak nie znaczyło to, że są zadowolające.

W zamian za to Kongres jeszcze bardziej zaostrzył nadzór i restrykcje, skuteczniej paraliżując nowych ludzi, którzy mieli uzupełnić rządowe szeregi. Nigdy niczego się nie nauczyła, pomyślał Hendley. On sam bez końca wygłaszał mowy do swych kolegów z tego najbardziej ekskluzywnego na świecie klubu dla mężczyzn, ale choć niektórzy go słuchali, inni wcale nie, a niemal wszyscy pozostawali sceptyczni. Zbyt wiele uwagi zwracali na opinie w felietonach, często nawet w gazetach niewychodzących w ich rodzinnych stanach. Głupio sądzili, że tak właśnie myśli cały amerykański naród. A może wszystko było takie proste: każdy nowo wybrany urzędnik był uwodzony niczym Juliusz Cezar przez Kleopatę. To doradcy, „zawodowi” pomagierzy polityczni, „prowadzili” swych pracodawców w taki sposób, aby przyczynić się do ich ponownego wyboru – tego świętego Graala służby publicznej. W Stanach nie było dziedzicznej klasy rządzącej, było za to wielu ludzi z radością prowadzących swych pracodawców jedyną słuszną drogą do rządowego raję.

Praca wewnątrz takiego systemu nie dawała żadnych rezultatów.

Tak więc, aby cokolwiek osiągnąć, trzeba było wyjść poza system.

Cholernie daleko poza system.

A gdyby ktoś to zauważył... cóż, i tak już był w niełasce, prawda?

Przez godzinę omawiał kwestie finansowe z pracownikami, ponieważ w ten właśnie sposób firma Hendley Associates zarabiała na sobie. Jako giełdciarz i arbitrażysta walutowy niemal od początku wyprzedzał stawkę. Wyczuwał chwilowe różnice kursów nazywał je delta

– jako wynik czynników psychologicznych, zmian percepcji, które mogły, lecz nie musiały okazać się trafne.

Interesy prowadził anonimowo, za pośrednictwem zagranicznych banków. Wszystkie lubiły posiadaczy pokaźnych kont gotówkowych, żaden nie był natomiast zanadto drobiazgowy w kwestii sprawdzania, skąd pochodzą pieniądze, jeśli tylko nie były brudne – a jego z pewnością nie były.



Jeszcze jeden sposób, by trzymać się z dala od systemu.

Co prawda nie wszystkie jego transakcje były całkiem legalne. Miał po swojej stronie specjalistów od przechwytywania danych z Fort Meade, co dawało mu spore fory. Prawdę mówiąc, było to cholernie nielegalne i nieetyczne. Ale przecież przedsiębiorstwo Hendley Associates nie powodowało znaczących szkód na arenie międzynarodowej. Mogło być inaczej, lecz w Hendley Associates wychodzili z założenia, że pokorne ciele dwie matki ssie, więc tylko trochę doili międzynarodowe wymię. Poza tym nie było instytucji zajmującej się ściganiem przestępstw tego typu i na taką skalę. A w sejfie ukrytym w skarbcu firmy leżał

oficjalny dekret, podpisany przez poprzedniego prezydenta Stanów Zjednoczonych...

Wszedł Tom Davis, tytułarny szef działu handlu obligacjami. Jego przeszłość była pod pewnymi względami podobna do przeszłości Hendleya. Spędzał całe dnie przyklejony do ekranu komputera. Nie przejmował się względami bezpieczeństwa. Wszystkie ściany budynku wyposażono w metalowe osłony blokujące emisję sygnałów elektromagnetycznych, a wszystkie komputery chroniła Tempest – technologia tłumienia emisji promieniowania elektromagnetycznego.

– Co nowego? – spytał Hendley.

– Mamy dwóch potencjalnych rekrutów.

– Któż to taki?

Davis przesunął akta po biurku Hendleya. Ten wziął je do ręki i otworzył.

– Bracia?

– Bliźnięta. Dwujajowe. Ich mama musiała w tym samym miesiącu uwolnić dwa jajeczka zamiast jednego. Obaj zrobili dobre wrażenie na właściwych osobach. Intelpekt, sprawność psychiczna, fizyczna i uzupełniające się nawzajem zdolności. Plus talent lingwistyczny.

Zwłaszcza znajomość hiszpańskiego.

– A ten mówi paszto? – z zaskoczeniem spytał Hendley.

– Tyle że potrafi znaleźć toaletę. Był tam jakieś osiem tygodni i wykorzystał ten czas na naukę. Według raportu nieźle sobie z tym poradził.

– Myślisz, że to ludzie, jakich szukamy?

Tacy nie przychodzili frontowymi drzwiami. Dlatego Hendley prowadził werbunek w instytucjach rządowych za pośrednictwem kilku niezwykle dyskretnych pracowników.

– Musimy ich jeszcze trochę posprawdzać, ale mają talenty, jakie lubimy. Na pierwszy rzut oka

wydają się godni zaufania, zrównoważeni i wystarczająco bystrzy, by zrozumieć, po co istniejemy. Tak, myślę, że warto im się bliżej przyjrzeć.

– Co teraz z nimi będzie?

– Dominic zostanie przeniesiony do Waszyngtonu. Gus Werner chce, żeby wstąpił do wydziału antyterrorystycznego. Na początku pewnie będzie pracował za biurkiem. Trochę za młody jest na HRT i jeszcze nie wykazał się zdolnościami analitycznymi. Werner chce chyba najpierw sprawdzić jego możliwości intelektualne. Brian poleci do Camp Lejeune. Wróci do pracy ze swoimi.

Dziwi mnie, że korpus nie oddelegował go do wywiadu. Jest oczywistym kandydatem, ale oni lubią swoich strzelców, a on nieźle sobie radził u tych poganiaczy wielbłądów. Jeśli moje źródła się nie mylą, to szybko dojdzie do rangi majora.

Najpierw polecę tam i zjem razem z nim lunch, wysonduję go trochę, i wrócę do Waszyngtonu. To samo z Dominikiem. Zrobił duże wrażenie na Wernerze.

– Gus ma nosa w ocenie ludzi – zauważył Hendley.

– Właśnie, Gerry – zgodził się Davis. – A u ciebie coś nowego?

– Fort Meade jak zwykle po uszy zagrzebany. – Największym problemem NSA było przechwytywanie tak wielkiej ilości materiałów, że do uporządkowania ich trzeba by całej armii. Programy komputerowe pomagały wyszukiwać słowa klucze, ale niemal wszystkie znajdowały się w niewinnych rozmowach. Programiści wciąż usiłowali ulepszyć program wychytujący, na razie jednak nie można było wyposażyć maszyny w ludzki instykt.

Niestety, najbardziej utalentowani programiści pracowali dla producentów gier. Tam była kasa, a talent zazwyczaj za nią podążał. Hendley nie mógł z tego powodu narzekać. W końcu przez piętnaście lat robił to samo. Często szukał bogatych programistów, którzy odnieśli sukces i dla których pogoń za pieniędzem stała się nie tyle nudna, ile zbyteczna. Zazwyczaj była to strata czasu. Maniacy komputerowi to często chciwe sukinsyny. Całkiem jak prawnicy, choć nie aż tak cyniczni. – Mimo wszystko dowiedziałem się dziś paru interesujących rzeczy...

– Na przykład? – spytał Davis. Główny werbownik był również uzdolnionym analitykiem.

– To. – Hendley podał mu teczkę.

Davis otworzył ją i przejrzał zawartość.

– Hmm – powiedział tylko.

– Jeśli się rozwinie, może być groźnie – głośno myślał Hendley.

– To prawda. Ale trzeba nam czegoś więcej. – Żadna rewelacja. Zawsze potrzebowali czegoś więcej.

– Kogo tam teraz mamy? – Hendley powinien sam to wiedzieć, ale cierpiał na częstą chorobę biurokratów: z trudem zapamiętywał najbardziej aktualne informacje.

– Teraz? Ed Castilanno jest w Bogocie. Szpera w kartelu, ale jest głęboko zakamuflowany. Bardzo głęboko – przypomniał Davis szefowi.

– Wiesz, Tom, ten cały biznes wywiadowczy czasami jest do dupy.

– Głowa do góry, Gerry. Płaca jest niezła, przynajmniej dla nas, pacholków – dodał z uśmiechem, pokazując śnieżnobiałe zęby, kontrastujące z ciemną twarzą.

– Tak, dola wieśniaka musi być straszna.

– Przynajmniej mój panłożył na moją naukę, pozwolił nauczyć się abecadła i takie tam...

Mogło być gorzej, przynajmniej nie muszę już zbierać bawełny, paniczu Gerry.

Hendley przewrócił oczami. W rzeczywistości Davis zrobił dyplom na uniwersytecie w Dartmouth, gdzie bardziej dokuczano mu z powodu jego miejsca urodzenia niż koloru skóry.

Jego ojciec uprawiał kukurydzę w Nebrasce i głosował na republikanów.

– Ile kosztuje teraz taki kombajn? – spytał.

– Dużo ponad dwieście tysięcy. Tata kupił sobie nowy w zeszłym roku i wciąż zrzedzi.

Rzecz jasna ten przetrzyma i jego wnuki. Radzi sobie z hektarem kukurydzy jak batalion rangersów z wrogiem. – Davis zrobił karierę w CIA jako wywiadowca terenowy. Stał się specjalistą w śledzeniu międzynarodowego przepływu pieniędzy. W Hendley Associates odkrył, że jego talent przydaje się też w robieniu interesów, ale oczywiście nigdy nie stracił

smykałki do prawdziwej roboty. – Wiesz, ten gość z FBI, Dominic, nieźle się napracował, śledząc przestępstwa finansowe podczas swojego pierwszego przydziału, w Newark. Jedna z jego spraw rozwija się w poważne dochodzenie w międzynarodowym banku. Jak na żółtodzioba, to nieźle węższy.

– A przy tym potrafi zabić, jak już ma kogoś na widelcu – dodał Hendley. – I właśnie dlatego go polubiłem, Gerry. Potrafi szybko podejmować właściwe decyzje, jak ktoś starszy o dziesięć lat.

– Bracia... Interesujące – zauważył Hendley, znów spoglądając na teczki.

– Może to kwestia wychowania. W końcu dziadek był gliniarzem w wydziale zabójstw.

– A wcześniej służył w 101. Powietrznodesantowej. Wiem, o co ci chodzi, Tom. OK.

Wysonduj ich obu jak najszybciej. Wkrótce będziemy mieć pełne ręce roboty.

– Tak myślisz?

– Tu nie idzie ku lepszemu. – Hendley machnął ręką w kierunku okna.

Siedzieli w ogródku wiedeńskiej kawiarenki. Noce nie były już tak zimne i stali bywalcy znosili chłód dla przyjemności zjedzenia posiłku na zewnątrz.

– Więc czemu się nami zainteresowaliście? – zagadnął Pablo.

– Wspólne interesy – odparł Muhammad. Po czym sprecyzował: – Mamy wspólnych wrogów.

Odwrócił się. Przechodzące kobiety ubierały się według oficjalnej, niemal surowej miejscowej mody. W hałasie ruchu ulicznego, zwłaszcza tramwajów, nie sposób było podsłuchać ich rozmowy. Dla przypadkowego, a nawet zawodowego obserwatora byli tylko dwoma obcokrajowcami – jakich wielu w tym cesarskim mieście – rozmawiającymi o interesach w spokojnej, przyjacielskiej atmosferze. Rozmawiali po angielsku, co również nie było niezwykłe.

– Tak, to prawda – musiał zgodzić się Pablo. – To o wrogach, znaczy się. A co z interesami?

– Wy macie zasoby, które my możemy wykorzystać. A my mamy zasoby, których wy możecie użyć – cierpliwie wyjaśnił muzułmanin.

– Rozumiem. – Pablo dodał do kawy śmietanki i zamieszał. Zdziwił się, że tutejsza kawa jest równie dobra jak w jego ojczyźnie.

Muhammad spodziewał się, że nieprędko się dogadają. Pablo nie zajmował tak wysokiej pozycji w swojej organizacji, jak tego chciał Muhammad. Ale wspólny wróg odnosił większe sukcesy w walce z organizacją Pabla niż z jego organizacją. Zawsze go to dziwiło. Mieli wystarczająco dużo powodów, by sięgnąć po efektywne środki bezpieczeństwa. Jednakże, jak wszystkim ludziom motywowanym przez pieniądze, brak im było jasności celu, jaką mieli jego ziomkowie. I to była ich największa słabość. Muhammad nie był jednak tak głupi, żeby sądzić, że z tego powodu są gorsi od niego. Co prawda zabił jednego izraelskiego szpiega, ale to nie czyniło z niego supermana. Z pewnością mieli ogromną wiedzę, tyle że ograniczoną.

Tak jak i jego ludzie. Tak jak każdy, z wyjątkiem Allaha. Kiedy człowiek już to wiedział, oczekiwania stawały się bardziej realistyczne, a rozczarowania mniejsze. Nie można pozwalać, aby emocje przeszkadzały w robieniu „interesów”, jak jego rozmówca pewnie mylnie nazwałby jego świętą sprawę. Ale miał do czynienia z niewiernym i musiał brać na to poprawkę.

– Co możecie nam zaoferować? – dociekał Pablo, nie kupując chciwości, całkiem tak, jak oczekiwał Muhammad.

– Chcecie stworzyć solidną siatkę w Europie, prawda?

– Tak, chcemy. – Mieli z tym ostatnio trochę kłopotów. Europejskie agencje policyjne nie podlegały takim ograniczeniom jak amerykańskie.

– My mamy taką siatkę.

A że muzułmanie nie byli podejrzewani o handel narkotykami – w takiej Arabii Saudyjskiej, na przykład, handlarze narkotyków często tracili głowy – to nawet lepiej.

– W zamian za co?

– Macie sprawną siatkę w Stanach i macie powody, by nie lubić Amerykanów, prawda?

– No tak – zgodził się Pablo.

Rząd robił postępy w walce z niepewnymi sojusznikami ideologicznymi kartelu w górach ojczyzny Pabla. Wcześniej czy później FARC – Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii – ulegną presji. Wtedy bez wątpienia zwróci się przeciw swoim „przyjaciołom” – a tak naprawdę

„wspólnikom”. Taka będzie cena dopuszczenia ich do struktur demokratycznych. Wówczas bezpieczeństwo kartelu może zostać poważnie zagrożone. Niestabilna sytuacja polityczna w Ameryce Południowej sprzyjała im, ale nie mogła trwać wiecznie. Pablo doszedł do wniosku, że to samo dotyczy Araba, a to czyniło z nich odpowiednich sojuszników.

– Jakich dokładnie usług od nas oczekujecie? – spytał.

Muhammad wyjaśnił. Nie wspomniał, że kartel nie dostanie pieniędzy za swoje usługi.

Pierwsza dostawa nadzorowana przez ludzi Muhammada – w Grecji? Tak, tam będzie chyba najłatwiej; wystarczy, by przypieczętować spółkę, nieprawdaż?

– To wszystko?

– Przyjacielu, handlujemy przede wszystkim pomysłami, a nie przedmiotami. Te, których potrzebujemy, są niewielkich rozmiarów, jest ich niedużo i można je zdobyć na miejscu. Nie mam wątpliwości, że możecie pomóc w kwestii dokumentów podróży.

Pablo niemal zachłysnął się kawą.

– Tak, bez problemu.

– A zatem nie ma chyba powodów, żeby nie zawrzeć tego przymierza?

– Muszę to omówić z przełożonymi – zastrzegł Pablo – ale na pierwszy rzut oka nie widzę powodu, dla którego nasze interesy miałyby być sprzeczne.

– Świetnie. Jak się możemy skontaktować?

– Mój szef woli spotykać się z ludźmi, z którymi robi interesy.

Muhammad zastanowił się. Podróże sprawiały, że on sam i jego wspólnicy robili się nerwowi, ale nie sposób było ich uniknąć. Poza tym miał tyle paszportów, że mógł

wylądować na dowolnym lotnisku świata. Znał też języki obce. Nie zmarnował edukacji w Cambridge. Mógł za to podziękować rodzicom. Błogosławił też swoją angielską matkę za jasną skórę i błękitne oczy. Doprawdy, mógł uchodzić za tubylca każdego kraju poza Chinami i Afryką. Pozostałości akcentu z Cambridge też nie zaszkodzą.

– Musisz tylko określić czas i miejsce – odparł i podał rozmówcy wizytówkę. Był na niej jego adres poczty elektronicznej – najbardziej użytecznego narzędzia komunikacji, jakie kiedykolwiek wymyślono. A dzięki cudowi, jakim są podróże powietrzne, mógł znaleźć się w dowolnym punkcie globu w czterdzieści osiem godzin.

## **Rozdział 2**

# OCHOTNIK

Przyszedł za kwadrans piąta. Gdyby ktoś mijał go na ulicy, nie zwróciłby na niego uwagi

– choć mógł przyciągnąć wzrok samotnej kobiety. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, a ważył

jakieś osiemdziesiąt kilo – regularnie ćwiczył. Czarne włosy, niebieskie oczy. Żaden tam materiał na gwiazdę filmową, ale też nie był facetem, którego młoda ładna bizneswoman szybko wykopałaby z łóżka.

I dobrze się ubiera, zauważył Gerry Hendley. Błękitny garnitur w czerwone prążki –

pewnie angielski – kamizelka, krawat w czerwono-żółte paski z ładną złotą spinką. Modna koszula. Przyzwoita fryzura. Pewny siebie, więc chyba majętny i dobrze wykształcony, co nie pozwoli strwonić młodości. Postawił samochód na frontowym parkingu dla gości. Żółtego hummera 2 SUV, ulubiony wóz posiadaczy bydła z Wyoming i pieniędzy z Nowego Jorku.

Pewnie dlatego...

– Zatem co cię tu sprowadza? – spytał Gerry, wskazując gościowi wygodny fotel po drugiej stronie mahoniowego biurka.

– Nie zdecydowałem jeszcze, co chcę robić, więc tak sobie chodzę tu i tam i szukam dla siebie niszy.

Hendley uśmiechnął się.

– Tak... nie jestem jeszcze taki stary, żebym nie pamiętał, jaki człowiek jest zagubiony, kiedy skończy szkołę. A do której ty chodziłeś?

– Georgetown. Rodzinna tradycja. – Chłopak lekko się uśmiechnął.

To było w nim dobre – Hendley widział to i doceniał – że nie próbował na nikim zrobić wrażenia nazwiskiem. Mógł się nawet z jego powodu czuć nieswojo, chceć iść swoją drogą i samemu pracować na dobre imię, jak wielu młodych ludzi. W każdym razie tych mądrych.

Szkoda, że w Campusie nie ma dla niego miejsca.

– Twój tata naprawdę lubi jezuickie szkoły.

– Nawet mama się nawróciła. Sally nie poszła do Bennington. Zrobiła kurs wstępny na medycynę na Fordham w Nowym Jorku. Teraz jest oczywiście w Szkole Medycznej Hopkinsa. Chce być lekarzem, jak mama. To w końcu zaszczytna profesja.

– W przeciwieństwie do prawnika? – zapytał Gerry.

- Wie pan, co o tym sądzi tata – zauważył chłopak z uśmiechem. – Z czego robił pan licencjat? – spytał, choć oczywiście znał odpowiedź.
- Z ekonomii i matematyki. Obroniłem dwa dyplomy. – Bardzo się to przydawało w kształtowaniu trendów na rynkach surowców. – Jak tam rodzice?
- Och, w porządku. Tata znowu wrócił do pisania pamiętników. Często wkurza się, że jest na to za młody, ale ciężko nad nimi pracuje. Nie przepada za nowym prezydentem.
- No tak, Kealty z prawdziwym talentem staje z powrotem na nogi. Kiedy już gościa pogrzebią, powinni postawić ciężarówkę na nagrobku. – Dowcip trafił nawet na łamy „Washington Post”.
- Znam ten kawał. Tata mówi, że wystarczy jeden idiota, żeby zaprzepaścić pracę dziesięciu geniuszy. – Ta mądrość nie przedostała się do „Washington Post”. Ale zdając sobie z tego dobrze sprawę, ojciec tego młodzieńca założył Campus, choć sam młodzieniec nie miał o tym pojęcia.
- To przesada. Ten nowy to przypadek.
- Tak, jasne... kiedy przyjdzie do egzekucji tego jełopa z Missisipi, ile pan postawi na to, że złagodzi wyrok?
- Sprzeciw wobec kary śmierci to dla niego kwestia pryncypiów – zauważył Hendley. – Tak przynajmniej mówi. Niektórzy ludzie rzeczywiście tak czują i to godna szacunku opinia.
- Pryncypiów? On nie odróżnia pryncypiów od pryncypałów.
- Jak chcesz dyskutować o polityce, to jest taki miły bar półtora kilometra stąd autostradą 29 – zasugerował Gerry.
- Nie o to chodzi. Przepraszam za dygresję.
- Chłopak nie odkrywa kart, pomyślał Hendley.
- Cóż, przynajmniej na interesujący temat. A więc co mogę dla ciebie zrobić?
- Jestem ciekaw...
- Czego?
- Czym tu się zajmujecie – dokończył gość.
- Głównie arbitrażem walutowym. – Hendley przeciągnął się, by zademonstrować leniwe odprężenie



po całym dniu pracy.

– Aha. – Młody mężczyzna jakby powątpiewał.

– Można na tym zrobić naprawdę spore pieniądze, jak się ma dobre informacje i zdrowe nerwy, by je wykorzystać.

– Wie pan, tata bardzo pana lubi. Żałuje, że już się nie spotykacie.

Hendley pokiwał głową.

– I to moja wina, nie jego.

– Powiedział, że jest pan zbyt sprytny, żeby spierdolić sprawę, skoro już raz pan to zrobił.

Normalnie byłoby to gigantyczne faux pas, ale wystarczyło popatrzeć chłopakowi w oczy, by stwierdzić, że nie chciał go obrazić, raczej zadać pytanie... A może jednak? – naraz zastanowił się Hendley.

– To był dla mnie kiepski czas – przypomniał. – Każdy może zrobić błąd. Nawet twój tata popełnił kilka.

– To prawda. Ale tata miał szczęście, że Arnie był w pobliżu, by chronić jego tyłek.

– A co tam u Arniego? – Hendley wykorzystał okazję, by zmienić temat. Grał na czas.

Nadal zastanawiał się, co tu robi ten dzieciak. Zaczął nawet czuć się trochę niepewnie, choć nie bardzo wiedział dlaczego.

– W porządku. Ubiega się o stanowisko rektora Uniwersytetu Stanu Ohio. Nadaje się do tego. Tata uważa, że on potrzebuje spokojnej pracy. I chyba ma rację. Mama i ja nie pojmujemy, jak ten facet przetrwał i nie dostał zawału. Może niektórym ludziom walka rzeczywiście służy? – Mówiąc to, przez cały czas patrzył Hendleyowi w oczy. – Dużo się nauczyłem od Arniego.

– A od ojca?

– Ach, niewiele. Uczyłem się głównie od reszty paczki.

– Czyli od kogo?

– Przede wszystkim od Mike'a Brennana. To on mnie ukształtował – wyjaśnił Jack junior. – Absolwent kolegium jezuickiego, kariera w Secret Service. Zarabisty strzelec. To on nauczył mnie strzelać.

– Ach tak?

– Secret Service ma strzelnicę w starym budynku poczty, kilka przecznic od Białego Domu. Wciąż tam czasami zachodzę. Mike jest teraz instruktorem w Akademii Secret Service w Beltsville. Super z niego gość, bystry i wyluzowany. Tak czy siak... wie pan, był jakby moją niańką, no więc pytałem go o różne rzeczy: co robią ludzie z Secret Service, jak się szkolą, jak myślą, czego szukają, kiedy chronią mamę i tatę... Wiele się od niego nauczyłem. I od wszystkich innych.

– Na przykład?

– Od gości z FBI, Dana Murraya, Pata O'Daya... Pat jest inspektorem odpowiedzialnym za Murraya. Niedługo przejdzie na emeryturę. Uwierzy pan? Będzie hodował bydło w Maine.

Śmieszne miejsce na pasanie bydła. On też jest strzelcem. Dzielny jak Dziki Bill Hickock...

Łatwo zapomnieć, że skończył Princeton. Bystrzak z niego. Wiele mnie nauczył o tym, jak Biuro prowadzi dochodzenia. A jego żona, Andrea... ta to potrafi czytać w myślach! Nic dziwnego, że to ona kierowała obstawą taty w najgorszych czasach. Zrobiła magisterkę z psychologii na Uniwersytecie Stanu Wirginia. Kupę się od niej nauczyłem. No i oczywiście od ludzi z Agencji, Eda i Mary Pat Foley. Boże Wszechmogący, co z nich za para! Ale wie pan, kto był najbardziej interesujący ze wszystkich?

Hendley wiedział.

– John Clark?

– O tak. Cała sztuka w tym, żeby skłonić go do mówienia. W porównaniu z nim Foleyowie to gaduły, przysięgam! Ale jak już komuś zaufa, to się trochę otwiera. Przyparłem go do muru, kiedy dostał swój Medal Honoru... pokazali migawkę w telewizji. Emerytowany podoficer marynarki dostaje odznaczenie za Wietnam. Jakieś sześćdziesiąt sekund taśmy w dniu bez ważniejszych wiadomości. Wie pan, że ani jeden reporter nie zapytał go, co robił po odejściu z marynarki? Ani jeden. Jezu, ale oni głupi. Myślę, że Bob Holtzman zna część prawdy. Był tam. Stał w rogu, pod ścianą naprzeciw mnie. Jest wyjątkowo bystry jak na dziennikarza. Tata go lubi, tyle że mu do końca nie ufa. Tak czy siak, Duży John, znaczy Clark, to jest boss! Był tam, zrobił to i przywiózł pamiątkową koszulkę. Czemu go tu nie ma?

– Jack, mój chłopcze, kiedy walisz, to walisz prosto z mostu – stwierdził Hendley z cieniem podziwu.

– Kiedy wydało się, że zna pan jego nazwisko, wiedziałem, że pana mam. – Błysk tryumfu w oczach.  
– Sprawdzalem pana od paru tygodni.

– Doprawdy? – Hendley poczuł, jak kurczy mu się żołądek.

– Nie było trudno. Wszystko jest publiczne, trzeba tylko dopasować fakty. Jak puzzle.

Wie pan, dziwi mnie, że to miejsce nigdy nie znalazło się w wiadomościach...

– Młody człowieku, jeśli to groźba...

– Co? – Jack junior był wyraźnie zaskoczony. – Ma pan ma myśli szantaż? Nie, senatorze, chciałem tylko powiedzieć, że wokół jest tyle informacji, aż dziw bierze, jak reporterzy mogą je przegapiać. Wie pan, nawet ślepa wiewiórka czasem znajdzie żołądzia... –

Umilkł na moment, po czym zaświeciły mu się oczy. – A, rozumiem. Dał pan im to, co spodziewali się znaleźć, a oni z tym czmychnęli.

– To nie takie trudne, ale niebezpiecznie jest ich nie doceniać – ostrzegł Hendley.

– Wystarczy z nimi nie rozmawiać. Tata powiedział mi to dawno temu: jak się trzyma gębę na kłódkę, to nie trzeba gryźć się w język. To Arnie był zawsze odpowiedzialny za kontrolowane przecieki. Nikt nie mówił nic prasie bez jego pozwolenia. Ależ media musiały się go bać! To on anulował reporterowi „Timesa” przepustkę do Białego Domu, żeby mieć na nich bata.

– Pamiętam – odparł Hendley. Zrobił się z tego niezły smród, ale wkrótce nawet w „New York Timesie” zrozumieli, że brak reportera w sali prasowej Białego Domu to cios w bardzo czułe miejsce. Była to pogładowa lekcja dobrych manier, która trwała niemal sześć miesięcy.

Arnie van Damm był bardziej pamiętliwy i złośliwy niż media, co dawało niezłe rezultaty.

Arnold van Damm był świetnym pokerzystą. – O co ci chodzi, Jack? Czemu tu przyszedłeś?

– Senatorze, chcę zagrać w pierwszej lidze. To, co pan tutaj ma, to, jak sędzę, jest ta pierwsza liga.

– Wyjaśnij – zażądał Hendley. Co też ten chłopak sobie wykombinował?

John Patrick Ryan junior otworzył teczkę.

– Po pierwsze, to jedyny budynek na linii łączącej NSA w Fort Meade z CIA w Langley wyższy niż prywatny dom. Można ściągnąć zdjęcia satelitarne z Internetu. Wydrukowałem je sobie. Proszę. – Podał Hendleyowi mały segregator. – Sprawdziłem biura planowania przestrzennego i odkryłem, że na tym obszarze zamierzano wybudować trzy inne biurowce, ale w żadnym przypadku nie było pozwolenia na budowę. Z dokumentów nie wynika dlaczego, ale nikt się o to nie burzył. A przecież pobliskie centrum medyczne po naniesieniu poprawek do planu dostało bardzo dobre warunki finansowe od Citibanku. Większość z pana personelu to są byli szpiedzy, wszyscy pańscy ochroniarze – byli żandarmi wojskowi, rangi E-7 lub wyższej. Tutejsze elektroniczne systemy zabezpieczeń są lepsze niż w Fort Meade.

Tak przy okazji, jak to się panu, u diabła, udało?

– Osoby prywatne mają o wiele większą swobodę w negocjacjach z wykonawcami. Mów dalej – zachęcił były senator.

– Nigdy nie zrobił pan niczego nielegalnie. To oskarżenie o konflikt interesów, które zniszczyło pańską karierę w senacie, było gównem warte. Wystarczył porządny prawnik, żeby oddalić je bez

procesu, ale pan odwrócił się na plecy i udawał martwego. Pamiętam, że tata podziwiał pański intelekt i zawsze mawiał, że gra pan fair. Mówił tak o niewielu ludziach z Kapitolu. Doświadczeni wywiadowcy w CIA lubili z panem pracować. Pomógł pan zdobyć fundusze na pewien projekt, który innych ludzi z Kapitolu doprowadzał do białej gorączki.

Nie wiem czemu, ale wielu spośród nich nie cierpi wywiadu. Tata dostawał szału, kiedy za każdym razem musiał debatować nad tymi kwestiami z senatorami i kongresmanami, przekupywać ich drobnymi projektami dla ich dystryktów i takie tam... Jezu, jak on tego nie znosił. Zawsze, kiedy to robił, marudził przez tydzień przed i po fakcie. Ale pan mu bardzo pomagał. Dobrze pan sobie radził na Kapitolu. Lecz kiedy miał pan własny problem polityczny, po prostu się pan ugiął. Ciężko mi było w to uwierzyć. A już zupełnie nie mogłem przełknąć, że tata nigdy o tym nie chciał rozmawiać. Słowa nie powiedział. Kiedy pytałem, zmieniał temat. Nawet Arnie nigdy o tym nie mówił, a Arnie odpowiadał mi na każde pytanie. Wyobraża pan sobie, żaden pies nie dał głosu... – Jack odchylił się w fotelu, nie spuszczać oczu z Hendleya. – No więc ja też nic nie mówiłem, ale powęszyłem trochę, kiedy kończyłem Georgetown, rozpytywałem ludzi i nauczyli mnie, jak po cichu sprawdzać różne rzeczy. To też nie takie trudne.

– I do jakich wniosków doszedłeś?

– Byłby pan dobrym prezydentem, senatorze, ale strata żony i dzieci to był ogromny cios.

Wszystkich nas to przybiło. Mama bardzo lubiła pańską żonę. Przepraszam, że o tym wspominam. Dlatego odszedł pan z polityki, ale wydaje mi się, że jest pan zbyt wielkim patriotą, aby zapomnieć o swoim kraju, i myślę, że Hendley Associates to pana sposób służenia mu, tyle że nieoficjalnie. Pamiętam, jak jednego wieczora tata i pan Clark rozmawiali na piętrze przy drinkach, byłem wtedy w ostatniej klasie szkoły średniej. Niewiele z tego wylapałem. Nie chcieli, żebym tam był, więc oglądałem program historyczny. Tak się złożyło, że leciał wtedy program o brytyjskim SOE2 podczas drugiej wojny światowej. W

większości byli to bankierzy. Dziki Bill Donovan werbował prawników, aby stworzyć OSS3, ale Angole do besztania ludzi używali bankierów! Zastanawiałem się, czemu i tata powiedział, że bankierzy są sprytniejsi. Wiedzą, jak zarabiać pieniądze, a prawnicy nie są aż tacy bystrzy – przynajmniej tak twierdził. Tak to sobie pewnie wyobrażał, bo sam taki był. W

końcu miał doświadczenie w handlu. Ale pan, senatorze, to co innego. Myślę, że jest pan szpiegiem, a Hendley Associates to prywatny interes szpiegowski, działający na czarno, całkiem poza budżetem federalnym. Tak więc nie musi się pan martwić senatorami i kreaturami z Kongresu, co to wtykają nos w nie swoje sprawy i ujawniają tajemnice, bo myślą, że pan robi coś złego. Kurde, szukałem w Internecie... i o pana firmie wspomina się tylko sześć razy! Wie pan co, więcej jest wzmianek o mamy fryzurze. „Women’s Wear Daily” jeździł sobie po niej. Ale to wkurzało tatę!

– Pamiętam. – Jack Ryan senior stracił kiedyś z tego powodu panowanie nad sobą w obecności reporterów i stał się przedmiotem drwin rozgadanej klasy średniej. – Powiedział mi wtedy, że Henryk VIII zafundowałby pewnie za to reporterom specjalne fryzury.

– Tak, toporem w londyńskiej Tower. Ale Sally się z tego wyśmiewała. Ona też dogryzała mamie z

powodu jej włosów. To chyba jedna z dobrych stron bycia facetem, co?

– To i buty. Moja żona nie znosiła butów Manolo Blahnika. Lubiła praktyczne buty, w których nie bołą stopy. – Hendley poczuł się tak, jakby natrafił na mur. Wspomnienia wciąż były bolesne. Pewnie zawsze będą, ale przynajmniej ból potwierdzał jego miłość do niej, a to ważne. Choć tak bardzo kochał wspomnienie o żonie, nie mógł się uśmiechać, mówiąc o niej publicznie. Gdyby pozostał na scenie politycznej, musiałby to robić. Udawać, że doszedł do siebie, że jego miłość trwa, lecz nie sprawia już bólu. Jasne. Ceną uczestnictwa w życiu politycznym jest porzucenie człowieczeństwa pospołu z męskością. Nie warto jej płacić.

Nawet by zostać prezydentem. A z Jackiem Ryanem seniorem dogadywał się między innymi dlatego, że byli do siebie podobni. – Naprawdę myślisz, że to agencja wywiadowcza? – spytał

tak lekko, jak na to pozwalała sytuacja.

– Tak, proszę pana. Jeśli NSA śledzi z uwagą, co robią duże banki centralne, to pan ma idealną pozycję, żeby wykorzystywać te informacje, które agencja zbiera i przekazuje do Langley. Pana ludzie handlujący walutami muszą mieć najlepsze poufne informacje i jeśli rozgrywa pan to starannie, jeśli nie jest pan chciwy, może pan na dłuższą metę zarobić kupę forsy i nikt tego nie zauważy. Dlatego nie przyciąga pan inwestorów. Oni za wiele gadają. Ta 2 *Special Operations Executive* – *Dowództwo Sił Specjalnych (przyp. tłum.)* 3 *Office of Strategic Services* – *Biuro Służb Strategicznych (przyp. tłum.)* działalność służy do finansowania tego, co tu robicie. Nie spekulowałem zanadto o tym, co to dokładnie jest.

– Naprawdę?

– Tak, proszę pana, naprawdę.

– Nie rozmawiałeś o tym z ojcem?

– Nie, proszę pana. – Jack junior potrząsnął głową. – On by to zbagatelizował. Tata mówił mi wiele rzeczy, kiedy go pytałem, ale nie takie.

– A co ci mówił?

– Jak postępować z politykami... który prezydent innego kraju lubi małe dziewczynki, a który małych chłopców... Jezu... sporo takich, zwłaszcza na innych kontynentach. Jacy to ludzie, co myślą, jakie mają priorytety i dziwactwa. Który kraj troszczy się o armię. Który ma dobrych szpiegów, a który nie. Sporo o ludziach z Kapitolu. Rzeczy, jakie się czyta w książkach czy gazetach, z wyjątkiem tego, co według taty było prawdziwym gównem.

Wiedziałem, że mam nigdzie tego nie powtarzać – zapewnił młody Ryan.

– Nawet w szkole?

– W szkole też nie, jeśli tego najpierw nie zobaczyłem w „Post”. Dziennikarze są niezli w wyszukiwaniu różnych spraw, ale za szybko powtarzają szkodliwe rzeczy o ludziach, których nie

lubią, a często nie publikują informacji o ludziach, których lubią. Dla mnie biznes medialny to jak kobiece ploty przez telefon lub przy kartach. Chodzi nie tyle o fakty, ile o to, by komuś dogryźć.

– Są tylko ludźmi... jak wszyscy.

– O tak, proszę pana. Ale kiedy mama operuje komuś oczy, to nie zastanawia się, czy lubi tę osobę, czy nie. Składała przysięgę, że będzie grać zgodnie z regułami. Tata jest taki sam. I tak mnie wychowali – zakończył Jack Patrick Ryan junior. – Każdy ojciec mówi synowi to samo: jak chcesz to zrobić, to zrób dobrze albo nie rób wcale.

– Nie wszyscy tak dziś myślą – zauważył Hendley, choć sam to mówił swoim dwóm synom, George'owi i Fosterowi.

– Może i nie, senatorze, ale to już nie moja wina.

– Co wiesz o handlu? – zagadnął Hendley.

– Znam podstawy. Mogę nawijać, ale nie znam na tyle konkretów, żeby coś zrobić.

– A dyplom Georgetown?

– Z historii i pomocniczy z ekonomii, trochę jak tata. Czasem zagaduję go o hobby, wciąż lubi grać na giełdzie. Ma też przyjaciół z branży, blisko jest na przykład z George'em Winstonem, jego ministrem skarbu. Dużo ze sobą rozmawiają. George wielokrotnie próbował

ściągnąć tatę do swojej firmy, jednak on przychodzi tylko na pogaduchy. Ale są przyjaciółmi.

Nawet grają razem w golfa. Tata jest wyjątkowo marnym golfistą.

Hendley uśmiechnął się.

– Wiem. A ty próbowałaś kiedyś grać?

Jack potrząsnął głową.

– Ja tylko umiem przeklinać. Ale wujek Robby był w tym niezły. Jezu, tata naprawdę za nim tęskni. Ciocia Sissy wciąż często u nas bywa. Gra z mamą na fortepianie.

– Źle, że tak się stało.

– Skurwysyn faszysta – skwitował junior. – Przepraszam. Robby był pierwszym gościem, jakiego znałem, który został zamordowany. – Zaskakujące, że mordercę wzięto żywcem.

Obstawa z Secret Service dotarła do niego pół sekundy później niż policja stanowa Missisipi, ale zanim ktokolwiek zdążył wystrzelić, jakiś cywil obezwładnił sukinsyna, który poszedł do więzienia.

Przynajmniej można było wykluczyć teorie spiskowe. Sprawca był członkiem Ku-Klux-Klanu. Miał sześćdziesiąt siedem lat. Nie mógł pogodzić się z tym, że odejście Ryana na emeryturę wyniosło czarnego wiceprezydenta na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jego proces, uznanie za winnego i orzeczenie wyroku przebiegły błyskawicznie – zabójstwo zarejestrowano na wideo, nie mówiąc już o sześciu świadkach, którzy stali dwa metry od zabójcy. Nawet sztandar nad kapitelem stanowym w Jackson opuszczono do połowy masztu ku pamięci Robby’ego Jacksona, a konsternacji i oburzeniu co poniektórych. – *Sic volvere Parcas*.

– A to co znaczy?

– Parki, senatorze. Boginie przeznaczenia. Jedna przędzie nić życia. Druga odmierza wątek. A trzecia go przecina. „Tak tkają Parki”, powiada rzymska sentencja. Nigdy nie widziałem, żeby tatę coś tak załamało. To już mama lepiej sobie z tym radziła. Chyba lekarze przywykli do tego, że ludzie umierają. Tata... no cóż, chciał sam załatwić gościa. Ciężko było.

– Serwisy informacyjne pokazały prezydenta szlochającego na nabożeństwie żałobnym w kaplicy Akademii Marynarki. *Sic volvere Parcas*. – Więc jak będzie, senatorze, co mi tutaj przędą?

Nie zaskoczył Hendleya. Gerry od dłuższego czasu przeczuwał, że chłopak zada to pytanie. Ale i tak nie należało ono do najłatwiejszych.

– A co z twoim ojcem?

– Czy ktoś mówi, że musi o tym wiedzieć? Ma pan sześć przedsiębiorstw subsydiowanych, których pan pewnie używa do ukrywania swojej działalności handlowej.

Odkrycie tego nie było takie proste. Jack wiedział, gdzie szukać.

– Nie do ukrywania – poprawił Hendley. – Może maskowania, ale nie ukrywania.

– Przepraszam. Jak już mówiłem, dużo przebywałem ze szpiegami.

– Sporo się nauczyłeś.

– Miałem niezłych nauczycieli.

Ed i Mary Pat Foley, John Clark, Dan Murray i jego własny ojciec. Cholera, mały miał naprawdę niezłych nauczycieli, pomyślał Hendley.

– A co niby miałbyś tu robić?

– Jestem bystry, ale to za mało. Muszę się wiele nauczyć. Wiem o tym. I pan też o tym wie. Co chcą robić. Chcę służyć krajowi – oznajmił spokojnie Jack. – Chcę pomagać w robieniu tego, co trzeba robić. Nie dla pieniędzy. Mam fundusze powiernicze założone przez tatę i dziadka, Joe Mullera, tatę

mamy. Kurde, jakbym chciał, mógłbym zrobić dyplom z prawa i skończyć jak Ed Kealty. Dojść do Białego Domu. Ale tata to nie król, a ja nie jestem księciem. Chcę iść swoją drogą i zobaczyć, jak to się potoczy.

– Twój tata nie może się o tym dowiedzieć... przynajmniej przez jakiś czas.

– No i co? On też miał przede mną wiele tajemnic. – Jackowi wydało się to dość zabawne. – Odwrócenie ról jest fair, prawda?

– Pomyślę o tym. Masz adres e-mailowy?

– Tak, proszę pana. – Jack wręczył mu wizytówkę.

– Daj mi parę dni.

– Tak, proszę pana. Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać.

Wstali, uścisnęli sobie ręce i Jack wyszedł.

Chłopak szybko dorósł, pomyślał Hendley. Może pomogła w tym obstawa z Secret Service. Choć mogła też zaszkodzić, zależy, z kim mamy do czynienia. Ale ten chłopak pochodzi z dobrego domu – tak po ojcu, jak i po matce. Z pewnością, jest bystry. I ciekawski, a to zazwyczaj oznaka inteligencji.

A czego jak czego, ale inteligencji nigdy za dużo, bez względu na czas i miejsce.

– I co? – spytał Ernesto.

– To było interesujące – odparł Pablo, zapalając dominikańskie cygaro.

– Czego od nas chcą? – chciał wiedzieć jego szef.

– Na początku Muhammad wspominał o wspólnych interesach i wspólnych wrogach.

– Gdybyśmy próbowali robić u nich interesy, to potracilibyśmy głowy – zauważył

Ernesto. Dla niego zawsze chodziło o interesy.

– Zwróciłem mu na to uwagę. Odpowiedział, że ich rynek jest mały i niewart naszego zainteresowania. Są tylko eksporterem surowców. I to prawda. Ale twierdzi, że może nam pomóc z nowymi rynkami europejskimi. Powiedział, że jego organizacja ma dobrą bazę wypadową w Grecji, a po zniesieniu granic w Europie byłby to najbardziej logiczny punkt przerzutowy dla naszych dostaw. Nie pobiorą od nas opłat za pomoc techniczną. Mówią, że chcą jedynie okazać dobrą wolą.

– Muszą nas bardzo potrzebować – zauważył Ernesto.



– Mają własne, całkiem spore zasoby, jak to już udowodnili, *jefe*. Ale wygląda na to, że potrzebują wiedzy w zakresie przemytu broni, a nie tylko ludzi. W każdym razie proszą o niewiele, a oferują dużo.

– A to, co oferują, ułatwi nam interesy? – zastanawiał się Ernesto.

– Z pewnością sprawi, że *Yanquis* skierują swoje zasoby do innych zadań.

– Może spowoduje chaos w ich kraju, ale skutki polityczne mogą być poważne...

– *Jefe*, nacisk, jaki na nas teraz wywierają, nie może już być większy...

– Ten nowy *norteamericano* prezydent jest głupcem, ale i tak jest niebezpieczny.

– A zatem nasi nowi przyjaciele mogą odwrócić jego uwagę, *jefe* – zauważył Pablo. – Nie będziemy nawet musieli używać do tego celu naszych zasobów. Podejmujemy niewielkie ryzyko, a potencjalne zyski są ogromne, no nie?

– Rozumiem... ale, Pablo, jeśli ślady doprowadzą do nas, koszty mogą być znaczne.

– To prawda, ale w końcu jaki jeszcze nacisk mogą na nas wyrzucić? Atakują naszych politycznych sprzymierzeńców za pośrednictwem rządu w Bogocie, a jeśli uda im się osiągnąć pożądane rezultaty, wówczas mogą nam wyrządzić naprawdę poważne szkody. Ty i pozostali członkowie rady możecie stać się uchodźcami – ostrzegł szef wywiadu kartelu. Nie musiał dodawać, że taka ewentualność odebrałaby członkom rady radość, jaką czerpali ze swych niezmiernych bogactw. Pieniądze nie na wiele się przydają, jeśli nie ma miejsca, w którym można je swobodnie wydawać. – Jest takie powiedzenie w tamtej części świata:

„Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”. *Jefe*, jeśli ta propozycja współpracy ma jakieś poważne mankamenty, to ja ich nie widzę.

– Więc sądzisz, że powinienem się spotkać z tym człowiekiem?

– *Si*, Ernesto. Nic na tym nie stracimy. Jest bardziej poszukiwany przez *gringos* niż my.

Jeśli boimy się zdrady, to on powinien się bać jeszcze bardziej. A przecież, tak czy inaczej, podejmiemy odpowiednie środki zaradcze.

– No dobrze, Pablo. Omówię to z radą i zalecę, żebyśmy go wysłuchali. – Ernesto ustąpił.

– Trudno to będzie zorganizować?

– Sądzę, że przyleci przez Buenos Aires. Na pewno wie, jak bezpiecznie podróżować, ma więcej fałszywych paszportów niż my i naprawdę nie wygląda na Araba.

– A jak z jego znajomością języków?

– Wystarczająca. Mówi po angielsku jak Anglik, a to już wystarczający paszport.

– Przez Grecję, co? Nasz produkt?

– Dla jego organizacji Grecja to od wielu lat baza wypadowa. *Jefe*, łatwiej jest szmuglować nasz produkt niż grupę mężczyzn. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że można dostosować ich metody i zasoby do naszych celów. Oczywiście nasi ludzie będą musieli to zbadać. – A jakie mogą mieć plany co do Ameryki Północnej?

– Nie pytałem, *jefe*. To naprawdę nas nie dotyczy.

– Chyba że spowoduje uszczelnienie granic. To może być kłopot. – Ernesto uniósł rękę. –

Wiem, Pablo, niezbyt poważny.

– Póki nam pomagają, nie obchodzi mnie, co chcą zrobić z Ameryką.

### **Rozdział 3**

# SZARE AKTA

Jeden z atutów Hendleya? Większość jego ludzi pracowała poza firmą. Nie trzeba było im płacić, zapewniać mieszkań czy żywić. Koszty stałe pokrywali podatnicy, nawet o tym nie wiedząc. I same „koszty stałe” nie wiedziały, co dokładnie robią. Ewolucja międzynarodowego terroryzmu zmusiła dwie główne amerykańskie agencje wywiadowcze, CIA i NSA, do jeszcze ściślejszej współpracy. A ponieważ ich siedziby były odległe o godzinę drogi, a pokonywanie północnej części obwodnicy waszyngtońskiej przypominało ekwilibrystykę na parkingu supermarketu przed świętami, komunikacja odbywała się przede wszystkim za pośrednictwem bezpiecznych łączy mikrofalowych. Nadajniki znajdowały się na dachach central NSA i CIA. Łącząca je linia przecinała dach Hendley Associates, ale jakoś nikt tego nie zauważył. Zresztą to i tak nie powinno mieć znaczenia – łącza mikrofalowe zostały zaszyfrowane. Musiało tak być, bo mikrofałe wydostawały się poza linię transmisji z rozmaitych przyczyn technicznych. Prawa fizyki można wykorzystywać, ale nie zmieniać w zależności od potrzeb.

Przepustowość kanału mikrofalowego była olbrzymia dzięki algorytmom kompresji różnym od tych, z których korzystano w sieciach komputerów osobistych. *Biblia króla Jakuba* mogła zostać przekazana z jednego budynku do drugiego w ciągu kilku sekund. Łącza funkcjonowały bez przerwy, przez większość czasu wymieniając bezsensowne, przypadkowe znaki, by zdezorientować każdego, kto próbowałby złamać szyfr – ale skoro system był

zabezpieczony szyfrem TAPDANCE, to i tak był całkowicie bezpieczny. Przynajmniej tak twierdzili magicy z NSA. System opierał się na dyskach CD-ROM oznaczonych losowymi transpozycjami liczb, których nie sposób było rozszyfrować, chyba żeby ktoś znalazł klucz do szumu radiowego w atmosferze. Jednak raz w tygodniu jeden ze strażników od Hendleya, w obstawie dwóch kolegów – wybieranych losowo spośród straży – jechał do Fort Meade i zabierał dyski szyfrujące z danego tygodnia. Wkładano je do wybieraka podłączonego do maszyny szyfrującej. Każdy po użyciu był wyjmowany, ręcznie przenoszony do kuchenki mikrofalowej i mszczony na oczach trzech strażników – wszystkich lata służby nauczyły nie zadawać pytań.

Ta dość żmudna procedura dawała Hendleyowi dostęp do wszystkich informacji obu agencji – agencje rządowe miały obowiązek wszystko zapisywać od materiałów głęboko zakamuflowanych agentów po koszty mięsa niewiadomego pochodzenia, serwowanego w kafeterii.

Większość informacji nie była interesująca dla zespołu Hendleya. Mimo to niemal wszystkie przechowywano na nośnikach o wysokiej gęstości zapisu, z indeksem referencyjnym na komputerze mainframe Sun Microsystems, o mocy wystarczającej do administrowania całym krajem. Dawało to ludziom Hendleya wgląd w materiały służb wywiadowczych, łącznie z analizami z najwyższego szczebla, przeprowadzanymi przez ekspertów w wielu miejscach i przekazywanymi innym do zaopiniowania i dalszej analizy.

NSA radziła sobie z tym lepiej niż CIA – tak przynajmniej uważali najlepsi analitycy Hendleya – co wiele głów pracujących nad problemem, to nie jedna. No, chyba że analiza stawała się tak pogmatwana, że paraliżowała działania, a to zdarzało się nieraz wśród wywiadowców. Po włączeniu nowego wydziału bezpieczeństwa krajowego (akurat tu Hendley głosowałby przeciw) zarówno CIA,

jak i NSA stały się odbiorcami materiałów analitycznych z FBI. Często powstawała w ten sposób tylko nowa warstwa biurokratycznej złożoności, ale prawdę powiedziawszy, agenci FBI nieco inaczej podchodzili do kwestii czysto wywiadowczych. Myśleli w kategoriach zakładania sprawy kryminalnej, którą można przedstawić w sądzie, a to wcale nie było takie złe.

Każdą agencję charakteryzował określony sposób myślenia. FBI składało się z gliniarzy o innym punkcie widzenia niż pracownicy. CIA była też władna podejmować działania i czasem tę władzę wykorzystywała. Choć nie za często. Z kolei NSA tylko analizowała informacje i przekazywała innym – kwestia tego, czy coś z nimi zrobiją, była poza jej kompetencjami.

Szefem analizy i wywiadu Hendleya był Jerome Rounds, dla przyjaciół Jerry. Zrobił

doktorat z psychologii na Uniwersytecie Stanu Pensylwania. Pracował w biurze wywiadowczo-badawczym Departamentu Stanu, po czym zatrudnił się w banku inwestycyjnym Kidder, Peabody w charakterze analityka innego rodzaju, za innego rodzaju płacę. Potem Hendley, wówczas jeszcze senator, wypatrzył go na lunchu w Nowym Jorku.

Rounds zdobył sobie rozgłos w domu handlowym jako magik umiejący czytać w myślach.

Ale choć zarobił kupę szmalu, odkrył, że pieniądze przestają być tak ważne, gdy zapewni się już wykształcenie dzieciom i spłaci jacht. Dość miał już Wall Street i był gotów przyjąć ofertę Hendleya sprzed czterech lat. Jego obowiązkiem było czytać w myślach innych międzynarodowych handlowców. Nauczył się tego w Nowym Jorku. Ściśle współpracował z Samem Grangerem, który był w Campusie dyrektorem działu handlu walutami i szefem wydziału operacyjnego.

Już prawie mieli kończyć pracę, kiedy Jerry Rounds przyszedł do biura Sama.

Przeglądanie wszystkich materiałów z NSA i CIA było właśnie zadaniem Jerry'ego i jego trzydziestu ludzi. Ktoś taki musi mieć doskonałą umiejętność szybkiego czytania... i niezłego nosa. Rounds był miejscowym odpowiednikiem posokowca.

– Spójrz na to – rzucił na biurko Grangera kartkę i usiadł w fotelu.

– Mosad stracił... szefa placówki? Hmmm. Jak to się stało?

– Miejscowi gliniarze sądzą, że to napad. Zabity nożem, brak portfela, brak śladów dłuższej walki. Najwyraźniej nie miał ze sobą spluwy.

– Po co robić sobie kłopoty w takim cywilizowanym miejscu jak Rzym? – zauważył

Granger. Ale teraz będą, przynajmniej przez jakiś czas. – Skąd ta wiadomość?

– Miejscowe gazety napisały, jak to oficjela z ambasady Izraela załatwiono, kiedy się odlewał. Szef placówki Agencji wskazał go jako szpiega. Ludzie w Langley próbują odgadnąć, co to znaczy, ale drepczą w miejscu. W końcu pewnie skorzystają z brzytwy Ockhama i kupią to, co sprzedają

miejscowe gliny. Martwy facet. Brak portfela. Napad, a rabusia trochę poniosło.

– Myślisz, że Izraelczycy też to kupią? – powątpiewał Granger.

– Prędzej w ambasadzie podadzą wieprzowinę. Wbito mu nóż między pierwszy i drugi krąg. Drab z ulicy raczej poderznąłby gardło. Profesjonalista wie, że to brudne i hałaśliwe.

*Carabinieri* pracują nad sprawą, ale wygląda na to, że gówno mają, chyba że ktoś z restauracji ma cholernie dobrą pamięć. A o to bym się nie założył.

– Więc co to wszystko znaczy?

Rounds rozparł się w fotelu.

– Kiedy ostatnim razem zabito szefa placówki jakiegoś wywiadu?

– Trochę czasu minęło. Agencja straciła jednego w Grecji, robota miejscowych terrorystów. Wystawił go jakiś kutas... ich człowiek, który przeszedł na stronę wroga, przeskoczył mur i teraz pewnie w samotności popija wódkę. Angole stracili jednego kilka lat temu w Jemenie... – Przerwał.  
– Masz rację. Nie zyskasz wiele, zabijając szefa posterunku.

Kiedy już wiesz, kto to jest, obserwujesz go, dowiadujesz się, kim są jego kontakty i podwładni. Jeśli go załatwisz, stracisz więcej, niż zyskasz. Myślisz, że to robota terrorysty, który przekazał w ten sposób wiadomość do Izraela?

– Albo wyeliminował wyjątkowe dla nich zagrożenie. W końcu ten biedny skurczybyk był Izraelczykiem, nie? Oficjalem z ambasady. Może to wystarczyło... ale kiedy szpieg, zwłaszcza wyższej rangi, idzie do piachu, to raczej nie jest to przypadek...

– Jakież szanse, że Mosad poprosi nas o pomoc? – Granger właściwie znał odpowiedź.

Mosad jest jak dziecko w piaskownicy, które nigdy nie dzieli się zabawkami. Prosimy o pomoc, tylko jeśli byli: a) zdesperowani i b) przekonani, że ktoś może im dać coś, czego sami nigdy nie dostaną. Wówczas zachowywali się jak syn marnotrawny.

– Nie potwierdzą, że ten gość, nazywał się Greengold, był z Mosadu. To mogłoby pomóc włoskim glinom, może nawet zaangażowałiby swój kontrwywiad, lecz jeśli to ujawniono, to Langley nic o tym nie wie.

Ale w Langley nie myśleli tymi kategoriami. Granger wiedział o tym i Jerry też. CIA nie myślała tymi kategoriami, ponieważ biznes wywiadowczy stał się bardzo cywilizowany. Nie zabijało się ludzi przeciwnika, bo to szkodziło interesom. Mógłby wtedy zrobić coś twoim ludziom, a jak bawimy się w partyzantkę na ulicach zagranicznych miast, to prawdziwa robota leży odłogiem. Prawdziwa robota, czyli zdobywanie informacji dla rządu, a nie kolejnych nacięć na kolbie pistoletu. *Carabinieri* będą więc myśleć w kategoriach kryminalnych, bo dyplomaci są nietykalni dla sił z

innych krajów. Chronią ich międzynarodowe traktaty i tradycja sięgająca imperium perskiego pod rządami Kserksesa.

– OK, Jerry, ty masz nosa – stwierdził Sam. – Co o tym myślisz?

– Myślę, że po ulicach może grasować wredna zjawa. Ten gość z Mosadu siedzi sobie w pierwszorzędnej rzymskiej restauracji przy lunchu i kieliszku dobrego wina. Może ma zabrać coś z „martwej” skrzynki; sprawdziłem na mapie, restauracja jest ładny kawałek od budynku ambasady. Trochę za daleko, żeby tam regularnie jadać, chyba że ten Greengold lubił

jogging... a i tak to nie była odpowiednia pora. Więc jeśli nie darzył uwielbieniem szefa kuchni u Giovanniego, to idę o zakład, że chodziło o „martwą” skrzynkę albo o jakieś spotkanie. A jeśli tak, to został wrobiony. Nie wrobiono go, żeby zidentyfikować, tylko zidentyfikowano, żeby załatwić. Dla miejscowych glin to może wyglądać na napad. Dla mnie wygląda to na celowe zabójstwo i to dokonane po mistrzowsku. Ofiarę błyskawicznie obezwładniono. Nie miała szans na opór. Tak się likwiduje szpiega; nie wiadomo, jak dobry jest w samoobronie, ale gdybym był Arabem, tobym się spodziewał czarnego luda. Nie dałbym mu drugiej szansy. Żadnego pistoletu, żeby nie zostawiać dowodów, żadnych pocisków, żadnych magazynków. Zabiera portfel, żeby wyglądało to na rabunek, ale zabija rezydenta Mosadu i pewnie przekazuje w ten sposób wiadomość. Nie „nie lubię Mosadu”, tylko „zabijam ludzi równie łatwo, jak zapinam rozporek”.

– Napiszesz o tym książkę, Jerry? – zapytał lekko Sam. Szef analityków przerobił

pojedynczy fakt na operę mydlaną.

Rounds dotknął nosa opuszką palca i uśmiechnął się.

– Od kiedy to wierzysz w zbiegi okoliczności? Coś tu śmierdzi.

– A co myśłą w Langley?

– Jeszcze nic. Przydzielili to działowi południwoeuropejskiemu do oceny. Spodziewam się, że zobaczymy wyniki za jakiś tydzień i nie będą one oszałamiające. Znam gościa, do którego należy ta działka.

– Tępy?

Rounds pokręcił głową.

– Nie, to nie tak. Jest dość bystry, ale się nie wychyla. I nie jest szczególnie kreatywny.

Założę się, że sprawa nie dojdzie nawet do siódmego piętra.

Nowy dyrektor CIA zastąpił Eda Foleya, który był na emeryturze i ponoć pisał

wspomnienia razem z żoną, Mary Pat. Swego czasu odnosili sukces, ale nowy dyrektor był

dobrze ustawionym politycznie sędzią, ulubieńcem prezydenta Kealty'ego. Nie robił niczego bez jego zgody, co oznaczało, że każda sprawa przechodziła przez minimaszynę biurokratyczną NSC – Rady Bezpieczeństwa Narodowego – w Białym Domu. Maszynę równie dziurawą jak „Titanic”, za co kochała ją prasa. Zarząd wydziału operacyjnego wciąż się rozwijał, wciąż szkolił nowych oficerów terenowych na farmie w Tidewater w Wirginii, a jego nowy dyrektor wcale nie był złym człowiekiem.

Kongres, ku konsternacji Kealty'ego, nalegał, aby był nim ktoś, kto zna się na pracy w terenie, ale prezydent wiedział, jak pogrywać z Kongresem. Zarząd wydziału operacyjnego mógł się odbudowywać, ale przy obecnej administracji nie zrobi otwarcie nic niewłaściwego.

Nic wbrew woli Kongresu. Bo przecież bezinteresowni wrogowie wywiadu podnieśliby szum większy niż zwyczajowe historyczne bajdy i teorie spiskowe o tym, jak to CIA spowodowała atak na Pearl Harbor i trzęsienie ziemi w San Francisco.

– Więc sądzisz, że nic z tego nie będzie? – spytał Granger, choć z góry znał odpowiedź.

– Mosad się rozejrzy, powie swoim, żeby się mieli na baczności. Poskutkuje na miesiąc czy dwa, a potem większość z nich powróci do dawnych zwyczajów. To samo z innymi służbami. Izraelczycy skupią się na tym, jak gościa wystawiono. Trudno spekulować, nie mając informacji. Pewnie to było proste. Tak zazwyczaj jest. Może zwerbował niewłaściwego człowieka i ten go pokąsał, może złamano ich kody, na przykład z pomocą przekupionego szyfranta, może ktoś powiedział coś niewłaściwej osobie na niewłaściwym koktajlu.

Możliwości jest wiele, Sam. Jedno potknięcie i gościa nie ma. Nawet najlepsi z nas mogliby popełnić taki błąd.

– Trzeba by to umieścić w podręczniku o tym, co można robić w terenie, a czego nie. –

Granger odsłużył swoje w terenie, ale głównie w bibliotekach i bankach, kopiąc w poszukiwaniu informacji tak suchych, że kurz wyglądałby przy nich na wilgotny. Czasem znajdował wśród nich diament. Zawsze działał pod przykrywką i utrzymywał kamuflaż tak długo, aż stawał się jego drugim ja.

– Chyba że sprzątną kolejnego szpiega – zauważył Rounds. – Wtedy będzie wiadomo, że naprawdę grasuje zjawa.

Samolot linii Avianca z Meksyku wylądował w Cartagenie pięć minut przed czasem.

Muhammad poleciał liniami Austrian Air na londyńskie Heathrow, a następnie British Airways do Mexico City, gdzie wsiadł w kolumbijski samolot lecący do Ameryki Południowej. Był to stary amerykański boeing, ale on nie należał do tych, który martwiliby się bezpieczeństwem lotu. Ludziom zagrażają o wiele większe niebezpieczeństwa. W hotelu wyjął z torby terminarz, wyszedł przed

budynek i znalazł budkę telefoniczną.

– Powiedz Pablowi, że Miguel już tu jest... *Gracias*. – I poszedł do baru na drinka.

Miejscowe piwo okazało się nie takie złe. Choć było to niezgodne z jego religijnymi przekonaniem, musiał wtopić się w środowisko, a tu każdy pił alkohol. Muhammad posiedział kwadrans i wrócił do hotelu. Rozglądał się, czy ma ogon, ale żadnego nie zauważył. Jeśli więc go śledzono, to robili to eksperci, a wtedy trudno się obronić.

Przynajmniej w obcym mieście, gdzie każdy mówi po hiszpańsku i nikt nie wie, gdzie leży Mekka. Muhammad posługiwał się brytyjskim paszportem, nazywał się Nigel Hawkins i mieszkał w Londynie. Pod wskazanym adresem rzeczywiście znajdował się budynek mieszkalny. To działało na jego korzyść, nawet gdyby policja zatrzymała go do rutynowej kontroli. Jednak żadna przykrywka nie jest wieczna i jakby przyszło co do czego... no to by przyszło. Nie można żyć w strachu przed nieznanym. Trzeba robić plany, podejmować środki ostrożności – a potem grać w swoją grę.

Interesujące. Hiszpanie byli dawnymi wrogami islamu, a w tym kraju mieszkali głównie ich potomkowie. Ale też ludzie, którzy nienawidzili Ameryki niemal tak bardzo jak on sam –

tylko niemal, bo dla nich Ameryka była źródłem ogromnych zysków z kokainy. Jego majątek był wart setki milionów amerykańskich dolarów, przechowywanych w różnych bankach na całym świecie, w Szwajcarii, Liechtensteinie, a ostatnio na Bahamach. Mógł sobie oczywiście pozwolić na własny samolot, lecz byłby on zbyt łatwy do zidentyfikowania i – tego był

pewien – do zestrzelenia nad oceanem. Muhammad gardził Ameryką, ale nie był ślepy na jej potęgę.

Zbyt wielu dobrych ludzi nieoczekiwanie przeniosło się do raju, bo o tym zapomnieli. Nie był to zły los, lecz on miał wykonać pracę pośród żywych, a nie umarłych.

– Hej, kapitanie!

Brian Caruso odwrócił się i ujrzał Jamesa Hardesty'ego. Było ledwie przed siódmą rano.

Właśnie skończył poranne ćwiczenia ze swym niewielkim oddziałem marines, zakończone pięciokilometrowym biegiem. Tak jak jego ludzie nieźle się przy tym spocił. Wysłał ich pod prysznic i kiedy wracał do swej kwatery, natknął się na Hardesty'ego. Zanim jednak odpowiedział, usłyszał bardziej znajomy głos.

– Kapitanie?

Odwrócił się i zobaczył sierżanta broni Sullivana, starszego podoficera w swoim oddziale.

– Tak, sierżancie. Chłopcy dobrze sobie radzili dziś rano.

– Tak jest, sir. Nie zamęczał nas pan. Miło z pana strony – stwierdził E-7.



- Jak poszło kapralowi Wardowi? – Dlatego właśnie Brian ich nie zamęczał. Ward mówił, że jest gotów wrócić do akcji, ale jeszcze całkiem nie wydobrzał. Rany były paskudne.
- Trochę dyszy, ale nie padł. Sanitariusz Randall ma na niego oko. Nie jest taki zły jak na kalmara – pozwolił sobie dodać sierżant. Marines zazwyczaj troszczą się o kompanów z marynarki, zwłaszcza tych twardzieli, którzy idą na akcję ze zwiadem.
- Prędzej czy później SEAL zaproszą go do Coronado.
- Prawda, szefie, i będziemy musieli wprowadzić nowego kalmara.
- O co chodzi, sierżancie? – spytał Caruso.
- Sir... a, już tu jest. Witam, panie Hardesty. Właśnie usłyszałem, że przyjechał pan spotkać się z szefem. Przepraszam, kapitanie.
- Nie ma sprawy. Widzimy się za godzinę, sierżancie.
- Tak jest, sir. Sullivan elegancko zasalutował i skierował się w stronę koszar.
- Niezły z niego podoficer – stwierdził Hardesty.
- Ma wielką przyszłość – zgodził się Caruso. – Tacy jak on trzymają w garści korpus.

Takich jak ja tylko tolerują.

- Co powiesz na śniadanie?
- Najpierw potrzebuję prysznic, ale pewnie, czemu nie.
- Jaki plan na dziś?
- Zajęcia z komunikacji, żeby upewnić się, że wszyscy potrafimy wezwać wsparcie artylerii i lotnictwa.
- Jest z tym jakiś problem? – zdziwił się Hardesty.
- Wie pan, jak drużyna baseballowa ćwiczy z trenerem odbicia przed meczem? Chociaż wszyscy wiedzą, jak trzymać kij, nie?
- Łapię. – W końcu fundamentalne podstawy faktycznie muszą być fundamentami. A ci marines, jak baseballiści, nie mieli nic przeciw lekcji. Jedna akcja – i zrozumieli, jak ważne są fundamenty.

Do kwatery Carusa było niedaleko. Kiedy brał prysznic, Hardesty usiadł z kawą nad gazetą. Kawa była niezła jak na żołnierską. Gazeta, jak zwykle, nie donosiła wiele więcej ponad to, co już

wiedział, z wyjątkiem wyników sportowych. Ale zawsze można pośmiać się z komiksów.

– To co z tym śniadaniem? – spytał Brian, już odświeżony.

– Jakie tu mają jedzenie?

– Trochę ciężko spieprzyć śniadanie, co?

– Święta prawda. Prowadź, kapitanie.

Wsiedli do mercedesa C Carusa i podjechali niedaleko, do kantyny. To wóz kawalera. Co za ulga, pomyślał Hardesty.

– Nie spodziewałem się pana tak szybko – oznajmił Caruso.

– A może wcale? – łagodnie sprecyzował były oficer sił specjalnych.

– To też, sir.

– Zdał pan egzamin.

Caruso zdziwiony odwrócił głowę.

– Jaki egzamin, sir?

– Nie spodziewałem się, że pan zauważy – zaśmiał się Hardesty.

– Cóż, udało się dziś panu mnie skołować, sir. – A to, Caruso był pewien, było częścią planu.

– Jest takie stare powiedzenie: „Jeśli nie jesteś skołowany, jesteś niedoinformowany”.

– Brzmi ciut złowrogo. – I skręcił na parking.

– Może i tak. – Hardesty wysiadł i poszedł za nim do kantyny.

Był to duży parterowy budynek pełen wygłodniałych marines. Kontuar zastawiony był

tacami z najzwyczajszym amerykańskim śniadaniem: od płatków po bekon i jajka. A nawet...

– Może pan spróbować bajgli, ale nie są zbyt dobre, sir – ostrzegł Caruso, biorąc dwie bułeczki drożdżowe i prawdziwe masło. Za młody był, by martwić się o cholesterol i inne problemy wieku podeszłego. Hardesty wziął sobie pudełko cheerios, mleko niskotłuszczowe i słodzik. On, co bardzo go irytowało, doszedł już do tego wieku! Kubki na kawę były spore, a odległości między stolikami zapewniały zaskakująco dużą prywatność, mimo że w kantynie było co najmniej czterysta osób różnej rangi, od kaprała po pułkownika. Caruso poprowadził

gościa do stolika obok stolików młodych sierżantów.

– OK. Panie Hardesty, co mogę dla pana zrobić?

– Po pierwsze, wiem, że ma pan zezwolenie na dostęp do tajnych informacji, do poziomu ściśle tajne, zgadza się?

– Tak jest, sir. Z niektórych działów, ale to w końcu pana nie obchodzi.

– Raczej nie – zgodził się Hardesty. – OK, to, o czym będziemy mówić, jest z trochę wyższej półki. Ale to zostanie między nami. Jasne?

– Tak jest, sir. To sprawy objęte kryptonimem. Rozumiem.

Tak naprawdę nie rozumiesz ni w ząb, pomyślał Hardesty. Właściwie jest to jeszcze bardziej tajne, ale z wyjaśnieniami trzeba poczekać do spotkania w innym miejscu.

– Proszę mówić dalej, sir – dodał po chwili Caruso.

– Zwrócił pan uwagę ważnych osób jako główny potencjalny rekrut do dość... dość specyficznej organizacji... która nie istnieje. Widział pan takie rzeczy w filmach, czytał pan o nich w książkach. Ale to rzeczywistość, synu. Przyjechałem tu, żeby zaproponować panu miejsce w tej organizacji.

– Sir, jestem oficerem marines i podoba mi się to.

– Nie przeszkodzi to pańskiej karierze marine. Prawdę mówiąc, został pan wyznaczony do awansu na majora. Dostanie go pan w przyszłym tygodniu. Więc i tak musi pan zmienić przydział. Jeśli zostanie pan w marines, w przyszłym miesiącu wyślą pana do kwatery głównej, żeby pracował pan dla wywiadu i operacji specjalnych. Dostanie pan też Srebrną Gwiazdę za akcję w Afganistanie.

– A co z moimi ludźmi? Ich też przedstawiłem do odznaczeń.

To właśnie wyróżnia tego dzieciaka. Inny by się tym nie przejął, pomyślał Hardesty.

– Wszyscy je dostaną. Będzie mógł pan wrócić do korpusu, kiedy tylko zechce. Nie ucierpi na tym ani pański patent oficerski, ani ścieżka awansu.

– Jak pan to zrobił?

– Mamy wysoko postawionych przyjaciół – wyjaśnił Hardesty. – Pan też, prawdę mówiąc. Nadal będzie pan otrzymywał żołd z korpusu. Może będzie pan musiał założyć nowe konto, ale to rutynowa sprawa.

– Do czego zostaną oddelegowany? – dopytywał się Caruso.

– Do służby krajowi. Będzie pan robił rzeczy konieczne dla bezpieczeństwa narodowego, choć w trochę niestandardowy sposób.

– Czyli co konkretnie?

– Nie czas i miejsce na to.

– Może pan będzie jeszcze bardziej tajemniczy, panie Hardesty? Bo inaczej jeszcze zacznę rozumieć, o czym pan gada, i zepsuję całą niespodziankę.

– To nie ja ustalam reguły.

– Agencja, co?

– Niezupełnie, ale dowie się pan w swoim czasie. Teraz potrzebuję tylko pańskiego „tak”

lub „nie”. Może się pan wycofać w dowolnym momencie, jeśli nie będzie to panu odpowiadać – obiecał. – Ale to naprawdę nie miejsce na dokładne wyjaśnienia.

– Kiedy mam zdecydować?

– Zanim skończy pan jajka na bekonie.

Kapitan Caruso z wrażenia aż odłożył bułeczkę.

– To nie żart, prawda?

– Nie, kapitanie, to nie jest żart.

Propozycja nie powinna zabrzmieć groźnie. Ludzie tacy jak Caruso, choć odważni, często postrzegali nieznane – ściślej mówiąc, niezrozumiałe nieznane – z pewnymi obawami. Jego zawód już był wystarczająco niebezpieczny, a inteligentni ludzie nie upajają się szukaniem niebezpieczeństw. Mają zwykle rozsądne podejście do ryzyka – najpierw muszą upewnić się, że ich wyszkolenie i wiedza są adekwatne.

Tak więc Hardesty musiał zapewnić Carusa, że zawsze będzie mógł wrócić na łono korpusu Marines. Właściwie taka była prawda – a to wystarczało do jego celów. Nawet jeśli nie do celów młodego oficera.

– Jak życie uczuciowe, kapitanie?

Pytanie zaskoczyło Carusa, ale odpowiedział szczerze.

– Nie jestem z nikim. Umawiam się z kilkoma dziewczynami, ale to nic poważnego. Czy to problem?

– Zastanawiał się, jak bardzo to może być niebezpieczne.

– Tylko z punktu widzenia bezpieczeństwa. Większość mężczyzn nie potrafi utrzymać tajemnicy przed żoną.

Cóż, dziewczyny to zupełnie co innego.

– OK, jak bardzo niebezpieczna będzie ta robota?

– Nie bardzo – skłamał Hardesty, ale jakoś nieprzekonująco.

– Wie pan, chciałem zostać w korpusie przynajmniej na tyle długo, by awansować na podpułkownika.

– Pański opiniodawca z kwatery głównej marines uważa, że pewnego dnia dojdzie pan do pułkownika, chyba że po drodze noga się panu powinie. To mało prawdopodobne, ale przytrafiło się już wielu porządnym facetom. – Hardesty skończył swoje cheerios i dopił

kawę.

– Miło wiedzieć, że mam tam na górze anioła stróża – sucho stwierdził Caruso.

– Tak jak mówiłem, zwrócono na pana uwagę. Korpus marines sprawnie dostrzega talenty i pomaga im się przebić.

– Inni też mnie dostrzegli.

– Racja, kapitanie. Ja tylko daję szansę. Sam będzie pan musiał dowieść, czy jest jej wart.

Wyzwanie też było zaplanowane. Młodzi, zdolni mężczyźni z trudem je odrzucają.

Hardesty wiedział, że go ma.

Z Birmingham do Waszyngtonu była długa droga. Dominic Caruso pokonał ją jednego dnia, bo nie przepadał za tanimi motelami. Ale chociaż wyruszył wcześniej, o piątej rano, trasa nie zrobiła się od tego krótsza. Jechał białym czterodrzwiowym mercedesem C, podobnym do samochodu brata. Tył zapchany był bagażem. Dwukrotnie zatrzymała go drogówka, ale w obu przypadkach pomogła mu legitymacja FBI i skończyło się na przyjacielskim pomachaniu ręką przy odjeździe. Stróży prawa łączyły niemal braterskie więzi przynajmniej w kwestii tolerowania takich wykroczeń. Dotarł do Arlington o dwudziestą drugą, pozwolił chłopcu hotelowemu rozpakować samochód i pojechał windą na trzecie piętro, gdzie znajdował się jego pokój. W barku było pół butelki dobrego białego wina. Wziął prysznic i wysączył wino, przysypiając przy nudnym programie w telewizji. Zamówił budzenie na siódmą i usnął.

– Dzień dobry – powitał gościa Gerry Hendley rankiem następnego dnia kwadrans przed dziesiątą. – Kawy?

– Dziękuję, sir. – Jack wziął filiżankę i usiadł. – Dziękuję, że pan oddzwonił.

– Cóż... przyjrzelismy się twoim wynikom ze studiów. Nieźle sobie radziłeś w Georgetown.

– Jak już się tyle płaci, warto się przyłożyć. Poza tym nie było to znowu tak trudne. –

John Patrick Ryan junior sączył kawę i zastanawiał się, jak się sprawy potoczą.

– Chcemy zaproponować ci pracę na stanowisku niewymagającym doświadczenia –

powiedział prosto z mostu eks-senator. Nigdy nie owijał w bawełnę i między innymi dlatego dobrze dogadywał się z Ryanem seniorem.

– Co dokładnie będę robić? – spytał Jack, bacznie mu się przyglądając.

– Co wiesz o Hendley Associates?

– Tylko to, co już panu powiedziałem.

– W porządku. Niczego, co ci teraz powiem, nie możesz nigdzie powtarzać. Nigdzie.

Rozumiemy się?

– Tak jest, sir. – I od razu wszystko było jasne jak słońce. Dobrze odgadłem, pomyślał

Jack. A niech mnie.

– Twój ojciec był jednym z moich najbliższych przyjaciół. Mówię „był”, bo już nie możemy się widywać i bardzo rzadko rozmawiamy. Tylko wtedy, kiedy tu dzwoni. Ludzie tacy jak on nigdy nie odchodzą na emeryturę, w każdym razie nie do końca. Twój ojciec był

jednym z najlepszych szpiegów w historii. Dokonał rzeczy, które nigdy nie zostały spisane –

przynajmniej nie oficjalnie – i prawdopodobnie nigdy nie zostaną. W tym przypadku „nigdy”

oznacza jakieś pięćdziesiąt lat. Pisze pamiętniki. Dwie wersje – jedną do publikacji za kilka lat i drugą, która nie ujrzy światła dziennego przez parę pokoleń. Zostanie opublikowana dopiero po jego śmierci. To jego życzenie.

Jacka uderzyło, że ojciec planuje, co ma być po jego śmierci. Jego tata... umrze? Ciężko było przyjąć to do wiadomości, dobrze, że to tylko odległa przyszłość.

– OK – zdołał tylko wykrztusić. – Czy mama o tym wie?

– Chyba... nie, prawie na pewno nie. Niektórych z tych informacji może nie być nawet w Langley. Rząd robi czasem rzeczy nieustraszone na papierze. Twój ojciec często miał w tym swój udział.

– A pan? – zagadnął junior.

Hendley rozparł się w fotelu i stwierdził filozoficznie:

– Problem w tym, że bez względu na to, co robisz, komuś się to nie spodoba. To tak jak z dowcipem. Może być bardzo śmieszny, a i tak ktoś poczuje się nim urażony. Ale na wyższym poziomie, kiedy ktoś poczuje się urażony, to zamiast powiedzieć ci to w twarz, idzie się wypłakać do prasy i rzecz przedostaje się do wiadomości publicznej, zazwyczaj z nieprzyjemnym komentarzem. Najczęściej to karierowiczostwo unosi swój ohydny łeb –

karierowicz pnie się w górę po trupach zwierzchników, którym wbił nóż w plecy. Ale dzieje się tak również dlatego, że ludzie na wysokich stanowiskach chcą postępować zgodnie z własnym rozumieniem dobra i zła. To ego. Problem w tym, że każdy rozumie inaczej, co dobre, a co złe. Poglądy niektórych są po prostu szalone.

Weźmy na przykład obecnego prezydenta. Kiedyś w toalecie senatu Ed zwierzył mi się, że jest tak zaciekle przeciwnikiem kary śmierci, że nie mógłby znieść nawet egzekucji Adolfa Hitlera. Było to po paru głębszych, kiedy pije, staje się bardziej rozmowny, a tak się nieszczęśliwie składa, że pije trochę za dużo, gdy ma po temu okazję. Kiedy mi to powiedział, żartowałem sobie z tego. Poradziłem, żeby tego nie umieszczał w przemówieniu – żydowscy wyborcy mają dużą siłę głosu, a mogliby to potraktować mniej jako głębokie przekonanie, a bardziej jako kamień obrazy. Na abstrakcyjnym poziomie wiele osób sprzeciwia się karze śmierci. I w porządku, szanuję to, chociaż się z tym nie zgadzam. Ale taka postawa ma jedną wielką wadę – nie możesz stanowczo postępować z ludźmi, którzy wyrządzają innym krzywdę, czasem bardzo poważną, bez pogwałcenia swoich ideałów. Niektórym sumienie lub wrażliwość polityczna nie pozwala tak postępować. Nawet jeśli smutna prawda jest taka, że procesy sądowe nie zawsze są skuteczne, często dlatego, że odbywają się poza naszymi granicami... ale czasem nawet i u nas w kraju.

No dobra, a jaki to ma wpływ na Amerykę? CIA nie zabija ludzi, nigdy. Przynajmniej od lat pięćdziesiątych. Eisenhower bardzo sprytnie używał CIA. Prawdę mówiąc, tak kapitalnie wykorzystywał swą władzę, że ludzie nigdy nie wiedzieli, co się dzieje, i mieli go za tumana, bo nie odstawiał tańców wojennych przed kamerami. Ale wracając do tematu... wtedy świat był inny. Dopiero skończyła się druga wojna światowa i pomysł masowego zabijania ludzi, nawet niewinnych cywilów, nie był tak niezwykły... głównie z powodu bombardowań. Taka była po prostu cena interesów.

– A Castro?

– To sprawka prezydenta Johna Kennedy’ego i jego brata Roberta. Strasznie się napalili, by go załatwić. Większość ludzi myśli, że to z powodu wstydu, jaki przyniosło im fiasko operacji w Zatoce Świń. Ale ja uważam, że raczej za dużo się naczytali Jamesa Bonda. Wtedy mordowanie ludzi miało swój urok. Dziś nazywamy to socjopatią – kwaśno stwierdził

Hendley. – Problem w tym, że po pierwsze, fajniej się o tym czyta, niż to robi, a po drugie, niełatwo to zrobić bez świetnie przeszkolonego i zmotywowanego personelu. Cóż, chyba sami się o tym przekonali. A potem, kiedy przedostało się to do opinii publicznej, udział

Kennedych jakoś zatuszowano, a za wykonywanie – i to kiepskie – rozkazów urzędującego prezydenta zapłaciła CIA. Dekret prezydenta Forda położył temu kres. I tak CIA nie zabija już celowo ludzi.

– A John Clark? – spytał Jack, przypominając sobie wyraz jego oczu.

– To pewnego rodzaju odstępstwo od normy. Tak, zabijał ludzi niejednokrotnie, ale był

zawsze na tyle ostrożny, by robić to tylko wtedy, kiedy w danym momencie było to taktycznie niezbędne. W końcu Langley pozwala ludziom na działanie w obronie własnej podczas pracy w terenie. A on miał dar robienia z tego taktycznej konieczności. Spotkałem Clarka kilka razy. Wiem, jaką ma opinię. Ale to wyjątek. Teraz, kiedy odszedł na emeryturę, może napisze o tym książkę, ale i tak nie będzie w niej całej prawdy. Clark gra według reguł, jak twój tata. Czasem je nagina, nic jednak nie wiem o tym, żeby je kiedykolwiek złamał, przynajmniej nie jako pracownik federalny. – Hendley odbył kiedyś ze starszkiem Jackiem Ryanem długą rozmowę o Johnie Clarku. Oni dwaj byli jedynymi ludźmi na świecie, którzy znali całą prawdę.

– Powiedziałem kiedyś tacie, że nie chciałbym mieć w Clarku wroga.

Hendley uśmiechnął się.

– Słusznie, ale też Johnowi Clarkowi mógłbyś powierzyć życie swoich dzieci. Kiedy ostatnio się widzieliśmy, też zapytałeś mnie o Clarka. Teraz mogę ci odpowiedzieć: gdyby był

młodszy, to byłby tutaj.

– Właśnie dowiedziałem się od pana czegoś ważnego.

– Wiem. Możesz się z tym pogodzić?

– Z zabijaniem ludzi?

– Ty to powiedziałeś.

Jack junior odstawił filiżankę.

– Teraz wiem, dlaczego tata mówi, że jest pan sprytny.

– Czy możesz pogodzić się z tym, że twój ojciec sam kilkakrotnie odebrał komuś życie?

– Wiem o tym. To było w tę noc, kiedy się urodziłem. To właściwie rodzinna legenda.

Pismaki zrobiły z tego aferę, kiedy tata był prezydentem. Wciąż to wyciągali, jakby to był trąd. Ale na trąd jest lekarstwo.

– Wiem. W filmie świetnie to wygląda, lecz w prawdziwym życiu ludzie dostają od tego gęziej



skórki. Problem z prawdziwym światem jest taki, że czasami, nie za często, ale czasami, trzeba zrobić coś takiego. Twój ojciec też się o tym dowiedział... i to niejedynym razem, Jack. Nigdy się nie cofnął. Miał chyba nawet potem koszmary. Ale kiedy musiał coś zrobić, robił to. Dlatego żyjesz. Dlatego żyje wielu innych ludzi.

– Wiem o tej sprawie z okrętem podwodnym. Stała się publiczna...

– To nie tylko to. Twój ojciec nigdy nie szukał kłopotów, lecz kiedy jakiś kłopot znalazł jego... to, tak jak powiedziałem, robił, co trzeba.

– Pomyślałem właśnie o egzekucji ludzi, którzy zaatakowali mamę i tatę w noc, kiedy się urodziłem. Zapytałem o to mamę. Wie pan, nie jest wielką zwolenniczką egzekucji. W tym przypadku nie miała nic przeciw. Nie czuła się z tym dobrze, lecz można powiedzieć, że dostrzegła logikę sytuacji. A tata... wie pan, właściwie jemu też się to nie podobało, ale jakoś nie ronił łez.

– Twój ojciec przystawił temu gościowi, znaczy ich przywódcy, pistolet do głowy, lecz nie pociągnął za spust. To nie było konieczne, więc się powstrzymał. Gdybym ja był na jego miejscu... cóż, sam nie wiem. To była trudna decyzja, ale twój ojciec dokonał właściwego wyboru, choć miał mnóstwo powodów, żeby postąpić inaczej.

– To właśnie powiedział pan Clark. Spytałem go o to kiedyś. Powiedział, że gliniarze już tam byli, więc po co sobie robić kłopot? Ale nigdy mu do końca nie wierzyłem. Trudno go rozgryźć. Spytałem też Mike'a Brennana. Powiedział, że jak na cywila, tata wykazał się niezwykłym opanowaniem. On nie zabiłby tego faceta. Szkolenie...

– Nie jestem taki pewien co do Clarka. Nie jest mordercą. Nie zabija ludzi dla zabawy czy dla pieniędzy. Może darowałby facetowi życie, może nie.

Ale przeszkolony policjant czegoś takiego nie robi. A ty co byś zrobił, jak myślisz?

– Człowiek nie wie, dopóki sam się nie znajdzie w takiej sytuacji – odparł Jack. –

Zastanawiałem się kiedyś nad tym i doszedłem do wniosku, że tata dobrze zrobił.

Hendley skinął głową.

– Masz rację. W ogóle postępował słusznie. Facetowi w łodzi zrobił otwór w głowie...

musiał to zrobić, żeby przeżyć, a kiedy ma się taki wybór, to nie ma się go wcale.

– Więc czym dokładnie zajmuje się Hendley Associates?

– Gromadzimy informacje wywiadowcze i działamy na ich podstawie.

– I rząd nie ma na to wpływu.

– Technicznie rzecz biorąc, nie. Robimy to, co trzeba robić, kiedy agencje rządowe sobie nie radzą.

– Jak często się to zdarza?

– Niezbyt – bez namysłu odparł Hendley. – Ale to się może zmienić... choć nie musi.

Trudno powiedzieć.

– Ile razy?...

– Nie musisz tego wiedzieć – odparł Hendley, unosząc brwi.

– W porządku. A co tata o was wie?

– To on skłonił mnie do założenia firmy.

– Aha... – I nagle wszystko stało się jasne. Hendley pożegnał się ze swoją karierą polityczną, aby służyć krajowi w taki sposób, że nikt nigdy tego nie dostrzeże ani nie doceni.

A niech to. I jego ojciec przyłożył do tego rękę? – A jeśli pan wpadnie w kłopoty?...

– W skrytce depozytowej mojego adwokata znajduje się setka ułaskawień podpisanych przez prezydenta, obejmujących wszelkie możliwe czyny niezgodne z prawem, jakie mogłyby zostać popełnione w okresie określonym datami, które moja sekretarka wpisze w puste miejsca. Podpisał je twój ojciec na tydzień przed odejściem z urzędu.

– Czy to legalne?

– Wystarczająco. Prokurator generalny za rządów twojego taty, Pat Martin, orzekł, że przeszłyby weryfikację, choć gdyby przedostało się to do wiadomości publicznej, to byłoby jak dynamit.

– Dynamit? Kurde, byłoby jak bomba atomowa na Kapitału. – Jack się zamyślił. – A i to oględnie powiedziane.

– Dlatego jesteśmy bardzo ostrożni. Nie mogę zachęcać swoich ludzi, by robili coś, za co skończyliby w więzieniu.

– Zaraz tam w więzieniu... co najwyżej stracą wiarygodność kredytową.

– Jak widzę, odziedziczyłeś poczucie humoru po ojcu.

– No cóż, sir, w końcu jest moim ojcem. Dostałem to razem z niebieskimi oczami i ciemnymi włosami.

Wyniki ze studiów dowodziły inteligencji. Hendley dostrzegał w nim tę samą dociekliwą naturę i

zdolność odróżnienia ziarna od plewy. Czy odwagę też miał po ojcu?... Lepiej niech nigdy nie będzie okazji, by to sprawdzić. Ale nawet jego najlepsi ludzie nie potrafili przewidywać przyszłości, chyba że w kwestii wahań kursów walut – i to tylko dlatego, że oszukiwali. Była to jedyna nielegalna rzecz, o którą mogli go oskarżyć, ale to się przecież nigdy nie stanie, prawda?

– OK, czas się spotkać z Rickiem Bellem. On i Jerry Rounds są tu analitykami.

– Spotkałem ich już kiedyś?

– Nie. Twój ojciec też nie. To jeden z problemów wywiadu. Zanadto się rozrósł. Zbyt wielu ludzi i organizacja potyka się o własne nogi. Jeśli masz setkę najlepszych zawodowych futbolistów w tej samej drużynie, to rozpadnie się ona w wyniku wewnętrznych waśni. Każdy człowiek ma swoje ego, a taka ich liczba w jednym miejscu to jak przysłowiowe długoogoniaste koty w pokoju pełnym foteli bujanych. Ale nikt się temu nie sprzeciwia, bo rząd nie powinien być zbyt efektywny. Gdyby był, ludzie zaczęliby się go bać. Dlatego tu jesteśmy. Chodźmy. Biuro Jerry'ego jest na końcu korytarza.

– Charlottesville? – spytał Dominic Caruso. – Ale ja myślałem...

– Od czasów dyrektora Hoovera Biuro ma tam kryjówkę. Technicznie rzecz biorąc, nie należy ona do FBI. Tam trzymamy Szare Akta.

– Och... – Słyszał o nich od starszego instruktora na akademii.

Szare Akta – ludzie z zewnątrz nie znali nawet samej nazwy – miały być aktami Hoovera z informacjami o osobistościach świata polityki, o wszelkich uchybieniach; politycy zbierali te informacje, tak jak inni ludzie zbierają znaczki czy monety. Akta miały zostać zniszczone po śmierci Hoovera. W rzeczywistości zostały skonfiskowane i ukryte w Charlottesville, w Wirginii, w sporym domu na szczycie wzgórza, z widokiem na Uniwersytet Stanu Wirginia.

Po drugiej stronie łagodnej doliny znajdowała się rezydencja Monticello Thomasa Jeffersona.

W starym domu była obszerna piwnica na wino, która od ponad pięćdziesięciu lat skrywała cenniejszą zawartość. Był to najmroczniejszy z sekretów Biura. Znało go tylko kilka osób.

Niekoniecznie należał do nich obecny dyrektor FBI, raczej najbardziej zaufani agenci. Akt nigdy nie otwierano... przynajmniej nie tych politycznych. Po co na przykład ujawniać pociąg młodego senatora za administracji Trumana do nieletnich dziewcząt? I tak facet był już spalony jako zwolennik aborcji. Ale obawa przed tymi archiwami (powszechnie wierzone, że nadal się je prowadzi) wyjaśniała, dlaczego Kongres rzadko atakował FBI w kwestii przywłaszczania sobie środków. Dobry archiwista z komputerową pamięcią mógłby wywnioskować z niewielkich luk w potężnych archiwach Biura, że Szare Akta istnieją, ale było to zadanie na miarę Herkulesa. Poza tym o wiele smakowitsze kąski można było znaleźć w Białych Aktach, zachomikowanych w dawnej kopalni węgla w Wirginii Zachodniej – tak przynajmniej wydawało się historykom.

– Musimy odizolować cię od Biura – oznajmił Werner.

– Że co? – zdziwił się Dominic. – Dlaczego? – Zszokowany, niemal zerwał się z fotela.

– Chce się z tobą rozmówić pewna jednostka specjalna. Nadal będziesz tu zatrudniony.

Oni sami wprowadzą cię w szczegóły. Pamiętaj, powiedziałem „odizolować”, a nie

„zwolnić”. Biuro nadal będzie ci wypłacać pobory. W aktach będziesz dalej figurował jako agent specjalny, ze specjalnym przydziałem do dochodzeń antyterrorystycznych pod bezpośrednim nadzorem mojego biura. Będziesz normalnie awansować i dostawać podwyżki.

Ta informacja jest tajna, agencie Caruso – ciągnął Werner. – Nie możesz o tym rozmawiać z nikim innym, tylko ze mną. Czy to jasne?

– Tak, sir, ale nie mogę powiedzieć, że to rozumiem.

– Zrozumiesz w swoim czasie. Nadal będziesz prowadzić dochodzenia w sprawach działalności przestępczej i prawdopodobnie działać na podstawie wyników tych dochodzeń.

Jeśli przydział ci się nie spodoba, możesz mi o tym powiedzieć, a przeniesiemy cię do nowego wydziału terenowego i damy bardziej konwencjonalne zajęcie. Ale, powtarzam, nie możesz rozmawiać o swoim nowym przydziale z nikim innym, tylko ze mną. Jeśli ktoś spyta, wciąż jesteś agentem specjalnym FBI, ale nie wolno ci z nikim rozmawiać o pracy. Nie grozi ci nic złego, jeśli tylko będziesz dobrze wypełniać swoje zadania. Zobaczysz, że nadzór nie jest tak ścisły jak ten, do którego przywykłeś. Ale przez cały czas będziesz przed kimś odpowiadać.

– Sir, to nadal jest dość niejasne.

– Będziesz zajmował się pracą o najwyższym znaczeniu dla bezpieczeństwa narodowego.

Głównie antyterroryzmem. Będzie się to wiązać z niebezpieczeństwem. Terrorysty to nie są cywilizowani ludzie.

– A więc to praca w ukryciu?

– Właśnie – potaknął Werner.

– Poza biurem?

– Mniej więcej – brzmiała wymijająca odpowiedź.

– I mogę zrezygnować, kiedy tylko zechcę?

– Zgadza się.

– OK, sir, przyjrę się temu. Co mam teraz zrobić?

Werner napisał coś na skrawku papieru i podał go Dominicowi.

– Jedź pod ten adres. Powiedz, że chcesz się widzieć z Gerrym.

– Już teraz, sir?

– Chyba że masz coś innego do roboty.

– Nie, sir.

Caruso wstał, uściśnął rękę przełożonego i wyszedł. Przynajmniej zrobi sobie wycieczkę do Wirginii, krainy koni.

## Rozdział 4

### OBÓZ SZKOLENIOWY

Agent specjalny Dominic Caruso pojechał tylko do Marriotta po bagaże, dał chłopcowi hotelowemu dwadzieścia dolarów napiwku i wprowadził cel podróży do komputera nawigacyjnego mercedesa. Wkrótce wyjechał z Waszyngtonu na południe drogą międzystanową 95.

W lusterku wstecznym widział zarysy stolicy na horyzoncie i był to ładny widok.

Prowadziło mu się nieźle – w końcu jechał mercedesem – miejscowe radio nadawało przyjemną klasyczną muzykę – w sam raz dla gliniarza – a ruch był znośny. Choć i tak uzalił

się nad tymi biednymi skurczybykami, którzy muszą codziennie dojeżdżać do Waszyngtonu, by odwalać papierkową robotę w Budynku Hoovera i wszystkich innych groteskowych budynkach rządowych otaczających Mall, ogromny trawnik w centrum Waszyngtonu.

Kwatera główna FBI ma przynajmniej własną strzelnicę, na której można wyładować stres. Pewnie się przydaje, pomyślał Dominic.

Tuż przed Richmond kobiecy głos komputera pokładowego oznajmił, że ma skręcić w prawo na obwodnicę Richmond. I tak dotarł do drogi I-64, biegnącej na zachód ku łagodnym zadrzewionym wzgórzom. Wokół było przyjemnie zielono. Pewnie dużo tu pól golfowych i farm z końmi. Słyszał już, że CIA ma tutaj kryjówki od czasów, gdy musieli przesłuchiwać sowieckich zbiegów. A kogo mogli teraz przesłuchiwać? Może Chińczyków? A może Francuzów? Kryjówki na pewno tam jeszcze są. Rząd nie lubił rezygnować ze swojej własności, może z wyjątkiem opuszczonych baz wojskowych. Tak jak ci klauni z północnego wschodu i dalekiego zachodu. Biura też nie kochali, raczej się go bali. Nie wiedział, co takiego jest w glinach i wojskowych, co przeszkadza niektórym

politykom, jednak zbytnio się tym nie przejmował. On miał swoją micę, oni swoją.

Po kolejnej godzinie i piętnastu minutach zaczął rozglądać się za znakiem zjazdu, jakby nie miał komputera.

– *Przygotuj się do skrętu w prawo przy następnym zjeździe* – oznajmił głos jakieś dwie minuty przed czasem.

– W porządku, kochanie – odparł i nie usłyszał „dziękuję”. Minutę później skręcił w sugerowany zjazd, co komputer skwitował tylko krótkim *Bardzo dobrze*, po czym ruszył

ulicami małego miasteczka. Mercedes wspiał się na łagodne wzgórza na północy doliny. I wreszcie Caruso usłyszał:

– *Skręć w prawo na następnym skrzyżowaniu i jesteś u celu podróży...*

– Miło mi to słyszeć. Dziękuję, kochanie.

„Celem podróży” była zwykła polna droga, może podjazd, bo nie było na niej pasów.

Kilkaset metrów dalej ujrzał dwie podpory z czerwonej cegły i otwartą białą przesuwaną bramę. Trzysta metrów od niej stał dom. Przednia część dachu pokrytego starą dachówką opierała się na sześciu białych kolumnach. Ceglane ściany, niegdyś czerwone, wyblakły dawno temu. Dom musiał mieć grubo ponad sto – może dwieście – lat. Podjazd wysypany był

drobnym żwirkiem, świeżo grabionym. Połacie trawy miały odcień świeżej zieleni, jak na polu golfowym. Z bocznych drzwi wyszedł mężczyzna i gestem pokazał, że ma zajechać od lewej. Dominic skręcił za dom, gdzie czekała go niespodzianka. Rezydencja – bo jak inaczej nazwać tak duży dom? – była bardziej okazała, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka; przed nią znajdował się spory parking. Stał na nim chevy suburban, buick SUV... i inny mercedes C – całkiem jak jego, z tablicami z Karoliny Północnej. Prawdopodobieństwo, że to przypadek, było zbyt niewielkie, nawet jak na jego wybujałą wyobraźnię...

– Enzo!

Dominic błyskawicznie odwrócił głowę.

– Aldo!

Ludzie często zwracali uwagę na ich podobieństwo, bardziej jednak widoczne, kiedy nie byli razem. Obaj mieli ciemne włosy i jasną karnację. Brian był wyższy o dwadzieścia cztery milimetry. Dominic ważył jakieś pięć kilo więcej. Już jako chłopcy zachowywali się inaczej i to się nie zmieniło. Ponieważ w ich żyłach płynęła włoska krew, na powitanie uścisnęli się serdecznie – ale nie ucałowali. Nie byli aż tak włoscy.

– Co tu robisz, do diabła? – Dominic pierwszy zadał pytanie.

– Ja? A ty? – odciął się Brian, pomagając bratu z bagażami. – Czytałem o tej twojej strzelaninie w Alabamie. Jak to było?

– Pedofil – odparł Dominic, wyciągając walizkę. – Zgwałcił i zabił małą dziewczynkę.

Dotarłem na miejsce jakieś pół godziny za późno.

– Hej, nikt nie jest doskonały, Enzo. W gazetach piszą, że go załatwiłeś. Dominic spojrzał Brianowi prosto w oczy.

– Tak, udało mi się tego dokonać.

– Jak dokładnie?

– Trzy kule w klatkę piersiową.

– To pewniak. I żadni prawnicy nie rozpaczali nad jego ciałem?

– Nie tym razem. – Głos Dominica nie był ani trochę radosny. Brian usłyszał w nim zimną satysfakcję.

– Tym, co? – Marine wyjął bratu z kabury pistolet automatyczny. – Super – ocenił.

– Nieźle strzela. Jest załadowany, braciszku, więc bądź ostrożny.

Brian wyjął magazynek i opróżnił komorę.

– Dziesięć milimetrów?

– Zgadza się. Broń FBI. Ładne robi dziurki. Biuro znów jej używa, po tym jak inspektor O’Day strzelał się z tymi draniami, no wiesz, o małą wujka Jacka.

Brian dobrze pamiętał tę historię: atak na Katie Ryan, przeprowadzony w szkole, krótko po tym, jak jej tata został prezydentem... strzelanina... ofiary.

– Koleś nie robi w portki – stwierdził. – A nie jest nawet eks-marine. Był w marynarce, zanim został gliną. W każdym razie tak gadają w Quantico.

– Z tego zadania zrobili film szkoleniowy. Spotkałem kiedyś O’Daya... mogłem tylko uścisnąć mu dłoń jak dwudziestu innych facetów. Skurczybyk potrafi strzelać. Mówił, jak to musisz czekać na swoją szansę, bo tylko pierwszy strzał się liczy. Obu załatwił dwoma strzałami w głowę.

– Jak zdołał zachować zimną krew?

Obaj pamiętali tę akcję. W końcu Katie Ryan była ich kuzynką – i miłą dziewczyną, bardzo podobną do matki.

– Hej, ty sam powąchałeś już prochu. Jak tobie się to udało?

– Szkolenie. Miałem marines w swojej pieczy, braciszku.

Razem wnieśli rzeczy Dominica do środka. Brian poprowadził go na górę. Mieli tam osobne sypialnie, ale obok siebie. Potem wrócili do kuchni. Zrobili sobie kawę i usiedli przy stole.

– I jak tam życie w marines, Aldo?

– Wkrótce zostanę majorem, Enzo. Dostałem Srebrną Gwiazdę za to, co tam zrobiłem, tak naprawdę to nic wielkiego, zrobiłem tylko to, do czego mnie szkolili. Jeden z moich ludzi został ranny, ale już doszedł do siebie. Nie schwytaliśmy gościa, którego ścigaliśmy... Nie chciał się poddać, więc sierżant Sullivan posłał go do Allaha, ale dwóch dorwaliśmy żywcem i trochę z nich wycisnęliśmy. Faceci z wywiadu mówią, że przekazali nam trochę przydatnych informacji.

– Za co dostałeś tę śliczną wstążkę?

– Głównie za to, że się nie dałem. Sam zastrzeliłem trzech gości. Nawet nie było trudno, po prostu ich zdjąłem. Pytali mnie potem, czy mam koszmary. Marines mają chyba za dużo lekarzy, i wszyscy to kalmary.

– Biuro tak samo, ale to olałem. Żadnych koszmarów o tym skurwielu. Ta biedna dziewczynka... Powinienem mu odstrzelić fiuta.

– Czemu tego nie zrobiłeś?

– Bo to nie zabija, Aldo. Ale trzy kule w serce to inna śpiewka.

– Chyba nie zastrzeliłeś go pod wpływem emocji?

– Niezupełnie, chociaż...

– I właśnie dlatego tu jesteś, agencie specjalny Caruso – powiedział mężczyzna, który właśnie wszedł do kuchni. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. W świetnej formie jak na pięćdziesięciolatka, pomyśleli bracia.

– Kim pan jest? – spytał Brian.

– Pete Alexander – brzmiała odpowiedź.

– Miałem się z panem spotkać, kiedy...



– Tak naprawdę to nie miałeś, ale tak właśnie powiedzieliśmy generałowi. Alexander usiadł przy stole z własnym kubkiem kawy.

– Więc kim pan jest? – dopytywał się Dominic.

– Waszym oficerem szkoleniowym.

– Tylko pan? – zdziwił się Brian.

– Z czego będzie to szkolenie? – wpadł mu w słowo Dominic.

– Nie, nie tylko ja. Ale to ja będę tu przez cały czas. Natomiast rodzaj szkolenia pokaże wam, do czego się was szkoli. Chcecie się dowiedzieć czegoś o mnie? W porządku.

Skończyłem Yale trzydzieści lat temu, obroniłem pracę z politologii. Należałem nawet do Czaszki i Piszczeli. No wiecie, tego klubu dla chłopców, o którym lubią bredzić zwolennicy teorii spiskowych. Jezu, tak jakby ludzie, którzy mają po kilkanaście lat, mogli osiągnąć cokolwiek poza seksem... a i to w sprzyjających okolicznościach. – Jednak spojrzenie jego brązowych oczu świadczyło o tym, że myśli o czymś innym niż o college'u, nawet elitarnym.

– W dawnych czasach Agencja lubiła rekrutować ludzi z Yale, Harvardu czy Dartmouth. Ale dzieciakom już to przeszło. Teraz wszystkie chcą być bankierami i robić kasę. Dwadzieścia pięć lat pracowałem w tajnych służbach, a potem zwerbował mnie Campus. Od tego czasu jestem z nimi.

– Campus? A to co? – chciał wiedzieć marine.

Alexander zauważył, że Dominic Caruso o nic nie pytał. Tylko bardzo uważnie słuchał i obserwował. Brian nigdy nie przestanie być marine, a Dominic – agentem FBI. I to się nie zmieni. W obu przypadkach to i dobrze, i źle.

– To służba wywiadowcza utrzymywana z prywatnych funduszy.

– Prywatnych funduszy? – zdziwił się Brian. – Jak, do cholery...

– Później zobaczycie, jak to działa, i zdziwicie się, jakie to proste. To, co was teraz powinno interesować, to co oni robią.

– Zabijają ludzi – natychmiast odparł Dominic. Jakby słowa same wyrwały się z jego ust.

– Czemu tak sądzisz? – spytał niewinnie Alexander.

– Zespół jest mały. Sądząc po parkingu, jesteśmy tu sami. Nie jestem doświadczonym agentem. Co zrobiłem? Raptem załatwiłem kogoś, kto się o to prosił... a następnego dnia jestem w kwatrze głównej i rozmawiam z zastępcą dyrektora. Kilka dni potem jadę do Waszyngtonu i wysyłają mnie tutaj. To bardzo szczególne miejsce, niby nic takiego, i ma pozwolenie z samej góry na to, co tu się dzieje. Chyba nie sprzedajecie tu obligacji rządowych?

– W papierach stoi, że masz niezłe zdolności analityczne – stwierdził Alexander. –

Możesz się nauczyć trzymać gębę na kłódkę?

– Coś mi się wydaje, że tutaj to akurat niepotrzebne. Ale tak, wiem, jak to robić, kiedy wymaga tego sytuacja – odciął się Dominic.

– OK, pora na pierwszy wykład. Wiecie, chłopcy, co znaczy „czarny”, prawda? To program lub projekt niezatwierdzony przez rząd. Ludzie udają, że on nie istnieje. Campus idzie o krok dalej. My naprawdę nie istniejemy. Pracownicy rządowi nie mają nawet pojedynczego dokumentu, który choćby słowem wspominał o nas. Od tej chwili wy dwaj, młodzi dżentelmeni, też nie istniejecie. Pewnie, kapitanie – a może już majorze? – Caruso, dostaniesz wypłatę przelewem na dowolne, założone w tym tygodniu, konto, ale nie jesteś już marine. Jesteś oddelegowany do samotnej misji, której natura jest nieznana. A ty, agencie specjalny Dominicu Caruso...

– Wiem. Gus Werner mi powiedział. Wykopali dół... i zwinęli się, zacierając ślady.

Alexander skinął głową.

– Obaj, opuszczając to miejsce, zostawicie tu wasze dokumenty, blachy... wszystko.

Może wolno wam będzie zachować imiona i nazwisko... ale to tylko dwa słowa, a w tym biznesie i tak nikt nie wierzy, że nazwisko jest prawdziwe. Kiedy pracowałem w terenie dla Agencji, przydarzyła mi się kiedyś zabawna rzecz. Podczas jednego z zadań nieświadomie zmieniłem imię. Ale było mi głupio, gdy sobie zdałem sprawę... Jak aktor, nagle jestem Makbetem, kiedy mam być Hamletem. Na szczęście rozeszło się po kościach i nie odwaliłem kity na końcu sztuki.

– Co dokładnie będziemy robić? – spytał Brian.

– Głównie zajmować się dochodzeniami. Śledzić pieniądze. Campus jest w tym wyjątkowo dobry. Później dowiedziecie się jak i dlaczego. Pewnie będziecie działać razem. Ty, Dominic, będziesz odwalać większość ciężkiej roboty przy dochodzeniach. Ty, Brian, pomożesz mu tam, gdzie będą potrzebne mięśnie, a przy okazji nauczysz się robić to, co... jak go nazwałeś przed chwilą?

– Enzo? Nazywam go tak, bo niezłe przyciskał pedał gazu, jak dostał prawko. No wie pan, jak Enzo Ferrari.

– A on jest Aldo, bo ubiera się jak łachmyta. Jak w tej reklamie wina, Aldo Cella „nie jest niewolnikiem mody”. Taki rodzinny żart. Dominic roześmiał się, pokazując na brata.

– W porządku, idź do Brooks Brothers i zacznij się lepiej ubierać – polecił Brianowi Pete Alexander. – Będziecie zwykle udawać biznesmenów lub turystów. Musisz więc ubierać się schludnie, ale nie jak księżę Walii. Obaj zapuścicie też włosy, zwłaszcza ty, Aldo.

Brian pogładził swoją szczecinę na głowie. W całym cywilizowanym świecie rozpoznano by go po

niej jako amerykańskiego marine. Ale mogło być gorzej. Rangersi byli pod tym względem jeszcze bardziej radykalni. Za jakiś miesiąc Brian będzie wyglądał jak człowiek.

– Cholera, będę musiał kupić grzebień.

– Jaki mamy plan?

– Dziś tylko relaks i aklimatyzacja. Jutro wczesna pobudka i sprawdzamy kondycję.

Potem trening z bronią... i zajęcia siedzące. Zakładam, że obaj znacie podstawy obsługi komputera.

– To ważne? – spytał Brian.

– Campus pracuje głównie jako wirtualne biuro. Dostaniecie komputery z wbudowanymi modemami. W ten sposób będziecie się porozumiewać z biurem.

– A bezpieczeństwo? – chciał wiedzieć Dominic.

– Maszyny mają wbudowane niezłe zabezpieczenia. Jeśli nawet można je złamać, to nikt jeszcze nie odkrył jak.

– Dobrze wiedzieć – mruknął Enzo. – Uzywacie w korpusie komputerów, Aldo?

– Tak, mamy wszystkie nowoczesne udogodnienia... nawet papier toaletowy.

– Nazywasz się Muhammad? – spytał Ernesto.

– Zgadza się, ale od teraz mów mi Miguel. – W odróżnieniu od Nigela to imię będzie mógł zapamiętać. Nie rozpoczął spotkania przywołaniem imienia Allaha. Ci niewierni i tak by nie zrozumieli.

– Twój angielski jest... cóż, gadasz jak Anglik.

– Tam się kształciłem – wyjaśnił Muhammad. – Moja matka była Angielką. Ojciec pochodził z Arabii Saudyjskiej.

– Pochodził?

– Oboje nie żyją.

– Wyrazy współczucia – powiedział Ernesto z wątpliwą szczerością. – A zatem co możemy dla siebie nawzajem zrobić?

– Powiedziałem już obecnemu tu Pablowi o moim pomysśle. Wprowadził cię w szczegóły?

– *Si*, ale chciałbym to usłyszeć od ciebie. Reprezentuję sześć innych osób, z którymi łączą mnie

interesy.

– Rozumiem. Czy możesz negocjować w ich imieniu?

– Nie do końca, ale przedstawię im to, co powiesz; nie będziesz musiał spotykać się z nimi wszystkimi, a oni nigdy jeszcze nie odrzucili moich sugestii. Jeśli dojdziemy tu do porozumienia, będziemy mogli je ratyfikować przed końcem tygodnia.

– Świetnie. Wiesz, jakie interesy ja reprezentuję. Też mam prawo zawrzeć porozumienie.

Tak jak wy, najgroźniejszego wroga mamy na północy. On wywiera coraz większą presję na swoich przyjaciół. Chcielibyśmy wziąć odwet i odwrócić jego uwagę od nas.

– Całkiem jak my – zauważył Ernesto.

– Więc powinniśmy wywołać w Stanach niepokoje i chaos, to leży w naszym wspólnym interesie. Nowy amerykański prezydent jest słabym człowiekiem. Ale właśnie dlatego może być niebezpieczny. Słabi szybciej niż silni uciekają się do przemocy. Nawet jeśli używają jej nieefektywnie, może to być irytujące.

– Niepokoją nas ich metody wywiadowcze. Was także?

– Nauczyliśmy się ostrożności. Nie mamy jednak dobrej infrastruktury w Ameryce. W tej kwestii potrzebujemy pomocy – odparł Muhammad.

– Nie macie? A to niespodzianka. Ich media pełne są doniesień o tym, jak FBI i inne agencje w pocie czoła śledzą twoich ludzi na swoim terytorium.

– W tej chwili ścigają cienie i tym samym sieją niezgodę na własnej ziemi. To komplikuje zadanie, bo w takich warunkach trudno jest stworzyć odpowiednią siatkę jako bazę operacji ofensywnych.

– A natura tych operacji nas nie interesuje? – dociekał Pablo.

– Nie. Oczywiście nie jest to nic, czego sami byście nie robili. – Nie dodał tylko „ale nie w Stanach”. Tu, w Kolumbii, nie działali w białych rękawiczkach, lecz znali swoje ograniczenia w Stanach Zjednoczonych, które w końcu były ich „klientem”. To nawet lepiej.

Inny kraj, inne metody działania. Ale obie strony zgadzały się całkowicie co do tego, że operacje muszą być dla nich bezpieczne.

– Rozumiem. – Szef kartelu nie był głupcem. Muhammad zdał sobie z tego sprawę i wiedział już, że nie wolno mu zlekceważyć tych ludzi ani ich możliwości... Oczywiście nie będą to też przyjaciele. Na pewno potrafią być równie bezwzględni jak jego ludzie. Ci, którzy odrzucają Boga, mogą być tak samo niebezpieczni jak ci, którzy działają w Jego imieniu. –

Więc co możesz nam zaoferować?

– Od dawna prowadzimy operacje w Europie – oznajmił Muhammad. – Wy chcecie rozszerzyć tam działalność rynkową. My mamy tam całkowicie bezpieczną siatkę od ponad dwudziestu lat. Zmiany na rynku europejskim, zanik granic i tym podobne działają na waszą korzyść, na naszą zresztą też. Mamy komórkę w Pireusie. Można ją łatwo przystosować do waszych potrzeb. Mamy również kontakty w międzynarodowych firmach przewozowych.

Jeśli mogą dla nas przewozić broń i ludzi, to będą też mogli z łatwością transportować wasze produkty.

– Będziemy potrzebować listy nazwisk ludzi, z którymi moglibyśmy omówić aspekty techniczne – wtrącił się Ernesto.

– Mam ją tutaj. – Muhammad wyciągnął swojego laptopa. – Przywykli do robienia interesów w zamian za korzyści materialne.

Ernesto i Pablo skinęli głowami, nie pytając nawet, o jakie kwoty chodzi. Najwyraźniej nie było to dla nich zmartwienie. Rozumowali tak: Europa ma ponad trzysta milionów mieszkańców. Wielu z nich bez wątplenia polubi kolumbijską kokainę. Niektóre kraje europejskie dopuszczały nawet zażywanie narkotyków w dyskretnych, kontrolowanych – i opodatkowanych – miejscach. Nie dawało to przyzwoitych zysków, ale miało tę zaletę, że pozwalało stworzyć dogodny klimat. A nic, nawet doskonałej jakości heroina stosowana w medycynie, nie było tak dobre jak andyjska koka. Chętnie wyłożą na nią swoje euro – tym razem tyle, aby przedsięwzięcie się opłaciło. Niebezpieczeństwo tkwi oczywiście w dystrybucji. Na pewno niejedyn beztroski uliczny dealer zostanie aresztowany... niektórzy zaczną sypać. Należy więc ściśle odizolować dystrybucję hurtową od sprzedaży detalicznej.

Ale to nie problem – bez względu na to, jakimi profesjonalistami są europejscy policjanci, nie mogą znacząco różnić się od amerykańskich. Wielu z nich z radością da sobie posmarować.

W końcu biznes to biznes. A jeśli ten Arab może w tym pomóc – za darmo, to doprawdy niezwykle – tym lepiej.

Po Ernesto i Pablu nie widać było reakcji na złożoną im ofertę. Ktoś z zewnątrz mógłby pomyśleć, że są znudzeni. Oczywiście bzdura. Niebiosy zsyłały im taką sposobność. Otwierał

się całkiem nowy rynek, a nowy strumień dochodów mógł przynieść możliwość wykupienia na własność całego ich kraju. Będą się musieli nauczyć nowych sposobów prowadzenia interesów, ale mieli pieniądze na eksperymenty i potrafili się przystosować – jak ryby pływające w morzu wieśniaków i kapitalistów.

– Jak się skontaktujemy z tymi ludźmi? – zapytał Pablo.

– Moi ludzie przedstawiają was komu trzeba.

Coraz lepiej, pomyślał Ernesto.

– A czego oczekujecie od nas? – spytał w końcu.

– Będziemy potrzebować pomocy w transporcie ludzi do Ameryki. Jak mamy się do tego zabrać?

– Jeśli masz namyśli fizyczne przemieszczenie ludzi z waszej części świata do Ameryki, to najlepiej będzie przewieźć ich samolotem do Kolumbii, tu, do Cartageny. Potem zorganizujemy ich przelot do innych hiszpańskojęzycznych krajów na północy. Na przykład do Kostaryki. Stamtąd, jeśli tylko będą mieć wiarygodne dokumenty podrózne, mogą lecieć bezpośrednio do Stanów, amerykańską linią lotniczą, lub przez Meksyk. Jeśli będą wyglądać na Latynosów i mówić po hiszpańsku, to można ich przeszmuglować przez granicę meksykańsko-amerykańską; to, co prawda, fizyczne wyzwanie i niektórych z nich mogą ująć, ale jeśli tak się stanie, po prostu wrócą do Meksyku i spróbują jeszcze raz. Albo, znów z odpowiednimi dokumentami, mogą po prostu oficjalnie przekroczyć granicę niedaleko San Diego w Kalifornii. Kiedy już znajdą się w Stanach, będą musieli tylko pozostać w ukryciu.

Jeśli pieniądze nie są problemem...

– Nie są – zapewnił Muhammad.

– To zaangażujecie miejscowego prawnika, a niewielu z nich ma jakiegokolwiek skrupuły.

Kupicie dom odpowiedni na kryjówkę, który służyć będzie za bazę wypadową. Wybacz, uzgodniliśmy wprawdzie, że takie operacje nas nie dotyczą, ale gdybyś powiedział mi, o co wam chodzi, mógłbym służyć radą.

Muhammad zastanowił się chwilę, po czym wyjaśnił.

– Rozumiem. Twoi ludzie muszą być dobrze zmotywowani, aby robić coś takiego – zauważył Ernesto.

– I są. – Ten człowiek może w to wątpić? – dziwił się Muhammad.

– A przy dobrym planowaniu i stalowych nerwach mogą nawet przeżyć. Ale nie wolno wam lekceważyć amerykańskich agencji policyjnych. W naszym biznesie możemy wchodzić z niektórymi z nich w układy finansowe, lecz w waszym przypadku to mało prawdopodobne.

– I my o tym wiemy. Ideałem byłoby, gdyby nasi ludzie przeżyli, lecz ze smutkiem trzeba przyznać, że niektórych będziemy musieli stracić. Oni znają ryzyko. – Nie mówił o rajach. Ci ludzie by tego nie zrozumieli. Bóg, w którego wierzyli, był w ich portfelach.

Jaki fanatyk tak naraża swoich ludzi? – zastanawiał się Pablo. Jego podkomendni sami podejmowali

ryzyko, porównując przewidywane zyski z konsekwencjami porażki. Ci ludzie –

nie. No cóż, nie zawsze można wybierać partnerów w interesach.

– W porządku. Mamy pewną liczbę niewypełnionych amerykańskich paszportów. Sam musisz dopilnować, żeby ludzie, których nam wyślecie, dobrze mówili po angielsku lub hiszpańsku i potrafili odpowiednio się zaprezentować. Mam nadzieję, że żaden z nich nie będzie chodził na kurs pilotażu? – zażartował Ernesto.

Muhammad potraktował dowcip ze śmiertelną powagą.

– Ten czas się skończył. W moim biznesie rzadko można powtórzyć sukces.

– Na szczęście w naszym jest inaczej – odparł Ernesto.

I była to prawda. Mógł rozsyłać dostawy w kontenerach statkami handlowymi i ciężarówkami po całej Ameryce. Jeśli stracił jeden z nich, a cel podróży został odkryty, Ameryka zapewniała jego ludziom pełną ochronę prawną. Tylko głupcy trafiali do więzienia.

Z biegiem lat nauczyli się zwodzić psy tropiące i na różne sposoby udaremniaли próby wykrywania ładunku. Najważniejsze było, żeby korzystać z ludzi, którzy chcieli podejmować ryzyko. Większość z nich przeżywała, wracała do Kolumbii na zasłużoną emeryturę i żyła na poziomie górnej klasy średniej. Ich majątek pochodził z dawnych czasów, a do przeszłości nigdy się nie wracało, ani w czynach, ani w słowach.

– A więc kiedy możemy zacząć operację? – spytał Muhammad.

Jest niecierpliwy, zauważył Ernesto. Ale można go przecież wykorzystać do własnych celów. Jeśli uda mu się coś osiągnąć, odciągnie stróżów prawa od działań przeciw przemytnikom. To dobrze. Relatywnie niewielkie straty na granicach, z którymi nauczył się jakoś godzić, zmniejszą się tak bardzo, że staną się nieznaczące. Cena kokainy na ulicach spadnie, ale zwiększy się popyt, nie zmniejszy się więc dochód netto ze sprzedaży. To będzie zysk taktyczny. Co więcej, Amerykanie przestaną interesować się Kolumbią, a ich operacje wywiadowcze skoncentrują się na czymś innym. To będzie strategiczna korzyść z tego przedsięwzięcia...

...zawsze pozostawała mu też możliwość przekazania informacji CIA. Mógłby powiedzieć, że terroryści zjawili się nieoczekiwanie na jego podwórku. Jasne będzie, że ich działania sanie do przyjęcia, nawet dla kartelu. Nie zaskarbi mu to miłości Ameryki, ale również nie zaszkodzi. A co do jego ludzi, którzy pomagali terrorystom, to rozprawią się z nimi we własnym zakresie. Amerykanie zgodzą się na to.

Było więc dużo zalet, a wad niewiele. Ogółem zapowiadało się na zyskowną operację.

– *Senor Miguel*, proponuję to przymierze moim współpracownikom i dam swoją rekomendację. Ostatecznej decyzji możesz oczekiwać przed końcem tygodnia. Zostaniesz w Cartagenie, czy będziesz podróżować?

– Wolałbym nie zostawać zbyt długo w jednym miejscu. Wylecę jutro. Pablo może się ze mną skontaktować przez Internet. Dziękuję za to miłe spotkanie w interesach.

Ernesto wstał i uściskał mu dłoń. Postanowił traktować Miguela jak biznesmena, zajmującego się podobnym, choć niekonkurencyjnym interesem. Na pewno nie przyjaciela, ale odpowiedniego sojusznika.

– Jak, u diabła, ci się to udało? – dopytywał się Jack.

– Słyszałeś kiedyś o firmie Infosec? – odpowiedział pytaniem Rick Bell.

– Zajmują się szyframi?

– Tak. Bezpieczeństwo systemów informatycznych. Mają siedzibę na przedmieściach Seattle. Ich szefem jest były zastępca dyrektora wydziału Z w Fort Meade. Razem z trzema współpracownikami założył tę firmę jakieś dziewięć lat temu. Stworzyli najlepszy na rynku program zabezpieczania informacji. Nie jestem pewien, czy NSA potrafi złamać jego kod, chyba że metodą obliczeń „na siłę” za pomocą ich nowych stacji Sun. Używa go niemal każdy bank na świecie, a już na pewno te w Liechtensteinie i w innych krajach europejskich.

Ale w programie jest furтка.

– I nikt tego nie zauważył?

Nabywcy programów komputerowych dawno już nauczyli się zatrudniać ekspertów z zewnątrz, którzy przeglądali je wiersz po wierszu. Była to obrona przed sztuczkami programistów, którzy pozwalali sobie na zbyt wiele.

– Ci z NSA programują dobry kod – odparł Bell. – Nie mam pojęcia, co tam wsadzili...

ale ci goście wciąż mają w szafach krawaty NSA... rozumiesz, co mam na myśli?

– Więc Fort Meade podsłuchuje, a my otrzymujemy to, co oni wygrzebią, kiedy faksują do Langley – podsumował Jack. – Jest w CIA jakiś specjalista od przepływu pieniędzy?

– Nie tak dobry jak nasi ludzie.

– Tylko złodziej złapie złodzieja, co?

– Właśnie, znajomość psychiki przeciwnika pomaga – zgodził się Bell. – Nie mamy tu do czynienia z jakąś dużą społecznością. Do diabła, znamy większość z nich, w końcu działamy w tej samej branży, nie?



– I dlatego zależy wam na mnie? – spytał Jack. Według amerykańskiego prawa nie był

żadnym tam księciem, ale Europejczycy wciąż myśleli tymi kategoriami. Gięli się w pokłonach, aby tylko uścisnąć mu rękę. Uważali go za obiecującego młodzieńca, nie wiedząc, czy nie jest totalnym głupkiem. Zabiegali o jego względy, przede wszystkim dlatego, że mógłby szepnąć słówko właściwej osobie. A to już była próba korupcji... a przynajmniej stworzenia dogodnej dla niej atmosfery.

– Czego nauczyłeś się w Białym Domu? – spytał Bell.

– Chyba niewiele – odparł Jack. Uczył się głównie od Mike’a Brennana, który serdecznie nie cierpiał wszystkich tych dyplomatycznych pierdoł, a codzienne wydarzenia polityczne często omawiał z zagranicznymi kolegami, którzy takie same rzeczy oglądali w swoich stolicach, to samo o nich myśleli i tak samo zachowywali pokerowe twarze na służbie. Jack doszedł do wniosku, że lepiej było uczyć się tego wszystkiego w ten sposób niż tak jak jego ojciec. Nie musiał uczyć się pływać, próbując nie utonąć. O tym ojciec nigdy nie wspominał, chyba że był wściekły na wszechobecną korupcję.

– Uważaj, jak rozmawiasz o tym z Gerrym – ostrzegł Bell. Chętnie mówi, jaki w porównaniu z tym czysty i uczciwy jest handel.

– Tata naprawdę gościa lubi. Myślę, że są trochę podobni.

– Nie trochę, ale bardzo.

– Hendley rzucił politykę z powodu tego wypadku, prawda?

– Tak. Poczekaj, aż będziesz miał żonę i dzieci. To chyba największy cios, jaki może spotkać mężczyznę. Gorszy, niż możesz sobie wyobrazić. Musiał zidentyfikować ich ciała, a to było okropne. Po czymś takim niektórzy strzelają sobie w łeb. Ale nie on. On też myślał o wyścigu do Białego Domu... pewnie uważał, że Wendy byłaby dobrą pierwszą damą. Może i tak, lecz stracił na to apetyt, kiedy wydarzyła się ta tragedia. – Urwał. Przełożeni z Campusu chronili swego szefa... a przynajmniej jego reputację. Uważali, że zasługuje na lojalność. W

Campusie nie zastanawiano się, kto powinien zostać jego następcą. Nikt nie wybiegał tak daleko myślami. Nie poruszano tego tematu na zebraniach zarządu, poświęconym głównie sprawom pozasłużbowym. Ciekawe, czy John Patrick Ryan junior to zauważy. – A więc –

powiedział po chwili Bell – czego się już dowiedziałeś?

– Przeczytałem transkrypty rozmów dyrektorów banków centralnych. Zaskakujące, jak ci goście bywają sprzedajni. – Jack umilkł. – No tak, to chyba nie powinno mnie dziwić?

– Kiedy pozwala się ludziom kontrolować taką ilość pieniędzy, czy taką władzę, musi dochodzić do korupcji. Dziwi mnie natomiast, że nie ma tu miejsca na patriotyzm. Wielu z tych facetów zarabia na dewaluacji swojej waluty, nawet jeśli odbywa się to kosztem współobywateli. W dawnych czasach szlachta często lepiej dogadywała się z zagraniczną szlachtą niż z zamieszkującymi jej włości poddanymi tego samego króla. I tak pozostało –

przynajmniej w tych kręgach. Nasi giganci przemysłowi mogą wspólnie lobbować Kongres, ale nieczęsto oferują upominki i nie wymieniają się tajemnicami. Spisek na tym poziomie nie jest niemożliwy, lecz ukrywanie go przez dłuższy czas byłoby trudne. Zbyt wielu ludzi, a każdy może się wygadać. W Europie zaczyna być tak samo. Czy tu, czy tam, nic tak nie cieszy mediów jak dobry skandal, a wolą zjechać bogatego kanciarza niż urzędującego ministra. W końcu minister jest często cennym źródłem informacji, a kanciarz tylko kanciarzem.

– A jak zapewniacie sobie uczciwość swoich ludzi?

Dobre pytanie, pomyślał Bell. Choć niewiele o tym mówili, wciąż się tym zamartwiali.

– Dobrze im płacimy. Każdy uczestniczy w grupowym planie inwestycyjnym, który zapewnia poczucie bezpieczeństwa. Roczny zysk z inwestycji w ostatnich latach wynosił

około dziewiętnastu procent.

– Nieźle. – Delikatnie mówiąc, dodał w myśli junior. – Wszystko legalnie?

– Zależy, z jakim prawnikiem rozmawiasz, ale żaden amerykański adwokat nie robi z tego afery, a my zachowujemy największą ostrożność. Nie lubimy tu chciwości. Moglibyśmy zbudować drugą piramidę Ponziego, ale wówczas zwrócono by na nas uwagę. Tak więc z niczym się nie afiszujemy. Zarabiamy wystarczająco dużo, żeby pokryć koszty operacji i zaopatrzyć nasze oddziały. – Mieli też na oku pieniądze pracowników i ich ewentualne transakcje. Większość żadnych nie dokonywała, choć niektórzy za pośrednictwem biura przeprowadzali operacje na kontach, z zyskiem, ale nie zachłannie. – Podaż nam numery wszystkich swoich kont i kody do nich, a komputery będą je kontrolować.

– Mam konto powiernicze założone przez tatę, zarządza nim firma księgową z Nowego Jorku. Dostaję całkiem niezłe kieszonkowe, ale nie mam dostępu do kapitału. To, co sam zarabiam, należy tylko do mnie, chyba że im to prześlę. Wtedy to inwestują i przysyłają mi kwartalny wyciąg. Kiedy skończę trzydzistkę, będę mógł sam się w to bawić. – Jednak trzydziestka wydawała się młodemu Jackowi Ryanowi zbyt odległa, by już teraz łamał sobie głowę.

– Wiemy o tym – oświadczył Bell. – To nie kwestia braku zaufania. Po prostu chcemy mieć pewność, że nikt nie wpadnie w nałóg hazardu.

Najlepszymi matematykami wszech czasów byli pewnie ci, którzy wymyślili reguły rządzące grami hazardowymi, pomyślał Bell. Stwarzały one iluzję powodzenia, wystarczającą, żeby się wciągnąć. Najniebezpieczniejszy z narkotyków rodził się w ludzkim umyśle. To też było ego.

– Zatem zaczynam po jawnej stronie? Obserwacja wahań walut i takie tam?... – spytał

Jack.

– Właśnie – potaknął Bell. – Najpierw musisz nauczyć się języka.

– W porządku. – Jego ojciec zaczynał jeszcze skromniej: jako kierownik księgowości w Merrill Lynch musiał nagabywać potencjalnych klientów. Praca od podstaw nie służyła zapewne ego, za to dobrze robiła duszy. Ojciec często mawiał, że cierpliwość jest cnotą. I jak upierdliwe bywa zdobywanie się na nią... nawet kiedy się ją już ma. Ale każda gra toczy się według określonych reguł, nawet w miejscu takim jak to. Zwłaszcza w takim jak to, poprawił

się Jack. Ciekawe, co przytrafiło się ludziom z Campusu, którzy złamali zasady. Pewnie nic dobrego.

– *Buon vino* – stwierdził Dominic. – Niezła piwniczka, zwłaszcza jak na posiadłość rządową. – Wino, rocznik 1962, było butelkowane na długo przed przyjściem braci na świat...

właściwie w czasach, kiedy ich matka zastanawiała się dopiero, czy pójść do szkoły średniej prowadzonej przez szarytki, kilka przecznic od domu dziadków na Loch Raven Boulevard w Baltimore... czyli jakoś tak przed końcem ostatniej epoki lodowcowej i cholernie daleko od Seattle, gdzie dorastali. – Jest bardzo stara? – spytał Alexandra.

– Posiadłość? Była tu już na długo przed wojną secesyjną. Dom wybudowano w tysiąc siedemset którymś. Został spalony i odbudowany w 1882. Należy do rządu od wyboru Nixona. Poprzedni właściciel, J. Donald Hamilton, pracował w OSS. Starszy gość, współpracował z Donovanem i jego paczką. Dostał za dom niezłą cenę. Przeprowadził się do Nowego Meksyku i tam zmarł, chyba w 1986. Miał dziewięćdziesiąt cztery lata. Mówią, że swego czasu pociągał za sznurki, nieźle namieszał podczas pierwszej światowej, pomagał też Dzikemu Billowi w walce z nazistami. W bibliotece wisi jego portret. Wygląda jak ktoś, komu lepiej zejść z drogi. O tak, on to się znał na winach. To jest z Toskanii.

– Dobrze smakuje z cielęciną – stwierdził Brian. To on gotował.

– Ta cielęcina smakowałaby dobrze ze wszystkim. Tego nie nauczyłeś się w marines – zauważył Alexander.

– Nie, od taty. Gotuje lepiej niż mama – wyjaśnił Dominic. – Ma to ze starego kraju. A dziadek, skurczybyk, też to wciąż potrafi. Ile on ma lat, Aldo, osiemdziesiąt dwa?

– Skończył w zeszłym miesiącu – potwierdził Brian. – Zabawny staruszek, przebył pół świata, żeby znaleźć się w Seattle, a od sześćdziesięciu lat nie rusza się stamtąd na krok.

– W tym samym domu od czterdziestu lat – dodał Dominic. – Przecznicę od restauracji.

– Ten przepis na cielęcinę to jego?

– Bez dwóch zdań, Pete. Nasza rodzina pochodzi z Florencji. Byłem tam dwa lata temu, kiedy okręt

zawinął do portu w Neapolu. Jego kuzyn ma tam restaurację, w górę rzeki od Ponte Vecchio. Kiedy dowiedzieli się, kim jestem, zaczęli mnie paść bez opamiętania. Włosi kochają marines.

– To przez to zielone wdzianko, Aldo – stwierdził Dominic.

– A może dlatego, że tak męsko w nim wyglądam, Enzo. Pomyślałeś kiedyś o tym? –

odciął się kapitan Caruso.

– Jasne – odparł agent specjalny Caruso, odgryzając kęs cielęciny po francusku. – Siedzi tu z nami następny Rocky.

– Wy tak zawsze, chłopcy? – spytał Alexander.

– Tylko kiedy pijemy – odparł Dominic, a jego brat się roześmiał.

– Enzo ma cholernie słabą głowę. Co innego my, marines.

– Muszę tego wysłuchiwać od kogoś, kto uważa miller lite za piwo? – rzucił niby to w powietrze Caruso z FBI.

– No nie, bliźnięta powinny być podobne – zaproponował Alexander.

– Tylko jednojajowe. A mama tego miesiąca uwolniła dwa jajeczka. Mama i tata nabierali się, póki nie skończyliśmy roku. Wcale nie jesteśmy podobni, Pete – oznajmił Dominic. Brian uśmiechnął się i nie zaprzeczył.

Alexander wiedział jednak swoje. Oni tylko ubierali się inaczej – a to się wkrótce zmieni.

## **Rozdział 5**

# SOJUSZE

Muhammad poleciał pierwszym samolotem Avianki do Mexico City, gdzie czekał na lot British Airways nr 242 do Londynu. Na lotniskach czuł się bezpiecznie. Wszystko było tu anonimowe. Musiał uważać na jedzenie, bo Meksykanie to naród niewiernych. Poczekalnia dla pasażerów pierwszej klasy chroniła go jednak przed tym barbarzyństwem. Wybrał więc miejsce w rogu, z dala od okien i zaczął czytać kupioną na lotnisku książkę, starając się nie zanudzić na śmierć. Oczywiście nigdy nie czytał w takich miejscach Koranu ani nic o Bliskim Wschodzie. Jeszcze by ktoś go zagadnął. Nie, musiał żyć swoją „legendą”, jak wielu zawodowych wywiadowców, tak by nie skończyć jak ten Żyd Greengold w Rzymie.

Muhammad nawet z toalet korzystał ostrożnie, żeby nikt nie spróbował z nim tej samej sztuczki.

Nie używał też laptopa, choć mógł robić to swobodnie. Lepiej siedzieć spokojnie i niczym się nie wyróżniać. Za dwadzieścia cztery godziny wróci do Europy. Zdał sobie sprawę, że właściwie to nigdzie nie mieszka. Nie miał domu, tylko wiele kryjówek, nie do końca bezpiecznych. Od blisko pięciu lat miał zakaz wjazdu do Arabii Saudyjskiej. Podobnie do Afganistanu. Dziwne, ale niemal bezpiecznie mógł się czuć tylko w chrześcijańskich krajach europejskich, tych, które muzułmanie wielokrotnie – i bezskutecznie – próbowali podbić. Ich mieszkańcy przejawiali niemal samobójczą otwartość wobec obcych. Człowiek mógł tam zniknąć, niewiele umiejąc – prawie nic, prawdę mówiąc, jeśli miał pieniądze.

Europejczycy przejawiali w swej gościnności niesamowitą skłonność do autodestrukcji, bardzo bali się obrazić tych, którzy chętnie ujrzeliby ich martwych, dzieci też, a ich kulturę –

w gruzach. Była to wizja miła jego sercu, lecz on nie żył marzeniami, tylko starał się je realizować. Ta walka będzie trwała i po jego śmierci. Smutne, lecz niestety prawdziwe. Ale lepiej służyć sprawie niż własnym interesom – choć w większości ludzie na świecie tak nie myślą.

Zastanawiał się nad tym, co mówili i myśleli wczoraj jego prawdopodobni sprzymierzeńcy. Z pewnością nie byli prawdziwymi sojusznikami. O tak, mieli wspólnych wrogów, ale to jeszcze nie czyniło z nich sojuszników. Może trochę ułatwią im działanie, lecz nic ponad to. Ich ludzie nie pomogą jego ludziom w żadnym poważnym przedsięwzięciu. Jak uczy historia, najemnicy nigdy nie byli skutecznymi żołnierzami. Aby skutecznie walczyć, trzeba wierzyć. Tylko człowiek wierzący zaryzykuje życie, bo tylko taki człowiek nie zna strachu. Przecież sprzyja mu sam Allah. Czego zatem się bać? Tylko jednego. Porażki. Nie dopuszczał myśli o niej. Przeszkody na drodze do sukcesu należało usunąć w każdy dogodny sposób. To tylko przeszkody. Nie ludzie. Nie dusze. Muhammad wyjął z kieszeni papierosa i zapalił. Przynajmniej pod tym względem Meksyk był cywilizowanym krajem... choć wolał

nie spekulować, co Prorok powiedziałby o tytoniu.

– Samochodem łatwiej, co, Enzo? – drażnił się z bratem Brian, kiedy minęli już metę.

Pięciokilometrowy bieg to nie był wielki wysiłek dla marine, ale Dominic, którego szczytem możliwości był test sprawnościowy przed wstąpieniem do FBI, trochę się napocił.

– Słuchaj, palancie – wydyszał Dominic. – Ja muszę tylko biegać szybciej od podejrzanych.

– Afganistan dałby ci w kość. – Brian biegł teraz tyłem, żeby lepiej widzieć brata.

– Pewnie tak – przyznał Dominic. – Tyle że Afgańczycy nie napadają na banki w Alabamie i New Jersey. – Dominic nigdy nie ustępował bratu wytrzymałością, najwyraźniej jednak marines bardziej dbali o formę niż agenci FBI. Ale jak on radzi sobie z pistoletem?

Bieg się zakończył i mogli wrócić na plantację.

– Zdaliśmy? – spytał Brian Alexandra, kiedy tylko wszedł do domu.

– Z łatwością. Obaj. Chłopaki, to nie szkoła dla rangersów. Nie walczycie o miejsce w drużynie olimpijskiej, ale podczas pracy w terenie dobrze jest umieć uciekać.

– Sierżant Słonko w Quantico zwykł tak mówić – potwierdził Brian.

– Kto? – spytał Dominic.

– Nicholas Honey, czyli Słonko, starszy sierżant broni marines. Pewnie wielu nabijało się z jego nazwiska, ale chyba nikt dwa razy. Był jednym z instruktorów w szkole zasadniczej.

Mówili też na niego Nick-Pryk – wyjaśnił Brian, rzucając bratu ręcznik. – Niezły był z niego skurwiel. To on powiedział, że każdy żołnierz piechoty musi umieć uciekać.

– Ty uciekałeś? – zainteresował się Dominic.

– W ciągu dwóch miesięcy tylko raz uczestniczyłem w walkach. Przeważnie oglądaliśmy kozice, które dostały zawału od wspinaczki w tych pieprzonych górach.

– Tak źle?

– Jeszcze gorzej – wtrącił się Alexander. – Ale wojna jest dla dzieci, a nie dla wrażliwych dorosłych. Widzisz, agencie Caruso, na placu boju masz też ze trzydzieści kilo na plecach.

– Niezła zabawa – przyznał Dominic, nie bez nuty podziwu.

– Wielkie mi co... OK, Pete, jakie inne atrakcje mamy dziś w planie? – spytał Brian.

– Najpierw się umyć – poradził Alexander.

Teraz, kiedy już się upewnił, że obaj są w znośnej kondycji – przedtem miał co do tego pewne

wątpliwości... choć to bagatelizował – mogli zająć się czymś trudniejszym. I ważniejszym.

– Dolar spadnie – oznajmił Jack Samowi Grangerowi, swemu nowemu szefowi.

– Jak bardzo?

– Odrobinę. Niemcy chcą go zdewaluować w stosunku do euro, chodzi o jakieś pięćset milionów.

– To duży problem? – spytał Granger.

– Mnie się pytasz? – odparł Jack.

– Ano tak. Powinieneś mieć swoje zdanie. Nie musi być słuszne, ale musi mieć sens.

Jack Ryan junior pokazał mu przechwycone informacje i powiedział:

– Ten gość, Dieter, rozmawia ze swoim francuskim odpowiednikiem. Ma to brzmieć jak rutynowa transakcja, lecz tłumacz mówi, że w jego głosie słyhać złośliwość. Znam trochę niemiecki, lecz nie na tyle, aby wyłapać takie niuanse. Nie rozumiem, czemu Niemcy i Francuzi mieliby przeciw nam spiskować.

– Zbratanie się z Francuzami leży w interesie Niemców. Ale to nie będzie długotrwały sojusz. Francuzi z zasady obawiają się Niemców, a Niemcy gardzą Francuzami. Ale Francuzi mają ambicje imperialne... zawsze je mieli. Spójrz tylko na ich stosunki z Ameryką. Jak rodzeństwo dwunastolatek! Kochają się, ale nie potrafią się dogadać. Z Niemcami i Francją jest podobnie, lecz to bardziej złożona sytuacja. Francuzi kilka razy nieźle im skopali tyłek, potem jednak Niemcy zebrali siły i skopali tyłek Francuzom. I oba kraje mają co wspominać.

Tak to już jest w Europie. Mają długą i pogmatwaną historię i trudno im o niej zapomnieć.

– A co to ma wspólnego z naszą sprawą? – spytał młody Ryan.

– Bezpośrednio nic, ale może stanowić tło. Może niemiecki bankier chce zbliżyć się do Francuza, żeby to wykorzystać w przyszłej rozgrywce. Może tamten pozwala mu myśleć, że się zbliża, by francuski bank centralny mógł zdobyć punkty kosztem Berlina. Zabawna gra.

Nie możesz całkiem rozgromić przeciwnika, bo nie będzie już chciał z tobą grać... poza tym, po co robić sobie wrogów, szkoda zachodu. To trochę jak dobrosąsiedzka gra w pokera. Jeśli idzie ci za dobrze, to robisz sobie wrogów i już nie jest fajnie tam mieszkać, bo nikt nie chce do ciebie wpaść na partyjkę. Jeśli zachowujesz się przy stole jak przygłup, pozostali sprzysięgają się przeciw tobie i kantują cię z uśmiechem na twarzy nie żeby ci zrobić krzywdę, tylko żeby udowodnić sobie, jacy są sprytni. No więc każdy gra ciut poniżej swoich możliwości, by zachować przyjacielską atmosferę. Strajk generalny grozi utratą płynności na skalę ogólnokrajową, a jeśli do niego dochodzi, każdy potrzebuje przyjaciół. Zapomniałem ci jeszcze powiedzieć, że ci z banków centralnych mają wszystkich innych na starym kontynencie za wieśniaków. Łącznie z głowami państw.

– A nas?

– Amerykanów? No cóż... Mają nas za nikczemnego urodzenia, niedouczonego, ale mających niezwykłego farta wieśniaków.

– Z dużymi spluwami? – spytał Jack.

– O tak, wieśniacy ze spluwami zawsze irytują arystokratów. – Granger niemal się nie roześmiał. – Tam wciąż jeszcze wyznają bzdurny podział na klasy. Nie potrafią zrozumieć, jak kiepsko przez to łądują na rynku, bo grube ryby rzadko wpadają na nowe pomysły. Ale to nie nasz problem.

*Oderint dum metuant*, pomyślał Jack. Przynajmniej to zapamiętał z łaciny. Miało to być jakoby osobiste motto Kaliguli: „Niech nienawidzą, byle się tylko bali”. Czy cywilizacja nie zrobiła żadnych postępów przez ostatnie dwa tysiąclecia?

– A co jest naszym problemem? – spytał.

– Nie o to mi chodziło. – Granger potrząsnął głową. – Nie przepadają za nami, nigdy nie przepadali, ale nie mogą bez nas żyć. Niektórzy zaczynają myśleć, że owszem, mogą, po rozpadzie Związku Radzieckiego, ale gdyby spróbowali, rzeczywistość dałaby im wycisk. Nie myl poglądów arystokracji z poglądami ludu. Na tym właśnie polega ich problem, naprawdę wierzą, że ludzie idą za ich głosem, ale tak nie jest. Ludzie idą za głosem własnych portfeli.

Facet z ulicy sam wszystko rozgryzie, jeśli tylko dać mu czas.

– Więc Campus zarabia pieniądze na ich fantazjach?

– Już łapiesz. Nie cierpię oper mydlanych. A wiesz dlaczego? – Odpowiedziało mu zakłopotane spojrzenie. – Dlatego, Jack, że tak dokładnie odzwierciedlają rzeczywistość.

Prawdziwe życie, nawet na tym poziomie, pełne jest różnych pierdoł... i zarozumiałców. To nie miłość kręci światem. I nawet nie pieniądze. To pierdoły.

– No, no... słyszałem już cyników, ale to...

Granger przerwał mu.

– To nie cynizm. Taka jest ludzka natura. Jedyna niezmienna rzecz od dziesięciu tysięcy lat. I pewnie taka pozostanie. Jasne, natura ludzka ma też dobre strony: szlachetność, miłosierdzie, poświęcenie... czasem nawet odwaga... i miłość. Miłość się liczy. Bardzo się liczy. Ale w parze z nią idzie zazdrość, pożądlivość, chciwość... wszystkie siedem grzechów głównych. Może Jezus wiedział, o czym mówi, hę?

– To filozofia czy teologia? – A ja myślałem, że to wywiad.



– W przyszłym tygodniu kończę pięćdziesiątkę. Za wcześnie się postarzałem, a za późno zmadrzałem. Pewien kowboj powiedział to jakieś sto lat temu. – Granger się uśmiechnął. –

Problem w tym, że kiedy już zdasz sobie z tego sprawę, to jesteś za stary, żeby coś z tym zrobić.

– A ty co? Zacznesz głosić nową religię?

Granger roześmiał się serdecznie, odwracając się, aby nalać sobie kawy z ekspresu.

– Nie, wokół mego domu nie ma gorejących krzewów. Problem z głębokimi przemyśleniami jest taki, że nadal trzeba kosić trawę i nakrywać do stołu. I, w naszym przypadku, chronić swój kraj.

– Więc co zrobimy z tym Niemcem?

Granger jeszcze raz rzucił okiem na transkrypt i zastanowił się przez moment.

– Nic, przynajmniej jeszcze nie teraz, ale zapamiętamy sobie, że Dieter zarobił punkt u Claude'a. Za jakieś pół roku zechce coś na tym zyskać. Euro jest jeszcze zbyt młodą walutą, aby przewidzieć wynik tej rozgrywki. Francuzi myślą, że finansowe przywództwo w Europie należeć będzie do Paryża. Niemcy... że do Berlina. A tak naprawdę będzie należeć do kraju z najsilniejszą gospodarką i najwydajniejszą siłą roboczą. Nie będzie to Francja. Mają tam dobrych inżynierów, ale ludność nie jest nawet w połowie tak zorganizowana jak w Niemczech. Gdybym miał się założyć, postawiłbym na Berlin.

– Francuzom się to nie spodoba.

– To fakt, Jack. To fakt – powtórzył Granger. – No i Francuzi mają bombę atomową, a Niemcy nie... przynajmniej na razie.

– Mówisz poważnie? – spytał młody Ryan.

Uśmiech.

– Nie.

– Uczyli nas tego w Quantico – oznajmił Dominic.

Byli w średniej wielkości centrum handlowym wypełnionym tłumem studentów z pobliskiego Uniwersytetu Stanu Wirginia.

– Co wam mówili? – spytał Brian.

– Nie stój w tym samym miejscu względem podejrzanego. Spróbuj zmienić wygląd, załóż okulary

słoneczne czy coś takiego. Perukę, jeśli masz pod ręką. Dwustronną kurtkę. Nie gap się na niego, ale też się nie odwracaj, jeśli na ciebie spojrzy. Lepiej, jeśli jednym celem zajmuje się przynajmniej dwóch agentów. Jeden człowiek nie może długo śledzić wyszkolonego przeciwnika i nie zostać odkrytym. Poza tym ciężko się takiego śledzi nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Dlatego duże biura mają specjalne grupy inwigilacyjne. Należą do nich pracownicy FBI, którzy nie są zaprzysiężeni i nie noszą broni.

Mówią na nich „partyzanci z Baker Street”, coś jak Sherlock Holmes. Zupełnie nie wyglądają na gliny: bezdomni, włóczędzy, robotnicy... Często brudni. Mogą też żebrać. Spotkałem kiedyś kilku w nowojorskim biurze terenowym, pracują dla wydziałów przestępczości zorganizowanej i kontrwywiadu. To profesjonaliści, ale w życiu nie spotkałbyś kogoś wyglądającego mniej profesjonalnie.

– Trudna robota? – dopytywał się Brian. – Mam na myśli inwigilację.

– Nigdy sam nie próbowałem, ale z tego, co słyszałem, potrzeba wielu ludzi, z piętnastu, dwudziestu, do śledzenia jednego podejrzanego, plus samochody, śmigłowce... a i tak czarny charakter, jeśli jest naprawdę niezły, może nas wywieść w pole. Zwłaszcza Rosjanie. Te skurczybyki są dobrze wyszkolone.

– To co mamy robić? – drażył Brian.

– Nauczyć się podstaw – odparł Alexander. – Widzicie tamtą kobietą w czerwonym swetrze?

– Z długimi ciemnymi włosami? – uściślił Brian.

– Właśnie tę. Ustalcie, co kupuje, jakim jeździ samochodem i gdzie mieszka.

– Tylko my dwaj? – zdziwił się Dominic. – Nie żądasz czasem zbyt wiele?

– Nikt nie mówił, że będzie łatwo – oświadczył Alexander. Podał im dwie krótkofalówki.

– Włóżcie słuchawki do uszu, a mikrofony przypnijcie do kołnierzyków. Mają zasięg około trzech kilometrów. Obaj macie kluczyki do samochodu. – I podszedł do sklepu Eddiego Bauera, by kupić sobie szorty.

– Witaj po uszy w gównie, Enzo – mruknął Brian.

– Przynajmniej mieliśmy odprawę.

– Żebyś wiedział, odprawił nas.

Podejrzana weszła do sklepu Ann Taylor. Podążyli za nią, po drodze kupując po dużym kubku kawy, by wyglądać na luzie.

– Nie wyrzucaj kubka – poradził bratu Dominic.

– Czemu?

– Na wypadek gdybyś chciał się odlać. W takich sytuacjach natura lubi sobie zakpić z perfekcyjnego planu. Praktyczna lekcja z akademii.

Brian nie skomentował, ale wydało mu się to rozsądne. Włożyli słuchawki do uszu i upewnili się, że krótkofalówki działają.

– Aldo do Enzo, odbiór – wywołał Brian na kanale 6.

– Zrozumiałem, braciszku. Nie musimy widzieć się z bliska, ale trzymajmy się. w zasięgu wzroku, dobra?

– Brzmi rozsądnie. No to podejść do sklepu.

– Przyjąłem, Aldo. – Dominic odwrócił się i patrzył za oddalającym się bratem. Potem zaczął popijać kawę i obserwować podejrzaną – nie patrzył bezpośrednio w jej kierunku, tylko około dwadzieścia stopni w bok.

– Co ona robi? – spytał Aldo.

– Chyba wybiera bluzkę.

Podejrzana, dość atrakcyjna kobieta około trzydziestki, miała brązowe włosy do ramion.

Nosiła obrączkę, ale bez brylantu, i tani pozłacany naszyjnik, pewnie z Wal-Martu po drugiej stronie ulicy. Była w brzoskwińowej bluzce, a może koszuli, w czarnych spodniach i czarnych wygodnych butach na niskim obcasie. W ręce trzymała sporą torebkę. Zachowywała się swobodnie, to dobrze. W końcu zdecydowała się na bluzkę – sądząc po wyglądzie, z białego jedwabiu – zapłaciła za nią kartą kredytową i wyszła z Ann Taylor.

– Podejrzana idzie ulicą, Aldo.

Siedemdziesiąt metrów dalej z tłumu wynurzyła się głowa Briana. Porozumiał się spojrzeniem z bratem.

– Nadawaj, Enzo.

Dominic uniósł kubek, udając, że pije.

– Skręca w lewo, idzie w twoją stronę. Możesz ją przejąć za jakąś minutę.

– Zrozumiałem, Enzo.

Zaparkowali samochody po przeciwnych stronach centrum handlowego. Jak się okazało, dobrze

zrobili, bo podejrzana skręciła w prawo i skierowała się do wyjścia na parking.

– Aldo, podejdź bliżej, żeby złapać rejestrację – polecił Dominic.

– Że co?

– Odczytaj mi jej tablicę rejestracyjną i opisz samochód. Idę do swojego wozu.

– Przyjąłem.

Dominic nie pobiegł do samochodu. Poszedł szybko, ale tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Wsiadł, włączył silnik i opuścił wszystkie szyby.

– Enzo do Aldo, odbiór.

– W porządku. Ma ciemnozielone volvo kombi, tablice rejestracyjne z Wirginii: Waldemar, Karolina, Roman, sześć, jeden, dziewięć. Jest sama. Rusza, skręca na północ. Idę do swojego wozu.

– Zrozumiałem. Jadę za nią. – Dominic objechał dom towarowy Searsa na wschodnim skrzydle centrum handlowego tak szybko, jak na to pozwalał ruch. Sięgnął do kieszeni po komórkę. Zadzwoił do informacji i poprosił o numer biura FBI w Charlottesville. Za dodatkowe pięćdziesiąt centów od razu połączono go z biurem. – Uwaga, tu agent specjalny Dominic Caruso. Mój numer identyfikacyjny to jeden, sześć, pięć, osiem, dwa, jeden. Proszę wyszukać pojazd o numerach: Waldemar, Karolina, Roman, sześć, jeden, dziewięć.

Pracownik FBI wprowadził numer identyfikacyjny do komputera i potwierdził tożsamość Dominica.

– Co pan robi tak daleko od Birmingham, panie Caruso?

– Nie czas na to. Proszę wyszukać pojazd.

– Tak jest. OK, to roczne, zielone volvo, zarejestrowane na Edwarda i Michelle Peters, adres: Six Riding Hood Court, Charlottesville. To na zachodnich obrzeżach miasta. Coś jeszcze? Potrzebuje pan wsparcia?

– Nie. Dziękuję, poradzę sobie sam. Rozłączam się. – Przerwał połączenie i przekazał

bratu adres. Następnie obaj zrobili to samo: wprowadzili dane do komputerów nawigacyjnych.

– Oszukujesz – zauważył z uśmiechem Brian.

– Pozytywni bohaterowie nie oszukują, Aldo. Tylko robią swoje. OK, mam oko na podejrzaną. Jedzie na zachód Shady Branch Road. Gdzie jesteś?

– Jakies pięćset metrów za tobą... Cholera! Mam czerwone.

– OK, przeczekaj. Wygląda na to, że jedzie do domu. Wiemy, gdzie to jest. Dominic zbliżył się do celu na sto metrów – między nimi jechał pikap.

Dotąd rzadko robił coś takiego. Zaskoczyło go, że jest taki spięty.

– *Przygotuj się do skrętu w prawo, jeszcze półtora kilometra* – oznajmił komputer.

– Dzięki, złotko – mruknął Dominic.

Volvo skręciło, zgodnie ze wskazaniem komputera. Więc jednak na coś się przydawał...

Dominic wziął głęboki oddech.

– OK, Brian, chyba jedzie prosto do domu. Jedź za mną – rzucił przez krótkofalówkę.

– Zrozumiałem. Wiesz, kim jest ta laska?

– To Michelle Peters, przynajmniej według rejestru pojazdów.

Volvo skręciło w lewo, potem w prawo, w ślepią uliczkę, i wjechało na podjazd kończący się przy garażu obok dwupiętrowego domu. Dominic zaparkował sto metrów dalej i upił łyk kawy. Brian zjawił się trzydzieści sekund później i stanął jeszcze kawałek dalej.

– Widzisz samochód? – spytał Dominic.

– Tak, Enzo. – Marine urwał. – Co teraz?

– Wpadniecie do mnie na kawę – zaproponował kobiecie głos. – Jestem tą laską w volvo.

– Oż kurde... – szepnął Dominic, starając się nie mówić do mikrofonu. Wysiadł z mercedesa i kiwnął na brata.

Razem poszli pod wskazany adres. Kiedy szli po podjeździe, uchylili się drzwi.

– Przez cały czas nas wrabiała – syknął Dominic. – Powinienem być się domyślić na samym początku.

– No. Ale z nas przyglupy – irytował się Brian.

– Bez przesady. Ale wyciągać adres z rejestru pojazdów... to nieuczciwe – stwierdziła pani Peters.

– Nikt nam nic nie mówił o zasadach, proszę pani – zaprotestował Dominic.

– Jak widać, w tym interesie nie obowiązują żadne zasady.

– Więc przez cały czas nas pani podsłuchiwała? – spytał Brian. Skinęła głową i poprowadziła ich do kuchni.

– No tak. Komunikacja jest zaszyfrowana. Nikt inny nie wiedział, o czym rozmawiacie.

Jak wam smakowała kawa?

– Więc cały czas miała nas pani na oku? – dociekał Dominic.

– Właściwie to nie. Nie używam radia, żeby oszukiwać... no, może trochę. – Roześmiała się i bracia poczuli się lepiej. – Jesteś Enzo, tak?

– Tak, proszę pani.

– Byłeś trochę za blisko, ale tylko ktoś z sokolim wzrokiem mógłby cię zauważyć w tak krótkim czasie. Pomogła ci marka samochodu. Dużo tu takich merców. Ale lepszy byłby pikap, i to brudny. Wsioki nigdy ich nie myją, a niektórzy studenci też nabrali tego zwyczaju, pewnie żeby nie odstawać. Na międzystanówce to co innego... lepiej mieć śmigłowiec... i przenośny kibelek. Dyskretna inwigilacja należy do najtrudniejszych zadań. Ale teraz sami to wiecie, chłopcy.

Otworzyły się drzwi i wszedł Pete Alexander.

– Jak im poszło? – spytał Michelle.

– Mają u mnie czwórkę.

Dominic pomyślał, że jest zbyt szlachetna.

– I zapomnijcie, co wcześniej mówiłam. Telefon do FBI, żeby sprawdzić mnie w rejestrze pojazdów, to był niezły pomysł.

– A nie chwył nieuczciwy? – upewnił się Brian.

Odpowiedział mu Alexander.

– Jedyna zasada to wykonać misję i nie dać się złapać. W Campusie nie przyznajemy dodatkowych punktów za styl.

– Tylko za liczbę trupów – stwierdziła pani Peters, co wyraźnie zirytowało Alexandra.

Brian poczuł, jak kurczy mu się żołądek.

– Ten, tego... słuchajcie, wiem, że już o to pytałem, ale do czego właściwie się nas szkoli?

– dociekał Dominic.

– Cierpliwości, panowie – upomniął ich Pete.

– W porządku. Tym razem odpuszczę. – Dominic nie musiał dodawać, że nie na długo.

– Więc nie wykorzystacie tego? – spytał na koniec Jack.

– Moglibyśmy, ale szkoda zachodu. W najlepszym wypadku zarobilibyśmy kilkaset tysięcy dolarów... a pewnie mniej. Ale dobrze się spisałeś – pochwalił Granger.

– Ile takich komunikatów wpływa tu tygodniowo?

– Jeden czy dwa... cztery, jeśli mamy bardzo pracowity tydzień. – A ile z nich wykorzystujecie?

– Jeden na pięć. Jesteśmy ostrożni, ale mimo wszystko zawsze ryzykujemy, że nas zauważą. Gdyby Europejczycy zorientowali się, że zbyt często ich przechytrzamy, zainteresowałiby się, jak to robimy... pewnie przetrzepaliby własnych ludzi, szukając przecieku. Tak tam rozumują. To podatny grunt dla teorii spiskowych, a to z powodu sposobu, jak sami działają. Ale grają w tę grę zbyt często, w rezultacie przeciw sobie.

– Czemu jeszcze się przyglądacie?

Od przyszłego tygodnia będziesz miał dostęp do zabezpieczonych kont. Nazywają je numerowanymi, bo podobno są oznaczone kodami. Teraz, w epoce komputerów, są to raczej hasła. Pewnie podpatrzyli to w wywiadzie. Często do sprawdzania zabezpieczeń wynajmują szpiegów, ale niezbyt dobrych. Ci najlepsi trzymają się z dala od bankowości, głównie przez snobizm. Dla wytrawnego szpiega to zbyt trywialne – wyjaśnił Granger.

– Te „zabezpieczone” konta... pozwalają zidentyfikować właścicieli? – spytał Jack.

– Bywa różnie. Czasami wystarczy hasło, choć zdarza się, że banki przechowują notatki służbowe, z których możemy skorzystać. Ale nie zawsze. Poza tym bankierzy nigdy nie spekulują między sobą o klientach, przynajmniej nie na piśmie. Założę się, że gadają o nich przy lunchu... ale wielu z nich guzik obchodzi, skąd pochodzą pieniądze. Od Żydów zabitych w Auschwitz... od ojca chrzestnego z Brooklynu... to wszystko żywa gotówka.

– Ale gdyby przekazać to FBI...

– Nie możemy, bo to nielegalne, i nie zrobimy tego, bo stracilibyśmy sposób na tropienie tych drani i ich kasy. Od strony prawnej mamy do czynienia z wieloma ustawodawstwami, a dla niektórych krajów europejskich... cóż, bankowość to kokosowy interes, a żaden rząd nie odrzuci wpływów z podatków. Pies nie gryzie nikogo z domowników. A co robi na podwórku, to już ich nie obchodzi.

– Zastanawiam się, co o tym myśli tata?

– Założę się, że łamie sobie głowę – odparł Granger.

– Pewnie nie – zgodził się Jack. – Więc tropicie zabezpieczone konta, żeby śledzić tych złych... i ich pieniądze?

– O to właśnie chodzi. To o wiele trudniejsze, niż myślisz, ale kiedy już trafiasz, to w dziesiątkę.

– Więc będę dla was aportować?

– Ano tak. Jeśli się sprawdzisz – dodał Granger.

Muhammad był niemal nad ich głowami. Najkrótsza trasa z Mexico City do Londynu przebiegała blisko Waszyngtonu. Mógł spojrzeć w dół z wysokości jedenastu tysięcy metrów i ujrzeć amerykańską stolicę jak na mapie. Gdyby był członkiem Brygad Męczenników, mógłby wspiąć się po spiralnych schodach na wyższy poziom, zastrzelić pilotów i wejść w lot nurkowy... Poza tym teraz drzwi do kabiny pilotów były zabezpieczone, a w klasie biznesowej mógł siedzieć uzbrojony policjant, gotów popsuć całą zabawę. Albo jeszcze gorzej – uzbrojony żołnierz po cywilnemu. Muhammad nie darzył szacunkiem policjantów, ale życie nauczyło go nie pogardzać zachodnimi żołnierzami. Nie należał jednak do Brygad, choć podziwiał tych świętych wojowników. Jego zdolność wyszukiwania informacji sprawiała, że był zbyt cenny, aby go poświęcić – nawet w tak szlachetny sposób. To dobrze i źle zarazem, ale tak czy siak, takie były fakty, a on żył w świecie faktów. Spotka Allaha i wejdzie do rajy o czasie zapisanym ręką Boga w Jego Księdze. Na razie pozostało mu jeszcze sześć i pół godziny w samolocie.

– Więcej wina? – zagadnęła różanolica stewardesa. Jakąż nagrodą byłaby w rajy...

– O tak, dziękuję – odpowiedział czystą angielszczyzną z Cambridge.

Było to sprzeczne z nauką islamu, ale gdyby nie pił, wyglądałoby to podejrzanie, a jego misja była zbyt ważna, by mógł sobie pozwolić na ryzyko. Tak się sam przed sobą często usprawiedliwiałem, przyznał się w duchu. Poczul lekkie wyrzuty sumienia. Duszką wypił

alkohol i odchylił oparcie. Wiedział, że łamie zasady islamu, ale wino pomagało zasnąć.

– Według Michelle bliźniacy są niezli jak na początkujących – oznajmił Rick Bell szefowi.

– Sprawdzian z tropienia? – domyślił się Hendley.

– Taaa... – Nie musiał dodawać, że do prawdziwych ćwiczeń trzeba by użyć od ośmiu do dziesięciu samochodów, co najmniej dwóch śmigłowców i zaangażować ze dwudziestu agentów. Campus nie dysponował nawet częścią tych środków. W zamian za to mógł bardziej dowolnie postępować z podejrzanymi. Miało to swoje zalety... miało również wady. –

Alexander chyba ich lubi. Mówi, że są bystrzy i inteligentni.

– Dobrze wiedzieć. Coś jeszcze się wydarzyło?

– Rick Pasternak ma coś nowego.



- Co mianowicie? – spytał Gerry.
- Odmiana sukcylocholicy, syntetycznej kurary, niemal natychmiast paraliżuje mięśnie szkieletowe. Człowiek traci władzę w nogach i nie może oddychać. Rick mówi, że to straszna śmierć, jakby przebito pierś bagnetem.
- Można to wykryć? – dociekał Hendley.
- I tu dobra wiadomość. Znajdujące się w organizmie esterazy błyskawicznie rozkładają narkotyk do acetylocholicy, więc prawdopodobnie jest niewykrywalny, chyba że ofiara odwali kitę przed pierwszorzędnym centrum medycznym, zatrudniającym biegłego patologa, który będzie wiedział, czego szukać. Rosjanie prowadzili nad tym badania. Uwierzysz? Już w latach siedemdziesiątych. Myśleli o zastosowaniu tego środka na polu bitwy, ale okazało się to niepraktyczne. Dziwne, że nie wykorzystano tego KGB. Objawy zawaha mięśnia sercowego, wygląda to tak nawet na stole sekcyjnym w godzinę później.
- Skąd to macie?
- Ricka odwiedził kolega z Rosji. Okazało się, że jest Żydem. Rick skłonił go do mówienia. Powiedział tyle, że Rick od razu zmontował w swoim laboratorium aparaturę do destylacji. Teraz ją udoskonala.
- To wprost niewiarygodne, że nie wpadła na to mafia. Chcesz kogoś zabić, wynajmij lekarza.
- Dla większości z nich to wbrew zasadom. – Ale większość z nich nie miała brata, który pracował w Cantor Fitzgerald i pewnego wtorkowego ranka spadł z dziewięćdziesiątego siódmego piętra.
- Czy to lepsze od tego, co już mamy?
- Lepsze od tego, co mają wszyscy inni, Gerry. Rick mówi, że właściwie stosowane ma niemal stuprocentową skuteczność.
- Drogie?
- Wcale.
- Przetestowane? Naprawdę działa?
- Według Ricka sześć psów, dużych psów, zlikwidowano bez problemu.
- Dobra, zatwierdzam.
- Tak jest, szefie. Będziemy to mieli za dwa tygodnie.
- A co tam u naszych „przyjaciół”?

– Nie wiemy – przyznał Bell, spuszczać wzrok. – Jeden z gości z Langley sugeruje w swoich notatkach służbowych, że może zadaliśmy im tak poważny cios, że udało nam się ich spowolnić, a może nawet wykluczyć z gry. Ale jak coś takiego czytam, to tylko się denerwuję... te wszystkie pierdoły o sięganiu szczytów, które słyszy się, padając na dupę.

*Hubris ante nemesis.* Fort Meade nie potrafi namierzyć ich w sieci, ale to może znaczyć tylko tyle, że stali się sprytniejsi. Na rynku jest wiele dobrych programów szyfrujących... dwóch NSA jeszcze nie złamała, przynajmniej na to wygląda. Pracują nad tym po kilka godzin dziennie na komputerach mainframe. Jak to zwykleś mawiać, Gerry, najlepsi programiści nie pracują dla Wujka Sama...

– ...tylko tworzą gry komputerowe – dokończył Hendley. Rząd nigdy nie płacił na tyle dobrze, aby przyciągać największe talenty. I zawsze tak będzie. – Więc to tylko przeczucie?

Rick pokiwał głową.

– Póki nie znajdą się w ziemi, z kołkiem w sercu... póty będę się martwić.

– Trudno dorwać ich wszystkich, Rick.

– Cholera, masz rację.

I nawet ich osobisty Doktor Śmierć z Uniwersytetu Columbia nic na to nie poradzi.

## **Rozdział 6**

# ADWERSARZE

Pięć minut przed czasem, o 12.55, 747-400 łagodnie wylądował na Heathrow. Jak większość pasażerów Muhammad nie mógł się już doczekać zejścia z pokładu boeinga. Z

uprzejmym uśmiechem przeszedł przez kontrolę paszportową i skorzystał z łazienki. Kiedy znów poczuł się jak człowiek, poszedł do poczekalni Air France. Za półtorej godziny odlatywał do Nicei. Kolejne dziewięćdziesiąt minut – i dotarł do celu. W taksówce zaprezentował francuski na poziomie godnym absolwenta angielskiego uniwersytetu.

Kierowca poprawił go tylko dwukrotnie. Zameldował się w hotelu, posługując się brytyjskim paszportem. Robił to niechętnie, ale to był pewny dokument, już nieraz go używał. Niepokoił

go kod paskowy po wewnętrznej stronie okładki nowych paszportów. W tym paszporcie jeszcze go nie było, ale kiedy za dwa lata wygaśnie jego ważność, komputer będzie mógł go śledzić, dokądkolwiek by się udał. Cóż, miał trzy pewne i bezpieczne brytyjskie tożsamości –

trzeba tylko będzie zdobyć dla nich wszystkich paszporty i nie rzucać się w oczy, aby żadnemu brytyjskiemu konstablowi nie przyszło do głowy ich sprawdzać. Żadna przykrywka nie wytrzyma nawet pobieżnego śledztwa, a co dopiero starannego. Przez ten kod paskowy któregoś dnia zwróci na niego uwagę straż graniczna... a potem zjawi się policja. Ci niewierni utrudniają życie wyznawcom Allaha... ale czego innego się po nich spodziewać.

Hotel nie miał klimatyzacji, lecz wystarczyło otworzyć okna i do pokoju wpadła przyjemna bryza znad oceanu. Muhammad podłączył komputer do telefonu na biurku. Potem się położył. Tyle podróżował, ale wciąż źle znosił zmianę stref czasowych. Przez kilka następnych dni będzie się pokrębiał papierosami i kawą, aż jego zegar biologiczny odpowiednio się ustawi. Spojrzał na zegarek. Do spotkania pozostały mu jeszcze cztery godziny. To dobrze, pomyślał. Będzie jadł obiad, choć jego organizm spodziewałby się śniadania. Papierosy i kawa...

W Kolumbii była właśnie pora śniadania. Pablo i Ernesto woleli jego angielską wersję – jajka na szynce lub bekonie – z wyśmienitą miejscową kawą.

– Będziemy współpracować z tym zbiorem w turbanie? – spytał Ernesto.

– Dlaczego nie? – Pablo zamieszał śmietankę. – Sporo na tym zarobimy. Bałagan u *norteamericanos* też posłuży naszym interesom. Ich straż graniczna będzie szukać raczej ludzi niż skrytek. A nam niczym to nie grozi, ani bezpośrednio, ani pośrednio.

– A jeśli któregoś z tych muzułmanów wezmą żywcem i zmuszą do mówienia?

– I niby co powie? Z kim się będą spotykali oprócz meksykańskich kojotów? – Pablo odparł pytaniem na pytanie.

– Tu masz rację – zgodził się Ernesto. – Musisz mnie mieć za strachliwą starą babę.

– *Jefe*, ostatni, który tak o tobie pomyślał, od dawna nie żyje. – Pablo usłyszał w nagrodę pełen aprobaty pomruk.

– Prawda, ale tylko głupiec nie jest ostrożny, kiedy ściga go policja dwóch krajów.

– Podstawimy więc kogoś innego, niech jego ścigają, *jefe*.

Zaczynam niebezpieczną grę, pomyślał Ernesto. Tak, zawrze dogodny sojusz, tyle że nie będzie współpracował z nowymi sprzymierzeńcami, ale ich wykorzystywał. Podsunie Amerykanom marionetki, które będą mogli ścigać i zabijać. Ale przecież ci fanatycy za nic mają śmierć... Oni szukają śmierci. A więc wykorzystując ich, odda im przysługę, prawda?

Może nawet – mając się na baczności i unikając ryzyka – wydać ich *norteamericanos*. Zresztą jak niby mieliby go skrzywdzić? Na jego terenie? Tu, w Kolumbii? Mało prawdopodobne.

Nie żeby zamierzał ich zdradzić, ale nawet gdyby, to jak by się o tym dowiedzieli? Gdyby mieli naprawdę dobry wywiad, nie potrzebowałiby jego pomocy. A jeśli rządy – jankeski i jego – nie mogły go dorwać w Kolumbii, to jak mieli tego dokonać muzułmanie?

– Pablo, jak się kontaktujesz z tym facetem?

– Przez komputer. Ma kilka adresów e-mailowych, wszystkie u europejskich dostawców.

– Świetnie. Powiedz mu, że rada wyraziła zgodę. – Niewielu ludzi wiedziało, że to Ernesto jest radą.

– *Muy bien, jefe*. – Pablo sięgnął po laptopa. W niecałą minutę napisał i wysłał

wiadomość. Znał się na komputerach. Jak większość międzynarodowych przestępców i terrorystów.

Wiadomość znajdowała się w trzecim wierszu e-maila: *Juan, Maria jest w ciąży. To bliźnięta. Muhammad i Pablo mieli najlepsze na rynku programy szyfrujące. Zdaniem ich twórców niemożliwe do złamania. Ale Muhammad prędzej by uwierzył w Świętego Mikołaja.*

Wszystkie te firmy działały na Zachodzie i winne były lojalność swoim ojczyznom – nikomu innemu. Poza tym korzystając z takich programów, ściągał na swoje e-maile uwagę programów śledzących, z których korzystała NSA, brytyjska GCHQ4 i francuska DGSE5. Nie wspominając już o innych, nieznanach agencjach, które mogły podsłuchiwać przekazy 4 *Government Communications Headquarters* – komórka wywiadu zajmująca się nasłuchem radiowym (przyp.

*tłum.*)

5 *Directorate Général de Securite Exteriére* – Główny Dyrektoriat Bezpieczeństwa Zewnętrznego (przyp. tłum.) międzynarodowe – legalnie czy nie. Żadna z nich nie darzyła miłością Muhammada i jego współpracowników. Mosad z pewnością wiele by dał za jego głowę, mimo że nie wiedział – bo wiedzieć nie mógł – jak przyczynił się do eliminacji Davida Greengolda.

Ustalili z Pablo kod. Niewinne zwroty, które mogły krążyć po całym świecie, wplecione w e-maile. Za konta pocztowe płacili anonimowymi kartami kredytowymi. Same konta były w gestii dużych, cieszących się znakomitą reputacją europejskich dostawców usług internetowych. Internet na swój sposób zapewniał anonimowość równie skutecznie jak szwajcarskie prawo bankowe. Przez eter przepływało codziennie tyle e-maili, że nie mogły być wszystkie przeglądane – nawet za pomocą komputera. Jeśli tylko nie używa się słów kluczy, wiadomości są bezpieczne, uważał Muhammad.

Więc Kolumbijczycy będą współpracować: Maria jest w ciąży. Bliźnięta. Czyli można zacząć natychmiast. Powie o tym swemu gościowi przy obiedzie i sprawy ruszą z miejsca. Tę wiadomość warto nawet uczcić kieliszkiem wina... może dwoma... miłośnicy Allah to wybaczy.

Poranna przebieżka jest nudniejsza od rubryki towarzyskiej gazety z Arkansas – niestety, trzeba ją zaliczyć. Bracia wykorzystywali ten czas na myślenie. Głównie o tym, jakie to nudne. Na szczęście męka trwała tylko pół godziny. Dominic wpadł na pomysł, żeby kupić sobie przenośne radio, ale jakoś nigdy tego nie zrobił. Bo kiedy wybrał się po zakupy, nie myślał o takich rzeczach. A jego brat najwyraźniej lubił biegać. Kiepsko jest być w marines.

Potem śniadanie.

– No co tam, chłopcy, już rozbudzeni? – przywitał ich Pete Alexander.

– Jak to jest, że rano jesteś taki rzeński? – spytał Brian. W marines krążyło wiele opowieści o siłach specjalnych. Żadna z nich nie była pochlebna, a tylko kilka odpowiadało prawdzie.

– Starość ma swoje zalety – odparł oficer szkoleniowy. – Na przykład człowiekowi nie wolno się przemęczać.

– No dobra. Jaki mamy dziś plan zajęć? – Ty leniwy skurczybyku, chciał dodać kapitan. –

Kiedy dostaniemy te komputery?

– Niedługo.

– Mówiłeś, że zabezpieczenie szyfrem jest dość dobre – przypomniał Dominic. – To znaczy jak dobre?

– NSA może go złamać „na siłę”, jeśli ich komputery mainframe będą nad tym pracować przed jakimś tydzień. Mogą złamać wszystko, to tylko kwestia czasu. Potrafią już deszyfrować większość systemów komercyjnych. Mają też układ z większością programistów w zamian za algorytmy NSA.

Inne kraje też mogłyby tak robić, ale prawdziwa znajomość kryptologii wymaga wielkiego doświadczenia. Niewielu ludzi ma środki i czas, by je nabyć. Tak więc program komercyjny może utrudnić sprawę, ale nie bardzo, jeśli ma się jego kod źródłowy.

Dlatego nasi przeciwnicy starają się przekazywać informacje podczas spotkań albo używać kodów zamiast szyfrów. Jednak powoli od tego odchodzą, bo jest to zbyt czasochłonne.

Kiedy muszą, przekazać pilną informację, dają nam możliwość złamania szyfru.

– Ile wiadomości przechodzi przez sieć? – spytał Dominic.

Alexander sapnął.

– To właśnie jest największy problem. Są ich miliardy, a nasze programy do ich przeszukiwania nie są jeszcze wystarczająco dobre. Pewnie nigdy nie będą. To wielka sztuka zidentyfikować adres podejrzanego i namierzać go po nim. To czasochłonne, ale większość przestępców nie przywiązuje wagi do sposobu logowania się do systemu, w końcu trudno jest pamiętać wszystkie tożsamości. Ci goście to nie żadni supermani. Nie mają w głowach mikrochipów. Kiedy więc namierzemy komputer takiego gościa, od razu drukujemy jego książkę adresową. To istna żyła złota. Nawet jeśli czasem przesyłają jakiś bełkot, przez co Fort Meade traci godziny, a nawet dni, próbując złamać coś, co w ogóle nie ma sensu.

Profesjoniści używają w tym celu nazwisk z paryskiej książki telefonicznej. To bełkot w każdym języku prócz łotewskiego. Ale największym problemem jest brak lingwistów. Za mało mamy ludzi mówiących po arabsku. Pracują nad tym w Monterey i na niektórych uniwersytetach. Na liście płac jest wielu arabskich studentów. Ale nie w Campsie. My dostajemy tłumaczenia z NSA. Nie potrzebujemy własnych poliglotów.

– Więc nie jesteśmy tu po to, żeby zbierać informacje? – dopytywał się Brian. Dominic już na to wpadł.

– Nie. Możecie coś wykombinować, a my to wykorzystamy, ale wy macie działać na podstawie już uzyskanych informacji, a nie zbierać je.

– W porządku. No i wracamy do pierwszego pytania – zauważył Dominic. – Na czym, u diabła, polega nasza misja?

– A jak myślicie? – spytał Alexander.

– Ja myślę, że to coś, co nie spodobałoby się panu Hooverowi.

– Zgadza się. Niezły z niego był sukinsyn, ale też pedant w kwestii praw obywatelskich.

W Campsie tacy nie jesteśmy.

- Mów dalej – zachęcił go Brian.
- Mamy wykorzystywać informacje wywiadowcze i podejmować stanowcze działania.
- Czy nie mówi się na to „działania-dyrektywy”?

– Tylko w filmach – odparł Alexander.

– Czemu my? – zapytał Dominic.

– Więc tak, CIA to organizacja rządowa. Pełno wodzów, a mało zwykłych Indian. Ile agencji rządowych zachęca ludzi, by wkładali głowy w pętlę? Nawet kiedy się komuś uda, to adwokaci i księgowi zadziobią takiego na śmierć. Jeśli więc trzeba rozwinąć spiralę śmierci, upoważnienie musi pochodzić ze szczytów władzy. Stopniowo... no, nie całkiem stopniowo...

decyzje zaczął podejmować Wielki Szef z zachodniego skrzydła. Ale niewielu przywódców chce, by coś takiego znalazło się w ich aktach, bo jakiś historyk mógłby to wygrzebać i ujawnić. Odeszliśmy zatem od tego.

– A mało jest problemów, których nie można by rozwiązać kulą z czterdziestki piątki w odpowiednim miejscu i czasie – podsumował Brian, jak przystało na marine.

– No właśnie – zgodził się Pete.

– Mówimy o zabójstwach politycznych? Niebezpieczne – zauważył Dominic.

– One same nie, ale mają zbyt wiele konsekwencji politycznych. Coś takiego nie zdarzyło się od wieków... zresztą nigdy nie zdarzało się często. Jednak są na tym świecie ludzie, którzy chcą pilnie spotkać się z Bogiem. Czasami musimy zaaranżować to spotkanie.

– Cholera! – zaklął Dominic.

– Chwileczkę. A kto nas do tego upoważnia? – dociekał Brian.

– My.

– Nie prezydent?

Przeczący ruch głową.

– Nie. Jak już mówiłem, niewielu jest przywódców z jajami, którzy by zaakceptowali coś takiego. Za bardzo boją się mediów.

– Ale co z prawem? – zapytał Dominic.

– Jak to kiedyś trafnie ujął jeden z was, prawo jest takie: jak chcesz kopnąć tygrysa w dupę, musisz wiedzieć, jak sobie poradzić z jego zębami. Wy będziecie tymi zębami.

– Tylko my? – zdziwił się Brian.

– Nie, nie tylko wy, ale jeśli są jacyś inni, to nie musicie tego wiedzieć.

– Kurde... – Brian odchylił się na krzesło.

– Kto to wszystko założył... znaczy Campus?

– Ktoś ważny, kto się do tego nie przyzna. Campus nie ma żadnych związków z rządem.

Żadnych – podkreślił Alexander.

– Więc praktycznie rzecz biorąc, będziemy sami strzelać do ludzi?

– Raczej nie strzelać. Mamy inne metody. Pewnie nie będziecie często używać broni palnej. Zbyt trudno ją przenosić, zwłaszcza na lotniskach.

– Będziemy w terenie odsłonięci? – dociekał Dominic. – Bez ochrony?

– Będziecie mieć dobrą legendę, ale żadnej ochrony dyplomatycznej. Będziecie musieli sami sobie radzić. Żaden obcy wywiad was nie wytropi. Campus nie istnieje. Nie obejmuje go budżet federalny, nawet jego tajna część. Nikt nie może wyśledzić nas po przepływie pieniędzy. Bo tak to się właśnie robi. To jeden z naszych sposobów tropienia ludzi. Będziecie występować jako biznesmeni działający na arenie międzynarodowej. Bankowość i inwestycje.

Zostaniecie przeszkoleni w terminologii, żebyście mogli na przykład prowadzić rozmowy w samolocie. Tacy ludzie nie gadają za wiele o tym, co planują, trzymają w sekrecie swoje tajemnice biznesowe. Jeśli więc nie będziecie gadatliwi, to nie wyda się dziwne.

– Tajni agenci... o rany! – szepnął Brian.

– Wybieramy ludzi, którzy potrafią myśleć w biegu, wykazują inicjatywę i nie mdleją na widok krwi. Obaj już zabijaliście. W obu przypadkach stawiliście czoło nieoczekiwanym okolicznościom i obaj dobrze sobie poradziliście. Żaden z was nie ma wyrzutów sumienia.

Nadajecie się.

– A co z naszą ochroną? – znów spytał agent FBI.

– Obaj macie kartę wyjścia z więzienia.

– Gówno prawda – zaprotestował Dominic. – Nie ma czegoś takiego.

– To podpisane przez prezydenta ułaskawienie – wyjaśnił Alexander.



– Oż kurwa... – Brian się zastanowił. – To wujek Jack, prawda?

– Nie mogę ci odpowiedzieć, ale jeśli sobie życzycie, możecie obejrzeć ułaskawienia, zanim ruszycie w teren. – Alexander odstawił kubek z kawą. – OK, panowie. Macie parę dni, żeby to przemyśleć, ale w końcu musicie podjąć decyzję. Proszę was o wiele. Nie będzie to zabawna praca ani też łatwa czy przyjemna, ale ma służyć interesom kraju. Świat jest pełen niebezpieczeństw. Z niektórymi ludźmi trzeba się rozprawić osobiście.

– A jeśli załatwimy nie tego, co trzeba?

– To może się zdarzyć, Dominicu. Jednak bez względu na to, kto to będzie, mogę obiecać, że nie poprosimy cię, byś zabił młodszego brata Matki Teresy. Starannie dobieramy cele. Zanim cię wyślemy, dowiesz się, kto to jest, oraz jak i dlaczego musimy się nim, lub nią, zająć.

– Mamy zabijać kobiety? – oburzył się Brian. A co na to etos marines?

– O ile wiem, jeszcze się to nie zdarzyło, ale teoretycznie jest możliwe. Może tyle wystarczy na śniadanie. Przemyślcie to sobie, chłopcy.

– Jezu... – westchnął Brian po wyjściu Alexandra. – A co będzie na lunch?

– Zaskoczony?

– Nie całkiem... ale, Enzo, sposób, w jaki on to powiedział...

– Braciszku, ile razy zastanawiałeś się, czemu nie możemy po prostu wziąć spraw w swoje ręce?

– Jesteś gliną, Enzo! To ty powinieneś mówić „O cholera”, pamiętasz?

– No tak, ale ta strzelanina w Alabamie... no cóż, można powiedzieć, że trochę przekroczyłem tę linię... Przez całą drogę do Waszyngtonu zastanawiałem się, jak to wyjaśnię Gusowi Wernerowi. A on nawet nie mrugnął.

– Więc co ty o tym sądzisz?

– Chcę dowiedzieć się trochę więcej, Aldo. Jest takie teksaskie powiedzenie, że więcej facetów prosi się o kulkę niż koni o kradzież.

Takie odwrócenie ról było dla Briana więcej niż zaskakujące. W końcu to on był

napalonym marine. A Enzo – facetem, którego przeszkolono, by odczytywał ludziom ich prawa przed założeniem kajdanek.

To, że obaj mogą odebrać komuś życie i nie mieć potem koszmarów, było dla braci oczywiste. Ale tu chodziło o coś więcej. O morderstwo z premedytacją. Brian zazwyczaj szedł do walki, dowodząc

świetnie wyszkolonym snajperem. Wiedział, że to nie jest aż tak dalekie od morderstwa. Ale różnica polegała na tym, że robił to w mundurze. Mundur to było swego rodzaju błogosławieństwo. Celem był wróg, a na polu walki każdy musiał sam troszczyć się o swoje życie. Jeśli mu się to nie udało, to jego wina, nie człowieka, który go zabił. Ale tu chodziło o coś więcej. Polowaliby na pojedynczych ludzi, by ich zabić. Nie tak go wychowano, nie tak szkolono. Nosiłby cywilne ubranie... więc zabijając ludzi w tych okolicznościach byłby szpiegiem, a nie oficerem marines. Oficer to człowiek honoru, szpieg –

wręcz przeciwnie... przynajmniej tak mu wpajano. Prawdziwe życie to nie pojedynek, w którym przeciwnicy mają taką samą broń i potykają się na udeptanej ziemi. Nie, jego wyszkolono w planowaniu operacji w taki sposób, by nie dać wrogowi żadnej szansy, bo dowodził ludźmi, których życie przysięgał chronić. Walka ma swoje zasady. Surowe, ale jednak. A teraz proszono go, by o nich zapomniał i został... kim? Płatnym zabójcą? Zębami jakiejś wymyślonej bestii? Zamaskowanym mścicielem ze starego kina? To nie pasowało do jego uporządkowanego obrazu rzeczywistości.

Kiedy wysłano go do Afganistanu, to nie... no właśnie, czego nie robił? Nie przebierał się za ulicznego sprzedawcę ryb? Nic dziwnego, w tych cholernych górach nie było nawet ulic.

To, co robił, bardziej przypominało polowanie na grubego zwierza takiego, który sam jest uzbrojony, i w jakiś sposób przynosiło mu zaszczyt. Kraj odznaczył go za męstwo i trudy w walce, a on mógł, ale nie musiał się tym chwalić. Było się nad czym zastanawiać nad drugim kubkiem porannej kawy.

– Jezu, Enzo! – szepnął.

– Brian, wiesz, o czym marzy każdy glina? – spytał Dominic.

– O tym, by złamać prawo tak, żeby to mu uszło na sucho?

Dominic potrząsnął głową.

– Rozmawiałem o tym z Gusem Wernerem. Nie, nie łamać prawa, ale choć raz być prawem. Karzącą ręką Boga, jak to ujął, wymierzać sprawiedliwość, nie zważając na prawników i inne pierdoły... Nieczęsto się to zdarza, ale to właśnie zrobiłem w Alabamie... i było to wspaniałe uczucie. Musisz tylko mieć pewność, że dorwałś właściwego skurwiela.

– Jak możesz być tego pewien?

– Jeśli nie jesteś, wycofujesz się z misji. Nie mogą cię powiesić za niepopelnienie morderstwa, braciszku.

– Więc to morderstwo?

– Nie, jeśli skurwiela sam się o to prosił. – Kwestia punktu widzenia... ale istotna dla kogoś, kto już popełnił morderstwo pod przykrywką prawa i nie miał po tym koszmarów.

– Natychmiast?

– Tak. Ilu mamy ludzi? – spytał Muhammad.

– Szesnastu.

– Ach. – Muhammad upił łyk białego francuskiego wina z doliny Loary. Jego gość pił wodę mineralną z cytryną. – A ich znajomość języka?

– Chyba wystarczająca.

– Wspaniale. Powiedz im, żeby przygotowali się do podróży. Polecą do Meksyku. Tam spotkają naszych nowych przyjaciół i odwiedzą Stany. Kiedy już tam będą, zrobią, co do nich należy.

– *Inszallah*. W imię Allaha.

– Tak, w imię Allaha – powtórzył Muhammad po angielsku, przypominając swojemu gościowi, jakim językiem powinien się posługiwać.

Siedzieli w restauracyjnym ogródku z widokiem na rzekę, z boku, z dala od innych.

Rozmawiali swobodnie – dwaj dobrze ubrani mężczyźni przyjacielsko konwersujący przy obiedzie. Nie wyglądali na spiskowców. Musieli się skoncentrować, bo to, co robili, w naturalny sposób wiązało się z konspiracją. Ale takie spotkania to dla nich nie pierwszozna.

– Co czuleś, kiedy zabiłeś tego Żyda w Rzymie?

– Wielką satysfakcję, Ibrahimie... czulem, jak wiotczeje jego ciało, kiedy przeciąłem mu rdzeń kręgowy... widziałem zdumienie na jego twarzy.

Ibrahim uśmiechnął się szeroko. Nie co dzień zdarza się zabić oficera Mosadu – a co dopiero szefa placówki. Izraelczycy zawsze będą ich najbardziej znienawidzonymi wrogami, nawet jeśli nie najbardziej niebezpiecznymi.

– Bóg nam sprzyjał tego dnia.

Zabójstwo Greengolda było dla Muhammada ćwiczeniem w czasie wolnym od zajęć. Nie było nawet konieczne. Organizacja spotkania i karmienie Izraelczyków smakowitymi informacjami było... zabawne. Nawet niespecjalnie trudne. Chociaż nieprędko będzie to można powtórzyć. Nie, przez jakiś czas Mosad będzie strzec swoich oficerów. Nie są głupi.

Potrafiać uczyć się na własnych błędach. Ale zabicie tygrysa samo w sobie było satysfakcjonujące. Szkoda, że nie miał skóry. Tyle że gdzie on by ją powiesił? Muhammad nie miał już swojego domu, tylko kryjówek, które wcale nie musiały być całkiem bezpieczne.

Nie, nie można się zamartwiać. W ten sposób nic człowiek nie osiągnie. Muhammad i jego wspólnicy nie bali się śmierci, tylko porażki. A tej nie brali pod uwagę.

– Musisz podać mi ustalenia odnośnie spotkań i inne szczegóły. Zajmę się podróżami.

Broń dostarczą nasi nowi przyjaciele?

– Tak.

– A jak nasi wojownicy przedostaną się do Ameryki?

– Tym zajmą się nasi przyjaciele. Ale najpierw wysyłaj ich trójkami, żeby upewnić się, że jest wystarczająco bezpiecznie.

– Oczywiście.

Wiedzieli, co to jest bezpieczeństwo operacji. Dostali wiele lekcji, a żadna z nich nie była łagodna. Wielu członków ich organizacji siedziało w więzieniach na całym świecie – mieli pecha, że uniknęli śmierci. Z tym problemem organizacja jeszcze się nie uporała. Umrzeć w walce – to szlachetne i odważne. Dostać się w ręce policji jak pospolity kryminalista –

niegodne i upokarzające... lecz z jakichś powodów jego ludzie woleli umierać, choć nie doprowadzili do końca misji. A zachodnie więzienia dla wielu z nich nie były takie złe. Może i utracili wolność, ale przynajmniej regularnie dostawali jeść – i to zgodnie z ich obyczajami żywieniowymi.

Zachodnie narody były słabe i głupie w stosunku do wrogów – okazywały litość tym, którzy by jej nie okazali. Ale to już nie jego wina.

– Cholera! – zaklął Jack. To był jego pierwszy dzień po „tajnej” stronie. Szkolenie z wyższej finansowości poszło błyskawicznie. Zawdzięczał to swojemu wychowaniu. Dziadek Muller dobrze go poduczył podczas swych rzadkich wizyt w domu rodziców. On i ojciec zachowywali się wobec siebie jak cywilizowani ludzie, ale dziadek Joe uważał, że prawdziwy mężczyzna powinien zajmować się handlem, a nie brudną polityką. Choć oczywiście musiał

przyznać, że jego zięć nieźle sobie radził w Waszyngtonie. Ale w porównaniu z pieniędzmi, jakie mógł zarobić na Wall Street... czemu z nich rezygnować? Muller nigdy oczywiście nie powiedział tego małemu Jackowi, ale i tak wiadomo było, co o tym myśli. Jack mógł podjąć pracę w jednym z dużych domów maklerskich i szybko tam awansować. Ale dla niego ważne było, że może przeskoczyć szkolenie finansowe w Campusie i znaleźć się w wydziale operacyjnym – właściwie to nie była oficjalna nazwa, ale tak go ochrzcili jego pracownicy. –

Są aż tak dobrzy?

– Kto taki, Jack?

– NSA. – Podał Tony’emu Willsowi kartkę, a on ją przeczytał.

Przechwycona informacja identyfikowała znanego współpracownika terrorystów –

nieznana była jeszcze jego funkcja, a zidentyfikowano go na podstawie analizy spektrograficznej.

– To te telefony cyfrowe. Generują bardzo czysty sygnał. Na jego podstawie spektrograf komputerowy może z łatwością zidentyfikować głos. Wygląda jednak na to, że nie zidentyfikowali tego drugiego. – Wills oddał Jackowi kartkę.

Rozmowa zdawała się niewinna – do tego stopnia, że ktoś mógłby się zastanawiać, po co w ogóle ją prowadzili. Ale w końcu niektórzy lubią po prostu gadać, na przykład przez telefon. Albo posługiwać się kodem. O bronii biologicznej lub zamachach bombowych w Jerozolimie. Możliwe. Bardziej prawdopodobne było, że po prostu zabijali czas. Mieli go niemało w Arabii Saudyjskiej. Jackowi zaimponowało jednak to, że rozmowę przechwycono i odczytano w czasie rzeczywistym.

– Wiesz, jak działają telefony cyfrowe, prawda? Bez przerwy przesyłają sygnał

lokalizacyjny do najbliższego nadajnika. Każdy telefon ma własny kod adresowy. Gdy go już namierzemy, musimy tylko nasłuchiwać, kiedy zadzwoni lub kiedy jego właściciel wybierze numer. W podobny sposób identyfikujemy numer i telefon dzwoniącego. Najtrudniejsza jest pierwsza identyfikacja. Teraz przechwycili sygnał kolejnego telefonu, który można komputerowo monitorować.

– Ile telefonów śledzą? – spytał Jack.

– Trochę ponad sto tysięcy w samej tylko południowo-zachodniej Azji. Prawie wszystkie bezproduktywnie, z wyjątkiem może jednego na dziesięć tysięcy... który czasem może dać rzeczywiste wyniki – odparł Wills.

– A więc żeby namierzyć rozmowę, prowadzi się komputerowy nasłuch w poszukiwaniu słów kluczy?

– Słów oraz imion i nazwisk. Niestety, mnóstwo tam Muhammadów, to najpopularniejsze imię na świecie. Wielu z nich posługuje się patronimikami lub pseudonimami. Kolejny problem to ogromny rynek sklonowanych telefonów; klonują je w Europie, zwłaszcza w Londynie, gdzie większość telefonów ma międzynarodowe oprogramowanie. Gość może też mieć sześć czy siedem telefonów, użyć każdego raz i wyrzucić. Nie są głupi. Chociaż mogą być zbyt pewni siebie. Niektórzy w końcu całkiem sporo mówią, czasem nawet z pożytkiem dla nas. Wszystko trafia do wielkiej księgi NSA/CIA, do której mają dostęp nasze terminale.

– OK, kim jest ten facet?

– Nazywa się Uda bin Sali. Z bogatej rodziny bliskich przyjaciół króla. Tatuś jest potężnym

saudyjskim bankierem. Ma jedenastu synów i dziewięć córek. Cztery żony, to dopiero facet z wigorem. Nie jest chyba złym człowiekiem, ale trochę zaślepia go miłość do dzieci. Daje im pieniądze, zamiast poświęcać czas, jak jakaś gwiazda Hollywood. Uda odkrył

wielkość Allaha, kiedy jeszcze był nastolatkiem. Należy do wahabitów, to skrajnie prawicowy odłam islamu sunnickiego. Nie przepada za nami. Mamy oko na tego chłopca.

Może być ich pośrednikiem bankowym. W aktach CIA jest jego zdjęcie. Ma jakieś dwadzieścia siedem lat, z metr siedemdziesiąt wzrostu, szczupły, ze starannie przystrzyżoną brodą. Często lata do Londynu. Lubi panie na godziny. Nie jest żonaty. To niezwykle, ale jeśli jest gejem, dobrze to ukrywa. Angole podstawiali mu do łóżka dziewczyny. Podobno to ogier – czego należało się spodziewać w jego wieku – i całkiem pomysłowy.

– Sporo wymagają od swoich oficerów wywiadu – zauważył Jack.

– Wiele służb korzysta z pomocy dziwek – wyjaśnił Wills. – Nie mają nic przeciw rozmowie i za dobrą kasę zrobią niemal wszystko. Ten Uda lubi „huśtawkę”. Nigdy tego nie próbowałem. Azjatycka specjalność. Wiesz, jak wyświetlić jego dossier?

– Nikt mnie nie nauczył – odparł Jack.

– W porządku. – Wills podjechał krzesłem do komputera i zademonstrował: – To indeks główny. Hasło dostępu: Southwest 91.

Junior posłusznie wpisał hasło i komputer wyświetlił dossier w postaci plików w formacie Acrobat Reader.

Pierwsze zdjęcie było zapewne z paszportu. Sześć kolejnych – to ujęcia mniej formalne.

Jack jakoś się nie zarumienił. Nawet w katolickich szkołach, do których uczęszczał, uczniowie oglądali „Playboya”. Will kontynuował lekcję.

– O facecie można się dużo dowiedzieć na podstawie tego, co robi z kobietami. Langley ma psychiatrę, który szczegółowo to analizuje. Jego wnioski zawarte zostały w jednym z aneksów do tego pliku. Doktor nazywa się Stefan Pizniak. To profesor, ukończył Akademię Medyczną na Harvardzie. Jeśli dobrze sobie przypominam, twierdzi, że ten dzieciak wykazuje normalne popędy, zważywszy na wiek, stan finansów i pochodzenie społeczne. Dużo przebywa w towarzystwie londyńskich bankierów, jakby się uczył fachu. Bystry, sympatyczny, przystojny. Ostrożny i skromny w wydawaniu pieniędzy. Nie pije. Można więc powiedzieć, że jest religijny. Nie obnosi się z tym, nie poucza innych, ale żyje w zgodzie z głównymi zasadami swojej religii.

– A czemu jest czarnym charakterem? – spytał Jack.

– Dużo rozmawia z ludźmi, których znamy. Nie wiadomo, z kim kręci w Arabii Saudyjskiej. Nigdy go nie śledziliśmy na jego własnym podwórku. Nawet Brytyjczycy tego nie robią, a oni mają tam więcej

ludzi. CIA ma ich niewielu, a ten facet nie jest jakimś szycią, by warto mu się uważniej przyglądać; przynajmniej tak uważają. Szkoda. Jego tatuś jest ponoć dobrym człowiekiem. Pękłoby mu serce, gdyby się dowiedział, że synalek spotyka się pod jego bokiem z niewłaściwymi ludźmi – skomentował Wills i wrócił do własnego komputera.

Jack przyjrzał się twarzy na ekranie monitora. Mama potrafiła rozgryźć człowieka na pierwszy rzut oka, ale nie odziedziczył po niej tego daru. Miał na przykład problemy ze zrozumieniem kobiet. Jak większość mężczyzn, pocieszał się. Przyglądał się tej twarzy, próbując odgadnąć myśli kogoś, kto był dziesięć tysięcy kilometrów stąd, mówił innym językiem i przestrzegał zasad innej religii. Co mówią te oczy? Wiedział, że jego ojciec lubił

Saudyjczyków. Szczególnie bliski był mu książę Ali bin Sultan, wyższy urzędnik saudyjskiego rządu. Młody Jack spotkał go kiedyś w przelocie. Zapamiętał tylko brodę i poczucie humoru. Jack senior uważał, że ludzie wszędzie są tacy sami. I to swoje credo przekazał synowi. Ale oznaczało to także, że tak jak w Ameryce, tak i w innych częściach świata są zli ludzie. Jego kraj przekonał się o tym ostatnio w wyjątkowo dotkliwy sposób.

Niestety, urzędujący prezydent nie bardzo wiedział, jak sobie z tym poradzić.

Junior czytał dossier. Więc od tego zaczynała się praca w Campusie. Pracował nad sprawą... no, tak jakby nad sprawą, poprawił się w myśli. Uda bin Sali chciał zostać bankierem. Obracał więc pieniędzmi. Pieniędzmi ojca? Jeśli tak, to tatuś był nadziany. Uda rozgrywał swoją partię z wszystkimi większymi londyńskimi bankami – Londyn wciąż jeszcze był bankową stolicą świata. Jack nigdy by nie przypuszczał, że NSA mogła łamać takie kody.

Sto milionów tu, sto milionów tam... i mamy sporo kasy. Sali działał w branży zabezpieczania kapitału, co oznaczało, że nie tyle pomnażał powierzone mu pieniądze, ile upewniał się, że sejf był dobrze zamknięty. Miał siedemdziesiąt jeden kont pomocniczych.

Sześćdziesiąt trzy zidentyfikowano z dużym prawdopodobieństwem według banku, numeru i hasła.

Dziewczyny? Politycy? Sport? Zarządzanie pieniędzmi? Samochody? Ropa? O czym rozmawiają bogate saudyjskie książątka? To była biała plama w aktach. Czemu Angole tego nie podsłuchają? Wywiady z dziewczynkami nie przyniosły rewelacji – sownie wynagradzał te dziewczyny, które zapewniały mu szczególnie dobrą zabawę w jego domu na Berkeley Square... w ekskluzywnej części miasta. Poruszał się głównie taksówką. Miał samochód – ni mniej, ni więcej, tylko czarny kabriolet aston martin, ale według brytyjskiego informatora rzadko nim jeździł – nie miał za to kierowcy. Często odwiedzał ambasadę. Sporo informacji, właściwie jednak żadne rewelacje. Zwrócił na to uwagę Tony'emu Willsowi.

– Tak, wiem, ale jeśli coś się sypie, to z pewnością stwierdzisz, że kilka rzeczy powinno było rzucić ci się w oczy. W tym problem z tą cholerną branżą. Pamiętaj też, że widzimy przetworzony materiał. Jakiś nieszczęśnik bierze surowe dane i destyluje je do tej postaci.

Jakie istotne fakty mogły się zgubić po drodze? Nie sposób stwierdzić, chłopcze. Nie sposób.

To właśnie robił tata, przypomniał sobie junior. Szukał diamentów w wiadrze z gównem, a ja spodziewałem się czegoś łatwiejszego. No dobra, więc trzeba szukać niejasnych manipulacji pieniędzmi. Najgorsza rutynowa robota... i nie mógł nawet poprosić ojca o radę.

Pewnie by się wkurzył, gdyby dowiedział się, gdzie jego syn pracuje. Mama też by nie była zadowolona.

Ale jakie to ma znaczenie? Czy nie jest już mężczyzną, czy nie może robić w życiu, co mu się podoba? Niezupełnie. Władza rodzicielska nigdy się nie kończy. Zawsze będzie próbował ich zadowolić, pokazać, że dobrze go wychowali i że robi to, co słuszne. Albo coś w tym stylu. Jego ojciec miał szczęście. Nigdy nie dowiedzieli się o wszystkim, co robił. Czy im by się to spodobało?

Nie. Byliby zmartwieni. Ba, wściekli, że tyle razy ryzykował życie. A przecież Jack junior nie wiedział o wszystkim. W jego pamięci było wiele białych plam: ojca nie było w domu, a mama nie chciała powiedzieć dlaczego... a teraz i on znalazł się tutaj i jeśli nie robił

tego samego, to przynajmniej zmierzał w tym samym kierunku... Cóż, ojciec zawsze powtarzał, że świat jest zwariowany – i Jack postanowił się dowiedzieć, jak głęboko sięga to wariactwo.

## **Rozdział 7**



# TRANZYT

Wyruszyli z Libanu. Najpierw poleciecieli na Cypr. Stamtąd KLM-em na lotnisko Schipol w Holandii, a potem do Paryża. We Francji szesnastu mężczyzn nocowało w ośmiu hotelach, w dzień spacerowali ulicami, szlifowali angielszczyznę – przecież nie było sensu uczyć ich francuskiego – i próbowali porozumieć się z miejscowymi, którzy okazali się raczej nieużyci z wyjątkiem kilku Francuzek, te wprost wychodziły ze skóry, by mówić poprawnie po angielsku, i były pełne dobrych chęci. Nie całkiem bezinteresownie.

Wyglądali raczej zwyczajnie. Wszyscy pod trzydziestkę. Starannie ogoleni, przeciętnego wzrostu i wyglądu. Tylko ubrani byli lepiej niż przeciętnie. Dobrze skrywali niepokój, choć rzucali przeciągłe, ukradkowe spojrzenia na gliniarzy. Wiedzieli, że nie mogą zwracać uwagi mundurowych. Francuska policja miała opinię skrupulatnej, a to im się nie podobało.

Posługiwali się katarskimi paszportami, dość bezpiecznymi – ale paszport wydany nawet przez samego francuskiego ministra spraw zagranicznych nie przeszedłby w bezpośredniej konfrontacji. Starali się więc nie rzucać w oczy. Nakazano im nie rozglądać się za bardzo, zachowywać się uprzejmie i uśmiechać przyjaźnie. Na szczęście dla nich we Francji był

sezon turystyczny. W Paryżu roiło się od obcokrajowców. Wielu też kiepsko mówiło po francusku – dobra zabawa dla paryżan, którzy patrzyli na nich z góry... ale chętnie brali ich pieniądze.

Śniadanie następnego dnia obyło się bez rewelacji. Lunch też. Obaj bracia Caruso wysłuchiwali lekcji Pete'a Alexandra, ze wszystkich sił starając się nie usnąć. Lekcje wydawały się aż nadto oczywiste.

– Myślicie, że to nudne? – zapytał Pete przy lunchu.

– Cóż... Przełomowe to nie jest – odparł po kilku sekundach Brian.

– Trochę inaczej to będzie wyglądać w obcym mieście, powiedzmy na placu targowym, kiedy będziecie szukać podejrzanego w kilkutyśnym tłumie. Trzeba stać się niewidzialnym. Popracujemy nad tym dziś po południu. Masz w tym jakieś doświadczenie, Dominic?

– Nie bardzo. Znam tylko podstawy. Nie patrz bezpośrednio na podejrzanego. Używaj dwustronnych ubrań. Zmieniaj krawaty, jeśli jesteś wśród ludzi, którzy je noszą. No i jesteś zależny od innych, którzy cię zmieniają. Ale przy inwigilacji nie będziemy mieli takiego wsparcia jak w Biurze, prawda?

– Tak. Utrzymujecie dystans, do czasu kiedy można wkroczyć. Wtedy działacie tak szybko, jak to możliwe...

– ...i załatwiamy gościa? – dokończył Brian.

- Wciąż masz z tym problem?
  - Jeszcze nie znalazłem wyjścia, Pete. Powiedzmy, że mam wątpliwości, i na tym poprzestańmy.
- Alexander pokiwał głową.
- Uczciwie stawiasz sprawę. Dobieramy sobie ludzi, którzy potrafią myśleć, i wiemy, że ma to swoją cenę.
  - I chyba tak trzeba na to patrzeć. A jeśli facet, którego mamy załatwić, okaże się w porządku, to co?
    - dociekał marine.
  - Wtedy wycofujecie się i składacie raport. Teoretycznie może się zdarzyć, że pomylimy się, przydzielając zadanie, ale według mojej wiedzy nigdy się tak nie stało.
  - Nigdy?
  - Ani razu – zapewnił Alexander.
  - Taka perfekcja? Aż budzi niepokój.
  - Staramy się być ostrożni.
  - Jakie są zasady? W porządku, może nie muszę wiedzieć... na razie, kto nas wysyła, żeby kogoś zabić, ale wiesz co? Miło byłoby wiedzieć, jakie są kryteria, według których podpisuje się wyrok na jakiegoś skurwysyna.
  - Będzie to ktoś, kto pośrednio lub bezpośrednio spowodował śmierć obywateli amerykańskich lub zamierza zrobić to w przyszłości. Nie polujemy na ludzi, którzy za głośno śpiewają w kościele albo nie oddają książek do biblioteki.
  - Mówisz o terrorystach, tak?
  - Właśnie.
  - Czemu ich nie aresztować?
  - Tak jak w Afganistanie?
  - To co innego – zaprotestował marine.
  - Niby dlaczego? – zdziwił się Pete.
  - No cóż... po pierwsze, byliśmy umundurowanymi żołnierzami na polu walki, pod rozkazami legalnie ukonstytuowanego dowództwa.
  - Ale przejawiałaś inicjatywę, prawda?

- Oficerowie muszą ruszać głową. W sumie jednak rozkazy pochodziły od dowództwa.
- I nie kwestionujesz ich?
- Nie. Tak się nie robi, chyba że są od czapy.
- A jeśli niezrobienie czegoś jest od czapy? – Pete nie odpuszczał. – Jeśli trzeba wystąpić przeciw ludziom, którzy planują wielką zbrodnię?
- Od tego są CIA i FBI.
- Ale jeśli z jakiejś przyczyny oni nie mogą załatwić sprawy, co wtedy? Pozwolisz, żeby ci źli wykonali swój plan i dopiero potem ich załatwisz? To może wiele kosztować. My mamy robić to, co trzeba, kiedy nie możemy wykonać misji konwencjonalnymi metodami.
- Jak często? – Dominic starał się wesprzeć brata.
- Coraz częściej.
- Ilu już załatwiliście? – To znowu Brian.
- Nie musisz tego wiedzieć.
- Uwielbiam tę gadkę – stwierdził z uśmiechem Dominic.
- Cierpliwości, chłopaki. Jeszcze nie należycie do klubu. – Pete miał nadzieję, że są dość rozsądni, by nie zaprotestować.
- OK, Pete – po chwili odezwał się Brian. – Obaj daliśmy słowo, że to, czego tu się nauczymy, nie wyjdzie poza to miejsce. W porządku. Ale wiesz co? Zabijanie z zimną krwią to niezupełnie to, do czego mnie szkolono.
- Nie chodzi o to, czy sprawia to ci przyjemność. Tam w Afganistanie... nigdy nie zastrzeliłeś nikogo z ukrycia?
- Dwóch – przyznał Brian. – Hej, pole bitwy to nie olimpiada – zaprotestował nieśmiało.
- Reszta świata też nie, Aldo. – Tu mnie masz, mówił wyraz twarzy marine. – Świat nie jest doskonały, chłopcy. Jeśli chcecie go udoskonalać, proszę bardzo... ale tego już próbowano. Co do mnie, to pozostanę przy czymś bezpieczniejszym i bardziej przewidywalnym. Wyobraźcie sobie, że ktoś sprzątnął Hitlera w 1934 lub Lenina w 1915 w Szwajcarii. Świat byłby lepszy, tak? A może zły, tylko w inny sposób. Ale my nie robimy w tej branży. Nie będziemy się zajmować zabójstwami politycznymi. Polujemy na rekinki, które zabijają niewinnych, a nie można sobie z nimi poradzić przy użyciu metod konwencjonalnych. To nie jest najlepszy system. Wiem. Wszyscy to wiemy. Ale to już coś... i chcemy sprawdzić, czy zadziała. Nie może być dużo gorszy niż to, co już mamy, prawda?

Podczas tej wymiany zdań Dominic nie spuszczał wzroku z twarzy Petera. Właśnie Pete powiedział im coś, czego być może wcale nie zamierzał powiedzieć. W Campusie nie było jeszcze zabójców. Oni będą pierwsi. Ich mocodawcy muszą wiązać z nimi wiele nadziei. To wielka odpowiedzialność. Ale wszystko pasuje. Jasne było, że Alexander, ucząc ich, nie wyciągał wniosków z własnej praktyki. Oficerem szkoleniowym powinien być ktoś, kto sam to robił. Dlatego instruktorzy w akademii FBI byli przeważnie doświadczonymi agentami terenowymi. Mogli opisać to uczucie. Pete mógł im tylko powiedzieć, co trzeba zrobić.

Dlaczego jednak wybrano jego i Alda?

– Rozumiem, o co ci chodzi, Pete – oznajmił Dominic. – Ale wciąż nie jestem przekonany.

– Ani ja – oświadczył Brian. – Chcę tylko wiedzieć, jakie są zasady.

Pete nie powiedział im, że to oni będą ustalać zasady wraz z rozwojem sytuacji. Wkrótce sami się tego domyślą.

Lotniska są takie same na całym świecie. Zgodnie z instrukcją byli uprzejmi. Odprawili bagaż, czekali w odpowiednich poczekalniach, palili papierosy w wyznaczonych miejscach i czytali książki z kiosków na lotnisku. Albo udawali, że czytają. Nie wszyscy znali język tak dobrze, jak by chcieli. Kiedy znaleźli się na wysokości przelotowej, coś przekąsili i większość z nich zapadła w drzemkę. Prawie wszyscy siedzieli z tyłu. Wiercili się, bo we śnie nękało ich pytanie, których towarzyszy spotkają znów za kilka dni lub tygodni – w zależności od tego, ile zajmie dopracowanie szczegółów. Każdy miał nadzieję, że wkrótce spotka Allaha i odbierze nagrodę za walkę w świętej sprawie. Najlepiej wykształceni zdawali sobie sprawę, że nawet błogosławiony Mahomet miał ograniczone zdolności w przedstawianiu swojej nagrody. Co to jest raj? Musiał to wyjaśniać ludziom, którzy nie znali pasażerskich odrzutowców, samochodów i komputerów. Ale jak? Raj to cudowne miejsce, którego nie sposób opisać – w każdym razie nikt jeszcze nie odkrył jego tajemnicy. Ale oni ją odkrywają.

Ekscytująca myśl. Było w niej oczekiwanie – zbyt podniosłe, aby dzielić się nim z kolegami.

A jeśli w wyniku ich działań inni też będą musieli spotkać się z Allahem... cóż, to też zapisano w Wielkiej Księdze. Tymczasem spali snem sprawiedliwych, snem przyszłych świętych męczenników. Śnili o mleku, miodzie i dziewicach...

Jack odkrył, że Saudyjczyk ma jakąś tajemnicę. W pliku CIA podawali nawet wielkość jego penisa. Brytyjskie dziwki stwierdziły, że jest dość przeciętnych rozmiarów, za to Sali to niezły ogier – i daje hojne napiwki, a to działało na ich zmysł handlowy. Jednak inaczej niż większość mężczyzn nie mówił wiele o sobie. Rozmawiał głównie o londyńskiej pogodzie i prawił komplementy swej aktualnej partnerce, a to jej pochlebiało. Wręczane od czasu do czasu prezenty – na przykład elegancka torebka, zazwyczaj Louisa Vuittona – podobały się dziewczynom, z których usług

regularnie korzystał. Dwie z nich składały raporty nad Tamizą, w Thames House, nowej siedzibie brytyjskich tajnych służb i służb specjalnych. Jack zastanawiał się, czy za ich usługi płacił nie tylko Sali, ale i rząd JKM. Dla dziewczyn był to pewnie dobry interes, choć Thames House chyba nie fundował butów i torebek.

- Tony?
- Tak, Jack? – Wills uniósł głowę znad komputera.
- Skąd wiemy, że ten cały Sali to czarny charakter?
- Nie wiemy na pewno. Dopóki czegoś nie zrobi lub nie przechwycimy jego rozmowy z kimś, kogo nie lubimy.
- Więc tylko sprawdzam ptaszka.
- Właśnie. Sporo będziesz miał takiej roboty. Wyrobiłeś już sobie jakąś opinię o gościu?
- Napalony skurczybyk.
- Ciężko być bogatym i samotnym... gdybyś nie zauważył, junior.

Jack zamrugał. Może się o to prosił.

- Zgoda, ale niech mnie szlag, żebym za to płacił... a on płaci, i to sporo.
- Co jeszcze? – dopytywał się Wills.
- Nie jest zbyt rozmowny.
- Wnioski?

Ryan odchylił się na krześle, żeby to przemyśleć. On też nie rozmawiał ze swymi dziewczynami, przynajmniej nie o nowej pracy. Wystarczyło powiedzieć „zarządzanie finansami”, żeby większość kobiet dała sobie spokój. „Nie jest zbyt rozmowny”, czy to coś znaczy? Może Sali jest tylko małomówny. Może został tak dobrze zabezpieczony finansowo, że wystarcza mu gotówka, by wyrzeć wrażenie na kobietach – bo zawsze płacił gotówką, nie kartami. Właściwie dlaczego? Żeby rodzina się nie dowiedziała? Cóż, Jack też nie rozmawiał z mamą i tatą o swoim życiu intymnym. Rzadko zapraszał dziewczyny do domu rodziców. Mama zazwyczaj je odstraszała. Dziwne, ale tata – nie. Pani doktor Ryan sprawiała wrażenie silnej kobiety. I choć większości dziewczyn imponowała ta siła, wiele z nich również onieśmiałała. Ojciec porzucił już myśli o władzy. Szczupły, dystyngowany, siwowłosy, dla przyjaciół był jak ciepły pluszowy miś. Najbardziej lubił grać z synem w piłkę na trawniku z widokiem na zatokę Chesapeake. Może przypominał sobie lepsze czasy? Miał

przecież Kyle'a. Najmłodsze z Ryanów chodziło jeszcze do podstawówki. Było w tym wieku, kiedy dziecko zaczyna stawiać kłopotliwe pytania o Świętego Mikołaja – ale tylko wtedy, gdy w pobliżu nie ma mamy i taty. Pewnie w klasie był dzieciak, który chciał wszystkim udowodnić, że on już wie – zawsze się taki znajdzie. A Katie zdążyła już zmadrzeć. Wciąż lubiła bawić się lalkami Barbie, ale wiedziała, że to mama i tata kupują je w sklepie z zabawkami i ubierają choinkę w Wigilię. Ojciec to uwielbiał – choć ciągle na to narzekał.

Tak, kiedy przestajesz wierzyć w Świętego Mikołaja, to już jest z górki...

– Tylko tyle, że nie jest gadułą – stwierdził Jack po chwili zastanowienia. Nie wolno zamieniać wniosków w fakty, prawda?

– Otóż to. Wielu ludzi myśli inaczej, ale nie tutaj. Zakładanie czegoś z góry to najlepszy sposób, żeby to speprzyć. Ten psychiatra z Langley... barwne historie to jego specjalność.

Jest dobry, ale ty musisz nauczyć się odróżniać spekulacje od faktów. No, powiedz mi coś o panu Sali – rozkazał Wills.

– Jest napalony i niewiele mówi. Szanuje dorobek rodziny.

– Wygląda na przestępcę?

– Nie, ale warto go obserwować ze względu na jego religijny... cóż, ekstremizm to nie jest właściwe słowo. Czegoś tu brakuje. Żaden szpan, nie popisuje się jak zazwyczaj bogaci ludzie w jego wieku. Kto założył mu teczkę? – spytał Jack.

– Angole. Coś zwróciło uwagę jednego z ich analityków. Zauważyli to też w Langley i sami założyli mu teczkę. Potem przechwycono jego rozmowę z gościem, który też ma teczkę w Langley – nie rozmawiali o niczym istotnym... ale zaczęło się – wyjaśnił Wills. – Wiesz, łatwiej jest otworzyć teczkę, niż ją zamknąć. Numer jego komórki wprowadzono do komputerów NSA, które zgłaszają, kiedy ją włącza. Ja też przeglądałem jego akta. Myślę, że warto mieć go na oku... choć nie bardzo wiem dlaczego. W tym biznesie musisz ufać instynktowi, Jack. No cóż, mianuję cię naszym ekspertem w sprawie tego młodego.

– Mam się przyglądać, co robi z pieniędzmi?

– Zgadza się. Wiesz, łatwo sfinansować szajkę terrorystów, przynajmniej jak na jego standardy. Milion dolarów rocznie to dla tych ludzi kupa szmalu. Żyją z dnia na dzień i niewiele wydają na utrzymanie. Masz więc przyglądać się nadwyżkom. Jest bardzo prawdopodobne, że jeśli coś robi, to będzie próbował kryć się w cieniu wielkich transakcji.

– Nie jestem księgowym – podkreślił Jack. Jego ojciec od dawna był dyplomowanym księgowym, ale nigdy nie wykorzystywał swoich umiejętności, nawet do naliczania podatków. Od tego miał firmę prawniczą.

– Ale na arytmetyce się znasz?

– No tak.

– Więc przyłóż się.

Wspaniale, pomyślał John Patrick Ryan junior. I zbeształ się: prawdziwe operacje wywiadowcze nie polegają na tym, żeby zastrzelić bandziora i pieprzyć główną bohaterkę przy napisach końcowych. Tak jest tylko w filmach. A to rzeczywistość.

– Naszemu przyjacielowi tak się śpieszy? – spytał Ernesto, wyraźnie zaskoczony.

– Na to wygląda. *Norteamericanos* ostatnio im dopiekli. Chyba chcą przypomnieć swoim wrogom, że wciąż mają kły. Może to dla nich kwestia honoru – spekulował Pablo. Jego przyjaciel dobrze to rozumiał.

– To co teraz robimy?

– Kiedy już zdomowią się w Mexico City, zorganizujemy transport do Stanów no i...

broń.

– Jakież trudności?

– Jeśli *norteamericanos* przenikną do naszej organizacji, to mogą wyczuć pismo nosem...

a nawet dowiedzieć się o naszych powiązaniach. Ale już o tym pomyśleliśmy.

Owszem, na krótko i z bezpiecznej odległości, pomyślał Ernesto. Lecz teraz już stukano do ich drzwi i nadszedł czas, by się nad tym głębiej zastanowić. Nie mógł nie dotrzymać umowy. Kwestia honoru, ale ważne też były interesy. Właśnie przygotowywali pierwszą dostawę kokainy do Unii Europejskiej. Rynek wydawał się niezwykle obiecujący.

– Ilu ludzi dotrze?

– Mówi, że czternastu. Nie mają żadnej broni.

– Jak myślisz, czego im będzie trzeba?

– Lekkiej broni automatycznej, plus oczywiście pistolety – stwierdził Pablo. – Mamy dostawcę w Meksyku, może to załatwić za mniej niż dziesięć tysięcy dolców. Za kolejne dziesięć broń zostanie dostarczona użytkownikom końcowym w Stanach, aby uniknąć komplikacji przy przekraczaniu granicy.

– *Bueno*, niech tak będzie. Polecisz do Meksyku?

Pablo skinął głową.

– Jutro rano. Za pierwszym razem będę koordynować ich współpracę z *coyotes*.

– Bądź ostrożny – napomniął go z naciskiem Ernesto. Pablo czasem coś kombinował, ale jego usługi były bardzo ważne dla kartelu. Trudno byłoby go zastąpić.

– Oczywiście, *jefe*. Muszę ocenić, jak bardzo można na nich polegać, skoro mają nam pomagać w Europie.

– Właśnie – przytaknął Ernesto.

Tak jak w przypadku większości umów, kiedy przychodziło do ich realizacji, pojawiały się wątpliwości. Na szczęście nie był starą babą. Nigdy nie bał się stanowczych działań.

Airbus dokołował do wyjścia. Pasażerowie pierwszej klasy zeszli z pokładu jako pierwsi.

Podążając za kolorowymi strzałkami na podłodze, przeszli przez kontrolę paszportową i celną. Zapewnili umundurowanych biurokratów, że nie mają niczego do oclenia.

Podstemplowano im paszporty i poszli po bagaż.

Przywódcą grupy był Mustafa, Saudyjczyk. Był gładko ogolony – nie lubił się golić, ale jego odsłonięta skóra chyba podobała się kobietom. Razem ze współnikiem Abdullahem odebrali bagaż, a potem poszli tam, gdzie miał na nich czekać kierowca. Pierwszy sprawdzian dla ich nowych przyjaciół z zachodniej półkuli. I proszę – ktoś trzymał kawałek tektury z napisem MIGUEL, pseudonimem Mustafy na czas tej misji. Mustafa podszedł do mężczyzny i uścisnął mu dłoń. Tamten bez słowa pokazał im, że mają iść za nim. Na zewnątrz czekał

brązowy minivan plymouth. Torby powędrowały na tył, a pasażerowie wśliznęli się na środkowe siedzenie. W Mexico City było ciepło. Tak zanieczyszczonym powietrzem jeszcze nigdy nie oddychali. Powinien być słoneczny dzień, ale nad miastem wisiał szary całun smogu.

Kierowca, wciąż milcząc, zawiózł ich do hotelu. Byli pod wrażeniem. Jeśli nie masz nic do powiedzenia, nic nie mów.

Hotel, zgodnie z ich oczekiwaniami, miał wysoki standard. Mustafa zameldował się, korzystając z fałszywej karty Visa. Po pięciu minutach znaleźli się w przestronnym pokoju na piątym piętrze. Nim się do siebie odezwali, sprawdzili, czy nie ma pluskiew.

– Myślałem, że ten cholerny lot nigdy się nie skończy – narzekał Abdullah, szukając w barku butelkowanej wody. Przestrzegano ich, by nie pili z kranu.



– Ja też. Jak się spało?

– Kiepsko. Myślałem, że jedną z nielicznych zalet alkoholu jest to, że otumania.

– Niektórych. Nie wszystkich – stwierdził Mustafa. – Są na to inne środki.

– Niemiłe Bogu – zauważył Abdullah. – Chyba że zaleci je lekarz.

– Mamy teraz przyjaciół, którzy myślą inaczej.

– Niewierni. – Abdullah niemal wypluł to słowo.

– Wróg twojego wroga jest ci przyjacielem.

Abdullah odkręcił butelkę wody.

– Nie. Prawdziwemu przyjacielowi można zaufać. Czy możemy ufać tym ludziom?

– Tylko z przymusu – przyznał Mustafa.

Podczas odprawy przed misją Muhammad był bardzo ostrożny. Nowi sprzymierzeńcy pomogą im tylko dla własnej wygody. Oni też chcą zadać cios potężnemu szatanowi. Na razie to wystarczy. Pewnego dnia ci sprzymierzeńcy staną się wrogami i będzie trzeba się z nimi rozprawić. Ale ten dzień jeszcze nie nadszedł. Mustafa stłumił ziewnięcie. Czas na odpoczynek. Jutro czeka ich dużo pracy.

Jack miał mieszkanie w Baltimore, kilka przecznic od stadionu baseballowego. Kupił

bilety na cały sezon, ale dziś stadion był nieoświetlony; Oriole grali w Toronto.

Nie był dobrym kucharzem. Tego wieczora jadł na mieście, jak zwykle. Tym razem samotnie, bo nie był z nikim umówiony – a to zdarzało się częściej, niż sobie życzył. Po kolacji wrócił do mieszkania, włączył telewizor... po czym rozmyślił się i usiadł do komputera. Załogował się, by sprawdzić pocztę i posurfować po sieci. I wtedy przyszło mu to do głowy. Sali też mieszkał sam i choć często sprowadzał sobie dziwki, to przecież nie każdej nocy. Co wtedy robił? Siedział przy komputerze? Możliwe. Czy angole założyli podsłuch na jego linii telefonicznej? Na pewno. Ale w jego aktach nie było żadnych e-maili... dlaczego?

Warto to sprawdzić.

– I co myślisz, Aldo? – zagadnął brata Dominic. W ESPN leciał mecz baseballu; Marinersi grali przeciw Jankesom. Jak na razie Jankesi przegrywali.

– Nie jestem pewien, czy chciałbym zastrzelić jakiegoś biednego sukinsyna na ulicy, braciszku.

– A jeśli wiesz, że to ten zły?

– A jeśli załatwię nie tego, co trzeba, tylko dlatego, że jeździ takim samym samochodem i ma taki sam wąsik? Jeśli zostawi żonę i dzieci? Wtedy będę pieprzonym mordercą, zabójcą na zlecenie. Nie tego nas uczyli, prawda?

– Ale jeśli wiesz, że to ten zły? – nie odpuszczał agent FBI.

– Hej, Enzo, ciebie też do tego nie szkolili.

– Owszem, ale to co innego. Jeśli wiem, że skurwiel jest terrorystą, wiem, że nie możemy go aresztować, i wiem, że ma dalsze plany, to myślę, że jakoś to zniosę.

– Człowieku, tam w górach, no wiesz, w Afganistanie, nasz wywiad nie zawsze był taki święty. Pewnie, nauczyłem się nadstawiać dupy, ale nie szafować czyimś życiem!

– A ci ludzie, na których tam polowałeś, kogo zabijali?

– Zaraz, zaraz, oni byli częścią organizacji, która wypowiedziała wojnę Stanom Zjednoczonym. Jasne, że nie byli harcerzykami. Nigdy jednak nie widziałem żadnych dowodów.

– A gdybyś zobaczył? – dopytywał się Dominic.

– Ale nie zobaczyłem.

– Masz szczęście – odparł Enzo, przypominając sobie dziewczynkę z gardłem poderżniętym od ucha do ucha. Prawnicy mawiają, że trudne sprawy świadczą, o kiepskim prawie, ale w książkach nie przewidziano wszystkiego, co mogą zrobić ludzie. Czasem czarno na białym jest tylko w życiu, nie na papierze. Z nich dwóch to on był porywczy. Brian zawsze był bardziej opanowany. Owszem, bliźniacy – ale dwujajowi. Dominic był podobny do ojca –

porywczego Włocha. Brian wdał się w pochodzącą z chłodnej północy mamę. Komuś z zewnątrz różnice mogły wydawać się banalne, ale dla samych bliźniąt były powodem do wiecznych żartów. – Kiedy to widzisz, Brian, kiedy staje ci to przed oczami... to daje takiego kopa... aż wywraca bebechy.

– Hej, ja też przez to przeszedłem, OK? Sam załatwiłem pięciu. Lecz to była praca, nic osobistego. Próbowali nas zaskoczyć, ale im nie wyszło. Ostrzałem i manewrami wykiwałem ich i skasowałem, jak mnie uczyli. Nie ja ponoszę winę za ich nieudolność. Mogli się poddać, lecz woleli strzelać. Błąd, ale każdy robi to, co uważa za słuszne. – Nic dziwnego, że tak lubił

*Hondo z Johnem Wayne'em.*

– No co ty, Aldo, nie mówię, że jesteś dupa wołowa.

– Dociera do mnie, co mówisz, ale wiesz co? Nie chcę stać się jednym z nich, jasne?

– Nie o to tu idzie, braciszku. Ja też mam wątpliwości, ale zostanę i zobaczę, jak się sprawy potoczą. Zawsze możemy zrezygnować.

– Mam nadzieję.

Derek Jeter zaliczył dwie bazy. Pewnie miotacze mieli go za terrorystę, prawda?

W innej części budynku Pete Alexander rozmawiał przez bezpieczną linię telefoniczną z Columbią w stanie Maryland.

– Jak im idzie? – spytał Sam Granger.

Pete sącył sherry.

– To dobre dzieciaki. Obaj mają wątpliwości. Marinę mówi o tym otwarcie, a ten z FBI trzyma gębę na kłódkę, ale sprawy ruszyły z miejsca.

– Jakie są szanse?

– Trudno powiedzieć. Sam, zawsze wiedzieliśmy, że najtrudniejsze będzie szkolenie.

Niewielu Amerykanów chciałoby zostać zawodowymi zabójcami... a przynajmniej nie ci, których potrzebujemy.

– Był taki facet w Agencji, który idealnie się nadawał.

– Ale jest za stary i cholernie dobrze o tym wiesz – odparował Alexander. – Poza tym ma spokojną robotę po drugiej stronie wielkiej wody, w Walii, i chyba mu się to podoba.

– Gdyby tylko...

– Gdyby ciocia miała jaja, toby była wujkiem. Wybór kandydatów należy do ciebie.

Wyszkolenie ich, do mnie. Ci dwaj to inteligentne i zdolne chłopaki. Jest problem z temperamentem. Ale pracuję nad tym. Cierpliwości.

– W filmach jest łatwiej.

– W filmach bohaterowie balansują na granicy psychopatii. Takich chcemy?

– Chyba nie... – Psychopatów było na pęczki. Każdy duży posterunek policji miał kilku na swoim terenie. Gotowi byli zabić za drobną sumę pieniędzy lub działkę narkotyku. Rzecz w tym, że tacy nie

lubią, by im rozkazywać, a nie są zbyt mądrzy ani sprytni. Chyba że w filmach. Gdzie ta Nikita, kiedy jej potrzeba?

– Musimy więc polegać na dobrych, rzetelnych ludziach z głową na karku. A tacy myślą, nie zawsze przewidywalnie. Dobrze jest mieć kogoś z sumieniem, ale taki często się zastanawia, czy postępuje właściwie. Musiałeś mi podesłać dwóch katolików? Już żydzi są nie do wytrzymania z tym wrodzonym poczuciem winy, a katolikom wpaja się to w szkole.

– Dziękuję, wasza świątobliwość – odparł ze śmiertelną powagą Granger.

– Wiedzieliśmy, że nie będzie łatwo, Sam. Jezu, przysłałeś mi marine i agenta FBI.

Czemu nie dwóch harcerzy?

– No dobra, Pete. Teraz ty rządzisz. Możesz podać jakiś termin? A roboty tu niemało – powiedział z naciskiem Granger.

– Za jakiś miesiąc będę wiedział, czy w to wchodzi. Oni muszą dowiedzieć się „dlaczego”, a nie tylko „kto”, ale o tym już rozmawialiśmy – przypomniał szefowi Alexander.

– Racja – przyznał Granger.

W filmach faktycznie było łatwiej. Wystarczyło poszukać w książce telefonicznej pod

„zabójcy”. Na początku myśleli o wynajęciu byłych oficerów KGB. Wszyscy byli doskonale wyszkoleni i wszyscy chcieli pieniędzy. Obowiązująca stawka? Marne dwadzieścia parę tysięcy dolarów za zabójstwo. Niestety, tacy ludzie pewnie złożyliby raport Moskwie, z nadzieją na ponowne zatrudnienie – a Campus stałby się sławny w całym szpiegowskim świecie. Na to nie mogą sobie pozwolić.

– A co z nowymi zabawkami? – spytał Pete. Wcześniej czy później trzeba będzie przeszkolić bliźniaki w obsłudze nowinek.

– Jeszcze dwa tygodnie.

– Tak długo? Cholera, Sam, zaproponowałem to dziewięć miesięcy temu.

– Tego nie dostaniesz w byle salonie samochodowym. To robota od podstaw. Potrzeba wysoko wykwalifikowanych mechaników, którzy nie zadają pytań.

– Mówiłem ci, żebyś skorzystał z usług gości, którzy robią takie rzeczy dla lotnictwa.

Zawsze wymyślają jakieś gadzety. – Jak magnetofony w zapalniczkach. Czyżby inspiracja kinem? A do naprawę poważnych zadań rządowi niemal zawsze brakowało właściwych ludzi. Dlatego zatrudniał cywilnych podwykonawców, którzy brali forszę, robili swoje i trzymali gęby na kłódkę, bo

chcieli więcej takich zleceń.

– Pracujemy nad tym, Pete. Dwa tygodnie – powtórzył Granger.

– Zrozumiałem. Do tego czasu muszą mi wystarczyć pistolety z tłumikiem. Bliźniaki nieźle sobie radzą ze śledzeniem i inwigilacją. Dobrze, że wyglądają tak zwyczajnie.

– Czyli, podsumowując, sprawy mają się nieźle?

– Jeśli pominiemy kwestię sumienia, to owszem.

– Dobra. Informuj mnie na bieżąco.

– Jasne.

– Na razie.

Alexander odłożył słuchawkę. Do cholery z tym sumieniem. Super było korzystać z robotów, ale taki mógłby zwracać uwagę na ulicy. A na to nie mogli sobie pozwolić. A może człowiek widmo? Ale u Wellsa środek, który czynił go niewidzialnym, czynił go również szalonym. I bez tego mieli tu niezłą zabawę.. Wychylił resztę sherry, pomyślał chwilę i po zastanowieniu poszedł po dolewkę.

## **Rozdział 8**

# WYROK

Mustafa i Abdullah wstali o świcie, zmówili poranną modlitwę, zjedli śniadanie, po czym włączyli komputery i sprawdzili pocztę. Oczywiście Mustafa dostał e-maila od Muhammada, który przesyłał wiadomość z instrukcjami od niejakiego Diega. Spotkanie o 10.30 czasu miejscowego. Przejrzał resztę poczty. Właściwie to był elektroniczny spam, mieszanka różnych wiadomości. Dowiedział się, że słowo to znaczy również: „Mielonka wieprzowa”.

Całkiem pasowało.

Wyszli z hotelu – każdy oddzielnie – tuż po dziewiątej. Chcieli rozruszać się i poznać okolicę. Starannie, choć dyskretnie, sprawdzili, czy nikt ich nie śledzi. Nie. Dotarli na miejsce spotkania dokładnie o 10.25.

Diego już tam był. Miał na sobie białą koszulę w niebieskie prążki. Czytał gazetę.

– Diego? – zagadnął uprzejmie Mustafa.

– Ty na pewno jesteś Miguel – z uśmiechem odpowiedział Diego-Pablo. Wstał i uścisnęli sobie dłonie. – Usiądź, proszę. – Rozejrzał się. Był przecież profesjonalistą. – Jak ci się podoba Mexico City?

– Nie wiedziałem, że jest takie duże i tylu tu ludzi – odparł Mustafa gestykułując. Otaczał ich śpieszący się tłum. – A powietrze tak brudne.

– To rzeczywiście problem. Góry zatrzymują zanieczyszczenia. Tylko przy silnym wietrze powietrze się oczyszcza. Kawy?

– Tak – odparł Mustafa.

Pablo skinął na kelnera i wskazał mu filiżankę. W kawiarnianym ogródku, utrzymanym w stylu europejskim, nie było tłoczno. Zajęta była mniej więcej połowa stolików. Siedzący przy nich ludzie rozmawiali o interesach lub po prostu gawędzili, zajęci własnymi sprawami.

Kelner przyniósł dzbanuszek z kawą. Mustafa napełnił filiżankę. Czekał, aż Diego się odezwie.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Wszyscy jesteśmy na miejscu, zgodnie z umową. Jak prędko możemy ruszyć dalej?

– A kiedy byście chcieli? – Pablo odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Dziś po południu, ale czy zdążysz wszystko zorganizować?

– Nie do końca. Więc może jutro, powiedzmy o trzynastej?

– Wspaniale – odparł mile zaskoczony Mustafa. – Jak to będzie wyglądać na granicy?

– Chyba rozumiesz, że nie będę w to bezpośrednio zaangażowany. Zostaniecie przewiezieni na granicę i przekazani komuś, kto specjalizuje się w transporcie ludzi i towarów do Stanów. Będziecie musieli iść jakieś sześć kilometrów. Pogoda sprzyja, jest ciepło, ale nie gorąco. Kiedy już znajdziecie się w Stanach, ktoś was przewiezie do kryjówki na przedmieściach Santa Fe, w Nowym Meksyku. Stamtąd możecie albo polecieć do miejsca przeznaczenia, albo wynająć samochody.

– A co z bronią?

– Czego dokładnie potrzebujecie?

– Idealem byłyby AK-47.

– Kałasznikowów wam nie dostarczymy – zastrzegł się od razu Pablo – ale możemy zdobyć pistolety maszynowe Uzi i Ingram. Parabellum, kaliber 9 milimetrów. No i, powiedzmy, sześć magazynków po trzydzieści naboji dla każdego.

– Więcej amunicji – targował się Mustafa. – Dwanaście magazynków plus trzy dodatkowe komplety amunicji do każdej broni.

– Bez problemu – zgodził się Pablo. Wydatki powiększą się tylko o kilka tysięcy dolarów. Broń i amunicję kupią na wolnym rynku. Można by wysledzić jej pochodzenie i nabywcę, ale tylko teoretycznie. Kupią zwłaszcza ingramy, nie starannie wykonane i celniejsze izraelskie uzi, ale dla tych ludzi to bez znaczenia. Kto wie, może nawet nie chcieliby tykać żydowskiej broni. – Macie pieniądze na podróż?

– Pięć tysięcy dolarów gotówką na głowę.

– Możecie je przeznaczyć na drobne wydatki, jedzenie czy benzynę, ale za wszystko inne musicie płacić kartami kredytowymi. Amerykanie nie wypożyczą samochodu za gotówkę, a już na pewno nie sprzedadzą biletów na samolot.

– Karty też mamy – odparł Mustafa.

Wszyscy w grupie mieli karty Visa wydane w Bahrajnie. Nawet numery były kolejne.

Wydano je dla konta w banku szwajcarskim, na którym było niewiele ponad pięćset tysięcy dolarów. Na ich cele wystarczy.

Właściciel karty: John Peter Smith. Dobrze, stwierdził Pablo. Ten, kto ją założył, nie popełnił błędu i nie umieścił bliskowschodniego nazwiska. Oby tylko nie wpadła w ręce policjanta, który spyta, skąd pochodzi pan Smith. Miał nadzieję, że zapoznali się z obyczajami amerykańskiej policji.

– Inne dokumenty? – spytał.

– Mamy katarskie paszporty i międzynarodowe prawa jazdy. Dobrze mówimy po angielsku i potrafimy czytać mapy. Znamy amerykańskie prawo. Będziemy przestrzegać ograniczeń prędkości i jeździć ostrożnie. Jeśli wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one. No to będziemy krakać.

– Całkiem nieźle – podsumował Pablo. Więc dostali instrukcje. Może nawet je zapamiętają. – Pamiętaj, że jeden błąd może pogrzebać całą misję. A łatwo go popełnić. W

Stanach bez problemu mieszka się i podróżuje, ale ich policja jest bardzo skuteczna. Jeśli was nie zauważą, będziecie bezpieczni. Nie wolno wam więc zwracać na siebie uwagi. Jeśli to się wam nie uda, nic się nie uda.

– Uda nam się, Diego – zapewnił Mustafa.

A właściwie to co się uda? – zastanawiał się Pablo, lecz o to nie zapytał. Ile kobiet i dzieci zabijecie? Ale to już nie był jego problem. Tylko tchórz tak zabija, w kulturze jego

„przyjaciół” obowiązują jednak inne zasady honoru. To interesy, nic więcej. I to musi mu wystarczyć.

Prawie pięć kilometrów biegiem, pompki i kawa na popitkę. Życie w południowej Wirginii.

– Brian, przywykłeś do noszenia broni?

– M16 i pięć lub sześć dodatkowych magazynków. Kilka granatów odłamkowych. Jasne, Pete.

– Chodziło mi o broń podręczną.

– Zazwyczaj noszę berettę M9.

– Radzisz sobie z nią?

– Nauczyłem się tego podczas szkolenia, Pete. Zdałem na strzelca wyborowego pierwszej klasy w Quantico jak większość moich kolegów. Nic wielkiego.

– Zapytam jeszcze raz: przywykłeś do noszenia broni?

– W cywilnym ubraniu? Nie.

– No to przywyknij.

– To legalne? – zaniepokoił się Brian.

– Wirginia to liberalny stan. Jeśli jesteś niekarany, masz ciche pozwolenie na broń. A ty, Dominic?

– Nadal jestem agentem FBI, Pete. Na ulicy czuję się nagi bez mojej zabawki.

– A co to jest?



– Smith&wesson 1076. Dziewięćmilimetrowe magazynki, samopowtarzalny. Biuro ostatnio przechodzi na glocki, ale ja tam wolę smitha. – Chodzi o nacięcia na kolbie, chciał

dodać, ale się powstrzymał.

– W porządku. Kiedy jesteście poza Campusem, macie obaj nosić broń. Przyzwyczajaj się do tego, Brian.

– No dobra – wzruszył ramionami marine. Co to jest w porównaniu z trzydziestokilogramowym plecakiem.

Oczywiście nie chodziło tylko o Salego. Jack pracował nad jedenastoma osobami. Z

wyjątkiem jednej wszystkie pochodziły z Bliskiego Wschodu i wszystkie zajmowały się finansami. Jedyne Europejczyk mieszkał w Rijadzie. Był Niemcem, ale przeszedł na islam.

Komuś wydało się to na tyle dziwne, że przydzielił mu elektroniczny nadzór. Jack był niezły z niemieckiego, mógł czytać jego e-maile, ale niewiele wyjaśniały. Gość wyraźnie upodobał

się do miejscowych. Nie pił nawet piwa. Cieszył się też wyraźnie popularnością wśród saudyjskich przyjaciół – jeśli przestrzegasz zasad islamu, nieważny jest wygląd. Godne podziwu... tyle tylko, że większość terrorystów zwraca twarz ku Mekce. Ale przecież trudno o to winić islam, napomniał się Jack. W noc kiedy się urodził, próbowano go zabić, nim jeszcze opuścił łono matki. Odpowiedzialni za to ludzie określali siebie mianem chrześcijan. Fanatyk to fanatyk. Już na samą myśl, że ktoś próbował zabić jego matkę, chciał chwycić za swoją berettę kaliber 40. Ojciec potrafił sam się o siebie zatroszczyć, ale ten, kto podniósł rękę na kobietę, przekroczył granicę, którą można przekroczyć tylko raz w jednym kierunku. Bez możliwości powrotu.

Oczywiście Jack nic z tego nie pamiętał. Zanim poszedł do pierwszej klasy, terroryści z ULA stanęli przed obliczem swego Boga dzięki wsparciu stanu Maryland. Rodzice nigdy o tym nie rozmawiali. Co innego Sally, siostra Jacka. Wciąż miała koszmary. Zastanawiała się, czy mama i tata też je mają. Czy o czymś takim w ogóle można zapomnieć? W programach na kanale historycznym mówiono, że weteranom drugiej wojny światowej wciąż śnią się walki – a przecież minęło już ponad sześćdziesiąt lat. Takie wspomnienia to przekleństwo.

– Tony?

– Tak, junior?

– Ten facet, Otto Weber, to ktoś ważny? Jest nudny jak flaki z olejem.

– Myślisz, że czarny charakter powinien nosić odblaskowe symbole? A może raczej się kryć?...

– Jak szczur – dokończył junior. – Wiem, szukamy drobiazgów.

– Tak jak ci mówiłem. Znasz podstawy arytmetyki. Przyłóż się. Tak, szukamy rzeczy prawie niewidzialnych. Dlatego to taka świetna zabawa. A niewinne drobiazgi zazwyczaj są...

niewinnymi drobiazgami. Jeśli ogląda pornografią dziecięcą w sieci, to nie dlatego, że jest terrorystą, tylko dlatego, że jest zboczony. W większości krajów nie grozi za to kara śmierci.

– Założę się, że w Arabii Saudyjskiej grozi.

– Pewnie tak, ale ja się założę, że go nie ścigają.

– I niby tacy z nich purytanie...

– Tam libido mężczyzny to jego prywatna sprawa. Lecz jeśli skrzywdzi dziecko, a to już nie film, ale rzeczywistość, będzie miał poważne kłopoty. Arabia Saudyjska to dobre miejsce dla ludzi przestrzegających prawa. Można zostawić mercedesa z kluczami w stacyjce i nikt go nie ruszy. Nawet w Salt Lake City tak nie ma.

– Byłeś tam?

– Cztery razy. Ludzie są życzliwi, jeżeli się ich tylko odpowiednio traktuje. Jak się z kimś zaprzyjaźnisz... to masz przyjaciela na całe życie. Ale oni mają inne prawa, a cena za ich złamanie jest wysoka.

– Więc Otto Weber gra zgodnie z tymi zasadami?

– Zgadza się – potaknął Wills. – Wkupił się w ich system.. w ich religię. A to im się podoba. Wokół religii koncentruje się cała ich kultura. Kiedy ktoś się nawraca i zaczyna żyć według zasad islamu, to jest dowód, że mają słuszość. Lubią ją mieć, bo kto tego nie lubi.

Ale Otto chyba nie grał. Ludzie, których szukamy, to socjopaci. Wszędzie się tacy trafiają. W

niektórych kulturach łatwo ich szybko wylapać i zmienić lub zabić. W niektórych nie. Nie jesteśmy w tym wystarczająco dobrzy, a Saudyjczycy chyba tak. Ale naprawdę przebiegli socjopaci mogą przedostać się do każdej kultury, niektórzy właśnie religii używają jako przykrywki. Islam to nie jest system wartości dla psychopatów, ale mogą go wykorzystać, tak jak chrześcijaństwo. Uczyłeś się kiedyś psychologii?

– Niestety nie – przyznał Ryan.

– To kup sobie parę książek. Poczytaj. Znajdź ludzi, którzy się na tym znają, i ich popytaj. Wysłuchaj, co mają do powiedzenia. – Wills odwrócił się do swojego komputera.

A niech to, pomyślał junior, jest coraz gorzej. Ile czasu minie, zanim do czegoś się przydam? Miesiąc? Rok? Co trzeba zrobić, by dobrze ocenili cię w Campusie?

I co się stanie, kiedy już się przydam?

Tymczasem muszę wrócić do Ottona Webera...

Mustafa i Abdullah nie mogli przez cały dzień siedzieć w pokoju, bo wyglądałoby to podejrzanie. Zjedli lekki lunch w kawiarni i poszli się przejść. Trzy przecznice dalej znaleźli muzeum sztuki. Wstęp był wolny. W środku zrozumieli dlaczego. Było to muzeum sztuki współczesnej. Obrazy i rzeźby okazały się dla nich całkowicie niezrozumiałe. Spędzili tam ponad dwie godziny i doszli do wniosku, że w Meksyku muszą mieć tanią farbę. Mieli jednak okazję dopracować swój kamuflaż – udawali, że podziwiają cały ten śmietnik.

Wrócili spacerem do hotelu. Dobrze chociaż, że pogoda sprzyjała. Dla Europejczyków było gorąco, ale dla Arabów – całkiem przyjemnie, nawet z tą szarą mgiełką smogu. Jutro znów ujrzą pustynię. Może po raz ostatni.

Przeglądanie wszystkich wiadomości krążących w cyberprzestrzeni jest niemożliwe nawet dla dysponującej odpowiednimi środkami agencji rządowej. NSA wykorzystywała zatem programy komputerowe do wyszukiwania zwrotów kluczy. Przez lata udało się zidentyfikować adresy poczty elektronicznej niektórych znanych terrorystów lub tych domniemanych. Obserwowano zarówno ich samych, jak i serwery ich dostawców usług internetowych. Wszystko to wymagało wielkiej przestrzeni w pamięci. Do Fort Meade wciąż dowożono urządzenia pamięci masowej, które podłączano do komputerów mainframe. W

przypadku identyfikacji konkretnej osoby można było przeszukać jej e-maile sprzed miesięcy czy nawet lat. Prawdziwa zabawa w kotka i myszkę. Oczywiście przeciwnicy wiedzieli, że program szuka konkretnych słów i fraz, przywykli więc używać własnego kodu. Kolejna pułapka, bo kody dawały fałszywe poczucie bezpieczeństwa, co mogła łatwo wykorzystać agencja, która miała siedemdziesięcioletnie doświadczenie w odczytywaniu zamiarów wrogów Ameryki.

Nie było to jednak łatwe. Zbyt swobodne posługiwanie się informacjami z wywiadu elektronicznego demaskuje go, powodując, że podejrzani zmieniają metody szyfrowania i źródło staje się bezużyteczne. Z drugiej strony, jeśli się tych informacji nie wykorzystuje, to tak jakby ich nie było – niestety, służby wywiadowcze ku temu się raczej skłaniały. Nowo utworzony Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego teoretycznie spełniał rolę centralnej sortowni wszystkich informacji związanych z zagrożeniami, jednak nowa superagencja tak bardzo się rozrosła, że udaremniało to ich wykorzystanie. Informacje były w zasięgu ręki, ale było ich zbyt wiele, by dało się je przetworzyć – a przetwarzających zbyt wielu, by powstało coś naprawdę przydatnego.

Ale przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka. Mimo przerostu biurokracji w superagencji poszczególne segmenty światka wywiadowczego porozumiewały się bez przeszkód. Agenci jak zawsze zasmakowali w swej tajemnej wiedzy, niedostępnej dla postronnych... i woleli, by tak już zostało.

Kiedy NSA porozumiewała się z CIA, to zwykle po to, by spytać o jej zdanie. Dlaczego?

Otóż każda z agencji trzymała się innych reguł. Mówiły innym językiem. A jeśli w ogóle działały – to też inaczej.

Przynajmniej myślały podobnie. Na ogół CIA miała lepszych analityków, a NSA lepiej gromadziła informacje. Bywały oczywiście wyjątki. Naprawdę utalentowane jednostki znały się nawzajem i mówiły tym samym językiem.

Na przykład taka poranna komunikacja po kablu między agencjami. Starszy analityk z Fort Meade przesłał wiadomość błyskawiczną do swego odpowiednika w Langley. Pewne było, że zwróci to uwagę Campusa. Jeny Rounds wypatrzył ją w porannej poczcie elektronicznej i przedstawił na porannej konferencji.

– Facet mówi: „Tym razem ich ugodzimy”. Co to może znaczyć? – zastanawiał się Jerry Rounds.

Tom Davis został na noc w Nowym Jorku. Przy śniadaniu miał spotkać się z ludźmi od obligacji z Morgan Stanley. Irytujące, kiedy interesy przeszkadzają w interesach.

– Tłumaczenie jest dobre? – spytał Gerry Hendley.

– Nie było z tym problemu. Przechwycone dane są wyraźne i wolne od szumu. To proste zdanie po arabsku. Żadnych niuansów – oświadczył Rounds.

– Pochodzenie i odbiorca? – dociekał Hendley.

– Powiedział to facet o imieniu Fa’ad. Nazwiska nie znamy, ale wiemy, kto to taki.

Wygląda na to, że jest pośrednikiem odpowiedzialnym za operacje, raczej za planowanie niż za działania w terenie. Przebywa gdzieś w Bahrajnie. Rozmawia przez komórkę tylko wtedy, gdy jest w samochodzie lub w miejscu publicznym. Nikt się nim jeszcze nie zajął. Odbiorca to ktoś nowy... a raczej stary, z nowo sklonowanym telefonem. To stary telefon analogowy, więc nie mogli wygenerować spektrogramu.

– Pewnie prowadzą jakąś operację – stwierdził Hendley.

– Na to wygląda – zgodził się Rounds. – Nie wiemy, co to za akcja ani gdzie ją prowadzą.

– Więc gównie wiemy. – Hendley sięgnął po kubek z kawą i groźnie zmarszczył brwi. –

Co mają zamiar z tym zrobić?

– Nic pożytecznego, Gerry. Są w pułapce logicznej. Jeśli coś zrobią, na przykład ogłoszą wyższy

stopień zagrożenia, tym samym podniosą alarm. Robili to już tyle razy, że przestało to przynosić efekt. Nikt nie weźmie tego na serio, chyba że ujawnią informację i źródło. Lecz jeśli coś ujawnią, to spalą źródło.

– A jeśli nie podniosą alarmu, to cokolwiek się potem wydarzy, Kongres dobierze się im do dupy.

Parlamentarzyści woleli wyszukiwać problemy niż rozwiązania. Na bezproduktywnym wrzasku można było kręcić niezłe polityczne lody. Tak więc CIA i inne służby nadal będą pracować nad identyfikacją osób z komórkami. Niewdzięczna, powolna praca policyjna, w tempie, którego nie mogli znieść niecierpliwi politycy. Nie pomagały nawet coraz większe pieniądze, co jeszcze bardziej frustrowało ludzi, którzy nie potrafili zrobić niczego innego.

– Więc rozłożą ręce i zrobią coś, co na pewno nie zadziała...

– ...w nadziei na cud – dodał Granger.

Oczywiście zastaną powiadomione posterunki policji w całych Stanach – ale nikt nie będzie wiedzieć w jakim celu i co to za zagrożenie. Gliniarze i tak szukali Arabów, których można zatrzymać z byle powodu i przesłuchać. Zaczynało ich nawet nudzić to niemal bezproduktywne zadanie, w dodatku budziło ono sprzeciw ACLU, Amerykańskiej Unii Swobód Obywatelskich.

W różnych okręgowych sądach federalnych toczyło się sześć spraw przeciw Arabom. W

czterech oskarżeni byli lekarze, w dwóch niewinni studenci, których lokalna policja niezłe poturbowała. Te incydenty posłużą do sformułowania prawa precedensu, które na pewno nikogo nie zachwyci. To właśnie Sam Granger nazywał pułapką logiczną.

Hendley jeszcze bardziej zmarszczył brwi. Sprawa z pewnością odbiła się echem w kilku agencjach rządowych, które zaangażowały wielu ludzi i niezłe pieniądze, tylko żeby narobić hałasu.

– Co my na to? – spytał.

– Pozostaje nam czekać w pogotowiu i wezwać gliny, jeśli zauważymy coś niezwykłego

– odparł Granger. – Chyba że masz pod ręką gnata.

– Żeby zastrzelić jakiegoś niewinnego klauna, który pewnie stara się o obywatelstwo –

dodał Bell. – Szkoda zachodu.

Trzeba było zostać w senacie, pomyślał Hendley. Przy rozwiązywaniu problemu człowiek mógł przynajmniej wyładować emocje, a to dobrze robiło na chandrę. A tu krzyki okazywały się tyleż bezproduktywne, co szkodliwe dla morale jego ludzi.

– No dobra, udajemy, że jesteśmy zwykłymi obywatelami – powiedział w końcu.

Potaknęli w milczeniu i wrócili do rutynowych zajęć. Przed końcem pracy Hendley spytał

Roundsa, jak sobie radzi nowy.

– Jest sprytny; zadaje dużo pytań. Sprawdza dla mnie znanych i domniemyanych graczy zakulisowych pod kątem niejasnych transakcji.

– Jeśli nie marudzi, to niech go Bóg błogosławi – orzekł Bell. – Oszaleć od tego można.

– Cierpliwość jest cnotą – zauważył Gerry. – Tyle że cholernie trudno ją w sobie wypracować.

– Ostrzeżemy wszystkich naszych o tym przekazie?

– Można by – stwierdził Bell.

– Zrobione – zgodził się Granger.

– Kurde, co to znaczy? – zastanawiał się Jack piętnaście minut później.

– Może dowiemy się jutro, może w przyszłym tygodniu... może nigdy – odparł Wills.

– Fa’ad... skądś znam to imię... – Jack odwrócił się do swojego komputera i przejrzał

kilka plików. – No tak! To ten gość z Bahrajnu. Jak to się stało, że nie przetrzepała go miejscowa policja?

– Jeszcze o nim nie wiedzą. Jak na razie śledzi go tylko NSA, ale może w Langley próbują się o nim dowiedzieć czegoś więcej.

– Są w tym równie dobrzy jak FBI?

– Trudno powiedzieć. Inny system szkolenia, ale w końcu każdy normalny człowiek...

– Gówna prawda – przerwał mu Ryan. – Czytanie ludziom w myślach to specjalność gliniarzy. Trzeba zdobyć odpowiednie umiejętności i nauczyć się stawiać pytania.

– Kto niby tak twierdzi?

– Mike Brennan. Był moim ochroniarzem. Wiele mnie nauczył.

– Cóż, dobry szpieg też potrafi czytać ludziom w myślach. Od tego zależy, czy ocali swoją skórę.

– Może, ale jeśli masz problemy z oczami, to zwróć się do mojej mamy. A jak z uszami, to do kogo innego.

– No dobra, niech ci będzie. Teraz zajmij się tym całym Fa’adem.

Jack wpatrzył się w ekran. Przewiął pliki do pierwszej interesującej konwersacji, jaką przechwycili. Po namyśle jednak wrócił na sam początek, kiedy obiekt przyciągnął ich uwagę.

– Czemu nie zmienił telefonu?

– Może jest leniwy. Ci goście są sprytni, ale też mają swoje słabostki. No i nawyki. Są inteligentni, lecz nie przeszli profesjonalnego przeszkolenia, jak szpiedzy, dajmy na to z KGB.

NSA miała w Bahrajnie sporą placówkę nasłuchową; działała pod przykrywką ambasady amerykańskiej i wspomagała ją marynarka wojenna. Okręty stały się regularną bazą telefoniczną – a nie były traktowane jak zagrożenie. Pływające na nich zespoły NSA przechwytywały nawet rozmowy z komórek ludzi spacerujących wzdłuż brzegu.

– Ten facet ma nieczyste sumienie – stwierdził po minucie Jack. – To czarny charakter, jak dwa razy dwa cztery.

– Przydatny. Mówi wiele interesujących rzeczy.

– Więc ktoś powinien go przejąć.

– W Langley już się nad tym zastanawiają.

– Jak duża jest placówka w Bahrajnie?

– Sześć osób. Szef placówki, dwóch agentów terenowych i trzech innych pracowników.

– I to wszystko? Taka garstka?

– Owszem.

– Cholera. To ogólny problem. Pytałem o to tatę. Zazwyczaj tylko wzruszał ramionami i coś odburkiwał.

– Ze wszystkich sił starał się zdobyć więcej funduszy i pracowników dla CIA. Ale Kongres nie zawsze się z nim zgadzał.

– Czy kiedyś zgarnęliśmy faceta, żeby się z nim rozmówić?

– Ostatnio nie.

– A to czemu?

– Braki kadrowe – wyjaśnił Wills. – Tak się zabawnie składa, że pracownicy oczekują, że będzie się im płacić. Nie mamy aż takich możliwości.

– Więc czemu CIA nie poprosi miejscowych gliniarzy, żeby go zgarnęli? Bahrajn jest naszym sojusznikiem.

– Sojusznikiem, ale nie wasalem. Oni też mają swoje poglądy na swobody obywatelskie, tyle że nie takie same jak my. Poza tym nie można zgarnąć gościa za to, co wie i co sobie myśli. Tylko za to, co zrobił. A on właściwie nic nie zrobił.

– No to weźcie go pod obserwację.

– A jak niby ma to zrobić CIA, skoro ma tylko dwóch agentów terenowych?

Pytanie retoryczne.

– Jezu!

– Witaj w rzeczywistym świecie, junior.

Agencja powinna była zwerbować w Bahrajnie agentów... może gliniarzy... do pomocy, ale tak się nie stało. Szef placówki też mógł zwrócić się o przydzielenie dodatkowych ludzi, ale w Langley brakowało oficerów terenowych mówiących po arabsku a co dopiero wyglądających na Arabów. Tych nielicznych wysłano na trudniejsze placówki.

Spotkanie odbyło się zgodnie z planem. Przyjechali trzema samochodami, prowadzonymi przez małomównych hiszpańskojęzycznych kierowców. Miła przejażdżka, przywodząca na myśl rodzinne strony. Kierowcy byli ostrożni. Nie przekraczali dozwolonej prędkości; nie robili niczego, co mogłoby zwrócić na nich uwagę, jednak jechali w dobrym tempie. Prawie wszyscy Arabowie palili papierosy – wyłącznie amerykańskie marki, na przykład marlboro.

Mustafa też. Zastanawiał się, tak jak kiedyś Muhammad, co by o tym powiedział Prorok.

Pewnie nic dobrego... ale przecież nic nie powiedział, prawda? No więc Mustafa mógł palić, ile mu się żywnie podobało. W końcu teraz myśleć o zagrożeniu dla zdrowia? Pożyje jeszcze jakieś cztery czy pięć dni – a niewiele więcej, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Spodziewał się, że jego ludzie będą rozmawiać, podekscytowani, ale nie – milczeli.

Patrzyli tylko bezmyślnie na krajobraz za oknem, nie zdradzając zainteresowania kulturą, o której niewiele wiedzieli i więcej się nie dowiedzą.

– OK, Brian, oto twoje pozwolenie. – Pete Alexander wręczył mu dokument.



Wyglądało jak prawo jazdy. Marine schował je do portfela.

– Więc teraz mogę legalnie nosić broń na ulicy?

– Prawdę mówiąc, ukrytą, czy nie, żaden glina nie będzie z tego powodu zawracał głowy oficerowi marines, ale lepiej postawić kropkę nad „i”. Będziesz nosić tę berettę?

– Przywykłem do niej. Piętnaście naboji to dobra ochrona. W czym mam ją nosić?

– Weź to, Aldo. – Dominic podał mu swoją saszetkę do paska. Wyglądała jak pas na pieniądze albo jak coś w rodzaju damskiej sakiewki. Otworzył ją. W środku był pistolet i dwa zapasowe magazynki.

– Wielu agentów tego używa. Wygodniejsze niż kabura na biodrze. Nie wbija się w nery, gdy długo siedzisz za kółkiem.

Brian zatknął ją za pas.

– Dokąd dziś jedziemy, Pete?

– Z powrotem do centrum handlowego. Ćwiczenia z inwigilacji, odsłona druga.

– Wspaniale – mruknął Brian. – Czemu nie macie pigułek na niewidzialność?

– Herbert George Wells zabrał formułę do grobu.

## **Rozdział 9**

# Z BOGIEM

Jack dojechał do Campusu w jakieś trzydzieści pięć minut, po drodze słuchając porannej audycji. Tak jak ojciec nie lubił muzyki współczesnej. Podobieństwa takie martwiły i zarazem fascynowały Johna Patricka Ryana juniora przez całe życie. Będąc nastolatkiem, walczył z nimi, szukając własnej tożsamości i starając się oddalić od konserwatywnego ojca – jednak już w college’u powrócił na stare ścieżki i nawet tego nie zauważył. Uważał na przykład, że postępuje rozsądnie, spotykając się z dziewczynami, z których byłby dobry materiał na żonę –

mimo że nigdy nie znalazł tej wymarzonej. Podświadomie osądzał je podług mamy. Irytowało go, kiedy nauczyciele z Georgetown mawiali, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Początkowo niemal się obrażał, ale zaraz robił sobie wyrzuty, bo przecież jego ojciec był

całkiem w porządku. W końcu mógł gorzej trafić. Nawet na tak konserwatywnym uniwersytecie jak Georgetown – z jego jezuickimi tradycjami i rygorystycznymi zasadami przyznawania stypendiów – wielu było buntowników. Niektórzy z jego kolegów na pokaz wypierali się nawet rodziców. Trzeba być naprawdę dupkiem, żeby robić coś takiego! Jego staruszek, owszem, był stateczny i staroświecki, ale był też dobrym ojcem. Nie nadopiekuńczy, pozwalał mu podążać własną drogą... może w przekonaniu, że w ten sposób właściwie go wychowa. Czyżby ukrywał swoje intencje? – nie, on przecież by się zorientował!

A skoro o ukrywaniu mowa... Sporo się o tym pisało w szmatławcach. Ojciec żartował od czasu do czasu, że każe marines pomalować helikoptery na czarno. Ale byłby ubaw, pomyślał

Jack. Jego ojcem zastępczym był Mike Brennan. Młody Ryan wciąż zasypywał go pytaniami, a wiele z nich dotyczyło konspiracji. Bardzo się rozczarował, kiedy usłyszał, że amerykańska Secret Service miała stuprocentową pewność, że to Lee Harvey Oswald zabił Johna Kennedy’ego, i to bez niczyjej pomocy. W ich akademii w Beltsville, na przedmieściach Waszyngtonu, Jack mógł wziąć do ręki replikę takiego mannlicera-carcano, z którego odebrano życie prezydentowi – ba, nawet z niego strzelić! Został wtajemniczony w szczegóły, co go usatysfakcjonowało. Inaczej sprawa się miała z przemysłem żerującym na teoriach spiskowych. Jego przedstawiciele zasugerowali nawet, że ojciec Jacka, jako były urzędnik CIA, był ostatecznym beneficjentem spisku trwającego od co najmniej pięćdziesięciu lat – no bo chciał umieścić przedstawiciela CIA u sterów władzy. Jasne. Pospołu z Komisją Trilateralną i Światową Lożą Masońską – i kogo tam jeszcze potrafili wymyślić pisarze.

Ojciec i Mike Brennan uraczyli go wieloma historiami o CIA. Jednak tylko nieliczne chwaliły kompetencję Agencji. Nie było z nią tak źle, ale i nie tak dobrze jak w hollywoodzkich produkcjach. Cóż, w Hollywood pewnie wierzyli, że Królik Roger jest prawdziwy – w końcu film zarobił niezłą kasę. W rzeczywistości jednak Roger nie istniał, a CIA dało się wiele zarzucić...

Czy Campus miał być lekarstwem na te bolączki?... Oto jest pytanie. Kurde, pomyślał

Jack, skręcając na autostradę 29. Może jednak zwolennicy teorii spisku mają rację?...

Nie, Campus wcale taki nie był. Nie przypominał organizacji Spectre z dawnych filmów z Jamesem Bondem czy innych ze starych seriali. Teoria spisku wymagała, by wielu ludzi trzymało gęby na kłódkę. A przecież Mike wielokrotnie mówił mu, że kryminaliści tego nie potrafią. Mówił też, że w federalnych więzieniach nie ma głuchoniemych, jednak przestępcom jakoś nie mieści się to w głowach.

Nawet ludzie, których śledził, mieli ten sam problem – a ponoć byli sprytni i ze szlachetną dla nich motywacją. Przynajmniej tak to wyglądało. Ale nawet oni nie byli jak czarne charaktery z filmów. Musieli rozmawiać – i tym samym ściągać na siebie niebezpieczeństwo. Zastanawiał się, dlaczego tak się dzieje. Czy ludzie czyniący zło musieli się tym przechwalać, czy też chcieli, by ktoś im wmawiał, że na swój sposób, bardzo dyskusyjny, czynią dobro? Obserwował muzułmanów, jednak są różni muzułmanie. Obaj z ojcem znali księcia Alego z Arabii Saudyjskiej – ten był dobry. To on sprezentował ojcu miecz, którym zarobił sobie na pseudonim w Secret Service. Księżę przynajmniej raz do roku wpadał do nich w gości. Saudyjczycy, kiedy już zawierali przyjaźnie, byli najbardziej lojalnymi przyjaciółmi pod słońcem. Oczywiście być eks-prezydentem... to pomaga. Lub synem byłego prezydenta, który sam teraz robi karierę w szpiegowskim światku...

Cholera, jak by na to zareagował tata? – zastanawiał się Jack. Przeraziłby się. A mama?

Dostałaby szału. Ale przecież mama nie musi się dowiedzieć. Przykrywka może ją zwieść –

no i dziadka – ale nie tatę. Tata pomagał założyć Campus. Może jednak potrzebował takiego czarnego helikoptera.

Jack zaparkował na swoim miejscu numer 127. Campus nie mógł być aż tak wielki i potężny. Czyżby pracowało w nim tak dużo ludzi? Zamknął samochód i wszedł do budynku.

Do dupy z takim codziennym zasuwaniem do roboty. Ale od czegoś trzeba zacząć.

Wszedł tylnym wejściem jak większość pracowników. W recepcji dyżurował Ernie Chambers, starszy sierżant 1. Dywizji Piechoty. Do bluzy przypiął sobie miniaturową odznakę żołnierza piechoty – na wypadek gdyby ktoś nie zauważył szerokich ramion i przenikliwych czarnych oczu. Po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej wystąpił z piechoty i zaczął pracować dla policji wojskowej. Pewnie nieźle egzekwował prawo albo kierował

ruchem, pomyślał Jack, machając mu ręką.

– Witam, panie Ryan.

– Dzień dobry, Ernie.

– A dzionek mamy ładny, sir. – Były żołnierz wszystkich tak tytułował.

Dwie godziny wcześniej na przedmieściach Ciudad Juárez furgonetka skręciła na przydrożny parking i zatrzymała się obok czterech innych pojazdów. Wkrótce stanęły tam pozostałe minivany, które

jechały za nią od samej granicy. Mężczyźni poderwali się ze snu i wyszli rozprostować kości w chłodnym powietrzu poranka.

– Tutaj panów zostawię, senior – oznajmił kierowca Mustafie. – Dołączycie do mężczyzny z brązowego forda explorera. *Vaya con Dios, amigos* – pożegnał się. Z Bogiem, przyjaciele.

Facet od forda okazał się wysokim mężczyzną w kowbojskim kapeluszu. Wyglądał niechlujnie. Wąsy też mógłby sobie przyciąć.

– *Buenos dias*, jestem Pedro. Zabiorę was dalej. Moim samochodem jedzie czterech, tak?

– Zgadza się – potaknął Mustafa.

– W furgonetce są butelki z wodą. Może chcecie też coś zjeść? Kupcie coś sobie w sklepie – machnął ręką w kierunku budynku.

Mustafa skorzystał z jego rady, inni też. Po dziesięciu minutach wszyscy wsiedli do wozów i wyruszyli.

Jechali na zachód, głównie drogą numer 2. Natychmiast się rozdzielili, żeby nie tworzyć

„formacji”. Cztery terenówki, wszystkie produkcji amerykańskiej, wszystkie pokryte grubą warstwą kurzu i błota, żeby nie wyglądały na nowe. Słońce za nimi wspięło się nad horyzont i samochody rzucały cień na ziemię koloru khaki.

Pedro nagadał się już chyba na parkingu. Teraz bekał tylko od czasu do czasu i odpalał

jednego papierosa od drugiego. Radio miał nastawione na lokalną stację. Nucił do wtóru hiszpańskiej muzyki. Arabowie siedzieli w milczeniu.

– Cześć, Tony – przywitał się Jack. Tony siedział już przy swoim komputerze.

– Sie masz – odparł Wills.

– Coś nowego?

– Od wczoraj nic, ale Langley znów się zastanawia, czy nie obstawić naszego drogiego Fa’ada.

– Naprawdę chcą to zrobić?

– Wiem tyle co ty. Szef placówki w Bahrajnie stwierdził, że trzeba mu do tego więcej personelu. Pewnie teraz łamie sobie nad tym głowę mięczaki z Langley.

– Mój tata mawiał, że rządem tak naprawdę rządzą księgowi i prawnicy. I miał sporo racji. Chociaż Bóg jeden wie, gdzie tu miejsce dla Eda Kealty'ego. Co o nim sądzi twój tata?

– Nie znosi sukinsyna. Co prawda nie wypowiada się publicznie o nowej władzy. Uważa, że nie powinno się tego robić. Ale powiedz tylko coś o nim przy obiedzie... a przyniesiesz wino do domu... na koszuli. Zabawne. Tata nienawidzi polityki i stara się zachować zimną krew, ale tego faceta wyraźnie nie lubi. Siedzi jednak cicho, nie gada o tym z reporterami.

Według Mike'a Brennana Secret Service też nie lubi gościa. A przecież oni muszą go lubić!

– Za profesjonalizm trzeba płacić – stwierdził Wills.

Jack włączył komputer. Przyjrzał się nocnej wymianie informacji między Langley i Fort Meade. Przewaga ilości nad jakością. O, jego nowy znajomy, Uda...

– Nasz kumpel Sali był z kimś wczoraj na lunchu – oznajmił. – A z kim? – zainteresował się Wills.

– Angole nie wiedzą. Wygląda na mieszkańca Bliskiego Wschodu, jakieś dwadzieścia osiem lat, krótka bródka okalająca szczękę, wąsik... Mówili po arabsku. Niestety, poza zasięgiem.

– Gdzie byli?

– W pubie na Tower Hill, Pod Wisielcem Wypatroszonym i Poćwiartowanym. Tuż przy dzielnicy bogaczy. Uda pił wodę. Jego kumpel piwo. Zamówili lunch oracza<sup>6</sup>. Siedzieli w boksie, więc trudno było ich podsłuchać.

– A więc zależało im na prywatności. Co niekoniecznie czyni z nich przestępców. Angole śledzą tego nowego?

– Nie. Pewnie przydzielili tylko jeden ogon Udzie?

– Pewnie tak – zgodził się Wills.

– Piszą tu, że mają zdjęcie tego gościa. Ale nie dołączono go do raportu.

– Prawdopodobnie zrobił je ktoś z MI-5 prowadzący obserwację. Jakiś żółtodziób. Nie uważają Udy za bardzo ważnego, nie na tyle, żeby poddać go pełnej inwigilacji. Brakuje ludzi. Coś jeszcze?

– Kilka transakcji walutowych wczoraj po południu. Wyglądają zwyczajnie – ocenił Jack, przeglądając zapisy. Szukam jakiejś nieszkodliwej drobnostki, strofował się.

Jednak te nieszkodliwe drobnostki zazwyczaj okazywały się właśnie... drobne i nieszkodliwe. Uda każdego dnia manipulował większymi i mniejszymi pieniędzmi. Zajmował

się zabezpieczaniem majątku, więc rzadko spekulował, kiedy przeprowadzał transakcje na rynku

nieruchomości. Londyn – w ogóle cała Wielka Brytania – to dobre miejsce do zabezpieczenia funduszy. Ceny nieruchomości dość wysokie, ale stabilne. Nie idą znowu w górę, ale też nie lecą na dół. Zatem tatuś Udy pozwala synalkowi popływać, ale nie puszcza go na głęboką wodę. Jaką swobodę finansową ma Uda? Skoro płaci dziwkom gotówką i drogimi torebkami, musi mieć własne źródło dochodów. Może skromnych – ale to, co 6 *Tradycyjnie podawana w brytyjskich pubach potrawa, składająca się z sera, pszennej pieczywa i cebuli (przyp. tłum.)*

„skromne” według standardów saudyjskich, wcale nie jest skromne dla innych. W końcu ten dzieciak jeździ astonem martinem i nie mieszka w przyczepie...

– Jak rozróżnić, czy Sali operuje pieniędzmi swojej rodziny, czy własnymi?

– Nie da się. Sądźmy, że ukrywa oba konta, i chyba są to konta jego bliskich. Najlepiej sprawdzić, jak wyglądają ich kwartalne wyciągi bankowe.

– Świetnie – jęknął Jack. – Potrzebuję kilku dni, by zsumować wszystkie transakcje i je przeanalizować.

– Teraz widzisz, czemu nie jesteś dyplomowanym księgowym. – Wills zaśmiał się pod nosem.

Jack omal mu nie odburknął, ale cóż, był tylko jeden sposób, by wykonać to zadanie... a w końcu to jego praca, no nie? Najpierw sprawdził, czy da się użyć programu, żeby szybciej się czegoś dowiedzieć. Nic z tego. Pozostawała arytmetyka na poziomie podstawówki. Niezły ubaw. Kiedy skończy, przynajmniej będzie lepszy we wstukiwaniu cyfr na klawiaturze numerycznej. Jest o co walczyć! Czemu Campus nie zatrudnia księgowych ekspertów?

Zjechali z dwójki w boczną drogę skręcającą na północ. Musiała być uczęszczana –

nawet niedawno – sądząc po śladach. Teren był górzysty, choć nie widzieli na zachodzie szczytów Gór Skalistych. Powietrze – rozrzedzone. Marsz ich rozgrzeje. Zastanawiał się, jak długo będą szli i jak daleko mają do amerykańskiej granicy z Meksykiem. Podobno jest strzeżona, jednak nie za dobrze. Amerykanie bywają zabójczo skuteczni w pewnych sprawach, ale całkiem infantylni w innych. Mustafa i jego ludzie mieli nadzieję uniknąć tych skutecznych, a zrobić użytek z infantylnych. Około jedenastej ujrzał w oddali dużą ciężarówkę. Terenówki podjechały do niej. Z bliska wyglądało na to, że jest pusta. Otworzyły się duże czerwone drzwi. Ford explorer podjechał bliżej i zatrzymał się. Pedro zgasił silnik i wysiadł.

– Jesteśmy na miejscu, przyjaciele – oznajmił. – Gotowi do marszu, mam nadzieję.

Możecie wysiadać.

Znów rozprostowali nogi i rozejrzeli się. Podszedł do nich nieznanemu mężczyzna.

Tymczasem zaparkowały trzy pozostałe samochody i wysiedli z nich inni członkowie grupy.

– Witaj, Pedro. – Nieznajomy Meksykanin przywitał się z kierowcą fordą.

– *Buenos dias*, Ricardo. To właśnie ci ludzie chcą przedostać się do Stanów.

Witajcie. – Uścisnął ręce pierwszej czwórce. – Mam na imię Ricardo i będę waszym *coyote*.

– Że co? – spytał Mustafa.

– To taka przenośnia. Za opłatą przeprowadzam ludzi przez granicę. Oczywiście jeśli o was chodzi, już mi zapłacono.

– Jak to daleko?

– Dziesięć kilometrów. Spacerek – odparł Ricardo swobodnie. – Będziemy szli przez tereny podobne do tych tutaj. Jak zobaczycie węża, po prostu go omińcie. Nie będzie was ścigać. Ale jeśli podejście choćby na metr, może was ukąsić i zabić. Nie ma się czego bać.

Jeśli zobaczycie helikopter, musicie paść na ziemię i się nie ruszać. Amerykanie nie za dobrze pilnują granicy. Co ciekawe, w dzień jeszcze gorzej niż w nocy. Poza tym się zabezpieczyliśmy.

– Jak?

– W tamtym samochodzie jest trzydzieścioro ludzi. – Wskazał dużą ciężarówkę. – Pójdą przed nami, bardziej na zachód. Jeśli już kogoś złapią, to właśnie ich.

– Ile czasu potrzebujemy?

– Trzech godzin. Mniej, jeśli jesteście w dobrej kondycji. Wodę macie?

– Znamy pustynię – zapewnił go Mustafa.

– Jak tam sobie chcecie. No to ruszamy. Za mną, *amigo*.

Ricardo skierował się na północ. Cały był w kolorze khaki. Do tego wojskowy parczany pas z trzema manierkami, wojskowa lornetka i czapka – i znoszone buty. Szedł pewnym krokiem, ale nie za szybko. Ruszyli za nim, trzymając się razem, żeby potencjalni tropiciele nie zorientowali się, ilu ich jest. Mustafa z przodu, około pięciu metrów za *coyote*.

Strzelnica znajdowała się jakieś trzysta metrów od kolonialnego domu. Na otwartym terenie stały stalowe tarcze – takie jak w Akademii FBI. Górna część była okrągła, wielkości ludzkiej głowy. Przy trafieniu tarcze wydawały brzęk i upadały na ziemię, całkiem jak ludzie-cele. Enzo był w tym lepszy.

Aldo wyjaśnił, że w marines dowódcy nie kładli nacisku na umiejętność strzelania z pistoletu. Natomiast w FBI poświęcano temu szczególnie dużo uwagi, zakładając, że z broni długiej każdy potrafi celnie strzelać. Agent FBI strzelał oburącz, w postawie *weaver*, a marine stał wyprostowany i strzelał z jednej ręki – tak jak uczono w wojsku.

– Hej, Aldo, w ten sposób jesteś lepszym celem – ostrzegł Dominic.

– Tak? – Brian oddał trzy strzały. Po każdym rozlegał się brzdęk. Świetnie. – Ciężko jest strzelać, jak się już zarobi kulkę w łeb, braciszku.

– Ty mi tu nie wyjeżdżaj z pierdołami w stylu „jeden strzał, jeden zabity”. Jak już warto strzelać, to warto strzelić dwukrotnie.

– A ile wpakowałeś w tego skurwiela w Alabamie?

– Trzy. Nie miałem ochoty ryzykować – wyjaśnił Dominic.

– Tak powiadasz, braciszku. Daj mi spróbować z tym twoim smithem. Dominic wyjął

magazynek i podał go bratu wraz z bronią. Brian strzelił kilka razy bez ładowania, by poczuć, jak pistolet leży w dłoni. Potem załadował i zaczął strzelać na serio. Pierwszy strzał – brzdęk.

Drugi też. Przy trzecim spudłował, ale czwarty, w ułamek sekundy później – znów był celny.

Brian zwrócił broń.

– Inaczej leży w ręce – stwierdził.

– Przywykniesz.

– Dzięki, ale wolę dodatkowych sześć naboji w magazynku.

– Twój wybór.

– Czemu właściwie strzelać w głowę? – zastanawiał się Brian. – Z karabinu snajperskiego to rozumiem, ale nie z pistoletu.

– Dobrze jest umieć trafić gościa w głowę z piętnastu metrów – odpowiedział Pete Alexander. – To najlepszy sposób na rozstrzygnięcie sporu.

– Gdzieś ty się wychował? – spytał Dominic.

– Nie przyłożyłeś się, agencie Caruso. Pamiętaj, nawet Adolf Hitler miał przyjaciół. W

Quantico tego nie uczą?



– A jakże – markotnie przyznał Dominic.

– Kiedy zlikwidujecie główny cel, rozejrzyjcie się za jego ewentualnymi przyjaciółmi.

Albo zmykajcie, gdzie pieprz rośnie. Albo jedno i drugie.

– Uciekać? – zdziwił się Brian.

– No nie tak dosłownie. Oddalcie się tak, by nie wzbudzać podejrzeń. Można wejść do księgarni i kupić książkę, można iść na kawę... co chcecie. Trzeba podejmować decyzje zależnie od sytuacji, ale pamiętajcie o jednym: musicie oddalić się z miejsca akcji na tyle szybko, na ile pozwalają okoliczności. Nie za szybko, bo was zauważą. Nie za wolno, bo mogą zapamiętać, że widzieli was z obiektem. Nie zapamiętają kogoś, na kogo nie zwrócili uwagi. Nie możecie się więc wyróżniać. Wasz ubiór, kiedy wykonujecie zadanie, to, jak zachowujecie się w terenie, jak chodzicie, nawet sposób myślenia, to wszystko służy jednemu: macie być niewidzialni – podsumował Alexander.

– Innymi słowy, Pete, kiedy zabijemy już ludzi, do których zabijania nas szkolicie –

powiedział cicho Brian mamy oddalić się w taki sposób, aby nam to uszło płazem.

– Wolałbyś, żeby cię złapali? – zadrwił Alexander.

– Nie, ale żeby kogoś zabić, najlepiej strzelić mu w łeb z dobrej strzelby z kilkuset metrów. Zawsze działa.

– A jeśli chcesz go zabić tak, żeby nikt nie wiedział, że został zabity? – spytał oficer szkoleniowy.

– Niby jak to zrobić? – wtrącił się Dominic.

– Cierpliwości, chłopcy. Nie wszystko naraz.

Drogę zagradzały szczątki ogrodzenia. Ricardo po prostu przeszedł jakąś starą dziurą.

Słupki pomalowano na zjadliwie zielony kolor, ale farba prawie wszędzie odlaźła. Siatka była w jeszcze gorszym stanie. Już po drugiej stronie *coyote* znalazł sobie duży kamień, usiadł na nim, zapalił i upił łyk z manierki. Pierwszy postój. Marsz wcale nie był uciążliwy.

Najwyraźniej przewodnik robił to już wiele razy. Mustafa i jego ludzie nie wiedzieli, że tą trasą przeprowadził już przez granicę kilkaset grup. Raz tylko go aresztowano. A i to zraniło tylko jego dumę. Zwrócił pieniądze, był przecież człowiekiem honoru. Mustafą podszedł do niego.

– Z twoimi przyjaciółmi wszystko w porządku? – zagadnął Ricardo.

– Marsz nie był ciężki – odparł Mustafa. – Nie widziałem też żadnych węży.

– Nie ma ich tu zbyt wiele. Ludzie zazwyczaj strzelają do nich albo rzucają kamieniami.

Kto by się tam troszczył o węże.

– Są niebezpieczne... to znaczy tak naprawdę?

– Tylko dla głupców, a i oni rzadko umierają. Człowiek choruje, parę dni nie może się ruszyć i tyle. Poczekamy tu parę minut. Jesteśmy przed czasem. A, właśnie, witamy w Ameryce, *amigo*.

– To już tu, za tym płotem? – zdziwił się Mustafa.

– *Norteamericanos* są bogaci, fakt. No i sprytni. Ale leniwi. Moi rodacy by tam nie jechali, tyle że tam jest praca, a *gringos*... im nie chce się pracować.

– Ilu ludzi przemyciłeś do Ameryki?

– Ja sam? Tysiące. Wiele tysięcy. Dobrze mi za to płacą. Mam piękny dom i zatrudniam sześciu *coyotes*. *Gringos* bardziej niepokoi przemyt narkotyków, a ja tego nie robię. Szkoda zachodu. Dwóch moich ludzi robi to za mnie. Rozumiesz, są z tego niezłe pieniądze.

– O jakich narkotykach mówisz? – dociekał Mustafa.

– O takich, za jakie mi płacą. – Ricardo wyszczerzył zęby w uśmiechu i znów pociągnął z manierki.

Podszedł do nich Abdullah i powiedział zdziwiony:

– Myślałem, że marsz będzie ciężki.

– Tylko dla mieszczuchów – odparł Ricardo. – To mój kraj. Urodziłem się na pustyni.

– Jak ja. Ładny dzień. – Abdullah nie musiał dodawać, że lepsze to, niż siedzieć w ciężarówce.

Ricardo zapalił kolejnego newporta. Lubił mentolowe papierosy, bo mniej drażniły gardło.

– Jeszcze przez jakiś miesiąc, dwa nie będzie gorąco. Potem może być prawdziwy upał.

Mądry weźmie ze sobą zapas wody. W sierpniowym słońcu ludzie umierali tu bez wody. Ale nie moi. Ja sprawdzam, czy każdy ma wodę. Matka natura nie zna litości – zauważył *coyote*.

U kresu wędrówki jest znajome miejsce, gdzie wychyli kilka *cervezas*, zanim podąży na wschód do El Paso. A stamtąd do Ascensión, do swojego domu z wygodami, daleko od granicy, by nie niepokoiili go przyszli emigranci, którzy mieli nieprzyjemny zwyczaj kraść wszystko, co przyda się przy przejściu przez granicę. Zastanawiał się, ile kradną po drugiej stronie, ale w końcu to nie jego problem. Wypalił papierosa i wstał. – Jeszcze trzy kilometry, przyjaciele.

Wszyscy ruszyli za nim na północ. Tylko trzy kilometry? W ojczyźnie dalej jest na przystanek autobusowy, pomyślał Mustafa.

Wklepywanie cyfr było tak przyjemne jak spacer z gołym tyłkiem przez pokrzywy. Jack potrzebował podniety intelektualnej – i choć niektórzy uważali, że księgowość śledcza jest ekscytująca, on do takich nie należał.

– Znudzony, co? – zagadnął Tony Wills.

– Strasznie – odparł Jack.

– Tak to już jest z gromadzeniem i przetwarzaniem informacji wywiadowczych. Nawet kiedy są interesujące, to żmudna robota... chyba że wpadłeś na trop wyjątkowo przebiegłego lisa. Wtedy może to być nawet zabawne, choć to podobno nie to samo co obserwacja obiektu w terenie. Tego nigdy nie robiłem.

– Ani tata – zauważył Jack.

– Nie o wszystkim wiesz. Twój ojczulek nieraz znajdował się w centrum wydarzeń. Choć nie sędzę, by to lubił. Mówił kiedyś o tym?

– Nigdy. Ani razu. Nawet mama chyba niewiele o tym wie. No, z wyjątkiem tej sprawy z okrętem podwodnym, ale i tak najwięcej dowiedziałem się z różnych publikacji. Spytałem raz o to tatę, a on na to: „Wierzysz we wszystko, co piszą w gazetach?” Nawet kiedy pokazali w telewizji tego Ruska, Gierasimowa, tata tylko coś burknął.

– W Langley mówi się, że był królem szpiegów. Trzymał wszystko w tajemnicy, jak trzeba. Ale pracował głównie na siódmym piętrze. Ja sam nigdy nie dotarłem tak wysoko.

– A ty mógłbyś mi coś powiedzieć?

– Co na przykład?

– O tym Gierasimowie. Nikołaju Borysowiczu Gierasimowie. Naprawdę był szefem KGB? Mój tata naprawdę wy dostał go z Moskwy?

Wills wahał się przez chwilę, nic dziwnego.

– Tak. Stał na czele KGB. I tak, twój tata przygotował jego ucieczkę.

– Bez jaj? Jak to niby zrobił?

– To bardzo długa historia, a tobie nic do tego.

– To dlaczego wydał tatę?

– Bo zdradził wbrew sobie. Twój ojciec go zmusił. A on chciał wyrównać rachunki, kiedy twój tata został prezydentem. Ale Nikołaj Borysowicz i tak swoje wyśpiewał... może nie jak kanarek, ale zawsze. Teraz jest w programie ochrony świadków. Wciąż od czasu do czasu go przywożą... i śpiewa nadal. Jak kogoś przyskrzynisz, to nigdy nie zdradzi ci wszystkiego od razu, więc trzeba do niego wracać. Dzięki temu ci ludzie czują się ważni i zwykle to wystarcza, żeby wyśpiewali więcej. Nie narzeka na nadmiar szczęścia. Nie może wrócić do domu. Zastrzeliliby go. Rosjanie nigdy nie wybaczą zdrady stanu. Cóż, my też nie. Żyje więc sobie pod federalną ochroną. Ostatnio słyszałem, że zaczął grać w golfa. Jego córka wyszła za jakiegoś bogatego dupka z Wirginii. Jest teraz prawdziwą Amerykanką, ale jej tatuś umrze nieszczęśliwy. Chciał przejąć władzę w Związku Radzieckim, naprawdę miał na to chrapkę, lecz twój ojciec wszystko mu spieprzył i Nick wciąż ma mu to za złe.

– A niech mnie...

– Co z Salim? – Wills zmienił temat.

– To i owo. No wiesz, piętnaście tysięcy tu, osiem tysięcy... funtów, nie dolarów. Na konta, o których niewiele wiem. Wydaje od dwóch do ośmiu tysięcy funtów gotówką tygodniowo, dla niego to drobne.

– Skąd pochodzi ta gotówka? – spytał Wills.

– To nie do końca jasne, Tony. Sądzę, że podbiera trochę z rodzinnego konta, może jakieś dwa procent, które może zapisać na poczet wydatków. Nie tyle, by zaalarmować rodziców.

Ciekawe, jak tata i mama by zareagowali, gdyby się o tym dowiedzieli?

– Nie odcieliby mu ręki, ale mogliby zrobić coś gorszego: odciąć mu dopływ pieniędzy.

Potrafisz go sobie wyobrazić, jak zarabia na życie?

– Prawdziwą pracą? – Jack się roześmiał. – Nie, nie potrafię. Za długo żył jak u Pana Boga za piecem. Często bywałem w Londynie. Przeciętnemu człowiekowi nie żyje się tam łatwo.

– „I jak tu ich zatrzymać na farmie, po tym jak ujrzeli Paryż?” – zanucił Wills.

Jack poczerwieniał.

– Słuchaj, Tony. Tak, wychowywałem się w bogatej rodzinie, lecz tata zawsze pilnował, żebym latem znalazł sobie zajęcie. Pracowałem nawet dwa miesiące na budowie. Trochę to utrudniało życie Mike’owi Brennanowi i jego ludziom. Ale tata chciał, żebym przekonał się na własnej skórze, co to prawdziwa praca. Z początku tego nie cierpiałem, lecz kiedy teraz o tym myślę... chyba powinienem być wdzięczny. Ten cały Sali nigdy czegoś takiego nie robił.

Wiesz, ja mógłbym przeżyć w prawdziwym świecie, na skromnej posiadce... gdybym musiał.

Jemu byłoby o wiele trudniej.

- No dobra. Ile jest w sumie tych pieniędzy niewiadomego pochodzenia?
- Może dwieście tysięcy funtów, czyli trzysta tysięcy dolarów. Ale jeszcze ich nie namierzyłem...
- Ile czasu potrzebujesz?
- W tym tempie? Cholera, jakiś tydzień, jeśli będę miał szczęście. To tak jakbym śledził samochód w Nowym Jorku w godzinach szczytu.
- Tak trzymaj. To nie ma być ani łatwe, ani przyjemne.
- Tak jest, sir! – Formułka marines w Białym Domu. Nieraz mówili tak nawet do niego, do czasu kiedy ojciec to usłyszał i natychmiast z tym skończył.

Jack odwrócił się do swojego komputera. Najpierw robił notatki na papierze liniowym – tak było łatwiej a później przenosił je do pliku. Pisząc, zauważył, że Tony wychodzi z pokoju i idzie na górę...

- Dzieciak ma nosa – stwierdził Wills, kiedy rozmawiał z Rickiem Bellem na ostatnim piętrze.
- Tak? – Ciut za wcześnie, by mówić o wynikach żółtodzioba, bez względu na to, kim jest jego ojciec, pomyślał Bell.
- Przydzieliłem go do młodego Saudyjczyka mieszkającego w Londynie. Nazywa się Uda bin Sali, obraca rodzinnymi pieniędzmi. Angole mają go pod luźną obserwacją... raz dzwonił do kogoś, kim się zainteresowali.
- No i?...
- I junior znalazł kilkaset tysięcy funtów, których nie można się doliczyć.
- To pewne? – dociekał Bell.
- Będziemy musieli przydzielić kogoś na stałe, ale naprawdę dzieciak ma nosa.
- Może Dave’a Cunninghama?

Dave, księgowy śledczy pod sześćdziesiątkę, przyszedł do Campusu z wydziału przestępczości zorganizowanej w Departamencie Sprawiedliwości. Miał legendarne wprost wyczucie liczb. Wydział handlowy Campusu zazwyczaj wykorzystywał go do

„konwencjonalnych” obowiązków. Mógłby sobie nieźle radzić na Wall Street, ale uwielbiał

zawodowo przyskrzyniać przestępców. W Campusie było to możliwe nawet długo po przekroczeniu wieku emerytalnego dla urzędników państwowych.

– Też bym go wybrał – zgodził się Tony.

– W porządku, załadujmy pliki Jacka na komputer Dave’a i zobaczmy, co z tego wyniknie.

– Dla mnie rewelacja, Rick. Widziałeś wczorajszy raport o materiałach z NSA?

– Tak. Nadzwyczaj ciekawy – odparł Bell.

Trzy dni wcześniej było o siedemnaście procent mniej wiadomości ze źródeł

interesujących rządowe służby wywiadowcze, a dwa szczególnie ważne niemal całkiem zamilkły. W przypadku transmisji w wojsku czasami oznaczało to ciszę przed burzą i wywiadowcy zaczęli się denerwować. Zazwyczaj jednak nic to nie znaczyło, ale jeśli już, to szpiedzy siedzieli jak na szpilkach.

– I co? – spytał Wills.

Bell potrząsnął głową.

– Od jakichś dziesięciu lat nie jestem już przesądny.

Najwyraźniej Tony Wills wciąż był.

– Rick, czas wejść do gry. Planujemy to już od dłuższego czasu.

– Wiem, o co ci chodzi, ale nie możemy opierać się na czymś takim.

– Rick, to tak jakbyś siedział na meczu; nawet rezerwowi może wyjść na boisko, jeśli zechce.

– Żeby zabić sędziego?

– Nie, tylko gościa, który fauluje.

– Cierpliwości, Tony. Cierpliwości.

– Upierdliwa jak na cnotę, co? – Wills nigdy się jej nie nauczył mimo całego swojego doświadczenia.

– Myślisz, że tylko tobie jest ciężko? A co powiesz o Gerrym?

– Tak, Rick, wiem. – Wstał. – Na razie, stary.

Nie natknęli się ani na człowieka, ani na samochód, ani na helikopter. Najwidoczniej nie było tu niczego godnego uwagi. Ani ropy, ani złota, ani nawet miedzi. Czego tu strzec? Co chronić? Ot, zrobili sobie spacer po świeżym powietrzu. Wokół trochę krzewów, nawet kilka karłowatych drzewek. Stare ślady opon. Ta część Ameryki to taka saudyjska pustynia Rub' al-Chali, której nie przemierzają nawet wielbłądy.

Najwyraźniej jednak wędrówka się skończyła. Kiedy wspięli się na niewielkie wzniesienie, ujrzeni pięć samochodów i czekających obok mężczyzn, którzy ucięli sobie pogawędkę.

– No, no – odezwał się przewodnik. – Też są wcześniej. Doskonale. – Mógł już opuścić tych ponurych cudzoziemców i zająć się własnymi sprawami. Począł jednak, aż wszyscy do nich dołączą.

– Jesteśmy na miejscu? – spytał Mustafa z nadzieją w głosie. Szło im się dobrze, znacznie lepiej, niż się spodziewał.

– Ci tam, moi przyjaciele, zabiorą was do Las Cruces. Stamtąd już droga wolna.

– A ty? – pytał dalej Mustafa.

– Ja wrócę do domu, do swoich – odparł Ricardo. Czyż to nie oczywiste? Może ten facet nie ma rodziny?

Resztę drogi pokonali w dziesięć minut. Ricardo wsiadł do pierwszej terenówki, ale wcześniej pożegnał się ze swoimi podopiecznymi. Zachowywali się przyjaźnie, choć mieli się na baczności. Mogło być gorzej, ale nielegalnych imigrantów było więcej w Arizonie i Kalifornii – i tam Amerykanie lepiej strzegli granicy. *Gringos* są mądzy po szkodzie – jak każdy, a trzeba umieć przewidywać. Wcześniej czy później zorientują się, że tu też trwa ruch przez granicę. Tyle że nie na taką skalę. Wtedy będzie musiał poszukać sobie innej pracy. Ale przez ostatnich siedem lat nieźle sobie radził – wystarczyło, by założyć mały interes i zapewnić dzieciom lepszy start.

Patrzył, jak jego podopieczni wsiadają do samochodów i odjeżdżają. On też pojechał w kierunku Las Cruces, lecz skręcił na południe, na I-10 do El Paso. Dawno już przestał się zastanawiać, co jego klienci chcą robić w Stanach. Pewnie nie zajmą się ogrodnictwem czy budowlanką. Ale w końcu zapłacono mu dziesięć tysięcy dolarów. Tak więc dla kogoś byli ważni – tyle że nie dla niego.

## Rozdział 10

# U CELU

Dla Mustafy i jego towarzyszy droga do Las Cruces była miłym przerywnikiem. Choć tego nie okazywali, podekscytowanie sięgało szczytu. Byli w Ameryce. Tu żyli ci, których chcieli zabić. Misja zbliżała się do końca. Nie chodziło o tych kilka kilometrów – lecz oni przekroczyli magiczną, niewidzialną granicę i znaleźli się w Domu Szatana, domu tych, którzy zesłali śmierć na ich ojczyznę oraz na wiernych w całym muzułmańskim świecie i płaszczyli się przez Izraelem.

W Deming skręcili na wschód, w kierunku Las Cruces. Do następnego postoju mieli sto kilometrów autostradą I-10. Mijali billboardy z reklamami moteli, barów i atrakcji turystycznych. Za oknami widzieli krajobraz przesuwany się ze stałą prędkością stu kilometrów na godzinę.

Kierowca wyglądał na Meksykanina i nie odzywał się ani słowem. Jeszcze jeden najemnik. Wszyscy milczeli. Kierowca – bo miał to gdzieś, pasażerowie – bo po angielsku mówili z obcym akcentem, na który kierowca mógłby zwrócić uwagę. A tak zapamięta tylko, że zabrał jakichś ludzi z bocznej drogi w południowym Nowym Meksyku i przewiózł ich w inne miejsce.

Pewnie moim ludziom jest trudniej. Muszą wierzyć, że wiem, co robią, pomyślał

Mustafa. W końcu to on kierował misją, przywodził oddziałowi wojowników, który rozdzielili się na cztery grupy, a one już nigdy się nie połączą. Misję dokładnie zaplanowano. Będą się porozumiewać wyłącznie za pośrednictwem komputera, a i to nie za często. Działać niezależnie, ale według prostego wspólnego terminarza i zgodnie z tym samym strategicznym celem. Plan? Zadać Ameryce niewyobrażalny cios. Mustafa spojrzał na mijające ich kombi.

Rodzice i dwójka dzieci, chłopcy, jeden ze cztery lata, drugi, młodszy, może półtoraroczny.

Wszyscy – niewierni. Cele.

Plan operacyjny był oczywiście zapisany – czternastopunktową czcionką na zwykłym papierze. Cztery egzemplarze, po jednym dla każdego przywódcy zespołu. Pozostałe dane znajdowały się w plikach na komputerach osobistych – mieli je w małych torbach razem z koszulkami na zmianę i czystą bielizną. Niczego więcej nie potrzebowali. Plan zakładał też, że niewiele po sobie zostawią, by jeszcze bardziej dezorientować Amerykanów.

Mustafa uśmiechnął się do swoich myśli. Zapalił papierosa – zostały mu już tylko trzy – i głęboko zaciągnął się dymem. Poczul zimny podmuch. Klimatyzacja. Za jego plecami zachodziło słońce. Następny – i ostatni – postój zrobią po ciemku. To dobrze z taktycznego punktu widzenia. Wiedział, że to tylko przypadek, ale skoro tak – to sam Allah sprzyja ich planom. Tak przecież powinno być. Spełniają w końcu Jego wolę.

Kolejny monotony dzień pracy, zamyślił się Jack, idąc do samochodu. I nie mógł z nikim o tym porozmawiać. Taka zasada obowiązywała w Campusie. Nikogo nie dopuszczono do jego tajemnic i



nie do końca wiedział dlaczego. Mógłby oczywiście pogadać o tym z tatą.

Prezydent był z definicji wtajemniczony we wszystkie sekrety, a eks-prezydenci mieli taki sam dostęp do informacji – jeśli nie z mocy prawa, to z przyczyn praktycznych. Ale nie, tego nie robi. Tata nie byłby zadowolony z jego nowej pracy. Jeden telefon i wszystko by spieprzył, a Jack już zdążył nabrać apetytu na więcej. Lecz bardzo chciał pogadać z kimś, kto wie, jak się sprawy mają. Żeby tylko ten ktoś powiedział: „Tak, to naprawdę ważne, naprawdę pracujesz dla prawdy, sprawiedliwości i dla amerykańskich ideałów”.

Czy rzeczywiście może coś działać? Świat jest, jaki jest. Niewiele da się w nim zmienić.

Nie zrobił tego nawet jego ojciec, choć miał wielką władzę. A co on, taki nędzny robaczek?

Ale jeśli już ktoś ma naprawiać świat, to tylko ten, kto się nie zastanawia, czy to możliwe lub nie. A kto się nie zastanawia? Młody, głupi człowiek, który nie wie, co jest możliwe, a co nie.

Cóż, matka i ojciec też nie uznawali słowa „niemożliwe” – i tak go wychowali. Sally wkrótce skończy szkołę medyczną i pójdzie na onkologię – w tym wypadku matka będzie musiała się poddać. Siostra wszem wobec oświadczała, że przyczyni się do pokonania raka raz na zawsze. Ryanowie nie wierzyli, że coś może być niemożliwe. Jack nie wiedział, jak wychodzić zwycięsko z każdej próby, i sporo się jeszcze musiał nauczyć. Z drugiej strony był

przecież dobrze wykształcony... i miał do dyspozycji spory fundusz powierniczy. Mógł więc robić swoje i nie martwić się, że będzie przymierał głodem, jeśli obrazi jakiegoś ważniaka.

Większej swobody ojciec już nie mógł mu dać. John Patrick Ryan junior był na tyle mądry, żeby zdawać sobie z tego sprawę, nawet jeśli nie rozumiał, jaką odpowiedzialność niesie ze sobą taka wolność.

Zamiast gotować sobie obiad, poszli wieczorem do miejscowej knajpki. Pełno tu było studentów z Uniwersytetu Stanu Wirginia. Wyglądali na bystrych, jednak nawet w połowie nie tak bystrych, za jakich sami siebie uważali. Byli też trochę za głośni i trochę zbyt pewni siebie. Korzystali ze wszystkich przywilejów dzieci – choć nie cierpieli, gdy tak o nich mówiono – o których potrzeby wciąż troszczą się, tyle że z wygodnej odległości, kochający rodzice. Młodzi Caruso z rozbawieniem patrzyli, jacy byli zaledwie kilka lat temu, zanim surowy trening i doświadczenie tak bardzo ich zmieniły. Jacy teraz byli, sami nie wiedzieli.

To, co w szkole zdawało się proste, stało się nieskończenie bardziej skomplikowane po opuszczeniu łona uczelni. W końcu świat nie jest cyfrowy – rzeczywistość jest analogowa, zawsze zaskakująca, zawsze pełna przeszkód, o które ktoś nieostrożny może się łatwo potknąć. A ostrożność przychodzi wraz z doświadczeniem – po kilku potknięciach i bolesnych upadkach, z których tylko najgorsze zapadają w pamięć jak wyuczone lekcje.

Bracia odebrali te lekcje na tyle wcześnie, że zdali sobie sprawę z konsekwencji błędów w świecie,

który nie wybacza.

– Niczego sobie miejsce – stwierdził Brian, kiedy już zjadł połowę befsztyka.

– Trudno zepsuć dobrą wołowinę, choćby kucharz był matolem. – Na pewno mają tu kucharza, a nie szefa kuchni, ale steki są niezłe jak na prawie surową porcję białka, a brokuły świeżo wyjęte z chłodni, pomyślał Dominic.

– Naprawdę trzeba jadać w lepszych miejscach – zauważył major marines. Korzystaj z życia, póki możesz. Przecież nie mamy jeszcze trzydziestki.

Niezły żart.

– Kiedyś wydawało nam się, że to zaawansowany wiek, co?

– Początek starości? No tak... Młody jesteś jak na majora, prawda?

– No chyba – wzruszył ramionami Aldo. – Cóż, szef mnie lubił, pracowałem z fachowcami... Nie pasowały mi tylko racje żywnościowe. Utrzymują cię na chodzie, ale to wszystko, co o nich można powiedzieć dobrego. Chociaż mój sierżant broni chwalił sobie jedzenie w korpusie.

– W Biurze żywił się pączkami, no i kawą... mają chyba najlepsze przemysłowe ekspresy w całej Ameryce. Trudno zaciskać pasa na takiej diecie.

– W niezłej jesteś formie jak na gryzipiórka, Enzo – łaskawie przyznał Brian. Pod koniec porannej przebieżki jego brat wyglądał tak, jakby miał za chwilę paść. Ale dla marine pięciokilometrowy bieg to jak poranna kawa, ot, żeby oprzytomnieć. – Wciąż chciałbym wiedzieć, do czego dokładnie nas szkolą – wyznał po chwili.

– Szkolą nas do zabijania ludzi, i tylko tyle musimy wiedzieć. Jak podkraść się niezauważenie, a potem zmykać, gdzie pieprz rośnie, bez zwracania na siebie uwagi.

– Z pistoletami? – powątpiewał Brian. – Trochę hałaśliwe i nie tak pewne jak karabin. W

Afganistanie miałem ze sobą snajpera. Zdejmował wrogów z odległości prawie półtora kilometra! Strzelał z barretta 0,50 cala, kawał skurczybyka, jak browning na sterydach.

Strzelasz jak z M-2, tylko większego kalibru. Cholernie celny i zabójczo skuteczny. Trochę trudno uciec, jak zrobią ci półcalową dziurę. – Zwłaszcza że snajper, kapral Alan Roberts, czarny dzieciak z Detroit, zazwyczaj celował w głowę.

– Może dadzą nam tłumiki. Pistolet można dobrze wyciszyć.

– Widziałem takie. W szkole zwiadu szkolili nas, jak ich używać, ale są za duże, żeby je nosić pod marynarką. Poza tym trzeba takiego wyjąć, stanąć i wycelować w głowę. Nie będziemy raczej zabijać z pistoletów, Enzo, chyba że wyślą nas do szkoły imienia Jamesa Bonda na kurs magii.

– To może będziemy używać czegoś innego.

– Tego też nie wiesz?

– Słuchaj, kolego, dalej dostają pensję z Biura. Wiem tylko, że wysłał mnie tu Gus Werner... czyli wszystko jest koszerne... no prawie.

– Wspominałeś już o nim. Kto to taki?

– Wicedyrektor, szef nowego wydziału antyterrorystycznego. Jemu się nie podskakuje.

Był wcześniej szefem HRT i z niejednego pieca chleb jadł. Bystry gość i twardy jak jasna cholera. Raczej nie mdleje na widok krwi. Ma też głowę na karku. Terroryzm to dla Biura coś nowego, a Dan Murray nie wybrał Gusa do tej roboty tylko dlatego, że potrafi strzelać. On i Murray trzymają się razem od ponad dwudziestu lat. Murray też nie jest głupi. W każdym razie jeśli on mnie tu wysłał, to znaczy, że ktoś się na to godzi. Więc będę w to grał, chyba że każą mi złamać prawo.

– Ja też, ale trochę się jednak denerwuję.

W Las Cruces był regionalny port lotniczy dla samolotów latających na krótkich dystansach i dla hydroplanów. Przy lotnisku znajdowało się biuro wynajmu samochodów.

Wjechali na parking i Mustafa zaczął się denerwować. Wraz z jednym ze wspólników miał tu wynajmować samochody. Dwóch innych ludzi zrobi to samo w mieście.

– Wszystko jest przygotowane – oznajmił kierowca. Wręczył mu dwie kartki. – Tutaj macie numery rezerwacji. Dostaniecie czterodrzwiowe sedany ford crown victoria.

Chcieliście kombi, ale mogliśmy je wynajmować tylko w El Paso, a tam lepiej nie jechać. Użyj Visy. Nazywasz się Tomas Salazar, a twój przyjaciel Hector Santos. Pokażcie im numery rezerwacji i róbcie, co mówią. Nic trudnego. – Żaden z mężczyzn nie wyglądał na Latynosa, ale pracownicy biura wynajmu byli ignorantami, a po hiszpańsku potrafili powiedzieć tylko *taco* i *cerveza*.

Mustafa wysiadł z samochodu i wszedł do biura, kiwając na przyjaciela, aby podążył za nim.

Od razu zorientował się, że będzie to proste. Szef tego całego interesu nie zadał sobie trudu, by zatrudnić inteligentów. Chłopak za kontuarem siedział zgarbiony nad komiksem, zatopiony w lekturze.

– Dzień dobry – przywitał się Mustafa z fałszywą pewnością siebie. – Mam tu rezerwację. – Zapisał numer na skrawku papieru i podał pracownikowi.

– W porządku. – Chłopak nie okazał zniecierpliwienia, że ktoś odrywa go od najnowszych przygód Batmana. Umiał obsługiwać biurowy komputer, który po chwili wypluł

niemal wypełniony formularz wypożyczenia.

Mustafa podał mu swoje międzynarodowe prawo jazdy. Chłopak skserował je, po czym przyszył kopię do swojego formularza. Cieszył się, że pan Salazar wykupił wszystkie opcje ubezpieczenia – dostawał za to dodatek.

– W porządku. Pański samochód to biały ford na stanowisku czwartym. Wyjdzie pan z biura i skręci w prawo. Kluczyki są w stacyjce.

– Dziękuję – rzucił Mustafa z silnym angielskim akcentem. Czyżby to było aż tak łatwe?

Najwyraźniej. Ledwie wyregulował siedzenie w swoim fordzie, a na stanowisku piątym już pojawił się Said i wsiadł do bliźniaczego jasnozielonego sedana. Obaj mieli mapy Nowego Meksyku, choć tak naprawdę ich nie potrzebowali. Zapalili silniki i wyjechali z parkingu na ulicę, gdzie czekały na nich terenówki. Trzymali się ich bez problemu, bo w porze obiadu w Las Cruces był niewielki ruch.

Jechali główną ulicą Las Cruces. Następne biuro wynajmu było osiem przecznic dalej na północ. Agencja Hertz, co dla Mustafy brzmiało jakby po żydowsku. Jego dwaj kompani weszli do środka, wrócili po dziesięciu minutach i wsiadli do wypożyczonych samochodów.

Znów fordów, takich jak samochody Mustafy i Saida. Chyba najbardziej ryzykowna część misji dobiegła końca. Pojechali za terenówkami kolejne dwadzieścia kilometrów na północ i zjechali w boczną drogę. Dużo tu było takich dróg... całkiem jak w ojczyźnie. Po kolejnym kilometrze natrafili na samotny dom. Tylko stojąca obok ciężarówka wskazywała, że jest zamieszkały. Wszyscy zaparkowali. Ostatnie zwyczajne spotkanie, zdał sobie sprawę Mustafa.

– Mamy tu waszą broń – poinformował ich Juan Sandorval i skinął na Mustafę. – Proszę za mną.

W zwykłym drewnianym budynku był istny arsenał. W szesnastu kartonowych pudłach leżały pistolety maszynowe MAC-10 z kiepsko wykończonej stali maszynowej – żadna tam elegancka broń. Do każdego dołączono dwanaście magazynków, owiniętych czarną taśmą izolacyjną.

– Pistolety są nowiutkie. Jeszcze z nich nie strzelano – oświadczył Juan. – Do wszystkich mamy tłumiki. Nie wyciszają zbyt skutecznie, ale polepszają wyważenie i celność. Ten typ pistoletu nie jest tak łatwy w użyciu jak uzi, ale uzi trudniej tu dostać. Zasięg strzału około dziesięciu metrów. Łatwo się ładują i rozładowują. Strzelają oczywiście z otwartym zamkiem i to dość szybko. – Prawdę mówiąc, magazynek na trzydzieści naboji opróżniało się w mniej niż trzy sekundy, trochę za szybko, żeby celować. Ale tym facetom chyba to nie robi różnicy, pomyślał.

Bo i nie robiło. Każdy z szesnastu Arabów wziął broń i zważył ją w ręce. Jeden z nich złapał też magazynek i...

– Stop! *Halto!* – wrzasnął Juan. – Nie będziecie mi tu tego ładować. Jeśli chcecie je wypróbować, to za domem mamy tarcze.

– Nie będzie za głośno? – zaniepokoił się Mustafa.

– Do najbliższego domu są cztery kilometry – odparł lekceważąco Juan. Pociski nie dolatują tak daleko. No to dźwięk też nie. Ale tu się pomylił.

Jednak jego goście zakładali, że wie wszystko o okolicy, i zawsze lubili sobie postrzelać.

Dwadzieścia metrów od domu był wał z piasku oraz kilka skrzynek i kartonów. Jeden po drugim włożyli magazynki i odciągnęli rygle. Nie strzelali na rozkaz. Poczekali na Mustafę, który chwycił za pasek u lufy i nacisnął spust...

Nieźle. MAC-10 robił sporo hałasu, podskakiwał jak każda broń maszynowa, ale jak na pierwszy raz na strzelnicy Arabowi poszło całkiem dobrze. Wpakował serię w stojący jakieś sześć metrów z przodu i po lewej karton. W mgnieniu oka rygiel uderzył o pustą komorę.

Trzydzieści naboji Remington, kaliber 9 milimetrów. Mustafa zastanawiał się, czy nie wymienić magazynka, by sobie postrzelać przez kolejnych kilka sekund. Jednak nie. Będzie jeszcze na to czas – i to już niedługo.

– Tłumiki? – spytał Juana.

– Są w środku. Nakręca się je na lufę. Polecam. Łatwiej wtedy kontrolować rozrzut pocisków – doradził Juan tonem znawcy. Jemu samemu MAC-10 od lat służył do eliminowania konkurencji i innych przyjemniaczków z Dallas i Santa Fe. Mimo to przy swoich gościach czuł się trochę niepewnie. Za dużo się uśmiechali. Nie są tacy jak ja, pomyślał. Im szybciej sobie pójdą, tym lepiej. Lepiej... na pewno nie dla ludzi, których obrali sobie za cel – ale to już nie jego zmartwienie. Dostał rozkazy z samej góry. Pieniądze też były rozsądne. Juan nie miał powodu narzekać, ale że znał się na ludziach, zapaliło mu się czerwone światło.

Tłumik miał około dziesięciu centymetrów średnicy i długość pół metra. Rzeczywiście, można go było nakręcić na lufę. Mustafa wziął broń do ręki i stwierdził, że istotnie lepiej leży. Lufa nie będzie bardzo podskakiwać i da się celniej strzelać. Redukcja hałasu nie miała większego znaczenia dla jego misji, ale celność owszem. Niestety, łatwa w ukryciu broń stawała się z tłumikiem zbyt ciężka. Na razie więc odkręcił tłumik i włożył go do torby.

Potem wyszedł przed dom, by zwołać swoich ludzi, a Juan za nim.

– Musicie wiedzieć kilka rzeczy – powiedział Juan powoli, ważąc słowa. – Amerykańska policja jest skuteczna, ale nie wszechmocna. Jeśli zatrzymają was na drodze, musicie być tylko uprzejmi. Jeśli każą wysiąść z samochodu, zróbcie to. Zgodnie z prawem mogą sprawdzić, czy macie przy sobie broń. Mogą więc was obszukać, ale jeżeli zechcą przeszukać samochód, po prostu odmówcie. Na to prawo im nie zezwala. Powtarzam: jeśli amerykański policjant zechce przeszukać wasz samochód, wystarczy odmówić i nie może tego zrobić.

Potem po prostu odjedźcie. Nie przekraczajcie dozwolonej prędkości. Jeśli będziecie się stosować do ograniczeń, to raczej nikt nie będzie wam się naprzykrzać. Ale jeśli złamiecie przepisy, dacie

policji powód do zatrzymania. Więc tego nie róbcie. Ćwiczcie cierpliwość.

Jakieś pytania?

– A jeśli policjant jest zbyt agresywny, czy możemy?...

Juan wiedział, że padnie to pytanie.

– Zabić go? Tak, możecie, ale wówczas ruszy za wami cała policja. Kiedy policjant was zatrzymuje, od razu melduje przez radio do bazy, gdzie jest, podaje też numer rejestracyjny waszego samochodu i wasz rysopis. Nawet jeśli go zabijecie, jego kumple znajdą was w kilka minut. I co to za satysfakcja? Nie warto ryzykować. Wpakujecie się tylko w kłopoty. Kiedy już zaczną was szukać, a mają do tego nawet śmigłowce, to was znajdą. Jedyny sposób obrony to nie dać się zauważyć. Nie przekraczać prędkości. Nie łamać przepisów. Wtedy będziecie bezpieczni. Złamcie prawo, a was złapią, z bronią czy bez. Rozumiecie?

– Rozumiemy – zapewnił Mustafa. Dzięki za pomoc.

– Mamy dla was mapy. Dobre mapy drogowe, z Amerykańskiego Automobilklubu.

Znacie swoje przykrywki, tak? – spytał Juan, chcąc mieć to jak najszybciej za sobą.

Mustafa spojrział na swoich kumpli – może mają jeszcze jakieś pytania, ale oni chcieli już zacząć działać. Zadowolony zwrócił się do Juana:

– Jeszcze raz dzięki za pomoc, przyjacielu.

Przyjacielu, a niech cię szlag, pomyślał Juan, jednak uścisnął jego dłoń i odprowadził

wszystkich do samochodów. Przenieśli torby z terenówek do sedanów. Mieli dojechać do drogi stanowej 185, potem jeszcze tylko kilka kilometrów, Radium Springs i wyjazd na północną I-25. Cudzoziemcy podali sobie dłonie, ku zaskoczeniu Juana ucałowali się nawet kilkakrotnie, rozdzielili się na cztery zespoły po czterech ludzi i wsiedli do wypożyczonych wozów.

Mustafa usiadł za kierownicą. Paczki papierosów położył na siedzeniu obok siebie, wyregulował lusterka i zapiął pas. Wiedział, że niezapięty pas może zwrócić uwagę policji równie łatwo jak przekroczenie prędkości. Nie chciał, by go zatrzymano. Juan nie musiał go ostrzegać, i tak nie miał zamiaru narażać się na takie ryzyko. Jadący sobie drogą gliniarz może nie rozpoznać, kim jest, ale spotkanie twarzą w twarz to co innego. Nie miał złudzeń, wiedział, co Amerykanie myślą o Arabach. Dlatego też wszystkie egzemplarze Koranu schował bezpiecznie w bagażniku.

Niedługo za kierownicą zastąpi go Abdullah, ale on prowadził pierwszy – na północ drogą I-25 do Albuquerque, potem na wschód I-40 prawie do celu. Ponad trzy tysiące kilometrów. Muszę zacząć myśleć w milach, napomniał się Mustafa. Jeden i sześć dziesiątych kilometra to jedna mila. Trzeba przeliczać – albo po prostu dać sobie z tym spokój. Mniejsza z tym. Jechał na północ drogą stanową

na północ. Odchylił się w siedzeniu, zmienił pas, zwiększył prędkość do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i ustawił automatyczną regulację szybkości. Teraz wystarczyło już tylko kierować i obserwować ruch na drodze do Albuquerque...

Jack nie wiedział, dlaczego ma problemy z zaśnięciem. Było już po dwudziestej trzeciej.

Obejrzał wieczorną porcję programów w telewizji i wypił wieczorne drinki – dziś trzy zamiast dwóch. Powinien być senny. I właściwie był, ale sen nie nadchodził.

„Wystarczy zamknąć oczy i pomyśleć o czymś przyjemnym”, mówili mama i tata, kiedy był mały. Ale teraz, gdy nie był już dzieckiem, przyjemne myśli rzadko się zdarzały.

Wkroczył w nowy trudny świat. Analizował fakty i hipotezy dotyczące ludzi, których pewnie nigdy nie spotka. Taka była jego praca. Próbował stwierdzić, czy chcieli zabijać innych ludzi, których też nigdy nie spotka, po czym przekazywał informacje tym, którzy mogą – lecz nie muszą – je wykorzystać. Nie wiedział, co dokładnie mogliby zrobić... coś już podejrzewał... i nie dawało mu to spokoju.

– Niech to szlag! – zaklął.

Polował na terrorystów. Większość z nich wierzyła, że robią coś dobrego – nie, coś heroicznego. Dla nich nie było to żadne przestępstwo. Muzułmańscy terroryści uważali, że wypełniają wolę Boga. Tylko że Koran o niczym takim nie wspomina. A już na pewno nie pochwała zabijania niewinnych ludzi, którzy nie uczestniczą w walce. To jak to jest? Czy Allah uśmiecha się do zamachowców-samobójców? A może wręcz przeciwnie? Czynami katolika rządzi sumienie. Jeśli wierzysz, że postępujesz właściwie, Bóg za to nie karze. Czy z islamem jest tak samo? Ale skoro jest tylko jeden Bóg, to może wszystkich obowiązują te same zasady? Który zbiór zasad religijnych jest najbliższy Bogu? I jak je rozróżnić?

Krzyżowcy





sumieniu

nikczemne

uczynki.

klasyczny

przypadek

usprawiedliwiania religią wojny z powodów ekonomicznych czy po prostu ambicjonalnych.

Szlachetnie urodzeni nie chcieli, by ich pobudki wyglądały na tak niskie – a z Bogiem na sztandarach można wszystko. Jeden cios miecza i głowa spada – w porządku, bo tak powiedział biskup.

Jasne. Rzecz w tym, że religia w połączeniu z polityką to prawdziwe bagno. Podoba się tylko niewyżytym młodym entuzjastom. Jego ojciec czasem mówił o tym przy obiedzie w mieszkalnej części Białego Domu. Twierdził, że młodemu żołnierzowi należy wpoić przede wszystkim jedno: nawet wojna ma swoje zasady i za ich łamanie grozi surowa kara.

Amerykańskim żołnierzom łatwo się tego nauczyć, mówił synowi, bo żyją w społeczeństwie, w którym bezprawną przemoc surowo się tępi – a to lepsze niż abstrakcyjne pryncypia. Jak nieźle oberwiesz, to do ciebie dotrze.

Westchnął i znów przewrócił się na drugi bok. Był za młody, żeby roztrząsać tak ważne sprawy. W college’u raczej nie mówią, że dziewięćdziesiąt procent wiedzy nabywasz po dyplomie. Inaczej mógłbyś poprosić o rabat.

Gerry Hendley siedział po godzinach pracy w biurze na ostatnim piętrze i przeglądał dane

– nie starczyło mu na to czasu przez cały dzień. Tak samo Tom Davis; on czytał raporty Pete’a Alexandra.

– Jakiś kłopot? – zagadnął Hendley.

– Bliźniacy wciąż za dużo myślą, Gerry. Można się było tego spodziewać. Obaj są bystrzy i obaj zazwyczaj grają według reguł, więc niepokoją się, kiedy widzą, że szkolimy ich, by je łamali. Zabawne, według Pete’a, to marine bardziej się rzuca. Agent FBI przystosowuje się znacznie lepiej.

– A myślałem, że będzie na odwrót.

– Ja też. To samo Pete. – Davis sięgnął po wodę z lodem. Późnym wieczorem nigdy nie pił kawy. – W każdym razie Pete nie bardzo wie, jak się sprawy potoczą, ale nie pozostało mu nic, jak tylko kontynuować szkolenie. Gerry, powinienem był cię ostrzec. Spodziewałem się, że będzie problem. Cholera, ale w końcu dla nas to pierwszy raz. Ludzie, jakich potrzebujemy, tak jak mówiłem, to nie psychopaci. Oni będą zadawać pytania. Będą chcieli znać powody. Będą mieć wątpliwości. Nie możemy przecież werbować robotów, prawda?

– Tak jak wtedy, kiedy chcieli załatwić Castro – przypomniał Hendley.

Czytał tajne akta tej szalonej, nieudanej akcji. Przeworsowana przez Boba Kennedy’ego operacja

„Mangusta”. Pewnie zdecydowali się na tę rozgrywkę przy drinkach albo po meczu.

W końcu Eisenhower za swojej prezydentury użył CIA w podobnym celu, więc czemu i oni nie mieliby tak zrobić? Tyle że były porucznik marynarki, któremu staranowano łódź, i prawnik, który swój zawód znał tylko z teorii, nie posiadli praktycznej wiedzy o tym, co zawodowy żołnierz z pięcioma gwiazdkami wiedział od samego początku. Mieli za to władzę.

Zgodnie z konstytucją Jack Kennedy był naczelnym dowódcą sił zbrojnych. Taka władza aż się prosiła, żeby jej użyć i zmieniać świat według swojego widzimisię. Więc rozkazano CIA, aby pozbyła się Castro. Ale CIA nigdy nie miała wydziału zabójstw i nigdy nie szkoliła ludzi do takich misji. Zwróciła się więc do mafii, która nie darzyła sympatią Fidela Castro. Przecież to on uniemożliwił realizację ich najbardziej zyskownego przedsięwzięcia. Tak pewnego, że mafijne grube ryby zainwestowały swoje prywatne pieniądze w hawańskie kasyna – a komunistyczny dyktator je zamknął.

Mafia chyba wie, jak się zabija ludzi?

Cóż, prawdą mówiąc, nie. Inaczej niż w hollywoodzkich filmach, mafiosi nigdy nie byli w tym dobrzy. Zwłaszcza jeśli potencjalne ofiary umiały się bronić. A jednak rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki próbował wynająć ich do zabicia głowy innego państwa – bo CIA nie wiedziała, jak to zrobić. Z perspektywy czasu wyglądało to dość groteskowo. Dość? –

spytał sam siebie Gerry Hendley. Cała sprawa niemal wyszła na jaw, a prezydent Ford wydał dekret zakazujący takich operacji. Dekret ten pozostawał w mocy do czasu, gdy prezydent Jack Ryan zdecydował się sprzątnąć religijnego przywódcę Iranu dwiema „inteligentnymi”

bombami. Zaskakujące, ale czas i okoliczności sprawiły, że media nie skomentowały tego zabójstwa. W końcu dokonały go Amerykańskie Siły Powietrzne przy użyciu właściwie oznakowanego – choć niewidzialnego – bombowca, w czasie niewypowiedzianej, ale całkiem realnej wojny, w której przeciw amerykańskim obywatelom użyto broni masowego rażenia.

Wszystko to razem sprawiło, że cała operacja okazała się nie tylko zasadna, ale i chwalebna, co potwierdzili Amerykanie w kolejnych wyborach. Większą przewagą wygrał tylko Jerzy Waszyngton. Jack Ryan senior wciąż wspominał o tym z zażenowaniem. Ale wiedział też, jak ważne było zabicie Mahmuda Hadzi Dardzai. Dlatego nim opuścił urząd, namówił Gerry’ego, by założył Campus.

Ale nie powiedział, że to takie trudne, zamyślił się Hendley. Jack Ryan zawsze postępował według określonej metody, wybrać odpowiednich ludzi, dać im misję i narzędzia do jej wykonania, a potem pozwolić działać – przy minimalnym nadzorze. Dzięki temu był

świetnym szefem i niezłym prezydentem. Nie ułatwiało to jednak życia jego podwładnym.

Czemu, do ciężkiej cholery, podjąłem się tego zadania? – spytał sam siebie Hendley. I się uśmiechnął. Jak zareagowałby Jack, gdyby się dowiedział, że jego własny syn pracuje w Campusie?

Czy uznałby to za zabawne?

Chyba nie.

– Więc Pete mówi, żeby rozegrać to do końca?

– A co innego może powiedzieć? – odpowiedział pytaniem Davis.

– Tom, chciałeś kiedyś wrócić na ojcową farmę w Nebrasce?

– To ciężka praca i trochę tam nudnawo. – Poza tym nie sposób było zatrzymać Davisa na farmie po tym, jak przestał być oficerem terenowym CIA. Mógłby sobie nieźle radzić, spekulując na giełdzie, ale z przeszłością równie ciemną jak jego skóra, już się do tego nie nadawał.

– Co sądzisz o wieściach z Fort Meade?

– Przeczucie mi mówi, że coś się szykuje. Zadaliśmy im cios. Teraz oni chcą go oddać.

– Myślisz, że mogą odzyskać siły? Nasze oddziały w Afganistanie nie dość im dopiekły?

– Gerry, niektórzy ludzie są zbyt ograniczeni albo zbyt oddani sprawie, żeby zauważyć, że dostali w skórę. Religia to potężna motywacja. Zresztą... nawet jeśli ich strzelcy są za głupi, aby zdać sobie sprawę z tego, co robią...

– ...to są wystarczająco sprytni, żeby wykonywać swoje misje – dokończył Hendley.

– Czyż nie dlatego tu jesteśmy? spytał Davis.

## **Rozdział 11**

### **PRZEZ RZEKĘ**

Słońce wstało. Mustafę obudziło jasne światło. Zresztą wyboje na drodze pozwalały spokojnie spać. Otrząsnął się ze snu i odwrócił do uśmiechniętego Abdullaha, siedzącego za kółkiem.

– Gdzie jesteśmy? – spytał.

– Pół godziny jazdy na wschód od Amarillo. Dobrze się jechało przez ostatnie sześćset kilometrów, ale niedługo trzeba będzie zatankować.

– Czemu mnie wcześniej nie obudziłeś?

– Po co? Smacznie spałeś, droga była niemal pusta przez cały czas, tylko te cholerne ciężarówki.

Amerykanie śpią w nocy. Przez ostatnie pół godziny naliczyłem może z trzydzieści samochodów.

Mustafa spojrzął na prędkościomierz. Samochód jechał setką. Abdullah nie przekraczał

dozwolonej prędkości. Nie zatrzymał ich żaden policjant. Nie było czym się denerwować –

no, może tylko tym, że Abdullah nie wykonywał ściśle jego rozkazów.

– O, proszę. – Abdullah wskazał niebieski znak. – Możemy kupić benzynę i coś na ząb. I tak zamierzałem cię tu obudzić, Mustafa. Bądź spokojny, przyjacielu. – Mustafa zauważył, że strzałka paliwomierza opadła niemal do zera. Głupio ze strony Abdullaha, ale nie było sensu go za to łajać.

Zajechali na spory parking dla podróżnych z samoobsługowymi dystrybutorami. Mustafa wyjął portfel, wsunął w rowek swoją Visę i nalał do pełna wysokooktanowej benzyny.

W tym czasie pozostała trójka była w toalecie. Teraz szukali czegoś do zjedzenia. Chyba znowu skończy się na pączkach. Wrócili na międzystanową w dziesięć minut od zjazdu z niej i pojechali na wschód do Oklahomy. Po kolejnych dwudziestu minutach przekroczyli granicę stanu.

Rafi i Zuhajr siedzieli z tyłu samochodu i rozmawiali. Mustafa przysłuchiwał się, lecz sam nic nie mówił.

Krajobraz był płaski, jak w jego ojczyźnie, ale o wiele bardziej zielony. Horyzont rozciągał się tak daleko, że ocena odległości na pierwszy rzut oka zdawała się niemożliwa.

Słońce stało nad nim. Raziło w oczy, przypomniał więc sobie o okularach przeciwsłonecznych w kieszeni koszuli. Trochę pomagały.

Mustafa zastanawiał się, co czuje. Jazda była przyjemna, okolica cieszyła oko, a praca jak dotąd zdawała się łatwa. Co jakieś półtorej godziny mijał ich radiowóz, przeważnie jednak jechał zbyt szybko, by policjanci mogli się przyjrzeć Arabom w fordzie. Rada, by przestrzegać ograniczeń prędkości, okazała się cenna. Poruszali się sprawnie, choć często byli wyprzedzani, nawet przez ciężarówki. Nie łamali przepisów, dzięki czemu byli niewidzialni dla policji, która miała przede wszystkim karać tych, co zanadto się śpieszą. Był pewien, że bezpiecznie wypełniają swoją misję. Gdyby było inaczej, śledzono by ich lub zatrzymano na odludziu i wciągnięto w pułapkę, gdzie czekali by już liczni uzbrojeni po zęby wrogowie. Tak się jednak nie stało. Co więcej, ze ścisłego przestrzegania ograniczeń prędkości była jeszcze inna korzyść: gdyby ich ktoś śledził, zauważyliby to. Wystarczyło spojrzeć w lusterko. Nikt nie jechał za nimi dłużej niż parę minut. „Cień” z policji to pewnie byłby mężczyzna po dwudziestce lub trzydziestce. A może dwóch – kierowca i obserwator, dobrze zbudowani, fryzury tradycyjne. Śledziliby ich kilka minut, a potem zadanie przejąłby inny wóz. Byliby oczywiście sprytni, jednak przewidywalni. Samochody zniknęłyby i pojawiały się ponownie. A Mustafa był czujny i wiedział, że żaden samochód nie pojawił się dwukrotnie. Oczywiście mogliby ich śledzić z powietrza, ale helikopter łatwo zauważyć. Jedynym prawdziwym zagrożeniem byłby mały samolot, nie można jednak wszystkim się martwić. Jeśli coś komuś pisane, to

nie ma na to rady. Na razie droga była pusta, a kawa wyśmienita. Zapowiadał się piękny dzień. *Oklahoma City – 36 mil*, oznajmiał zielony znak drogowy.

W NPR ogłosili, że urodziny obchodzi Barbra Streisand. To ci dopiero informacja na początek dnia, pomyślał John Patrick Ryan junior; zwał się z łóżka i poszedł do łazienki.

Kilka minut później sterowany zegarem ekspres zrobił mu podwójną kawę. Jack zdecydował, że po drodze do pracy wpadnie na śniadanie do McDonalda – może niezbyt zdrowe, ale za to sycące. Miał dwadzieścia trzy lata i nie martwił się cholesterolem i tłuszczem – jak ojciec

„dzięki” matce. O tej porze mama byłaby już ubrana i czekałaby na kierowcę, przydzielonego jej agenta Secret Service, który odwoził ją do pracy. W dni, w które operowała, nie piła kawy.

Obawiała się, że przez kofeinę mogłaby jej zadrzeć ręka – i wbiłaby skalpel zbyt głęboko w mózg jakiegoś biedaka, przekłuwszy w pierw gałkę oczną niczym oliwkę w martini. Tak żartował sobie ojciec i dostawał za to klapsa. Tata zasiadał do pracy nad dziennikami –

pomagał mu wynajęty przez wydawcę redaktor, którego nie cierpiał. Sally była na studiach doktoranckich. Jack nie wiedział, co ona teraz robi. Katie i Kyle szykowali się do szkoły. A on musiał iść do pracy. Nagle uświadomił sobie, że w college’u miał ostatnie prawdziwe wakacje. Pewnie, wszyscy chcą dorosnąć i móc decydować o swoim życiu, ale kiedy już się to stanie – nie ma odwrotu. Praca dzień w dzień to prawdziwe utrapienie. No dobra, płacą mu za to ale on już jest bogaty. Potomek szlacheckiego rodu. W jego przypadku pieniądze zostały już zarobione, a on nie był takim marnotrawcą, by je wszystkie roztrwonić... Wstawił kubek po kawie do zmywarki i poszedł się ogolić.

Kolejne utrapienie. Do diabła. Jako małolat tak się cieszył, że mleko pod nosem zmienia się w prawdziwy zarost... Potem trzeba było się golić raz, dwa razy na tydzień – zazwyczaj przed randką. Ale każdego cholernego ranka?! Upierdliwe! Pamiętał, jak obserwował ojca przy goleniu. Chłopcy często tak robią. Myślał wtedy, jak eleganczy są dorośli. Jasne... Niech szlag trafi to całe dorastanie. Było lepiej, jak mama i tata zajmowali się wszystkim. A jednak...

A jednak robił teraz coś ważnego i dawało mu to satysfakcję. Trzeba tylko uporać się ze wszystkimi robotami domowymi. No dobra. Czysta koszula. Wybrać krawat i spinkę.

Narzucić marynarkę. Wyjść z domu. Przynajmniej może jeździć fajnym samochodem. Może kupić sobie drugi? Kabriolet. Zbliża się lato. Świetnie byłoby jechać z wiatrem we włosach.

Taaak... do czasu, aż jakiś dupek z nożem potnie całe płótno i trzeba będzie zadzwonić do ubezpieczalni i odstawić samochód do warsztatu na trzy dni. Jak się zastanowić, to dorastanie jest jak kupowanie bielizny. Każdy jej potrzebuje, ale niewiele da się z nią zrobić – może tylko zdjąć.

Droga do pracy. Taka sama jak droga do szkoły, choć nie musiał się już martwić egzaminami. Tyle że gdyby schrzanił sprawę, straciłby pracę i dostał wilczy bilet – znacznie gorszy od pały z socjologii.



Więc lepiej niczego nie schrząnąć. Problem z tą pracą był w tym, że każdy dzień poświęcał na naukę, zamiast stosować nabytą wiedzę. Podobno to college miał

go nauczyć wszystkiego, czego będzie potrzebował w życiu... Bujda na resorach. Tacie pewnie też nie wystarczył – a co do mamy... kurde, ona ciągle się uczyła: nigdy nie przestała czytać czasopism medycznych, i to nie tylko amerykańskich. Również angielskich i francuskich, bo nieźle знаła francuski i twierdziła, że Francja ma dobrych lekarzy. Lepszych niż polityków... no cóż, każdy, kto oceniał Amerykę według jej politycznych przywódców, pewnie sądził, że Stany Zjednoczone to kraj popaprańców. Przynajmniej od czasu, gdy tata opuścił Biały Dom.

Tymczasem młody Ryan znów słuchał NPR. Był to jego ulubiony serwis informacyjny, a muzyka była na głowę nowoczesny pop. Dorastając, często słuchał, jak mama gra na fortepianie – głównie Bacha i jemu współczesnych... może czasem Johna Williamsa, choć on komponował raczej na instrumenty dęte.

Kolejny zamachowiec-samobójca w Izraelu. Cholera. Tata bardzo chciał położyć temu kres, ale mimo usilnych starań, nawet ze strony Izraelczyków, nic z tego nie wyszło. Żydzi i muzułmanie nie potrafili się dogadać. Tata i książę Ali bin Sultan rozmawiali o tym przy każdym spotkaniu i widać było, jak ich to gnębi. Książę nie był następcą tronu – to pewnie dobrze, bo być królem to jeszcze gorzej, niż być prezydentem – pozostawał jednak ważną osobistością i z jego zdaniem król się liczył, przeważnie – a zatem... Uda bin Sali. Zaraz będzie miał więcej informacji o nim. Wczorajsze dane z brytyjskiego SIS, dzięki uprzejmości typków z Langley. Typków? W końcu pracował tam jego własny ojciec, zanim poszedł w górę. Zawsze powtarzał dzieciom, żeby nie wierzyły we wszystko, co o wywiadzie mówią w filmach. Na wiele pytań Jacka juniora udzielał jednak wymijających odpowiedzi. Teraz młody Ryan mógł sam się przekonać, jaka to praca. Zazwyczaj nudna. Zbyt podobna do księgowości. Coś jak polowanie na myszy w Parku Jurajskim – choć przynajmniej człowiek był niewidzialny dla raptorów. Dopóki nikt nie wiedział o istnieniu Campusu, byli bezpieczni.

Wygodne, ale znów nudne. Junior wciąż był w wieku, w którym chce się, by życie ekscytowało.

Zjechał z autostrady 29 i dotarł do Campusu. Zaparkował tam gdzie zwykle. Uśmiechnął

się, pomachał ręką do strażnika, poszedł do swojego biura... i wtedy zdał sobie sprawę, że zapomniał o McDonalddie. Zgarnął więc po drodze dwie drożdżówki z tacy z poczęstunkiem; zrobił sobie kawę, włączył komputer i zasiadł do pracy.

– Dzień dobry, Uda – rzucił w kierunku ekranu. – Co tam kombinujesz?

Według komputerowego zegara była 8.25. Czyli wczesne popołudnie w Londynie. Bin Sali miał biuro w budynku Agencji Ubezpieczeniowej Lloyd'a, który, jak Jack pamiętał z podróży za wielką wodę, wyglądał jak oszklona rafineria. Zamożne sąsiedztwo. Raport nie mówił, na którym piętrze znajduje się biuro, ale Jack i tak nigdy nie był w tym budynku.

Ubezpieczenia. Czekał, aż spali się jakiś dom? To chyba najnudniejsza praca na świecie. No tak! Wczoraj Uda kilka razy rozmawiał przez telefon, również z... aha! Skąd my znamy to nazwisko? Tak,

to ten nadziany gość z Bliskiego Wschodu, który także czasem grał w niewłaściwej drużynie i również był pod obserwacją angielskiego wywiadu. O czym też oni rozmawiali?

Był nawet transkrypt. Rozmowa po arabsku, a tłumaczenie... tak jakby żona kazała ci kupić mleko po drodze do domu. Równie ekscytujące i odkrywczе – tyle że Uda na całkiem niewinne stwierdzenie odparł: „Jesteś pewien?” Nie tak się odpowiada, kiedy ktoś prosi, żeby zrobić zakupy.

„Ton głosu sugeruje ukryte znaczenie”, delikatnie podpowiedział brytyjski analityk u dołu raportu.

Tego samego dnia Uda wcześniej wyszedł z biura, wstąpił do pubu i spotkał się z facetem, z którym rozmawiał przez telefon. Pogawędka chyba nie była więc taka niewinna?

Jednak znów nie udało się podsłuchać rozmowy w wydzielonym boksie, bo przez telefon nie padła nazwa miejsca spotkania... a Uda był w pubie bardzo krótko.

– Dzieńdoberek, Jack – przywitał się Wills; właśnie wszedł i powiesił marynarkę. – Co się dzieje?

– Nasz drogi Uda miota się jak ryba na haczyku. – Jack wydrukował plik i podał

Tony’emu, zanim ten zdążył usiąść.

– Faktycznie na to wygląda...

– Ten gość to gracz – oświadczył z przekonaniem Jack.

– Co zrobił po tej rozmowie? Jakies niecodzienne transakcje?

– Jeszcze nie sprawdziłem, ale jeśli ich dokonywał, to na polecenie swojego przyjaciela...

a potem spotkali się, żeby to potwierdzić nad kuflem browaru.

– Wyobraźnia cię ponosi. Staramy się tutaj tego unikać – ostrzegł go Wills.

– Wiem – burknął junior. Czas sprawdzić transakcje z poprzedniego dnia.

– A, dziś poznasz kogoś nowego.

– Kogo?

– Dave’a Cunninghama. To księgowy śledczy. Pracował dla wymiaru sprawiedliwości, zwalczał przestępczość zorganizowaną. Nieźle wyłapuje podejrzane transakcje finansowe.

– Sądzi, że znalazłem coś interesującego? – spytał z nadzieją w głosie Jack.

– Zobaczymy, gdy przyjdzie, po lunchu. Pewnie przegląda teraz twoje materiały.

– Dobra. – Może coś zwęszyłem, pomyślał Jack. Może w tej pracy jest jednak coś ekscytującego. Może odznacza mój kalkulator. Taaa, jasne...

Każdego dnia to samo. Poranna przebieżka i trening, potem śniadanie i rozmowa. Jak w Akademii FBI w przypadku Dominica i jak w szkole zasadniczej Briana. Właśnie to podobieństwo niepokoiło marine. W korpusie szkolili ich, by zabijali ludzi i niszczyli, co trzeba. Tutaj – tak samo.

Dominic był lepszy w inwigilacji. W Akademii FBI mieli podręczniki niedostępne dla marines. Niezle też sobie radził ze smithem; Brian wolał swoją berettę. Dominic załatwił już gościa ze smitha, Brian robotę wykonywał karabinem M16A2 z rozsądnej odległości pięćdziesięciu metrów – na tyle blisko, by na celowniku widzieć twarz, i na tyle daleko, że gdyby odpowiedzieli ogniem, zdążyłby zareagować. Sierżant broni opieprzał go za to, że nie pada na ziemię, kiedy do niego mierzą. Jednak podczas jedynej misji bojowej Brian się czegoś nauczył. Odkrył, że w chwili zagrożenia myśli bardzo, bardzo szybko, natomiast świat wokół jakby zwalnia. Jego umysł stawał się nadzwyczaj jasny. Wspominając to, dziwił się, że nie widział pocisków w locie, tak szybko pracował jego mózg, a nawet kiedy je widział, to nigdy nie leciały w jego kierunku – w końcu ostatnie pięć kul w magazynku kałasznikowa to zazwyczaj smugacze. Często wracał myślami do tych ostatnich pięciu, sześciu minut.

Wypominał sobie, że tyle rzeczy mógł lepiej zrobić, i przyrzekał nie powtarzać błędów w myśleniu i dowodzeniu. Mimo to sierżant Sullivan odnosił się z wielkim szacunkiem do swojego kapitana podczas późniejszego przeglądu w bazie artylerii marines.

– Jak się biegają, chłopaki? – spytał Pete Alexander.

– Wspaniale – odparł Dominic. – Może powinniśmy spróbować z ciężkimi plecakami.

– Nic nie stoi na przeszkodzie – odparł Alexander.

– Robiliśmy to w zwiadzie. Żadna radocha – zaprotestował Brian. – Daruj sobie takie żarty, braciszku – dodał pod adresem Dominica.

– Dobrze widzieć, że jesteście w formie – zauważył Pete. W końcu nie on musiał biegać co rano. – Jak samopoczucie?

– Nadal chciałbym wiedzieć więcej o naszych celach, Pete – oznajmił Brian znad swojego kubka kawy.

– Nie jesteś najcierpliwszym człowiekiem na świecie, co? – burknął oficer szkoleniowy.

– Słuchaj, w marines też codziennie trenujemy, ale nawet jeśli nie jest jasne, do czego nas szkolą, to i tak wiemy, że jesteśmy marines i nie przygotowuje się nas do sprzedawania ciasteczek.

– A jak myślisz, do czego teraz was przygotowujemy?

– Do zabijania ludzi bez ostrzeżenia, bez reguł walki, które znam. Dla mnie to jakby morderstwo. – No dobra, pomyślał Brian, wreszcie powiedziałem to na głos. Co teraz?

Pewnie odesłał mnie do Camp Lejeune, żebym dalej robił karierę w zielonych beretach. Cóż, mogło być gorzej.

– No tak. Chyba już najwyższy czas. Co zrobisz, jeśli dostaniesz rozkaz: „zabij”?

– Jeśli rozkazy są zasadne, wykonam je, ale prawo, system, pozwala mi najpierw zastanowić się nad ich zasadnością.

– W porządku, weźmy taki przykład. Powiedzmy, że dostałeś rozkaz: „zabij terrorystę”.

Jak zareagujesz? – spytał Pete.

– Bez wahania go wykończę.

– Dlaczego?

– Terrorysty to przestępcy, a nie zawsze można ich aresztować. Oni wypowiedzieli wojnę mojemu krajowi i jeśli trzeba będzie wziąć odwet, to w porządku. Po to się zaciągnąłem, Pete.

– System na to nie pozwala – zauważył Dominic.

– Ale pozwala załatwić przestępcę na miejscu, *in flagranti*. Zrobiłeś to i nie słyszałem, żebyś żałował, braciszku.

– Ty też byś nie żałował. Jeśli nosisz mundur i prezydent, naczelny dowódca, rozkazuje ci to zrobić, Aldo, masz prawo, ba, obowiązek, zabić każdego, kogo każe.

– Czy Niemcy nie tłumaczyli się tak w 1946? – zadrwił Brian.

– Tym bym się nie martwił. Musielibyśmy najpierw przegrać wojnę. A na to nie wygląda.

– Enzo, jeśli to, co powiedziałeś, jest prawdą, to gdyby Niemcy wygrały drugą wojnę światową, nikt by się nie przejmował tymi sześcioma milionami martwych Żydów, tak?

– Ludzie – przerwał Alexander. – To nie są zajęcia z historii prawa.

– Enzo robi tu za prawnika zauważył Brian.

Dominic połknął haczyk.

– Jeśli prezydent łamie prawo, wówczas Izba Reprezentantów wdraża procedurę impeachmentu, senat go skazuje... i od tej chwili podlega sankcjom prawnym.

– W porządku. A co z ludźmi, którzy wykonywali jego rozkazy? – spytał Brian.

– Zależy – znów wkroczył Pete. – Jeśli ustępujący prezydent podpisał ich ułaskawienie, to jaką mogą ponosić odpowiedzialność?

Dominic się zachnął.

– Pewnie żadnej. Prezydent jest władny ułaskawiać na mocy konstytucji, tak jak niegdyś król. Teoretycznie mógłby ułaskawić nawet sam siebie, ale wtedy otworzyłby prawniczą puszką Pandory. Konstytucja stanowi najwyższe w państwie prawo, jest jak Bóg, nie ma od niej odwołania. Nigdy nie poruszano tej kwestii, z jednym wyjątkiem: kiedy Ford ułaskawił

Nixona. Ale konstytucja została pomyślana tak, by rozsądnie stosowali ją rozsądni ludzie. To być może jej jedyna słabość. Prawnicy nie zawsze są rozsądni.

– Więc, teoretycznie, jeśli prezydent ułaskawia cię na wypadek, gdybyś kogoś zabił, to nie można cię za to ukarać, tak?

– Na to wygląda. – Dominic zmarszczył brwi. – Co próbujesz mi powiedzieć?

– Tylko teoretyzuję – stwierdził Alexander, rozpierając się na krześle. Koniec zajęć z teorii prawa. Mógł sobie pogratulować: powiedział im sporo, właściwie nic nie mówiąc.

Nazwy miast brzmiały dla Mustafy zupełnie obco. Shawnee. Okemah. Weleetka.

Pharaoh. Ta była najdziwniejsza. W końcu nie byli w Egipcie. Egipcjanie to naród muzułmański, choć się trochę pogubili, bo mają polityków, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, jak ważna jest wiara. Ale to się zmienia, wcześniej czy później. Mustafa wyprostował się w fotelu, sięgnął po papierosa i zauważył, że spalili raptem połowę benzyny. Ford miał

pojemny bak – a w nim arabskie paliwo. Niewdzięczne dranie z tych Amerykanów. Kraje islamu sprzedają im ropę, a co oni oferują w zamian? Broń – Izraelczykom, żeby zabijali Arabów. I na dodatek czasopisma pornograficzne, alkohol i inne narzędzia zepsucia, mające zgubny wpływ nawet na wiernych. A co jest gorsze? Być sprawcą zepsucia czy jego ofiarą –

ofiarą niewiernych? Któregoś dnia wszystko się zmieni i nad światem zapanuje Allah.

Tymczasem trzeba już dziś wypełniać Jego wolę. Umrą męczeńską śmiercią, a to powód do dumy. Rodziny kiedyś dowiedzą się – pewnie od Amerykanów – jaki spotkał ich los, będą opłakiwać ich śmierć, ale i świętować wierność Allahowi. Amerykańskie agencje policyjne uwielbiają wychwalać swoją skuteczność, ale kto tu przegra bitwę? Uśmiechnął się na tę myśl.

Dave Cunningham wyglądał na swój wiek. Niedługo sześćdziesiątka, ocenił Jack.

Rzednące siwe włosy. Pożółkła skóra. Rzucił palenie, ale późno. Mimo to szare oczy błyszczały ciekawością łasicy polującej na pieski preriowe.

– Jesteś Jack junior? – spytał już od progu.

– Przyznaję się do winy – zażartował Jack. – Co ci powiedziały moje cyferki?

– Nieźle, jak na amatora – łaskawie przyznał Cunningham. – Twój obiekt prawdopodobnie przechowuje i pierze pieniądze, swoje i cudze.

– Cudze, czyli czyje? – dociekał Wills.

– Nie wiem na pewno, kim jest ten ktoś, ale pochodzi z Bliskiego Wschodu, jest bogaty i skąpy. Zabawne. Każdy myśli, że szastają pieniędzmi jak pijani marynarze. Niektórzy tak.

Ale wielu to skąpiradła. Wydadzą kilka centów i bizon aż ryczy. – Powiedzonko świadczyło o tym, że Dave ma już swoje lata. Monety z bizonem należały do przeszłości tak zamierzchłej, że Jack nie zrozumiał dowcipu.

Cunningham rozłożył papiery na biurku. Trzy transakcje zakreślone były na czerwono.

– To nie jest tęga głowa. Wszystkich podejrzanych przelewów dokonuje w kawałkach, po dziesięć tysięcy funtów. Łatwo je dzięki temu zauważyć. To niby jego wydatki osobiste – idą przez to konto, pewnie by rodzice się nie zorientowali. Saudyjscy księgowi nie grzeszą spostrzegawczością. Chyba nie przejmują się sumami poniżej miliona. Pewnie uważają, że taki dzieciak może przepuścić jakieś dziesięć tysięcy funtów w jedną noc – miłe damskie towarzystwo... albo kasyno. Młodzi bogacze lubią hazard, choć nie są w tym za dobrzy.

Gdyby mieszkali bliżej Vegas czy Atlantic City, poprawiłoby to nasz bilans wymiany handlowej.

– Może wolą europejskie dziwki? – zastanawiał się Jack.

– Synku, w Vegas możesz zamówić niebieskooką blond oślicę z Kambodży i dostarczą ci ją do pokoju, nim zdążysz odłożyć słuchawkę. – Lata doświadczenia nauczyły Cunninghama, że mafiosi też wiedzą, jak spędzać wolny czas. Z dziada pradziada metodysta, czuł się nieswojo, ale z czasem zdał sobie sprawę, że to też dobry sposób tropienia kryminalistów.

Zaczął więc przychylniej patrzeć na tego rodzaju wydatki. Podli ludzie robią podłe rzeczy.

Uczestniczył w operacji „Szykowne Węże”. Posłał wtedy sześciu kongresmanów do federalnego więzienia przy klubie golfowym w bazie lotniczej Eglin na Florydzie. Cel uświęca środki. Dzięki temu młodzi piloci myśliwców zyskali wysokiej klasy chłopców do noszenia kijów – a reprezentanci narodu mogli sobie poćwiczyć.

– Dave, czy nasz przyjaciel Uda jest w coś zamieszany? – spytał Jack. Cunningham spojrział na niego znad papierów.

– Z pewnością tak się zachowuje, synu.

Jack usiadł przy swoim komputerze. Ależ satysfakcja. Naprawdę coś osiągnął... może nawet coś ważnego?

Wjechali do Arkansas. Teren był tu pagórkowaty. Mustafa zauważył, że długa droga go zmęczyła, więc zjechał na parking, zatankował i oddał kierownicę Abdullahowi. Dobrze jest rozprostować kości. Potem wrócili na autostradę. Abdullah jechał ostrożnie. Wyprzedzali tylko starszaków i cały czas trzymali się prawego pasa, aby nie zgmiotły ich ciężarówki. To prawda, unikali policji, ale też nie musieli się śpieszyć. Zostały jeszcze dwa dni na zidentyfikowanie celu i zakończenie misji. Dużo czasu. Zastanawiał się, co robią trzy pozostałe zespoły. Czekają na krótszą drogę. Jeden z nich pewnie już dotarł na miejsce.

Polecono im wybrać przyzwoity, lecz niezbyt drogi hotel, oddalony od celu o mniej niż godzinę jazdy, przeprowadzić rekonesans, a następnie potwierdzić gotowość e-mailem i czekać w pogotowiu, aż Mustafa wyśle ich na misję. Im prostsze rozkazy, tym lepiej.

Mniejsza szansa popełnienia błędu. To byli odpowiedni ludzie. Dokładnie wprowadzeni w szczegóły. Znał ich wszystkich. Said i Mahdi pochodzili, jak on, z Arabii Saudyjskiej. I jak on byli dziećmi z bogatych rodzin, ale gardzili rodzicami za to, że włożą w tyłek Amerykanom i im podobnym. Sabawi urodził się w Iraku, w skromnym domu. Był zagorzałym sunnitą, tak jak pozostali, i chciał, by większość szyicka w jego kraju zapamiętała go jako wiernego wyznawcę Proroka. Iraccy szyici, niedawno wyzwoleni – i to przez niewiernych! – spod sunnickiego panowania, obnosili się ze swoją wiarą, jakby tylko oni wyznawali prawdę.

Sabawi chciał im pokazać, jak bardzo się mylą. Dla Mustafy to właściwie były błahostki –

islam jest jak duży namiot, w którym znajdzie się miejsce dla każdego... wiernego.

– Dupa mnie boli – odezwał się z tylnego siedzenia Rafi.

– Nic na to nie poradzę, przyjacielu – odparł Abdullah. Uważał, że jako kierowca chwilowo objął dowodzenie.

– Wiem, ale i tak mnie boli – stwierdził Rafi.

– Mogliśmy pojechać konno, lecz ile by to trwało, a tyłek i tak by bolał – odparował

Mustafa. Wszyscy się roześmiali, a Rafi znów wsadził nos w „Playboya”.

Według mapy droga aż do miasteczka Small Stone powinna być prosta. Na razie jednak wiła się wśród pagórków porośniętych zielonymi drzewami. Inaczej niż w północnym Meksyku, który

przypominał piaszczyste wzgórza ojczyzny... ale do niej nigdy nie wróca...

Dla Abdullaha prowadzenie samochodu to była czysta przyjemność. Wóz nie był

wprawdzie tak dobry jak mercedes jego ojca, ale na potrzeby chwili wystarczał. To frajda trzymać kierownicę w rękach, rozsiąść się i popalać winstona z uśmiechem na ustach. W

Ameryce odbywały się wyścigi takimi samochodami – to dopiero uciecha! Gnać przed siebie, współzawodniczyć – i pokonywać rywali! Lepiej niż z kobietą... no, prawie... a może po prostu inaczej, poprawił się. A co dopiero mieć kobietę jako zwycięzca wyścigu. Zastanawiał

się, czy w raję są samochody. Dobre, szybkie samochody, jak ulubione w Europie wozy Formuły Jeden, które szerokim łukiem biorą zakręty i rozpędzają się na prostych drogach, mknąc z szybkością, na jaką pozwalają możliwości samochodu i stan drogi. Mógłby tego tu spróbować. Samochód pewnie wyciąga dwieście kilometrów na godzinę... ale nie, ich misja jest ważniejsza.

Wyrzucił niedopałek przez okno. Właśnie wtedy przemknął obok biały radiowóz z niebieskimi pasami po bokach. Policja stanowa Arkansas. To ci dopiero prędkość! W dodatku mężczyzna w samochodzie miał na głowie wspaniały kowbojski kapelusz. Abdullah, jak każdy, widział wiele amerykańskich filmów, niejeden western – mężczyźni na koniach zaganiają bydło... lub po prostu w imię honoru strzelają do siebie w barach z rewolwerów.

Takie obrazy przemawiały mu do wyobraźni – w końcu takie jest nasze zadanie, pomyślał.

Kolejna próba sprowadzenia na złą drogę, podjęta przez niewiernych. Choć trzeba szczerze przyznać, że amerykańskie filmy produkuje się głównie dla amerykańskiej publiczności. Ileż to widział arabskich filmów o tym, jak siły Saladyna – że też to musiał być Kurd – odnoszą druzgoczące zwycięstwo nad krzyżowcami! Kręcono je, by uczyć historii i dodawać Arabom odwagi potrzebnej do pokonania Izraelczyków, choć na razie niestety bez skutku. Pewnie tak też było z westernami. Ich koncepcja odwagi nie różniła się tak bardzo od arabskiej, tyle że używali rewolwerów zamiast miecza, który bardziej przystoi mężczyźnie. Broń palna ma oczywiście większy zasięg – Amerykanie są nie tylko przebiegli, ale i praktyczni. Nie odważniejsi od Arabów, tylko bardziej przebiegli.

Trzeba uważać, Amerykanie są groźni i ich broń jest groźna, powiedział sobie Abdullah.

Gdyby któryś strzelał jak ci kowboje na filmach, ich misja mogłaby zakończyć się niepowodzeniem, a tego przecież nie chcieli.

Zastanawiał się, co miał przy pasie policjant w przejeżdżającym samochodzie – i czy był

dobrym strzelcem. Mogli oczywiście sprawdzić, ale był na to tylko jeden sposób... bardzo ryzykowny dla ich misji. Tak więc Abdullah popatrzył tylko za radiowozem, a kiedy ten zniknął w oddali, znów zaczął przyglądać się przemykającym ze świstem ciągnikom siodłowym. Jechał na wschód ze stałą prędkością stu kilometrów i trzech papierosów na godzinę. Zaczynało mu burczeć w brzuchu. *Small Stone – 30 mil.*



– W Langley znów się denerwują – oznajmił Davis Hendleyowi.

– Bo?

– Oficer terenowy usłyszał coś dziwnego od agenta z Arabii Saudyjskiej. Coś o tym, że jacyś domniemani gracze wyjechali z miasta, jak to się mówi. Nie wiadomo dokąd, ale przypuszcza, że na półkulę zachodnią. Dziesięciu czy coś koło tego.

– To pewne?

– Trójka, jeśli chodzi o wiarygodność, choć to źródło jest zazwyczaj wysoko oceniane.

Ktoś z centrali z nieznanym powodów zdecydował się obniżyć ocenę.

Jeden z problemów Campusu: analizy. Przeważnie byli zależni od innych. Choć mieli kilku wyjątkowo biegłych analityków, prawdziwą robotę odwalano po drugiej stronie Potomacu, a CIA spieprzyła już parę spraw w ciągu ostatnich kilku lat. Nie lat, tylko dekad, sprostował w myślach Gerry. Nie była to pierwsza liga. Dla wielu biurokratów z CIA nawet skąpa rządowa płaca to zbyt wiele. Dopóki tylko wypełniali poprawnie raporty, nikt się tym nie przejmował, ba – nikt nawet tego nie zauważał.

Co ważne, Saudyjczycy w specyficzny sposób pozbywali się potencjalnych wichrzycieli.

Pozwalali im po prostu wyjechać i popełniać przestępstwa gdzie indziej. Gdyby za granicą ktoś ucierpiał z ich powodu, rząd Arabii Saudyjskiej oczywiście służył wszelką pomocą. W

ten sposób chronili się małym kosztem.

– Co o tym sądzisz? – spytał Gerry.

– Cholera, nie jestem wróżką. – Davis odetchnął ciężko. – Powiadomiono wydział

bezpieczeństwa wewnętrznego, czyli FBI i innych analityków, ale to „miękki” wywiad. Nie ma punktu zaczepienia. Trzy nazwiska, żadnych zdjęć. Byle kretyn potrafi załatwić sobie nowe dokumenty.

Nawet w popularnych powieściach były wskazówki, jak to zrobić. Nic trudnego – żaden stan nie sprawdzał świadectw urodzenia ze świadectwami zgonu – a przecież nawet rządowi biurokraci mogliby to swobodnie zrobić.

– Więc co dalej?

Davis wzruszył ramionami.

– To co zwykle. Znowu powiadomi się ochronę lotnisk, znowu będą dręczyć niewinnych ludzi, by mieć pewność, że nikt nie porwie samolotu. Gliniarze będą szukać podejrzanych samochodów, a

skończy się tylko zatrzymaniem osób łamiących przepisy. Zbyt wiele było już fałszywych alarmów. Nawet policja z trudem bierze to na poważnie, Gerry, i czy można ją za to winić?

– Czyli naszą obronę sami zneutralizowaliśmy?

– Tak, z przyczyn praktycznych. Dopóki CIA nie ma tylu agentów terenowych, aby identyfikować przestępców, zanim dotrą na miejsce, musimy reagować, nie zapobiegać. A co tam – skrzywił się Tom – przez ostatnie dwa tygodnie nieźle mi szedł handel obligacjami. –

Odkrył, że całkiem podoba mu się biznes finansowy, a przynajmniej łatwo zgłębia jego tajniki. Zastanawiał się, czy wstąpienie do CIA zaraz po skończeniu Uniwersytetu Stanu Nebraska nie było błędem...

– Jakież skutki tego raportu CIA?

– Ktoś od nich zasugerował, żeby jeszcze raz porozmawiać ze źródłem, ale na siódmym piętrze jeszcze nie podjęto decyzji.

– Jezu!

– Czemu się dziwisz, Gerry? Nigdy tam nie pracowałeś, ja tak, ale na Kapitolu musiałeś widzieć, jak to jest.

– Dlaczego do kurwy nędzy Kealty nie zatrzymał Foleya na stanowisku dyrektora CIA?

– Ma przyjaciela prawnika, którego bardziej lubi, nie pamiętasz? A Foley był

zawodowym szpiegiem, więc nie można było na nim polegać. Spójrz prawdzie w oczy: Ed Foley trochę by pomógł, lecz na prawdziwą poprawę przyjdzie poczekać z dziesięć lat.

Między innymi po to tu jesteśmy, prawda? – Davis się uśmiechnął. – Jak tam trening naszych dwóch zabójców w Charlottesville?

– Marine wciąż dręczy sumienie.

– Chesty Puller przewraca się w grobie.

– Cóż, nie możemy wynająć drani. Lepiej, że stawiają pytania teraz niż podczas zadania.

– Niby tak. A co ze sprzętem?

– Będzie w przyszłym tygodniu.

– Długo to trwało. Testują go?

– W Iowa. Na świniach. Według naszego przyjaciela mają podobny układ sercowo-naczyniowy.

Pasuje, pomyślał Davis.

Przez Small Stone przejechali spokojnie. Odbili na południowy zachód na I-40, a teraz jechali na północny wschód. Mustafa wrócił za kółko. Dwóch mężczyzn z tyłu przysypiało, po tym jak napchali się kanapkami z rostbefem i wypili morze coca-coli.

Nuda. Nic nie może przyciągać uwagi przez ponad dwadzieścia godzin. Nawet myśl o misji, którą mają wykonać za półtora dnia, nie pomagała zwalczyć senności. Tak więc Rafi i Zuhajr smacznie sobie spali. Mustafa mknął na północny wschód ze słońcem za plecami.

Zaczęły pojawiać się znaki wskazujące odległość do Memphis w stanie Tennessee.

Zastanowił się przez chwilę – trudno jasno myśleć po tak długiej podróży – i uświadomił

sobie, że przed nimi już tylko dwa stany. Jechali wolno, lecz zawsze do przodu. Lepiej byłoby samolotem, ale jak tu polecieć z pistoletem maszynowym? Uśmiechnął się. Poza tym jako dowódca misji musiał troszczyć się o kilka zespołów. Dlatego wybrał najtrudniejszy i najbardziej odległy z czterech celów. Chciał dać przykład pozostałym. Przywództwo bywa jednak upierdliwe, stwierdził i poprawił się na siedzeniu.

Kolejne pół godziny zleciało jak z bicza strzelił. Potem przejechali przez most na Missisipi i dostrzegli tablicę witającą ich w Tennessee, Stanie Ochotników. Mustafa, którego umysł otępiało po tylu godzinach jazdy, zaczął się zastanawiać, cóż to może znaczyć, ale niczego nie wymyślił. Cokolwiek by to znaczyło, musiał przejechać przez Tennessee w drodze do Wirginii. Na odpoczynek trzeba poczekać jeszcze co najmniej piętnaście godzin.

Pojedzie jakieś sto kilometrów na wschód od Memphis, a potem przekaże kierownicę Abdullahowi.

Przekroczył właśnie wielką rzekę. W jego kraju nie było stale płynących rzek, jedynie suche niecki, które na krótko wypełniały się po deszczu i znów wysychały. Ameryka jest taka bogata! Pewnie dlatego jej mieszkańcy są tacy arogancy. Ale oni utną im nosa. I zrobią to, *inszallah*, za niecałe dwa dni.

Za dwa dni w raj. Nie przestawał o tym myśleć.

## Rozdział 12

# NA MIEJSCU

Dla pasażerów przejazd przez Tennessee trwał krótko. Mustafa i Abdullah zmieniali się za kierownicą przez trzysta pięćdziesiąt kilometrów z Memphis do Nashville, a Rafi z Zuhajrem właściwie cały czas spali. Jeden i trzy czwarte kilometra na minutę, obliczył

Mustafa. Czyli zostało im jeszcze... jakieś dwadzieścia godzin. Zastanowił się, czy nie przyspieszyć – ale byłoby to niemądre. Tylko głupi niepotrzebnie podejmuje ryzyko. Czyż nie nauczyli się tego od Izraelczyków? Wróg zawsze czyha, nawet kiedy śpi jak tygrys. Budzić go bez powodu? Głupota, a jeśli już, to tylko wtedy, gdy masz go na muszce; tygrys wie, że został przechytrzony, i nie może nic zrobić. Budzi się tylko na chwilę, by zrozumieć, że nie był zbyt czujny, by poznać strach. Ameryka go pozna. Mimo całej swej siły i sprytu wszyscy ci aroganci zadrżą przed nimi.

Uśmiechnął się w ciemności. Słońce znów zaszło. Reflektory samochodu przecinały mrok białymi stożkami i oświetlały uciekające pasy na autostradzie. Jechał na wschód, wciąż ze stałą prędkością stu kilometrów na godzinę.

Bliźniacy wstawali teraz o 6.00 i wykonywali codzienny zestaw ćwiczeń bez nadzoru Pete'a Alexandra, którego, ich zdaniem, tak naprawdę nie potrzebowali. Biegało im się coraz łatwiej, w ogóle ćwiczyło coraz lepiej. Kończyli o 7.15 i szli na śniadanie połączone z pierwszą sesją z oficerem szkoleniowym.

– Coś trzeba by zrobić z twoimi butami, braciszku – zauważył Dominic.

– Tak – zgodził się Brian, smętnie spoglądając na stare tenisówki. – Dobrze mi służyły przez parę lat, ale chyba wybierają się do obuwniczego rajku.

– A ty powinienes się wybrać do Foot Lockera w centrum handlowym. – Miał na myśli centrum handlowe Fashion Square w Charlottesville.

– Hmm... może pójdziemy jutro na lunch na steki serowe?

– Świetny pomysł, braciszku. Nie ma to jak tłuszcz i cholesterol na lunch, zwłaszcza z frytkami i serem. Pod warunkiem że twoje buty wytrzymają jeszcze jeden dzień.

– Enzo, lubię ten zapach. Te tenisówki już się wysłużyły.

– Tak jak te twoje brudne T-shirty. Cholera, Aldo, czy ty nigdy nie możesz ubrać się jak człowiek?

– Pozwól mi tylko znowu wskoczyć w mundur, stary. Lubię być marine. Wie się przynajmniej, na czym się stoi.

– Tak, na kupie gówna – odciął się Dominic.

– Może i tak, ale przynajmniej pracujesz z ludźmi z klasą. – Nie musiał dodawać, że wszystkich ma się po swojej stronie, a każdy posiada broń automatyczną. Daje to poczucie bezpieczeństwa, o jakim cywile mogą tylko pomarzyć.

– Wybieracie się na lunch, co? – zagadnął Alexander.

– Może jutro – odparł Dominic. – Potem urządzimy pogrzeb butom Alda. Znajdzie się tu gdzieś puszka lizolu, Pete?

Alexander roześmiał się serdecznie.

– Myślałem, że się tego nie doczekam.

– Wiesz co, Dominic – mruknął Brian, jedząc jajecznicę – gdybyś nie był moim bratem, tobym nie wysłuchiwał tego tak spokojnie.

– Tak? – Caruso z FBI rzucił mu bułeczkę. – Wy, marines, tylko gadać potraficie. Zawsze dostawał ode mnie ciągi, kiedy byliśmy dziećmi – dodał na użytek Pete’a.

Brianowi oczy niemal wyszły z orbit.

– Akurat!

I tak zaczął się kolejny dzień szkolenia.

W godzinę później Jack zasiadł do komputera. Uda bin Sali miał za sobą kolejną noc pełną wrażeń, znów spędził ją z Rosalie Parker. Musiała bardzo mu się podobać. Jack zastanawiał się, jak by Saudyjczyk zareagował, gdyby dowiedział się, że po każdym spotkaniu ona zdaje raport brytyjskiej służbie bezpieczeństwa. Dla niej był to czysty biznes.

Ambicja niejednego mężczyzny ucierpiała od tej wiedzy. A na pewno już Sali, pomyślał junior.

Wills przyszedł za kwadrans dziewiąta z torbą pączków.

– Cześć, Anthony. Co jest grane?

– To ty mi powiedz – odparował Wills. – Pączka?

– Dzięki, stary. No cóż, Uda sporo się napocił zeszłej nocy.

– Ach ta młodość, cudowna rzecz, tylko po co ją marnować na młodych?

– George Bernard Shaw, tak?

– Wiedziałem, żeś odczytany. Sali kilka lat temu odkrył nową zabawkę i pewnie będzie się nią bawił, aż się zepsuje... albo odpadnie. Ciężko musi być jego „cieniem”, tak stać na zimnym deszczu, gdy on kisi sobie ogóra. – Powiedzonko z *Rodziny Soprano*, Wills uwielbiał

ten film.

– Myślisz, że to ci sami, którym składa sprawozdania?

– Nie, to zadanie dla chłopaków z Thames House. Nudne po jakimś czasie. Ale i tak szkoda, że nie przysyłają nam wszystkich transkryptów – dodał ze śmiechem. – Dobrze na podniesienie ciśnienia z rana.

– Dzięki. Zawsze mogę kupić „Hustlera”, żeby się poczuć obrzydliwie.

– Nie pracujemy w białych rękawiczkach, Jack. Ludzi, których obserwujemy, raczej nie zaprosiłbyś na obiad.

– Ja mieszkałem w Białym Domu, nie? Połowie ludzi, których gościliśmy na oficjalnych obiadach, tata niemal się brzydził podać rękę. Jego sekretarz, Adler, mówił, że to tylko interesy. Więc tata musiał być miły dla sukinsynów. Polityka też przyciąga szumowiny.

– Amen. Coś nowego w związku z Salim?

– Jeszcze nie przejrzałem wczorajszych transakcji. Słuchaj, a jeśli Cunningham wpadnie na coś ważnego, to co wtedy?

– To już zależy od Gerry’ego i starszego personelu. – Nie musiał dodawać, że jest za młody, żeby sobie tym zaprzętać głowę; junior i tak zrozumiał.

– I co, Dave? – spytał Gerry Hendley w pokoju na górze.

– Pierze pieniądze i wysyła nieznanym osobom. Przez bank w Liechtensteinie. Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że pokrywają wydatki z kart kredytowych. Można sobie wyrobić Visę lub MasterCard w tym właśnie banku. Pieniądze mogą więc iść na pokrycie potrzeb nieznanym nam osób, na przykład kochanki, bliskiego przyjaciela... albo też kogoś, kto mógłby nas zainteresować.

– Jest jakiś sposób, żeby się tego dowiedzieć? – zapytał Tom Davis.

– Używają tego samego programu do księgowości co większość banków – odparł

Cunningham. To znaczy, że przy odrobinie cierpliwości Campus mógłby się włamać do niego i

zdobyć więcej informacji. Oczywiście dostęp do strażnicy firewalli. Lepiej zostawić takie zadania NSA. Sztuka polega na tym, by skłonić NSA do przydzielenia któregoś z jej komputerowców do skrakowania programu. Trzeba by sfalszować zlecenie z CIA. Księgowy wiedział jednak, że to trochę trudniejsze, niż zrobić notatkę na komputerze. Podejrzał też, że Campus ma swoich ludzi w obu agencjach wywiadowczych. To oni by się tym zajęli, żeby nie zostawiać śladów w postaci dokumentów.

– Nie ma innej drogi?

– Może za jakiś tydzień zdobędę więcej danych. Ten cały Sali może być tylko bogatym dzieciakiem, który sobie źle pogrywa, ale... Ale mój nos mi mówi, że jest w coś zamieszany –

przyznał Cunningham. Z biegiem lat wyrobił sobie czuja. Dzięki niemu dwaj mafiosi mieszkali teraz w jednoosobowych celach w więzieniu Marion w Illinois. Jednak on sam nie ufał swojej intuicji tak bardzo, jak jego byli i obecni pracodawcy. Biegły księgowy z lisim sprytem był bardzo krytyczny w samoocenie.

– Za tydzień, powiadasz?

– Jakoś tak – potaknął Dave.

– A jak tam młody Ryan?

– Ma instynkt. Znalazł coś, co większość by przegapiła. Może to zasługa wieku. Młody cel, młody ogar. Choć zazwyczaj to się nie sprawdza. Ale tym razem... wygląda, że tak.

Wiecie, kiedy jego ojciec mianował Pata Martina prokuratorem generalnym, co nieco obilo mi się o uszy. Pat naprawdę lubił Jacka seniora; lata pracy sprawiły, że zacząłem szanować jego opinie. Ten dzieciak może wysoko zajść. Oczywiście trzeba poczekać z dziesięć lat, żeby się o tym przekonać.

– W tej działalności więzy krwi nie są dla nas najważniejsze, Dave – zauważył Tom.

– Liczby to liczby, panie Davis. Niektórzy ludzie mają do nich nosa, niektórzy nie. On tak naprawdę jeszcze go nie ma, ale zmierza w dobrym kierunku. – Cunningham był

współzałożycielem wydziału księgowości specjalnej przy Departamencie Sprawiedliwości, specjalizującego się w tropieniu pieniędzy terrorystów. Każdy potrzebuje pieniędzy do działania, a one zawsze gdzieś pozostawiają ślad. Często jednak łatwiej znaleźć go po fakcie.

Przydaje się to w śledztwach, ale nie w czynnej obronie.

– Dzięki, Dave – powiedział na pożegnanie Hendley. – Informuj nas na bieżąco, jeśli możesz.

– Tak jest. – Cunningham zebrał swoje papiery i wyszedł.

– Wiesz co, byłby bardziej skuteczny, gdyby był indywidualistą – stwierdził Davis, kiedy tylko za gościem zamknęły się drzwi.

– Nikt nie jest ideałem, Tom. W Departamencie Sprawiedliwości nigdy nie mieli nikogo lepszego od tych spraw. Założę się, że kiedy idzie na ryby, sieje śmierć.

– Pewnie masz rację, Gerry. Więc nasz Sali to taki bankier przestępców?

– Możliwe. Langley i Fort Meade wciąż nie mogą się zdecydować, co robić w tej sytuacji

– odparł Hendley.

– Widziałem dokumenty. Sporo ich, a prawdziwych danych niewiele.

W dziedzinie analiz wywiadowczych za szybko przechodziło się do fazy spekulacji. W

pewnym punkcie doświadczeni analitycy zaczęli przykładać do informacji miarę własnego lęku, co często prowadziło ich donikąd. Zwłaszcza gdy próbowali czytać w myślach ludzi, którzy nie mówili zbyt wiele – nawet między sobą. Może byli wśród nich tacy, co przechowywali wąglika lub zarazek ospy w niewinnych buteleczkach? Kto to, do ciężkiej cholery, może wiedzieć? Już raz Ameryka poznała to zło, ale kiedy o tym pomyśleć, to zawsze była doświadczana. Dzięki temu Amerykanie potrafią radzić sobie niemal ze wszystkim, ale są też świadomi, że zło ich nie omija. I że tych, którzy za nie odpowiadają, nie zawsze można zidentyfikować. Nowy prezydent nie mógł dać im gwarancji, że powstrzyma lub ukarze przestępców. A to już poważny problem.

– Wiesz co, jesteśmy ofiarami własnego sukcesu – przyznał cicho były senator. –

Poradziliśmy sobie z każdym państwem, które stanęło nam na drodze, ale tych niewidzialnych sukinsynów, co działają w imię swojej wizji Boga, trudniej zidentyfikować i wytropić. Bóg jest wszechobecny. Jego wynaturzeni sładzy też.

– Mój drogi Gerry, gdyby to było takie proste, nas by tu nie było.

– Dzięki Bogu, Tom, że mogę zawsze liczyć na twoje moralne wsparcie. – Przecież wiesz... żyjemy w świecie niedoskonałym. Nie zawsze pada tyle deszczu, żeby wzrosła kukurydza, a jeśli nawet, to może wylać rzeka. Mój ojciec mnie tego nauczył.

– Zawsze cię miałem zapytać... jak, do ciężkiej cholery, twoja rodzina znalazła się w tej zapyziałej Nebrasce?

– Mój pradziadek był żołnierzem, służył w 9. Pułku Kawalerii, z Murzynami. Nie miał

zamiaru wracać do Georgii, kiedy służba mu się skończyła. Pobył trochę w Fort Crook pod Omahą, tamtejsze zimy jakoś mu nie przeszkadzały. No i kupił ziemię niedaleko Seneki, zaczął uprawiać kukurydzę... Tak zaczęła się historia rodziny Davisów.



– Nie było w Nebrasce Ku-Klux-Klanu?

– Nie, został w Indianie. W Nebrasce były mniejsze farmy. Na początku mój pradziadek ustrzelił nawet kilka bizonów. Wisi nad kominkiem taki zajebisty łeb. Wciąż, kurde, śmierdzi.

Ojciec i brat polują teraz głównie na antylopy widłorogie, szybkie kozły, jak je nazywają. Ich mięso nigdy mi nie smakowało.

– Tom, co ci mówi twój nos o tych nowych informacjach z wywiadu? – Hendley zmienił temat.

– W najbliższym czasie nie wybieram się do Nowego Jorku, stary.

Na wschód od Knoxville droga się rozwidlała. I-40 prowadziła na wschód. I-81 na północ, nią właśnie pojechał wynajęty ford – pośród gór, które odkrywał Daniel Boone w czasach, kiedy zachodnia granica Stanów ledwie sięgała za wybrzeże Oceanu Atlantyckiego.

Znak pokazywał zjazd na drogę do domu jakiegoś Davy’ego Crocketta<sup>7</sup>... A to kto? – spytał sam siebie Abdullah, przejeżdżając przez malowniczą przełęcz.

W końcu dotarli do miasteczka Bristol. Byli w Wirginii – niemal u celu ich podróży.

Jeszcze jakieś sześć godzin, obliczył w myśli. Oświetlony słońcem krajobraz tonął w bujnej zieleni. Po obu stronach drogi widać było farmy końskie i mleczne. A nawet kościoły –

zazwyczaj drewniane, pomalowane na biało i zwieńczone krzyżem. Chrześcijanie.

Najwyraźniej zdominowali ten kraj.

Niewierni.

Wrogowie.

Cele.

W bagażniku jest broń. Użyją jej przeciw nim.

*7 Legendarny amerykański traper i polityk, zginął za niepodległość Teksasu w bitwie o Alamo (przyp. tłum.)* Najpierw I-81 na północ do I-64. Już dawno nauczyli się trasy na pamięć. Pozostałe trzy zespoły z pewnością dotarły już tam, dokąd zmierzały. Des Moines, Colorado Springs i Sacramento. Miasta, dwa z nich to stolice prowincji, na tyle duże, by było tam przynajmniej jedno porządne centrum handlowe, ale i niewielkie, po prostu średnie miasta, gdzie mieszkają poczciwi ludzie, zwykli, ciężko pracujący Amerykanie, którzy czują się bezpiecznie z dala od ośrodków

władzy – i zepsucia. Żydzi? No, może kilku. Jubilerzy to zwykle Żydzi. Może mają też sklepy w centrach handlowych. Byłaby to dodatkowa korzyść, ale tylko jeśli okazja sama się nadarzy. Prawdziwy cel to właśnie zwykli Amerykanie – ci, którzy czują się bezpieczni w swoich małych amerykańskich ojczyznach. Wkrótce dowiedzą się, że bezpieczeństwo w tym świecie to iluzja. Że karząca dłoń Allaha sięga wszędzie.

– I to wszystko? – spytał Tom Davis.

– Tak – odparł doktor Pasternak. – Ostrożnie. To z czerwoną etykietką jest naładowane.

To z niebieską... puste.

– Co zawiera?

– Sukcynylocholinę, preparat zwiotczający mięśnie. Właściwie to syntetyczna, mocniejsza postać kurary. Paraliżuje wszystkie mięśnie, przepony również. Człowiek nie może oddychać, mówić, poruszać się. Jest jednak przytomny. Straszna śmierć – dodał lekarz zimnym, nieobecny głosem.

– Dlaczego? – spytał Hendley.

– Nie można oddychać. Serce natychmiast wchodzi w stan anoksji, następuje sztucznie wywołany, rozległy zawał. Nie jest to przyjemne uczucie.

– I co dalej?

– Objawy pojawiają się po jakichś sześćdziesięciu sekundach. Po kolejnych trzydziestu widać już wszystkie efekty działania narkotyku. Ofiara traci władzę w nogach, powiedzmy w jakieś dziewięćdziesiąt sekund po zastrzyku. Mniej więcej w tym samym czasie przestaje oddychać. Serce umiera z braku tlenu. Próbuje bić, ale nie może dostarczyć tlenu ani innym komórkom, ani sobie samemu. Tkanka serca obumiera w dwie, trzy minuty, powodując przy tym potworny ból. Utrata przytomności nastąpi po jakichś trzech minutach, chyba że ofiara wcześniej uprawiała sport, w takim przypadku mózg będzie maksymalnie dotleniony.

Zazwyczaj w mózgu znajduje się dawka tlenu pozwalająca mu funkcjonować przez mniej więcej trzy minuty. Potem, od pojawienia się symptomów, czyli po czterech i pół minucie od ataku, ofiara straci przytomność. Całkowita śmierć mózgu nastąpi po kolejnych trzech minutach lub coś koło tego. Potem sukcynylocholina ulega metabolizacji w organizmie, nawet po śmierci. Częściowo, ale na tyle, że tylko niezwykle biegły patolog wykryje ją w badaniu toksykologicznym, i to pod warunkiem, że będzie wiedział, czego szukać. Jedyna trudność to włożyć się ofierze w pośladek.

– Dlaczego tam? – zdziwił się Davis.

– Narkotyk działa po zastrzyku domięśniowym. Podczas sekcji ciało zostaje ułożone zawsze na

plecach, to pozwala widzieć organy i je przesuwając. Patolog rzadko odwraca zwłoki. Iniekcja pozostawia ślad, jednak trudno go wypatrzeć nawet w sprzyjających okolicznościach, a i wtedy tylko pod warunkiem, że szuka się w odpowiednim miejscu.

Nawet narkomani, a pod tym kątem sprawdza się denatów, nie wkłuwają się sobie w pośladek. Wszystko wygląda na atak serca z niewyjaśnionych przyczyn. To się zdarza.

Przyczyną może być na przykład częstoskurcz. Pióro z iniektorem to zmodyfikowane pióro insulinowe typu I, takie, jakiego używają cukrzycy. Wasi specje odwalili kawał dobrej roboty, żeby je zamaskować. Można nim nawet pisać. Ale przekręć korpus i mechanizm pióra zamienia się miejscem z mechanizmem iniektora. Nabój z gazem w tylnej części korpusu powoduje iniekcję. Ofiara czuje jakby użądlenie pszczoły, choć mniej bolesne, jednak w ciągu półtorej minuty nie jest w stanie nikomu o tym powiedzieć. Najpewniej tylko jęknie cicho i potrze miejsce ukłucia, ot i wszystko. Jak ukąszenie owada. Można go zabić, ale nie wzywa się do niego policji.

Davis wziął do ręki bezpieczne niebieskie pióro. Było trochę przyduże, jak na malca, co dopiero uczy się pisać. Zbliżasz się do obiektu, wyjmujesz je z kieszeni, przymierzasz się i...

zadajesz cios, jakby nigdy nic. Ktoś obok może zauważy, że jakieś ciało pada na ziemię, może nawet zatrzyma się, by udzielić pomocy, a potem popatrzy, jak biedak kona, i pójdzie sobie... chociaż nie, może nawet wezwie karetkę, żeby ciało przewieziono do szpitala i przeprowadzono prawidłową sekcję.

– Tom?

– To mi się podoba, Gerry – odparł Davis. – Doktorze, jaką ma pan pewność, że po tej substancji nie będzie śladu, zanim obiekt zostanie zbadany sędownie?

– Całkowitą – odparł doktor Pasternak. Tom i Gerry jednocześnie przypomnieli sobie, że on jest profesorem anestezjologii w Kolegium Internistów i Chirurgów Uniwersytetu Columbia. Musi się na tym znać. Poza tym zaufali mu na tyle, by powierzyć tajemnice Campusu. Trochę za późno, żeby teraz w niego zwątpić. – To podstawy biochemii.

Cząsteczka sukcylocholiny składa się z dwóch cząsteczek acetylocholiny. Esterazy znajdujące się w organizmie dość szybko rozkładają ją do postaci acetylocholiny, więc najprawdopodobniej nie wykryje jej nawet specjalista z Columbia-Presbyterian. Jedyna trudność to niepostrzeżenie zrobić zastrzyk. Gdyby można było to zrobić u lekarza, wystarczyłoby podać chlorek potasu w kroplówce. Skutek? Migotanie komór serca. Kiedy komórki umierają, też wydzielają potas, więc trudno zauważyć różnicę, ale jak ukryć ślad po wkłuciu? Jest wiele sposobów. Ja wybrałem taki, który względnie bezpiecznie może zastosować laik. Praktycznie rzecz biorąc, nawet naprawdę dobry patolog mógłby dojść do wniosku, że nie potrafi ustalić konkretnej przyczyny śmierci. Wiedziałby, że nie wie, i to nie dawałoby mu spokoju. A ilu jest takich utalentowanych? Niewielu. Najlepszy w centrum Columbia jest Rich Richards. Dostaje szału, kiedy czegoś nie wie. To prawdziwy intelektualista, genialny biochemik i... świetny lekarz. Pytałem go, powiedział, że byłoby niezwykle trudno to wykryć, nawet gdyby dokładnie wiedział, czego ma szukać. Bardzo ważne są inne czynniki, na przykład biochemia organizmu ofiary, również zewnętrzne: spożyty pokarm, wypite płyny...

temperatura otoczenia. W mroźny zimowy dzień na świeżym powietrzu esterazy mogą nie rozłożyć sukcynylocholiny, bo spowolnieniu ulegają reakcje chemiczne.

– Czyli nie można sprzątnąć faceta w Moskwie w styczniu? – spytał Hendley. Gubił się w tej całej naukowej gadaninie, ale wiedział, że Pasternak to fachowiec.

Profesor uśmiechnął się, był to jednak okrutny uśmiech.

– Właśnie. Ani w Minneapolis.

– Straszna śmierć? – upewnił się Davis.

– Zdecydowanie nieprzyjemna – potaknął naukowiec.

– Jest na to antidotum?

Pasternak potrząsnął głową.

– Kiedy sukcynylocholina znajdzie się w krwiobiegu, nic nie można już zrobić... no, teoretycznie można człowieka podłączyć do respiratora i podtrzymywać oddychanie do czasu, gdy narkotyk się rozłoży; widziałem, jak to robią w przypadku pavuloniu na sali operacyjnej, lecz to prawdziwe wyzwanie. Równie teoretycznie można to przeżyć, jest to jednak bardzo, bardzo mało prawdopodobne. Panowie, ludzie przeżywali strzał między oczy, ale jak często?

– Mocno trzeba się wbić? – spytał Davis.

– Niespecjalnie, wystarczy dźgnąć. Byle przebić się przez ubranie. Jeśli to będzie gruby płaszcz, igła może okazać się za krótka. Ale zwykły garnitur to nie problem.

– Można być odpornym na ten narkotyk? – dociekał Hendley.

– Na ten nie. Szansa jedna na miliard.

– I obiekt nie narobi hałasu?

– Już wyjaśniałem, to najwyżej jak użądlenie pszczoły, boleśniejsze niż ukłucie komara, ale nie na tyle, by ofiara krzyknęła z bólu. W skrajnym przypadku nie rozumie, co się z nią dzieje, może się rozejrzy, a nuż przyczyna jest zewnętrzna, ale wasz agent będzie szedł

spokojnie, nawet nie przyspieszy. No cóż, z braku kogoś, na kogo można by się wydrzeć, i skoro początkowy ból szybko mija, ofiara najpewniej potrzebojące miejsce i pójdzie dalej...

jakieś dziesięć metrów.

– Więc substancja działa szybko, jest zabójcza i niewykrywalna, tak? – dopytywał się Hendley.

– Właśnie tak.

– Jak to się odbywa? – spytał Davis. Cholera, dlaczego CIA nie wpadła na coś takiego?

Albo KGB... hmmm...

– Odkręcasz korpus, o tak – zademonstrował profesor. – Zwykłą strzykawką wstrzykujesz porcję narkotyku i wymieniasz nabój z gazem. Te małe kapsułki z gazem są jedyną częścią, którą trudno wyprodukować. Zużyte wyrzuca się do śmieci lub spuszcza do ścieku, mają zaledwie cztery milimetry długości i dwa szerokości, i wkłada nowe. Gdy wkręcasz nowy nabój, mały szpikulec z tyłu korpusu przebija go i ładuje system. Kapsułki z gazem pokryte są substancją samoprzylepną, aby trudniej je było zgubić. Musisz oczywiście uważać ze strzykawką, ale trzeba być durniem, żeby samemu się ukłuć. Jeśli wasi ludzie będą się podawać za cukrzyków, to przecież muszą mieć strzykawki. Na podstawie specjalnej karty chorego na cukrzycę można dostać insulinę właściwie wszędzie na świecie, a diabetycy nie mają widocznych objawów.

– Niech to diabli, doktorze – nie wytrzymał Tom Davis. – Coś jeszcze można tak wstrzyknąć?

– Jad kielbasiany jest tak samo zabójczy. To neurotoksyna; blokuje bodźce nerwowe i powoduje śmierć przez zamartwicę. Też dość szybko. Łatwo ją wykryć we krwi podczas sekcji... tyle że trudno wyjaśnić, skąd się wzięła. Co prawda można ją dostać na całym świecie, ale w minimalnych dawkach, stosowanych na przykład w chirurgii kosmetycznej.

– Lekarze wstrzykują ją kobietom w twarz, prawda?

– Tylko kretyni – burknął Pasternak. – Owszem, likwiduje zmarszczki, ale paraliżuje też nerwy twarzy, więc jak tu się uśmiechać? Cóż, to właściwie nie moja działka. Wiele jest toksycznych, zabójczych substancji. Problem polegał na tym, by znaleźć taką, która szybko działa, a zarazem trudno ją wykryć. Inny sposób, żeby kogoś szybko zabić? Wbić nożyk w podstawę czaszki, tam gdzie rdzeń kręgowy wchodzi w mózg. W czym cała sztuka? Musisz znaleźć się dokładnie za ofiarą i trafić nożem w niewielki cel. Ostrze nie może zaklinować się między kręgami. Z tej odległości można by w zasadzie użyć pistoletu kaliber 22 z tłumikiem, ale on zostawia ślad. Natomiast nóż... skutek łatwo mylnie zdiagnozować jako zawał. Ta metoda jest niemal idealna – stwierdził lekarz głosem zimnym jak lód.

– Richardzie, zapracowałeś sobie na premię – oznajmił Hendley.

Profesor anestezjologii wstał i zerknął na zegarek.

– Nie chcę premii, senatorze. To za mojego młodszego brata. Dajcie mi znać, gdybyście potrzebowali czegoś jeszcze. Muszę złapać pociąg do Nowego Jorku. – I wyszedł.

– Jezu! Wiedziałem, że z lekarzami coś jest nie tak – rzucił Tom. Hendley podniósł leżącą na biurku paczkę. Było w niej dziesięć „piór”, instrukcja obsługi, plastikowa torba pełna kapsułek z gazem, dwadzieścia dużych ampulek sukcynylocholiny i garść jednorazowych strzykawek.

– Brat musiał być mu naprawdę bliski.

– Znałeś go? – spytał Davis.

– Tak. Dobry człowiek. Zostawił żonę i trójkę dzieci. Na imię miał Bernard. Ukończył na Harvardzie Szkołę Biznesu.

Inteligentny

gość,

bystry

makler.

Pracował



na

dziewięćdziesiątym siódmym piętrem pierwszej wieży. Zostawił po sobie duży spadek...

rodzina nie musi martwić się o przyszłość. A to już coś.

– Dobrze mieć Richa po swojej stronie. – Davis aż się wzdrygnął.

– O, to prawda – przyznał Gerry.

Pogoda była dobra, niezatłoczona droga wiodła niemal prosto na północ. Podróż powinna być przyjemna. Jednak nie była. Mustafa tyle razy musiał wysłuchiwać „Ile jeszcze?” i „Już dojeżdżamy?” od Rafiego i Zuhajra, że w końcu miał ochotę zatrzymać się i udusić obu.

Może ciężko siedzieć z tyłu, ale on prowadził ten cholerny samochód! Napięcie dawało mu się we znaki. Im pewnie też. Wziął więc głęboki oddech i nakazał sobie spokój. Do końca podróży zostały niecałe cztery godziny. Co to jest! Przecież przejechali już cały kontynent!

Prorok nigdy nie odbył takiej drogi, podróżując z Mekki do Medyny i z powrotem.

Natychmiast odrzucił tę myśl. Jak mógł porównywać się z Mahometem? Jednego był pewien

– kiedy dojadą na miejsce, weźmie kąpiel i będzie spał tak długo, jak długo się da. Za cztery godziny odpoczne, powtarzał sobie, podczas gdy Abdullah drzemał na siedzeniu obok.

Campus miał własną stołówkę. Zaopatrywali się w różnych miejscach. Dziś – w delikatesach Atman's w Baltimore. Peklowana wołowina była niezła, lecz nie aż tak dobra jak w Nowym Jorku. Ale gdyby powiedział to na głos, mógłby oberwać. Wziął kawałek mięsa i kajzerkę. Co do picia? Skoro już je nowojorski lunch, to napój gazowany o smaku śmietankowym. Do tego jednakże miejscowe chipsy Utz – mieli je nawet w Białym Domu na specjalne życzenie ojca. Teraz pewnie jedzą tam po bostońsku. Nie jest to może miasto znane z restauracji, ale w końcu w każdym znajdzie się choć jedna porządna jadłodajnia, nawet w Waszyngtonie.

Zazwyczaj jadł lunch z Tonym Willsem, ale nie tym razem. Rozejrzał się więc i zauważył

Dave'a Cunninghama. Siedział sam, tak jak zawsze. Jack podszedł do niego.

– Cześć, Dave. Mogę się przysiąść? – spytał.

– Siadaj, siadaj – serdecznie zaprosił Cunningham.

– Jak tam cyferki?

– Ekscytujące. Wiesz, niesamowite, jaki mamy wgląd w operacje tych europejskich banków. Gdyby Departament Sprawiedliwości miał dostęp do takich danych, toby porobili porządki... tyle że takich dowodów nie można przedstawić w sądzie.

– Konstytucja bywa upierdliwa, co, Dave? Tak jak te wszystkie cholerne swobody obywatelskie.

Cunningham niemal udławił się sałatką jajeczną.

– Ty mi tu nie zaczynaj. FBI prowadzi wiele operacji na pograniczu prawa, zazwyczaj z powodu informatorów, ale w ramach procedur. Zwykle w ramach ugody. Nie wystarcza im nieuczciwych prawników. Mafiosom, znaczy się.

– Znam od was Pata Martina. Tata często o nim mówi.

– Jest szczery i bardzo inteligentny. Naprawdę powinien być sędzią. To odpowiednie stanowisko dla uczciwych prawników.

– Ale niepopłatne. – Płaca Jacka w Campusie znacząco przewyższała zarobki federalne.

Nieźle jak na nowicjusza.

– To istotnie problem, ale...

– Ale bieda nie przynosi zaszczytu, jak mawia mój tata. Bawił go pomysł obcięcia płac urzędników państwowych o jedno zero, żeby poznali, czym jest prawdziwa praca. Ostatecznie stwierdził jednak, że staliby się jeszcze bardziej przekupni.

Księgowy od razu podchwycił temat.

– Wiesz, Jack, zadziwiające, jak mało potrzeba, by przekupić członka Kongresu. Przez to ciężko tropić łapówki. To jak szukanie igły w stogu siana.

– A co z naszymi terrorystami?

– Niektórzy lubią wygodę. Wielu pochodzi z zamożnych rodzin i przywykło do luksusów.

– Jak Sali.

Dave skinął głową.

– Kosztowny ma gust. Już sam samochód kosztuje mnóstwo pieniędzy; w dodatku jest bardzo niepraktyczny. Musi strasznie dużo palić, a w mieście takim jak Londyn ceny benzyny są dość wygórowane.

– I tak przeważnie jeździ taksówkami.

– Może sobie na to pozwolić. To nawet sensowne. Parkowanie w dzielnicy finansowej też musi być kosztowne, a taksówki w Londynie są dobre. – Spojrzał na Jacka. – Wiesz o tym.

Wiele razy byłeś w Londynie.

– No, kilka – przyznał Jack. – Miłe miasto, mili ludzie. – Nie musiał dodawać, że ochrona agentów Secret Service i miejscowych glin też na poziomie. – Jakies przemyślenia o naszym przyjacielu Salim?

– Muszę przyjrzeć się bliżej danym, ale jak już mówiłem, zachowuje się tak, jakby był w coś zamieszany. Gdyby chodziło o nowojorską mafię, powiedziałbym, że jest kandydatem na *consiglieri*.

Jack niemal zachłysnął się napojem.

– Tak wysoko stoi?

– Złota zasada, Jack. Ten, kto ma złoto, ustala zasady. Sali ma dostęp do niesamowitych pieniędzy. Jego rodzina jest bogatsza, niż to sobie możesz wyobrazić. Mówimy o pięciu miliardach dolarów.

– Aż tyle? – zdziwił się Ryan.

– Spójrz raz jeszcze na konta, którymi uczy się zarządzać. Nie obracał więcej niż piętnastoma procentami. Pewnie ojciec nakłada ograniczenia. Pamiętaj, że działa w branży zabezpieczania kapitału. Nie da mu do zabawy całej góry, bez względu na jego wykształcenie. W finansach ważne jest to, czego się nauczysz po dyplomie. Chłopak dobrze rokuje, lecz wciąż myśli rozporkiem. Nic nadzwyczajnego u bogatych dzieciaków, ale jak się ma kilka miliardów baksów, trzeba trzymać chłopaka na wodzy. Poza tym to, co najwyraźniej finansuje, to, co podejrzewamy, że finansuje, nie wymaga wielkiego kapitana. Zauważyłeś te marginalne transakcje. Sprytnie. A czy zauważyłeś też, że kiedy lata do domu, do Arabii, czarteruje gulfstream V?

– Eee... nie – przyznał się Jack. – Nie przyglądałem się temu. Doszedłem do wniosku, że wszędzie lata pierwszą klasą.

– Owszem, tak jak kiedyś ty z ojcem. Prawdziwą pierwszą klasą. Jack, wszystko warto sprawdzić.

– Co sądzisz o tym, jak posługuje się kartami kredytowymi?

– Normalka, ale i tak trzeba na to zwrócić uwagę. Mógłby nimi płacić za wszystko, gdyby chciał. Wygląda jednak na to, że za wiele rzeczy płaci gotówką, a wydaje mniej gotówki, niż bierze na własny użytek. Tak jak z tymi dziewczynami. Saudyjczycy nie przywiązują do tego wagi. Płaci im gotówką, bo tak chce, a nie dlatego, że musi. Z nie do końca oczywistych przyczyn próbuje ukrywać jakąś część swego życia. Może tylko ćwiczy. Nie zdziwiłbym się, gdyby wyszło na jaw, że ma więcej kart kredytowych, o których nie wiemy, do nieużywanych kont. Przeszukam jeszcze dziś jego konta bankowe. Na razie nie umie się dobrze ukryć. Za młody jest, zbyt niedoświadczony, nikt go odpowiednio nie przeszkolił. Ale sądzę, że to gracz, który ma nadzieję wkrótce znaleźć się w

pierwszej lidze. Młodzi i bogaci nie grzeszą cierpliwością.

Sam powinienem był się domyślić, strofował się junior. Muszę dobrze się nad tym zastanowić. Kolejna ważna lekcja. Wszystko warto sprawdzić. Z kim mamy do czynienia?

Jak ten ktoś postrzega świat? Jak chce go zmienić? Ojciec zawsze powtarzał, jak ważne jest wejść w umysł wroga i popatrzeć na świat jego oczami.

Salim kieruje żądza... ale może jest w tym coś więcej? Może wynajmuje dziwki, bo lubi się pieprzyć... a może dlatego, że w ten sposób pieprzy wroga? Muzułmanie na całym świecie traktują Amerykę i Wielką Brytanię jak jednego wroga. Ten sam język, ta sama arogancja, na pewno takie samo piekielne uzbrojenie – w końcu Angole i Amerykanie ściśle nad nim współpracowali. Warte rozważenia. Nie zakładaj niczego z góry, póki nie spojrzysz na to jego oczami. Niezła lekcja jak na jeden lunch.

Roanoke przemknęło po prawej. Po obu stronach I-81 widzieli łagodne wzgórza, dużo farm, w większości mlecznych, sądząc po krowach. Zielone znaki wskazujące drogi, które, jak dla nich, prowadziły donikąd. I jeszcze więcej białych kościołów. Mijali szkolne autobusy, ale żadnych radiowozów. Słyszał, że w niektórych amerykańskich stanach drogówka jeździ zwykłymi samochodami, nieróżniącymi się od ich wozu, może tylko z dodatkowymi antenami. Zastanawiał się, czy tu też kierowcy noszą kowbojskie kapelusze.

Byłoby to nie na miejscu, nawet w okolicy, gdzie tyle jest krów. Krowa... Druga sura Koranu, pomyślał. Jeśli Allah nakaze ci zabić krowę, musisz ją zabić, nie zadając zbyt wielu pytań.

Nie starą krowę, nie młodą, tylko tę, która spodoba się Panu. Czyż nie wszystkie ofiary są miłe Allahowi, jeśli tylko nie składa się ich w pysze? Z pewnością są Mu miłe, jeśli składają je w pokorze wierni, gdyż Allahowi są miłe ofiary prawdziwych wyznawców.

Tak.

A on i jego przyjaciele złożą jeszcze więcej ofiar, kiedy zabiją niewiernych.

Tak.

Zauważył znak *Autostrada międzystanowa 64*, ale wiodła na zachód. Czyli to nie ta. Oni musieli jechać na wschód – przekroczyć góry. Mustafa przymknął oczy, przypominając sobie mapę, na którą tyle razy patrzył. Jeszcze jakąś godzinę na północ, potem na wschód. Tak.

– Brian, te buty za kilka dni się rozpadną!

– Hola, Dom. W nich po raz pierwszy przebiegłem półtora kilometra w cztery i pół minuty – zaprotestował marine. Takie chwile na długo zachowywał w pamięci.

– Może i tak, ale kiedy znów spróbujesz to zrobić, rozpadną się, a ty załatwisz sobie kostkę.

– Tak? Stawiam dolca, że się mylisz.

– Stoi – zgodził się Dominic.

Uścisnęli dłonie, przybijając zakład.

– Też uważam, że są do niczego – stwierdził Alexander.

– Nowe T-shirty też mam kupić, mamó?

– Nie, za miesiąc ulegną autodestrukcji – zakpił Dominic.

– Jasne! Chyba ci dziś skopię tyłek na strzelnicy.

– Powodzenia – prychnął Enzo. – A może dwa razy z rzędu?

– Stawiam pięć dolców.

– Stoi. – Przybili po raz drugi. – Mógłbym się w ten sposób wzbogacić – kpił Dominic.

Przyszedł czas na obiad. Cielęcina *piccata*. Dominic lubił dobrą cielęcinę, a w lokalnych sklepach mieli jej pod dostatkiem. Szkoda cielaka, ale w końcu to nie on go zarznął.

Jest I-64, następny zjazd. Mustafa był tak zmęczony, że powinien oddać kierownicę Abdullahowi, chciał jednak sam dojechać do końca. Stwierdził, że wytrzyma kolejną godzinę.

Zmierzali ku przełęczy w następnym łańcuchu górskim. Ruch był duży, ale w przeciwnym kierunku. Wspięli się po autostradzie... Tak, wszystko się zgadza: płytka przełęcz, hotel po południowej stronie... a potem piękny widok na rozciągającą się na południe dolinę. Na znaku była jej nazwa, ale zbyt dla niego skomplikowana, by mógł ją zapamiętać. Podziwiał

krajobraz. Sam raj nie mógł chyba być piękniejszy. Zauważył parking, na który mógłby zajechać, by zachwycać się widokiem. Tyle że nie czas na to.

Miło się jechało w dół łagodnego zbocza. Całkiem zmienił mu się nastrój. Już tylko niecała godzina. Dotrą na czas. Jeszcze jeden papieros, by to uczcić. Rafi i Zuhajr znów się obudzili i podziwiali scenerię. Ostatnia ku temu okazja.

Jeden dzień na odpoczynek i rozpoznanie – czas, by skoordynować się e-mailem z trzema pozostałymi zespołami – i mogą zakończyć misję. A potem prosto w objęcia Allaha... Bardzo przyjemna myśl.

## **Rozdział 13**

# SPOTKANIE

Przejechali ponad trzy tysiące kilometrów i na miejscu doznali rozczarowania. Niecały kilometr od międzystanówki 64 znajdował się motel Holiday Inn Express. Wyglądał

zadowalająco, dobrze że tuż obok był bar Roya Rogersa, a niecałe sto metrów dalej – Dunkin’

Donuts. Mustafa wszedł do hotelu i wynajął dwa przylegające do siebie pokoje, płacąc kartą Visa wystawioną przez bank w Liechtensteinie. Jutro zrobią rekonesans. Teraz chcieli tylko spać. Nawet jedzenie nie było ważne. Podjechał pod okna wynajętych pokoi na parterze i zgasił silnik. Rafi i Zuhajr otworzyli drzwi, wysiedli i podeszli do bagażnika. Wyjęli kilka toreb. Pod nimi leżały cztery pistolety maszynowe, wciąż owinięte w grube, tanie koce.

– Jesteśmy na miejscu, przyjaciele – oznajmił Mustafa, wchodząc do pokoju. Był to najzwyczajniejszy motel. Różnił się od luksusowych hoteli, do jakich przywykli. Każdy pokój miał łazienkę. W każdym stał mały telewizor. Drzwi między pokojami były otwarte. Mustafa z ulgą padł na łóżko – dwuosobowe, ale całe do jego dyspozycji. Jednak musiał coś jeszcze zrobić.

– Przyjaciele, broń zawsze musi być schowana, a żaluzje cały czas zaciągnięte. Za daleko dotarliśmy, żeby głupio ryzykować – ostrzegł. – W tym mieście są policjanci. I zapewniam, że to nie idioci. Podróż do rajy rozpoczniemy o czasie, który sami wybierzemy, a nie kiedy zdecydowałyby o tym nasz błąd. Pamiętajcie. – Usiadł i zdjął buty. Wziąć prysznic? Był

nazbyt zmęczony – jutro, czyli już niedługo.

– W którym kierunku jest Mekka? – spytał Rafi.

Mustafa musiał się chwilę zastanowić, by wyznaczyć linię łączącą ich miejsce pobytu z Mekką i znajdującą się tam Kaabą – centrum islamskiego świata. Ku niemu pięć razy dziennie zwracali się w modlitwie, recytując na klęczkach wersety Koranu.

– W tym – oznajmił, wskazując na południowy wschód. Wychodząca stąd linia przecinała północną Afrykę i docierała do najświętszego z miejsc.

Rafi rozwinął swój dywanik modlitewny i opadł na kolana. Spóźniał się z modlitwą, ale nie zapomniał o religijnym obowiązku. Sam Mustafa wyszeptał tylko pod nosem:

– Niech to będzie zapomniane. – Miał nadzieję, że Allah wybaczy mu, zważywszy na jego zmęczenie. Czyż nie jest nieskończenie miłosierny? Poza tym niewielki to grzech.

Mustafa zdjął skarpety i położył się na wznak na łóżku. Po chwili już spał.

W pokoju obok Abdullah skończył jeść sałatkę i podłączył komputer do telefonu.

Wykręcił numer zaczynający się od 0 800. Świergot modemu świadczył, że komputer połączył się z siecią. Po kilku sekundach odebrał pocztę. Trzy listy i spam. Pobrał e-maile z serwera i zapisał. Potem wylogował się. Zajmował linię zaledwie przez piętnaście sekund –

kolejny środek ostrożności, który nakazano im zachować.

Abdullah nie wiedział, że NSA namierzyła jedno z czterech kont pocztowych i częściowo odszyfrowała jego zawartość. Kiedy połączył się ze swojego konta – zidentyfikowanego na podstawie części słowa i szeregu cyfr – z kontem Saida, ono również zostało zidentyfikowane, choć tylko jako odbiorca.

Zespół Saida jako pierwszy dotarł do miejsca przeznaczenia – Colorado Springs w stanie Kolorado – zidentyfikowanego tylko po kodzie. Teraz zajmowali wygodne pokoje w motelu, dziesięć kilometrów od celu. Sabawi, Irakijczyk, był w Des Moines, w stanie Iowa, a Mahdi w Provo, w stanie Utah. Oba te zespoły były już gotowe rozpocząć operację. Do zakończenia misji pozostało mniej niż trzydzieści sześć godzin.

Abdullah pozwolił

Mustafie odpowiedzieć. Odpowiedź

była właściwie

już

zaprogramowana: „190, II”, co oznaczało sto dziewięćdziesiąty werset drugiej sury. Nie był to wcale okrzyk wojenny – raczej wyznanie wiary, która ich tu sprowadziła. Co mówił? W skrócie: „Przystąpcie do realizacji misji”. Taka była jego interpretacja.

Brian i Dominic oglądali History Channel na kablówce. Coś o Hitlerze i holokauście.

Tyle już czasu poświęcono studiom o tym, że można sądzić, że darmo by szukać czegoś nowego. A jednak historycy ciągle coś znajdowali. Pewnie dlatego, że Niemcy pozostawili w jaskiniach Harzu opasłe akta. Akademicy będą je badać przez kolejnych kilka wieków.

Ludzie wciąż próbują zrozumieć sposób myślenia tych potworów w ludzkiej skórze, które zaplanowały i popełniły takie zbrodnie.

– Brian – zagadnął Dominic co o tym wszystkim myślisz?

– Jeden strzał z pistoletu mógłby pewnie temu zapobiec. Problem w tym, że nikt nie potrafi zajrzeć



– tak daleko w przyszłość, ani Cyganki, ani wróżki. Kurde, Cyganów też sporo Adolf załatwił. Czemu nie zwiali?

– Wiesz, że przez większość życia Hitler miał tylko jednego ochroniarza? W Berlinie zajmował mieszkanie na pierwszym piętrze, z wejściem na parterze, tak? Drzwi strzegł jeden esesman, pewnie nawet nie sierżant. Wystarczyłoby go zaciukać, otworzyć drzwi, wejść na piętro i załatwić skurwysyna. Można by ocalić wiele istnień, braciszku – stwierdził Dominic, sięgając po kieliszek białego wina.

– Cholera. Jesteś tego pewien?

– Secret Service tego uczy. Ich instruktor ma w Quantico wykłady z zasad ochrony bezpieczeństwa. Nas też to zaskoczyło. Padło dużo pytań. Facet powiedział, że można było minąć tego esesmana po drodze do monopolowego. Łatwy cel. Łatwiejszego nie można sobie wyobrazić. Ponoć Adolf uważał się za nieśmiertelnego. Rzekomo nie było na świecie kuli przeznaczonej dla niego. Cóż, u nas załatwili prezydenta na peronie, gdy czekał na pociąg.

– Który to był? Chyba Chester Arthur. McKinleya zastrzelił facet, który po prostu podszedł do niego z ręką w bandażach. Chyba wtedy ludzie byli dość beztroscy.

– Kurde. Ułatwiłoby nam to pracę, ale ja i tak wolę strzał karabinowy z dobrych pięciuset metrów.

– Brak ci żyłki awanturniczej, Aldo?

– Nikt mi nie płaci za odgrywanie kamikadze, Enzo. To bez przyszłości, wiesz?

– A ci zamachowcy-samobójcy na Bliskim Wschodzie?

– Inna kultura, stary. Nie pamiętasz z podstawówki? Nie wolno ci popełnić samobójstwa, to grzech śmiertelny i nie możesz potem pójść do spowiedzi. Myślałem, że siostra Frances Mary dokładnie to wyjaśniła.

– Dominic się roześmiał.

– Cholera, dawno o niej nie myślałem, ale ty zawsze byłeś jej pupilkiem.

– Bo nie rozrabiałem w klasie jak ty.

– A w marines?

– Rozrabianie? Sierżanci wybili mi to z głowy, zanim jeszcze o tym pomyślałem. Nikt nie podskakuje sierżantowi broni Sullivanowi, nawet pułkownik Winston. – Zapatrzył się w telewizor. – Wiesz co, Enzo, może nieraz jedna kula mogła oszczędzić wiele bólu. Hitlera rzeczywiście trzeba było wysłać na tamten świat. Ale nawet wojskowym się to nie udało.

- Ten facet, który podłożył bombę, założył po prostu, że wszyscy w budynku zginą. Nie wrócił, by sprawdzić. Wykładają to codziennie w Akademii FBI, braciszku: zakładanie czegoś z góry to najlepszy sposób, żeby to spieprzyć.
- Jasne, trzeba się upewnić. Jak już warto strzelać, to warto strzelić dwukrotnie.
- Amen – potwierdził Dominic.

Doszło do tego, że Jack Ryan junior budził się przy dźwiękach porannych wiadomości w NPR i oczekiwał, że usłyszy o czymś przerażającym. Pewnie oglądał za dużo surowych informacji wywiadowczych, a nie potrafił ocenić, co jest naprawdę ważne.

Ale choć za wiele nie wiedział, to i tak to, z czego zdawał sobie sprawę, było aż nazbyt niepokojące. Zaczął mieć niemal obsesję się punkcie Udy bin Salego. Pewnie dlatego, że Sali był jedynym graczem, o którym dużo wiedział. Nie mogło być inaczej. W końcu Sali był jego

„studium przypadku”. Musiał rozgryźć tego ptaszka, bo jak nie, to... musiałby sobie poszukać innej pracy? Aż do teraz tak o tym nie myślał. A to nie wróżyło mu za dobrej przyszłości w branży szpiegowskiej. Jasne, jego ojcu zajęło sporo czasu, nim znalazł coś, w czym był

dobry: dziewięć lat po ukończeniu Boston College, a on ukończył Georgetown niecały rok temu. Czy w Campusie zdobędzie zaliczenie? Jest tu chyba najmłodszy. Nawet sekretarki są starsze. Cholera, a to coś nowego!

Sali był jego testem. Pewnie bardzo ważnym. Czy to znaczy, że Tony Wills już rozgryzł

Saudyjczyka, a Jack grzebał się w danych, które już w pełni przeanalizowano? Może miał

sam zgłębić sprawę i dojść do własnych wniosków? Niezła myśl na rozpoczęcie dnia. To już nie szkoła. Jak tu obleje, to... zmarnuje sobie życie? Nie, bez przesady, ale byłoby kiepsko.

Warto się nad tym zastanowić przy porannej kawie i serwisie CNN.

Na śniadanie Zuhajr kupił dwa tuziny pączków i cztery duże kawy. Ameryka to szalony kraj. Tyle bogactw naturalnych, drzewa, rzeki, wspaniałe drogi, majątek – a wszystko w służbie bałwochwalców. Tymczasem on pije ich kawę i je ich pączki. Doprawdy, świat jest szalony i jeśli jest w tym jakiś plan, to tylko Allaha – a nie rozumieli go nawet wyznawcy.

Musieli tylko czynić, jak napisano w Księdze. Kiedy wrócił do motelu, zobaczył, że oba telewizory pokazują wiadomości – te żydowskie, CNN. Szkoda, że Amerykanie nie oglądają telewizji Al-Dżazira – ona przynajmniej próbuje zwracać się do Arabów, choć jego zdaniem też już się zamerykanizowała.

– Jedzenie – oznajmił. – I picie.

Jedno pudło z pączkami powędrowało do jego pokoju, drugie do Mustafy, który wciąż przecierał oczy po jedenastu godzinach chrapania.

– Jak się spało? – zagadnął przywódcę Abdullah.

– Błogosławione chwile. Nogi niestety wciąż mam zdrętwiałe. – Wyciągnął rękę po duży kubek kawy i chwycił pączka w polewie z syropu klonowego, pochłaniając pół jednym kęsem. Znow potarł oczy i spojrzał na ekran telewizora. Chciał zobaczyć, co nowego na świecie. Izraelska policja zabiła kolejnego męczennika, zanim zdążył zdetonować semtex, który miał na sobie.

– Pieprzony debil – mruknął Brian. – Byle kretyn może wyciągnąć zawleczkę.

– Zastanawiam się, jak Izraelczycy się pokapowali. Muszą mieć płatnych informatorów w Hamasię. Dla policji to pewnie priorytetowa sprawa, wielkie zasoby, pomoc szpiegów...

– Torturują ludzi, prawda?

Dominic po chwili namysłu skinął głową.

– Tak... niby sprawuje nad tym kontrolę ich sądownictwo, ale mogą ich przesłuchiwać trochę bardziej stanowczo niż my.

– I to działa?

– Omawialiśmy to w akademii. Jak komuś przyłożysz do fiuta kordelas, masz szansę, że zacznie śpiewać, jednak nie jest to coś, o czym lubimy myśleć. Jasne, teoretycznie może się to wydawać zabawne, ale czy dla ciebie to do przyjęcia? Chciałbyś to zrobić? Poza tym ile są warte informacje uzyskane w ten sposób? Facet powie wszystko, byle tylko zostawić w spokoju jego małego i przestać sprawiać ból. Łotry potrafią niezłe kłamać, chyba że wiesz więcej niż oni. Tak czy inaczej, my tego nie możemy robić. Wiesz, konstytucja, te sprawy.

Można ich straszyć więzieniem, krzyczeć na nich, a i w tym trzeba zachować umiar.

– Ale i tak śpiewają?

– Zazwyczaj. Przesłuchania to prawdziwa sztuka. Są od tego eksperci. Nigdy nie miałem szansy się tego nauczyć, ale widziałem, jak to robią inni. Chodzi o to, by nawiązać ze skurwielem nić porozumienia. Mówi się rzeczy w stylu „No tak, ta mała sama się o to prosiła, nie?” Rzygać się po tym chce, ale taki jest cel tej gry: drań ma się przyznać. Jak już go wpakują do pudła, współwięźniowie dadzą mu o wiele gorszy wycisk. Pedofile nie mają lekko w ciupie.

– Wyobrażam sobie, Enzo. Może wyświadczyłeś przysługę temu gościowi z Alabamy.

– Zależy, czy wierzysz w piekło – odparł Dominic. Miał na ten temat własne zdanie.

Tego ranka Wills przyszedł do pracy wcześniej. Siedział już przy swoim komputerze, gdy Jack wszedł do biura.

– Tym razem jesteś pierwszy.

– Moja żona odebrała samochód z warsztatu. Teraz dla odmiany ona odwozi dzieci do szkoły – wyjaśnił Wills. – Sprawdź dane z Meade – polecił.

Jack włączył komputer, poczekał na uruchomienie systemu i wpisał swój kod, by uzyskać dostęp do pliku z wymianą informacji między agencjami z laboratorium komputerowego na parterze.

Na pierwszym miejscu znalazła się priorytetowa depecha elektroniczna z NSA do CIA...

FBI... wydziału bezpieczeństwa krajowego. Jedna z tych instytucji na pewno powiadomiła prezydenta. Co dziwne, wiadomość była bardzo uboga w treść – zawierała tylko szereg cyfr.

– No i? – spytał junior.

– Może to być werset z Koranu. Koran ma sto czternaście sur, czyli rozdziałów, o różnej liczbie wersetów. Jeśli tak, to jest to werset, który niczym szczególnym się nie wyróżnia.

Przewiń i sam zobacz.

Jack kliknął przycisk myszy.

– I to wszystko?

– Tak, to wszystko – potaknął Wills. – Jednak w Meade sądzą, że taka bezpłciowa wiadomość prawdopodobnie oznacza coś innego, coś ważnego. Szpiedzy lubią odwracać kota ogonem.

– No, no! Chcesz mi powiedzieć, że skoro wydaje się to nieważne, to może być ważne?

Cholera, Tony, to samo można powiedzieć o czymkolwiek innym! Co jeszcze wiedzą? Może z jakiej sieci gość się załogował?

– To prywatna sieć europejska. Można się do niej wdzwonić przez 0 800 z całego świata.

Wiemy, że niektórzy terroryści jej używają. Nie można stwierdzić, skąd się logują.

– No dobra... Czyli po pierwsze, nie wiemy, czy wiadomość ma jakieś znaczenie. Po drugie, nie wiemy, skąd pochodzi. Po trzecie, nie mamy żadnej możliwości sprawdzenia, kto ją przeczytał lub

gdzie dotarła. Krótko mówiąc, główny wiemy poza tym, że każdy dostaje na tym punkcie świra. Co jeszcze? Co wiemy o źródle tej wiadomości?

– Sądzymy, że on, albo ona, bo tego nie wiemy, prawdopodobnie jest graczem.

– W jakiej drużynie?

– Zgadnij. Psycholodzy kryminalistyczni z NSA mówią, że składnia, którą się posługiwał w poprzednich wiadomościach, wskazuje, że jego ojczystym językiem jest arabski.

Psychiatrzy z CIA to potwierdzają. Już odbierali wiadomości od tego ptaszka. Zdarza mu się mówić wredne rzeczy wrednym ludziom i można je skojarzyć z dziejącymi się w tym samym czasie innymi rzeczami... bardzo złymi rzeczami.

– Może to ma związek z tym zamachowcem, którego dziś sprzątnęła izraelska policja?

– To możliwe, ale niezbyt prawdopodobne. O ile wiemy, źródło nie ma powiązań z Hamasem.

– A tak naprawdę to nie wiemy, co?

– W przypadku tych facetów nie można mieć absolutnej pewności.

– A więc jesteśmy w punkcie wyjścia. Ludzie robią zamieszanie o coś, o czym tak naprawdę główny wiedzą.

– W tym właśnie problem. Przy takiej biurokracji lepiej podnosić fałszywy alarm, niż siedzieć cicho, kiedy wydarzy się prawdziwe nieszczęście.

Ryan odchylił się na krześle.

– Tony, ile lat pracowałeś w Langley?

– Trochę ich było – padła wymijająca odpowiedź.

– Jak, do ciężkiej cholery, to znosiłeś?

Wills wzruszył ramionami.

– Czasami sam się zastanawiam.

Jack powrócił do porannej poczty. Zdecydował, że sprawdzi, czy Sali robił coś niezwykłego w ciągu ostatnich kilku dni – żeby tylko zapewnić sobie dupochron... I tak John Patrick Ryan junior, nie zdając sobie z tego sprawy, sam zaczął myśleć jak biurokrata.

– Jutro będzie trochę inaczej – oznajmił Pete bliźniakom. – Waszym celem jest Michelle, ale tym

razem w przebraniu. Wasze zadanie: zidentyfikować ją i wysledzić, dokąd pójdzie czy pojedzie. Mówiłem już, że jest dobra w przebierankach?

– Łyknij pigułkę niewidzialności, tak? – spytał Brian.

– To jej zadanie – uciął Alexander.

– Dasz nam magiczne okulary, żebyśmy mogli przejrzeć jej makijaż?

– Nie, nawet gdybym takie miał, a nie mam.

– Ale z ciebie kumpel – powiedział chłodno Dominic.

O jedenastej wyruszyli na rekonesans.

Centrum handlowe Fashion Square Mall w Charlottesville było raptem niecałe pół

kilometra od nich na północ autostradą 29. Średniej wielkości, klientela to co zamożniejsi miejscowi i studenci pobliskiego Uniwersytetu Stanu Wirginia. Po jednej stronie sklep JCPenney, po drugiej Sears, a pośrodku sklepy z odzieżą Belk. Co ciekawe, nie było tam typowych barów – ktokolwiek przeprowadzał pierwszy rekonesans, zrobił to nieudolnie.

Niestety, ale co się dziwić. Organizacja najmowała wolnych strzelców, dla których tego rodzaju misje były czymś na kształt zabawy. Kiedy Mustafa wszedł do środka, stwierdził

jednak, że to nic nie szkodzi.

Z centralnego dziedzińca klienci wchodzili do czterech głównych korytarzy. W punkcie informacyjnym można nawet było dostać plany galerii handlowej, na których zaznaczono położenie sklepów. Mustafa przyjrzał się jednemu z nich. Od razu rzuciła mu się w oczy sześcioramienna gwiazda Dawida. Synagoga tutaj? Czy to możliwe? Przeszedł się, by sprawdzić, łudząc się, że to rzeczywiście możliwe.

Ale nie. To tylko biuro ochrony centrum handlowego. W środku siedział mężczyzna w mundurze – błękitna koszula i granatowe spodnie. Nie miał pasa z bronią. To dobrze. Miał

jednak telefon, z którego na pewno wezwałby miejscową policję. A więc on musi pójść na pierwszy ogień. Kiedy Mustafa podjął już tę decyzję, poszedł w przeciwnym kierunku. Minął

toalety, automat z colą i skręcił w prawo.

Nieźle miejsce. Tylko trzy główne wejścia i dobra pozycja do strzału z centralnego dziedzińca. Poszczególne sklepy rozmieszczono na planie prostokąta, ze swobodnym dostępem z korytarzy. Jutro

o tej porze będzie tu jeszcze tłoczniej. Stwierdził, że w zasięgu wzroku ma jakichś dwustu ludzi, i choć przez całą drogę do tego miasta miał nadzieję, że zabije ich z tysiąc, to i tak każda liczba powyżej dwustu oznacza niemałe zwycięstwo. Były tu najrozmaitsze sklepy. Inaczej niż w Arabii Saudyjskiej mężczyźni i kobiety robili zakupy na tym samym piętrze. Dużo też było dzieci. Były tu cztery sklepy specjalnie dla nich. Był nawet sklep Disneya! Tego się nie spodziewał. Co za radość móc zaatakować jeden z symboli amerykańskiej kultury!

Stanął przy nim Rafi.

– I jak?

– Cel mógłby być większy, ale i tak jest prawie idealnie. Wszystko na jednym poziomie – cicho odparł Mustafa.

– Allah jest zawsze łaskawy, przyjacielu. – Rafi nie krył entuzjazmu.

Wokół pełno było ludzi. Wiele młodych kobiet pchało przed sobą niemowlęta w wózkach.

Mustafa musiał jeszcze coś kupić. W sklepie RTV, tuż obok jubilera, zapłacił gotówką za cztery krótkofalówki z bateriami. Dodatkowo wysłuchał krótkiej instrukcji, jak działają.

Teoretycznie mogło być lepiej, ale to nie miała być zatłoczona ulica. Poza tym na ulicy byłiby uzbrojeni policjanci, przeszkodziłoby im w wykonaniu misji. W życiu trzeba dostrzegać złe i dobre strony – a tu tych dobrych było niemało. Cała czwórka kupiła precelki i wróciła do samochodu. Dokładny plan ułożą w motelu, przy pączkach i kawie.

Jerry Rounds oficjalnie był szefem planowania strategicznego po jawnej stronie Campusu. Swoją robotę wykonywał nieźle – mógłby być wymiataczem na Wall Street, gdyby po ukończeniu Uniwersytetu Stanu Pensylwania nie został oficerem wywiadu lotnictwa.

Służby specjalne opłaciły nawet jego naukę i magisterium w Whartonowskiej Szkole Biznesu, zanim dosłużył się pułkownika. Dzięki temu miał dyplom i wspaniałą wymówkę, by zająć się handlem. Była to miła odmiana dla byłego szefa analityków sił powietrznych, rezydującego w centrali DIA – Agencji Wywiadu Obronnego – przy Bolling AFB w Waszyngtonie.

Stwierdził jednak, że nie podoba mu się bycie nielotem pośród lotników – a zatem obywatelem drugiej kategorii, nawet jeśli był bardziej inteligentny niż ich dwudziestu razem wziętych. Campus bardzo poszerzył jego horyzonty.

– Co jest, Jerry? – spytał Hendley.

– Goście z Meade i z drugiej strony rzeki czymś się ekscytują – odparł Rounds, podając szefowi

papiery.

Były senator przez chwilę studiował transkrypty, po czym je oddał. Szybko się zorientował, że większość z nich zna.

– No i...?

– No i tym razem mogą mieć rację, szefie. Miałem oko na wydarzenia w tle. Rzecz w tym, że dociera do nas mniej wiadomości od znanych graczy... a teraz to. Pół życia spędziłem w DIA, wyszukując takie zbiegi okoliczności.

– Dobra, i co oni z tym robią?

– Od dziś zwiększy się ochrona lotnisk. FBI wystawi strażę.

– Nic w telewizji?

– No cóż, dzieciaki z wydziału bezpieczeństwa krajowego chyba już rozumiały, że reklamy tylko przeszkadzają. Nie łapie się szczura, krzycząc na niego, ale daje mu się, czego chce, a potem łamie mu kark.

Albo wypuszcza na niego kota, pomyślał Hendley. Ale to już trudniejsze.

– Jakies pomysły dla nas? – spytał.

– W tej chwili nic. To jak obserwowanie frontu burzowego. Znosi się na deszcz, ale nie sposób go powstrzymać.

– Jerry, czy nasze dane o gościach od planowania... tych, co wydają rozkazy, są ścisłe?

– Część informacji naprawdę jest niezła. Ale tylko o tych, którzy przekazują rozkazy, nie o tych, którzy je wydają.

– A gdyby wyeliminować ich z gry?

Rounds natychmiast kiwnął głową.

– To rozumiem, szefie. Wtedy grube ryby mogą wychylić łby z wody. Zwłaszcza jeśli nie wiedzą, że nadciąga burza.

– Jakie jest teraz największe zagrożenie?

– FBI myśli o samochodach-pułapkach i zamachowcach-samobójcach. To możliwe, ale patrząc na to z operacyjnego punktu, nie jestem przekonany. – Rounds usiadł na krześle. –



Dać facetowi materiały wybuchowe i wsadzić do autobusu to proste, ale w naszym przypadku to znacznie bardziej skomplikowane. Trzeba przywieźć tu zamachowca, wyposażyć go, czyli należałoby mieć na miejscu materiały wybuchowe, co dodatkowo komplikuje całą sprawę, następnie zaznajomić z celem i wreszcie zawieźć na miejsce. A zamachowiec musi przez cały czas zachować motywację. Wiele rzeczy może pójść niezgodnie z planem, dlatego takie operacje maksymalnie się upraszcza. Po co prosić się o kłopoty?

– Jerry, ile mamy poważnych celów?

– Ogółem? Jakies sześć. Z czego cztery naprawdę warte uwagi.

– Możesz mi dostarczyć lokalizacje i charakterystyki?

– Kiedy tylko zechcesz.

– W poniedziałek. – Nie było sensu głowić się nad tym przez weekend. Zaplanował sobie dwa dni jazdy konnej. W końcu od czasu do czasu należy mieć wolne.

– Dobrze, szefie. – Rounds wstał, podszedł do drzwi i zatrzymał się. – Jeszcze jedno. Jest taki gość w Morgan and Steel, w dziale obligacji. To kanciarz. Szybko i swobodnie sobie poczyną z pieniędzmi klientów, a to około półtorej setki. – Jerry rozumiał przez to sto pięćdziesiąt milionów cudzych dolarów.

– Ktoś się nim zajmuje?

– Nie. Sam go zidentyfikowałem. Spotkałem go dwa miesiące temu w Nowym Jorku.

Wydał mi się podejrzany, więc zacząłem monitorować jego komputer. Chcesz zobaczyć jego notatki?

– To nie nasza sprawa, Jerry.

– Wiem. Przystałem z nim prowadzić interesy, żeby czasem nie podpieprzył nam funduszy. On chyba wie, że czas wiać, może za ocean, z biletem w jedną stronę? Ktoś powinien mu się przyjrzeć. Może Gus Werner?

– Zastanowię się. Dzięki za czujność.

– Na razie. – I Rounds zniknął za drzwiami.

– Czyli mamy tylko spróbować podkraść się do niej tak, żeby nas nie zauważyła? –

upewnił się Brian.

- To właśnie wasze zadanie – przytaknął Pete.
- Jak blisko?
- Jak najbliżej.
- Na tyle blisko, żeby móc strzelić jej w głowę? – dociekał marine.
- Na tyle blisko, żeby zobaczyć jej kolczyki. – Alexander użył eufemizmu. To nawet pasowało... pani Peters miała dość długie włosy.
- Czyli nie żeby strzelić jej w głowę, tylko żeby podciąć jej gardło? – drażył Brian.
- Słuchaj, Brian, nazywaj to sobie, jak chcesz. Na tyle blisko, żeby jej dotknąć, OK?
- OK, teraz rozumiem – odparł Brian. – Musimy mieć nasze zabawki?
- Tak. – Alexander skłamał. Brian znów był upierdliwy. Kto to widział, żeby marine gryzło sumienie?
- Łatwiej nas będzie zauważyć – zaprotestował Dominic.
- Więc jakoś je ukryjcie. Trochę więcej inwencji. – Oficer szkoleniowy już zaczynał się irytować.
- Kiedy się dowiemy, po co to wszystko? – spytał Brian.
- Wkrótce.
- Wciąż tak mówisz, facet.
- Słuchaj, możesz wrócić do Karoliny Północnej, kiedy zechcesz.
- Myślałem o tym – oznajmił Brian.
- Dziś piątek. Przemyśl to sobie przez weekend, dobra?
- W porządku – wycofał się Brian. I w samą porę. Wymiana zdań stała się ostrzejsza, niżby sobie życzył. Nie, żeby nie lubił Pete’a. Chodziło tylko o to, że nie znał prawdy, a nie podobały mu się własne domniemania. Zwłaszcza jeśli celem byłaby kobieta. Krzywdzenie kobiet to nie dla niego. Dzieci też – nic dziwnego, że jego brata to właśnie wyprowadziło z równowagi. Zastanowił się, czy zrobiliby to samo; no tak, przecież ofiarą było dziecko, ale wcale nie był taki pewien.

Bliźniacy posprząтали po obiedzie, po czym ze szklaneczką w ręku zasiedli przed telewizorem w salonie – chcieli pooglądać sobie History Channel.

W sąsiednim stanie myśli Jacka Ryana juniora zaprzętały podobne sprawy; sączył rum z colą i przerzucał się z kanału History na History International i z powrotem. Od czasu do czasu podglądał

też Biography, gdzie leciał dwugodzinny dokument o Józefie Stalinie. Był z niego kawał zimnego skurwysyna, pomyślał junior. Zmusić jednego z zaufanych ludzi do podpisania nakazu aresztowania własnej żony?! Cholera. Ale jakim cudem ten nieciekawych człowiek miał taką władzę nad ludźmi? Skąd pochodziła? Jak ją utrzymywał? Ojciec Jacka też był człowiekiem władzy, lecz nigdy nie dominował nad ludźmi. Pewnie nigdy nawet o tym nie myślał. A co dopiero o zabijaniu dla przyjemności... Skąd biorą się tacy ludzie?! Czy nadal są na świecie?

Na pewno. Natura ludzka się nie zmienia. Zawsze znajdzie się ktoś okrutny. Może tylko społeczeństwo przestało zachęcać do przemocy. W Imperium Rzymskim podczas igrzysk gladiatorów ludzie byli przygotowani na okrutną śmierć – ba, stanowiła ona część rozrywki.

A Jack, gdyby mógł wsiąść do wehikułu czasu, przeniósłby się w przeszłość do rzymskiego amfiteatru, by to zobaczyć – jeden jedyny raz. Lecz to tylko ludzka ciekawość, nie żądza krwi. Szansa, by zdobyć cząstkę historycznej wiedzy, ujrzeć na własne oczy inną kulturę.

Pewnie puściłby pawia, patrząc na to... a może i nie. Może ciekawość byłaby silniejsza.

Oczywiście nie przeniósłby się w przeszłość sam. Dobrą towarzyszką byłaby beretta kaliber 45, z niej uczył go strzelać Mike Brennan. Ilu też ludzi zdecydowałoby się na taką podróż?

Chyba wielu. Mężczyźni. Nie kobiety. Kobiety trzeba by poddać najpierw długotrwałemu warunkowaniu społecznemu, żeby chciały to oglądać. A mężczyźni? Mężczyźni wychowywali się na filmach w rodzaju *Silverado*, *Szeregowiec Ryan*... Chcieli wiedzieć, jak sobie z czymś takim poradzą. A więc natura ludzka rzeczywiście się nie zmieniła.

Spółeczeństwo miażdżyło okrutników, a ponieważ człowiek jest istotą rozumną, większość ludzi unikała czynów, których skutkiem było więzienie lub komora gazowa. Człowiek uczy się na własnych błędach, ale podstawowe popędy pozostają, więc dokarmia się te potwory fantazjami, książkami, filmami – a to pożywka dla snów i myśli kłębiących się w głowie przed zaśnięciem. Może gliniarzom jest łatwiej. Oni mogą wyładować frustrację, ścigając tych, którzy sobie pofolgowali. Pewnie daje to zadowolenie – tyle że chroniąc społeczeństwo, karmi się... „zabójców”.

Skoro jednak bestia wciąż żyje w ludzkich sercach, to znajdują się ludzie, którzy będą chcieli wykorzystać swe umiejętności, by ją... nie tyle kontrolować, ile nagiąć do własnej woli. Użyć jako narzędzia własnej żądzy władzy. To właśnie były czarne charaktery. Tych, którym się nie udało, nazywano socjopatami. A tych, którzy odnieśli sukces... prezydentami.

Gdzie tu miejsce dla mnie? – zastanawiał się Jack. W końcu wciąż był dzieckiem, mimo że temu zaprzeczał, bo z mocy prawa był dorosły. Czy dorośli przestają dorastać?

Zastanawiać się i zadawać pytania? Poszukiwać informacji... czy też, jak on sam o tym myślał, prawdy?

Ale co robić z prawdą, kiedy się ją już posiadało? Tego jeszcze nie wiedział. Kolejna rzecz, której

przyjdzie się nauczyć. Jasne, miał taki sam zapał do nauki jak ojciec – w przeciwnym razie nie oglądałby tego programu, tylko jakiś bzdurny serial. Może kupić książkę o Stalinie i Hitlerze? Historycy zawsze grzebią w starych aktach. Problem zaczyna się, gdy patrzą na znaleziska przez pryzmat własnych poglądów. Pewnie trzeba mu po prostu psychiatry. Psychiatrzy też mają swoje uprzedzenia, przynajmniej jednak zachowują pozory profesjonalizmu. Irytowało go, że kiedy zasypia, w głowie kłębią mu się uporczywe myśli, a on wciąż nie odkrywa prawdy. Cóż, chyba na tym właśnie polega życie...

Wszyscy modlili się po cichu. Abdullah mrucał wersety Koranu. Mustafa kontemlował

Świętą Księgę w myśli – nie całą oczywiście, tylko te fragmenty, które mógł odnieść do jutrzejszej misji. Być dzielnym, pamiętać o świętej misji, wykonać ją bez litości. Litość to atrybut Allaha.

A co, jeśli przeżyjemy? – spytał sam siebie. Zaskoczyła go ta myśl.

Oczywiście byli jakoś na to przygotowani. Pojechaliby z powrotem na zachód i spróbowali przedostać się do Meksyku; potem odlecieliby do domu – tam powitaliby ich z radością towarzysze. Nie oczekiwał, że tak się stanie, jednak żaden człowiek całkowicie nie porzuca nadziei. Bez względu na to, jak cudowny był raj, życie na ziemi było wszystkim, co znał.

To spostrzeżenie również go zaskoczyło. Czyżby wątpił w swoją wiarę? Nie, to nie to.

Niezupełnie. To tylko zbłąkana myśl. „Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest Jego prorokiem”, zaintonował w myśli szahadę – wyznanie wiary muzułmanina. Nie, nie mógł

teraz wyprzeć się wiary. To ona go tu sprowadziła, na miejsce jego męczeństwa. Ona wiodła go przez życie, przez dzieciństwo, przez gniew ojca – do domu niewiernych, którzy pluli na islam i hołubili Izraelczyków. To tu da jej świadectwo własnym życiem. I prawdopodobnie śmiercią. Prawie na pewno, chyba że sam Allah zażyczy sobie inaczej. Albowiem wszystkie ziemskie sprawy pisane są Jego ręką...

Budzik zadzwonił tuż przed szóstą. Brian zapukał do drzwi pokoju brata.

– Wstawaj, agencie federalny. Szkoda dnia.

– Naprawdę? – odezwał się Dominic z drugiego końca korytarza. – Zerwałem się przed tobą, Aldo! – I to pierwszy raz.

– No to do roboty, Enzo – rzucił Brian.

Wyszli na dwór. W godzinę i kwadrans później zasiedli do śniadania.

- W taki dzień chce się żyć – stwierdził Brian, gdy upił pierwszy łyk kawy.
  - W marines wyprali ci mózg, braciszku – odparł Dominic, pijąc swoją.
  - Nie, to tylko endorfiny. Tak właśnie ludzki organizm sam się okłamuje.
  - Wyrośnięcie z tego – stwierdził Alexander. – Gotowi do ćwiczeń w terenie?
  - Tak, sierzancie sztabowy. – Brian się uśmiechnął. – Na lunch załatwimy Michelle.
  - Tylko jeśli potraficie ją wyśledzić tak, by was nie zauważyła.
  - W lesie byłoby łatwiej. Szkolono mnie do tego.
  - Brian, jak myślisz, co tu właściwie robimy? – spytał łagodnie Pete.
  - A, więc o to chodzi?
  - Najpierw kup sobie nowe buty – poradził Dominic.
  - Właśnie. Te to już trupy. – Rzeczywiście, płócienne cholewki odrywały się od gumowych podeszew, które też były zdarte. Beznadzieja. Wiele kilometrów przebiegł w tych butach. Mężczyźni bywają sentymentalni w takich sprawach, co zwykle irytuje ich żony.
  
  - Pójdziemy do centrum handlowego wcześniej. Foot Locker jest zaraz przy punkcie wynajmu wózków – przypomniał bratu Dominic.
  - Tak, wiem. W porządku, Pete, jakieś rady co do Michelle? – zapytał Brian. – Wiesz, zwykle przed misją jest odprawa.
  - Słuszna uwaga, kapitanie. Sugeruję, żebyście rozejrzeli się za nią w Victoria's Secret, po przeciwnej stronie dziedzińca. Jeśli niepostrzeżenie podejście wystarczająco blisko, wygraliście. Jeśli zawoła was po imieniu, kiedy będziecie w odległości większej niż trzy metry, przegrywacie.
  - To nie do końca fair – zauważył Dominic. – Ona wie, jak wyglądamy. Zna nasz wzrost, sylwetkę. Prawdziwy przeciwnik raczej nie ma takich informacji. Można udać wyższego, ale nie niższego.
  - I wiesz co? Moje kostki nie znoszą wysokich obcasów – dodał Brian.
  - Niestety nie masz zgrabnych nóg, Aldo – uszczypliwie zauważył Alexander. – A kto wam powiedział, że to łatwa robota?
- Tyle że wciąż nie wiemy, co to, do cholery, za robota, tego Brian jednak nie powiedział.
- W porządku. Improvizujemy, dostosowujemy się i wygrywamy.

– A ty co? Brudnego Harry’ego strugasz? – mruknął Dominic, kończąc hamburgera.

– To ulubiony cywil marines, braciszku. Pewnie byłby z niego niezły sierżant broni.

– Zwłaszcza ze smithem kaliber 44.

– Trochę hałaśliwy jak na broń podręczną. I nie za dobrze leży w dłoni. Z wyjątkiem może automaga. Strzelałeś kiedyś z takiego?

– Nie, ale miałem taki w ręce, w magazynie z bronią w Quantico. Ciężkie cholerstwo, ale założę się, że robi ładne dziurki.

– No tak, jednak żeby go ukryć, trzeba być Hulkiem Hoganem.

– Słyszałem, Aldo.

Prawdę mówiąc, w saszetkach do paska, których używali, nie można było ukryć pistoletu, ale łatwiej go było nosić. Każdy gliniarz od razu wiedział, co to jest – cywil niekoniecznie.

Bracia mieli w nich załadowane pistolety i po zapasowym magazynku. Pete chciał, by je ze sobą wzięli, miało to niby utrudnić śledzenie Michelle Peters. Czegóż innego spodziewać się po oficerze szkoleniowym?

Tego samego dnia, osiem kilometrów dalej, w Holiday Inn Express, cała czwórka rozwinęła swoje dywaniki modlitewne i zmówiła poranną *salat* – po raz ostatni. Trwało to tylko kilka minut. Potem wszyscy umyli się, by oczyścić się przed wykonaniem zadania.

Zuhajr nawet przystrzygł sobie świeżą brodę, starannie przycinając część, którą chciał zachować na wieczność. Usatysfakcjonowany, ubrał się.

Dopiero kiedy byli już gotowi, zdali sobie sprawę, że zostało im jeszcze kilka godzin.

Abdullah poszedł do Dunkin’ Donuts po śniadanie i kawę. Tym razem kupił nawet gazetę, którą przeczytali, pijąc kawę i paląc papierosy.

Wrogom mogli wydawać się fanatykami, jednak wciąż byli ludźmi. Czuli przykre napięcie, które rosło z każdą chwilą. A kofeina dodatkowo ich pobudzała. Drżały im ręce, a zwężone oczy wpatrywały się w telewizor, gdzie nadawano wiadomości. Co kilka sekund spoglądali na zegarki, chcieli, żeby wskazówki przesuwały się szybciej. I pili coraz więcej kawy.

– Teraz i my się ekscytujemy? spytał Jack Tony’ego. – Czego tu nie dostrzegam, stary? – spytał, wskazując swój komputer.

Wills odchylił się na krześle.

– Splotły się różne rzeczy. Może faktycznie coś w tym jest. A może to po prostu zbieg okoliczności. Albo tylko wymysł zawodowych analityków. Wiesz, jak poznać, czy to prawda?

– Zaczekać tydzień i sprawdzić, czy coś się wydarzyło?

Tony Wills roześmiał się.

– Junior, szybko się uczysz szpiegowskiego rzemiosła. Jezu, słyszałem tu więcej nietrafionych przepowiedni niż na wyścigach konnych. Widzisz, dopóki czegoś nie wiesz, to po prostu nie wiesz, ale ludzie w naszej branży nie lubią przyznawać się do niewiedzy.

– Pamiętam, że kiedy byłem dzieckiem, tata był czasem nieźle wkurzony...

– Był w CIA w czasie zimnej wojny. Wtedy grube ryby ciągle domagały się przepowiedni, ale czy realnie można było coś przewidzieć? Twój ojciec zazwyczaj mówił:

„Poczekajcie trochę i sami się przekonacie”, a to ich naprawdę wkurzało. I wiesz co?

Przeważnie miał rację, a kiedy on czuwał, nie wydarzyły się żadne katastrofy.

– Czyja kiedyś będę tak dobry?

– Duże oczekiwania jak na dzieciaka, ale nigdy nic nie wiadomo. Masz szczęście, że jesteś tutaj. Senator przynajmniej rozumie słowa „nie wiem”. Jego ludzie są rzetelni i nie mają się za bogów.

– No tak, pamiętam to z Białego Domu. Zadziwiające, jak wielu waszyngtończyków ma o sobie wielkie mniemanie.

Prowadził Dominic. Do miasta było jakieś pięć kilometrów z górki.

– Victoria’s Secret? A co się stanie, jeśli uda nam się upolować ją już przy kupowaniu bielizny? – zastanowił się Brian.

– Możemy sobie pomarzyć – odparł Dominic, skręcając w lewo, w Rio Road. – Jesteśmy przed czasem. Idziemy najpierw po buty?

– Dobry pomysł. Zaparkuj przed Belk.

– Tak jest, kapitanie.

– Już czas? – spytał Rafi. Trzeci raz w ciągu ostatnich trzydziestu minut.

Mustafa spojrzął na zegarek. 11.48. Wystarczy. Skinął głową.

– Przyjaciele, zbieramy się.

Nie załadowali broni, tylko włożyli ją do reklamówek. Po złożeniu Ingramy były za duże i rzucały się w oczy. Do każdego mieli dwanaście pełnych magazynków, każdy z trzydziestoma nabojami, sklejone taśmą po dwa. Wszystkie Ingramy wyposażono w tłumiki nakręcane na lufę. Chodziło raczej nie o wytłumienie, ale o lepszą kontrolę broni. Mustafa pamiętał, co powiedział mu Juan w Nowym Meksyku. Ta broń podskakuje i schodzi z celu.

Ale omówił to z przyjaciółmi. Wszyscy wiedzieli, jak mają strzelać. Wypróbowali też broń, gdy ją dostali, wiedzieli więc, czego się spodziewać. Zresztą misję wykonają w miejscu, które amerykańscy żołnierze określiliby „bogatym w cele”.

Zuhajr i Abdullah przynieśli pozostałe rzeczy i włożyli do bagażnika wynajętego forda.

Po chwili zastanowienia Mustafa zdecydował, że włożą tam też broń. Wszyscy czterej, każdy z reklamówką, podeszli do samochodu i postawili torby w bagażniku.

Mustafa usiadł za kierownicą, bezwiednie chowając do kieszeni klucz od pokoju. Nie będą długo jechać. Cel już było widać.

Wjechał na parking od północnego zachodu, obok sklepu odzieżowego. Mógł tu zaparkować blisko wejścia. Zgasił silnik i zmówił ostatnią tego ranka modlitwę. Pozostali trzej też się pomodlili. Potem wysiedli i przeszli na tył samochodu. Mustafa otworzył

bagażnik. Stali niecałe pięćdziesiąt metrów od drzwi. Nie było sensu się kryć, ale Mustafa pamiętał o biurze ochrony. Aby opóźnić reakcję policji, trzeba zacząć tam. Poleciał więc im trzymać broń w reklamówkach.

Weszli do środka.

Był piątek. Nie tak tłoczno jak w sobotę, ale jednak. Minęli salon optyczny – duży ruch.

Większość z tych ludzi pewnie ujdzie z życiem. Szkoda, ale przed nimi główna część centrum handlowego.

Brian i Dominic byli w obuwniczym, ale Brian nie mógł znaleźć niczego dla siebie. W



sąsiednim sklepie były tylko rzeczy dziecięce, więc bliźniacy poszli dalej i skręcili w prawo.

Na pewno znajdą coś w American Eagle Outfitters, może skórzane buty z wysokimi cholewami – dobrze chronią kostki.

Mustafa skręcił w lewo. Idąc na dziedziniec, minął sklep z zabawkami i kilka odzieżowych. Szybko lustrował otoczenie. W zasięgu wzroku jakaś setka ludzi. Jeśli sądzić po zabawkowym, sklepy będą pełne. Minął stoisko z okularami przeciwsłonecznymi i skręcił

w prawo, do biura ochrony. Znajdowało się kilka kroków od toalet. Doskonale. Cała czwórka weszła do męskiej.

Zwrócili na siebie uwagę – czterech egzotycznie wyglądających mężczyzn to przeważnie coś niezwykle, ale amerykańskie centrum handlowe to ludzkie zoo. Tu raczej nic nie wydaje się niezwykle, a co dopiero niebezpieczne.

Wyjęli broń z reklamówek i skręcili ją. Odciągnęli rygle. Włożyli magazynki. Pięć zapasowych par do kieszeni spodni. Dwóch nakręciło na lufy długie tłumiki. Mustafa i Rafi nie, bo chcieli słyszeć strzały.

– Gotowi? – spytał przywódca.

Skinęli głowami.

– Razem będziemy ucztować w rajku. Na miejsca. Kiedy wystrzelę, możecie zaczynać.

Brian przymierzał skórzane buty z niskimi cholewami. Nie do końca takie, jakie nosił w marines, ale wygodne, jakby szyte na miarę.

– Niezłe.

– Zapakować? – spytała ekspedientka.

– Nie, od razu je włożę – zdecydował po chwili namysłu i podał jej swoje nędzne tenisówki.

Mustafa spojrział na zegarek – dwie minuty wystarczą jego przyjaciołom, by dotrzeć na miejsce.

Rafi, Zuhajr i Abdullah weszli do głównego holu. Broń trzymali nisko. Niesamowicie, nie zwracali uwagi kupujących, zajętych własnymi sprawami. Kiedy duża wskazówka doszła do dwunastki,

Mustafa wziął głęboki oddech, wyszedł z toalety i skręcił w prawo.

Ochroniarz siedział za sięgającym piersi kontuarem i czytał gazetę. Nagle ujrzał cień padający na blat. Podniósł wzrok i zobaczył mężczyznę o oliwkowej karnacji.

– W czym mogę panu pomóc? – spytał uprzejmie.

Nie zdążył już zareagować.

– *Allah Akbar!* – krzyknął Mustafa i złożył się do strzału.

Przytrzymał spust zaledwie przez sekundę... pierś mężczyzny przebiło dziewięć pocisków. Odrzuciło go w tył... i martwy osunął się na podłogę.

– Co to, do diabła, było? – spytał Brian brata, gdy wszystkie głowy odwróciły się w lewo.

Rafi był ledwie kilka metrów od nich, kiedy usłyszał huk. Ugiął kolana i uniósł ingrama.

Odwrócił się w prawo, w kierunku sklepu z bielizną Victoria's Secret. Musiały tam kupować tylko niemoralne kobiety, bo jak można choćby patrzeć na te stroje dla dziwek? Może niektóre z nich będą mi służyć w raję, pomyślał. Wycelował i nacisnął spust.

Dźwięk był ogłuszający, kaskada eksplozji. Od razu trafił trzy kobiety, które upadły na ziemię. Pozostałe zamarły z oczami rozszerzonymi ze zdziwienia.

A Rafi? Osłupiał. Ponad połowa pocisków w nikogo nie trafiła. Źle wyważona broń podskakiwała mu w rękach, prując pociskami sufit. Rygiel stuknął pusto. Rafi, zaskoczony, spojrzął na broń, wyjął pierwszy magazynek. Włożył drugi i rozejrzał się – do kogo strzelać?

Ludzie uciekali. Przyłożył ingrama do ramienia...

– Kurwa! – zaklął Brian. – Co się tu, do cholery, dzieje?

– A żebyś, kurwa, wiedział, Aldo. – Dominic przesunął saszetkę na brzuch i otworzył.

Sekundę później trzymał w dłoni swego smitha. – Osłaniaj mnie! – rozkazał.

Strzelec z pistoletem maszynowym stał zaledwie kilka metrów od nich, po drugiej stronie kiosku z biżuterią, zwrócony w przeciwnym kierunku. Ale to nie western, tu nie trzeba stać twarzą w twarz.

Dominic opadł na jedno kolano, uniósł oburącz automat i strzelił – dwie dziesięciomilimetrowe dziury w plecach mężczyzny i jedna z tyłu głowy, pośrodku.

Zamachowiec runął na ziemię. Sądząc po eksplozji czerwieni po trzecim strzale, już wiele krzywdy nie wyrządzi. Dominic przyskoczył do sztywnego ciała i kopniakiem odrzucił broń.

Ingram! Zauważył dodatkowe magazynki w kieszeniach trupa.

– Oż kurwa! – zdążył tylko zakląć, kiedy z lewej strony usłyszał terkot kolejnych wystrzałów.

– Jest ich więcej, Enzo! – krzyknął Brian, stając obok niego z berettą w dłoni. – Tego mamy z głowy. Co teraz?

– Za mną. Osłaniaj mi tyłek!

Mustafa wtargnął do sklepiku z tanią biżuterią. Sześć kobiet, przed i za kontuarem. Oparł broń na biodrze i wystrzelił, opróżniając cały magazynek. Och! Co za wspaniały widok – padały jedna po drugiej. Wyjął pusty magazynek, przeładował i odciągnął rygiel.

Bliźniacy zebrali się w sobie i ruszyli – nie za szybko i nie za wolno. Dominic przodem, Brian dwa kroki za nim. Skąd dobiegają strzały? Brianowi przypomniało się całe szkolenie.

„Kryj się, jeżeli możesz. Odszukaj wroga i zetrzyj się z nim”.

Nagle ujrzeli mężczyznę z pistoletem maszynowym. Strzelał w kierunku innego sklepu z biżuterią. Krzyki i wystrzały. Ludzie biegli na oślep do wyjść, nie rozglądali się, więc nie wiedzieli, skąd grozi niebezpieczeństwo. Wielu leżało już na ziemi, głównie kobiety. Dzieci też.

Jakimś cudem bracia ocaleli. Widzieli, że są ofiary. Ale górę wzięły wyuczone nawyki.

Pierwszym celem w zasięgu wzroku był ten zbir prujący seriami w sklep jubilerski.

– Lecę na prawo! – krzyknął Brian i pomknął przed siebie z pochyloną głową, wciąż jednak mając na oku cel.

Brian niemal przypłacił to życiem. Zuhajr stał przy butiku Claire. Odwrócił się; opróżnił

już magazynek, ale o tym nie wiedział. Zawahał się – gdzie teraz? Popatrzył w lewo i zauważył

mężczyznę z pistoletem w dłoni. Starannie ułożył broń na ramieniu i nacisnął

spust...

...wystrzelił dwa razy – i nic. Wyczerpał pierwszy magazynek. Minęły dwie, trzy sekundy, zanim zdał sobie z tego sprawę. Wreszcie przeładował, spojrzął przed siebie...

...ale mężczyzny już nie było. Gdzie się podział? Zuhajr zawrócił i pomaszerował do sklepu z odzieżą damską.

Brian przykucnął przy wystawie z okularami przeciwsłonecznymi i spojrzął w prawo.

Jest, idzie tu! Wyciągnął dłoń z berettą i strzelił w głowę...

...ale o włos chybił, bo tamten się schylił.

– Kurwa! – Brian skoczył, trzymając pistolet w obu dłoniach i wystrzelił cztery kule, mierząc dokładnie w cel. Wszystkie weszły w tułów, tuż poniżej ramion.

Mustafa usłyszał hałas, ale nie poczuł uderzenia. Adrenalina. Ciało po prostu nie czuło bólu. A co to? Kaszle krwią?! Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy chciał się odwrócić, a ciało nie usłuchało. Osłupiał, lecz nie trwało to długo, bo...

...Dominic mierzył do niego z pistoletu. Tak jak go szkolono, strzelił w środek ciężkości.

Dwukrotnie. Wycelował tak dobrze, że pierwszy strzał trafił w broń przeciwnika, która...

...podskoczyła Mustafie w rękach. Ledwo ją utrzymał. Kiedy zobaczył przeciwnika, starannie wymierzył, nacisnął spust... i nic. Spojrzął w dół i zobaczył w Ingramie dziurę po kuli zamiast rygła. Trochę to trwało, zanim zrozumiał, że został rozbrojony. Ale wciąż miał

przed sobą wroga. Rzucił się na niego – może chociaż użyje pistoletu jak pałki.

Dominic patrzył na to zdumiony. Widział, jak jedna kula przeszła klatkę piersiową, a druga zniszczyła broń. Przestał strzelać. Ale dlaczego? Walnął skurwiela w twarz swoim smithem i ruszył do przodu, skąd wciąż dochodził huk wystrzałów.

Mustafa poczuł, jak miękną mu nogi. Cios w twarz zabolął bardziej niż kule. Próbował się znów odwrócić, jednak lewa noga nie wytrzymała ciężaru ciała. Upadł, obracając się na plecy. Oddychał z trudem. Spróbował usiąść lub chociaż się przetoczyć, lecz lewa strona ciała była bezwładna jak nogi.

– Dwóch załatwiliśmy. Co teraz? – spytał Brian.

Krzyki trochę przycichły. Wciąż słyhać było wystrzały, tylko jakoś inaczej...

Abdullah błogosławił chwilę, w której założył tłumik. Strzelał celniej, niż mógłby się spodziewać.

Był w sklepie muzycznym. Pełno studentów. Blisko do zachodniego wyjścia z galerii, ale żadnych innych drzwi. Abdullah wkroczył do sklepu z szerokim uśmiechem na twarzy, strzelając z marszu. Zobaczył twarze pełne niedowierzania w to, co się dzieje, i przez głowę przemknęła mu zabawna myśl, że przecież właśnie za brak wiary zabija tych ludzi. Szybko opróżnił pierwszy magazynek. Rzeczywiście dzięki tłumikowi połowa strzałów była celna.

Mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczęta krzyczeli; najpierw stali bez ruchu i gapili się na niego przez kilka cennych i tragicznych sekund, a potem rzucili się do ucieczki. A przecież tak łatwo trafić w plecy z każdej odległości mniejszej niż dziesięć metrów. Zresztą nie mieli dokąd uciec. Więc tak po prostu zasypywał sklep gradem kul. Cele same się nawijały.

Niektórzy przebiegali po drugiej stronie stojaków z płytami CD. Próbowali uciec głównymi drzwiami. Tych zabijał, gdy go omijali, z odległości mniejszej niż dwa metry. W ciągu paru sekund opróżnił dwa magazynki. Wyrzucił je i wyjął kolejne dwa z kieszeni spodni; wcisnął na miejsce i odsunął rygiel. I wtedy w lustrze z tyłu sklepu zauważył...

– Jezu, jeszcze jeden! – krzyknął Dominic.

– No! – Brian pomknął na drugą stronę wejścia i zajął pozycję przy ścianie, z uniesioną berettą.

Zablokował terrorystę, ale był praworęczny – w tej sytuacji niestety. Musiał wybierać: strzelać ze słabszej ręki – a nie przeciwiczył tego wystarczająco – lub wystawić się na ogień.

Głos wewnętrzny podpowiada: pieprz to. Zrobił krok w prawo, mierzył oburącz z pistoletu.

Abdullah uśmiechnął się i uniósł broń do ramienia – a przynajmniej próbował.

Brian oddał dwa strzały w klatkę piersiową. Nie widząc efektu, opróżnił cały magazynek.

Ponad dwanaście kul utkwilo w ciele terrorysty...

...Abdullah poczuł je wszystkie, każdy pocisk targał jego ciałem. Próbował strzelić, chybił, już sobą nie władał. Próbując odzyskać równowagę, runął do przodu.

Brian wyrzucił pusty magazynek i wyjął następny. Załadował i przestawił broń na tryb półautomatyczny. Skurwiel dalej się rusza! No nie! Podszedł do leżącego na brzuchu ciała, kopniakiem odrzucił broń i strzelił prosto w tył głowy. Z rozerwanej czaszki wypłynęły krew i mózg.

– Jezu, Aldo! – przeraził się Dominic, podchodząc do brata.

– Pieprzyć to! Jest jeszcze co najmniej jeden skurwiel. Został mi tylko jeden magazynek, Enzo.

– Mnie też, braciszku.

Niesamowite, ale większość ludzi na podłodze, wśród nich postrzeleni, wciąż żyła. Krew wyglądała jak kałuże deszczu po burzy. Bracia byli jednak zbyt nakręceni, żeby mdliło ich na ten widok. Wrócili na korytarz i poszli na wschód.

I tam masakra. Podłogę znaczyły jeziora krwi. Zewsząd dobiegały krzyki i jęki. Brian minął dziewczynką, może trzyletnią, stojącą nad ciałem matki. Wymachiwała ramionami jak mały ptaszek. Nie ma czasu. Cholera, nie ma czasu, żeby coś z tym zrobić. Ach, żeby był przy nim Pete Randall. Super-marine. Ale ten burdel przerósłby nawet podoficera Randalla.

Wciąż słyhać było strzały z wytłumionego pistoletu maszynowego. Dobiegały ze sklepu z odzieżą damską Belk po lewej. To niedaleko. Łatwo poznać odgłos strzałów z broni automatycznej. Jest bardzo charakterystyczny. Bracia rozdzielili się i ruszyli po przeciwnych stronach korytarza, obok kawiarni i sklepu obuwniczego, w kierunku następnego placu boju.

Na pierwszym piętrze Belk, przy wejściu, była perfumeria i dział makijażu. Jak poprzednio, biegli za odgłosem strzelaniny. Sześć kobiet leżało w perfumerii, trzy kolejne – w dziale makijażu. Jedne nie żyły, inne wzywały pomocy, ale nie było na to czasu. Bliźniacy znów się rozdzielili. Hałas umilkł. Jeszcze przed chwilą słyszeli go z lewej. Czy terrorysta uciekł, czy tylko skończyła mu się amunicja?

Na podłodze pełno było pustych dziewięćmilimetrowych magazynków. Nieźle się tu zabawił, pomyślał Dominic. Lustra na kolumnach podtrzymujących strop były niemal całkowicie strzaskane. Jego wyćwiczone oko oceniło, że terrorysta wszedł od frontu, zmiótł

ogniem tych, których od razu zauważył – same kobiety – a potem zawrócił i poszedł w lewo – pewnie tam, gdzie było więcej potencjalnych celów. Coś mi się zdaje, że ten facet jest ostatni, pomyślał Brian.

No dobra, ciekawe, co to za typek? – zastanawiał się Dominic. Jak zareaguje? Co kombinuje?

Dla Briana było to prostsze: Gdzie jesteś, skurwysynu? Dla marine był to uzbrojony wróg, nic więcej. Nie osoba, nie istota ludzka, nawet nie rozumna – tylko cel z bronią w ręku.

Zuhajr zauważył, że nagle opada z niego podniecenie. Jeszcze nigdy nie był tak podekscytowany. Miał w życiu tylko kilka kobiet, tylko kilka posuwał, a dziś na pewno zabił ich więcej. Ale czuł się tak samo.

Co za satysfakcja. Wcześniej nie docierały do niego odgłosy strzelaniny. Ledwie słyszał

własne strzały, taki był skupiony na tym, co robi. A zrobił niemało. Ten wyraz twarzy, gdy ujrzały go z pistoletem maszynowym w ręce... i kiedy pociski sięgnęły celu... ależ przyjemny widok! Cóż, zostały mu tylko dwa ostatnie magazynki. Jeden w pistolecie, drugi w kieszeni.

Dziwne, jak nagle zrobiło się cicho. W zasięgu wzroku nie było żywych kobiet. A dokładniej kobiet, które nie byłyby ranne. Krzyczały, próbowały się odczołgać...

Zuhajr wiedział, że nie może na to pozwolić. Podeszedł do jednej z nich, ciemnowłosej kobiety w czerwonych spodniach – jak dziwka.

Brian gwizdnął i pokazał bratu cel. Niewysoki, szczupły, spodnie khaki i wojskowa koszula. Stał jakieś pięćdziesiąt metrów od nich. Bułka z masłem przy strzale z karabinu, ale nie z beretty.

Dominic kiwnął głową i ruszył w tym kierunku, rozglądając się na wszystkie strony.

– Oj, niedobrze, kobieto – oznajmił Zuhajr po angielsku. – Ale nie bój się, pošlę cię do Allaha. Będiesz mi służyć w raju. – Spróbował wystrzelić pojedynczą kulę w jej plecy. Ale z Ingramem nie tak łatwo. Zamiast jednego, wystrzelił trzy pociski z odległości metra.

Brian widział to i coś w nim pękło. Wyprostował się i wycelował, trzymając broń oburącz.

– Hej, skurwysynu! – wrzasnął i zaczął strzelać tak szybko, jak tylko mógł. Z odległości jakichś trzydziestu metrów. Oddał czternaście strzałów, niemal opróżniając magazynek.

Właściwie na oślep. O dziwo, niektóre trafiły w cel.

Dokładnie trzy. Prosto w żołądek i w środek klatki piersiowej.

Pierwszy szczególnie zabolął. Zuhajr poczuł uderzenie, jakby ktoś kopnął go w jądra.

Próbował zasłonić się rękami. Wciąż trzymał w nich broń. Walcząc z bólem, chciał ją unieść, widział, jak przeciwnik się zbliża.

Nauka nie może pójść za marne. Jeśli chce przeżyć, musi sobie przypomnieć lekcje z Quantico – i z Afganistanu. Brian ruszył więc do przodu, kryjąc się za stolikami, na których wystawiono towary. Nie spuszczał wzroku z celu. Nie rozglądał się, zaufał Enzo. Lecz sam też zachowa czujność. Terrorysta był właściwie bezbronny. Patrzył na marine. Na jego twarzy Brian widział strach i... uśmiech? Co jest, do cholery?

Szedł prosto na tego skurwiela.

Zuhajr przestał zmagać się z bronią, która naraz stała się nadzwyczaj ciężka, i wyprostował się, by spojrzeć w oczy swemu zabójcy.

– *Allah Akbar* – szepnął.

– Właśnie – odparł Brian i strzelił mu prosto w czoło. – Mam nadzieję, że spodoba ci się w piekle. – Schylił się po ingrama i zarzucił go na plecy.

– Rozładuj i zostaw, Aldo – rozkazał Dominic.

Brian usłuchał.

– Jezu, ktoś zadzwonił po pogotowie.

– Dobra, chodź za mną na górę – polecił Dominic.

– Dlaczego?



– Może jest ich więcej niż czterech?

Brian o nic więcej nie pytał.

– Dobra, osłaniam.

O dziwo ruchome schody wciąż działały. Wjechali nimi na górę, skuleni, rozglądając się dokoła. Wszędzie były kobiety, przynajmniej tak wyglądało z wysokości schodów...

– FBI! – krzyknął Dominic. – Wszyscy cali?

– Tak! – dobiegły go głosy z pierwszego piętra.

– Wszystko pod kontrolą. Zaraz tu będzie policja. Na razie zostańcie na swoich miejscach. – Był przecież profesjonalistą.

Bliźniacy przeszli od schodów jeżdżących w górę do prowadzących w dół. I już wiedzieli, że terroryści tu nie dotarli.

Jazda w dół była przerażająca. Szlak krwi wiódł od perfumerii do stoiska z galanterią.

Kobiety, które były „tylko” ranne, wzywały pomocy. Bracia niestety znów mieli ważniejsze sprawy na głowie. Dominic poprowadził Briana na główny dziedziniec. Spojrzał w lewo: co z tym pierwszym, do którego strzelił? Martwy. Ostatni pocisk przeszedł przez prawe oko.

Zastanowił się i stwierdził, że został jeszcze jeden – jeśli wciąż żyje.

Mustafa żył, mimo że odniósł tyle ran. Próbował się poruszyć, lecz mięśnie, którym brakowało krwi i tlenu, nie słuchały rozkazów z centralnego systemu nerwowego. Popatrzył

do góry, jakby we śnie...

– Jak się nazywasz? – spytał Dominic.

Właściwie nie spodziewał się odpowiedzi. Mężczyzna najwyraźniej konał, i to wcale nie powoli. Agent FBI odwrócił się do brata – lecz go nie zobaczył.

– Hej, Aldo! – zawołał.

Cisza.

Brian w tym czasie zajrzał do sklepu z artykułami sportowymi. Znalazł to, czego szukał, i wrócił na korytarz. Dominic rozmawiał z zamachowcem, a właściwie tylko on mówił.

– Słuchaj no, szmaciarzu – odezwał się Brian i przykląkł w kałuży krwi przy umierającym terroryście. – Mam tu coś dla ciebie.

Mustafa spojrzał na niego zaskoczony. Wiedział, że śmierć nadchodzi, i choć nie czekał na nią z wytęsknieniem, to rad był, że spełnił swój obowiązek wobec wiary i Allaha.

Brian chwycił go za ręce i skrzyżował mu je na piersi.

– Masz to zabrać ze sobą do piekła. To futbolówka, ty dupku, z prawdziwej świńskiej skóry. – Brian wcisnął ją skurwielowi w dłonie, patrząc mu prosto w oczy.

W oczy, które rozszerzyły się ze zdumienia i przerażenia. Chciał zabrać ręce, lecz dłonie niewiernego udaremniły jego wysiłki.

– Tak, właśnie tak. Jam jest Iblis, a ty idziesz ze mną. – Brian uśmiechał się, aż w oczach życie Araba zgasło.

– A ty co? – odezwał się Dominic.

– Oszczędź sobie – uciął Brian. – Idziemy.

Poszli tam, gdzie wszystko się zaczęło. Na podłodze leżały kobiety. Wiele się ruszało.

Wszystkie krwawiły, niektóre poważnie.

– Znajdź aptekę. Potrzebuję bandaży. I upewnij się, że wezwano karetkę – polecił Brian.

– Robi się – rzekł Dominic i już go nie było.

Brian przykląkł przy kobiecie około trzydziestki, postrzelonej w klatkę piersiową. Jak większość marines, a w szczególności oficerowie, znał podstawowe zasady pierwszej pomocy. Najpierw sprawdził, że oddycha. Krwawiła z dwóch ran postrzałowych. W górnej lewej części klatki piersiowej. Na ustach – trochę różowej piany. Postrzał w płuco, na szczęście niezbyt poważny.

– Słyszysz mnie pani?

Potakujący ruch głową i szept:

– Tak.

– W porządku, wyjdzie pani z tego. Wiem, że boli, ale wszystko będzie dobrze.

– Kim pan jest?

– Brian Caruso. Z marines. Wszystko będzie w porządku. Teraz muszę pomóc innym.

– Nie, nie... ja... – chwyciła go za ramię.

– Proszę pani, są tu ciężiej ranni. Pani naprawdę z tego wyjdzie. – I uwolnił się z jej uścisku.

Z kolejnym rannym było kiepsko. Chłopczyk, może pięcioletni, trzy rany pleców.

Krwawił jak zarzynane prosię. Brian odwrócił go na plecy. Malec miał otwarte oczy.

– Jak masz na imię, smyku?

– David – odparł zaskakująco wyraźnie.

– Dobra, Davidzie, poskładamy cię. Gdzie twoja mama?

– Nie wiem. – Jak każde dziecko bał się o matkę bardziej niż o siebie. – W porządku, zaopiekuję się nią, ale najpierw zajmę się tobą, dobrze? – Podniósł wzrok i zobaczył brata.

– Nie ma żadnej apteki! – wykrzyczał Dominic w biegu.

– Znajdź mi coś, T-shirty... cokolwiek!

Dominic pognał do sklepu, w którym Brian kupił buty. Wrócił kilka sekund później – przyniósł kilka podkoszulków z firmowymi logo.

I wtedy pojawił się pierwszy gliniarz – mierzył z pistoletu.

– Policja! – wrzasnął.

– Tutaj, do cholery! – ryknął na niego Brian. Nie minęło dziewięć sekund, a policjant był

przy nim. – Schowaj ten pistolet, kolego. Złych już załatwiliśmy – powiedział Brian spokojniejszym głosem. – Potrzebujemy każdej cholernej karetki, jaką macie w tym mieście.

Uprzedźcie szpital, że będą mieli ofiar na pęczki. Masz w samochodzie zestaw pierwszej pomocy?

– Kim jesteś? – Gliniarz nie schował broni.

– FBI – odpowiedział Dominic zza jego pleców, wyciągając legitymację w lewej ręce. –

Już po strzelaninie, ale mamy mnóstwo ofiar. Masz radio. Wezwij wszystkich. Zadzwoń do miejscowego biura FBI i do innych służb. I to już!

Jak większość amerykańskich gliniarzy oficer Steve Barlow miał przenośną radiostację motoroli z mikrofonem i głośnikiem przymocowanym do epoletu. Natychmiast wezwał

wsparcie i pomoc medyczną.

Brian patrzył z troską na chłopczyka, którego trzymał w ramionach. W tej chwili David Prentiss był dla niego całym światem. Niestety, mnóstwo obrażeń wewnętrznych. I ta poraniona klatka piersiowa. Niedobrze.

– OK, David, spokojnie. Bardzo cię boli?

– Bardzo – odparł chłopczyk, łapiąc oddech. Twarz mu pobladła.

Brian położył go na kontuarze stoiska z biżuterią. Może tu znajdzie coś, co mu się przyda? Znalazł tylko waciki. Wepchnął je w otwory w plecach chłopca i znów go odwrócił.

Ale chłopczyk miał krwotok wewnętrzny. Tak wielki, że w końcu płuca przestaną pracować, zaśnie i umrze z braku tlenu w kilka minut. Brian nic nie mógł na to poradzić.

– Chryste!

Kto by się spodziewał! To Michelle Peters. Trzymała za rączkę dziesięcioletnią, przerażoną dziewczynkę.

– Michelle, jeśli wiesz coś o pierwszej pomocy, to zbieraj się i do roboty – rozkazał

Brian.

Ale ona tylko wzięła garść wacików i odeszła.

– David, wiesz, kim jestem? – spytał Brian.

– Nie – odparł chłopczyk. W jego głosie słyhać było ból i... ciekawość.

– Jestem marine. Wiesz, kto to taki?

– To taki żołnierz?

Brian widział, że chłopiec kona mu w ramionach. Boże, proszę, nie on, nie ten chłopiec.

– Nie, jesteśmy o wiele lepsi niż zwykli żołnierze. Dla mężczyzny nie ma nic lepszego już zostać marine. Może kiedyś, jak dorośniesz, też będziesz marine, jak ja. Jak myślisz?

– I będę strzelał do złych facetów?

– No jasne, Dave – zapewnił go Brian.

– Fajnie – szepnął David i zamknął oczy.

– David? Zostań ze mną, David. No dalej, Dave, otwórz oczy. Musimy jeszcze pogadać.

– Delikatnie położył ciało chłopca na kontuarze i sprawdził puls na tętnicy szyjnej.

Nie było go.

– Oż, kurwa. Kurwa, kurwa – jęczał Brian. Razem ze słowami uszła z niego cała adrenalina. Kompletnie opadł z sił, psychicznie i fizycznie.

Wbiegli pierwsi strażacy – w płaszczach khaki, z zestawami pierwszej pomocy. Dowódca zaczął kierować ludźmi. Dwóch podeszło do Briana. Jeden z nich uniósł ciało chłopca, popatrzył na nie, położył na podłodze i odszedł bez słowa. Brian w koszuli zaplamionej krwią pochylił się nad martwym chłopcem.

Enzo stał w pobliżu i patrzył, jak profesjonaliści – mimo że z ochotniczej straży pożarnej

– przejmują wszędzie kontrolę.

Bliźniacy wyszli przez najbliższe drzwi w czyste południowe powietrze. Całe starcie trwało mniej niż dziesięć minut.

Jak podczas działań wojennych. Życie – nie, wiele żywotów – skończyło się przedwcześnie w mgnieniu oka, pomyślał smutno Brian. Pistolet miał u pasa. Pusty magazynek został w którymś ze sklepów. Czuł się jak Dorotka wessana przez tornado w Kansas. Ale on nie był przecież w Krainie Oz. Nadal był w środkowej Wirginii. Tylu tu martwych i rannych.

– Ludzie, kim wy jesteście? – spytał kapitan policji.

Dominic pokazał mu legitymację FBI. Na razie wystarczyło.

– Co się stało?

– Wyglądali na terrorystów. Było ich czterech. Weszli i zaczęli strzelać. Wszyscy nie żyją. Dorwaliśmy ich, wszystkich czterech – wyjaśnił Dominic.

– Jesteś ranny? – zapytał kapitan Briana, widząc krew na jego koszuli.

Aldo potrząsnął głową.

– Nawet niedraśnięty. Kapitanie, zajmijcie się rannymi cywilami.

– A wy co tu robiliście, chłopaki?

– Kupowaliśmy buty – odpowiedział gorzko Brian.

– Bez jaj... – kapitan policji spojrział na wejście do galerii. Nie śpieszył się, jakby bał się wejść. Bał się tego, co ujrzy w środku. – Co proponujecie?

– Zablokujcie teren – rzucił Dominic. – Sprawdźcie każdą tablicę rejestracyjną.

Sprawdźcie, czy martwi terroryści nie mają dokumentów. Znasz procedurę, tak? Kto jest tu agentem dyżurnym?

– Mamy tu tylko rezydenta. Najbliższy oddział jest w Richmond. Już tam dzwoniłem.

Agent dyżurny nazywa się Mills.

– Jimmy Mills? Znam go. Cóż, Biuro musi tu przysłać dużo ludzi. Najlepsze, co możecie zrobić, to zabezpieczyć miejsce przestępstwa i czekać w pogotowiu... no i zabrać stąd rannych. Niezły burdel, kapitanie.

– Ummm. Dobra, jeszcze tu wrócę.

Dominic poczekał, aż policjant wejdzie do środka, szturchnął brata i razem ruszyli do mercedesa. Policjanci z radiowozu stojącego przy wjeździe na parking – dwóch mundurowych, jeden uzbrojony – na widok legitymacji FBI machnęli ręką, żeby jechać. W

dziesięć minut później bracia byli już w domu.

– Co się dzieje? – spytał Alexander, kiedy weszli do kuchni. – W radio powiedzieli...

– Pete, pamiętasz moje wątpliwości? – Tak, ale co...

– Zapomnij o nich, Pete. Raz na zawsze – oznajmił Brian.

## **Rozdział 14**

# RAJ

Ekipy telewizyjne zleciały się do Charlottesville jak sępy do trupa. Tym razem sprawy się skomplikowały.

Następne wiadomości nadeszły z centrum handlowego Citadel Mall w Colorado Springs w stanie Kolorado, potem z Provo w Utah i w końcu z Des Moines w Iowa. To już była sensacja. W Kolorado zginęło sześciu kadetów z Akademii Lotnictwa – kilku innych uratowali ich koledzy – i dwudziestu sześciu cywilów.

Wieści z Colorado Springs szybko dotarły do Provo. Tamtejszy szeryf zareagował

natychmiast. Wysłał radiowozy z uzbrojonymi policjantami do wszystkich centrów handlowych w mieście. W Provo Towne Center jego zaangażowanie zostało nagrodzone.

Doszło do strzelaniny między czterema uzbrojonymi terrorystami i sześcioma gliniarzami, którzy znali swoje rzemiosło. Wynik: dwóch ciężko rannych policjantów, trzech martwych cywilów i czterech martwych terrorystów. FBI nazwie potem akcję policji fuszerką. W Des Moines mogło się skończyć tak samo. Niestety, miejscowa policja zareagowała zbyt wolno.

Wynik: czterech martwych terrorystów, ale też trzydziestu jeden cywilów.

Kiedy w Kolorado osaczono w sklepie dwóch pozostałych przy życiu terrorystów, oddział SWAT znajdował się w pobliżu, a kompania strzelców Gwardii Narodowej –

zmobilizowana błyskawicznie przez gubernatora stanu – była w drodze. Chłopcy nie mogli się doczekać, aż ziści się ich marzenie i siłą ognia oraz zręcznymi manewrami złożą wroga w krwawej ofierze. Trzeba było ponad godziny, by tak się stało. A przecież weekendowi wojownicy dysponowali siłą ognia, która wystarczyłaby do zniszczenia całej armii, co dopiero do spektakularnej śmierci dwóch przestępców – jak się okazało, Arabów, co nie było wielkim zaskoczeniem.

Cała Ameryka zasiadła przed telewizorami. Reporterzy w Nowym Jorku i Atlancie opowiadali, co wiedzieli – a wiedzieli niewiele – i próbowali skomentować te wydarzenia.

Przedszkolak zrobiłby to lepiej. Bez końca powtarzali fakty, które zdołali zgromadzić.

Zapraszali kolejnych „ekspertów”, którzy mało wiedzieli, a dużo gadali. Dobry sposób na wykorzystanie czasu antenowego. Na rzetelną informację – niekoniecznie.

W Campusie też mieli telewizory. Wstrzymano pracę, by oglądać wiadomości.

– Jezu Chryste! – wykrztusił Jack junior.

Inni byli równie zaszokowani. Dla nich było to nawet jeszcze gorsze. Przecież należeli do społeczności wywiadowczej, która nie ostrzegła przed atakiem.

– No cóż – podsumował Tony Wills. – Jeśli nie mamy wywiadowców w terenie, ciężko nam się zorientować. Chyba że przestępcy nieostrożnie korzystają sobie z telefonów komórkowych. Niestety, media lubią opowiadać, jak śledzimy terrorystów. A oni się uczą. No i ci z Białego Domu... lubią chwalić się reporterom, jacy to są sprytni, a wówczas dopuszczają do przecieków. Czasami można by pomyśleć, że pracują dla terrorystów. – Tak naprawdę urzędnicy z Białego Domu tylko się popisują, w końcu to wszystko, co potrafią robić.

– Więc przez resztę dnia pismaki będą rozpowiadać o „kolejnej porażce wywiadu”, tak?

– Na pewno. Ci sami ludzie, którzy gnębią wywiad, będą teraz narzekać, że nie robi on tego, co do niego należy. Nie przyznają przy tym, jaka w tym ich rola. To samo Kongres. Ale wracajmy do pracy. Niech NSA sobie sprawdza, czy przeciwnik wiwatuje. W końcu oni też są ludźmi, prawda? Lubią szpanować, kiedy im się uda operacja. Sprawdźmy, czy nasz przyjaciel Sali jest jednym z nich.

– Kto wydał rozkaz? – spytał Jack.

– Spróbujmy się dowiedzieć. – Wills nie dodał, że ważniejsze jest teraz ustalenie, gdzie jest ten skurwiel. Twarz i miejsce to znacznie więcej niż sama twarz.

Na górze Hendley zgromadził starszą kadrę przed swoim telewizorem.

– I co teraz?

– Pete dzwonił z Charlottesville. Zgadnijcie, gdzie byli nasi dwaj rekruci? – spytał Jerry Rounds.

– Żartujesz – nie dowierzał Tom Davis.

– Nie. Załatwili goście bez pomocy z zewnątrz. Już są w domu. Dodatkowy plus: Brian, ten marine, miał wątpliwości... Pete melduje, że to już przeszłość. Chłopiec pali się do nowych zadań. Pete uważa, że są gotowi.

– Więc trzeba nam tylko celów? – spytał Hendley.

– Moi ludzie będą sprawdzać dane z NSA. Musimy założyć, że przestępcy przerwą milczenie i będą tokować jak najęci – powiedział Rick Bell. – Jeśli jesteśmy gotowi, by włączyć się do akcji, możemy to zrobić wkrótce.

Ta działka należała do wydziału Sama Grangera. Do tej pory siedział cicho, lecz nadszedł czas, by przemówić.



- No cóż, mamy dwóch młodych rekrutów gotowych do obsługi celów stwierdził, używając określenia wymyślonego w wojsku przed dwudziestoma laty. – Pete mówi, że to dobre chłopaki. Po tym, co się dzisiaj stało, będą odpowiednio zmotywowani.
- Jak rozumuje nasz przeciwnik? – spytał z kolei Hendley. Nietrudno było się domyślić, wolał jednak poznać opinie innych.
- Chcieli nam zadać przemyślany cios. Celem była najwyraźniej amerykańska prowincja

– zaczął Rounds. – Wydaje im się, że wzbudzą w nas strach, pokazując, że mogą zaatakować wszędzie, nie tylko w miejscach tak oczywistych jak Nowy Jork. Sprytna operacja. Wzięło w niej udział od piętnastu do dwudziestu terrorystów. No i, być może, personel pomocniczy. To sporo, ale nie po raz pierwszy. Zachowali ostrożność. Ich ludzie byli dobrze zmotywowani.

Nie powiedziałbym jednak, że szczególnie dobrze przeszkoleni. To tak jakby wypuścić złego psa na podwórko, by pogryzł dzieci. Zademonstrowali, że gotowi są robić złe rzeczy, lecz to żadna niespodzianka, a także poświęcić oddanych sprawie ludzi, to też żadne zaskoczenie.

Atak był prymitywny technicznie – kilku facetów z lekką bronią maszynową. Podli, lecz nieprofesjonalni. Nie miną dwa dni, a FBI wytropi, skąd pochodzili, może nawet sposób, w jaki przedostali się przez granicę. Nie uczyli się latać, nic z tych rzeczy, więc pewnie nie byli u nas długo. Chciałbym wiedzieć, kto wyszukał im cele. Zgranie w czasie sugeruje, że to zaplanowali, choć nie nazbyt starannie – nietrudno sprawdzić godzinę na zegarku. Nie planowali natomiast ucieczki po strzelaninie. Najpewniej gdy przyjechali, mieli już zidentyfikowane cele. Idę o zakład, że przekroczyli granicę jakiś tydzień, dwa tygodnie temu... a nawet mniej, zależy, w jaki sposób to zrobili. Biuro wkrótce się tego dowie.

– Pete donosi, że użyli pistoletów maszynowych Ingram. Ładnie wyglądają, dlatego mamy je w filmach – wyjaśnił Granger. – Ale nie są naprawdę skuteczne.

– Jak je zdobyli? – dociekał Tom Davis.

– Dobre pytanie. FBI ma już chyba te z Wirginii i sprawdza ich pochodzenie po numerach seryjnych. Dobrzy są w te klocki. Powinniśmy wiedzieć jeszcze dziś wieczór. To da pojęcie, w jaki sposób broń trafiła w ręce terrorystów, i pozwoli rozpocząć dochodzenie.

– Co zrobi Biuro, Enzo? – zagadnął Brian.

– To priorytetowa sprawa. Nadadzą jej kryptonim i zapędzą do pracy każdego agenta w kraju. Teraz szukają samochodu, którym się tamci posługiwali. Może jest kradziony. Bardziej prawdopodobne, że wypożyczony. W takim wypadku trzeba się podpisać, zostawić kopię prawa jazdy, zapłacić kartą kredytową, no wiesz, normalka, jak mieszkasz w Ameryce.

Wszystko to tropy i wszystkie dokądś prowadzą, braciszku.

– Jak tam, chłopaki? – spytał Pete, wchodząc do pokoju.

– Drink pomaga – odparł Brian. Wyczyścił już swoją berettę, a Dominic swojego smitha.

– To nie było zabawne, Pete.

– Bo i nie miało być. Dobra, właśnie rozmawiałem z centralą. Chcą was widzieć za dzień lub dwa. Brian, miałeś wcześniej skrupuły, ale mówisz, że to się zmieniło. Nadal tak jest?

– Szkoliłeś nas, żebyśmy identyfikowali cele, podchodzili ludzi i zabijali, Pete. Mogę z tym żyć... póki ma to jakieś granice.

Dominic kiwnął tylko głową na znak zgody, ale nie spuszczał oczu z Alexandra.

– W porządku. Jest taki stary teksaski dowcip: czemu mają tam tak dobrych prawników?

Bo więcej facetów prosi się o kulkę niż koni o kradzież. Cóż, może pomożecie tym, co się tak proszą.

– Powiesz nam w końcu, dla kogo dokładnie pracujemy? – spytał Brian.

– Dowiedzie się w odpowiednim czasie, za dzień, dwa.

– Dobra, tyle mogę poczekać. – Brian dokonywał w myślach szybkiej analizy. Generał

Terry Broughton mógł coś wiedzieć. Na pewno wiedział ten cały Werner z FBI, ale ta plantacja tytoniu, na której ich szkolili, nie należała do żadnej ze znanych mu organizacji rządowych. CIA miała Farmę w okolicach Yorktown w Wirginii, a to jakieś osiemdziesiąt kilometrów stąd. To miejsce nie wyglądało na własność Agencji – przynajmniej według jego założeń... choć mogły być oczywiście błędne. Prawdę mówiąc, w ogóle mu nie wyglądało na własność rządową. Ale tak czy inaczej, za parę dni się dowie. Tyle może poczekać.

– Co wiemy o gościach, których dziś załatwiliśmy?

– Niewiele. Na to też przyjdzie trochę poczekać. Dominicu, jak szybko coś wywęszą?

– Do jutra w południe będą mieli sporo informacji, ale nie mamy dojścia do Biura, chyba że chcesz, żebym...

– Nie, nie chcę. Może trzeba będzie dać im znać, że ty i Brian to nie jakaś nowa wersja samotnego strzelca... ale na wszystko przyjdzie czas.

– Będę musiał pogadać z Gusem Wernerem?

– Chyba tak. Ma w Biurze wystarczające wpływy, by zakomunikować, że dostałeś specjalny przydział. Pewnie pluje sobie w brodę, że cię nam wyszukał. No właśnie... Obaj odwaliliście kawał

cholernie dobrej roboty.

– Zrobiliśmy tylko to, do czego nas szkolono – odparł marine. – Mieliśmy czas, żeby się zebrać do kupy. Potem zadziałała automatyka. W szkole zasadniczej uczyli mnie, że aby coś osiągnąć, trzeba się przez parę sekund zastanowić. Gdybyśmy byli u Sama Goody'ego, gdy się to wszystko zaczęło, a nie kilka minut później, to mogłoby się skończyć inaczej. I jeszcze jedno: dwaj ludzie są co najmniej cztery razy bardziej efektywni niż jeden. Czytałem nawet o tym specjalną pracę: *Nieliniowe czynniki taktyczne w walce z udziałem małych jednostek*. Jest w programie szkoły zwiadu.

– To marines potrafią czytać? – zakpił Dominic, sięgając po butelkę bourbona. Zrobił dwa mocne drinki. Jednego podał bratu, drugiego wychylił sam.

– Ten gość w sklepie... uśmiechnął się do mnie – zadumał się Brian. – Nie zastanawiałem się nad tym wtedy. On chyba nie bał się śmierci.

– To się nazywa męczeństwo. Są ludzie, którzy naprawdę tak myślą – stwierdził Pete. – I co zrobiłeś?

– Strzeliłem do niego z bliska. Sześć czy siedem razy...

– Ponad dziesięć, braciszku – poprawił Dominic. – A na koniec w tył głowy.

– Ruszał się – wyjaśnił Brian. – Nie miałem przy sobie kajdanek. I wiesz co? Jakoś mnie to nie martwi. – Zresztą i tak by się wykrawawił. Po prostu szybciej odszedł na tamten świat.

– B-3 i... bingo! Mamy bingo – obwieścił Jack znad swojego komputera. – Sali jest graczem, Tony. Spójrz – dodał, wskazując ekran.

Will wywołał na ekranie informacje z NSA. Rzeczywiście.

– Cóż, nie tylko kury gdaczą, jak zniosą jajo. Te ptaszki tak samo. No dobra, Jack, to już pewne. Uda bin Sali jest graczem. Do kogo jest ta wiadomość?

– Do gościa, z którym rozmawia przez Internet. Głównie o transakcjach.

– Wreszcie! – ucieszył się Wills, przeglądając dokument. – Chcą zdjęcia tego gościa.

Może Langley w końcu przydzielili mu ogon. Chwała Bogu – urwał. – Masz listę ludzi, z którymi wymienia e-maile?

– Tak. Chcesz? – Jack wyświetlił ją na ekranie, wydrukował i podał koledze. – Tu masz e-maile wraz z datami. Jeśli chcesz, mogę wydrukować wszystkie interesujące, z wyjaśnieniem, dlaczego mi

się takie wydały.

– Poczekaj chwilkę. Zaniosę to na górę, do Ricka Bella.

– Zostaję na posterunku.

*Oglądałeś telewizję? – pisał Sali . – To przyprawi Amerykanów o mdłości!*

– Pewnie – powiedział Jack do komputera. – Ale ty się właśnie zdradziłeś, Uda. Ups.

Kolejnych szesnastu męczenników, zadumał się Muhammad, oglądając telewizję w wiedeńskim hotelu Bristol. Bolesne tylko w sensie abstrakcyjnym. Tacy ludzie to zasoby, które można poświęcić. Mniej ważni niż on. Taka prawda. Organizacji na nim zależało. Miał

odpowiedni wygląd, znał języki, mógł więc swobodnie podróżować. Był też bardzo inteligentny, to ważne w planowaniu misji.

Bristol, świetny hotel. Po drugiej stronie ulicy stał jeszcze bardziej luksusowy Imperial.

W barku znalazł dobry koniak. Taki, jaki lubił. Misja nie całkiem się udała... miał nadzieję, że będą setki martwych Amerykanów, a nie dziesiątki. Zważywszy jednak na obecność ochrony

– a nawet uzbrojonych cywilów – to i tak nie należało za wiele oczekiwać. Mimo wszystko strategiczny cel został osiągnięty. Wszyscy Amerykanie wiedzą teraz, że nie są bezpieczni.

Bez względu na to, gdzie mieszkają, mogą w nich uderzyć święci wojownicy, gotowi oddać życie w imię zniszczenia amerykańskiego poczucia bezpieczeństwa. Mustafa, Said, Sabawi i Mahdi byli teraz w raj – jeśli on naprawdę istnieje. Czasem myślał, że to tylko taka opowiastka dla dzieci czy prostaczków, którzy faktycznie słuchają kazań imamów. Trzeba starannie dobierać kaznodziejów. Nie każdy z imamów miał takie poglądy na islam jak Muhammad. Na szczęście nie chcieli rządzić całym islamskim światem. On tak – no, może tylko jego częścią, byle obejmowała święte miejsca.

Nie mógł o tym głośno mówić. Niektórzy starsi członkowie organizacji wierzyli bezgranicznie. Byli bardziej konserwatywni – reakcyjni – niż tacy na przykład wahabici z Arabii Saudyjskiej. Zepsuci bogacze z pogrążonego w zepsuciu kraju. Odmawiali modły, a folgowali swoim przywarom w ojczyźnie i za granicą, bo mieli pieniądze. Pieniądze łatwo wydawać. W końcu nie można ich ze sobą zabrać do grobu. W raj, jeśli naprawdę istnieje, nie trzeba pieniędzy. A jeśli nie istnieje – to tym bardziej są niepotrzebne. Tymczasem chciał

władzy – i będzie ją miał za życia. Sterować ludźmi, naginać ich do swej woli! Dla niego religia to matryca, która nada kształt światu, a on będzie rządził. Czasem nawet się modlił, by o tym nie zapomnieć – zwłaszcza przed spotkaniami z „przełożonymi”. On, szef wydziału operacyjnego, ustalał, jak organizacja ma pokonywać przeszkody stawiane na jej drodze przez zachodnich bałwochwalców. Dokonując wyboru, wybierał też strategię. Opierała się na wierzeniach religijnych, te jednak łatwo dostosować do rzeczywistości politycznej, w jakiej przychodzi działać. Wróg miał

na to wpływ, ponieważ to jego plany należało udaremnić.

Teraz Amerykanie rozumieją, że niebezpieczeństwo nie zagraża ich kapitałowi politycznemu czy finansowemu. Zagraża życiu ich wszystkich. Od początku celem misji było zabijanie kobiet i dzieci – najcenniejszych i najbardziej bezbronnych członków każdego społeczeństwa.

Odkręcił kolejną butelką koniaku.

Później włączy laptopa i odbierze raporty od podwładnych w terenie. Będzie musiał

zlecić jednemu ze swoich bankierów, by przelał więcej pieniędzy na jego konto w Liechtensteinie. Niedobrze byłoby je teraz opróżnić. Później jednak konta do kart Visa rozpląną się w niebycie. Inaczej wpadłaby na jego trop policja.

Zostanie w Wiedniu jeszcze parą dni. Potem wróci na tydzień do domu – spotka się ze starszyzną i zaplanuje kolejne operacje. Z takim sukcesem będzie miał większy posłuch.

Przymierze z Kolumbijczykami już popłacało. Obawy się nie potwierdziły. Płynął z prądem.

Jeszcze kilka nocy świętowania i może wrócić do mniej intensywnego życia nocnego w ojczyźnie – kawa, herbata i niekończące się rozmowy. Żadnego działania. A tylko działając, mógł osiągnąć cele, jakie wyznaczała mu starszyzna... jakie sam sobie wyznaczał.

– Mój Boże, Pablo! – Ernesto wyłączył telewizor.

– Przestań, to żadna niespodzianka – odparł Pablo. – Nie spodziewałeś się chyba, że będą sprzedawać ciasteczka jak skauci.

– Nie, ale to?

– Dlatego właśnie nazywa się ich terrorystami, Ernesto. Zabijają bez ostrzeżenia i atakują bezbronnych ludzi.

Telewizja poświęcała wiele uwagi wydarzeniom w Colorado Springs. Obecność Gwardii Narodowej dodawała dramatyzmu. Umundurowani cywile wywlekli nawet przed centrum handlowe ciała dwóch terrorystów, ostentacyjnie oczyszczając teren, gdzie granaty dymne zaprószyły ogień. Tak naprawdę chodziło oczywiście o wystawienie ciał na widok publiczny.

Kolumbijskie wojsko postępowało podobnie. Żołnierzyki się popisują. No tak... narkotykowi *sicarios* często robią to samo, prawda? Ale nie warto zaprzętać tym sobie głowy. Dla Ernesta ważna była jego tożsamość „biznesmena” – nie handlarza narkotykami czy terrorysty. W

lustrze widział człowieka, który dostarcza cenne produkty i usługi, i za to mu płacą. Żeby chronić

swoje interesy, musiał walczyć z konkurencją.

– Ale jak zareagują *norteamericanos*? – zastanawiał się Ernesto.

– Będą się odgrażać... Przeprowadzą śledztwo, jak w przypadku każdego przestępstwa.

Czegoś tam się dowiedzą, ale niewiele. A my mamy nową sieć dystrybucji w Europie, a to właśnie – przypomniał szefowi – było naszym celem.

– Nie spodziewałem się tak spektakularnej zbrodni, Pablo.

– Przecież o tym rozmawialiśmy – spokojnie zaproponował Pablo. – O to im chodziło: o spektakularną demonstrację siły – nie użył oczywiście słowa „zbrodni” – która zasieje strach w sercach. Takie pierdoły są dla nich istotne. Wiedzieliśmy o tym wcześniej. Najważniejsze, że odwróci to ich uwagę od naszych interesów.

Szefowi trzeba było czasem bardzo cierpliwie wyjaśniać różne rzeczy. Chodziło o pieniądze. Za pieniądze można kupić władzę, ludzi, ochronę... Nie tylko zabezpieczyć życie własne i rodziny, lecz także sprawować kontrolę nad swoim krajem. Wcześniej czy później zaaranżują wybór kogoś, kto wypowie słowa, jakie chcą usłyszeć *norteamericanos*, jednak niewiele to zmieni. Co najwyżej rozprawią się z grupą Cali – to by się nawet dobrze składało.

Martwili się tylko o to, że mogą sobie kupić ochronę farbowanego lisa, który weźmie pieniądze, a potem odwróci się od nich jak niewierny pies. W końcu wszyscy politycy są z jednej parafii. Jednak Pablo się zabezpieczy, jego informatorzy znajdą się w obozie tych ludzi. W razie czego „pomszczą” zabójstwo fałszywego przyjaciela, któremu trzeba będzie odebrać życie. Złożona gra – ale opłacalna. Wiedział, jak manewrować ludźmi i rządem –

nawet północnoamerykańskim, jeśli już o tym mowa. Miał długie ręce, sięgały nawet umysłów i dusz tych, którzy nie mieli pojęcia, kto pociąga za sznurki. Szczególnie ludzi, którzy protestowali przeciw legalizacji jego produktu. Gdyby do tego doszło, szlag by trafił

marzę – a wraz z nią jego władzę. Na to nie mógł sobie pozwolić. Nie. Dla niego samego i organizacji *status quo* było idealnym *modus vivendi* na tym świecie. Żaden to ideał – lecz w prawdziwym świecie nie ma miejsca na ideały.

FBI szybko się uwinęło. Bez trudu namierzyło forda z rejestracją Nowego Meksyku.

Musieli wprowadzić do systemu numer rejestracyjny każdego samochodu na parkingu i odnaleźć jego właściciela. W wielu przypadkach przesłuchiwał go zaprzysiężony, uzbrojony agent. W Nowym Meksyku stwierdzono, że agencja wynajmu samochodów National korzysta z kamer wideo. Udostępniła taśmę z feralnego dnia. Szok! – pokazywała ona także innych klientów, którymi interesowało się biuro terenowe w Des Moines w Iowa. Niecałą godzinę później FBI wysłało agentów, by sprawdzili odległe o niecały kilometr biuro Hertza. W nim też zainstalowano kamery. W dokumentach i na taśmach można było znaleźć fałszywe imiona i nazwiska (Tomas Salazar, Hector

Santos, Antonio Quinones i Carlos Oliva), zdjęcia również fałszywych praw jazdy oraz pseudonimy czterech podejrzanych. Ważne rzeczy.

Międzynarodowe prawa jazdy zostały wystawione w Mexico City. Natychmiast nawiązano współpracę z Meksykańską Policją Federalną.

W Richmond, Des Moines, Salt Lake City i Denver sprawdzono numery kart Visa. Szef wydziału bezpieczeństwa Visa był niegdyś wysokim rangą agentem FBI. Komputery nie tylko zidentyfikowały bank, w którym znajdowały się konta do kart, ale też prześledziły transakcje dokonywane czterema kartami na szesnastu stacjach benzynowych – stało się jasne, które i z jaką prędkością jechały wszystkie cztery samochody terrorystów. Numery seryjne ingramów przetworzyła siostrzana agencja FBI, podlegająca Departamentowi Skarbu BATFE8.

Ustalono, że cała broń znajdowała się w dostawie skradzionej przed jedenastu laty w Teksasie. Na trop niektórych siostrzanych egzemplarzy wpadli agenci zajmujący się strzelaninami „narkotykowymi” w różnych częściach kraju. Biuro miało więc nowy wątek w śledztwie. W czterech miejscach przestępstwa zdjęto odciski palców martwych terrorystów i pobrano próbki krwi do analizy DNA.

Samochody zabrano oczywiście do laboratoriów FBI – również starannie zdjęto z nich odciski palców i pobrano próbki DNA. Sprawdzano, czy przypadkiem nie jechały nimi jeszcze inne osoby. Przesłuchano pracowników wszystkich moteli oraz fast foodów, miejscowych barów i restauracji. Znane już były billingi rozmów telefonicznych z moteli.

Ujawniły, że dzwoniło na numery dostawców usług internetowych. Skonfiskowano należące do terrorystów laptopy, zdjęto z nich odciski palców i oddano do analizy techno-

świrom z Biura. Do sprawy przydzielono, na zasadach wyłączności, siedmiuset agentów.

Nadano jej kryptonim „Islamterr”.

Większość ofiar przebywała w miejscowych szpitalach. Te, które mogły mówić, przesłuchano jeszcze tego samego wieczora – co wiedzą i co potrafią sobie przypomnieć.

Kule wyłuskane z ciał zabrano w charakterze dowodów. Porówna się je z bronią, którą odesłano do północnej Wirginii. Tam było nowoczesne laboratorium FBI. Wszystkie informacje przekazano do wydziału bezpieczeństwa krajowego, który oczywiście przesłał je do CIA, NSA i innych jednostek wywiadowczych. Działający w terenie oficerowie wywiadu już sprawdzali, czy ich agenci nie dotarli do jakichś informacji. Szpiedzy wypytywali też

„zaprzyjaźnione” wywiady innych krajów. Wszystkie informacje spłynęły do Campusu za 8 *Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosives* – biuro do spraw alkoholu, tytoniu, broni palnej i materiałów wybuchowych (przyp. tłum.)

pośrednictwem łącza CIA/NSA. Przechwycone dane znalazły się w ogromnym laboratorium komputerowym w piwnicy Campusu, gdzie sklasyfikowano je dla analityków – zajmą się nimi od rana.

Na górze nie było nikogo. Wszyscy poszli na noc do domu, z wyjątkiem ochrony i sprzątaczek. Komputery analityków były zabezpieczone na kilka sposobów. Dawało to pewność, że nie włączy ich nikt nieuprawniony. Ochrona była ścisła, ale niskiego poziomu, bo taką łatwiej sprawować. Monitoring zapewniały kamery telewizji przemysłowej. Obraz był

kontrolowany zarówno przez elektronikę, jak i przez ludzi.

W zaciszu swojego mieszkania Jack zastanawiał się, czy nie zadzwonić do ojca. Nie.

Pewnie nęka go telewizja i pismaki. Mimo że znany był z odmawiania komentarzy, by nie utrudniać pracy urzędującemu prezydentowi. Istniała bezpieczna, prywatna linia, o której wiedziały tylko dzieci Ryanów, ale Jack zdecydował się pozostawić ją na użytek Sally, która ekscytowała się szybciej niż on. Ograniczył się do wysłania tacie e-maili: *Co jest, kurde, grane?* i *Szkoda, że już Cię nie ma w Białym Domu*. Wiedział jednak, że Jack senior najpewniej dziękuje Bogu, że go tam nie ma. Może nawet wierzy, że Kealty posłucha dla odmiany swoich doradców i zastanowi się, zanim coś zrobi. Ojciec pewnie zadzwonił do przyjaciół za granicą, by wybadać, co wiedzą i myślą. Może też powiedział, co sam o tym myśli. Rządy innych państw zazwyczaj liczyły się z jego zdaniem. Duży Jack wciąż był

częścią systemu. Mógł zadzwonić do znajomych z czasów prezydentury i dowiedzieć się, jak naprawdę sprawy się mają. Jednak jego syn to zbagatelizował.

Hendley miał w biurze i w domu bezpieczne telefony STU-5, nowy produkt AT&T i NSA. Zdobył je nieoficjalnie.

Właśnie rozmawiał przez jeden z nich.

– Racja. Dostaniemy informacje jutro rano. Nie ma sensu siedzieć teraz w biurze i patrzeć na pusty ekran – rozsądnie zauważył były senator, sącząc bourbona z wodą sodową, i odpowiedział na następne, dość oczywiste pytanie: – Prawdopodobnie, ale jeszcze nic pewnego... w końcu czego się spodziewać po takim czasie. – Kolejne pytanie. – Mamy dwóch gości, są już niemal gotowi... Tak. Cztery. Przyjrzymy im się teraz bliżej... to znaczy jutro.

Jerry Rounds się nad tym głowi, razem z Tomem Davisem... no tak, nie znasz go, prawda?

Czarny, z drugiego brzegu rzeki. Inteligentny, ma czuja w sprawach finansowych.

Operacyjnych też. Dziwne, że wasze drogi nigdy się nie skrzyżowały. Sam? Wierz mi, jest gotów na wszystko. Cała sztuka to wyznaczyć właściwe cele... Wiem, ty w tym nie możesz uczestniczyć.



Wybacz, że nazywam ich „celami”. – Dłuższy monolog, po nim pytanie. – Tak, wiem. Dlatego tu jesteśmy. Już wkrótce, Jack. Wkrótce... Dzięki, stary. Ty też. Do zobaczenia. – Odłożył słuchawkę. Wiedział, że tak naprawdę nieprędko spotka się z przyjacielem. Może już nigdy. Wielka szkoda. Niewielu jest ludzi, którzy rozumieją te sprawy. Tym większa szkoda. Czekala go jeszcze jedna rozmowa, tym razem ze zwykłego telefonu.

Dzięki identyfikacji rozmówcy Granger wiedział, kto dzwoni, nim podniósł słuchawkę. –

Tak, Gerry?

– Sam, ci dwaj rekruci... Jesteś pewien, że są gotowi zagrać w pierwszej lidze?

– Bardziej gotowi nie będą – zapewnił szef wydziału operacyjnego.

– Ściągnij ich tu na lunch. Ty, ja, oni... i Jerry Rounds.

– Z samego rana zadzwonię do Pete’a. – Nie było sensu robić tego już teraz. W końcu to zaledwie dwie godziny drogi.

– Dobra. Jakies wątpliwości?

– Wyjdzie w praniu, Gerry. Przekonamy się wcześniej czy później.

– No tak. To do jutra.

– Dobranoc, Gerry. – Granger odłożył słuchawkę i wrócił do książki.

Poranne wiadomości były prawdziwą sensacją w całej Ameryce – właściwie w całym świecie. Satelitarne przekazy CNN, FOX, MSNBC i wszystkich innych agencji z wozami transmisyjnymi dostarczyły światu historię, którą przebić mógł chyba tylko wybuch atomówki. Europejskie gazety, łącząc się w bólu z Ameryką, przekazały jej wyrazy współczucia. Wkrótce o nich zapomną. Amerykańskie media mówiły o przerażeniu amerykańskich obywateli, choć nie przeprowadziły żadnych sondaży. Mimo to w całym kraju zaczęto kupować broń do ochrony osobistej, która najpewniej nie spełni swojego zadania.

Policjanci wiedzieli, że muszą się bliżej przyglądać wszystkim osobom pochodzącym z krajów na wschód od Izraela. A jeśli jacyś durni prawnicy nazwą to segregacją etniczną, to do diabła z nimi. Wczoraj zbrodni nie popełnili norwescy turyści.

Na msze poszło więcej ludzi.

W całej Ameryce dzień pracy zaczynał się od pytania: „Co o tym wszystkim sądzisz?”

Ludzie tylko potrzęsali głowami i dalej produkowali stal, montowali samochody, dostarczali pocztę... Prawdę mówiąc, nie byli jakoś szczególnie przerażeni. Większość z nich mieszkała z dala od tych czterech centrów handlowych, a coś takiego nieczęsto się zdarzało. Jednak wszyscy ludzie pracy w całym kraju chcieli, by komuś skopano dupę.

Gerry Hendley przeglądał gazety. „New York Timesa” przynosił goniec, „Washington Post” przyjeżdżał zwykłą pocztową furgonetką. Wszystkie pisały to samo. Zalecały spokój i rozwagę; przypominały, że kraj ma prezydenta, który powinien zareagować na te straszne wydarzenia, i spokojnie pouczyły prezydenta, by zastanowił się, zanim coś zrobi. Ciekawsze były strony z felietonami. Niektórzy publicyści faktycznie reprezentowali punkt widzenia przeciętnego obywatela. Cały naród woła o pomstę. Dobra wiadomość: Hendley wiedział, że może odpowiedzieć na ten zew. Zła: nawet jeśli to zrobi, nikt się nigdy o tym nie dowie.

Sobota będzie obfitować w wiadomości.

Zapełni się parking Campusu. Oby nie zwróciło to niczyjej uwagi. Oficjalna wersja głosiła, że masakry z poprzedniego dnia spowodowały destabilizację rynków finansowych –

co, jak się okazało później tego samego dnia, było nawet prawdą.

Jack junior trafnie założył, że będzie to dzień bez garniturów. Przyjechał do pracy w dżinsach, pulowerze i trampkach. Tylko ochrona była oczywiście w pełni umundurowana i jak zwykle zachowywała kamienną powagę.

Tony Wills włączył właśnie swój komputer, gdy wszedł Jack. Była 8.14.

– Cześć, Tony – pozdrowił go młody Ryan. – Jak tam wymiana informacji?

– Sam zobacz. Chłopaki nie śpią.

– Tak jest. – Postawił na biurku kubek z kawą i usiadł w wygodnym obrotowym krześle.

Włączył komputer i podał wszystkie hasła wymagane przez systemy zabezpieczeń chroniące jego zawartość.

Poranna porcja informacji z NSA. Oni nigdy nie śpią. Natychmiast stało się jasne, że ludzie, których obserwował, bacznie śledzili wiadomości.

Jack junior mógł się spodziewać, że ludzie, którymi tak bardzo interesowała się NSA, nie byli przyjaciółmi Stanów Zjednoczonych. Mimo wszystko był zaskoczony – nawet zaszokowany – treścią niektórych e-maili. Pamiętał, co sam czuł, kiedy armia amerykańska wkroczyła do Arabii Saudyjskiej w pogoni za siłami niesławnej Zjednoczonej Republiki Islamskiej. Pamiętał satysfakcję na widok czołgu eksplodującego po ostrzale. Ani przez moment nie pomyślał o trzech żołnierzach, którzy zginęli w tym stalowym grobowcu.

Tłumaczył sobie, że podnieśli rękę na Amerykę. A to ma swoją cenę. To jakby zakład... a jeśli wypadnie orzeł? – trudno, na tym polega hazard. Częściowo była to kwestia młodego wieku.

Dziecku wydaje się, że wszystko ma przeciw sobie – a przecież jest centrum wszechświata.

Trzeba czasu, by rozwiać tę iluzję. Ale wczoraj zginęli głównie niewinni cywile, kobiety i dzieci. Cieszyć się z ich śmierci to czyste barbarzyństwo. A jednak! Ameryka już dwukrotnie przelewała krew w obronie ojczyzny islamu a jacyś Saudyjczycy gadają takie rzeczy?!

– Oż kurde... – szepnął. Książę Ali wcale taki nie był. On i ojciec byli przyjaciółmi.

Kumplami. Odwiedzali się. On sam gadał z tym gościem, mobilizował się, słuchał uważnie, co tamten ma do powiedzenia. Jasne, był wtedy dzieckiem, ale wiedział, że Ali jest inny. W

końcu jego ojciec też nie był Tedem Bundym – choć Bundy był obywatelem amerykańskim...

pewnie nawet z prawem głosu. Tak więc to, że mieszkasz w jakimś kraju, nie czyni cię jeszcze jego ambasadorem.

– Nie wszyscy nas kochają, mały – zauważył Wills, widząc wyraz twarzy Jacka.

– Czym sobie na to zasłużyliśmy? – spytał junior.

– Jesteśmy najsilniejszym i najbogatszym dzieciakiem na podwórku. Nasze słowo zdominowało świat... czy to coca-cola, czy „Playboy”. To może obrażać uczucia religijne. Są takie miejsca na świecie, gdzie te uczucia definiują sposób myślenia. Nie wszyscy uznają naszą zasadę wolności wyznania. Jeśli dopuszczamy się czegoś, co jest sprzeczne z ich wiarą, wówczas, w ich oczach, to nasza wina.

– Bronisz tych fanatyków? – zdumiał się Jack junior.

– Nie. Wyjaśniam ci tylko, jak myślą. Zrozumieć coś to nie znaczy zaakceptować. –

Powiedział to już kiedyś komandor Spock, ale najwyraźniej Jack przegapił ten odcinek *Star Treka*. – Pamiętaj: ty musisz zrozumieć, jak myślą.

– W porządku. Myślą w popierdolony sposób. Tyle rozumiem. A teraz chcę sprawdzić te liczby. – Jack odłożył na bok transkrypty e-maili i zaczął śledzić transakcje. – Uda dziś nie próżnuje. Hmm... niektóre transakcje przeprowadza z domu, prawda?

– Zgadza się. Górą komputery – odparł Wills. – Choć w domu człowiek ma ograniczone możliwości. Jakież interesujące operacje finansowe?

– Tylko dwie, w tym jedna na rzecz banku w Liechtensteinie. Niech ja sprawdzę to konto... – Kilka ruchów myszą i już miał identyfikator konta. Żadna rewelacja. Prawdę mówiąc, jak na standardy Salego było po prostu żałosne. Jedyne pół miliona euro, głównie na pokrycie wydatków z kart kredytowych, jego własnych i... innych!... – Hej, to konto obsługuje niejedną kartę Visa – oznajmił

Wilkowi.

– Naprawdę?

– Tak. Przynajmniej z tuzin. Nie, czekaj... szesnaście. Oprócz tych, których sam używa...

– Powiedz mi, co o nim wiesz – polecił Wills. Szesnaście? Naraz wydało mu się to niezwykle istotne.

– To numerowane konto. NSA dostała się do niego przez furtkę w programie księgowym banku. Nie jest duże, nic specjalnego, ale tajne.

– Możesz wydobyć numery kart Visa?

– Numery ich kont? Pewnie. – Jack zaznaczył numery kont. Skopiował je, wkleił do nowego dokumentu, wydrukował i podał wydruk koledze.

– Nie, sam na to spójrz – polecił Wilis, podając mu inną kartkę.

Jack wziął ją do ręki. Natychmiast zauważył podobieństwo.

– A to co za lista?

– Ci wszyscy chłoptasie z Richmond mieli karty Visa. Płacili nimi za benzynę w różnych częściach kraju. Wygląda na to, że zaczęli podróż w Nowym Meksyku. Jack, właśnie znalazłeś związek między Udą bin Salim a wczorajszymi wydarzeniami. Zdaje się, że to on założył konta na ich wydatki.

Jack znów spojrział na kartki, porównał jedną listę z drugą. Potem popatrzył na Willsa.

– Oż kurwa – wykrztusił.

A Wills? Pomyślał, że wielkim cudem są komputery i komunikacja modemowa. Strzelcy z Charlottesville używali kart Visa, by kupować benzynę i jedzenie. A ich dobry znajomy Sali właśnie przelał kasę na konto, żeby zapłacić ich rachunki. Pewnie w poniedziałek zlikwiduje te konta. Za późno!

– Jack, kto polecił Salemu dokonać tego przelewu? – Mamy cel, pomyślał. Może niejeden.

## **Rozdział 15**

**CZERWONE MARYNARKI,**

**CZARNE DŻOKEJKI**

Pozwolili Jackowi odwalać robotę przy komputerze. Porównywać e-maile do i od Udy bin Salego. Dość żałosna praca. Jack miał umiejętności, ale nie duszę księgowego. Wkrótce jednak już wiedział, że polecenie przelania funduszy na konto przyszło od niejakiego 56MoHa@eurocom.net, który załogował się przez 0 800 z Austrii.

Nie mogli namierzyć go bliżej. Mieli jednak nowy adres internetowy do śledzenia.

Elektroniczną tożsamość kogoś, kto wydawał rozkazy domniemanemu – nie, teraz już znanemu – bankierowi terrorystów. 56MoHa@eurocom.net był niezwykle interesujący.

Zadaniem Willsa było napuszczenie na niego NSA, jeśli do tej pory sami nie wpadli, że ten alias może stać się przedmiotem ich zainteresowania. Większość komputerowców uważała, że ich aliasy są raczej anonimowe. Zwykle były. Jednak gdy dowiadywały się o nich odpowiednie agencje, można było ruszyć ich tropem. Zazwyczaj nielegalnie. Skoro jednak niewyraźne rozgraniczenie między tym, co legalne, a tym, co nielegalne w Internecie, mogło działać na korzyść nastoletnich dowcipnisiów, to mogło też sprzyjać wywiadowcom, których komputery trudno było zlokalizować, a co dopiero haknąć.

Od razu pojawił się pierwszy problem. Eurocom.net nie przechowywał rejestrów przesyłanych za jego pośrednictwem wiadomości. Kiedy znikwały z pamięci serwera, przeczytane przez odbiorcę, były nie do odzyskania. Może NSA spostrzeże, że ten skurwiel pisał do Udy bin Salego, jednakże pisało do niego wiele osób, chodziło przecież o interesy.

Nawet NSA nie miała tak licznych personelu, by czytać i analizować każdego e-maila.

Bliźniacy przyjechali tuż przed jedenastą. Przywiódł ich komputer pokładowy wyposażony w GPS. Dwa identyczne sedany mercedes klasy C skierowano na mały parking dla gości, który znajdował się z tyłu budynku. Tam spotkał się z bliźniakami Sam Granger.

Uścisnął im dłonie i poprowadził do środka. Natychmiast wydano im identyfikatory, które wpięli w klapy marynarek. Dzięki temu przepuścili ich ochroniarze, byli podoficerowie.

– Ładnie tu – zauważył Brian, kiedy szli do windy.

Bell uśmiechnął się.

– Tak, w sektorze prywatnym można wynająć najlepszych dekoratorów. – Dobrze też mieć podobny do dekoratora smak. Na szczęście tak było w jego przypadku.

– Powiedziałaś „w sektorze prywatnym” – natychmiast podchwycił Dominic. Nie czas cieszyć się chwilą, tu mam pracować. Wszystko tu jest ważne, pomyślał.

– Dziś zostaniecie we wszystko wtajemniczeni – wyjaśnił Bell, zastanawiając się, co już wiedzą.

Winda nie odbiegała od standardów, a hol na najwyższym piętrze – gdzie był gabinet szefa – pomalowano na ładny waniliowy kolor.

– A więc wpadłeś na to dzisiaj? – zagadnął Hendley. Ten dzieciak, pomyślał, naprawdę ma nosa po ojcu.

– Po prostu rzuciło mi się w oczy – odparł Jack. Bo co innego miał powiedzieć? Dobrze, że nikomu innemu się nie rzuciło.

Szef spojrzał na Willsa. Znał jego zdolności analityczne.

– Jack przyglądał się temu całemu Salemu od paru tygodni. Sądziliśmy, że gra w drugiej lidze, ale dziś osiągnął status „trzy A”. Może nawet wyższy... – powiedział Tony. – Jest pośrednio związany z wczorajszymi wydarzeniami.

– NSA już się pokapowała? – zapytał Hendley.

Wills potrząsnął głową.

– Nie i nie sędzę, by do tego doszło. Zbyt odległe. Tak oni, jak i Langley mają na gościa oko, ale nie jest dla nich ważny. – Chyba że komuś zaświeci się światełko, tego już nie musiał

dodawać. Zdarzało się i tak. Choć niezbyt często. W obu zbiurokratyzowanych instytucjach nagły błysk olśnienia często gubił się w systemie lub bagatelizowali sprawę ci, którzy niewiele rozumieli. Każda organizacja na świecie jest na swój sposób ortodoksyjna. Biada apostatom, którzy w niej pracują!

Hendley przebiegł wzrokiem dwustronicowy dokument.

– Miota się jak ryba na haczyku... – Zadzwoił telefon. Hendley podniósł słuchawkę. –

Dobrze, Helen, poproś ich... Rick Bell prowadzi nam tutaj tych dwóch gości, o których rozmawialiśmy – wyjaśnił Willsowi.

Otworzyły się drzwi. Jackowi oczy niemal wyszły z orbit. Brianowi też.

– Jack? A ty co tu robisz?

W chwilę potem tak samo zareagował Dominic.

– Hej, Jack! Co jest grane? – zawołał.

Twarz Hendleya wyrażała bolesne zaskoczenie. Nie przewidział tego. Rzadko popełniał

takie błędy. Niestety pokój miał tylko jedno drzwi, nie licząc przyległej toalety.

Kuzyni uścisnęli sobie ręce, jakby nie widzieli szefa. Musiał wkroczyć Rick Bell.

– Brian, Dominic, to jest szef, Gerry Hendley. – Kolejne uściski dłoni.

– Dzięki, Rick. Obaj wykonaliście kawał dobrej roboty – pożegnał swoich współpracowników Hendley.

– No to wracamy do komputerów. Na razie, chłopaki. – Jack uśmiechnął się do kuzynów.

Wciąż zaskoczeni, Brian i Dominic usiedli na krzesłach, postanawiając na razie zapomnieć o tym zbiegu okoliczności.

– Witam. – Hendley rozparł się na krześle. A co tam. I tak by się dowiedzieli wcześniej czy później.

– Pete Alexander mówi, że dobrze wam poszło w starym domu.

– Gdyby nie nuda... – mruknął Brian.

– Tak wygląda szkolenie – przyznał współczująco Bell.

– A wczoraj? – zagadnął Hendley.

– To nie było zabawne. Czuję się podobnie jak w zasadzce w Afganistanie. Bum... i się zaczęło – odparł Brian. – Musieliśmy sobie jakoś radzić. Dobrze, że tamci nie byli za bystrzy.

Działali jak samotni strzelcy, nie jak zespół. Gdyby ich właściwie przeszkolono, gdyby atakowali zespołowo, osłaniając się, wówczas inaczej by się to potoczyło. A tak trzeba było tylko ich zdejmować jednego po drugim. Coś o nich wiecie?

– FBI wie na razie tyle, że chyba dostali się do kraju przez Meksyk. Wasz kuzyn namierzył źródło finansowania. To saudyjski emigrant z Londynu. Może być jednym z ich bankierów. Wszyscy byli Arabami. Zidentyfikowano pięciu z nich: Saudyjczycy. Broń skradziono jakieś dziesięć lat temu. Samochody wypożyczyli w Las Cruces w Nowym Meksyku. Zorganizowali się w cztery zespoły. Pewnie pojechali oddzielnie do swoich celów.

Ich trasy ustalono na podstawie miejsc, gdzie kupowali benzynę.

– Motywacja była ściśle ideologiczna? – dociekał Dominic.

– Tak. Religijna, przynajmniej w ich pojęciu. Na to wygląda.

– Biuro mnie szuka? – spytał Dominic.

– Będziesz musiał dziś zadzwonić do Gusa Wenera, żeby mógł odwalić papierkową robotę, ale nie

musisz się niczego obawiać. Upichcili już oficjalną wersję.

– OK.

– Zakładam, że do tego nas szkoliliście? Żebyśmy likwidowali tych ludzi, zanim wyrządzą więcej zła? – wtrącił się Brian.

– Mniej więcej tak – potwierdził Hendley.

– OK. Jakoś to przeżyję – mruknął Brian.

– W teren pójdziecie razem. Będziecie udawali bankowców i handlowców. Powiemy wam wszystko, co musicie wiedzieć, trzeba podtrzymywać legendę. Będziecie korzystać z wirtualnego biura za pośrednictwem laptopa.

– A bezpieczeństwo? – zastanawiał się na głos Dominic.

– To nie problem – zapewnił go Bell. – Maksymalnie zabezpieczyliśmy komputery.

Dodatkowo mogą pełnić rolę telefonów internetowych, jeśli potrzebne będzie komunikacja głosowa. Systemy szyfrowania mają wysoki poziom bezpieczeństwa – podkreślił.

– Niby tak – powiedział z powątpiewaniem Dominic. Pete mówił im to samo, lecz Dominic nie ufał systemom szyfrowania. Systemy komunikacji radiowej FBI też miały być bezpieczne, mimo to łamali je sprytni przestępcy i maniacy komputerowi, tacy, co to lubią dzwonić do biura FBI, by udowodnić, jacy są sprytni. – A co z przykrywką prawną?

– To najlepsze, na co nas stać – oznajmił Hendley, podając mu teczkę.

Dominic wziął ją do rąk, otworzył i...osłupiał.

– Cholera! Jak to zdobyliście? – zapytał.

Podpisane przez prezydenta ułaskawienie widział tylko w podręczniku prawa. W dodatku to, na które teraz patrzył, było... niewypełnione, tyle że podpisane. Niewypełnione ułaskawienie? Cholera...

– Może ty nam powiesz? – zasugerował Hendley.

Podpis. Dominic przypomniał sobie wykłady z prawa. Ułaskawienie było niepodważalne.

Nie mógł go zakwestionować nawet Sąd Najwyższy. Prawo prezydenta do ułaskawienia było tak oczywiste jak wolność słowa. Ułaskawienie nie byłoby jednak zbyt przydatne poza granicami Stanów.

– Więc będziemy załatwiać tych ludzi tu, w kraju?



– Możliwe.

– Jesteśmy pierwszymi zabójcami w zespole?

– Zgadza się.

– Jak to będziemy robić?

– Zależy od misji – odparł Bell. – W większości przypadków przy użyciu nowej broni.

Jest stuprocentowo skuteczna i niezwykle trudna do wykrycia. Przeszkolimy was w tym zakresie. Prawdopodobnie jutro.

– To pilne? – dociekał Brian.

– Koniec z cackaniem się – oświadczył Bell. – Waszym celem będą ludzie, którzy wykonują, zamierzają wykonywać lub wspierają misję zła. Oni zagrażają naszemu krajowi i jego obywatelom. Nie mówimy o zabójstwach politycznych. Chodzi o ludzi bezpośrednio zamieszanych w przestępstwa.

– Ale to coś więcej. Nie jesteśmy przecież oficjalnymi egzekutorami prawa stanu Teksas, prawda? – odezwał się Dominic.

– No nie. Działacie poza prawem. Będziemy starali się zneutralizować siły wroga, eliminując najważniejszych. Powinno to przynajmniej zakłócić ich działalność. Mamy też nadzieję, że zmusi to ich przywódców, by się ujawnili. Wtedy zajmiemy się również nimi.

– A więc to nic innego jak licencja myśliwego. – Dominic zamknął teczkę i oddał ją Hendleyowi. – Okres ochronny się skończył.

– Zgadza się, choć w rozsądnych granicach.

– Jestem za – stwierdził Brian. Pamiętał, jak dwadzieścia cztery godziny temu trzymał w ramionach konającego chłopca. – Kiedy zabieramy się do pracy?

– Wkrótce – odpowiedział Hendley.

– Słuchaj, Tony, co oni tu robią?

– Jack... nie wiedziałem, że dziś przyjadą.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – spojrzenie błękitnych oczu Jacka stało się harde.

– Domyślasz się, po co jest Campus, prawda?

No to już jest odpowiedź. Cholera. Jego kuzyni? Cóż... Jeden był marine. Drugi, ten z FBI, prawnik, jak o nim niegdyś myślał Jack, załatwił jakiegoś zboczeńca w Alabamie.

Sprawa przedostała się do prasy. Rozmawiał nawet o tym z ojcem. Trudno było to potępiać, zakładając, że wszystko odbyło się w granicach prawa... Dominic zawsze postępował w zgodzie z sumieniem – było to niemal motto rodziny Ryanów. A Brian pewnie dokonał

czegoś w marines. W szkole średniej był typem futbolisty. Jego brat z kolei lubił dyskutować.

Ale też nie był dupą wołową. Przynajmniej jeden skurwiel przekonał się o tym na własnej skórze. Może niektórych ludzi trzeba nauczyć, że nie zadziera się z mocarstwem – silny kraj, prawdziwi mężczyźni. Każdy tygrys ma zęby i pazury...

...a w Ameryce żyją szczególnie duże osobniki.

Wiedział już, co jest grane. Znow usiadł do komputera. 56MoHaeurocom.net. Może znajdzie więcej żarcia dla tygrysów, skoro już jest psem na kaczkę. Co tam. Niektórym ptaszkom trzeba cofnąć pozwolenie na lot. Zapyta o to za pośrednictwem NSA. Każde zwierzę zostawia ślad, trzeba go tylko zwęszyć. Cholera, ta robota bywa nawet rozrywkowa, gdy się już wie, jaki jest jej prawdziwy cel, stwierdził Jack.

Muhammad siedział przy komputerze. Za jego plecami telewizor gadał o „porażce wywiadu”. Uśmiechnął się. Skutek? Ograniczone możliwości amerykańskiego wywiadu.

Zwłaszcza po tym, jak jego pracę zakłóca przesłuchania w amerykańskim Kongresie. Dobrze mieć takich sprzymierzeńców we wrogim kraju. Nie różnili się zbytnio od prominentnych członków jego własnej organizacji, którzy próbowali nagiąć świat do własnej wizji, zamiast przyjąć do wiadomości rzeczywistość. Przełożeni Muhammada przynajmniej go słuchali, bo osiągał wymierne rezultaty, które – na szczęście! – pozostawały w zgodzie z ich eterycznymi wizjami śmierci i lęku. Jeszcze większe szczęście, że są ludzie gotowi oddać życie w imię urzeczywistnienia tych wizji. A że to głupcy? Dla Muhammada to bez znaczenia. Każdy używa takich narzędzi, jakie ma. W tym przypadku młotków... którymi uderzał w wystające tu i ówdzie gwoździe.

Sprawdził pocztę elektroniczną. Uda wykonał instrukcje. Mógł po prostu pozwolić kontom Visa umrzeć śmiercią naturalną, ale wówczas jakiś nadgorliwy pracownik banku mógłby zechcieć sprawdzić, czemu nie zapłacono ostatnich rachunków. Lepiej zostawić na koncie nadwyżkę gotówki, by pozostało aktywne, choć uśpione. Bank nie miał nic przeciw dodatkowym funduszom w swym elektronicznym skarbcu. Jeśli takie konto pozostanie uśpione, żaden pracownik banku nie będzie dochodził dlaczego. Często się tak zdarza.

Upewnił się, że numer konta i kod dostępu są dobrze ukryte w jego komputerze, w dokumencie, o

którym wiedział tylko on.

Zastanawiał się, czy nie wysłać listu z podziękowaniami do kolumbijskich współpracowników, lecz wiadomości, które nie są niezbędne, to tylko strata czasu i... nie prosił się chyba o kłopoty. Nie wysyła się e-maili dla zabawy czy żeby zadośćuczynić konwenansom. Tylko te absolutnie konieczne i jak najbardziej treściwe. Wiedział na tyle dużo, by bać się zdolności Amerykanów do gromadzenia elektronicznych danych wywiadowczych. Zachodnie media często wspominały o przechwyconych informacjach.

Członkowie organizacji musieli więc zrezygnować z telefonów satelitarnych, których używali dla wygody. Zamiast nich korzystali najczęściej z posłańców przekazujących wyuczone na pamięć wiadomości. Trwało to dłużej, ale było bardziej bezpieczne... chyba że uda się jakoś przekupić posłańca. Nic nie jest w pełni bezpieczne. Każdy system ma słabe punkty.

Najlepszy oczywiście jest Internet. Konta zapewniają pełną anonimowość. Mogą je zakładać anonimowe strony trzecie, które przekazują dane prawdziwym użytkownikom końcowym, takie elektrony czy fotony – niczym ziarna piasku na pustyni Rub' al-Chali. Nie można marzyć o większym bezpieczeństwie i anonimowości. Każdego dnia w Internecie krążą miliardy wiadomości. Może śledzi je Allah, bo Allah zna ludzki umysł i serce. Nie przekazał

tej zdolności nawet swoim wyznawcom.

I tak Muhammad, który rzadko przebywał w jednym miejscu przez ponad trzy dni, czuł się bezpiecznie, korzystając z komputera.

Brytyjskie służby specjalne, z siedzibą w Thames House, w górę rzeki od Westminsteru, korzystały z setek tysięcy podsłuchów. Brytyjskie prawo w zakresie ochrony prywatności było o wiele bardziej liberalne niż amerykańskie... przynajmniej dla agencji rządowych.

Cztery z takich podsłuchów założono Udzie bin Salemu. Jeden na telefonie komórkowym –

ten rzadko dostarczał ważnych informacji. Najcenniejsze były jego służbowe i domowe konta elektroniczne, bo Uda nie ufał komunikacji głosowej. Ważne informacje wołał przekazywać pocztą elektroniczną. To były listy z i do domu, w których głównie zapewniał ojca, że rodzinne pieniądze są bezpieczne. Dziwne, że nawet nie zadał sobie trudu, by używać programu szyfrującego. Zakładał, że sama obfitość wiadomości krążących w Internecie zapobiegnie nadzorowi. Poza tym wiele osób w Londynie działało w branży zabezpieczania kapitału. Spora część cennych nieruchomości w mieście należała do obcokrajowców.

Obracanie pieniędzmi było nudne nawet dla większości graczy. W końcu w alfabecie finansowym tak mało jest znaków. Nie sposób z nich ułożyć poemat poruszający duszę.

Jednak e-maile Udy bin Salego zawsze odbijały się echem w Thames House. Sygnały przesyłano następnie do GCHQ w Cheltenham, na północny zachód od Londynu, potem za pośrednictwem satelity do Fort Belvoir w Wirginii, stamtąd zaś światłowodem do Fort Meade w Marylandzie – tam przyglądał im się jeden z superkomputerów znajdujących się w podobnej do lochu piwnicy. Dalej materiały uznane za istotne przesyłane były do siedziby CIA w Langley w Wirginii. Po drodze mijają płaski dach wiadomego budynku, skąd trafiały do jeszcze innych komputerów.

– Coś nowego od pana 56 – mruknął junior. Miał na myśli konto 56MoHa@eurocom.net.

Musiał chwilę pomyśleć. Treść wiadomości to głównie liczby. Na przykład elektroniczny adres europejskiego banku handlowego. Pan 56 najwyraźniej potrzebował pieniędzy. Skoro wiedzą już, że jest graczem, muszą sprawdzić nowe konto bankowe. Zrobi się jutro. Może poznają nawet nazwisko i adres, zależnie od wewnętrznych procedur banku. Ale raczej nie.

Wszystkie międzynarodowe banki dążyły do identycznych procedur, aby zachować większą konkurencyjność. W końcu pole gry stanie się płaskie jak boisko, gdy wszyscy przyjmą procedury maksymalnie przyjazne dla klientów. Każdy ma własne spojrzenie na rzeczywistość, ale pieniądze są zawsze jednakowo zielone – lub pomarańczowe, w przypadku banknotów euro, na których widnieją jakieś budynki i mosty. Jack zanotował, co trzeba, i wyłączył komputer. Czekał go jeszcze późny obiad z Brianem i Dominikiem. Niedaleko otworzyli nową restaurację serwującą owoce morza. Warto tam wstąpić. Koniec dnia pracy.

Resztą spraw zajmie się w poniedziałek rano – niedziela powinna być wolna, bez względu na stan bezpieczeństwa narodowego.

Udzie bin Salemu trzeba się bliżej przyjrzeć. Jack nie był jeszcze pewien, jak blisko, lecz podejrzewał, że Salemu szykuje się spotkanie z pewną dobrze znaną Jackowi osobą – albo dwiema...

– Kiedy? – Niewłaściwe pytanie, gdy pada z ust Briana Caruso, ale kiedy zadaje je Hendley, trzeba je sobie wziąć do serca.

– Cóż, musimy opracować jakiś plan – odparł Sam Granger. Wiadomo, jak to jest. To, co teoretycznie było strzałem w dziesiątkę, w rzeczywistości stawało się bardziej złożone. –

Najpierw musimy ustalić sensowne cele. A potem zaplanować, jak się nimi zająć w równie sensowny sposób.

– Jakież koncepcje operacyjne? – spytał Tom Davis.

– Chodzi o to, by działać logicznie z naszego punktu widzenia. Jednak dla obserwatora z zewnątrz powinno to wyglądać na przypadkową śmierć. Niech wyjrzą z nor, żebyśmy mogli ich po kolei zdejmować. Koncepcja jest prosta, gorzej z realizacją. – Łatwiej przesuwać figury na szachownicy, niż wydawać rozkazy ludziom. Nie wolno o tym zapominać. Coś tak prozaicznego jak spóźnienie na autobus, wypadek na drodze czy konieczność pójścia za potrzebą może zniweczyć najlepszy plan.

Trzeba pamiętać, że świat jest analogowy, nie binarny. Czyli po prostu chaotyczny.

– Więc potrzebujemy psychiatry?

Sam potrząsnął głową.

– Mają paru w Langley i jakoś im to nie pomaga.

– Co fakt, to fakt. – Davis się zaśmiał. Nikomu jednak nie było do śmiechu. – Chodzi o czas – zauważył.

– Właśnie, im szybciej, tym lepiej – zgodził się Granger. – Nie dajmy im czasu na reakcję. Nawet na myślenie.

– I na to, żeby zorientowali się, co jest grane – dodał Hendley.

– Ludzie mają znikać?

– Jeśli zbyt wielu dostanie zawału, ktoś zacznie coś podejrzewać.

– Myślisz, że spenetrowali którąś z naszych agencji? – zastanawiał się na głos były senator. Jego współpracownicy aż wzdrygnęli się na tę myśl.

– Zależy, co przez to rozumiesz – próbował odpowiedzieć Davis. – Chodzi ci o agenta?

Cieężko byłoby to zaaranżować, co może bardzo hojna łapówka... Ale nawet wtedy byłoby to trudne, chyba że znaleźliby w Agencji faceta, który przyszedł do nich dla kasy. A to nie jest wykluczone – dodał po chwili zastanowienia. – Rosjanie zawsze byli dusigroszami. Nie dysponowali dużą twardą walutą. To dla nich łakomy kąsek. Więc może...

– Jest coś jeszcze – rozważał dalej Hendley. – Niewiele osób w Agencji wie o nas. Jeśli zaczną myśleć, że CIA załatwia ich ludzi, to mogą wykorzystać swego agenta, jeśli go mają, a on im powie, że to nie tak...

– I wtedy się pogubią? – zastanowił się Granger.

– Pomyślą, że to Mosad, prawda?

– A któż by inny? – Davis odpowiedział pytaniem na pytanie. – Własna ideologia działa na ich niekorzyść.

Rzadko, bo rzadko, ale czasem z powodzeniem używali tego fortelu przeciw KGB. Nie ma to jak wmówić przeciwnikowi, że jest sprytny. Nawet gdyby to utrudniło życie Izraelczykom, żaden amerykański wywiadowca nie rwałby sobie włosów z głowy. Izraelscy szpiedzy mogli sobie być sprzymierzeńcami, ale ich amerykańscy koledzy nie darzyli ich bezwarunkową miłością. Nawet saudyjscy szpiedzy z nimi pogrywali. Interesy obu krajów często zbiegały się w najbardziej nieprawdopodobnych kwestiach. Ale w tych rozgrywkach Amerykanie będą mieli na względzie

wyłącznie dobro ojczyzny. A mecz rozegra się poza boiskiem.

– Gdzie są cele, które zidentyfikowaliśmy? – spytał Hendley.

– Wszystkie w Europie. Głównie bankierzy i ludzie od komunikacji. Manipulują pieniędzmi, przekazują wiadomości. Jeden z nich gromadzi chyba informacje. Dużo podróżuje. Może to on wyznaczał miejsca ataku. Za krótko go znamy, żeby to wiedzieć.

Namierzaliśmy kilka celów, zajmując się komunikacją, ale te chcemy zostawić w spokoju. Są zbyt cenne. Zresztą musimy unikać takich celów: gdyby coś się z nimi stało, przeciwnik zorientowałby się, że się pokapowaliśmy. Wszystko musi wyglądać na przypadek.

Zaaranżujemy to tak, by przeciwnik myślał, że zwiali z kasą. Możemy nawet zostawić odpowiednie e-maile.

– A jeśli mają kod, żeby odróżnić własne wiadomości od wysłanych przez kogoś, kto się podszywa? – spytał Davis.

– To może działać na naszą korzyść. Dobry sposób, by się uśmiercić: zasugerować, że ktoś cię załatwił. Nikt nie będzie szukać trupa, prawda? Mają powody do obaw. Nienawidzą nas za to, że psujemy ich społeczeństwo. Wiedzą, że ludzie ulegają zepsuciu. Są między nimi odważni, są i tchórze. Ci ludzie nie mają jednej twarzy. Nie są robotami. Pewnie, niektórzy to prawdziwi fanatycy. A inni zabrali się na tę przejażdżkę tylko dla zabawy, dla chwały, ale jak przyjdzie co do czego, to wybiorą życie, nie śmierć.

Granger znał tych ludzi i ich motywy. Nie, żadne z nich roboty. Więcej nawet. Im są sprytniejsi, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że motywy mają proste. Co ciekawe, większość muzułmańskich ekstremistów albo przebywała w Europie, albo tam została wychowana. Byli odizolowani ze względu na pochodzenie, ale i wyzwoleni z okowów społeczeństw, z których wywodzili swoje korzenie. Przyczyną rewolucji jest zawsze wzrost oczekiwań. Nie prześladowania, raczej nadmiar swobody. Był to dla nich czas zagubienia i poszukiwania własnej tożsamości. Okres psychologicznej nadwrażliwości, gdy człowiekowi potrzeba punktu zaczepienia, bez względu na to, jaki on jest. Trudno jest zabijać ludzi, którzy się po prostu zagubili, ale w końcu sami wybrali swoją drogę – choć może niezbyt mądrze.

Jeśli zawiedzie ich ona w złe miejsce, to przecież tylko ich wina, prawda?

Ryba była całkiem niezła. Jack zamówił karmazyna, Brian łososia, a Dominic – okonia w cieście. Brian wybrał trunek. Białe francuskie wino z doliny Loary.

– Skąd ty się tu, do diabła, wzięłeś? – spytał Dominic kuzyna.

– Rozglądałem się i to miejsce mnie zainteresowało. Więc przyjrzałem mu się bliżej. A im bardziej się przyglądałem, tym mniej z tego rozumiałem. Zaszedłem więc po prostu, pogadałem z Gerrym, a on załatwił mi robotę.

– Jaką?

– Nazywają to analizą. Dla mnie to raczej jak czytanie w myślach. Zwłaszcza jednego gościa. Arab, manipuluje pieniędzmi w Londynie. Głównie pieniędzmi swojej rodziny. A jest tego sporo – zapewnił Jack. – Handluje nieruchomościami. Dobry sposób na zabezpieczenie kapitału. Londyński rynek czeka wkrótce kryzys. Książę Westminsteru jest jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Posiada większość nieruchomości w centrum Londynu. Nasz przyjaciel naśladuje Jego Wysokość.

– A poza tym?

– A poza tym przelał forszę na pewne konto bankowe, z którego zapłacono za wydatki z kilku kart Visa. Użytkowników czterech z nich spotkaliście wczoraj. – Nie było to jeszcze potwierdzone, ale FBI niedługo połączy fakty w całość. – Wspominał też w e-mailach o wczorajszych „cudownych wydarzeniach”.

– Jakim cudem miałeś dostęp do jego e-maili? – spytał Dominic.

– Tego nie mogę powiedzieć. Musicie to wyciągnąć od kogoś innego.

– Założę się, że źródło jest jakieś piętnaście kilometrów stąd – stwierdził Dominic, wskazując na północny wschód. Społeczność szpiegów korzystała z kanałów zakazanych dla FBI.

Kuzyn Jack daremnie starał się zachować pokerową twarz.

– Zatem finansuje złych ludzi? – spytał z kolei Brian.

– Zgadza się.

– Czyli sam nie jest dobry... – drażył Brian.

– Raczej nie – zgodził się junior.

– Może się z nim spotkamy. Co jeszcze możesz nam powiedzieć? – ciągnął Brian.

– Ma kosztowne mieszkanie, rezydencję przy Berkeley Square. Niezła dzielnica, kilka przecznic od amerykańskiej ambasady. Lubi zabawiać się z dziwkami. Szczególną sympatią darzy niejaką Rosalie Parker. Brytyjskie służby specjalne mają na niego oko. Regularnie przesłuchują tę całą Parker. Płaci jej grube dolary. Gotówką. Panna Parker cieszy się ponoć dużą popularnością wśród bogaczy. Pewnie niezłe robi „huśtawkę” – dodał z niesmakiem Jack. – W aktach elektronicznych znajduje się jego aktualne zdjęcie. Jest mniej więcej w naszym wieku. Oliwkowa cera, bródka, dla kobiet może i seksowny... Jeździ astonem martinem. Niezły wozik. Jednak zazwyczaj porusza się po Londynie taksówkami. Nie ma wiejskiej posiadłości, ale w weekendy robi sobie wycieczki do wiejskich hotelików.

Przeważnie w towarzystwie panny Parker lub innej laski na telefon. Pracuje w dzielnicy finansowej. Ma biuro w budynku Lloyda, chyba na trzecim piętrze. Przeprowadza trzy, cztery transakcje tygodniowo. Według mnie przeważnie gapi się w telewizor, sprawdza notowania, czyta gazety... takie tam.

– Więc jest zepsutym synalkiem bogacza, któremu ciągle mało rozrywek? – podsumował

Dominic.

– Zgadza się. No i lubi bawić się na jezdni.

– To niebezpieczne, Jack – zauważył Brian. – Można nabawić się ostrego bólu głowy. –

Wprost nie mógł się doczekać spotkania z facetem, który sfinansował śmierć Davida Prentissa.

Jackowi nagle przyszło do głowy, że może panna Rosalie Parker z Londynu nie będzie już dostawała torebek od Louisa Vuittona. Cóż, jeśli jest tak sprytna, jak mówili goście z wywiadu, to pewnie ma już plan emerytalny.

– Co u twojego taty? – zagadnął Dominic.

– Pisze pamiętniki – odparł Jack. – Zastanawiam się, co przemilczy? Nawet mama niewiele wie o tym, co robił w CIA. Ja wiem bardzo mało, a i tak są to rzeczy, o których słyszałem, sporo jest kwestii, o których nie może napisać. Dotyczy to nawet spraw powszechnie znanych – nie może potwierdzić, że naprawdę tak było.

– Tak jak przeciągnięcie na naszą stronę tego szefa KGB. A to ci historia! Gość występował w telewizji. Chyba nadal jest wkurzony na twojego tatę, że nie pozwolił mu przejąć władzy w Związku Radzieckim. Pewnie myśli, że by go uchronił przed rozpadem.

– Może i tak. Tata ma wiele tajemnic. Tak jak jego kumple z Agencji. Zwłaszcza jeden, Clark. Straszny typ, ale jest blisko z tatą. Chyba siedzi teraz w Anglii. Zrobili go szefem tej nowej tajnej grupy antyterrorystycznej, o której co roku wspomina prasa. Mówią na nich

„faceci w czerni”.

– Stacjonują w Hereford, w Walii. Wcale nie są tacy tajni – sprostował Brian. –

Oficerowie ze zwiadu mieli z nimi wspólne ćwiczenia. Sam nigdy tam nie byłem, ale znam dwóch takich. Byli razem z brytyjską SAS. To są dopiero wojacy.

– Dużo o tym wiesz, Aldo? – spytał Dominic.

– Ludzie z sił specjalnych trzymają razem. Razem ćwiczymy, pożyczamy sobie sprzęt...



takie tam. Co ważniejsze, siadamy razem przy piwie i dzielimy się wojennymi opowieściami.

Każdy inaczej patrzy na problemy. Jeden ma gorsze, drugi lepsze pomysły. W oddziale Tęcza... u tych „facetów w czerni”, o których mają gryziopórki, są bystrzaki, ale i tak przez lata paru rzeczy się od nas nauczyli. Rzecz w tym, że są na tyle bystrzy, by nie zamykać się na nowe pomysły. Ich szef, ten cały Clark, też ponoć jest strasznie kumaty.

– No. Poznałem go. Tata mówi, że to debeściak. – Urwał, ale po chwili mówił dalej: –

Hendley też go zna. Nie mam pojęcia, czemu go tu nie ma. Pytałem o to, kiedy tylko zacząłem tu pracować. Może jest za stary.

– To zabójca?

– Spytałem o to kiedyś tatę. Odparł, że nie może powiedzieć. Czyli tak. Chyba go podszedłem. Zabawne, tata ni cholery nie potrafi kłamać.

– Kochał być prezydentem.

– Odszedł, bo stwierdził, że wujek Robby lepiej sobie z tym poradzi.

– I sobie radził, póki nie dorwał go ten skurwiel – zauważył Dominic.

Zabójca, niejaki Duane Farmer, siedział teraz w celi śmierci w Missisipi. Gazety ochrzciły go „ostatnim z Klanu”. Taki właśnie był – sześćdziesięcioośmioletni, potępiany przez wszystkich bigot. Nie mógł znieść myśli, że czarny może być prezydentem, i postanowił temu zaradzić. Użył rewolweru swego dziadka z czasów pierwszej wojny światowej.

– Źle się stało – przytaknął John Patrick Ryan junior. – Wiecie, że gdyby nie wujek Robby, nie byłoby mnie na świecie? To znana w rodzinie historia. Jego wersja była niezła.

Uwielbiał opowiadać takie historie. Byli z tatą bardzo blisko. Po tym jak załatwili Robby’ego, politykerzy zupełnie się pogubili. Niektórzy chcieli, by tata znów podniósł flagę, ale nic z tego. Chyba w ten sposób przyczynił się do wyboru tego całego Kealty’ego. Nie znosi go.

Tego też się nigdy nie nauczył: jak być miłym dla ludzi, których nie cierpi. Nie lubił mieszkać w Białym Domu.

– Ale był dobrym prezydentem – stwierdził Dominic.

– Mnie to mówisz? Chociaż mama była zadowolona, że odszedł. To całe bycie pierwszą damą rujnowało jej karierę lekarza. Bardzo martwiła się tym, co działo się z Kyle’em i Katie.

Znacie to powiedzenie, że najgorzej stanąć między matką a jej dzieckiem? Mówię wam, to prawda. Jeden jedyny raz widziałem, jak straciła panowanie nad sobą; tacie zdarza się to o wiele częściej.

Ktoś powiedział, że obowiązki uniemożliwiają jej uczestnictwo w akademii w przedszkolu Kyle'a. Jezus, ale się wkurzyła. W końcu pomogły opiekunki. A pismaki obsmarowały ją za to – jaka to z niej Amerykanka i tak dalej. Wiecie co? Gdyby strzelono tacie fotkę, jak się odlewa, to na pewno ktoś by powiedział, że nie tak się to robi.

– Po to są krytycy, żeby udowodniać, o ile lepsi są od tych, których krytykują.

– W Biurze też takich mamy, Aldo. To tak zwani prawnicy, inaczej OPR – powiedział

Dominic. – Zanim wstąpią na służbę, operacyjnie usuwa się im poczucie humoru.

– W marines też są reporterzy. Założę się, że ani jeden nie przeszedł szkolenia dla rekrutów. – Goście, którzy pracowali w wywiadzie, skończyli przynajmniej szkołę zasadniczą.

– Rozchmurzcie się. – Dominic wznosił toast. – Nas nikt nie będzie krytkował.

– Jeśli mu życie miłe – dodał ze śmiechem Jack. Cholera, pomyślał, co powie tata, kiedy się o tym dowie?

## Rozdział 16

### NA KOŃ!

Niedziela dla większości ludzi jest dniem odpoczynku. Nie inaczej w Campusie, z wyjątkiem ochroniarzy. Gerry Hendley wierzył, że Bóg miał rację. Siedmiodniowy tydzień pracy wcale nie zwiększał produktywności człowieka. Poza tym spowalniał umysł, wzbraniając mu swobodnych ćwiczeń z myślenia lub luksusu nicnierobienia.

Dziś jednak było inaczej. Dziś po raz pierwszy będą planować prawdziwe operacje.

Campus działał zaledwie od dziewiętnastu miesięcy. Większość tego czasu poświęcono na opracowanie przykrywki w postaci działalności handlowo-arbitrażowej. Szefowie wydziałów wielokrotnie podróżowali szybkim pociągiem do Nowego Jorku, gdzie spotykali się ze swoimi odpowiednikami w świecie legalnej finansjery. Choć wtedy wydawało się, że powoli im to idzie, z perspektywy czasu trzeba przyznać, że szybko wyrobili sobie niezłą opinię wśród firm zarządzających pieniędzmi. Tyle że pewnie nigdy nie ukażą światu prawdziwych wyników. Spekulowali walutami i kilkoma niezwykle starannie wybranymi pakietami akcji.

Czasem nawet wykorzystywali poufne informacje o firmach, które same nie wiedziały, jaki im się szykuje interes. Głównym celem było utrzymywanie przykrywki, ale ponieważ Campus sam musiał na siebie zarabiać, trzeba też było generować prawdziwy dochód.

Podczas drugiej wojny światowej Amerykanie obsadzili tajne służby prawnikami.

Brytyjczycy zatrudnili bankierów. Jedni i drudzy byli dobrzy w kantowaniu ludzi... i ich zabijaniu. Pewnie to kwestia spojrzenia na świat, pomyślał Hendley, popijając kawę.

Spojrzał na swoich pracowników. Jerry Rounds, szef wydziału planowania strategicznego. Sam Granger, szef wydziału operacyjnego. Jeszcze nim zbudowano ten budynek, ich trójka zastanawiała się nad kształtem świata i myślała, jak by tu zaokrąglić parę kantów. Był też z nimi Rick Bell, szef analityków. To on całymi dniami przeglądał materiały przechwycone z NSA i CIA, próbując wyłowić sens z potoku chaotycznych informacji –

oczywiście z pomocą trzydziestu pięciu tysięcy analityków z Langley, Fort Meade i innych podobnych miejsc. Jak wszyscy starsi analitycy lubił dokazywać na tym polu. Tu miał taką możliwość. Campus był za mały, by przygniatała go własna biurokracja. I on, i Hendley martwili się, że kiedyś może się to zmienić. Obaj pilnowali zatem, by nie budowano pod ich nosem jakiegoś imperium.

Według ich najlepszej wiedzy była to jedyna taka instytucja na świecie. Zorganizowano ją w taki sposób, by mogła zniknąć z powierzchni ziemi w ciągu dwóch, trzech miesięcy.

Ponieważ firma Hendley Associates nie zatrudniała inwestorów z zewnątrz, właściwie się nią nie interesowano, więc nie zauważano jej machinacji. Poza tym społeczność, w której działała, nie korzystała z reklamy. Łatwo się ukryć, jeśli wszyscy wokół robią to samo i nikt nikogo nie podkopyje... no, chyba że się go porządnie użądli. A Campus nie żądlił.

Przynajmniej nie w sprawach finansowych.

– A więc – rozpoczął Hendley – jesteśmy gotowi?

– Tak – odparł Rounds w imieniu swoim i Grangera.

Sam pokiwał poważnie głową, lekko się uśmiechnął i powiedział:

– Jesteśmy gotowi. Nasi dwaj chłopcy zdobyli ostrogi w sposób, jakiego nawet my nie oczekiwaliśmy.

– Zdobyli – potwierdził Bell. – A młody Ryan zidentyfikował pierwszy poważny cel, Salego. Piątkowe wydarzenia spowodowały napływ wiadomości. Ujawniły sporo kibiców.

Wielu z nich to wolni strzelcy i zwykli naśladowcy, ale jeśli nawet przez pomyłkę dziabniemy któregoś, to nic się nie stanie. Mam gotowych pierwszych czterech. Sam, wiesz już, jak się do nich zabrać?

– Zrobimy rozpoznanie bojem. Załatwimy jednego lub dwóch i zobaczymy, czy i jak zareagują. Potem postąpimy adekwatnie do wyników. Zgadzam się, że pan Sali wygląda na dobry pierwszy cel. Pytanie brzmi: wyeliminować potajemnie czy otwarcie?

– Wyjaśnij – polecił Hendley.

– No cóż, znajdą go martwego na ulicy, to jedna możliwość. Jeśli zniknie z pieniędzmi tatusia, zostawiając wiadomość, że chce się wycofać, to druga, zupełnie inna – wytłumaczył

Sam.

– Porwanie? To niebezpieczne. – Londyńska policja była skuteczna. Niebezpieczna gra, zwłaszcza jak na pierwszy ruch.

– Możemy wynająć aktora, ubrać w odpowiednie ciuchy, wsadzić w samolot do Nowego Jorku i pozwolić zniknąć. W tym czasie pozbędziemy się ciała i zatrzymamy kasę. Do jakiej sumy on ma dostęp, Rick?

– Bezpośredni? Cholera, jest tego ponad trzysta milionów baksów.

– Poprawi nam bilans – stwierdził Sam. – A tatuśkowi za bardzo nie zaszkodzi, prawda?

A tak w ogóle ile tego jest?

– Wszystkich pieniędzy ojca? Grubo ponad trzy miliardy – odparł Bell. – Lubi szmal, ale go to nie załamie. Zważywszy na to, jaką opinię ma o synu, może się to okazać dobrą przykrywką.

– Nie zalecam takiego sposobu działania, ale jest to jakaś alternatywa – mruknął Granger.

Już to naturalnie omawiali. Zbyt oczywista zagrywka, by umknęła ich uwagi. A trzysta milionów dolarów nieźle by wyglądało na koncie Campusu – na Bahamach czy w Liechtensteinie. Pieniądze można ukryć gdziekolwiek, byle mieli tam telefony. W końcu to tylko elektrony, nie złote sztabki.

Hendley był zaskoczony, że Sam poruszył tę kwestię. Może chciał sprawdzić kolegów. Z

pewnością nie zrobiła na nich wrażenia perspektywa skrócenia Salemu życia, ale przy tej okazji go okraść – o, to już inna para kaloszy. Zabawna sprawa z tym sumieniem, doszedł do wniosku Gerry.

– Zostawmy to na razie. Trudno będzie go sprzątnąć? – spytał.

– Z tym, co dał nam Rick Pasternak? To dziecinnie proste, jeśli tylko nasi ludzie czegoś nie spartaczą. A nawet wtedy będzie wyglądało na napad – oświadczył Granger.

– A jeśli jeden z naszych upuści pióro? – niepokoił się Rounds.

– To tylko pióro. Można nim pisać. Każdy gliniarz się na to nabierze – odparł pewnie Granger. Sięgnął do kieszeni i dał im do obejrzenia egzemplarz próbny. – To jest bezpieczne

– uspokoił ich.

Wszyscy byli wtajemniczeni. Ale nawet dla nich wyglądało jak drogie pióro, pokryte złotem, z

obsydianowym korpusem. Wystarczyło przekręcić i pióro zmieniało się w strzykawkę z zabójczą zawartością. Paraliżowała ofiarę w piętnaście, dwadzieścia sekund, zabijała w trzy minuty. Nie było na nią lekarstwa i nie pozostawiała śladów. Członkowie zarządu zgromadzeni przy stole konferencyjnym kolejno podawali sobie pióro. Wszyscy sprawdzali ostrość igły, próbowali markować ciosy. Zazwyczaj posługiwali się piórem jak szpikulcem do lodu, tylko Rounds trzymał je jak miniaturowy miecz.

– Miło byłoby wypróbować je „na sucho” – stwierdził cicho.

– Ktoś się zgłasza na ofiarę? – spytał Granger.

Nikt nie zareagował. Nic dziwnego, że nieswojo się czuli. Czas zrobić przerwę, by otrzeźwieć. To nie było zabawne.

– Polecą razem do Londynu? – zapytał Hendley.

– Tak – odparł Granger i dodał oficjalnym tonem: – Wyśledzą cel, wybiorą dogodny moment i sprzątną go.

– I zaczekają, żeby zobaczyć wynik? – spytał Rounds, choć znał odpowiedź.

– Dokładnie. Potem mogą odlecieć w poszukiwaniu kolejnego celu. Cała operacja potrwa najwyżej tydzień. Odstawimy ich do domu i poczekamy na rozwój wydarzeń. Będziemy wiedzieć, jeśli ktoś po jego śmierci podłączy się do funduszy, prawda?

– Powinniśmy – potwierdził Bell. – A jeśli ktoś je zwędzi, to go mamy.

– Wspaniale – ucieszył się Granger. To się nazywa rozpoznanie bojem.

Nie będziemy tu długo, myśleli bliźniacy. Zakwaterowano ich w przyległych pokojach w miejscowym Holiday Inn. Tego niedzielnego popołudnia oglądali telewizję w towarzystwie swojego gościa.

– Jak tam wasza mama? – zagadnął Jack.

– W porządku. Sporo się udziela w miejscowych szkołach parafialnych. Pomaga nauczycielom, choć właściwie nie uczy. Tata pracuje nad jakimś nowym projektem. Ponoć Boeing powrócił do koncepcji odrzutowca naddźwiękowego. Tata mówi, że pewnie nigdy go nie zbudują, chyba że Waszyngton rzuci kasą. Jednak po tym, jak Concorde poszedł w odstawkę, znów się o tym myśli, a Boeing lubi, jak jego inżynierowie mają zajęcie. Trochę martwią się Airbusem. Nie chcą obudzić się z ręką w nocniku, gdyby Francuzi nagle zrobili się ambitni.

– Jak było w korpuse? – spytał Jack Briana.

– Korpus to korpus. Trzymają cię w pogotowiu do następnej wojny.

– Tata się martwił, kiedy pojechałeś do Afganistanu.

– Było trochę emocji, ale bez przesady. Ludzie tam są twardzi i niegłupi, lecz niewykszoleni. Kiedy doszło do przepychanek, my byliśmy górą. W razie czego wzywaliśmy wsparcie z powietrza. Zazwyczaj wystarczało.

– Ilu?

– Ilu zdjęliśmy? Kilku. Za mało. Zielone berety były pierwsze. Nauczyli Afgańczyków, że otwarta walka nie leży w ich interesie. Do nas należał głównie pościg i zwiad. Był z nami gość z CIA i oddział wywiadu radiowego. Przeciwnik trochę za często korzystał z radia. Gdy już go namierzyliśmy, zbliżaliśmy się na jakieś półtora kilometra, żeby się bliżej przyjrzeć.

Jeśli to, co widzieliśmy, było interesujące, wzywaliśmy atak z powietrza. Jatka. Aż strach było patrzeć.

– No myślę. – Jack otworzył puszkę piwa.

– A wracając do Salego... tego, co kręci z Rosalie Parker – odezwał się Dominic. Jak większość gliniarzy miał pamięć do nazwisk. – Mówiłeś, że aż skakał z radości po tych strzelaninach?

– Owszem – potwierdził Jack. – Uważał, że były fantastyczne.

– A z kim dzielił się swoją radością?

– Z gośćmi, do których mailuje. Brytyjczycy mają na podsłuchu jego telefony, śledzą e-maile. O e-mailach nie mogę wam mówić, to już wiecie. Te europejskie systemy telefonii nie są nawet w połowie tak bezpieczne, jak się uważa. Jasne, każdy wie, że można przechwycić rozmowę z komórki, ale tamtejsi gliniarze pozwalają sobie na takie rzeczy, o jakich my możemy pomarzyć. Angole namierzają w ten sposób gości z IRA. Słyszałem, że pozostałe kraje europejskie mają jeszcze większą swobodę działania.

– Ano mają – zapewnił Dominic. – W akademii było kilku Europejczyków, w ramach programu narodowego, to taki doktorat dla gliniarzy. Po paru drinkach mówili nam o takich rzeczach. Więc mówisz, że Salemu podobało się, co zrobili ci skurwiele?

– Jakby jego zespół wygrał Super Bowl – odparł bez wahania Jack.

– Finansuje ich? – upewnił się Brian.

– Tak.

– Ciekawe... – mruknął Brian.

Mógł zostać jeszcze jedną noc, ale miał sprawy do załatwienia z samego rana. Pojechał

więc z powrotem do Londynu swoim czarnym Astonem Martinem Vanquish. Wykonany na specjalne zamówienie dwunastocylindrowy silnik pracował z pełną mocą swych czterystu sześćdziesięciu koni mechanicznych, kiedy mknął na wschód autostradą M4 z szybkością stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Na swój sposób to lepsze niż seks. Szkoda, że nie ma z nim Rosalie, jednak – tu spojrzął na swoją towarzyszkę – Mandy też nieźle grzała łóżko, choć jak na jego gust była trochę zbyt koścista. Gdyby tylko nabrała trochę ciała... lecz europejska moda do tego nie zachęca. Ci głupcy, którzy ustalali kanony piękna kobiecego ciała, pewnie byli pedałami. Chcieliby, żeby wszystkie wyglądały jak młodzi chłopcy. Obłąd, pomyślał Sali. Czysty obłąd.

Jednak Mandy, w przeciwieństwie do Rosalie, lubiła jeździć jego samochodem. Rosalie niestety bała się szybkiej jazdy. Nie bardzo ufała jego umiejętnościom. Miał nadzieję, że będzie mógł zabrać swój wóz do domu – samolotem, rzecz jasna. Jego brat też miał szybki samochód, ale sprzedawca zapewnił go, że ta rakietka na czterech kołach wyciąga ponad trzysta kilometrów na godzinę. W Królestwie były ładne, płaskie i proste drogi. No dobra, jego kuzyn latał na myśliwcach Tornado w Saudyjskich Królewskich Siłach Powietrznych, ale ten samochód należał do niego, a to była gigantyczna różnica. Niestety, tu, w Anglii, policja nie pozwoli mu docisnąć gaz do dechy – jeszcze jeden mandat i może stracić prawo jazdy. W domu nie będzie miał takich problemów. A jak już zobaczy, co to cacko naprawdę potrafi, sprowadzi je z powrotem do Gatwick i będzie nim podniecać kobiety. To prawie tak dobre jak sama jazda. Mandy była podniecona, jak należy. Trzeba będzie jutro kupić ładną torebkę Vuittona i wysłać posłańca do jej mieszkania. Czasem warto być hojnym dla kobiet.

Rosalie musi zrozumieć, że ma konkurencję.

Wjechał do miasta tak szybko, jak mógł, zważywszy na ruch uliczny i policję. Przemknął

obok Harrodsa, przez tunel, obok domu księcia Wellingtona, skręcił w prawo w Curzon Street i potem w lewo, na Berkeley Square. Mignął światłami, by mężczyzna, któremu płacił za pilnowanie miejsca parkingowego, odjechał. Mógł zaparkować przed samym frontem swojej trzypiętrowej rezydencji z czerwono-brązowego piaskowca. Demonstrując europejskie manieri, wysiadł z samochodu, pomknął na drugą stronę i otworzył drzwi Mandy. Z

galanterią poprowadził ją do okazałych dębowych drzwi domu i z uśmiechem je przed nią otworzył. W końcu za kilka minut ona otworzy przed nim jeszcze piękniejsze wrota.

– Gnojek wrócił – oznajmił Ernest, zaznaczając czas na karcie przyklepionej do podkładki.

Dwóch oficerów służb specjalnych siedziało w furgonetce British Telecom zaparkowanej

pięćdziesiąt metrów dalej. Byli tam od niemal dwóch godzin. Ten saudyjski świr jeździł, jakby był wcieleniem Jimmy'ego Clarka.

– Pewnie miał lepszy weekend niż my – stwierdził Peter. Potem zaczął włączać różne systemy podsłuchowe w georgiańskiej rezydencji. Były tam trzy kamery. Taśmy zabierał co trzeci dzień oddział infiltracji. – Ma skurczybyk wigor.

– Pewnie łyka viagrę – powiedział Ernest jakby z zazdrością.

– Dziewczyna musi być niezła w te klocki, brachu. Będzie go to kosztować równowartość naszej dwutygodniowej pensji. Za taką sumkę panienka na pewno okaże wdzięczność.

– Gnojek – ponuro rzekł Ernest.

– Jest chuda, ale niewąska, chłopcze – roześmiał się Peter. Wiedzieli, ile sobie liczy za swoje sztuczki Mandy Davis. Jak to mężczyźni, zastanawiali się, co takiego robi, by zapracować na te pieniądze. Oczywiście nią pogardzali. Jako oficerowie kontrwywiadu nie darzyli jej taką sympatią, jaką mógłby czuć doświadczony policjant do dziewczyny bez kwalifikacji, która próbuje zarobić na życie. Siedemset pięćdziesiąt funtów za wieczór, dwa tysiące za całą noc. Nikt nie zapytał, ile bierze za weekend.

Obaj wsadzili do uszu słuchawki. Chcieli się upewnić, czy mikrofony działają. Zmieniali kanały, przełączając się między urządzeniami w domu.

– Niecierpliwy jest, skurwiel – zauważył Ernest. – Ona pewnie zostanie na noc?

– Mogę się założyć, Ernie. Może potem gnojek w końcu chwyci za telefon i dowiemy się czegoś użytecznego.

– Cholerny Arabus – burknął Ernest przy aprobacie partnera. Obaj uważali, że Mandy jest ładniejsza niż Rosalie.

Mandy Davis wyszła o 10.23. Zatrzymała się jeszcze w drzwiach, pozwalając skraść sobie ostatni pocałunek, i odeszła z uśmiechem, który mógł złamać facetowi serce. Poszła Berkeley Street w kierunku Piccadilly. Nie skręciła jednak w prawo przy aptece, żeby pójść do stacji metra na rogu Piccadilly i Stratton, ale złapała taksówkę i pojechała do New Scotland Yardu. Tam złoży raport miłemu młodemu detektywowi. Nawet jej się podobał, ale jako profesjonalistka nie mieszała jednego biznesu z drugim. Uda był tyleż pełen wigoru, co hojny, ale jeśli w ich związku były jakieś złudzenia, to jego, nie jej.

Na wyświetlaczu LED pojawiły się cyfry. Zarejestrowały je, wraz z datownikiem, oba laptopy – i co najmniej jeden komputer w Thames House. Każdy z telefonów Salego wyposażono w rejestratory



PIN, które odnotowywały wszystkie połączenia. Podobne urządzenie rejestrowało rozmowy przychodzące. Trzy magnetofony nagrywały każde słowo.

Tym razem była to zamorska rozmowa przez komórkę.

– Dzwoni do swojego przyjaciela Muhammada – stwierdził Peter. – Ciekawe, o czym będą rozmawiać.

– Zakład, że przynajmniej przez dziesięć minut o weekendowych przygodach?

– O tak, o tym to on lubi gadać.

– Jest zbyt chuda, ale to wytrawna nierządnicą, przyjacielu. A to już coś jak na niewierną

– zapewnił Sali. Wiedział, że Mandy i Rosalie go lubią.

– Cieszę się, Uda – cierpliwie odparł Muhammad, który dzwonił z Paryża. – Ale przejdźmy do interesów.

– Jak sobie życzysz, przyjacielu.

– Operacja w Ameryce zakończyła się powodzeniem.

– Tak, widziałem. Ilu w sumie?

– Osiemdziesiąt trzy trupy i stu czterdziestu trzech rannych. Mogło być więcej, lecz jeden z zespołów popełnił błąd. Najważniejsze jednak, że wszystko przedostało się do mediów. Ich telewizja pokazuje dziś na okrągło naszych świętych męczenników i skutki ich ataku.

– To wspaniale. Prawdziwy tryumf Allaha.

– O tak. Do rzeczy. Potrzebuję przelewu na moje konto.

– Ile?

– Sto tysięcy funtów powinno na razie wystarczyć.

– Mogę to załatwić przed dziesiątą rano. – Prawdę mówiąc, mógł to załatwić godzinę czy dwie wcześniej, ale zamierzał trochę sobie jutro pospać. Mandy go wymęczyła. Teraz leżał w łóżku, pił francuskie wino, palił papierosa i jednym okiem zerkał na telewizor. Czekał na serwis Sky News o pełnej godzinie. – To wszystko?

– Tak. Na razie.

– Zrobi się.

– Świetnie. Dobranoc, Uda.

– Poczekaj, mam pytanie...

– Nie teraz. Musimy zachować ostrożność – ostrzegł Muhammad. Korzystanie z komórki bywa niebezpieczne. Odpowiedziało mu westchnienie.

– Jak sobie życzysz. Dobrej nocy. – I rozłączyli się.

– W Somerset jest przyjemny pub Pod Błękitnym Odyńcem – opowiadała Mandy. –

Jedzenie mają przyzwoite. W piątek wieczorem Uda zamówił sobie indyka i dwa duże piwa.

A zeszłego wieczoru jedliśmy w restauracji naprzeciwko hotelu Orchard. Zamówił

chateaubrianda, a ja solę. W sobotę po południu poszliśmy na krótkie zakupy. Nie chciał za bardzo wychodzić, wolał zostać w łóżku.

Przystojniaczek wszystko nagrywał. Poza tym robił notatki, tak jak i drugi policjant. Obaj byli profesjonalistami, jak ona.

– Mówił o czymś? O wiadomościach w telewizji lub w gazetach?

– Oglądał wiadomości, ale słówkiem się nie odezwał. Powiedziałam, że to straszne, ci wszyscy zabici, ale on tylko coś burknął. Potrafi być bez serca, choć dla mnie zawsze jest miły. Złego słowa mi jeszcze nie powiedział – oznajmiła, patrząc na nich wielkimi błękitnymi oczami.

Gliniarzom trudno było zachować profesjonalizm. Mandy wyglądała jak modelka, choć ze wzrostem metr siedemdziesiąt parę była na nią za niska. Niejeden na to polecał. Jednak serce miała z lodu. Smutne, ale to nie ich zmartwienie.

– Dzwonił gdzieś?

Potrząsnęła głową.

– Nie. Nie miał ze sobą swoich komórek. Powiedział mi, że cały jest mój i w ten weekend nie będę musiała się nim z nikim dzielić. Pierwszy raz. Poza tym było jak zwykle. – Coś jeszcze przyszło jej na myśl: – Więcej się teraz kąpie. Codziennie brał prysznic i nawet nie narzekał. Pewnie dlatego, że brał go ze mną. – Uśmiechnęła się do nich kokieteryjnie. – I to właściwie było wszystko.

– Dziękujemy, panno Davis. Jak zwykle bardzo nam pani pomogła.

– Robię tylko swoje. Myślicie, że jest terrorystą, czy coś? – nie mogła się powstrzymać.

– Nie. Gdyby była pani w niebezpieczeństwie, ostrzegliśmy panią.

Mandy

sięgnęła

swojej









i

wyciągnęła

nóż

dwunastocentymetrowym ostrzem. Posiadanie takiej broni było nielegalne, ale w jej branży przydawał się taki niezawodny przyjaciel. Detektywi doskonale to rozumieli. Zakładali też, że wie, jak się nim posługiwać.

– Potrafię o siebie zadbać – zapewniła. – Ale Uda taki nie jest. Powiedziałabym nawet, że to dżentelmen. Jednego się można nauczyć w mojej branży: kobieta zna się na mężczyznach.

Nie jest niebezpieczny, no, chyba że cholernie dobrze gra. Zabawia się pieniędzmi, nie bronią.

Obaj gliniarze potraktowali tę deklarację serio. Racja – jeśli dziwki były w czymś dobre, to w poznawaniu się na mężczyznach. Te, które tego nie umiały, często umierały przed dwudziestką.

Mandy pojechała do domu, a dwaj detektywi z wydziału specjalnego spisali jej zeznania i przesłali e-mailem do Thames House, gdzie dołączono je do akt młodego Araba.

Brian i Dominic przybyli do Campusu punktualnie o ósmej. Z nowymi przepustkami pojechali windą na ostatnie piętro, gdzie przez pół godziny siedzieli przy kawie, czekając na Gerry'ego Hendleya. Kiedy się pojawił, obaj szybko wstali. Zwłaszcza Brian.

– Dzień dobry – powiedział były senator, gdy ich mijał. Zatrzymał się na chwilę. –

Najpierw pogadajcie z Samem Grangerem. Rick Pasternak zjawi się tu około dziewiątej piętnaście. Sam powinien już tu być. Muszę teraz iść do siebie. W porządku?

– Tak, sir – zapewnił Brian. A co tam, kawę mają niezłą. Dwie minuty później z windy wysiadł Granger.

– Cześć, chłopaki. Zapraszam do mnie.

No i poszli.

Biuro Grangera nie było tak duże jak Hendleya, ale też nie był to boks dla żółtodzioba.

Wskazał im dwa krzesła dla gości i powiesił marynarkę.

– Kiedy będziecie gotowi wykonać zadanie?

– Co powiesz na dzisiaj? – odparł Dominic.

Granger uśmiechnął się. Zbyt ni zapał też mógł martwić. Z drugiej strony... trzy dni temu... może więc ten zapał nie był taki zły.

– Jest jakiś plan? – spytał Brian.

– O tak. Opracowaliśmy go przez weekend. – Granger wyjaśnił im najpierw koncepcję rozpoznania bojem.

– Sensowne – stwierdził Brian. – Gdzie mamy to zrobić?

– Pewnie na ulicy. Nie powiem wam, jak wykonać misję. Powiem wam, co macie zrobić.

A jak to zrobicie, to już wasza sprawa. Co do waszego pierwszego celu, to wiemy, gdzie mieszka i jakie są jego zwyczaje. Musicie tylko go zidentyfikować i zdecydować, jak wykonać robotę.

Wykonać robotę, pomyślał Dominic. Jak z Ojca chrzestnego.

– Kto i dlaczego?

– Nazywa się Uda bin Sali, ma dwadzieścia sześć lat, mieszka w Londynie.

Bliźniacy wymienili rozbawione spojrzenia.

– Powinienem się być domyślić – odezwał się Dominic. – Jack opowiadał nam o nim. To ten typek od pieniędzy, co lubi dziwki, tak?

Granger otworzył szarą teczkę i podał im przez biurko.

– Tu macie zdjęcia Salego i jego dwóch dziewczyn. Lokalizację i fotografie jego londyńskiego domu. A tu jego zdjęcie w samochodzie.

– Aston martin – zauważył Dominic. – Niezła bryka.

– Pracuje w dzielnicy finansowej, ma biuro w budynku agencji ubezpieczeniowej Lloyd's.

– Kolejne zdjęcia. – Jest jedno utrudnienie. Zazwyczaj ma ogon. Służby specjalne, MI-5, mają na niego oko, ale przydzielili mu żółtodzioba. I to tylko jednego. Pamiętajcie o tym.

– Nie używamy broni palnej, prawda? – spytał Brian.

– Mamy coś lepszego. Działa bez hałasu, gładko i ukradkiem. Zobaczycie, jak przyjedzie Rick Pasternak. Żadnej broni palnej w tej misji. Kraje europejskie za nią nie przepadają, a walka wręcz jest zbyt niebezpieczna. To ma wyglądać na zawał.

– Nie zostawia śladów? – zaniepokoił się Dominic.

– Możecie o to spytać Ricka. On to wyjaśni naukowo.

– A czym to zrobimy?

– Tym. – Granger otworzył szufladę biurka i wyjął „bezpieczne” niebieskie pióro. Podał im je i objasnił, jak działa.

– Wystarczy ukłuć go w tyłek?

– Tak. Wstrzykuje siedem miligramów sukcyliny. Obiekt zostaje sparaliżowany.

Mózg umiera w ciągu kilku minut. Całkowita śmierć następuje w niecałe dziesięć.

– A co z pomocą medyczną? Co będzie, jeśli w pobliżu znajdzie się karetka?

– Rick mówi, że to bez znaczenia, chyba że obiekt znajdzie się na sali operacyjnej.

– Nieźle. – Brian wziął do ręki zdjęcie celu. Patrzył na nie, ale widział twarzyczkę Davida Prentissa.

– Masz pecha, koleś.

– Widzę, że nasz przyjaciel miał przyjemny weekend – rzucił Jack. Raport zawierał

zdjęcie panny Mandy Davis oraz transkrypt z jej zeznań. – Ale laska.

– Nie jest tania – mruknął Wills.

– Ile życia mu jeszcze zostało? – spytał wprost Jack.

– Lepiej na ten temat nie spekulować.

– Ci dwaj zabójcy... kurde, Tony, to moi kuzyni.

– Nic o tym nie wiem i nie chcę wiedzieć. Im mniej wiemy, tym mniej mamy problemów.

Kropka – powiedział Wills z naciskiem.

– Jak chcesz, kolego. Ale jeśli nawet sympatyzowałem z tym typkiem, to moja sympatia wygasła, kiedy zaczął kibicować ludziom z gnatami. I finansować ich. Są pewne granice.

– Zgadza się, Jack. Uważaj, żebyś sam jakiejś nie przekroczył.

Jack Ryan junior zastanowił się przez sekundę. Czy chce być zabójcą? Pewnie nie, ale kilku ludzi trzeba zabić, a Uda bin Sali właśnie do nich dołączył. Jeśli jego kuzyni mają go zdjąć, to po prostu wyręcą Pana Boga – albo ojczyznę. A to właściwie to samo. Tak go wychowano.

– Tak szybko, doktorze? – spytał Dominic.

– Tak szybko – potaknął Pasternak.

– Tak niezawodnie? – chciał wiedzieć Brian.

– Wystarczy pięć miligramów. Pióro wstrzykuje siedem. Gdyby ktoś przeżył, byłby to cud. Niestety, to bardzo nieprzyjemna śmierć, ale nic na to nie można poradzić. Jasne, moglibyśmy stosować jad kiełbasiany, to bardzo szybko działająca neurotoksyna, lecz da się wykryć przy pośmiertnym badaniu toksykologicznym. Sukcynylocholina ładnie się metabolizuje. Wykrycie jej byłoby kolejnym cudem. No, chyba że patolog wiedziałby dokładnie, czego szukać. Mało prawdopodobne.

– Jeszcze raz, jak szybko to działa?

– Po dwudziestu, trzydziestu sekundach, w zależności od tego, jak blisko żyły się wkłujecie. Potem substancja spowoduje całkowity paraliż. Nie mrugnie nawet okiem. Nie będzie mógł poruszać przeponą, więc i oddychać. Płucom zabraknie tlenu. Jego serce będzie nadal bić, ale ponieważ to ono zużywa najwięcej tlenu, w ciągu kilku sekund zagrozi mu niedotlenienie. Oznacza to, że tkanka serca zacznie obumierać. Ból będzie straszny.

Zazwyczaj w ciele znajduje się rezerwa tlenu. Jej wielkość zależy od kondycji – otyli mają niniejszy zapas tlenu niż szczupli. W każdym razie najpierw siądzie serce. Będzie próbowało dalej bić, ale to tylko zwiększy ból. Śmierć mózgu nastąpi w trzy do sześciu minut. W tym czasie będzie wszystko słyszał, ale nie widział.

– Nie widział? Dlaczego? – przerwał Brian.

– Zamkną się powieki. Sukcynylocholina powoduje całkowity paraliż. Obiekt będzie więc leżał, odczuwając straszliwy ból, nie mogąc się poruszyć. Serce będzie próbowało pompować odtlenioną krew, aż komórki mózgu zniszczy zamartwica. Teoretycznie można potem utrzymywać ciało przy życiu: mięśnie najdłużej obywają się bez tlenu, ale mózg przestanie istnieć. To tak pewne, jak kula w łąb. Nie robi jednak hałasu i nie zostawia dowodów. Komórki serca, umierając, wytwarzają enzymy takie jak przy zawale. Tak więc patolog badający zwłoki będzie brać pod uwagę atak serca lub wylew, na przykład spowodowany guzem mózgu. Może nawet rozkroi mózg. Jednak analiza krwi wykaże atak serca i to powinno zakończyć sprawę. Nie wykaże sukcynylocholiny, bo ulega ona rozkładowi, nawet po śmierci. Lekarz stwierdzi rozległy zawał. Zdarza się. Zbadają krew na cholesterol i inne czynniki ryzyka, ale nic nie zmieni faktu, że obiekt zmarł z niemożliwej do ustalenia przyczyny.

– Jezu! – wykrztusił Dominic. – Doktorze, jak pan, do cholery, trafił do tej branży?

– Mój młodszy brat był wiceprezesem Cantor Fitzgerald – odparł krótko Pasternak.

– Więc musimy uważać z tymi piórami, co? – spytał Brian. Dostatecznie dużo zrozumiał.

– Ja tam bym uważał – doradził Pasternak.

## Rozdział 17

LIS!

Wylecieli z międzynarodowego portu lotniczego Dullesa samolotem British Airways. Był to boeing 747; przy konstrukcji tego modelu pracował ich ojciec przed dwudziestu siedmiu laty. Dominicowi przyszło do głowy, że sikał jeszcze wtedy w pieluchy. Trochę czasu upłynęło!

Obaj mieli nowiutkie paszporty. Wszystkie potrzebne dokumenty znajdowały się w laptopach, w pełni zaszyfrowane. Mieli modemy i oprogramowanie komunikacyjne. Też zaszyfrowane. Poza tym byli zwyczajnie ubrani, jak inni pasażerowie w pierwszej klasie. Po osiągnięciu wysokości przelotowej stewardesy uwijały się jak w ukropie, roznosząc posiłki.

Bracia zamówili też wino. Jedzenie było przyzwoite – jak na posiłek w samolocie. Tak samo zestaw filmów. Brian wybrał *Dzień Niepodległości*, Dominic zdecydował się na *Matrix*. Od dzieciństwa lubili science fiction. W kieszeniach marynarek obaj mieli swoje złote pióra.

Zapasowe naboje były w saszetkach z przyborami do golenia, zapakowanymi w bagażu, gdzieś tam w luku. Za sześć godzin wylądają na Heathrow. Pewnie trochę się zdrzemną.

– Masz wątpliwości, Enzo? – cicho spytał Brian.

– Nie – odparł Dominic. – Zastanawiam się tylko, czy to zadziała. – Nie musiał dodawać, że angielskie cele więzienne mają kiepską hydraulikę. Bez względu na to, jak krępujące byłoby to dla oficera marine, dla agenta FBI byłoby to prawdziwe poniżenie.

– W porządku. Dobranoc, braciszku.

– Bez odbioru.

Rozłożyli siedzenia niemal na płask. I tak lecieli nad Atlantykiem przez cztery i pół tysiąca kilometrów.

Jack junior wrócił do swojego mieszkania. Wiedział, że kuzyni wyruszyli za ocean. Nie powiedziano mu właściwie po co. Nie trzeba było jednak wielkiej wyobraźni, żeby domyślić się celu misji. Uda bin Sali nie przeżyje kolejnego tygodnia. Zastanawiał się, jak zareagują na to Brytyjczycy. Będą podekscytowani? Zmartwieni? Zdążył się już nauczyć tajników tego fachu. Ciekawa robota. Spędził w Londynie wystarczająco dużo czasu, by wiedzieć, że broń palna nie jest tam mile widziana. Chyba że zabijano na rozkaz rządu. W takim przypadku –

jeśli na przykład SAS pozbywała się kogoś szczególnie nielubianego na Downing Street 10 –

policja wiedziała, że ma nie wnikać w sprawę. Może przesłuchiwali kogoś pro forma, a potem zamykali sprawę jako nierozwiązaną. Nie trzeba być geniuszem, by się tego domyślić.

Tym razem to Amerykanie wykonują robotę na angielskiej ziemi. Był pewien, że nie ucieszy to rządu Jej Królewskiej Mości. W dodatku to nie jest akcja amerykańskiego rządu. Z

punktu widzenia prawa to morderstwo z premedytacją. Żaden rząd tego nie toleruje.

Cokolwiek się stanie, miał nadzieję, że zachowają ostrożność. Nawet jego ojciec nie mógł tu wiele poradzić.

– Och, Uda, ale z ciebie ogier! – krzyknęła Rosalie Parker, kiedy w końcu z niej zszedł.

Zerknęła na zegarek. Późno się zrobiło, a ona ma jutro po lunchu spotkanie z nafciarzem z Dubaju. Miły staruszek i do tego hojny. Choć kiedyś powiedział jej, że przypomina mu jedną z ukochanych córek. Stary łobuz.

– Zostań na noc – zażądał Uda.

– Nie mogę, kochanie. Muszę zabrać mamę na lunch, a potem na zakupy do Harrodsa.

Dobry Boże, muszę uciekać. – I niby rozgorączkowana, poderwała się z łóżka.

– Nie. – Uda przytrzymał ją za ramię.

– Ty diable! – Zachichotała i uśmiechnęła się ciepło.

– My mówimy na niego *szajtan* – poprawił ją Uda. – A ja nie mam z nim nic wspólnego.

– Ty to potrafisz wykończyć dziewczynę, Uda. – Nie, żeby było w tym coś złego, ale miała sprawy do załatwienia. Wstała więc i zebrała rzeczy z podłogi, gdzie je rzucił.

– Rosalie, moja miłości, dla mnie istniejesz tylko ty – wymamrotał. Wiedziała, że to kłamstwo. W końcu to ona przedstawiła go Mandy.

– Czyżby? – spytała.

– Ach, o nią ci chodzi. Zbyt koścista. Za mało je. Nie jest taka jak ty, moja księżniczko.

– Aleś ty milutki. – Pochyliła się, pocałowała go i włożyła stanik. – Uda, jesteś najlepszy

– oznajmiła. Dobrze jest dopieścić męskie ego. A on był wyjątkowo próżny.

– Mówisz tak tylko, żebym się dobrze poczuł.

– Że niby gram? Uda, na twój widok aż mi się świecą oczy. Ale muszę lecieć, kochanie.

– Jak sobie życzysz. – Ziewnął.

Kupię jej jutro buty, zdecydował. Niedaleko biura otworzyli nowy sklep Jimmy’ego Choo. Już od jakiegoś czasu chciał tam wpaść. Pamiętał, że Rosalie ma stopy dokładnie rozmiaru sześć. Bardzo mu się podobały.

Rosalie wpadła na moment do łazienki, by zerknąć w lustro. Włosy miała w nieładzie –

Uda zawsze je burzył, jakby znacząc swój teren. Kilka ruchów szczotką – i już dobrze.

– Zmykam, kochanie. – Znów pochyliła się, by go pocałować. – Nie wstawaj. Znam drogę. – Ostatni pocałunek... dłuższy, zapraszający... do następnego razu.

Uda był jednym ze stałych klientów, więc wróci tu. A Mandy? Dobra przyjaciółka, ale to ona wie, jak traktować tych Arabusów. W dodatku nie musi się głodzić jak jakaś cholerna modelka. Mandy ma za dużo amerykańskich i europejskich klientów, żeby jeść jak człowiek.

Wyszła i zatrzymała taksówkę.

– Dokąd, złotko? – spytał taksjarsz.

– New Scotland Yard.

Pobudka w samolocie zawsze dezorientuje. Nawet jeśli śpi się w wygodnym siedzeniu.

Stewardesy podniosły żaluzje, zapaliły światła, a w słuchawkach pasażerowie usłyszeli wiadomości – niekoniecznie aktualne, bo brytyjskie. Podano śniadanie – syte, z niezłą kawą.

Przez iluminator po prawej Brian widział już zielone pola Anglii; przespał lot nad czarnym wzburzonym oceanem. Na szczęście nic mu się nie śniło. Obaj bliźniacy bali się teraz snów.

W przeszłości bywało nieciekawie, a przyszłości trochę się lękali mimo podjętej decyzji.

Dwadzieścia minut później 747 delikatnie usiadł na Heathrow. Pracownicy urzędu imigracyjnego byli sympatyczni. Czysta formalność. Angole robią to lepiej od Amerykanów, pomyślał Brian. Szybko odebrali bagaż i poszli poszukać taksówki.

– Dokąd, panowie?

– Hotel Mayfair na Stratton Street.

Kierowca kiwnął głową i ruszyli na wschód. Jechali jakieś pół godziny. Zaczęły się poranne godziny szczytu. Brian pierwszy raz był w Anglii. Dominik – nie. Dla jednego widoki były przyjemnie nowe,



dla drugiego przyjemnie znajome. Jak w domu, pomyślał

Brian, tyle że jeżdżą lewą stroną. Na pierwszy rzut oka kierowcy wydawali się też bardziej uprzejmi, ale tak naprawdę trudno to ocenić. Minęli pole golfowe z trawą w szmaragdowym odcieniu. W godzinach szczytu Londyn przypominał Seattle.

Pół godziny później patrzyli już na soczystą zieleń Green Park. Taksówka skręciła w lewo, przejechała jeszcze dwie przecznice – i ujrzeli hotel. Po drugiej stronie ulicy był salon Astona Martina. Samochody lśniły jak diamenty na wystawie u Tiffany’ego w Nowym Jorku.

Bogata dzielnica. Choć Dominic był już w Londynie, tu się nie zatrzymywał. Amerykańscy hotelarze wiele się mogli nauczyć od swoich europejskich kolegów w kwestii obsługi i gościnności. Sześć minut później byli już w swych pokojach. Wanny były tak duże, że rekin mógłby w nich pływać. Ręczniki wisiały na wieszakach ogrzewanych parą. Barek oferował

bogaty wybór alkoholi, choć ceny były słone. Bliźniacy wzięli prysznic. Rzut oka na zegarek.

Za kwadrans dziewiąta. Berkeley Square jest ledwie o sto metrów – poszli więc piechotą.

Dominic szturchnął brata, pokazując na lewo.

– Ponoć miał tu siedzibę MI-5, na Curzon Street. Żeby dojść do ambasady, trzeba wejść na szczyt wzgórza, skręcić w lewo, dwie przecznice dalej w prawo i znów w prawo... i jesteś na Grosvenor Square. Paskudny budynek, ale to właśnie przedstawicielstwo naszego rządu. A nasz przyjaciel mieszka... o tam, po drugiej stronie parku, tuż obok Banku Westminster. To ten, który ma na szyldzie konia.

– Chyba drogo tutaj – zauważył Brian.

– Bardzo – przytaknął Dominic. – Te domy kosztują kupę szmalu. W większości z nich są po trzy mieszkania, ale nasz drogi Uda ma dla siebie całą rezydencję. Istny seksualny Disneyland. Hmmm – zamyślił się na widok furgonetki British Telecom zaparkowanej dwadzieścia metrów dalej. – Założę się, że to inwigilacja... Dość oczywiste. – W środku nie było widać ludzi, pewnie tylko dlatego, że szyby były nieprzezroczyste z zewnątrz. Jedyne tani pojazd w okolicy, w której najmniej okazałym wozem był jaguar. Pośród samochodów królował czarny vanquish po drugiej stronie parku.

– Cholera, to ci dopiero maszyna – mruknął Brian. Nawet jak stała, wyglądała, jakby pędziła sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

– Prawdziwy champion to wyścigówka F1 McLarena. Milion baksów, a tylko jedno siedzenie. Szybki jak odrzutowiec. Ten, na który patrzysz, wart jest jakieś ćwierć bańki, braciszku.

– Oż kurwa! Aż tyle? – zdziwił się Brian.

– Robota na zamówienie, Aldo. Goście, którzy je produkują, w wolnych chwilach pracują w Kaplicy Sykstyńskiej. O tak, niezła bryka. Szkoda, że mnie na nią nie stać. Silnik można by pewnie przełożyć do spitfire’a i postrzelać sobie do Niemców...

– Pewnie dużo pali – pocieszał się Brian.

– No cóż... wszystko ma swoją cenę... Kurde! Jest nasz chłopak.

Otworzyły się drzwi rezydencji i wyszedł z nich młody mężczyzna. Miał na sobie szary trzyczęściowy garnitur. Przystanął na drugim z czterech stopni schodów i spojrzał na zegarek.

Jak na komendę podjechała czarna taksówka. Zszedł po schodkach i wsiadł do auta.

Metr siedemdziesiąt pięć, jakieś siedemdziesiąt kilo, w myślach ocenił Dominic. Czarna broda jak u piratów na filmach. Skurwielowi brakuje tylko miecza... ale go nie ma!

– Młodszy od nas – zauważył Brian.

Przeszli przez park i poszli w przeciwnym kierunku. Zwolnili przy salonie Astona Martina, żeby trochę popatrzeć, po czym wrócili do hotelu. W kawiarni wypili kawę i zjedli lekkie śniadanie: rogaliki z dżemem.

– Nie podoba mi się, że naszego ptaszka śledzą – powiedział Brian.

– Nic na to nie poradzimy. Angole widocznie też doszli do wniosku, że coś z nim nie tak.

Ale pamiętaj: on umrze na zawał. Nie stukniemy go, nawet z broni z tłumikiem. Żadnych śladów, bez hałasu...

– Dobra, spróbujemy w centrum, jeśli jednak coś nie zagra, wycofujemy się, żeby to przemyśleć, OK?

– OK – przytaknął Dominic. Muszą być sprytni. Pewnie to on pójdzie pierwszy. On powinien wypatrzeć ogon. Nie ma sensu zwlekać. Już przyjrzeni się Berkeley Square, zapoznani się z okolicą i namierzyli cel. Kiepskie miejsce na akcję. Furgonetka grupy inwigilacyjnej stała jakieś trzydzieści metrów od rezydencji. – Dobrze, że ogon Salego to żółtodziób. Jeśli go zidentyfikuję, poczekasz, aż będę gotowy, wpadniesz na niego i...

zapytasz o drogę. Wystarczy sekunda. Potem obaj odejdziemy, jakby nigdy nic. Nawet jeśli ktoś zawoła karetkę, tylko się odwrócimy, a potem sobie pójdziemy.

Brian zastanowił się nad tym.

– Najpierw musimy wybadać sąsiedztwo.

– Zgoda.

Śniadanie skończyli w milczeniu.

Sam Granger siedział już w biurze. Była 3.15 rano, kiedy wszedł i włączył komputer.

Bliźniacy dotarli do Londynu około pierwszej. Coś mu mówiło, że nie będą zwlekać z wykonaniem misji. Okaże się, czy koncepcja wirtualnego biura się sprawdza. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dowie się, jak przebiegła operacja, szybciej niż Rick Bell z informacji siatki wywiadowczej. Teraz nie pozostaje mu nic innego, jak czekać. Cholera!

Napije się kawy. Lepsze byłoby cygaro, ale cygara nie miał. Naraz otworzyły się drzwi.

Stanął w nich Gerry Hendley.

– Ty też? – spytał Sam tyleż zaskoczony, co ubawiony.

Hendley odpowiedział uśmiechem.

– No co, pierwszy raz... W domu nie mogłem zasnąć.

– Skąd ja to znam. Masz może karty?

– Przydałoby się. – Hendley nieźle grał. – Jest coś od bliźniaków?

– Ani słówka. Jeśli dotarli na czas, to pewnie są teraz w hotelu. Zameldowali się, odświeżyli i prawdopodobnie poszli się rozejrzeć. Hotel jest jakąś przecnicą od domu Udy.

Kurde, może już go dziabnęli. Pora jest odpowiednia. Wkrótce wychodzi do pracy, jeśli miejscowi dobrze rozpracowali jego rozkład dnia. A na nich możemy raczej polegać.

– No, chyba że ktoś do niego nieoczekiwanie zadzwonił. Albo zaciekało go coś w porannej prasie. Albo jego ulubiona koszula była niewyprasowana. Rzeczywistość jest analogowa, Sam, nie cyfrowa.

– Jakbym nie wiedział.

Dzielnica finansowa bogaczy zasługiwała na taką nazwę. Była jednak trochę bardziej swojska niż odhumanizowane nowojorskie wieżowce ze szkła i stali. Jasne, tu też takie były, ale nie tak przytłaczające. Niedaleko miejsca, w którym wysiedli z taksówki, znajdował się fragment rzymskiego muru otaczającego niegdyś obłożone Londinium – tak nazywała się ongiś późniejsza brytyjska stolica. Miejsce na obóz zostało wybrane ze względu na liczne studnie i bliskość rzeki.

Ludzie ubierali się tu elegancko, a sklepy były szykowne – jak zresztą większość rzeczy w tym mieście. Panował zgiełk, tłumy przemieszczały się szybko w różnych kierunkach.

Sporo było pubów. Przy wejściu stały tablice z wypisanym kredą menu. Bliźniacy wybrali pub z ogródkiem, z widokiem na gmach Lloyda. Poczuli się jak w rzymskiej restauracji w pobliżu

Hiszpańskich Schodów. Niby takie to dżdżyste miasto, a nad głowami mieli czyste niebo. Bliźniacy byli na tyle dobrze ubrani, że raczej nie wyglądali na amerykańskich turystów. Brian zauważył bankomat. Wypłacił trochę gotówki i podzielił się nią z bratem.

Amerykanie nie lubią herbaty. Czekali.

Sali siedział w biurze nad komputerem. Trafiła mu się okazja: mógł kupić rezydencję w Belgravii. Okolica jeszcze bardziej ekskluzywna niż ta, w której mieszkał. Cena: osiem i pół

miliona funtów. Żadna rewelacja, ale też i nie drożyzna. Na pewno będzie mógł ją wynająć za okrągłą sumkę. Kupując dom, nabywało się również ziemię, zamiast płacić czynsz księciu Westminsteru. Nie żeby był wysoki, ale zawsze... Zapamiętał sobie: obejrzyć posiadłość jeszcze w tym tygodniu. Co dalej... Waluty były stabilne. Przez parę miesięcy bawił się w arbitraż, ale nie sądził, by jego wykształcenie w tym zakresie było wystarczające. Jak dotąd nie. Może powinien pogadać z ludźmi, którzy są w tym biegli. Wszystkiego można się nauczyć. Mając dostęp do ponad dwustu milionów funtów, mógł pogrywać bez większej szkody dla majątku ojca. W tym roku nawet zyskał dziewięć milionów. Nieźle. Przez godzinę siedział przy komputerze, śledząc trendy i próbując poskładać je w jakąś sensowną całość.

Wiedział, że cała sztuka to dostrzec je w porę, kupować nisko, sprzedawać wysoko. Ale to bardzo niepełna wiedza. Gdyby się doksztacił, stan jego konta podskoczyłby o jakieś trzydzieści milionów funtów zamiast marnych dziewięciu. Cierpliwości tak łatwo człowiek się nie nauczy. Już łatwiej być młodym i błyskotliwym, pomyślał. W biurze miał oczywiście telewizor. Włączył amerykański kanał finansowy. Prognozowali osłabienie funta w stosunku do dolara. Przyczyny nie były jednak dość przekonujące. Zastanawiał się, czy nie wycofać się z kupna trzydziestu milionów dolarów na rynku spekulacyjnym. Ojciec ostrzegał go przed spekulowaniem pieniędzmi. A że chodziło o zasady staruszka, słuchał z uwagą i postanowił

zadośćuczynić jego życzeniom. W ciągu ostatnich dziewiętnastu miesięcy stracił tylko trzy miliony funtów. Większość błędów popełnił rok temu. Jego portfel nieruchomości przynosił

przystoite zyski. Przeważnie kupował domy od starszych angielskich dżentelmenów i sprzedawał w kilka miesięcy później swoim krajanom, którzy zazwyczaj płacili gotówką lub jej elektronicznym odpowiednikiem. Mógł się więc uważać za utalentowanego spekulanta na rynku nieruchomości. I oczywiście za wspaniałego kochanka. Zbliżało się południe, a jego lędźwie już tęskniły za Rosalie. Może będzie miała czas wieczorem? Powinna – za tysiąc funtów... Chwycił za słuchawkę i skorzystał z szybkiego wybierania, naciskając dziewiątkę.

– Moja droga Rosalie, tu Uda. Jeśli przyjdiesz dziś wieczorem, koło wpół do siódmej, będę miał coś dla ciebie. Znasz mój numer, kochanie.

Odłożył słuchawkę. Zaczeka do czwartej. Jeśli Rosalie nie oddzwoni, zatelefonuje do Mandy.

Rzadko się zdarzało, by obie były zajęte. Wolał myśleć, że spędzają wolny czas na zakupach lub pogawędkach z przyjaciółmi. W końcu kto im płaci lepiej niż on? Chciał

zobaczyć minę Rosalie, kiedy kupi jej nowe buty. Angielki uwielbiają tego całego Jimmy'ego Choo. A przecież to obuwie jest udziwnione i niewygodne. Cóż, kobiety myślą inaczej. On fantazjuje o swoim astone martinie, one wolą bolące stopy. I jak tu je zrozumieć?

Brian zbyt łatwo się nudził, żeby tak beczynnie siedzieć i gapić się na gmach Lloyd'a. Co za okropieństwo. Wręcz groteska. Wygląda jak oszklona fabryka Du Pont'a, produkująca gaz paralizujący czy jakąś inną truciznę. To nonsens tak w nieskończoność gapić się na jedno i to samo. Było tu kilka drogich sklepów. Salon odzieży męskiej, butiki z damskimi ciuzzkami.

No i ekskluzywny sklep z obuwiami. On sam nie zawracał sobie głowy butami. Miał czarne buty z dobrej skóry, odpowiednie do garnituru, parę solidnych trampek, które kupił tamtego przeklętego dnia, oraz cztery pary wojskowych buciorów, dwie czarne i dwie brązowe. Takie nosili marines. Z wyjątkiem defilad i oficjalnych uroczystości, lecz nieczęsto zapraszano na nie zwiadowców. Marines mieli być żołnierzami jak malowanie.

Nie mógł przestać myśleć o strzelaninie z zeszłego tygodnia. Nawet ludzie, na których polował w Afganistanie, nie zabijali kobiet i dzieci. Przynajmniej on nic o tym nie wiedział.

Pewnie, byli barbarzyńcami, ale nawet barbarzyńcy powinni znać jakieś granice. Ta banda, z którą gra ich cel, to co innego. To nie przystoi mężczyźnie. Nawet jak ma taką bródkę.

Afgańczycy to jednak mężczyźni, a ten gość wygląda jak alfons! Szkoda na niego marnować naboju. To nie mężczyzna, którego trzeba zabić, ale karaluch, którego się rozgniata. Nawet jeśli ma samochód wart dziesięcioletnich zarobków marine – i to przed opodatkowaniem.

Oficer marine może sobie odłożyć na chevy corvette, ten skurwiel musi jednak mieć samochód jak wnuk Jamesa Bonda i wynajęte dziwki. Wiele można o nim powiedzieć, lecz nie to, że jest mężczyzną, myślał marine, podświadomie zagrzewając się przed misją.

– Bierz go, Aldo – zażartował Dominic, kładąc pieniądze na rachunku.

Wstali i najpierw zaczęli oddalać się od gmachu Lloyd'a. Na rogu przystanęli i odwrócili się, jakby czegoś szukali. O, jest Sali...

...i jego ogon. Drogo ubrany. Jak biznesmen. Też wyszedł z pubu, zauważył Dominic. W

rzeczy samej, żółtodziób. Oczy zbyt ostentacyjnie utkwione w celu, choć trzymał się jakieś pięćdziesiąt metrów za nim. Najwyraźniej nic sobie nie robił z tego, że Saudyjczyk może go zauważyć: Sali pewnie nie jest zbyt ostrożny, nie przeszkolono go pod tym kątem, więc myśli, że jest całkiem bezpieczny, no i sprytny. Mężczyźni mają swoje złudzenia. W tym przypadku może to drogo kosztować.

Bracia lustrowali wzrokiem ulicę. Setki ludzi. Mnóstwo samochodów. Dobra widoczność.

Nawet za dobra, ale Sali sam się im podkładał. Nie można przegapić takiej okazji...

– Plan A, Enzo? – szybko spytał Brian.

Mieli opracowane trzy plany plus sygnał do odwrotu.

– Tak, Aldo. Zróbmy to.

Rozdzielili się i podążyli w przeciwnych kierunkach, mając nadzieję, że Sali pójdzie do pubu, gdzie pili tę kiepską kawę. Obaj nosili ciemne okulary, by nie widać było, na co patrzą.

Aldo zerknął na ogon Salego. Dla niego to pewnie zwykła rutyna, tak łązić za kimś. Jak nic robił to tygodniami. Nie można wtedy nie popaść w rutynę. Przewiduje się kolejny krok podejrzanego, skupia na nim i zapomina lustrować ulicę... Poza tym pracował w Londynie, na własnym terenie. Poznał tu wszystko, co było do poznania. Nie miał się czego bać.

Niebezpieczne złudzenia. Jego jedynym zadaniem było śledzić mało interesujący obiekt, którym nie wiedzieć czemu interesowali się w Thames House. Śledzony miał dobrze znane zwyczaje i nikomu nie zagrażał – przynajmniej nie tutaj. Zepsuty synalek bogacza, ot i wszystko. Teraz przeciął ulicę i skręcił w lewo. Chyba wybiera się na zakupy. Buty dla jednej z jego pań, stwierdził oficer służb specjalnych. On nie mógł sobie pozwolić na taki prezent dla swojej drugiej połówki.

Sali wypatrzył na wystawie ładną parę butów. Czarna skóra i złoto. Wskoczył jak chłopczyk na krawężnik i odwrócił się w lewo, ku wejściu do sklepu. Uśmiechnął się na myśl o minie, jaką zrobi Rosalie, gdy otworzy pudełko.

Dominic wyjął plan centrum Londynu – małą czerwoną książeczkę. Otworzył ją i przeszedł obok obiektu; nie patrzył wprost na Salego, zdał się na widzenie obwodowe. Oczy utkwiał w ogonie – chyba jest od nich młodszy, a młodzikom przydziela się raczej łatwe cele.

Trochę się denerwuje, stąd utkwione w punkcie spojrzenie i zaciśnięte w pięści dłonie.

Jeszcze rok, dwa lata temu byłem całkiem jak on, pomyślał. Zatrzymał się i szybko odwrócił, oceniając odległość między Brianem i Salim. Brian zrobił to samo. Musieli się zsynchronizować. OK. Znowu zdał się na widzenie obwodowe. Jeszcze tylko kilka kroków...

Utkwił oczy w ogonie. Brytyjczyk zauważył, że ktoś na niego patrzy. Odruchowo się zatrzymał, słysząc, jak zagaduje go jankeski turysta.

– Przepraszam, czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie... – Dominic uniósł plan, by zademonstrować, jak bardzo się pogubił.

Brian sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej złote pióro. Przekręcił korpus i czarna kulka przeskoczyła na miejsce irydowej końcówki. Oczy utkwił w celu. Zbliżył się na metr, zrobił pół kroku w prawo, jakby chciał zejść komuś z drogi – i wpadł na Salego.

– Tower? Musi pan pójść tędy – objaśniał agent MI-5, zwracając się w kierunku Dominica.

Idealnie.

– O, przepraszam – bąknął Brian. Wbił pióro, wahadłowym ruchem ręki do tyłu, prosto w prawy pośladek. Igła weszła na trzy milimetry. Nabój wstrzyknął siedem miligramów sukcylocholiny w największy mięsień Salego.

Brian Caruso poszedł dalej.

– Dzięki, przyjacielu – powiedział Dominic. Schował przewodnik do kieszeni i ruszył we wskazanym kierunku. Kiedy już dostatecznie oddalił się od ogona, zatrzymał się i odwrócił.

Tak, wiedział, że to nieprofesjonalne. Zobaczył, jak Brian wkłada pióro do kieszeni i pociera nos. To był umówiony sygnał: misja wykonana.

Sali skrzywił się lekko – coś uszczypnęło go w tyłek, nic poważnego. Prawą ręką potarł

to miejsce; ból momentalnie minął. Wzruszył ramionami, przeszedł z dziesięć kroków i naraz zdał sobie sprawę...

...że jego prawa ręka lekko drży. Zatrzymał się, popatrzył na nią, wyciągnął lewą rękę...

...także drżała. Dlaczego?...

...nogi się pod nim ugięły, runął na cementowy chodnik. Kolana dosłownie odbiły się od ziemi. Bolało, i to bardzo. Chciał wziąć głęboki oddech, zapanować nad bólem...

...nic z tego. Sukcynylocholina przeniknęła już do organizmu i zneutralizowała wszystkie połączenia nerwowo-mięśniowe. Na końcu powieki. Sali nic nie widział. Ogarnęła go czerń –

a właściwie czerwień światła o niskiej częstotliwości, przenikającego przez powieki.

Dezorientacja, panika.

Co jest? – zapytał umysł. Sali czuł, co się dzieje. Czołem dotykał chropowatej powierzchni cementu. Słyszał kroki mijających go ludzi. Spróbował odwrócić głowę... nie, najpierw musi otworzyć oczy...

... ale nie chcą się otworzyć. Co jest?!...

...nie oddychał...

...rozkazał sobie oddychać. Jakby płynął pod powierzchnią wody i wynurzał się, by zaczerpnąć powietrza. Rozkazał swoim ustom otworzyć się, a przeponie rozkurczyć...

...daremnie!...

Co jest?! – krzyczał umysł.

Organizm działał według własnego programu. Wzrósł poziom dwutlenku węgla w płucach, więc automatycznie wydały one przeponie rozkaz: rozszerz się, by wydalić truciznę.

Znowu nic. Wtedy cały organizm wpadł w panikę. Nadnercza pompowały – bo serce wciąż pracowało – adrenalinę do krwi. Mózg zaczął pracować na przyspieszonych obrotach...

Co jest? – pytał Sali. Natarczywie, bo ogarniała go coraz większa panika. Ciało zdecydowanie odmawiało posłuszeństwa. Dusił się w ciemności, leżąc w biały dzień na chodniku w centrum Londynu. Płuca przepełnione dwutlenkiem węgla tak naprawdę nie bolały, jednak ciało przekazywało mózgowi sygnały bólowe. Wszystko było nie tak. Bez sensu. Jakby najechała na niego ciężarówka – nie na ulicy, lecz w domowym zaciszu.

Wszystko działo się zbyt szybko, by mógł to ogarnąć. Całkiem bez sensu. To takie...

zaskakujące, niewiarygodne... szok.

Niestety to wszystko działo się naprawdę.

Nadal rozkazywał sobie oddychać. Musi się udać. Nigdy nie było tak, żeby się nie udało.

Uda się i tym razem. Poczuł, jak opróżnia mu się pęcherz – wstyd, i natychmiast rosnąca panika. Wszystko czuł. Wszystko słyszał. Nie mógł jednak nic zrobić. Zupełnie nic. Jakby go przyłapali nago ze świnią w ramionach na królewskim dworze w Rijadzie...

I naraz nadszedł ból. Serce biło szaleńczo, sto sześćdziesiąt uderzeń na minutę. Ale w ten sposób tylko wtłaczało do naczyń krwionośnych odtlenioną krew. I tak ten jedyny aktywny organ w jego ciele zużył cały zapas tlenu.

A bez tlenu te dzielne komórki serca, które oparły się działaniu substancji zwiotczającej mięśnie,



zaczęły umierać.

Ludzki organizm nie zna większego bólu. Każda komórka umierała. Najpierw komórki serca, potem całego organizmu. Konały teraz tysiącami, a każdą łączył z mózgiem nerw, który krzykiem obwieszczał, że nadchodzi śmierć, że już nadeszła.

Nie mógł nawet wykrzywić twarzy w bólu. Tak jakby ktoś wbił palący sztylet w jego pierś, przekręcał go i wbijał coraz głębiej i głębiej. Szatan, Lucyfer...

I Sali ujrzał nadciągającą Śmierć. Mknęła przez pole ognia, by zabrać jego duszę na potępienie. W najwyższej panice Uda bin Sali wykrzyczał w myśli słowa szahady: „Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest Jego prorokiem... Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest Jego prorokiem... Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest Jego prorokiem...

NiemaBogapróczAllaha,aMahometjestJegoprorokiem...

Komórkom mózgu również zabrakło tlenu. I one zaczęły umierać, ulatywała świadomość.

Ujrzał jeszcze ojca, ulubionego konia, matkę przy stole zastawionym jedzeniem.. i Rosalie, Rosalie siedzącą na nim okrakiem, jej twarz wyrażała rozkosz... ale była coraz dalej, blakła...

blakła... blakła...

...aż została tylko czerń.

Wokół niego tłoczyli się ludzie. Ktoś się nad nim pochylił.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Głupie pytanie, ale ludzie często je zadają w takich okolicznościach. Mężczyzna –

sprzedawca sprzętu komputerowego, który szedł do pobliskiego pubu na piwo i lunch –

potrząsnął ramię leżącego. Bezwładne. Równie dobrze mógł odwracać polec mięsa u rzeźnika... Przeraził się bardziej niż na widok załadowanego pistoletu. Szybko odwrócił ciało i poszukał pulsu. Był. Serce biło szaleńczo – ale facet nie oddychał. Oż kurde...

Dziesięć metrów dalej ogon Salego wyciągnął komórkę i zadzwonił pod 999. Kilka przecnic dalej był posterunek straży pożarnej, a szpital tuż za mostem Tower. Jak wielu szpiegów zaczął już identyfikować się z obiektem – mimo że budził w nim obrzydzenie.

Widok mężczyzny leżącego na ziemi wstrząsnął nim do głębi. Co się stało? Zawał? Ale przecież to młody człowiek...

Brian i Dominic spotkali się w pubie niedaleko twierdzy Tower. Wybrali boks. Ledwo usiedli, a już

zjawiała się kelnerka, by przyjąć zamówienie.

– Dwa piwa – powiedział Enzo.

– Mamy tetley's smooth i johna smitha, kochanieńki.

– Które ty pijesz? – spytał ją Brian.

– Johna smitha oczywiście.

– Więc dwa poproszę – zamówił Dominic.

Podawała mu menu.

– Nie jestem pewien, czy chcę coś jeść, ale piwo chętnie wypiję. – Brian wziął menu.

Dłonie lekko mu drżały.

– I może papierosa. – Dominic się zaśmiał.

Jak większość dzieciaków próbowali popalać w szkole średniej, ale obaj to rzucili, zanim zdążyli wpaść w nałóg. Poza tym stojący w rogu drewniany automat z papierosami wydawał

się zbyt skomplikowany, by mógł go obsłużyć obcokrajowiec.

– Ta, jasne – zachnął się Brian.

Popijali piwo, kiedy usłyszeli wycie jadącej karetki.

– Jak się czujesz? – spytał Enzo.

– Trochę roztrzęsiony.

– Pomyśl o zeszłym piątku.

– Nie powiedziałem, że żałuję, matolku. Trochę się tylko zdenerwowałem. Odciągnąłeś ogon?

– Tak. Patrzył mi prosto w oczy, gdy dziabnąłeś tamtego. Obiekt przeszedł jakieś pięć metrów i upadł. Nie zauważyłem, by zareagował na ukłucie, a ty?

Brian potrząsnął głową.

– Nawet nie jąknął, braciszku. – Pociągnął z kufła. – Niezłe piwo.

– Tak, wstrząśnięte, niemieszane, 007.

Brian mimo woli głośno się roześmiał. – Ty dupku!

– W takiej jesteśmy branży, nie?

## Rozdział 18

### OGARY POSZŁY W LAS

Pierwszy dowiedział się Jack junior. Zabierał się właśnie do kawy i pączków. Włączył komputer i zaczął przeglądać wiadomości przesyłane z CIA do NSA. Od razu zauważył

priorytetowe polecenie dla NSA, by zwrócono szczególną uwagę na „znanych współpracowników” Udy bin Salego, który, według doniesień Angoli, umarł na zawał w centrum Londynu. Lakoniczna wiadomość służb specjalnych, włączona do doniesienia z CIA: *Upadł na ulicy na oczach śledzącego go oficera. Przewieziono go do najbliższego szpitala.*

*Nie udało się go reanimować. Ciało zostanie poddane sekcji, meldował MI-5.*

W Londynie Bert Willow z wydziału specjalnego zadzwonił do mieszkania Rosalie Parker.

– Słucham – zabrzmiał w słuchawce czarujący, melodyjny głos.

– Rosalie, tu detektyw Willow. Musimy się z tobą jak najszybciej zobaczyć.

– Niestety jestem zajęta, Bert. W każdej chwili może przyjść klient. Potrwa to jakieś dwie godziny. Mogę wpaść zaraz potem. W porządku?

Detektyw wziął głęboki oddech... ale w końcu tak naprawdę nie było to pilne. Jeśli Sali zmarł wskutek przedawkowania narkotyków – a była to najbardziej prawdopodobna przyczyna – to nie dostał ich od Rosalie. Nie była ani ćpunką, ani dealerką. Nie była głupia jak na dziewczynę, której edukacja ograniczyła się do szkoły publicznej. A ta praca dawała jej zbyt duże pieniądze, by podjęła takie ryzyko. Podobno zdarzało się jej nawet chodzić do kościoła.

– Dobrze – zdecydował Bert. Ciekaw był, jak zareaguje, kiedy usłyszy, co się stało.

Raczej go nie zaskoczy.

– Wspaniale. Pa, pa – pożegnała się i odłożyła słuchawkę.

Ciało był już w szpitalnym prosektorium. Rozebrano je i ułożono na stole z nierdzewnej stali, zanim

przyszedł patolog. Był to sześćdziesięcioletni sir Percival Nutter, znany naukowiec i ordynator szpitalnego oddziału patologii. Technicy zdążyli już pobrać jedną dziesiątą litra krwi do analizy w laboratorium. Sporo, ale trzeba było przeprowadzić najważniejsze testy.

– No dobrze... Mężczyzna, około dwudziestu pięciu lat... Mario, zdobądź jego dokumenty, żebyśmy znali dokładny wiek – rzucił do mikrofonu zwisającego z sufitu i połączonego z magnetofonem. – Waga? – spytał asystenta.

– Siedemdziesiąt trzy kilogramy i sześćdziesiąt dekakagramów. Sto osiemdziesiąt jeden centymetrów wzrostu – odpowiedział świeżo upieczony lekarz.

– Na ciele nie ma żadnych widocznych śladów. Oględziny wskazują na podłoże kardiologiczne lub neurologiczne. Skąd ten pośpiech, Richard? Ciało jest jeszcze ciepłe. –

Brak tatuaży. Usta lekko niebieskawe. Jego nieoficjalne komentarze oczywiście się wytnie.

Ciepłe ciało było jednak czymś niezwykłym.

– Policja tego zażądała, sir. Wygląda na to, że zmarł nagle na ulicy, gdy obserwował go konstabl. – Nie była to cała prawda, ale prawie.

– Widziałeś jakieś ślady po igłach? – spytał sir Percy.

– Nie, sir, ani śladu.

– No i co o tym myślisz, chłopcze?

Richard Gregory, młody lekarz medycyny, uczestniczący w swojej pierwszej sekcji, wzruszył ramionami.

– Z tego, co mówi policja... sposób, w jaki upadł, wskazuje na rozległy zawał lub udar...

chyba że przyczyną są narkotyki. Jednak za zdrowo na to wygląda i nie ma śladów po igłach.

– Młody, jak na zawał – odparł patolog.

Dla niego ciało mogło być kawałkiem mięsa na targu lub martwym jeleniem w Szkocji, nie tym, co zostało z człowieka, który żył jeszcze – ile? – zaledwie dwie, trzy godziny temu.

Miał biedaczysko pecha. Chyba pochodził z Bliskiego Wschodu. Gładka skóra dłoni wskazywała na to, że nie parał się pracą fizyczną, ale wyglądał na dość sprawnego. Lekarz uniósł powieki. Oczy były brązowe, tak ciemne, że z daleka wydawały się czarne. Zdrowe zęby, niewiele plomb. Ogółem: młody zadbany mężczyzna. Dziwne. Może wrodzona wada serca? Będą musieli otworzyć klatkę piersiową. Nutter nie miał nic przeciw temu. Rutynowa robota. Dawno już przestała go przygnębiać. Jednak w przypadku tak młodego człowieka to chyba strata czasu, nawet jeśli przyczyna śmierci była na tyle tajemnicza, żeby stanowić przedmiot intelektualnego zainteresowania. Może napisze artykuł do „The Lancet”? A niejednen już napisał w ciągu tych trzydziestu sześciu lat. Jego badania na

zmarłych ocalały setki, może tysiące żywych ludzi. Dlatego właśnie wybrał patologię. A poza tym nie trzeba było gadać z pacjentami.

Na razie zaczekają na wyniki badań toksykologicznych krwi z laboratorium serologicznego. Przynajmniej będzie wiedział, czego szukać.

Brian i Dominic pojechali taksówką do hotelu. Tam Brian włączył laptopa i załogował się. W cztery minuty wysłał krótkiego e-maila, który został automatycznie zaszyfrowany. Dał Campusowi godzinę na reakcję. Zakładając, że nikt nie zmoczy spodni, ale raczej nie.

Granger wyglądał mu na faceta, który sam mógłby wykonać tę robotę. Twardy, jak na takiego staruszka. Służba w marines nauczyła go, jak wyczytywać tę twardość z oczu. John Wayne grał w futbol dla USC. Audiemu Murphy'emu odmówiono przyjęcia do marines – co za wstyd dla korpusu. Wyglądał jak lump, ale sam zabił ponad trzystu ludzi. On też miał zimny wzrok, kiedy go sprowokowano.

Obaj Caruso poczuli się nagle bardzo samotni.

Zamordowali właśnie człowieka, którego nie znali, z którym nie zamienili nawet słowa.

W Campusie wszystko to wydawało się logiczne i sensowne, ale teraz byli daleko. I to nie tylko pod względem geograficznym. Jednak mężczyzna, którego zabili, finansował potwory, które otworzyły ogień w Charlottesville, bezlitośnie zabijając kobiety i dzieci. Pomagając w tym akcie barbarzyństwa, stał się winny z punktu widzenia prawa i moralności. Nie załatwili zatem młodszego brata Matki Teresy w drodze na mszę.

Brianowi było trudniej niż bratu. Dominic podszedł do barku, wyjął z niego puszkę piwa i rzucił mu.

– Wiem, wiem – mruknął Brian. – Sam się o to prosił. Tyle że... no cóż, to nie Afganistan...

– Tak, tym razem zrobiliśmy mu to, co oni próbowali zrobić tobie. Nie nasza wina, że był

złym człowiekiem. Nie nasza wina, że dla niego strzelanina w centrum handlowym była niemal tak dobra jak seks. Faktycznie się prosił. Może do nikogo nie strzelał, ale na pewno kupił broń, jasne? – perswadował Dominic.

– Nie zapalę za niego świeczki. Tyle że... cholera, nie to mamy robić w cywilizowanym świecie!

– Myślisz, że jest cywilizowany? Załatwiliśmy faceta, który miał pilne spotkanie z Bogiem. Jeśli Bóg zechce mu wybaczyć, to Jego sprawa. Wiesz co? Niektórzy ludzie uważają, że każdy człowiek w mundurze to najemny zabójca. Zabija dzieci... takie tam...

– Popierdolone to wszystko – zaklął Brian. – A jeśli my się w nich zmienimy?

– Przecież zawsze możemy się wycofać, prawda? Powiedzieli nam, że dadzą nam dobry powód. Nie zmienimy się w nich, Aldo. Nie pozwolę na to. Ani ty. Mamy coś do zrobienia, no nie?

– Pewnie tak. – Brian pociągnął łyk piwa i wyjął z kieszeni złote pióro. Trzeba przeładować. Zajęło mu to niecałe trzy minuty. I znów można ruszać w tango. Zmienił broń w pióro do pisania i schował do kieszeni marynarki. – Dojdę do siebie, Enzo. Nie można czuć się dobrze po tym, jak się zabiło gościa na ulicy. Wciąż się zastanawiam, czy nie można takiego zgarnąć i przesłuchać.

– Angole też mają prawa obywatelskie. Jeśli poprosi o prawnika, a na pewno wie, że ma takie prawo, to gliniarze nie mogą go nawet o godzinę zapytać. Całkiem jak u nas. Musi się tylko uśmiechać i trzymać głowę na kłódkę. To jedna z wad cywilizacji. Korzystają z tego w większości kryminaliści, no ale ci kolesie to nie kryminaliści. To wojna, nie przestępstwo. W

tym problem. Trudno zastraszyć gościa, który chce zginąć na służbie. Można go tylko zatrzymać, a i to raptem w jeden sposób.

Kolejny łyk piwa.

– Dobra, Enzo. Już w porządku. Zastanawiam się, kim jest następny cel.

– Daj im godzinę, niech to przetrawiają. Co powiesz na spacer?

– Pasuje – odparł Brian. Dziesięć minut później byli na ulicy.

Właściwie to nie powinni byli tam iść. Furgonetka British Telecom właśnie odjeżdżała, ale aston martin stał na swoim miejscu. Nie wiadomo, czy policja przeszukała dom, jednak czarnego sportowego wozu nie ruszyli. Cacuszko.

– Chciałbyś handlować nieruchomościami? – zagadnął Brian.

– U nas byś sobie nim nie pojeździł. Kierownicę ma po złej stronie – zauważył Dominic.

Ale brat miał rację. Szkoda, żeby się taki piękny samochód marnował. Ładnie było na Berkeley Square, tyle że mało miejsca. Tylko trochę trawy, po której mogły hasać dzieci.

Dom pewnie też sprzedadzą. Za okrągłą sumkę. I jeszcze prawnicy na tym zarobią. – Głodny?

– Przydałoby się coś zjeść – zgodził się Brian.

Poszli dalej, w kierunku Piccadilly, i znaleźli knajpkę Pret A Manger. Do hotelu wrócili po czterdziestu minutach. Brian znów włączył komputer.

*WYKONANIE MISJI POTWIERDZIŁY MIEJSCOWE ŹRÓDŁA. MISJA ZAKOŃCZONA, brzmiała*

wiadomość z Campusu. I dalej: *POTWIERDZONA REZERWACJA NA LOT*

*BA0943. ODLOT Z HEATHROW JUTRO 07.55. PRZYLOT DO MONACHIUM 10.45.*

*BILETY DO ODBIORU NA LOTNISKU.* Potem szczegółowe informacje i: *KONIEC.*

– Dobra. Mamy następną robotę – oznajmił Brian.

– Już? – zdziwił się Dominic. Szybki ten Campus.

Brian nie był zaskoczony.

– Nie płacą nam za zwiedzanie, braciszku.

– Musimy szybko wywieźć bliźniaków z miasta – stwierdził Tom Davis.

– Skoro występują pod przykrywką, nie jest to konieczne – odparł Hendley.

– Lepiej żeby ich nie było w pobliżu. Jeszcze ich ktoś zauważy. Duchów się nie przesłuchuje – zauważył Davis. – Jeśli policja nie ma śladów, to nie będzie za dużo myśleć.

Mogą sprawdzić listę pasażerów, ale jeżeli ludzie, których szukają, zakładając, że w ogóle znają jakieś nazwiska, podróżują sobie w interesach, to walną głową w mur. A na dodatek w sytuacji, gdy człowiek, którego ewentualnie ktoś zauważył, się rozplynie, będą mieli guzik z pętelką. Zostanie im naoczny świadek, a jemu i tak nie można ufać. – Policja rzadko ufa zeznaniom naocznych świadków. Są zbyt ulotne i za mało wiarygodne, by mógł je wykorzystać sąd.

– No i? – spytał sir Percival.

– Znacznie podwyższony poziom CPK-MB i troponin. Laboratorium mówi, że cholesterol miał na poziomie dwieście trzysta – odparł doktor Gregory. – Wysoki, jak na kogoś w jego wieku. Żadnych dowodów działania substancji chemicznych, nawet aspiryny.

Enzymy świadczą o zawale... i to na razie wszystko, co mamy.

– Trzeba będzie otworzyć klatkę piersiową – stwierdził doktor Nutter. – Ale na to i tak się zanosilo. Nawet z podwyższonym poziomem cholesterolu za młody na zator sercowo-naczyniowy, nie sądzisz?

– Stawiałbym raczej na wydłużone QT lub arytmie, sir. – Niestety, obie te przyczyny niemal nie pozostawiały śladów *post mortem*, choć były jednakowo śmiertelne.

– Zgadza się. – Gregory wyglądał na błyskotliwego absolwenta akademii medycznej. Jak większość z nich, był zbyt poważny. – No to do roboty. – Nutter sięgnął po nóż do cięcia skóry. Potem użyją

przecinaka do żeber. Ale i tak był niemal pewien, co znajdują. Biedaczysko umarł na serce, prawdopodobnie skutek nagłej arytmii. Przyczyna równie zabójcza jak kula w łeb. – Badanie toksykologiczne nie wykazało nic więcej?

– Nie, sir, zupełnie nic. – Gregory pokazał wydruk. Oprócz wskaźników norm kartka była niemal pusta.

To było tak, jakby człowiek słuchał relacji radiowej z meczu, ale bez ozdobników komentatora. Ktoś z brytyjskich służb specjalnych gorliwie dał znać CIA, co się dzieje w sprawie, która najwyraźniej interesowała Langley. Wszystkie nadchodzące informacje natychmiast przesyłano do CIA, a stamtąd do Fort Meade, gdzie przeskanowano fale eteru w poszukiwaniu śladów zainteresowania ze strony terrorystów. Ku rozczarowaniu agencji okazało się jednak, że podejrzani nie mają tak dobrego dostępu do informacji.

– Witam, detektywie Willow – przywitała się Rosalie Parker ze zwyczajowym uśmiechem laski, która aż się prosi, by ją przelecieć. Zarabiała na życie uprawianiem seksu, nie znaczy to jednak, że go nie lubiła. Wkroczyła do biura wymachując swoją przepustką dla odwiedzających i usiadła po drugiej stronie biurka. – Co mogą dla pana zrobić w ten piękny dzień?

– Złe wieści, panno Parker. – Bert Willow nawet wobec dziwek zachowywał się oficjalnie i uprzejmie. – Pani przyjaciel Uda bin Sali nie żyje.

– Co?! – zszokowana, szeroko otworzyła oczy. – Co się stało?

– Nie mamy pewności. Upadł po prostu na ulicy, niedaleko swojego biura. Wygląda to na zawał.

– Naprawdę? – spytała zaskoczona Rosalie. – Wydawał się taki zdrowy. Nic nie wskazywało, by było z nim coś nie tak. Przecież zeszłej nocy...

– Tak, widziałem zeznania – uciął Willow. – Wie pani, czy brał narkotyki?

– Nie, nigdy. Czasem pił, ale nigdy dużo.

Willow widział, że jest zaskoczona, nie uroniła jednak ani jednej łzy. Nie, dla niej Uda był tylko klientem. Źródłem zarobku i niewiele więcej. Biedak pewnie roił sobie co innego.

Tym gorzej dla niego. On, Willow, nie będzie się tym martwił.

– Czy podczas waszego ostatniego spotkania stało się coś niezwykłego? – spytał gliniarz.

– Nie. Był nieźle napalony, ale... wie pan, kilka lat temu taki jeden skonał na mnie. No wie pan,



doszedł i zszedł, jak to mówią. Straszne. Niełatwo coś takiego zapomnieć. Od tego czasu uważam na moich klientów. Nigdy bym nie dopuściła do czegoś takiego. Nie jestem przecież barbarzyńcą! Mam serce – zapewniła.

Cóż, twój przyjaciel Sali już go nie ma, pomyślał Willow.

– Rozumiem. Zatem ostatnia noc była całkiem zwyczajna?

– Absolutnie. Żadnego znaku, że coś jest nie tak. – Urwała, niby to zmartwiona. Lepiej wyglądać na pogrążoną w żalu, żeby nie pomyślał, że jest nieczułym robotem. – To straszne.

Był taki hojny... i zawsze uprzejmy. Jakie to smutne!

– Zwłaszcza dla pani – ze współczuciem dodał Willow. W końcu właśnie straciła poważne źródło dochodów.

– Och. O tak, rzeczywiście – odparła, kiedy wreszcie zrozumiała, co miał na myśli. Nie próbowała jednak nawet nabrać detektywa na łzy. Strata czasu. Od razu by ją przejrzał.

Szkoda Salego. Będzie jej brakować prezentów. Ale jej świat się nie skończył. Tylko jego.

Jego pech... no, trochę jej, lecz będzie dobrze.

– Panno Parker, czy kiedykolwiek wspominał o swoich interesach?

– Przeważnie mówił o nieruchomościach... no wie pan, o kupowaniu i sprzedawaniu tych szpanerskich domów. Kiedyś zabrał mnie do domu na West Endzie, właśnie go kupił.

Zapytał, jak bym go pomalowała, ale sądzę, że chciał mi pokazać, jaki jest ważny.

– Spotkała kiedyś pani jakichś jego przyjaciół?

– Niezbyt wielu... trzech, może czterech. Sami Arabowie, większość w jego wieku, może pięć lat starsi, nie więcej. Bacznie mi się przyglądali, ale na tym się skończyło. Zaskakujące, jak na Arabów. Napaleni są, skubańcy, i dobrze płacą. Myśli pan, że mógł być zamieszany w jakąś nielegalną działalność? – spytała nieśmiało.

– Istnieje taka możliwość – ostrożnie odparł Willow.

– Nigdy bym nie przypuszczała... Jeśli bawił się w nieczyste interesy, to za moimi plecami. Bardzo chciałabym pomóc, ale nie mam nic do powiedzenia.

Wydała się szczerą, ale przecież dziwka tej klasy na pewno wie, jak udawać.

– No cóż... dziękuję, że pani przyszła. Jeśli coś... cokolwiek... sobie pani przypomni, proszę do mnie zadzwonić.

– Oczywiście, kochanieńki. – Wstała i uśmiechnęła się na pożegnanie. Miły z niego facet.

Szkoda, że go na nią nie stać.

Bert Willow wrócił do komputera, by spisać raport. Panna Parker naprawdę wydawała się miłą dziewczyną. Rozsądna i urocza. Trochę w tym wyuczony pozy, ale może i jest szczerą.

Jeśli tak, to miał nadzieję, że znajdzie sobie inną pracę, zanim ta całkiem wypaczy jej charakter. Willow był romantykiem. Któregoś dnia może to obrócić się przeciw niemu.

Zdawał sobie z tego sprawę, lecz nie miał zamiaru się zmieniać ze względu na pracę, jak ona.

Piętnaście minut później wysłał raport e-mailem do Thames House, po czym wydrukował go, by dołączyć do akt Salego. Wkrótce sprawa zostanie zamknięta i pewnie nigdy już o niej nie usłyszy.

– A nie mówiłem?! – krzyknął Jack.

– Możesz być z siebie dumny – odgryzł się Wills. – Powiesz mi, czy mam sam zajrzeć do dokumentów?

– Uda bin Sali wykorkował, najwyraźniej wskutek ataku serca. Jego ogon ze służb specjalnych nie zauważył nic niezwykłego. Gość po prostu upadł na ulicy. Bum... i nie ma Udy. Koniec z finansowaniem przestępców.

– I jak się z tym czujesz? – spytał Wills.

– Może być, Tony. Bawił się nie z tymi dziećmi, co trzeba. Wybrał sobie złą piaskownicę. Po sprawie – zimno oświadczył Ryan. Ciekawe, jak to zrobili? – zastanawiał

się. – Myślisz, że to nasi mu pomogli?

– Nie nasz wydział. My tylko przekazujemy informacje. Nie nam spekulować, co z nimi potem robią.

– Tak jest, sir. – Po takim początku reszta dnia zapowiadała się na nudną.

Muhammad dostał wiadomość e-mailem – a raczej zakodowane polecenie, by zadzwonić do pośrednika, niejakiego Aimana Ghailani. Numer komórki znał na pamięć. Wyszedł na ulicę. Z hotelowymi telefonami trzeba uważać. Przeszedł się do parku i usiadł na ławce z notatnikiem i piórem.

– Aiman, tu Muhammad. Co nowego?

- Uda nie żyje – wykrztusił pośrednik.
- Co się stało? – zaniepokoił się Muhammad.
- Nie mamy pewności. Upadł w pobliżu swojego biura. Zabrali go do najbliższego szpitala, gdzie zmarł.
- Nie został aresztowany? Nie zabili go Żydzi?
- Nie, nic nam o tym nie wiadomo.
- Więc to była śmierć z przyczyn naturalnych?
- Na to wygląda.

Ciekawe, czy przelał pieniądze, zanim to się stało, zastanawiał się Muhammad.

- Rozumiem... – Rzecz jasna niczego nie rozumiał, ale coś trzeba powiedzieć. – Nie ma więc powodów, by coś podejrzewać?
- Jak na razie nie. Jednak kiedy umiera jeden z naszych, zawsze...
- Tak, wiem, Aiman. Zawsze coś podejrzewamy. Jego ojciec wie?
- To od niego się dowiedziałem.

Pewnie się cieszy, dla niego kłopot z głowy, pomyślał Muhammad.

- Mamy kogoś, kto się upewni, jaka była przyczyna śmierci?
- Ahmed Muhammad Hamed Ali mieszka w Londynie. Może za pośrednictwem adwokata?...
- Dobry pomysł. Wszystkiego dopilnuj. – Urwał. – Ktoś już powiedział Emirowi?
- Nie sędzę.
- Tego też dopilnuj. – Drobną sprawą, ale w końcu Emir musi wiedzieć o wszystkim.
- Dopilnuję – obiecał Aiman.
- Doskonale. To by było na tyle. – Muhammad się rozłączył.

Znów był w Wiedniu. Lubił to miasto. Po pierwsze, kiedyś dobrze sobie tu poradzili z Żydami. Wielu wiedeńczyków jakoś tego nie żałowało. Po drugie, to świetne miejsce dla majątnego człowieka. Dobre restauracje z personelem, który wie, co to sprawna obsługa. W

dawnej stolicy cesarstwa jest też co podziwiać – jeśli tylko ma się czas na zwiedzanie. A to, wbrew pozorom, nie zdarzało mu się rzadko. Muhammad odkrył, że najlepiej mu się myśli, gdy patrzy na coś, co nie ma znaczenia dla jego pracy. Dziś może pójdzie do muzeum sztuki.

Niech Aiman zajmie się zwiadem. Londyński prawnik wyszuka informacje związane ze śmiercią Udy. Jako dobry najemnik da im znać, jeśli znajdzie coś podejrzanego. Ale przecież czasem ludzie po prostu umierają. Ręka Allaha. Trudno to zrozumieć, a co dopiero przewidzieć.

Może jednak nie będzie tak nudno. Po lunchu NSA przekazała trochę nowych informacji.

Jack obliczył w myśli, że po drugiej stronie oceanu jest wieczór. Komputerowcy z włoskiej policji federalnej przechwycili wiadomości, które przesłali do ambasady Stanów Zjednoczonych w Rzymie, skąd przekazano je przez satelitę do Fort Belvoir, centrali na Wschodnim Wybrzeżu. Jakiś Muhammad zadzwonił do niejakiego Aimana. Imiona znane były z rozmowy, mówili o śmierci Udy bin Salego. Dlatego ściągnęli na siebie uwagę komputerów, które zaszyfrowały to analitykom.

– „Ktoś już powiedział Emirowi?”... Kim, do cholery, jest ten Emir? – zastanawiał się Jack.

– To tytuł szlachecki, jak księżę – odparł Wills. – A kontekst?

– Spójrz. – Jack podał mu wydruk.

– Interesujące. – Wills poszukał słowa „emir” w komputerowej bazie danych. Tylko jedno odniesienie. – Zgodnie z tym, co tu napisano, to imię, lub tytuł, pojawiło się jakiś rok temu w nagranej rozmowie. Brak kontekstu. Od tego czasu nic. Agencja uważa, że to prawdopodobnie skrót oznaczający w ich organizacji zabójcę średniego szczebla.

– Jak dla mnie w tym kontekście wygląda na kogoś ważniejszego – zamyślił się Jack.

– Może. Wielu rzeczy nie wiemy o tych gościach. Langley pewnie powiadomi kogoś na wyższym szczeblu. Ja bym tak zrobił – powiedział Tony, lecz bez przekonania.

– Mamy tu kogoś, kto zna arabski?

– Dwóch z Monterey, ale nie są ekspertami od kultury.

– Warto się chyba temu przyjrzeć.

– Spisz to. Zobaczymy, co powiedzą. Langley korzysta z usług ludzi o zdolnościach telepatycznych. Niektórzy są nawet nieźli.

– Muhammad jest, zdaje się, najstarszy rangą. A tu mówi o kimś wyższym rangą od niego. Trzeba to sprawdzić – powiedział z naciskiem młody Ryan.

Wills wiedział, że Jack ma rację. Przy okazji określił największy problem wywiadu. Za wiele danych, za mało czasu na analizę. Najlepiej będzie sfałszować pytania wysłane z CIA do NSA i z NSA do CIA. Ale z tym trzeba uważać. Pytania o dane przychodziły milion razy dziennie. Ze względu na to, że było ich aż tyle, nigdy, przenigdy ich nie sprawdzano – w końcu łącze komunikacyjne jest bezpieczne, prawda? Jednak prośba o analizę mogła zostać przekazana telefonicznie, a to mogło doprowadzić do przecieku. Na to Campus nie może sobie pozwolić. Dlatego tego rodzaju pytania musiały przejść przez dyrekcję. Zezwalano na to nie częściej niż raz na pół roku. Campus pasożytniczo żył na organizmie wywiadu. A pasożyty głosu nie mają – otwór gębowy służy im tylko do wysysania krwi.

– Spisz swoje pomysły, przekaż Rickowi Bellowi, a on omówi je z senatorem – poradził

Wills.

– Świetnie – burknął Jack.

Jeszcze nie nauczył się cierpliwości. A dokładniej, nie nauczył się niczego o biurokracji.

A ona była nawet w Campusie. Zabawne. Gdyby był analitykiem średniego szczebla w Langley, mógłby chwycić za słuchawkę, wybrać numer i pogadać z ekspertem – albo przynajmniej z fachowcem. Ale to nie Langley. CIA nieźle uzyskiwała i przetwarzała informacje. Jak na agencję rządową, była dość efektywna. Jack spisał prośbę wraz z uzasadnieniem, głowiąc się, czy coś z tego będzie.

Emir przyjął wiadomość ze spokojem. Uda był podwładnym użytecznym, ale nieistotnym. Niejedno jest źródło finansowania operacji.

Emir był wysoki jak na Araba, ale niezbyt przystojny. Miał semicki nos i oliwkową skórę.

Pochodził z dystyngowanej, zamożnej rodziny, choć większość bogactw kontrolowało jego dziewięciu braci. Dom Emira w Rijadzie był przestronny i wygodny, ale nie był to pałac.

Pałace zostawmy rodzinie królewskiej. Wiele książątek obnosiło się z przynależnością do niej, jakby każde z nich było królem i opiekunem Świętych Miejsc. Dobrze znał członków rodziny królewskiej, choć skrycie nimi pogardzał. Ale się z tym nie ujawniał.

W młodości bywał bardziej otwarty. Przeszedł na islam jako nastolatek. Natchnął go pewien imam, skrajny konserwatysta: własne kazania wpędziły go w końcu w kłopoty.

Wcześniej jednak zdążył zainspirować sporą grupę wyznawców i naśladowców. Emir okazał

się najinteligentniejszy. On też nie krył swoich poglądów. Dlatego wysłano go do Anglii.

Niby do szkoły, a tak naprawdę, by pozbyć się go z kraju. Jednak w Anglii nie tylko zakosztował światowego życia, ale i zetknął się z czymś całkowicie nowym – z wolnością słowa. W Londynie celebrowano ją szczególnie w Hyde Parku. Ten swego rodzaju zawór bezpieczeństwa brytyjskie społeczeństwo wymyśliło już sto lat temu. Amerykańskie miało od tego radykalną prasę. Uderzyło go, że ludzie mogą wygadywać o rządzie, co tylko dusza zapragnie. Sam dorastał w jednej z ostatnich na świecie monarchii absolutnych: tam wszystko należało do króla, którego słowo było prawem, zgodnie z literą, choć może nie istotą Koranu i szariatem – islamskim prawem zwyczajowym, wywodzącym się od samego Proroka. Prawo to było uczciwe – a przynajmniej spójne – jednak niezwykle surowe. Problem w tym, że różnie interpretowano Koran, a więc i to, jak stosować szariat w praktyce. Islam nie miał

papieża, nie miał hierarchii w pojęciu innych religii, brak więc było spójnych standardów stosowania jego zasad w praktyce. Szyici i sunnici często – ba, ciągle! – rzucali się sobie z tego powodu do gardeł. Niezgoda panowała nawet wśród wahabitów, głównego odłamu islamu sunnickiego w królestwie, choć oni przestrzegali surowych norm. Dla Emira ta oczywista słabość islamu była zarazem jego najbardziej użyteczną cechą. Wystarczyło nawrócić kilku muzułmanów na swoją wiarę. Okazywało się to zadziwiająco łatwe, bo nie trzeba było nawet szukać potencjalnych wyznawców. Sami się afiszowali. Większość z nich kształciła się w Europie lub Ameryce. Jako obcy trzymali się razem, by zachować poczucie tożsamości. I tak z outsiderów wielu z nich stawało się rewolucjonistami. Byli szczególnie użyteczni, bo poznali kulturę wroga, a więc i jego słabe punkty. Tacy ludzie są już niemal nawróceni. Trzeba im tylko wskazać obiekt nienawiści – innych ludzi, których mogą winić za młodzieńcze rozczerowania. Potem można im powiedzieć, jak sobie radzić z takim wrogiem –

pojedynczo lub ze wszystkimi naraz. Przemawia do ich dramaturgia, nawet jeśli nie bardzo rozumieją rzeczywistość.

W końcu Emir, jak zwykli nazywać go współpracownicy, stanie się nowym Mahdim, ostatecznym arbitrem na skalę światowego islamu. Wewnątrzreligijne dysputy (na przykład sunnitów z szyitami) zamierzał rozstrzygać fatwą – lub przeciwnie, zapowiedzią tolerancji religijnej; to wzbudziłoby podziw nawet u jego wrogów. W końcu czyż nie istnieją setki odłamów chrześcijaństwa? A przecież w większości jakoś się dogadują. Mógłby nawet okazać tolerancję.

Żydom – choć to trzeba odłożyć na później, kiedy już zdobędzie władzę absolutną i zasiądzie w skromnym pałacu pod Mekką. Skromność to cnota przydatna religijnym przywódcom. Jak powiedział poganin Tukidydes, jeszcze przed nadejściem Proroka, ze wszystkich demonstracji władzy największe wrażenie robi powściągliwość.

Dążył do ładu ostatecznego. Osiągnięcie go wymaga czasu i cierpliwości, a sukces jest niepewny. Niestety, musiał polegać na zelotach, każdy z nich miał rozum, a w konsekwencji

– własne poglądy. Tacy ludzie mogli obrócić się przeciw niemu. Choćby nawet wierzyli, choćby byli prawdziwie pobożni jak Mahomet. Mahomet, niechaj go Allah błogosławi, był

najczcigodniejszym z ludzi i prowadził słuszną walkę z pogańskimi bałwochwalcami, to on tworzył wspólnotę wiernych. A czy Emir jest czcigodny? Trudne pytanie. Czyż islamu nie trzeba uwspółcześnić, zamiast pozwalać mu tkwić w przeszłości? Czy Allah chce, by Jego wyznawcy byli więźniami siódmego wieku? Na pewno nie. Islam był niegdyś skarbnicą ludzkiej wiedzy, religią nauki i postępu. Niestety, zszedł z tej ścieżki pod rządami wielkiego chana, po czym doznał prześladowań ze strony innowierców z Zachodu. Emir naprawdę wierzył w Koran i nauki imamów, nie zamykał jednak oczu na otaczający go świat. Ani też na naturę człowieka. Ci, którzy posiadli władzę, strzegli jej zazdrośnie. Religia miała z tym niewiele wspólnego. Sama władza działała jak narkotyk. Ludzie zaś potrzebowali czegoś, a najlepiej kogoś, za kim mogli podążać. Wolność, w rozumieniu europejskim czy amerykańskim, często oznaczała chaos. Tego też nauczył się w Hyde Parku. Musi panować ład. A on może go zapewnić.

A więc Uda bin Sali nie żyje, zamyślił się, upijając łyk soku. To wielkie nieszczęście dla Udy, ale tylko drobna niedogodność dla organizacji. Organizacja miała dostęp... no, może nie do morza pieniędzy, ale przynajmniej do sporej liczby rozległych jezior gotówki. Uda zarządzał tylko jednym z mniejszych.

Szklanka soku pomarańczowego spadła ze stołu, lecz na szczęście nie zaplamiła dywanu.

Nie wymagało to żadnej reakcji z jego strony, nawet przez pośredników.

– Ahmedzie, to smutna wiadomość, ale nie ma dla nas większego znaczenia. Nie trzeba podejmować żadnych działań.

– Będzie, jak rozkażesz – odparł z szacunkiem Ahmed Musa Matwalli.

Rozłączył się. Komórka była klonowana. Kupił ją na ulicy od złodzieja w tym jednym tylko celu. Potem wrzucił ją do Tybru z Ponte Sant' Angelo. Zwykły środek bezpieczeństwa, gdy chodzi o rozmowę z wielkim dowódcą organizacji. Jego tożsamość znali nieliczni, najbardziej oddani wyznawcy. Na szczytach władzy przestrzegano ścisłych zasad bezpieczeństwa. Wszyscy przestudiowali różne podręczniki dla oficerów wywiadu. Najlepsze z nich kupili od byłego oficera KGB, który zmarł po transakcji. Tak przynajmniej napisano.

Reguły są proste i przejrzyste. Nie odstępowali od nich ani na jotę. Inni bywali beztroscy i już zapłacili za własną głupotę. Dawny Związek Radziecki był zniechęconym wrogiem, lecz jego pachołkowie to nie głupcy. Tylko niewierni. Ameryka, Wielki Szatan, wyświadczyła światu przysługę, niszcząc ten poroniony twór. Zrobiła to, rzecz jasna, wyłącznie dla własnej korzyści, ale to także musiało zostać zapisane ręką Boga, służyło bowiem również interesom wyznawców. A czy człowiek mógł ułożyć lepszy plan niż plan samego Allaha?

## Rozdział 19

### PIWO I ZABÓJSTWO

Lot do Monachium przebiegł gładko. Niemieccy celnicy byli formalistami, ale swoją robotę wykonywali sprawnie. Taksówka mercedes-benz zawiozła ich do hotelu Bayerischer.

Nowy cel nazywał się Anas Ali Atef. Narodowość egipska, zawód wyuczony, choć niewykonywany, inżynier budownictwa wodno-lądowego.

Wzrost: metr siedemdziesiąt dwa, waga: sześćdziesiąt pięć kilogramów. Gładko ogolony, czarne włosy, ciemnobrązowe oczy. Na laptopach mieli jego adres i zdjęcie. Ponoć był dobry w walce wręcz i sprawnie posługiwał się bronią palną. Kurier wroga, werbował też nowe talenty – jednego z nich zastrzelono w Des Moines w Iowa. Jeździł szarym sportowym audi TT. Mieli nawet numer rejestracyjny. Problem: mieszkał z Niemką, Trudl Heinz, w której był

najwyraźniej zakochany. Jej zdjęcie też mieli. Nie wyglądała może na modelkę, ale i nie na lafiryndę. Brązowe włosy, niebieskie oczy, metr siedemdziesiąt wzrostu, pięćdziesiąt cztery kilogramy wagi. Ślicznie się uśmiechała. Szkoda, pomyślał Dominic, że ma kiepski gust, jeśli chodzi o mężczyzn, ale to nie mój problem.

Anas regularnie chodził do jednego z kilku monachijskich meczetów, zaledwie o przecznicę od jego mieszkania. Kiedy już Dominic i Brian zameldowali się w hotelu i przebrali, pojechali tam taksówką. Na miejscu znaleźli przyjemny bar z grillem – *Gasthaus* –

i ogródkiem, z którego mogli obserwować okolicę.

– Czy wszyscy Europejczycy lubią siedzieć na chodniku i jeść? – dziwił się Brian.

– Pewnie łatwiejsze to niż wycieczka do zoo – stwierdził Dominic. Trzypiętrowa kamienica wyglądała jak cementowy kłoc. Pomalowana na biało, z płaskim dachem, osobliwie przypominała stodołę. Była zadziwiająco czysta. Wszystko w Niemczech było sterylne jak sala operacyjna, ale czy to źle? Nawet samochody nie były tu tak brudne jak w Stanach.

– *Was darf es sein?* – spytał kelner, stając przy stoliku.

– *Zwei Dunkelbieren, bitte* – odparł Dominic; używał jednej trzeciej niemieckich zwrotów zapamiętanych ze szkoły średniej. W pozostałych chodziło głównie o *Herrnzimmer*.

W każdym języku to dobrze znane słowo.

– Amerykanie, tak? – domyślił się kelner.

– Mam taki kiepski akcent? – spytał z niewyraźnym uśmiechem Dominic.

– Nie mówi pan jak Bawarczyk, a ciuchy ma amerykańskie – odparł rzeczowo kelner, jakby stwierdzał, że niebo jest niebieskie.



- Dobra. Dwa ciemne piwa, jeśli byłby pan łaskaw.
- Dwa Kulmbachery, *sofort* – I popędził do środka.
- Chyba właśnie się czegoś nauczyliśmy, Enzo – mruknął Brian.
- Trzeba przy pierwszej okazji kupić jakieś miejscowe ciuchy. Każdy ma oczy – zgodził się Dominic. – Głodny?
- Coś bym zjadł.
- Zobaczmy, czy mają menu po angielsku.
- To musi być ten meczet, do którego chodzi nasz przyjaciel... o tam, w głębi ulicy... widzisz? – Dyskretnie wskazał Brian.
- Pewnie tędy przechodzi?...
- Na to wygląda, braciszku.
- Nie mamy limitu czasu, prawda?
- Nie mówią nam „jak”, tylko „kogo” – przypomniał mu Brian.
- Okej.

Kelner wrócił z piwem. Niezle się prezentował.

- *Danke sehr*. Macie menu po angielsku?
- Oczywiście, proszę pana. – I wyjął je z kieszeni fartucha jak magik.
- Świetnie. Dziękuję bardzo.
- Musiał uczyć na uniwersytecie dla kelnerów – stwierdził Brian, kiedy kelner odszedł. –

Ale poczekaj, aż pojedziemy do Włoch. Tam to mają artystów! Jak byłem we Florencji, to myślałem, że sukinkot czyta mi w myślach. Pewnie miał doktorat z kelnerstwa.

- Nie ma parkingu w budynku. Pewnie jest z tyłu. – Dominic wrócił do spraw zawodowych.
- Czy audi TT to dobry samochód, Enzo?
- Niemiecki. Tu robią porządne auta, człowieku. Audi to nie mercedes, ale i nie yugo.

Chyba widziałem go tylko na zdjęciu. Ale wiem, jak wygląda: dużo krzywizn, smukły, wygląda na

szybki. Bo pewnie jest. Mają tu niezłe autostrady. Podobno w Niemczech jeździ się jak na rajdzie. Nie wyobrażam sobie, żeby Niemiec miał wolny samochód.

– Nieźle.

Brian przeglądał menu. Nazwy potraw były oczywiście po niemiecku, ale z angielskimi podpisami. Propozycje raczej dla Anglików niż Amerykanów. Wciąż mieli tu bazy NATO.

Może dla obrony przed Francuzami, nie Rosjanami, roześmiał się w duchu Dominic. Choć historycznie rzecz biorąc, Niemcy rzadko potrzebowali pomocy.

– Słucham, *mein Herrrn* – spytał kelner, pojawiając się jakby na rozkaz.

– Po pierwsze, jak ci na imię? – zagadnął Dominic.

– Emil. *Ich heisse Emil*.

– Dziękuję. Poproszę *Sauerbraten* i sałatkę ziemniaczaną.

– A ja *Bratwurst*. Mogę o coś spytać?

– Oczywiście – odparł Emil.

– To meczet? – spytał Brian, wskazując budowlę.

– Tak.

– Czy to nie niezwykle? – indagował Brian.

– Mamy w Niemczech wielu tureckich *gastarbeiterów*. Większość z nich to muzułmanie.

Nie jedzą *Sauerbraten*, nie piją piwa. Źle nam się z nimi układa, ale co zrobić? – Kelner z niechęcią wzruszył ramionami.

– Dziękujemy, Emilu – powiedział Brian.

Emil pośpieszył do środka.

– A to co miało być? – zastanawiał się Dominic.

– Nie przepadają za nimi, ale nie wiedzą, co mogliby zrobić. To demokracja, jak u nas, więc muszą być dla nich uprzejmi. Przeciętny Fritz wcale nie pała miłością do tych *gastarbeiterów*, ale raczej siedzi cicho. Czasem zdarzy się jakaś przepychanka. Ponoć głównie bójki w barach. Turcy chyba nauczyli się pić piwo.

– Skąd wiesz? – spytał zaskoczony Dominic.

– W Afganistanie jest niemiecki kontyngent. Sąsiadujemy z nimi. Zdarzyło mi się gadać z tamtejszymi oficerami.

– Dobrzy są?

– To Niemcy, bracie, w dodatku zawodowcy, nie poborowi. Tak, są niezli. To zwiadowcy. Równie dobrze wytrenowani jak nasi, niezle znają góry i podstawy walki.

Podoficerowie wymieniali się nakryciami głów i odznakami. Mieli też piwo, zyskali więc sympatię moich ludzi. Wiesz, piwo mają niezle.

– Jak w Anglii. Piwo to europejska religia. Każdy chodzi do tego kościoła.

Emil przyniósł lunch – *Mittagessen*. Przekonali się, że jedzenie też jest niczego sobie.

Nadal obserwowali kamienicę.

– Ta sałatka ziemniaczana jest fantastyczna, Aldo – odezwał się Dominic, przełykając. –

Nigdy czegoś takiego nie jadłem. Dużo octu i cukru... i jakby trochę chrupiąca.

– Nie tylko Włosi są dobrymi kucharzami.

– Kiedy wrócimy do domu, muszę znaleźć jakąś niemiecką restaurację.

– Dobra. Popatrz, kogo my tu mamy, Enzo.

Nie był to cel, lecz jego kochanka, Trudl Heinz. Jak na zdjęciu w komputerze. Wyszła z kamienicy. Na tyle ładna, żeby się za nią obejrzeć, choć nie gwiazda filmowa. Kiedyś miała włosy blond, ale z wiekiem najwyraźniej pociemniały. Ładne nogi, niezła figura... Szkoda, że związała się z terrorystą. Może potrzebna była do przykrywki – a że miało to dodatkowe zalety, tym lepiej. Chyba że żyli w platonicznym związku, jednak to mało prawdopodobne.

Bracia zastanawiali się, jak też on ją traktuje. Tego niestety nie stwierdzi się na pierwszy rzut oka. Poszła w kierunku świątyni, ale minęła ją.

– Tak sobie myślę... jeśli chodzi o meczetu, możemy go dziabnąć, jak będzie wychodził.

Sporo ludzi się tu kręci – myślał na głos Brian.

– Niezły pomysł. Dziś po południu zobaczymy, jaki on religijny i ilu tu będzie ludzi.

– I może dziś... – zadumał się Dominic. – Najpierw zjedzmy i kupmy jakieś bardziej odpowiednie ciuchy.

– Tak jest. – Brian spojrział na zegarek: 14.00. W domu jest ósma rano. Tylko godzina różnicy w stosunku do Londynu. Nawet jej nie odczuli.

Jack przyszedł wcześniej niż zwykle. Był podniecony – co też się dzieje w Europie?

Zastanawiał się, co przyniosą najnowsze wiadomości.

Okazały się jednak całkiem zwyczajne. Pojawiło się tylko kilka dodatkowych informacji o śmierci Salego. Jak przewidywali, MI-5 zgłosiło w Langley, że zmarł na zawał, prawdopodobnie spowodowany nagłą, śmiertelną arytmia. Takie były wyniki autopsji. Ciało wydano firmie prawniczej reprezentującej rodzinę. Poczyniono przygotowania, by przewieźć je do Arabii Saudyjskiej. Tajniacy przeszukali mieszkanie, nie znaleźli jednak nic szczególnie interesującego. Skopiowano też dane z twardego dysku komputera biurowego. Badali je teraz bit po bicie maniacy od elektroniki z MI-5. Szczegóły wkrótce. Jack zdawał sobie sprawę, że może to potrwać. Dane ukryte na komputerach były, technicznie rzecz biorąc, do odzyskania.

Teoretycznie można też rozebrać piramidy w Gizie, kamień po kamieniu, żeby sprawdzić, co w nich ukryto. Gdyby Sali był naprawdę sprytny, gdyby zagrzebał informacje w miejscach, o których tylko on jeden wiedział, lub zaszyfrował kodem, który on jeden znał... wtedy byłoby ciężko. Czy był tak sprytny? Pewnie nie, pomyślał Jack, ale jest tylko jeden sposób, by się przekonać. Dlatego trzeba szukać. I to co najmniej tydzień, by się upewnić. Miesiąc, jeśli skurwiel znał się na kluczach szyfrujących i kodach. Jednak już samo znalezienie czegoś, co ukrywał, oznacza, że był prawdziwym graczem, a nie zwykłym wolnym strzelcem. Sprawę przydzielili się drużynie z GCHQ. Ale i tak nikt nie odkryje, co Sali zabrał ze sobą do grobu.

– Cześć, Jack – powiedział Wills, wchodząc do biura.

– Dzień dobry, Tony.

– Miło, że ktoś tu nie śpi. Co znaleźli w sprawie naszego zmarłego przyjaciela?

– Niewiele. Chyba wyślą dziś trumnę samolotem do domu. Patolog stwierdził atak serca.

Więc nasi są czyści.

– Islam wymaga, by ciało jak najszybciej pochować w nieoznaczonym grobie. Więc gdy ciało zniknie, to na dobre. Nie przeprowadzą ekshumacji, żeby szukać śladów... na przykład narkotyków.

– Czyli naprawdę to zrobiliśmy? Czego użyliśmy? – dopytywał się Ryan.

– Nie wiem, Jack, i nie chcę wiedzieć, czy i co mieliśmy wspólnego z tym przedwczesnym zgonem. Nie mam zamiaru się dowiadywać. Ty też nie powinienes, dobra?

– Tony, jak, do cholery, możesz pracować w tej branży i nie być ciekawski?

– Człowiek uczy się, czego lepiej nie wiedzieć. Uczy się też, że są tematy, których lepiej nie poruszać – wyjaśnił Wills.

– Aha... – Jack miał wątpliwości. Jasne, ale ja jestem za młody na takie pierdoły, pomyślał. Tony to dobry fachowiec, ale żyje w zamknięciu. Sali też jest zamknięty. W

trumnie. Niezbyt miłe miejsce. A tak w ogóle naprawdę go załatwiliśmy. Na cacy.

Nie wiedział tylko jak. Może spytać mamę, jakie leki, jakie substancje chemiczne mogły zapewnić powodzenie tej misji? Nie, nie powinien tego robić. Na pewno powiedziałyby ojcu, a Duży Jack chciałby wiedzieć, dlaczego jego syn zadaje takie pytania... Może nawet domyśliłby się odpowiedzi. Nie ma mowy.

Znając już oficjalne stanowisko rządu w kwestii śmierci Salego, Jack zaczął szukać przechwyconych przez NSA informacji z innych interesujących źródeł.

Nie było już wzmianek o Emirze. Ot, pojawiła się jedna i znikła. Wcześniej też była tylko jedna – Tony coś o tym mówił. Jego wniosek o przeszukanie rejestrów Fort Meade i Langley nie został zaakceptowany przez górę. Zawód, lecz nie zaskoczenie. Nawet Campus ma swoje ograniczenia. Jack rozumiał niechęć kierownictwa. Nie chcieli ryzykować, że ktoś zacznie się zastanawiać, od kogo pochodzi wniosek. Jednak każdego dnia wysyłano ich tysiące. Jeden więcej chyba nie narobi rabanu? Postanowił nie wnikać. Nie ma sensu. Jeszcze wezmą go za zadymiarza... Na tym etapie kariery! Mimo wszystko kazał komputerowi przeszukiwać wszystkie nowe wiadomości na hasło „Emir”. Gdyby wypłynęło, mógłby to zarejestrować. I następnym razem miałby mocniejsze podstawy do złożenia wniosku specjalnego. Jeśli w ogóle będzie jakiś następny raz. Tak czy inaczej, według niego taki tytuł musiał oznaczać kogoś szczególnego. Nawet jeśli CIA uważała, że to „prawdopodobnie dowcip, zrozumiały dla wtajemniczonych”. Taką ocenę przedstawił starszy analityk z Langley. I trzeba było się z nią liczyć. Co prawda Campus powstał po to, by naprawiać błędy CIA, ale z braku personelu musiał przyjmować wiele pomysłów Agencji. Nie całkiem to sensowne. Jednak nikt nie konsultował się z juniorem, kiedy Hendley zakładał placówkę. Musiał zatem przyjąć, że kierownictwo wie, co robi. Ale jak to mawiał Mike Brennan o pracy w policji, przyjmować coś z góry to najlepszy sposób, żeby to spieprzyć. Powiedzenie to świetnie znali w FBI.

Każdy popełnia błędy wprost proporcjonalne do wysokości zajmowanego stanowiska.

Niestety ludzie na górze nie lubili, kiedy im o tym przypominano. Cóż, nikt tego nie lubi.

Nie zawracali sobie głowy ubraniami na miarę. Te, które kupili w sklepie, na pierwszy rzut oka były podobne do dostępnych w Stanach. Jednak różnice, choć każda z osobna nieznaczną, zupełnie zmieniały wygląd. Sprawili też sobie nowe buty. Przebrali się w hotelu i wyszli na ulicę.

Skutek murowany. Briana zaczepiła jakaś Niemka, by spytać o drogę na *Hauptbahnhof*, na co odparł

po angielsku, że jest przejazdem. Kobieta uśmiechnęła się z zakłopotaniem i zaczęła szukać kogoś miejscowego.

– Chodziło jej o Dworzec Główny – wyjaśnił Dominic.

– To czemu nie weźmie taksówki? – zdziwił się Brian.

– Żyjemy w niedoskonałym świecie, Aldo. Teraz wyglądasz na Niemca. Jeśli ktoś jeszcze cię zaczepi, powiedz po prostu „*Ich bin ein Auslander*”. To znaczy: „Jestem obcokrajowcem”.

Jak to usłyszy, pewnie zada pytanie lepszym angielskim niż w Nowym Jorku.

– Patrz! – Brian pokazał złote łuki McDonalda.

Widok cieszył oko bardziej niż flaga nad amerykańskim konsulem. Mimo to żaden z nich nie miał ochoty tam jeść. Miejscowe jedzenie było o wiele lepsze. Nim zapadła noc, wrócili do hotelu Bayerischer, żeby zjeść kolejny lokalny posiłek.

– No to są w Monachium. Namierzili budynek, w którym mieszka cel, oraz meczet, do którego chodzi, ale nie jego samego – meldował Granger Hendleyowi. – Widzieli za to jego przyjaciółkę.

– A więc wszystko idzie gładko? – upewnił się senator.

– Na razie nie ma powodu do narzekania. Niemiecka policja nie interesuje się naszym przyjacielem. Ich kontrwywiad go zna, ale nie prowadzą przeciw niemu żadnej sprawy. Co prawda mają problemy z miejscowymi muzułmanami i niektórych obserwują, lecz ten gość jeszcze niczym im się nie naraził. Langley też nie naciska. Nie mają teraz zbyt dobrych układów z Niemcami.

– To dobrze i źle?

– Właśnie – przytaknął Granger. – Nie udzielają nam zbyt wielu informacji, ale i nie musimy się martwić ogonem. Zabawni ci Niemcy. Jeśli ktoś jest *in Ordnung*, to jest względnie bezpieczny. Z drugiej strony, gdy tylko posunie się za daleko, to współczuję.

Zawsze mieli świetnych policjantów, ale nie szpiegów. Sowieci i Stasi całkowicie spenetrowali ich wywiad. Wciąż się z tego nie otrząsnęli.

– Wykonują tajne operacje?

– Nie bardzo. To chodzący legaliści. Wychowują uczciwych ludzi przestrzegających zasad. Fatalnie to wpływa na operacje specjalne. Czasem czegoś próbują, ale z marnym skutkiem. Założę się, że przeciętny Niemiec nawet płaci na czas wszystkie podatki.

– Ich bankierzy nieźle sobie pogrywają na arenie międzynarodowej – zaprotestował

Hendley.

– Może dlatego, że międzynarodowi bankierzy nie znają pojęcia lojalności wobec kraju – wbił szpilę Granger.

– Lenin powiedział kiedyś, że dla kapitalisty liczy się tylko kraj, w którym robi interesy.

Są tacy ludzie – przyznał Hendley. – A to widziałeś? – podał wniosek o sprawdzenie informacji o jakimś Emirze.

Sam przejrzał go i zwrócił szefowi.

– Niewystarczające powody.

– Wiem – przytaknął Hendley. – Dlatego odrzuciłem wniosek. Ale... wiesz co, ma nosa, że to zauważył, i na tyle rozumu, żeby zadać pytanie.

– Chłopak jest bystry.

– O tak. Dlatego poleciłem Rickowi przydzielić go do Willsa. Tony jest inteligentny, lecz zwykle widzi tylko swoją działkę. Jack nauczy się rzemiosła, ale też i ograniczeń.

Zobaczymy, jak na tym skorzysta. Jeśli zostanie z nami, może daleko zajść.

– Myślisz, że ma taki potencjał jak jego ojciec? – Duży Jack był królem szpiegów zanim poszedł jeszcze wyżej.

– Tak... Myślę, że może mu dorównać. W każdym razie z tym Emirem miał zasadniczo niezły pomysł. Nie za wiele wiemy o sposobie działania naszych przeciwników. To dobór naturalny, Sam. Przestępcy uczą się od swoich poprzedników i stają się coraz sprytniejsi. Na nasze nieszczęście. Nie wystawią się na strzał. Nie chcą zaistnieć w telewizji. To może dobre dla ego, ale ze skutkiem śmiertelnym. Stado gazeli nie rusza na lwa.

– Święta prawda – przyznał Granger, zastanawiając się, jak jego przodek radził sobie z Indianami, gdy służył w 9. Pułku Kawalerii. – Nie wszystko się zmienia, Gerry, problem w tym, że możemy tylko spekulować, na jakim modelu opiera się ich organizacja. A spekulacja to nie wiedza.

– No to powiedz, co ty o tym myślisz – polecił Hendley.

– Ten cały ich szef jest co najmniej dwa poziomy wyżej. Jeden człowiek czy cały komitet? Nie wiemy i na razie nie mamy jak się dowiedzieć. Możemy dorwać wszystkich zabójców, ale to jak przycinanie trawnika. Przycinasz, rośnie, przycinasz, rośnie... i tak w nieskończoność. Jak chcesz zabić węża, to najlepiej obetnij mu głowę. To wszyscy wiemy.

Cała sztuka w tym, by ją znaleźć... bo to wirtualna głowa. Ktokolwiek to jest, kimkolwiek są, działają na podobnej zasadzie jak my. Dlatego robimy rozpoznanie bojem. Chcemy ich trochę przetrzepać. Wszyscy nasi analitycy czekają na ich błąd, tu, w Langley i w Meade.

Odpowiedziało mu westchnienie.

– Tak, Sam, wiem. Może ich sprowokujemy. Trudno o cierpliwość, kiedy wróg chełpi się, jak to nas podszedł, zabijając kobiety i dzieci...

– Nikomu się to nie podoba, Gerry, ale nawet Bóg potrzebował siedmiu dni na dzieło stworzenia.

– Kazania mi tu prawisz? – obruszył się Hendley.

– „Oko za oko” to według mnie słuszna zasada, ale najpierw trzeba to oko znaleźć.

Musimy być cierpliwi.

– Wiesz, kiedy rozmawiałem z Dużym Jackiem o tym, że trzeba stworzyć takie miejsce...

byłem głupi, bo sądziłem, że będziemy mogli szybciej rozwiązywać problemy, jeśli tylko uzyskamy do tego uprawnienia.

– Będziemy szybsi niż rząd, ale nikt z nas nie jest Jamesem Bondem. Słuchaj, dopiero zaczęliśmy operację. Sprzątnęliśmy jednego. Jeszcze trzech i dopiero wtedy będziemy mogli oczekiwać reakcji drugiej strony. Cierpliwości, Gerry.

– Jasne.

Cóż, wolałby mieć agentów w tej samej strefie czasowej.

– Wiesz, jest jeszcze coś.

– Co takiego, Jack? – spytał Wills.

– Byłoby lepiej, gdybyśmy wiedzieli, jakie operacje są w toku. Moglibyśmy skuteczniej wyszukiwać dane.

– A podział zadań między wydziałami?

– Sranie w banię – burknął Jack. – Jeśli jesteśmy częścią zespołu, możemy pomóc.

Sprawy, które mogą wydawać się nieistotne, jawią się w innym świetle, jeśli zna się kontekst.

Tony, ten budynek to jedna wielka całość! Dzielenie go, jak w Langley, nie usprawni pracy.



A może coś mi umknęło?

– Rozumiem, o co ci chodzi, jednak nie tak działa ten system.

– Wiedziałem, że to powiesz, ale jak, do cholery, mamy naprawiać błędy CIA, skoro tylko kopiujemy ich sposób działania?

Nie ma na to dobrej odpowiedzi, stwierdził Wills. Po prostu nie ma. Ten dzieciak za szybko się we wszystkim łąpał. Czego nauczył się w Białym Domu? Na pewno zadawał wiele pytań. Co więcej, słuchał wszystkich odpowiedzi. A nawet się nad nimi zastanawiał.

– Mówię to z przykrością, Jack, ale ja tu jestem tylko twoim oficerem szkoleniowym, a nie szefem.

– No tak, wiem. Przepraszam. Chyba przywykłem do tego, że tata ma siłę sprawczą...

przynajmniej dla mnie tak to wyglądało. Wiem, że nie dla niego. Może niecierpliwość to cecha rodzinna.

I po mieczu, i po kądzieli. Mama, jako chirurg, przywykła decydować o tym co, jak i kiedy – czyli zazwyczaj natychmiast. Trudno być stanowczym, jak się siedzi przy komputerze. Pewnie w swoim czasie tata też musiał przełknąć tę lekcję – kiedy Ameryka była w zasięgu strzału naprawdę groźnego wroga. Terrorysty potrafili uządlić, lecz nie potrafili wyrządzić poważniejszej krzywdy strukturom państwa – choć próbowano tego kiedyś w Denver. Byli jak insekty, nie jak nietoperze wampiry...

Ale przecież komary przenoszą żółtą febrę, prawda?

Na południowy wschód od Monachium, w porcie Pireus, żuraw uniósł ze statku kontener i opuścił go na oczekującą naczepę. Kiedy już go przymocowano, ciągnik siodłowy wywiózł

naczepę z portu. Minął Ateny i skierował się na północ, w greckie góry. Według listu przewozowego zmierzał do Wiednia z transportem kolumbijskiej kawy. Długa podróż bez postojów, po porządnym autostradach. Ochronie portu jakoś nie przyszło do głowy, by przeszukać kontener. Wszystkie listy ładunkowe były w porządku. Zgadzały się zeskanowane kody paskowe. A na miejscu już czekano na tę część ładunku, której nie zmiesza się z gorącą wodą i śmietanką. Trzeba wielu ludzi, by podzielić tonę kokainy na działki. Na szczęście mieli do dyspozycji parterowy magazyn. Później każdy z nich uda się do innej części Europy, korzystając z tego, że w Unii Europejskiej nie ma granic. Partner w interesach dotrzymał

słowa, a słowo stało się pieniądzem. Wszystko odbyło się nocą, gdy Europejczycy spali snem sprawiedliwych. Nawet ci, którzy już wkrótce skorzystają z nielegalnej części ładunku – jak tylko znajdą dealera.

Obiekt zobaczyli następnego ranka, o 9.30. Nie spiesząc się, jedli śniadanie – strudel i kawa – w innym *Gasthaus*, pół przecznicy od tego, gdzie pracował ich nowy przyjaciel Emil.

Obok siedziało ze dwudziestu Niemców. Anas Ali Atef przeszedł parę metrów od bliźniaków.

Nie zauważył, że jest obserwowany. Patrzył przed siebie. Nie lustrował dyskretnie otoczenia jak doświadczony szpieg. Najwyraźniej czuł się tu bezpieczny. Świetnie.

– Jest nasz chłopak – oznajmił Brian, który zauważył go pierwszy.

Nie wyróżniał się niczym szczególnym – jak Sali – za to idealnie odpowiadał

wizerunkowi ze zdjęcia. No i wyszedł z tego właśnie budynku. Charakterystyczne wąsy ułatwiały identyfikację. Dobrze ubrany. Gdyby nie karnacja i wąsy, mógłby uchodzić za Niemca. Doszedł do skrzyżowania, wsiadł do tramwaju i odjechał. Gdzieś na wschód.

– Coś podejrzewasz? – spytał Dominic.

– Pojechał na śniadanie z kumplem albo planować upadek niewiernego Zachodu... skąd mam wiedzieć, człowieku?

– Tak... dobrze byłoby mieć go na oku. Ale my nie prowadzimy śledztwa, prawda?

Skurwiel zwerbował co najmniej jednego ze strzelców. Zasłużył sobie, by go skreślić, Aldo.

– Tak jest. – Nie ma o czym mówić. Anas Ali Atef był dla Briana tylko twarzą i dupą, w którą wbije swoje niezwykle magiczne pióro. Potem Ali utnie sobie pogawędkę z Bogiem. A to już za wysokie progi.

– Gdyby to była operacja Biura, mielibyśmy już ekipę w jego mieszkaniu, ot, choćby żeby przeszukać jego komputer.

– I co teraz?

– Zobaczymy, czy chodzi do meczetu. Jeśli tak, sprawdzimy, czy łatwo będzie go załatwić, kiedy wchodzi lub wychodzi.

– A nie wydaje ci się, że sprawy toczą się trochę za szybko? – zastanawiał się Brian.

– Moglibyśmy siedzieć w hotelu i walić konia, ale od tego męczy się nadgarstek.

– Niby tak.

Skończyli śniadanie. Uregulowali rachunek, nie dali jednak dużego napiwku. Nie chcieli, by rozpoznano w nich Amerykanów.

Tramwaj tylko na pozór nie jest wygodniejszy od samochodu. No, nie trzeba szukać miejsca parkingowego. Europejskich miast nie zaprojektowano z myślą o samochodach.

Oczywiście Kairu też nie. Tam korki bywają niesamowite. Gorsze nawet niż tutaj. Poza tym w Niemczech jest przynajmniej porządna komunikacja publiczna. Pociągi są wspaniałe. A co dopiero jakość połączeń. W końcu sam uczył się inżynierii kilka lat temu. Czy naprawdę kilka? A jakby w innym życiu.

Niemcy to ciekawi ludzie. Sztwywni, oficjalni i w swoim własnym mniemaniu lepsi od wszystkich innych nacji. Patrzą z góry na Arabów – a tak naprawdę to i na większość Europejczyków; otwarli granice dla cudzoziemców tylko dlatego, że tak nakazywało ich prawo narzucone sześćdziesiąt lat temu przez Amerykanów po drugiej wojnie światowej.

Ponieważ ich obowiązywało, postępowali zgodnie z nim. I to przeważnie bez narzekania. Ci wariaci przestrzegają prawa, jakby pochodziło od samego Boga. Zdyscyplinowany naród, jednak drzemie w nim potencjał przemocy – zorganizowanej przemocy – jakiej nie ma na całym świecie. Jeszcze za pamięci wielu osób dokonali rzezi na Żydach. Teraz zamienili obozy koncentracyjne w muzea – o dziwo znajdujące się w nich eksponaty wciąż są sprawne.

Jakby czekały w pogotowiu. Jaka szkoda, że brak woli politycznej, by je uruchomić!

Żydzi już czterokrotnie upokorzyli jego kraj. Zabili jego starszego brata, Ibrahima, na górze Synaj, gdy kierował radzieckim czołgiem T-62. Nie pamiętał Ibrahima. Za młody był

wówczas. Znał go tylko z fotografii, lecz matka wciąż go opłakiwała. Brat zginął, próbując dokończyć dzieło Niemców. Poniósł niestety klęskę, zabity strzałem z działka amerykańskiego czołgu M60A1 w bitwie o Mitle. Bo Amerykanie chronią Żydów. Żydzi rządzą Ameryką.

Dlatego dostarczają wrogom Atefa broń i informacje wywiadowcze... no i uwielbiają zabijać Arabów.

Jednak przegrana nie pohamowała arogancji Niemców. Tylko inaczej ją ukierunkowała.

Mógł to obserwować w tramwaju – ukradkowe spojrzenia, starsze kobiety odsuwające się od niego... Kiedy wysiądę, pewnie ktoś wytrze poręcz szmatką ze środkiem dezynfekującym, pomyślał ze złością Anas. Na Proroka, co za niesympatyczni ludzie.

Podróż trwała dokładnie siedem minut. Wysiadł na Dom Strasse. Stamtąd musiał jeszcze przejść przecnicę dalej. Idąc, też widział ukradkowe wrogie spojrzenia, a nawet gorzej –

spojrzenia, które prześlizgiwały się po nim, jakby był zbłąkanym psem. Dobrze byłoby dobrać się do skóry Niemcom – o tu, w Monachium! – jednak miał inne rozkazy.

Wszedł do kafejki. Fa'ad Rahman Jasin już tam był. Ubrany w zwykłe, robocze łachy, niczym się nie wyróżniał.

– *Salem alejkum* – przywitał się Atef.

– *Alejkum salem* – odparł Fa'ad. – Mają tu doskonałe ciasto.

– O, tak – przyznał Atef po arabsku. – Co nowego, przyjacielu?

– Nasi ludzie są zadowoleni. W zeszłym tygodniu porządnie potrząsnęliśmy Ameryką – oznajmił Fa'ad.

– Nie na tyle, by wyrzekli się Izraelczyków. Kochają Żydów bardziej niż własne dzieci.

Zapamiętaj moje słowa. Odegrają się na nas.

– Niby jak? – powątpiewał Fa'ad. – Odegrają się, jasne, na tych, o których wiedzą ich agencje szpiegowskie. Ale to tylko rozwścieczy wiernych i przyciągnie do nas więcej ludzi.

Nie, o naszej organizacji nie wiedzą. Nie znają nawet jej nazwy. – Bo też tak naprawdę nie miała nazwy. Po prostu nazywano ją organizacją.

– Obyś się nie mylił. Masz dla mnie nowe rozkazy?

– Dobrze się spisałeś: trzech spośród zwerbowanych przez ciebie mężczyzn wybrało męczeńską śmierć w Ameryce.

– Trzech? – mile zdziwił się Atef. – Ufam, że dostąpili dobrej śmierci?

– Zginęli w imię Allaha. Lepiej być nie może. Kogoś jeszcze proponujesz?

Atef sączył kawę.

– Na razie nie, ale mam na oku dwóch kandydatów. Wiesz, że to trudne. Nawet najwierniejsi wyznawcy Allaha chcą cieszyć się życiem. – Jak on sam, rzecz jasna.

– Dobra robota, Anas. Lepiej mieć pewność niż wymagać zbyt wiele. Nie śpiesz się.

Umiemy być cierpliwi.

– Jak bardzo cierpliwi? – dociekał Atef.

– Mamy kolejne plany względem Ameryki. Chcemy ich ugodzić jeszcze mocniej.

Ostatnio zabiliśmy setki. Następnym razem zabijemy tysiące – obiecał Fa'ad z błyskiem w oku.

– Niby jak? – spytał Atef. Mógłby być, ba, powinien być, oficerem od planowania.

Idealnie się do tego nadawał, miał przecież wykształcenie techniczne. Czy oni o tym nie wiedzą? Niektórzy ludzie w organizacji chyba myślą fiutem.

– Tego nie wolno mi wyjawiać, przyjacielu. – Fa’ad Rahman Jasin przemilczał, że tego nie wie. Osoby wyżej postawione w organizacji nie do końca mu ufały. Wściekłby się, gdyby zdał sobie z tego sprawę.

Ten skurwysyn pewnie sam tego nie wie, pomyślał Atef.

– Zbliża się godzina modlitwy, przyjacielu – oświadczył Anas Ali Atef, zerkając na zegarek. – Chodź ze mną. Mój meczet jest o dziesięć minut drogi stąd. – Wkrótce czas na *salat*. Sprawdzi, czy jego współpracownik jest prawdziwym wyznawcą.

– Jak sobie życzysz.

Wstali i zaraz złapali tramwaj, który piętnaście minut później zatrzymał się w pobliżu meczetu.

– Popatrz, no, Aldo – odezwał się Dominic. Rozglądali się wokół, a tu proszę: jest ich znajomek. Idzie sobie ulicą z jakimś kolegą.

– Ciekawe, kim jest ten drugi? – zastanawiał się Brian.

– Nie znamy go, a nie możemy działać na własną rękę. Wchodzisz w to?

– No pewnie! A ty?

– Bez dwóch zdań!

Cel znajdował się w odległości trzydziestu metrów. Szedł w ich kierunku, najwyraźniej zmierzał do pobliskiego meczetu.

– I jak?

– Zaraz. Lepiej go załatwić, kiedy wyjdzie.

– OK.

Odwrócili się i zaczęli podziwiać witrynę kapelusznika. Usłyszeli – niemal poczuli – jak Arab ich mija.

– Jak myślisz, długo to potrwa?

– Skąd, do cholery, mogę wiedzieć? Od paru miesięcy nie byłem w kościele...

– Super – burknął Brian. – Mam brata apostatę.

Dominic stłumił śmiech.

– To ty zawsze byłeś ministrantem.

Atef i jego znajomy weszli do meczetu. Czas na modlitwę, *salat*, drugi z pięciu filarów islamu. Pokłonią się i uklękną z twarzą zwróconą ku Mekce. Będą szeptać ulubione fragmenty Koranu. Wyznanie wiary. Wchodząc do świątyni, zdjęli buty. Jasim był niemal zaskoczony: w meczecie widać było niemieckie wpływy. W ścianie atrium znajdowały się przegródki na buty. Ponumerowane, by uniknąć pomyłki... lub kradzieży. Nadzwyczaj rzadkie przestępstwo w muzułmańskim kraju. Islam bardzo surowo karze kradzież. A w domu Allaha? To obraza Boga.

Oddali pokłon Allahowi. Trwało to krótko, ale Atef utwierdził się w wierze. Pomodlili się i wrócili do atrium. Zabrali buty i wyszli z meczetu.

Nie oni pierwsi. Amerykanie obserwowali wszystkich. W którą stronę pójda? Dominic miał oko na ulicę, rozglądał się za policjantami lub oficerami wywiadu, ale żadnych nie zauważył. Był pewien, że obiekt pójdzie do swojego mieszkania. Brian patrzył w przeciwnym kierunku. W modłach uczestniczyło ze czterdziestu ludzi. Na ulicy rozproszyli się na wszystkie cztery strony świata, pojedynczo lub grupkami. Podjeżdżały taksówki i zatrzymywały się, by zabrać pasażerów. Dominic i Aldo wolno podeszli – by się nie zdemaskować. Naraz ze świątyni wyłonił się ich cel wraz ze swoim kumplem.

Skręcili w lewo i wyszli prosto na Dominica. Jeszcze trzydzieści metrów.

Brian wszystko widział. Dominic wyciągnął złote pióro z wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki i ukradkiem przekreślił korpus, by je uzbroić. Ujął je w dłoń jak szpikulec do lodu i...

Cóż za widok! Dominic udał, że się potyka, wpadł na Atefa. Brian nawet nie zauważył, kiedy go ukłuł. Upadli razem. Atef nawet nie poczuł ukłucia. Jego kumpel pomógł im wstać.

Dominic wymamrotał przeprosiny i poszedł sobie. Brian podążył za celem. Nie widział, jak skończył Sali. Choć ponure, było to dla niego interesujące. Obiekt przeszedł jakieś półtora metra i stanął. Coś powiedział, bo jego znajomy odwrócił się ku niemu, jakby chciał o coś spytać. I co zobaczył? Atef upadł na ziemię. Uniósł jeszcze rękę, by zasłonić twarz, jednak zaraz potem jego ciało zwiotczało.

Ten drugi kompletnie osłupiał. Przyklękął, żeby sprawdzić, co się stało, najpierw zaskoczony, potem zatroskany... i wpadł w panikę. Odwrócił ciało i zaczął mówić do leżącego. Właśnie wtedy minął ich Brian. Twarz Atefa była spokojna i nieruchoma jak u lalki.

Mózg pracował, ale gość nie mógł nawet otworzyć oczu. Brian postać minutę, po czym odszedł, nie oglądając się za siebie. Jeszcze tylko poprosił gestem przechodzącego Niemca, by wezwał pomoc.

Tamten sięgnął po komórkę. Pewnie zadzwoni po karetkę. Brian doszedł

do skrzyżowania i odwrócił się – chciał wiedzieć, co będzie dalej. Co chwila zerkał na zegarek. Ambulans przyjechał w sześć i pół minuty. Niemcy byli naprawdę świetnie zorganizowani. Sanitariusz sprawdził tętno. Podniósł wzrok, zaskoczony, potem zaniepokojony. Razem z kolegą wyciągnął z karetki nosze, na oczach Briana ułożyli na nich Atefa i zaintubowali go. Sanitariusze byli dobrze wyszkoleni. Z pewnością robili to wielokrotnie, także na ulicy. Czas naglił, więc nie przenieśli Atefa do karetki, tylko zaczęli go reanimować na miejscu.

Brian popatrzył na zegarek. Dziesięć minut od upadku. Mózg Atefa był już martwy. I to by było na tyle. Oficer marine skręcił w lewo. Na następnym rogu złapał taksówkę. Nie potrafił wymówić nazwy hotelu, jednak kierowca domyślił się, o który mu chodzi. Dominic czekał w holu. Razem ruszyli do baru.

Dobrze, że załatwili gościa zaraz po tym, jak wyszedł z meczetu. Na pewno nie pójdzie do piekła. Przynajmniej tego nie mieli na sumieniu. Choć piwo też pomagało.

## Rozdział 20

### ODGŁOSY POLOWANIA

14.26 w Monachium to 8.26 w Campusie. Sam Granger przyszedł do biura wcześniej.

Zastanawiał się, co znajdzie w poczcie elektronicznej. Bliźniacy działali szybko. Nie byle jak, po prostu nie marnowali czasu i pieniędzy Campusu, korzystając z technologii, jaką im udostępniono. Oczywiście ustalili już cel numer 3. Odpowiednia wiadomość została zaszyfrowana i lada chwila ją wyśle. Inaczej niż w przypadku zabójstwa Salego w Londynie nie mógł oczekiwać, że niemiecki wywiad, Bundesnachrichtendienst, wystosuje „oficjalną”

notę. Prawie nie zauważyli Anasa Alego Atefa. Jeśli już, to sprawa zainteresuje miejscową policję. Najprawdopodobniej jednak skończy się na koronerze – ot, kolejny zawał w kraju, gdzie zbyt wielu obywateli pali i niezdrowo się odżywia.

O 8.43 nadszedł e-mail z komputera Dominica. Szczegółowo opisywał udaną akcję –

przypominało to raport FBI. Chyba dobrze, że z Atefem był znajomy. Skoro jeden z wrogów był naocznym świadkiem zabójstwa, to najpewniej zgon nie wzbudzi podejrzeń. Mimo wszystko Campus zrobi, co w jego mocy, by uzyskać oficjalny raport o śmierci Atefa. Może się to jednak okazać dość trudne.

Ryan i Wills oczywiście o niczym nie wiedzieli. Jack rutynowo przeglądał wiadomości wymieniane

przez amerykańskie agencje wywiadowcze. Zabralo mu to ponad godzinę. Potem wziął się za wiadomości krążące w Internecie między domniemanymi terrorystami.

Przytłaczająca większość była równie nieciekawa, jak listy zakupów. Niektóre e-maile mogły być zakodowanymi przekazami, to jednak trudno stwierdzić bez odpowiedniego programu lub klucza. Co najmniej jeden terrorysta używał słowa „upał” dla oznaczenia wzmożonej ochrony w miejscu, które interesowało jego wspólników. Z tym, że wiadomość wysłano w lipcu, kiedy rzeczywiście było gorąco. Przechwyciło ją FBI, które początkowo się nią nie zainteresowało.

Nagle coś go zaalarmowało.

– Hej, Tony, pewnie chciałbyś to zobaczyć...

Adresatem okazał się ich dobry znajomy, 56MoHa@eurocom.net. Treść wiadomości potwierdzała, że był ogniwem łączącym terrorystów:

*ATEF NIE ŻYJE. ZMARŁ NA MOICH OCZACH, TU, W MONACHIUM. WEZWANO*

*KARETKĘ I REANIMOWANO GO NA ULICY. UMARŁ W SZPITALU NA ZAWAŁ.*

*POTRZEBNE INSTRUKCJE. FA'AD.* Adres nadawcy: misiu@ostercom.net. Coś nowego.

– Misiu? – zaśmiał się Wills. – Gość szuka sobie w sieci lasek.

– Dobra, uprawia cyberseks, ale mniejsza z tym. Tony, jeśli właśnie załatwiliśmy w Niemczech jakiegoś Atefa, to tu mamy potwierdzenie... oraz nowy cel. – Ryan odwrócił się do swojego komputera i używając myszy, sprawdził źródła. – O, NSA też to zauważyła.

Może uważają go za potencjalnego gracza.

– Lubisz popuszczać wodze fantazji – uciął Wills.

– Gówno prawda! – Tym razem Jacka poniosło. Zaczynał rozumieć, czemu ojciec tak często wkurzał się na informacje wywiadowcze docierające do Gabinetu Ovalnego. –

Cholera, Tony, jak bardzo to musi być oczywiste?

Wills wziął głęboki oddech i oznajmił spokojnym, jak zwykle, głosem:

– Wyluzuj, Jack. To tylko jedno źródło. Pojedynczy raport dotyczący czegoś, co niekoniecznie się wydarzyło. Nie rób rabanu, jeśli nie potwierdza tego znane źródło. Ten cały

„misiu”, to może być każdy. Nie da się stwierdzić, czy jest dobry, czy zły.

Jack junior zastanawiał się, czy oficer szkoleniowy znów go testuje.



– No dobra, po kolei. 56MoHa to źródło, co do którego mamy niemal pewność, że jest graczem. Prawdopodobnie oficerem operacyjnym. Szukamy go w sieci, odkąd tu jestem, tak?

Przeszukujemy więc jego skrzynkę i natrafiamy na ten list. W tym samym czasie w terenie prawdopodobnie działa nasz zespół zabójców. Chyba że chcesz mi powiedzieć, że Uda bin Sali naprawdę dostał zawału, marząc o swej ulubionej kurewce. I że brytyjskie służby specjalne uznały ten wypadek za wysoce interesujący jedynie dlatego, że nie co dzień domniemany bankier terrorystów pada trupem na ulicy. Coś pominąłem?

Wills się uśmiechnął.

– Nieźle. Brak ci dowodów, ale dobrze to sobie poukładałeś. Myślisz więc, że powinienem z tym pójść na górę?

– Nie, Tony, myślę, że powinieneś z tym pobiec – oznajmił Ryan, z trudem nad sobą panując. Weź głęboki oddech i policz do dziesięciu.

– No to chyba tak zrobię.

Pięć minut później Wills wszedł do biura Ricka Bella i wręczył mu dwie kartki.

– Rick, czy prowadzimy akcję w Niemczech? – spytał.

Odpowiedź go nie zaskoczyła.

– Czemu pytasz? – odparł Bell z pokerową miną.

– Przeczytaj.

– Cholera. Kto złowił tę rybkę?

– Zgadnij.

– Nieźle, jak na dzieciaka. – Bell spojrzał badawczo na Tony'ego. – Ile się domyśla?

– W Langley skurczybyk działałby ludziom na nerwy.

– Tak jak tobie?

– Powiedzmy – zbył go Wills. – Potrafi puścić wodze fantazji, Rick.

Bell skrzywił się.

– Tu nie zawody jeździeckie.

– Rick, Jack dodaje dwa do dwóch równie szybko, jak komputer odróżnia zero od jedynki. Ma rację, prawda?

Bell zastanowił się przez chwilę.

– A jak myślisz?

– Sądzę, że dorwali Salego, a to wygląda na drugą misję. Jak oni to robią?

– Naprawdę to nie chcesz wiedzieć. To wygląda podejrzanie – odparł Bell. – Ten Atef werbował ludzi. Wysłał co najmniej jednego gościa do Des Moines.

– Wystarczający powód – stwierdził Wills.

– Sam też tak uważa. Przekażę mu to. Co dalej?

– Trzeba się bliżej przyjrzeć temu MoHa. Może go wytropimy – oznajmił Wills.

– Masz pojęcie, gdzie jest?

– Wygląda na to, że we Włoszech. To duży kraj. Wielkie miasta i mnóstwo zakamarków.

Dla niego jak znalazł. Dobra lokalizacja. Połączenia lotnicze ze wszystkimi krajami.

Terrorysty ostatnio zostawili Włochy w spokoju. Nikt nie zwraca uwagi na psa, który nie szczeka.

– Tak samo w Niemczech, Francji i w reszcie Europy Środkowej?

– Na to wygląda – przytaknął Wills. – Są następni w kolejce, ale chyba to do nich nie dociera. Schowali głowy w piasek, Rick.

– Fakt – zgodził się Bell. – A co robimy z twoim uczniem?

– Z Ryanem? Dobre pytanie. Cholernie szybko się uczy. Fantastycznie kojarzy różne sprawy. Czasami ponosi go wyobraźnia, ale dobry analityk powinien ją mieć.

– Jaka ocena?

– Czwórka plus... może piątka minus. Tylko dlatego, że jest nowy. Nie jest tak dobry jak ja, ale ja w tym siedziałem, zanim on przyszedł na świat. To wschodząca gwiazda, Rick.

Daleko zajdzie.

– Aż taki dobry? – zdziwił się Bell. Tony Wills dał się poznać jako ostrożny i konserwatywny analityk. Jeden z najlepszych w Langley, mimo swego daszka i zarękwów.

– Aż taki – potwierdził Wills. Był również do bólu szczery. Mógł sobie na to pozwolić.

Campus płacił lepiej niż każda inna agencja rządowa. Wills odchowiał już dzieci, najmłodsze studiowało na ostatnim roku fizyki na Uniwersytecie Stanu Maryland. Potem będą mogli pomyśleć z Betty o następnym etapie życia, choć Wills jeszcze nie planował wyjazdu, dobrze mu tu było. – Ale nie mów chłopakowi, że to powiedziałem.

– Woda sodowa?

– Nie, tego bym się nie obawiał. Ale nie chcę, by sobie pomyślał, że już wszystko wie.

– Tylko idioci tak myślą.

– No tak – przyznał Wills. – Ale po co ryzykować?

I wyszedł. Bell niestety nadal nie wiedział, co zrobić z młodym Ryanem. Cóż, trzeba będzie pomówić o tym z senatorem.

– Następny przystanek: Wiedeń – poinformował brata Dominic. – Jest kolejny cel.

– Nie zastanawiasz się, na jak długo starczy nam pracy?

Dominic skwitował to śmiechem.

– Człowieku, w samej Ameryce jest tylu popaprańców, że zapewnią nam robotę do końca życia.

– Oszczędź pieniądze, zwolnij wszystkich sędziów?

– Nie jestem Brudny Harry Callahan, matołku.

– A ja nie jestem Chesty Putyer. Jak tam dotrzemy? Samolotem? Pociągiem? A może samochodem?

– Samochodem byłoby fajnie. – Może wynajmiemy porsche?

– Cudownie – burknął Brian. – Dobra, wyloguj się, żebym mógł pobrać plik, dobra?

– Pewnie. Muszę też pogadać z konsjerżem.

I wyszedł z pokoju.

– To jedyne potwierdzenie, jakie mamy? – spytał Hendley.

– Tak – odparł Granger. – Ale dokładnie zgadza się z tym, co mówią nasi wysłannicy.

– Działają za szybko. Co, jeśli tamci pomyślą: dwa zawały w niecały tydzień?... Co wtedy?

– Gerry, to ma być rozpoznanie bojem, pamiętasz? Troszkę chcemy, by przeciwnik się zdenerwował. Wkrótce jednak weźmie górę arogancja i przypiszą to przypadkowi. Gdyby to był film, pomyśleliby, że CIA zaczęła ostro grać. Tymczasem to nie kino, a oni wiedzą, że CIA tak nie pogrywa. Może Mosad, ale wobec Izraelczyków zachowywali ostrożność. Zaraz, zaraz – Grangerowi zapaliło się czerwone światelko – a co jeśli to ci goście, którzy sprzątnęli oficera Mosadu w Rzymie?

– Nie płacę ci za spekulacje, Sam.

– To jest możliwe – nie odpuszczał Granger.

– Możliwe też, że tego biedaka odstrzeliła mafia, biorąc go za mafiosa, który wisiał im kasę. Głowy jednak bym za to nie dał.

– No tak. – I Granger wrócił do swojego biura.

Muhammad Hassan al-Din był w tym czasie w Rzymie, w hotelu Excelsior. Popijał kawę i pracował na komputerze. Zmartwiły go wieści o Atefie. Był dobrym werbownikiem.

Inteligentny, wiarygodny i oddany sprawie, umiał przekonywać do niej innych. Sam też chciał działać w terenie, zabijając wrogów i zostać świętym męczennikiem. Mógł być w tym dobry, jednak człowiek, który potrafi werbować, jest cenniejszy niż taki, który chce oddać życie. Prosta arytmetyka. Absolwent studiów inżynierskich, jak właśnie Atef, powinien to rozumieć. O co to mu chodziło? A tak, o brata, zabitego przez Izraelczyków w 1973 roku.

Długo chował urazę, nawet jak na człowieka z organizacji... cóż, zdarzały się i takie przypadki. Teraz Atef dołączył do brata w raj. On miał szczęście, organizacja – pecha. Tak jednak było pisane, pocieszył się Muhammad. Niechaj tak będzie. Walka zaś potrwa, aż zginie ostami z wrogów.

Na łóżku leżały dwa sklonowane telefony, których mógł używać bez obawy o podsłuch.

Czy powinien zadzwonić z tym do Emira? Warto się nad tym m zastanowić. Anas Ali Atef to drugi zawał w czasie krótszym niż tydzień. W obu przypadkach chodziło o młodych mężczyzn. Dziwne... bardzo niezwykle ze statystycznego punktu widzenia. Jednak Fa'ad stał

w tym czasie o krok od Anasa. Gdyby miał go zastrzelić lub otruć izraelski oficer wywiadu, zabiłby najpewniej obu. Zważywszy na obecność naocznego świadka, nie było powodów, by coś podejrzewać. Co do tego drugiego... cóż, Uda był dziwką. Nie on pierwszy umarł z powodu tej słabości. Więc wygląda to po prostu na niezwykle zbieg okoliczności. Nie warto zawracać głowy Emirowi. Mimo wszystko sporządził notatkę o obu wypadkach, zaszyfrował

plik i wyłączył komputer. Miał ochotę na spacer. W Rzymie był piękny dzień. Gorąco, jak na Europę, lecz on czuł się jak w domu. Kawalek dalej, na tej samej ulicy, była miła restauracja z ogródkiem. Jedzenie serwowali zaledwie przeciętne – ale „przeciętne” tu oznaczało lepsze niż w wielu wykwinnych restauracjach w innych częściach świata. Można by sądzić, że wszystkie Włoszki będą otyłe, ale skądże – były tak samo chorobliwie chude jak niemal wszystkie kobiety Zachodu. Niektóre wyglądały wręcz jak dzieci z Etiopii. Jak młodzi chłopcy, a nie dojrzałe, doświadczone kobiety. Jakież to smutne. Muhammad nie wszedł

jednak do restauracji, ale przeszedł na drugą stronę Via Veneto, by wybrać z bankomatu tysiąc euro. Nowa europejska waluta niezwykle ułatwiła podróżowanie po kontynencie.

Allahowi niech będą dzięki. Euro nie było jeszcze tak stabilne jak dolar, ale przy odrobinie szczęścia to wkrótce się zmieni. Wtedy jeszcze łatwiej będzie mu podróżować.

Nie można nie kochać Rzymu. Pięknie położony, otwarty na świat, pełen cudzoziemców... i gościnnych ludzi. Miejscowi gięli się w pokłonach, by zarobić trochę gotówki, jak wieśniacy – którymi przecież byli. Dobre miasto dla kobiet. W Rijadzie nie robi się takich zakupów. Jego matka Angielka lubiła Rzym. I nic dziwnego. Dobre jedzenie i wino oraz oddech historii, z czasów poprzedzających nawet samego Proroka, niechaj go Allah błogosławi. Z rąk cesarzy zginęło tu wielu ludzi, zaszlachtowanych ku uciesze gawiedzi w amfiteatrze lub zabitych, bo narazili się imperatorowi. Za czasów imperium na ulicach musiał

panować spokój. Nie ma lepszego sposobu, by go zapewnić, niż bezlitosne egzekwowanie prawa. Wszyscy znali cenę łamania. Tak też niegdyś było w ojczyźnie Muhammada.

Miał nadzieję, że czasy te powrócą, kiedy już pozbędą się rodziny królewskiej. Zabijają lub wypędzają za granicę... może do Anglii lub Szwajcarii, gdzie szlachetnie urodzeni i majątni mogli leniwie dożywać kresu swych dni w komfortowych warunkach. Muhammadowi i jego współpracownikom odpowiadały obie alternatywy. Byle tylko rodzina królewska nie rządziła już trawionym korupcją krajem, bijąc czołem przed niewiernymi i sprzedając im ropę.

Rządzili ludźmi, jakby wywodzili się od samego Mahometa. To musi się skończyć.

Muhammad nienawidził Ameryki, ale znacznie bardziej nienawidził klasy rządzącej jego ojczyzną.

Jednak Ameryka była jego głównym celem ze względu na swą potęgę, którą wykorzystywała dla ochrony imperialistycznych interesów Amerykanów. Ameryka zagrażała wszystkiemu, co było drogie jego sercu. To kraj niewiernych, mecenas i obrońca Żydów.

Ameryka najechała jego kraj. Stacjonowały tam teraz amerykańskie wojska, których ostatecznym celem było bez wątpienia podporządkowanie sobie całego islamskiego świata i zapanowanie nad miliardem wyznawców Allaha w imię własnych, wąsko pojmowanych interesów. Zadać cios Ameryce – to stało się jego obsesją. Nawet Izraelczycy nie byli tak atrakcyjnym celem. Choć występni, Żydzi to tylko wasale Amerykanów, sprzedający się za pieniądze i broń. Nie zdają sobie nawet sprawy, jak cynicznie się ich wykorzystuje. Irańscy szyici mieli rację. Ameryka to Wielki Szatan, sam Iblis, tak potężny, że trudno mu zadać miazdzący cios... na szczęście często bezbronny wobec ataków wiernych i prawych wojsk Allaha.

Konsjerż z hotelu Bayerischer przeszedł sam siebie, pomyślał Dominic, wsiadając do porsche 911. Przedni bagażnik ledwo pomieścił ich torby. Trzeba je było porządnie upchnąć.

Ale i tak porsche jest lepszy nawet od małolitrażowego mercedesa. Dziewięćsetjedenastka to dopiero bryka! Brian będzie pilotował. Pojadą na południowy wschód, przez Alpy do Wiednia. Na razie nie myśleli o tym, że jadą tam, by kogoś zabić. Służyli ojczyźnie – a czyż można sobie wyobrazić większe oddanie?

– Potrzebuję kasku? – spytał Brian, wsiadając do wozu. W przypadku tego samochodu równie dobrze mógł siedzieć na chodniku.

– Nie, kiedy ja prowadzę, Aldo. Dalej, braciszku. Ruszamy w tango.

Porsche lśnił niebiesko, bak był napęczniony, sześciocylindrowy silnik wyregulowany.

Niemcy lubią, jak wszystko jest in Ordnung. Pilotowani przez Briana, wyjechali z Monachium i znaleźli się na autostradzie do Wiednia. Enzo postanowił sprawdzić, jak szybko można jeździć porsche.

– Może potrzebują wsparcia? – zasugerował Hendley Grangerowi, którego właśnie wezwał do siebie.

– Co masz na myśli? – Sam wiedział oczywiście, że Hendleyowi chodzi o braci Caruso.

– To, że nie mają dostatecznego wsparcia wywiadu – zauważył były senator.

– No cóż... nigdy się nad tym nie zastanawialiśmy, prawda?

– No właśnie. – Hendley odchylił się na krześle. – W pewnym sensie działają po omacku.

Żaden z nich nie ma wielkiego doświadczenia wywiadowczego. A co, jeśli sprzątną nie tego, co trzeba? Jasne, pewnie ich przy tym nie zgarną, ale jak to wpłynie na ich psychikę?

Pamiętam takiego gościa z mafii, siedział chyba w więzieniu federalnym w Atlancie. Zabił

jakiegoś biednego sukinsyna, bo myślał, że tamten chce zabić jego. Pomylił się. Całkiem się po tym rozkleił. Śpiewał jak kanarek. Dzięki temu po raz pierwszy dowiedzieliśmy się czegoś o organizacji mafii, pamiętasz?

– A tak, to był żołnierz mafii, niejaki Joe Valachi... ale przecież to był przestępca...

– A Brian i Dominic są z gruntu dobrzy, więc wyrzuty sumienia jeszcze bardziej dadzą im się we znaki. Może wsparcie wywiadowcze to nie taki zły pomysł...

Grangera zaskoczyła ta sugestia.

– Faktycznie, widzę potrzebę lepszej oceny wywiadowczej. Przyznam też, że to całe wirtualne biuro ma swoje ograniczenia. Nie mogą zadawać pytań... no ale jakby jakieś mieli, to mogą do nas mailować...

– Jak do tej pory tego nie zrobili – zauważył Hendley.

– Gerry, przeszli dopiero dwa etapy misji. Nie za szybko panikujesz? To dwaj inteligentni i zdolni młodzi oficerowie. Dlatego ich wybraliśmy. Potrafią myśleć samodzielnie, a tego właśnie oczekujemy od naszych chłopców w terenie.

– Sam, oczekiwać można wiele, ale z góry zakładać... Myślisz, że to dobry pomysł? –

Hendley nauczył się w senacie, jak forsować swoje pomysły. Był pod tym względem zabójczo skuteczny.

– Zakładanie czegoś z góry to zawsze kiepski pomysł. Ja to wiem, Gerry. Ale pojawiają się komplikacje. Skąd będziemy wiedzieć, kogo wysłać? A co jeśli to tylko zwiększy poziom niepewności? Tego chcemy? – Hendley, pomyślał Granger, cierpi na najniebezpieczniejszą odmianę choroby parlamentarnej. Jakże łatwo uśmiercić pomysł przez przeoczenie!...

– Chodzi mi o to, że dobrze byłoby mieć tam kogoś, kto myśli w trochę inny sposób.

Caruso są dobrzy. Nie mam co do tego wątpliwości. Ale są też niedoświadczeni. Ważne, żeby mieć tam kogoś, kto ujrzy fakty i sytuację w innym świetle.

Granger poczuł się zapędzony w kozi róg.

– No dobra, wydaje się to logiczne, ale oznacza dodatkowe komplikacje, których nie potrzebujemy.

– Dobrze, więc spójrz na to w ten sposób: co, jeśli stanie się coś, na co nie są przygotowani? W takim przypadku będą potrzebowali niezależnej opinii o nowych danych.

Dzięki temu zmniejszy się prawdopodobieństwo pomyłki podczas działania w terenie. Nie daje mi spokoju, że mogą popełnić błąd, który dla jakiegoś biedaka okaże się śmiertelny w skutkach. Jak to wpłynie na ich kolejne misje? Poczucie winy, wyrzuty sumienia... mogą rozwiązać im języki. Czy możemy to całkowicie wykluczyć?

– No, może nie całkowicie... ale w ten sposób dodamy kolejny element do tego równania.

Można powiedzieć „nie”, kiedy trzeba powiedzieć „tak”. Każdy może powiedzieć „nie”. A to nie zawsze najlepsze wyjście. Nie można przesadzać z ostrożnością.

– Jestem innego zdania.

– No dobra. Więc kogo chcesz tam wysłać? – spytał Granger.

– Zastanówmy się... Powinien to być... musi być ktoś, kogo znają i komu ufają... –

zawiesił głos.

Udało mu się wyprowadzić z równowagi szefa wydziału operacyjnego. Zafiksował sobie coś w głowie, wiedząc aż nazbyt dobrze, że w tym budynku jego słowo – słowo szefa Campusu – jest prawem. Nie istnieje żadna wyższa instancja. Jeśli zatem Granger ma wybrać kogoś do tego zadania, musi to być ktoś, kto niczego nie spieprzy.

Autostrada była wspaniale, wręcz genialnie zaprojektowana. Dominic zaczął się zastanawiać, kto ją zbudował. Droga wyglądała na starą. Łączyła Niemcy z Austrią... może to sam Hitler kazał ją wybudować? W każdym razie nie było żadnych ograniczeń prędkości.

Sześciocylindrowy silnik porsche mruczał jak polujący tygrys, który zwęszył świeże mięso.

Niemieccy kierowcy są zadziwiająco uprzejmi. Wystarczy tylko zamrużyć światłami, a ustępują z drogi, jakby przed Najwyższym. Zupełnie inaczej niż w Stanach, gdzie jakaś starowinka w wiekowym pinto jedzie lewym pasem, bo jest leworęczna, a poza tym lubi stopować maniaków w wyścigowych samochodach. Nawet po słonej pustyni Bonneville nie można mknąć szybciej.

A Brian? Starał się opanować strach. Od czasu do czasu przymykał oczy, w myślach powracając do lotów na niskim pułapie przez przełęcz górskie Sierra Nevada. Często latali śmigłowcami CH-46, starszymi od niego. Przeżył to. Teraz chyba też przeżyje. Jako oficer marines nie mógł okazywać strachu czy słabości. A prawdę mówiąc, to ekscytujące. Jak jazda kolejką górską bez trzymanki.

Enzo natomiast bawił się jak nigdy w życiu. Czuł się pewnie, bo miał zapięte pasy, a ten niemiecki samochodzik zaprojektowali pewnie ci sami fachowcy, którzy konstruowali tygrysy. Przejazd przez góry okazał się najbardziej ekscytujący. Kiedy już wjechali na tereny rolnicze, krajobraz stał się bardziej płaski, a droga mniej kręta. Bogu niech będą dzięki.



– „Wzgórza rozbrzmiewają dźwiękami muuzyki” – Dominic zanucił fragment z musicalu *Dźwięki muzyki*, fałszując straszliwie.

– Gdybyś tak zaśpiewał w kościele, Pan Bóg strzeliłby ci w tyłek piorunem – dociął mu Brian, wyciągając ze schowka plan Wiednia.

Ulice miasta okazały się istnym labiryntem. Stolicę Austrii zbudowano przed nadejściem rzymskich legionów. Nie było tu długich prostych ulic, po jakich zwykle defilowali legionieści przed *tribunus militaris* w dzień urodzin cesarza. Plan ukazywał obwodnice: wewnętrzną i zewnętrzną, pewnie tamtędy przebiegały średniowieczne mury obronne. Turcy kilkakrotnie próbowali przyłączyć Austrię do swego imperium, jednak ten fragment historii wojskowości nie znalazł miejsca w programie nauczania marines. Austria, jako dawna monarchia habsburska, była krajem zamieszkanym w większości przez katolików, co nie przeszkodziło Austriakom eksterminować prominentną i dobrze prosperującą mniejszość żydowską po tym, jak Hitler przyłączył *Österreich* do Rzeszy. Stało się to po plebiscycie w sprawie anszlusu w 1938 roku. To tu właśnie, a nie w Niemczech, urodził się Hitler. Austriacy odpłacili mu za lojalność, stając się bardziej nazistowscy niż on sam. Tak przynajmniej mówiły podręczniki historii. Był to jedyny kraj na świecie, gdzie *Dźwięki muzyki* poniosły kasową porażkę... być może dlatego, że film prezentował niepochlebny opinię o partii nazistowskiej.

Wiedeń wyglądał jak dawna stolica cesarstwa. Szerokie bulwary okolone drzewami, piękne budynki, przemili mieszkańcy. Kierując się wskazówkami Briana, dojechali do hotelu Imperial na Kartner Ring. Budynek wyglądał jak przybudówka do słynnego pałacu Schönbrunn.

– Musisz przyznać, że mieszkamy w ładnych miejscach, Aldo – zauważył Dominic.

Wnętrze zrobiło na nich jeszcze większe wrażenie. Złoczone tynki i boazeria jakby wykonana przez rzemieślników żywcem przeniesionych z renesansowej Florencji. Hol niezbyt obszerny, ale trudno było nie zwrócić uwagi na recepcję: personel w uniformach, jak na obsługę hotelową przystało.

– Dzień dobry – powitał ich portier. – Panowie Caruso?

– Tak – odparł zdziwiony Dominic. – Macie państwo rezerwację dla mojego brata i dla mnie?

– Tak, sir – odparł portier tyleż usłużnie, co entuzjastycznie. Akcent miał harwardzki. –

Dwa przyległe pokoje z oknami na ulicę.

– Wspaniale. – Dominic wyjął czarną kartę American Express i podał pracownikowi hotelu.

– Dziękuję bardzo.

– Są dla nas jakieś wiadomości? – spytał Dominic.

– Nie, sir.

– Czy boy mógłby zająć się naszym samochodem? Jest wypożyczony. Jeszcze nie wiemy, na jak długo.

– Oczywiście, sir.

– Dziękuję. Możemy zobaczyć nasze pokoje?

– Naturalnie. Są na pierwszym piętrze... o, przepraszam, na drugim, jak to państwo mówią w Ameryce. Franz! – zawołał.

Boy mówił po angielsku nie gorzej od portiera.

– Tędy proszę, panowie.

Nie było windy, tylko wyłożone czerwonym dywanem schody, u szczytu których wisiał zajmujący całą ścianę portret jakiegoś ważniaka w białym mundurze, z pięknie uczesanymi długimi bokobrodami.

– Któż to taki? – spytał boya Dominic.

– Cesarz Franciszek Józef, sir. Odwiedził nasz hotel zaraz po jego otwarciu, w dziewiętnastym wieku.

– Ach tak... – To wyjaśniało klasę personelu. Styl tego miejsca był nie do podrobienia.

Po piętnastu minutach rozgościli się już w pokojach. Brian zajrzał do brata.

– Cholera, w Białym Domu tak nie mają.

– Tak sądzisz? – nie dowierzał Dominic.

– Facet, ja to wiem. Byłem tam. Wujek Jack zaprosił mnie, kiedy dostałem nominację oficerską... nie, gdy ukończyłem szkołę zasadniczą. Kurde, co za miejsce! Ciekaw jestem, ile to kosztuje?

– A co tam, ja płacę... a nasz przyjaciel zatrzymał się w pobliskim Bristolu. Ciekawie jest polować na takich bogaczy, co?

No tak, praca... Dominic wyciągnął z torby laptopa – Imperial był przystosowany do potrzeb gości z komputerami. Po chwili otworzył najnowszy plik. Wcześniej tylko go przejrzał. Teraz przeczytał słowo po słowie...

Granger myślał intensywnie. Gerry chciał kogoś do niańczenia bliźniaków. Uparł się. W

wydziale wywiadowczym Rick Bell miał pod swoją komendą wielu facetów z głową. Jednak, jako byli oficerowie wywiadu, wydawali się za starzy, żeby towarzyszyć bliźniakom... albo Caruso byli dla nich za młodzi. Nie wyglądałoby dobrze, gdyby dwóch mężczyzn przed trzydziestką włączyło się po Europie z facetem po pięćdziesiątce. Trzeba im kogoś młodszego. Nie było takich zbyt wielu, ale jeden się znajdzie...

Podniósł słuchawkę.

Fa'ad był dwie ulice dalej, na drugim piętrze hotelu Bristol, słynącego przede wszystkim ze wspaniałej restauracji i z tego, że sąsiaduje blisko z Operą. Znajdujący się po drugiej stronie ulicy gmach poświęcono pamięci Wolfganga Amadeusza Mozarta, nadwornego muzyka Habsburgów, który umarł młodo właśnie tu, w Wiedniu. Fa'ada jednak nie interesowała historia. Jego obsesją była terażniejszość. Wstrząsnęła nim śmierć Anasa Alego Atefa, której był świadkiem. To nie to samo, co śmierć niewiernych w telewizji, oglądana z uśmiechem na ustach. Był tam, widział, jak życie uchodzi z jego kolegi, jak niemieccy sanitariusze daremnie walczą ze śmiercią. Widać było, że robią, co w ich mocy nawet dla kogoś, kim na pewno pogardzali. Zaskakujące. Byli tylko ludźmi wykonującymi swoją pracę, ale wykonywali ją z niezwykłą determinacją. Potem przewieźli Atefa do najbliższego szpitala, gdzie z kolei niemieccy lekarze zrobili to samo – wszystko daremnie. Siedział w poczekalni, gdy podszedł do niego doktor, by przekazać smutne wieści. Powiedział – zupełnie niepotrzebnie – że zrobili wszystko, co w ich mocy, że wygląda to na rozległy zawał i że przeprowadzą badania laboratoryjne, by upewnić się co do przyczyny śmierci. W końcu spytał, czy zmarły miał rodzinę i kto odbierze ciało. Ciekawe, jak dokładni są ci Niemcy.

Fa'ad załatwił formalności, po czym wsiadł do pociągu do Wiednia. Siedząc samotnie w przedziale pierwszej klasy, próbował odzyskać równowagę po tych strasznych przejściach.

Pisał raport dla organizacji. Jego kontaktem był Muhammad Hassan al-Din. Chyba był

teraz w Rzymie, choć Fa'ad Rahman Jasin nie był tego całkiem pewien. I nie musiał być.

Wystarczy adres internetowy. Jakie to smutne, że tak młody, pełen życia, szlachetny towarzysz padł trupem na ulicy. Jeśli był w tym jakiś sens, to znał go tylko Allah. A człowiek nie zawsze rozumie Jego plany. Fa'ad wyjął z barku buteleczkę koniaku i opróżnił duszkiem, nie nalewając nawet do stojącej na szafce koniakówki. Może to i grzech, ale pomaga ukoić nerwy. Poza tym nigdy nie pił publicznie. Niech to diabli! Znów rzucił okiem na barek.

Zostały w nim jeszcze dwie butelczyny koniaku. I kilka miniaturowych buteleczek szkockiej, ulubionego trunku mieszkańców Arabii Saudyjskiej, którzy często nie przestrzegali szariatatu.

– Masz paszport? – spytał Granger, kiedy tylko usiadł.

– Pewnie. Czemu pan pyta? – chciał wiedzieć Ryan.

– Jedziesz do Austrii. Samolot odlatuje dziś wieczorem z Dulles. Oto bilet.

– Po co?

– Masz rezerwacją w hotelu Imperial. Tam dołączysz do Dominica i Briana Caruso.

Będziesz im doradzał w kwestiach wywiadowczych. Możesz korzystać ze swojego konta poczty elektronicznej. Twój laptop jest wyposażony w technologią szyfrującą.

– Przepraszam, panie Granger. Nie tak szybko. Co tu jest właściwie grane?

– Założę się, że twój ojciec nieraz zadawał to pytanie – odparł Granger z uśmiechem, który zmroziłby lód w whisky. – Gerry uważa, że bliźniacy potrzebują wsparcia wywiadowczego. Ty je zapewnisz. Będziesz ich konsultantem w terenie. Nie znaczy to, że sam masz coś robić. Twoje zadanie to śledzić działania wywiadowcze z wirtualnego biura.

Jak dotąd, dobrze ci szło. Masz nosa do wyszukiwania różnych rzeczy w sieci... lepszego niż Dom czy Brian. Wysłanie cię w teren ma chyba sens. Możesz nie przyjąć zadania, ale na twoim miejscu nie robiłbym tego. W porządku?

– Kiedy mam lot?

– Spójrz na bilet.

Jack sprawdził.

– Cholera. Muszę się pospieszyć.

– Więc się spiesz. Na Dulles zabierze cię samochód. Ruszaj.

– Tak, sir – odparł Jack, zrywając się na równe nogi. Dobrze, że podstawią samochód.

Nie chciał zostawiać swojego hummera na lotniskowym parkingu. Złodzieje kochają takie bryki. – Aha, jeszcze jedno. Komu mogę o tym powiedzieć?

– Rick Bell da znać Willsowi. Poza tym nikt nie może o tym wiedzieć. Powtarzam: nikt.

Jasne?

– Jasne, sir. Dobra, już mnie nie ma.

Do biletów dołączono czarną kartę American Express. Firma stawia podróż. Ile takich kart czeka w szufladach Campusu? Nieważne, ta jedna zupełnie wystarczy.

– A to co? – rzucił Dominic, patrząc na komputer. – Aldo, jutro rano będziemy mieli towarzystwo.

– Niby kogo? – spytał Brian.

– Nie piszą. Mamy jednak nie podejmować żadnych działań, zanim do nas nie dołączy.

– Jezu, co to, przedszkole? Nie nasza wina, że ten ostatni sam wpadł nam w ręce. Po chuj było zwlekać?

– Tacy są goście z rządu. Jeśli jesteś zbyt skuteczny, wpadają w panikę – mruknął

Dominic. – Idziemy na obiad, braciszku?

– Dobra. Sprawdźmy, jak tu przyrządzają gulasz cielący. Myślisz, że mają porządne wina?

– Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać, Aldo.

Dominic wyjął krawat z torby podróżnej. Hotelowa restauracja wyglądała równie uroczyście jak dawna siedziba wujka Jacka.

## **Rozdział 21**

### **TRAMWAJ ZWANY POŻĄDANIEM**

Dla Jacka było to zupełnie nowe przeżycie. I to z dwóch powodów. Nigdy jeszcze nie był

w Austrii. A już na pewno nigdy nie wyruszał w teren w charakterze szpiega, by dołączyć do zespołu zabójców! Pomysł wyprawiania na tamten świat ludzi, którzy lubili zabijać Amerykanów, wydawał się całkiem niezły za biurkiem w West Odenton w Marylandzie.

Jednak kiedy już siedział na miejscu 3A w airbusie 330, na wysokości dziesięciu tysięcy metrów nad Oceanem Atlantyckim, wydało mu się to ryzykowne. Jasne, Granger powiedział

mu, że tak naprawdę nie będzie musiał nic robić. Pasuje. Jack wiedział, jak się strzela z pistoletu. Regularnie chodził na strzelnicę Secret Service w śródmieściu Waszyngtonu, a czasem w Akademii Secret Service w Beltsville w Marylandzie – jeśli zabrał go tam Mike Brennan. Tyle że Brian i Dom nie strzelali do ludzi. Raport MI-5, który widział, świadczył o czymś innym. Atak serca... jak, do cholery, sfingować atak serca tak, żeby nawet patolog się nie zorientował? Trzeba ich o to spytać. Pewnie zostanie w to wtajemniczony.

Jedzenie było lepsze niż zazwyczaj w samolocie. Co do wina, to nawet personel pokładowy nie może go zepsuć, jeśli butelka jest zamknięta. Kiedy miał już dosyć alkoholu, zasnął bez problemów. Siedzenia w pierwszej klasie były staromodne, żadne tam nowoczesne bądziej z setką ruchomych

części, a co jedna, to bardziej niewygodna. Jak zwykle połowa ludzi z przodu przez całą noc oglądała filmy. „Każdy ma własne sposoby na szok podróży”, mawiał ojciec. Jack go po prostu przesypiał.

Sznycel wiedeński był przepyszny, a miejscowe wina wyśmienite.

– Nawet dziadek mógłby się od nich czegoś nauczyć – stwierdził Dominic, gdy skończył jeść.

– Pewnie szefem kuchni jest Włoch. No, przynajmniej półkrwi. – Brian dopił świetne miejscowe wino, które polecił im kelner. Kelner natychmiast to zauważył i napełnił kieliszek, po czym znów rozpląnął się w powietrzu. – Cholera, łatwo się do tego przyzwyczaić. Bije na głowę posiłki regeneracyjne.

– Przy odrobinie szczęścia nigdy już nie będziesz musiał jeść tego gówna.

– Pewnie, jeśli tylko zostaniemy w branży – odparł z powątpiewaniem Aldo. W swoim boksie mogli liczyć na prywatność. – No to co wiemy o następnym celu?

– To podobno kurier. Przekazuje wiadomości... te, których nie przesyłają siecią. Dobrze byłoby go wysondować, lecz nie to jest celem naszej misji. Tym razem mamy opis, bez zdjęcia. To mnie martwi. Nie wygląda na kogoś ważnego. I to również mnie martwi.

– Rozumiem cię. Musiał wkurzyć co poniektórych. Pech. – Brian przestał mieć wyrzuty sumienia, jednak wolałby załatwić kogoś stojącego bliżej szczytu łańcucha pokarmowego.

Brak zdjęcia był istotnie niepokojący. Trzeba uważać. Nie chcą przecież sprzątnąć tego, kogo nie trzeba.

– Cóż, nie trafił na naszą listę dlatego, że za głośno śpiewał na mszy, no nie?

– Na pewno nie jest święty – zgodził się Brian. – Rozumiem, stary. – Zerknął na zegarek.

– Czas uderzyć w kimono. Jutro spotkanie. Gdzie mamy się zobaczyć z tym kimś?

– Piszą, że sam do nas przyjdzie. Cholera, może też go tu zakwaterują.

– Campus ma dziwne podejście do kwestii bezpieczeństwa, nie uważasz?

– Tak... zupełnie inaczej niż w filmach. – Dominic roześmiał się cicho. Skinął na kelnera.

Deser sobie darowali. W takim miejscu mogliby po nim pęknąć. Pięć minut później byli już w

łózkach.

– Myślisz, że jesteś taki sprytny, co? – spytał Hendley Grangera, z którym rozmawiał z domu przez bezpieczny telefon.

– Gerry, powiedziałeś mi, żebym wysłał wywiadowcę, tak? – odparł Sam, również z domowego zacisza. – Kogo innego z wydziału Ricka możemy wysłać? Wszyscy mi mówią, jaki ostry zawodnik z tego dzieciaka. Więc pozwólmy mu się sprawdzić w akcji.

– Ale to żółtodziób – zaprotestował Hendley.

– A bliźniacy to niby nie? – odparował Granger. Tu cię mam. Od teraz pozwolisz mi prowadzić mój sklepik po mojemu, miał ochotę powiedzieć na głos. – Gerry, on nie będzie odwalał mokrej roboty. Dzięki temu stanie się lepszym analitykiem. Jest z nimi spokrewniony. Znają go. On ich zna. Będą mu ufać i wierzyć w to, co mówi. Tony Wills twierdzi, że to najinteligentniejszy młody analityk, jakiego widział od czasu, kiedy odszedł z CIA. Wydaje się idealnym kandydatem, prawda?

– Jest za młody – powiedział nieśmiało Hendley, wiedząc, że przegrał. – A kto nie jest, Gerry? Jeszcze nikt tego nie robił.

– Jeśli coś się spieprzy...

– Pójdę się smażyć. Wiem. Dasz mi teraz pooglądać telewizję?

– Do jutra – zakończył Hendley.

– Dobranoc, stary.

Surfując po Internecie, misiu spotkał na czacie osobę przedstawiającą się jako Elsa K 69.

Powiedziała, że ma dwadzieścia trzy lata, metr sześćdziesiąt wzrostu i waży pięćdziesiąt cztery kilogramy. Wymiary przyzwoite, choć nie oszałamiające, brązowe włosy, niebieskie oczy... i perwersyjna wyobraźnia. Była też dobra w maszynopisanu. W rzeczywistości, choć Fa'ad nie mógł tego wiedzieć, rozmawiał z pięćdziesięcioletnim mężczyzną, na wpół pijanym i bardzo samotnym. Czatowali po angielsku. „Dziewczyna” po drugiej stronie oznajmiła, że jest sekretarką w Londynie. Austriacki księgowy dobrze znał to miasto.

Fa'adowi to wystarczyło. Wkrótce zagłębił się w perwersyjną fantazję. To nie to samo, co z prawdziwą kobietą, ale wolał nie dawać upustu swym namiętnościom, będąc w Europie.

Nigdy nie wiadomo, czy wynajęta kobieta nie okaże się agentką Mosadu, która z radością odetnie mu przyrodzenie. Nie czuł wielkiego lęku przed śmiercią, ale jak każdy mężczyzna bał się bólu.

Fantazjował sobie przez niemal pół godziny. Zaspokoił się na tyle, że zapisał sobie „jej”

nicka, licząc, że znowu „ją” spotka. Nie wiedział, że księgowy z Tyrolu również dodał go do listy kontaktów, zanim położył się do swojego zimnego, samotnego łóżka.

Kiedy Jack się obudził, ujrzał uniesione żaluzje i skąpane w blasku słońca góry sześć tysięcy metrów niżej. Spojrzał na zegarek. Był na pokładzie samolotu od jakichś ośmiu godzin, z czego sześć przespał. Nieźle. Po winie trochę bolała go głowa, jednak poranna kawa i drożdżówka okazały się niezłe i pozwoliły się rozbudzić, zanim samolot zaczął kołować przed lądowaniem.

Lotnisko nie było wielkie jak na główny w kraju port międzynarodowy. Cała Austria liczyła tylu mieszkańców, co Nowy Jork, w którym były trzy porty lotnicze. Samolot dotknął

plyty lotniska; kapitan przywitał wszystkich w swojej ojczyźnie i poinformował, że według czasu miejscowego jest 9.05. Ten dzień będzie zmaganiem z zegarem biologicznym, jednak przy odrobinie szczęścia do jutra dojdzie do siebie.

Samolotem przyleciało niewielu ludzi, więc bez problemów załatwił formalności, odebrał

bagażę i poszedł na postój taksówek.

– Do hotelu Imperial, proszę.

– Gdzie? – spytał taksówkarz.

– Hotel Imperial – powtórzył Ryan.

Kierowca musiał to przemyśleć.

– *Ach so. Hotel Imperial, ja?*

– *Das ist richtig* – zapewnił go junior i zaczął podziwiać widoki.

Miał przy sobie sto euro. Powinno wystarczyć, chyba że gość znał nowojorską szkołę taksówkarzy. A nawet gdyby, od czego są bankomaty.

Przez pół godziny przedzierali się przez korki. Dojeżdżając do hotelu, minęli salon Ferrari. Było to dla Jacka coś nowego. Do tej pory widywał Ferrari tylko w telewizji. Jak każdy młody człowiek zastanawiał się, jak się prowadzi takie чудо.

W hotelu przywitano go niczym księcia i zaprowadzono do apartamentu na trzecim piętrze. Łóżko wyglądało niezwykle kusząco. Natychmiast zamówił śniadanie i rozpakował



bagażę. Kiedy jednak przypomniał sobie, po co tu przyjechał, chwycił za telefon i poprosił o połączenie z pokojem Dominica Caruso.

- Słucham? – zgłosił się Brian. Dom brał w tym czasie prysznic.
- Cześć, tu Jack – odezwał się głos w słuchawce.
- Jaki znowu Jack... chwilunia... Jack?!
- Jestem na górze, żołnierzu. Przyleciałem godzinę temu. Przyjdźcie, to pogadamy.
- Jasne. Daj mi dziesięć minut. Brian poszedł do łazienki.
- Enzo, nie uwierzysz, kto czeka na górze.
- Niby kto? – spytał Dominic, wycierając się ręcznikiem.
- Niech to będzie niespodzianka.

Brian wrócił do salonu. Usiadł z „International Herald Tribune”, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać.

- Jaja sobie robisz – wydusił Dominic, gdy otworzyły się drzwi.
- Spójrz na to z mojego punktu widzenia, Enzo – odparł Jack. – No wejdźcie.
- Niezłe mają żarcie w tym „motelu”, nie? – rzucił Brian, idąc za bratem.
- Chyba wolę Holiday Inn Express. Robię doktorat z żywienia – zażartował Jack. – Zamówiłem kawę – dodał, zapraszając ich, by usiedli.
- Dobrą kawę tu robią. O, widzę, że odkryłeś croissanty. – Dominic nalał sobie kawy do filiżanki i zwędził drożdżówkę. – Po co, do cholery, cię wysłali?
- Chyba dlatego, że obaj mnie znacie – odparł junior, smarując masłem drugiego croissanta. – Wiecie co? Skończę tylko śniadanie, a potem możemy się przejść do salonu Ferrari i pogadać o tym. Podoba wam się Wiedeń?
- Dopiero co przyjechaliśmy, Jack. Wczoraj po południu – poinformował Dominic.
- Nie wiedziałem. Zdaje się, że produktywnie spędziliście czas w Londynie.
- Dostyc – odparł Brian. – Potem ci o tym opowiemy.

– Dobra. – Jack jadł śniadanie, a Brian czytał gazetę. – U nas dalej ekscytują się tymi strzelaninami. Na lotnisku musiałem zdjąć buty. Dobrze, że miałem czyste skarpetki. Chyba chcą sprawdzić, czy nikt nie wyjeżdża w pośpiechu.

– No, kiepsko było – przyznał Dominic. – Znałeś kogoś z zabitych?

– Dzięki Bogu nie. Tata też nie, mimo że zna tylu ludzi z branży inwestycyjnej. A wy?

Brian zrobił dziwną minę.

– Nie, nikogo nie znaleźliśmy. – Miał nadzieję, że dusza małego Davida Prentissa nie będzie mu miała tego za złe.

Jack skończył ostatniego croissanta.

– Skoczę tylko pod prysznic i możecie mnie zacząć oprowadzać.

Brian doczytał gazetę i włączył CNN – jedyną amerykańską stację, jaką odbierano w Imperialu – aby obejrzeć wiadomości o piątej czasu nowojorskiego. Wczoraj odbył się pogrzeb ostatniej z ofiar. Reporterzy indagowali żałobników, co czują po takiej stracie. Co za debilne pytanie! – wściekał się marine. Niech nie dręczą tych ludzi! Tymczasem politycy tokowali o tym, co „Ameryka musi zrobić”...

Spoko, pomyślał Brian, „odwalamy za was robotę”. Gdyby jednak tamci się dowiedzieli, narobili by w gacie. Tym lepiej. Ktoś musi grać w dwa ognie. Wypadło na niego.

W Bristolu Fa’ad właśnie się obudził. On również zamówił kawę i drożdżówki. Nazajutrz miał umówione spotkanie z innym kurierem – musi odebrać wiadomość, którą przekaże dalej.

Organizacja zachowywała wielką ostrożność w obiegu istotnych informacji. Te najważniejsze przekazywano sobie osobiście. Każdy z kurierów znał tylko jednego kuriera, od którego odbierał wiadomość, i drugiego, któremu ją przekazywał. Byli więc zorganizowani w trzyosobowe komórki. Tego nauczył ich nieżyjący już oficer KGB. Kurierem-nadawcą był w tym przypadku Mahmud Muhammad Fadhil z Pakistanu. System taki można zniszczyć, usuwając z łańcuszka jedną osobę, ale wymaga to mozolnej i czasochłonnej pracy policji, którą łatwo udaremnić. I takie właśnie nieoczekiwane usunięcie ogniwa mogło udaremnić przekaz wiadomości. Jednak dotychczas nic takiego się nie wydarzyło i pewnie nigdy się nie wydarzy. Fa’adowi podobało się takie życie. Dużo podróżował, zawsze pierwszą klasą, zatrzymywał się tylko w najlepszych hotelach... Czasem czuł się z tego powodu winny. Inni wykonywali zadania, które uważał za tyleż niebezpieczne, co godne podziwu. Na szczęście, kiedy podejmował się swojego zadania, poinstruowano go, że organizacja nie może funkcjonować bez niego i jego jedenastu towarzyszy. To podnosiło morale. Tak jak i świadomość, że funkcja, którą pełnił, choć niezwykle ważna, była również dość bezpieczna.

Odbierał wiadomości i przekazywał je dalej, często samym agentom operacyjnym. Wszyscy traktowali go z wielkim szacunkiem, jakby instrukcje pochodziły od niego samego. Nie wyprowadzał ich z błędu. Za dwa dni przekaże wiadomość dalej: albo do swego najbliższego pod względem lokalizacji kolegi – Ibrahima Saliha al-Adela w Paryżu – albo do nieznanego mu agenta operacyjnego. Ta praca bywała jednocześnie nudna i ekscytująca. Pracując w dogodnych godzinach, bez żadnego ryzyka, łatwo być bohaterem ruchu, jak czasem ośmielał

się o sobie myśleć.

Poszli Kartner Ring w kierunku wschodnim. Ulica niemal natychmiast skręcała na północny wschód – teraz to była już Schubertring. Po północnej stronie był salon Ferrari.

– No i jak wam idzie, chłopaki? – zagadnął Jack, gdy byli na otwartej przestrzeni, a ruch uliczny zagłuszał ewentualne urządzenia podsłuchowe.

– Dwóch załatwionych. Został jeden, tu, w Wiedniu. Potem ruszamy gdzieś indziej.

Myślałem, że wiesz – zdziwił się Dominic.

Jack potrząsnął głową.

– Nie. Nie poinstruowano mnie w tym zakresie.

– Czemu cię wysłali? – spytał z kolei Brian.

– Chyba mam być waszym kontrapunktem. Wspierać od strony wywiadowczej, pełnić rolę swego rodzaju konsultanta. Tak przynajmniej powiedział Granger. Wiem, co się zdarzyło w Londynie. Dostaliśmy wiele informacji od Angoli – oczywiście nie bezpośrednio. Diagnoza lekarska: atak serca. O Monachium wiem niewiele. Co mi powiecie?

– Dorwałem go, kiedy wyszedł z meczetu. Upadł na chodnik. Przyjechała karetka.

Sanitariusze próbowali go reanimować i zabrali do szpitala. Tyle wiem – relacjonował

Dominic.

– Nie żyje. Tak wynika z przechwyconych informacji. Był z nim gość posługujący się w sieci nickiem „misiu”. Widział, jak jego koleś odwalił kite, i zgłosił to facetowi z nickiem 56MoHa, który według nas przebywa gdzieś we Włoszech. Ten gość z Monachium, Atef, był

werbownikiem i kurierem. Wiemy, że zwerbował jednego ze strzelców. Możecie więc być pewni, że zasłużył sobie na miejsce na naszej liście.

– Tyle to i nam powiedzieli – stwierdził Brian.

– Jak dokładnie załatwiacie tych ludzi?

– Tym. – Dominic wyciągnął złote pióro z kieszeni marynarki. – Uzbrajasz je, przekręcając korpus, i wbijasz igłę, najlepiej w tyłek. Wstrzykuje substancję o nazwie sukcylocholina, ona skutecznie załatwia sprawę. Metabolizuje się w krwiobiegu nawet po śmierci. Nie można jej wykryć, chyba że patolog jest geniuszem i ma cholerne szczęście.

– Działa paraliżująco?

– Owszem. Zaczyna działać po jakichś trzydziestu sekundach. Obiekt traci władzę w nogach i nie może nawet oddychać. Potem to już tylko kwestia czasu. Wygląda na zawał, nawet po wykonaniu testów. W naszej pracy supersprawa.

– Cholera – zaklął Jack. – Wy też byliście w Charlottesville, co?

– O tak – odezwał się Brian. – Nie było to zabawne. Mały chłopczyk skonał w moich ramionach, Jack. To dla mnie trudne.

– W każdym razie nieźle strzelaliście.

– Nie byli zbyt bystrzy – mruknął Dominic. – Jak uliczni gangsta. Brak wyszkolenia. Nie osłaniali się. Pewnie stwierdzili, że nie muszą, skoro mają automaty. Okazało się jednak inaczej. Ale i tak mieliśmy szczęście... Oż, kurde! – krzyknął, kiedy doszli do salonu Ferrari.

– Cholera. Ładniutki – przyznał Jack.

Nawet Brian był pod wrażeniem.

– To stary model – objaśnił Dominic. – 575M, dwanaście cylindrów, ponad pięćset koni mechanicznych, sześć biegów, trzysta pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Ale najbardziej cool jest ferrari enzo. Chłopaki, to istna rakietka. Sześćset sześćdziesiąt koni. Nawet nazwali go na moją cześć. O tam stoi, w tylnym rogu.

– A cena? – spytał junior.

– Grubo ponad sześćset tysięcy baksów. Ale jak chcesz coś szybszego, musisz zwrócić się do Lockheeda.

Samochód miał nawet przednie wloty powietrza jak odrzutowiec. Maszyna wyglądała jak pojazd bogatego wujka Luke'a Skywalker'a.

– Zna się na samochodach, co? – stwierdził Jack. Prywatny odrzutowiec pewnie paliłby mniej, ale wóz był śliczniutki.

– Prędeż przespałby się z ferrari niż z Catherine Zeta-Jones – parsknął Brian, który miał

bardziej konwencjonalne upodobania.

– Z samochodem można dłużej niż z dziewczyną. – Cóż, można na to patrzeć i w ten sposób. – Cholera, założę się, że ta ślicznotka jest szybka.

– Mógłbyś zrobić licencję pilota – zasugerował Jack.

Dominic pokręcił głową.

– Nie. To zbyt niebezpieczne.

– Skubaniec! – Jack zdusił śmiech. – W porównaniu z tym, co robisz?

– Junior, do tego jestem przyzwyczajony.

– Skoro tak mówisz... – Teraz Jack potrząsnął głową. Cholera, ale wózki! Lubił swojego hummera. Mógł nim jeździć w największą śnieżycę i wyjść cało z każdej kolizji. A czy to ważne, że nie wygląda sportowo? Jednak rozumiał, co czuje kuzyn. Gdyby Julia Roberts była samochodem, zapewne wyglądałaby jak jeden z tych. Czerwona karoseria pasowałaby do koloru jej włosów.

Po dziesięciu minutach Dominic uznał, że dość już się napatrzył. Poszli dalej.

– Więc wiemy wszystko o obiekcie, ale jak wygląda? – zapytał Brian.

– A ilu może być Arabów w Bristolu?

– W Londynie jest ich wielu. Cała sztuka to zidentyfikować cel. Załatwić go na ulicy... to nie powinno być trudne. – Wystarczyło się rozejrzeć. Ruch uliczny nie był tak duży, jak w Nowym Jorku czy Londynie, ale nie było to też Kansas City po zmroku. Wykonanie zadania w biały dzień miało swoje plusy. – Według mnie, powinniśmy obstawić główne wejście do hotelu i boczne, jeśli są. Możesz zdobyć więcej danych z Campusu?

Jack zerknął na zegarek i szybko policzył w myślach.

– Zaczynają pracę za jakieś dwie godziny.

– Sprawdź wtedy e-maile – polecił Dominic. – My się powłóczymy i rozejrzemy za celem.

– Dobra.

Przeszli przez ulicę i wrócili do Imperialu. Gdy tylko Jack znalazł się w pokoju, walnął się na łóżko, by trochę się kimnąć.

Fa'ad stwierdził, że skoro na razie nie ma nic do roboty, może zaczerpnąć świeżego powietrza. W Wiedniu jest tyle pięknych miejsc, a on nie obejrzał jeszcze wszystkich. Ubrał się więc jak na biznesmena przystało i wyszedł z hotelu.

– Bingo, Aldo. – Dominic, jak to gliniarz, miał dobrą pamięć do twarzy, więc od razu wiedział, że niemal wpadli na obiekt.

– Czy to nie...

– Owszem. Kumpel Atefa z Monachium. Zakład, że to nasz chłopak?

– Wypchaj się z takim zakładem.

Dominic przyjrzał się celowi: ani chybi Arab, średniego wzrostu – jakieś metr siedemdziesiąt pięć, szczupły – około sześćdziesięciu pięciu kilo, czarne włosy, semicki nos, dobrze ubrany, jak biznesmen, pewny krok. Szli parę metrów za nim i mimo okularów przeciwsłonecznych uważali, by się nie gapić. Mamy cię, draniu. Wszyscy ci goście nie wiedzą, jak unikać inwigilacji.

Bliźniacy zatrzymali się na rogu.

– Cholera, łatwo poszło – zauważył Brian. – Co teraz?

– Damy znać Jackowi, żeby sprawdził w centrali. Spoko, Aldo.

– Zrozumiałem, braciszku. – Odruchowo wymacał, czy ma przy sobie pióro, jakby sprawdzał kaburę z berettą. Czuł się jak przyczajony lew na sawannie pełnej antylop. Lepiej być nie może. Wybierze sobie tę, którą zabije i zje, a biedaczka nawet się nie spostrzeże.

Postępują całkiem jak przeciwnik. Ciekawe, czy kolesie tego gościa dostrzegliby ironię losu: ich taktyka wykorzystana przeciw nim. Nie tak działają Amerykanie... ale w końcu wszystkie te pierdoły o pojedynkach na środku ulicy w samo południe wymyślało Hollywood. Lew bez potrzeby nie ryzykuje życia. W szkole zasadniczej wpoili mu, że jeśli dojdzie do walki na równych prawach, to tylko dlatego, że kiepsko to sobie zaplanował. Zasady fair play dobre są na olimpiadzie. Żaden łowca nie podchodzi do lwa, hałasując i wywijając bronią. Nie, kryje się za drzewem i strzela z dwustu metrów. Nawet kenijscy Masajowie, dla których zabicie lwa symbolizuje przejście w wiek męski, osaczają zwierzę w dziesiątkę, i to nie tylko nastolatków – by mieć pewność, że wrócą z tarczą. Tu nie chodzi o odwagę, lecz o skuteczność. Już samo uczestnictwo w tej grze jest wystarczająco niebezpieczne. Trzeba zrobić wszystko, by wykluczyć niepotrzebne ryzyko. To biznes, nie sport. – Załatwimy go na ulicy?

– Do tej pory zdawało to egzamin, prawda? W barze hotelowym go nie sprzątniemy.

– Zrozumiałem, Enzo. Co robimy?

– Chyba zabawimy się w turystów. Opera wygląda imponująco. Zobaczmy... Piszą tu, że grają *Walkirię* Wagnera. Nigdy tego nie widziałem.

– W życiu nie byłem w operze. Pewnie kiedyś trzeba, kocha ją przecież włoska dusza, nieprawdaż?

– O tak. Mam operę we krwi, a najbardziej lubię Verdiego.

– Sranie w banię. Od kiedy to chodzisz do opery?

– Mam trochę kompaktów – uśmiechnął się Dominic.

Gmach Opery był wspaniałym przykładem architektury z czasów cesarstwa.

Wybudowano go, wyposażono i wykończono, jakby na przedstawienia chodził sam Pan Bóg.

Purpura i złoto. Grzeszny ród Habsburgów miał jednak gust godny podziwu.

Dominic pomyślał, że mogliby się przejść i obejrzeć kościoły. Uznał jednak, że to nie na miejscu, zważywszy na przyczynę pobytu w Wiedniu. Pospacerowali sobie dwie godziny, po czym wrócili do hotelu i odwiedzili Jacka.

– Żadnych wieści z centrali – oznajmił Jack.

– To nie problem. Widzieliśmy gościa. To nasz stary przyjaciel z Monachium –

poinformował Brian. Siedzieli w łazience, odkręcili wodę, by jej szum zagłuszył ewentualny podsłuch. – Kumpel Atefa. Był przy nim, gdy skasowaliśmy go w Monachium.

– Skąd taka pewność?

– Nie możemy być pewni na sto procent, ale jakie jest prawdopodobieństwo, że przypadkiem znalazł się w obu miastach i we właściwym hotelu? – spytał dość retorycznie Brian.

– Sto procent byłoby lepsze – mruknął Jack.

– Zgadzam się, ale jeśli ma się szansę tysiąc do jednego, to kładzie się forszę i rzuca kości

– odparł Dominic. – Zgodnie z regułami FBI jest co najmniej znanym współnikiem... kimś, kogo trzeba zgarnąć i przesłuchać. Raczej nie zbiera na cele dobroczynne, co? – Przerwał. –

Dobra, to nie jest idealny układ, ale lepszego nie mamy. Uważam, że powinniśmy na to pójść.

Dla Jacka była to chwila prawdy. Czy miał władzę, by o tym zdecydować? Granger tego nie powiedział. Był wsparciem wywiadowczym dla bliźniaków. Co to jednak dokładnie znaczy? Świetnie! Miał pracę, lecz nie wiedział, na czym ona polega i jaką on ma władzę.

Bez sensu. Pamiętał, jak ojciec kiedyś powiedział, że ludzie z centrali nie mają prawa kwestionować decyzji oddziałów w terenie, bo te oddziały też mają oczy i wyszkolono je tak, aby samodzielnie myślały. Jego wykształcenie na pewno nie było gorsze niż ich. Jednak on nie widział twarzy domniemanego celu. Gdyby powiedział „nie”, równie dobrze mogli mu powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić swoją opinię. A że nie miał władzy, mógł im skoczyć.

Cholera wie, kto ma rację. Cały ten szpiegowski biznes zrobił się nagle zupełnie nieprzewidywalny. A on tkwi po uszy w bagnie i żadna siła go z niego nie wyciągnie.

– Dobra, chłopaki, wasza decyzja – powiedział w końcu Jack, czując, że wychodzi na tchórza. I dowalił sobie, kiedy dodał: – Poczuję się jednak lepiej, gdybyśmy mieli stuprocentową pewność.

– Ja też. Ale, jak już mówiłem, tysiąc do jednego to wygrana loteria. Aldo?

Brian zastanowił się i kiwnął głową.

– Dla mnie może być. Chyba bardzo się bał o swego kumpla, tam, w Monachium. Jeśli sam jest w porządku, to dziwnych ma przyjaciół. Załatwmy go.

– Dobra – westchnął Jack, godząc się na to, co nieuchronne. – Kiedy?

– Kiedy nadarzy się sposobność – odparł Brian. Potem omówi z bratem taktykę, ale Jack nie musi o tym wiedzieć.

Mam szczęście, stwierdził Fa’ad o 22.14. Dostał wiadomość od Elsy K 69, najwyraźniej miło go wspominała.

*CO BĘDZIEMY DZIŚ ROBIĆ?* – spytał.

*MYŚLAŁAM*

*O*

*TYM.*

*WYOBRAŻ*

*SOBIE,*



*ŻE*

*JESTEŚMY*

*W*

*OBOZIE*

*KONCENTRACYJNYM. JESTEM ŻYDÓWKĄ, A TY KOMENDANTEM... NIE CHCĘ*

*UMIERAĆ Z INNYMI I PROPONUJĘ, ŻE CI SIĘ ODDAM W ZAMIAN ZA DAROWANIE MI ŻYCIA...*

Nie mógł sobie wyobrazić przyjemniejszej fantazji.

*CO NA POCZĄTEK?* , napisał.

I tak sobie pisali, aż w końcu:

*PROSZĘ, NIE. NIE JESTEM AUSTRIACZKĄ. JESTEM AMERYKAŃSKĄ STUDENTKĄ*

*AKADEMII MUZYCZNEJ, WOJNA MNIE ZASKOCZYŁA...*

Coraz lepiej.

*ACH TAK? SŁYSZAŁEM, ŻE AMERYKAŃSKIE ŻYDÓWKI TO DZIWKI...*

Czatowali niemal przez godzinę. Ostatecznie i tak wysłał ją do komory gazowej. W

końcu gdzie powinni trafić Żydzi?

Jak było do przewidzenia, Ryan nie mógł spać. Co prawda wyspał się w samolocie, a jego organizm nie przystosował się jeszcze do zmiany strefy czasowej. Nie mógł pojąć, jak znoszą to członkowie załóg samolotów. Pewnie po prostu funkcjonują według czasu miejsca zamieszkania, bez względu na to, gdzie się w danym momencie znajdują. Ale żeby się przystosować, trzeba stale pozostawać w ruchu, a on nie mógł sobie na to pozwolić. Włączył

więc komputer i postanowił wyszukać informacje o islamie. Jedynym znanym mu muzułmaninem był książę Ali z Arabii Saudyjskiej. A to żaden fanatyk. Przypadł do gustu nawet nieśmiałej siostrzyczce Jacka, małej Katie, którą fascynowała jego starannie przystrzyżona broda.

Pobrał z sieci Koran i zaczął czytać. Święta Księga składała się ze stu czternastu sur, podzielonych na wersety, jak Biblia. Do Biblii rzadko zaglądał i nigdy się w nią nie zagłębiał.

Jako katolik pozostawiał to księżom. Mogli mu wyklądać istotne fragmenty, pomijając, kto spłodził kogo i inne takie pierdoły. Może kiedyś było to dla ludzi interesujące, ale nie dzisiaj

– chyba że kogoś fascynuje genealogia, ale o niej jakoś nie dyskutowano przy stole Ryanów.

Poza tym i tak powszechnie wiadomo, że każdy Irlandczyk w Ameryce pochodzi od koniokrada, który wyemigrował, by nie powiesili go ci wredni angielscy najeźdźcy. Wynikło z tego mnóstwo wojen, a jedna z nich niemal udaremniła narodziny Jacka.

Dziesięć minut później zdał sobie sprawę, że Koran niemal słowo w słowo odpowiada temu, co spisali wszyscy ci żydowski prorocy, oczywiście utrzymujący, że natchnął ich sam Bóg. Tak jak i ten cały Mahomet. Bóg jakoby przemówił do niego, a on zabawił się w sekretarza i wszystko spisał. Szkoda, że nie mieli wtedy kamery ani magnetofonu, ale jak mu to wyjaśnił ksiądz z Georgetown, to kwestia wiary.

Jack oczywiście wierzył w Boga. Rodzice wyjaśnili mu podstawy wiary i wysłali do katolickiej szkoły, gdzie nauczył się modlitw, przykazań, poszedł do spowiedzi, pierwszej komunii i bierzmowania. Od dawna jednak nie był w kościele. Nie żeby miał coś przeciw, tyle tylko, że był już dorosły. Może ten bojkot był (głupim) sposobem demonstrowania mamie i tacie, że potrafi sam decydować o swoim życiu, a oni nie mogą już wydawać mu poleceń.

Zauważył, że na pięćdziesięciu stronach, które przejrzał, nie ma wzmianki o strzelaniu do niewinnych ludzi ani o posuwaniu zabitych kobiet w niebie. Gdy był w drugiej klasie, siostra Frances Mary wyjaśniała, jaka jest kara za samobójstwo. Samobójstwo to grzech śmiertelny i to szczególnie ciężki, bo nie można potem pójść do spowiedzi i oczyścić duszy. Islam nauczał, że wiara jest dobra, ale nie można tylko o niej myśleć – trzeba nią żyć. Dokładnie jak w katolicyzmie.

Nie minęło półtorej godziny, kiedy dotarło do niego – choć była to dość oczywista konkluzja – że terroryzm ma tyleż wspólnego z islamem, co z wiarą katolicką czy protestancką. Adolf Hitler, jak twierdzili jego biografowie, uważał się za katolika aż do momentu, w którym połknął kulę. Najwyraźniej nigdy nie spotkał takiej siostry Frances Mary. W przeciwnym wypadku miałby na ten temat inne zdanie. No ale nie mówmy o szaleńcach. Jeśli Jack dobrze rozumiał, Mahomet też rozgromiłby terrorystów. Był zacnym i prawym człowiekiem. Jednak nie wszyscy jego wyznawcy tacy byli. Z takimi właśnie odszczepieńcami miał do czynienia on i bliźniacy.

Każdą religię mogą wypaczyć szaleńcy, pomyślał, ziewając. Teraz przyszła kolej na islam.

– Muszę o tym więcej poczytać – powiedział sobie, kiedy kładł się do łóżka. –

Konieczn.

Fa'ad obudził się o ósmej trzydzieści. Miał dziś spotkanie z Mahmudem. Niedaleko hotelu, przy aptece. Stamtąd pojedą gdzieś taksówką – najpewniej do muzeum, tam przekażą sobie wiadomości. Dowie się, co ma się stać i co musi zrobić, aby się to dokonało. Szkoda, że nie ma własnego lokum.

Hotele są wygodne, zwłaszcza że można korzystać z pralni, ale miał

ich powoli dość.

Kelner przyniósł śniadanie. Podziękował mu, dał dwa euro napiwku, po czym sięgnął po leżącą na stoliku gazetę. Nic ważnego się nie działo. W Austrii zbliżały się wybory. Każda z partii żarliwie odsądzała inne od czci i wiary. Jak to w Europie... W jego ojczyźnie wszystko było znacznie bardziej przewidywalne i łatwiejsze do zrozumienia. Nim wybiła dziewiąta, włączył telewizor. Coraz częściej zerkał na zegarek. Zawsze trochę się denerwował przed tymi spotkaniami. A co, jeśli zidentyfikuje go Mosad? Odpowiedź była prosta. Zabiją go jak natrętnego insekta.

Dominic i Brian spacerowali przed hotelem, pozornie bez celu. Musieli uważać na przypadkowych obserwatorów, a takich tu nie brakowało. Nieopodal był kiosk z gazetami, a w drzwiach Bristolu stał portier. Dominic zastanawiał się nawet, czy nie oprzeć się o latarnię z gazetą w ręce. Jednak w Akademii FBI uczyli, by pod żadnym pozorem tego nie robić.

Nawet szpiegdy oglądali filmy, w których były właśnie takie sceny. Każdy zwróci uwagę na mężczyznę, który czyta gazetę, opierając się o latarnię. Śledzenie ruchomego celu było bułką z masłem w porównaniu z oczekiwaniem, aż się pojawi. Westchnął... i spacerował dalej.

Podobne myśli zaprzętały umysł Briana. W takich chwilach przydałyby mu się papierosy.

Miałby co robić, jak w filmach. Niczym Bogart, dla którego każdy wypalony papieros był

kolejnym gwoździem do trumny... no i papierosy w końcu go zabiły. Pech, Bogie, pomyślał

Brian. Rak to kawał skurwiela. No, oni też nie rozpieszczali swoich ofiar, ale przynajmniej nie konały miesiącami. Poza tym same się o to prosiły. Może wcześniej by się z tym nie zgodzili... ale w końcu człowiek musi uważać, jakich robi sobie wrogów. Nie wszyscy pójdą na rzeź jak barany. Najlepsza broń to zaskoczenie. Zaskoczony przeciwnik nie ma szansy na odwet. I dobrze. Przecież nie ma w tym nic osobistego. To tylko interesy. Wół idący na ubój też nie patrzy w górę. A nawet gdyby, ujrzałby tylko gościa z młotem pneumatycznym – a zaraz potem bydlęce niebo, gdzie trawa jest wiecznie zielona, woda słodka mu i nic nie zagraża...

Rozpraszasz się, Aldo. No nie! Przeszedł na drugą stronę ulicy i skierował się do bankomatu, dokładnie naprzeciw Bristolu. Wyjął kartę, wklepał kod i odebrał pięćset euro.

Spojrzał na zegarek. 10.53. Wyleci ten ptaszek czy nie? A może go przegapili?

Ruch się zmniejszył. Tylko czerwone tramwaje wciąż jeździły ulicą. Ludzie zajmowali się swoimi sprawami. Szli przed siebie, nie rozglądając się na boki, chyba że w konkretnym celu. Nie nawiązywali kontaktu wzrokowego z nieznanymi, nie chcieli ich pozdrawiać.

Nieznajomy to nieznajomy. Doceniał to jeszcze bardziej niż w Monachium. Jacyż oni są *in Ordnung!*. W ich domach można pewnie jeść z podłogi – pod warunkiem, że się potem posprząta.

Dominic zajął pozycję po drugiej stronie ulicy, obstawiając drogę w kierunku Opery. Ich cel miał do wyboru tylko dwa kierunki. Mógł iść w prawo lub w lewo. Mógł przeciąć ulicę lub nie. Więcej możliwości nie było... chyba że przyjedzie po niego samochód. Wtedy misja zakończy się kłapą. Ale jutro też jest kolejny dzień. 10.56. Trzeba uważać. Nie patrz zbyt często na wejście do hotelu, bo się zdekonspirujesz...

Jest!

Z hotelu wyszedł obiekt: garnitur w błękitne prążki, brązowy krawat, jakby udawał się na ważne spotkanie w interesach. Dominic też go zauważył i zaczął podchodzić do niego od północnego zachodu. Brian podjął decyzję: będzie czekać i obserwować.

Fa'ad postanowił nabrać przyjaciela. Pójdzie drugą stroną ulicy, ot tak, dla odmiany.

Przeciął więc jezdnię, ostrożnie, by nie wpaść pod samochód. Kiedy był chłopcem, lubił

wchodzić do ojcowskiej zagrody dla koni i przemykać między nimi. Konie to rozumne zwierzęta, omijają przeszkody. Nie można tego powiedzieć o kierowcach, również na Kartner Ring. Mimo to bezpiecznie dotarł na drugą stronę.

Ciekawa ulica: brukowana dróżka, podobna do podjazdu, wąski pas zieleni, właściwa ulica, po której jeździły samochody i tramwaje, kolejny pas zieleni i w końcu druga brukowana dróżka przy przeciwległym chodniku. Obiekt przeciął ją szybko i ruszył na zachód, w kierunku ich hotelu. Brian szedł dziesięć kroków za nim. Wyjął pióro, przekręcił i zerknął na nie: w porządku.

Max Weber był motorniczym. W komunikacji miejskiej pracował od dwudziestu trzech lat; przemierzał Wiedeń w różnych kierunkach wiele razy dziennie. Płacono mu za to przyzwoitą, jak na robotnika, pensję. Jechał teraz na północ, ze Schwartzenberg Platz. Skręcił

w lewo – tak skręcała ulica, która z Rennweg przechodziła w Schwartzenberg Strasse, i znów w lewo, na Kartner Ring. Miał zielone światło. Kątem oka zauważył kapiący przepychem hotel Imperial, w którym przebywali bogaci cudzoziemcy i dyplomaci. Potem znów skoncentrował się na drodze. Tramwajem nie można sterować. To samochody muszą na niego uważać. Nie jechał jednak szybko, rzadko kiedy więcej niż czterdzieści kilometrów na godzinę, nawet przy końcu trasy. Nie była to może porywająca intelektualnie robota, ale wykonywał ją skrupulatnie, zgodnie z przepisami. Zadzźwięczał dzwonek. Ktoś chciał wysiąść na rogu Kartner Ring i Wiedner Hauptstrasse.

O, tam. Jest Mahmud. Kurier patrzył w inną stronę. Dobrze, pomyślał Fa'ad, może uda mi się go

zaskoczyć i żartem umilić sobie dzień. Zatrzymał się i rozejrzał – chciał przebiec przez ulicę.

Dobra, facet, pomyślał Brian. Zmniejszył dystans do trzech kroków i...

– Auć! – syknął Fa'ad. Poczuł lekkie ukłucie w pośladek. Zignorował je i ruszył przez ulicę. Nadjeżdżał tramwaj, był jednak na tyle daleko, że można było jeszcze przejść przez ulicę. Z prawej nie widać żadnych samochodów, więc...

Brian nawet się nie zatrzymał. Postanowił podejść do stoiska z czasopismami. Będzie mógł się odwrócić i obserwować, ostentacyjnie coś kupić.

Weber zauważył kretyna, który chciał przebiec przez tory. Czy ci głupcy nie wiedzą, że można to robić, tylko kiedy pojazd zatrzymuje się na czerwonym? Uczą tego już dzieci w przedszkolu. Niektórzy ludzie uważają, że ich czas jest cenniejszy od złota, jakby byli samym Franciszkiem Józefem, co to wstał po stu latach z grobu.

Nie zmniejszył prędkości. Kretyn czy nie, zdąży zejść z torów, zanim...

...Fa'ad poczuł, że ugina się pod nim prawa noga. Co jest? Potem odmówiła posłuszeństwa lewa. Bez żadnego powodu upadł... i... coś się działo, bardzo szybko... nie rozumiał. Jakby z oddali ujrzał, jak osuwa się na ziemię – i nadjeżdża tramwaj!

Max zareagował trochę za wolno. Nie wierzył własnym oczom. Ale to działo się naprawdę. Nacisnął na hamulec, ale ten kretyn był tak blisko, niecałe dwa metry... *lieber Gott!*

Tramwaj z przodu był wyposażony w dwa drążki – ich zadaniem było zapobiegać takim właśnie sytuacjom. Jednak od kilku tygodni ich nie sprawdzano... a Fa'ad był szczupły. Na tyle szczupły, że jego stopy wśliznęły się pod te drążki, a potem...

...Max poczuł przeraźliwy zgrzyt, gdy tramwaj się przetoczył po leżącym mężczyźnie.

Nie było sensu dzwonić po karetkę – lepiej po księdza. Jełop nie dotarł, dokąd zmierzał.

Głupiec, chciał oszczędzić na czasie kosztem życia. Kretyn!

Stojący po drugiej stronie ulicy Mahmud odwrócił się akurat w chwili, gdy jego przyjaciel umierał. Czy to jawa, czy sen? Zobaczył, jak tramwaj podskakuje, jakby nie chciał

przejechać Fa'ada. W mgnieniu oka świat się zawałił.

Jeżu, pomyślał Brian. Stał dwadzieścia metrów dalej, z czasopismem w rękach. Biedak nie żył nawet na tyle długo, by umrzeć od trucizny. Widział, jak Enzo idzie wzdłuż przeciwległego chodnika. Przypuszczał, że stuknie gościa, gdyby ten przeszedł na drugą stronę. Jednak sukcynylocholina zadziałała bez pudła. Tylko kiepskie sobie drań wybrał

miejsce! A może dobre, zależnie od punktu widzenia. Brian wetknął czasopismo pod pachę i przeszedł na drugą stronę. Obok apteki stał gość wyglądający na Araba. Był bardziej zszokowany niż inni przechodnie. Wokół rozbrzmiewały zduszone krzyki. Fakt, cholernie nieprzyjemny widok, choć tramwaj zatrzymał się nad ciałem.

– Ktoś będzie musiał zmyć te plamy – odezwał się cicho Dominic. – Ładnie go załatwiłeś, Aldo.

– Sędzia z NRD dałby pięć i sześć dziesiątych punktu. Zwijamy się.

– Tak jest, braciszku.

Poszli w prawo, minęli trafikę i skierowali się na Schwartzberg Platz.

Za plecami słyszeli krzyki kobiet. Mężczyźni byli raczej obojętni. Wielu po prostu odwracało się na pięcie i odchodziło. Nic już nie można było zrobić. Portier z Imperialu popędził do środka, by wezwać karetkę i Feuerwehr. Przyjechali w dziesięć minut. Strażacy byli pierwsi. Ponury widok powiedział im wszystko: facet się wykrwawił. Nie było szans na ratunek. Przyjechała też policja. Kapitan z pobliskiego posterunku na Friedrichstrasse polecił

Maksowi Weberowi cofnąć tramwaj, by odsłonić zwłoki. No tak, wszystko jasne. Ciało zostało pokawałkowane, jakby rozszarpał je drapieznik. Karetka zatrzymała się tak, by nie blokować przejazdu. Gliniarze kierowali ruchem, jednak kierowcy i pasażerowie zatrzymywali się, by popatrzeć. Masakra. Jedni gapili się z niezdrową ciekawością, inni odwracali wzrok, przerażeni, wstrząśnięci. Pojawili się nawet reporterzy z aparatami fotograficznymi i notesami – i z minikamerami telewizyjnymi.

Ciało zapakowano do trzech worków. Zjawił się inspektor z wydziału komunikacji, by przesłuchać motorniczego, którego już odpytała policja. Po godzinie zabrano ciało, sprawdzono tramwaj i oczyszczono ulicę. Sprawnie się z tym uwinięto. Do 12.30 wszystko znów było in Ordnung.

Jednak nie dla Mahmuda Muhammada Fadhila, który wrócił do swego hotelu i włączył

komputer, by wysłać e-maila z prośbą o instrukcje do Muhammada Hassana al-Dina, który był w Rzymie.

Dominic był szybszy: zdążył już włączyć swojego laptopa i napisać e-maila do Campusu

– informował, że wykonali zadanie, pytał, co dalej.

## Rozdział 22

### HISZPAŃSKIE SCHODY

Chyba żartujesz – zdziwił się Jack.

– W szkole zasadniczej uczyli nas modlić się za głupich nieprzyjaciół – odparł Brian.

Problem w tym, że prędzej czy później każdy zmądrzeje.

– To tak jak z przestępcami – zawtórował mu Dominic. – Kiedy egzekwujesz prawo, zazwyczaj łapiesz idiotów. O sprytniejszych rzadko słyszymy. Dlatego tyle czasu zajęło rozpracowanie mafii, a oni wcale nie są najmądrzejsi. Darwin się kłania. Tak czy inaczej, pomożemy im rozwinąć intelekt.

– Jakieś wieści z domu? – spytał Brian.

– Spójrz na zegarek. Dopiero za godzinę przyjdą do pracy – wyjaśnił Jack. – Więc gościa przejechał tramwaj?

Brian skinął głową. Przypomniawszy sobie symbol stanu Missisipi – rozjechany pies.

– Właśnie. Dobra przykrywka. – Pech, jełopie.

Do Szpitala Świętej Elżbiety na Invalidenstrasse było może półtora kilometra. Tam przewieziono części ciała. Szpital uprzedzono telefonicznie, więc trzy plastikowe worki nikogo właściwie nie zdziwiły. Starannie złożono je na stole sekcyjnym. Nie wymagały rozpoznania. Przyczyna śmierci była tak oczywista, że ocierało się to o czarny humor. Trudno było tylko pobrać krew do badania toksykologicznego. Ciało było tak pokiereszowane, że niemal się wykrwawiło. Jednak organy wewnętrzne, głównie śledziona i mózg, miały jej w sobie wystarczająco dużo, by można ją było odessać za pomocą strzykawki i przesłać do laboratorium – tam przeprowadzą testy na obecność narkotyków czy alkoholu. Znali tożsamość ofiary, bo znaleziono przy niej portfel. Policja sprawdzała w hotelach, czy nie znajdzie się także paszport. W takim wypadku należałoby powiadomić odpowiednią ambasadę. Badanie zwłok można ograniczyć do złamanej nogi, ale co zrobić, kiedy ciało jest zmasakrowane? Obie nogi zostały całkowicie zmiażdżone – trwało to ledwie trzy sekundy.

Zaskakiwał tylko spokój na twarzy. Otwarte oczy, grymas bólu... nawet traumatyczna śmierć podlega kilku żelaznym regułom. Patolodzy dobrze o tym wiedzą. Dokładne badanie nie miało sensu. Może

gdyby go zastrzelono, znaleźliby ranę postrzałową, nie było jednak powodu, by to podejrzewać. Policja przesłuchała już siedemnastu naocznych świadków, którzy znaleźli się w promieniu trzydziestu metrów od miejsca zdarzenia. Raport patologa okazał się czystą formalnością.

– Jezu – Granger osłupiał. – Jak im się to, do cholery, udało zaaranżować? – Chwycił za słuchawkę.  
– Gerry? Zejdź na dół. Dorwali numer 3. Musisz zobaczyć ten raport. – Odłożył

słuchawkę i zapytał sam siebie: – No dobra. To gdzie ich teraz wyślemy?

O tym zdecydowano jednak na innym piętrze. Tony Wills kopiował wszystkie materiały od Ryana. Na pierwszym miejscu znajdowała się informacja, która, choć krótka, zapierała dech w piersiach. Chwycił więc za słuchawkę, by zadzwonić do Ricka Bella.

Najtrudniej było Maksowi Weberowi. Po pół godzinie minął szok i dotarła do niego prawda. Kiedy przed oczami stanął mu widok ciała znikającego pod tramwajem i przypomniał sobie odgłos, jaki wydał miażdżący je pojazd, zaczął wymiotować. Powtarzał

sobie, że to nie jego wina. Ten głupiec, *das Idiot*, po prostu upadł na jego oczach, jak pijak...

tyle że było za wcześnie na wypicie zbyt wielu piw. Zdarzały mu się już wypadki, głównie stłuczki z samochodami, które zajechały mu drogę. Ale żeby tramwaj kogoś przejechał? Zabił

człowieka! On, Max Weber, odebrał komuś życie. Przez dwie godziny co chwila powtarzał

sobie, że to nie jego wina. Pracodawca dał mu urlop na resztę dnia. Pojechał więc do domu, ale zatrzymał swojego audi przecznicę wcześniej, przy *Gasthaus*. Nie chciał dziś pić w samotności.

Jack przeglądał informacje z Campusu – obok siedzieli Dom i Brian, jedli późny lunch, zakrapiany piwem – rutynowe e-maile krążące między ludźmi podejrzewanymi o przynależność do siatki terrorystów. Większość z nich to zwykli obywatele różnych krajów, którym zdarzyło się kiedyś napisać magiczne słowa, zauważone przez system inwigilacji Echelon w Fort Meade. Jednak adresatem jednego z nich okazał się... 56MoHa@eurocom.net.

– Chłopaki, wygląda na to, że nasz koleś miał się spotkać z kurierem. Pisze do naszego starego znajomego, 56MoHa z prośbą o instrukcje.

– O? – Dominic podszedł do niego, by zerknąć na ekran. – I co nam to mówi?

– Mam kolejny adres internetowy, na AOL: Gadfly097@aol.com. Jeśli dostanie odpowiedź od MoHa, może się czegoś dowiemy. To chyba ich oficer operacyjny. NSA namierzyła go jakieś sześć miesięcy temu. Szyfruje swoje listy, ale ten szyfr potrafią złamać.



Możemy odczytać większość jego e-maili.

– Kiedy będzie odpowiedź? – spytał Dominic.

– Zależy od pana MoHa – odparł Jack. – Musimy siedzieć i czekać.

– Tak jest – odezwał się siedzący przy oknie Brian.

– Widzę, że młody Jack ich nie spowolnił – zauważył Hendley.

– A czego ty się spodziewałeś? Jejku, Gerry, przecież ci mówiłem – odparł Granger, w duchu dziękując Bogu. – W każdym razie czekają na dalsze instrukcje.

– Zamierzałeś zdjąć cztery cele. Kim jest numer 4? – spytał senator.

Granger spokorniał.

– Nie jestem jeszcze pewien. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że zadziałają tak efektywnie. Po trosze miałem nadzieję, że cel sam się pojawi wskutek naszych działań, ale nikt jeszcze nie wystawił łba. Mam w zanadru parę nazwisk. Przejrzejże dziś po południu. –

Zadzwoił telefon. – Pewnie, chodź do nas, Rick. – Odłożył słuchawkę. – Rick Bell mówi, że ma coś interesującego.

Po chwili otwarły się drzwi.

– O, cześć Gerry. Dobrze, że jesteś. Sam, właśnie przyszło. – Bell podał mu wydruk e-maila.

Granger rzucił okiem.

– Znamy gościa...

– Właśnie. To ich oficer operacyjny. Przypuszczaliśmy, że jest w Rzymie. I mieliśmy rację. – Jak wszyscy biurokraci, zwłaszcza doświadczeni, Bell lubił się popisywać.

Granger przekazał wydruk Hendleyowi.

– Dobra, Gerry, to nasz numer 4.

– Nie lubię zbiegów okoliczności.

– Ja też nie, Gerry, ale jak wygrasz na loterii, to nie zwracasz przecież forsy – odparował

Granger. – Rick, warto gościa sprzątnąć?

– O, tak – zapewnił gorąco Bell. – Nie wiemy o nim za wiele, lecz to, co wiemy, to samo zło. Gość od operacji. Tego jesteśmy pewni na sto procent. Wszystko się zgadza: jeden z jego ludzi widzi śmierć drugiego, pisze raport, ten facet go otrzymuje i udziela odpowiedzi. Wiesz, jak spotkam kiedyś gościa, który wymyślił Echelon, chyba postawię mu piwo.

– Rozpoznanie bojem... – rozmyślał na głos Granger. – Cholera, wiedziałem, że to zadziała. Potrząśnij gniazdem szerszeni, a one wylecą.

– Byle tylko nie użądliły cię w tyłek – ostrzegł Hendley. – No dobra, co teraz?

– Spuszczamy ogary, nim lis schowa się do nory – odparł bez wahania Granger. – Jeśli sprzątniemy tego gościa, może faktycznie coś osiągniemy.

Hendley spojrział na Bella.

– Rick?

– Pasuje. Zgoda na misję – oznajmił.

– Dobra, misja zatwierdzona. – Dajcie im znać – polecił Hendley.

Zaletą komunikacji elektronicznej jest jej szybkość. Jack już wiedział wszystko, co trzeba.

– Dobra, chłopaki, 56MoHa ma na imię Muhammad. Żadna niespodzianka, to najczęściej spotykane imię na świecie. Pisze, że jest w Rzymie, w hotelu Excelsior na Via Vittorio Veneto 25.

– Słyszałem o tym hotelu – oznajmił Brian. – Drogi i szykowny. Nasi znajomkowie lubią się zatrzymywać w takich miejscach.

– Zameldował się jako Nigel Hawkins. Angielskie jak jasna cholera. Myślicie, że jest obywatelem brytyjskim?

– I ma na imię Muhammad? – powątpiewał Dominic.

– To może być tylko pseudonim, Enzo – wbił mu szpilę Jack. – Nie mając zdjęcia, trudno powiedzieć, jakiej jest narodowości. Ma komórkę. Mahmud, czyli gość, który widział, jak wasz ptaszek pada trupem, najwyraźniej o tym wie. – Jack urwał. – Ciekawe, czemu po prostu nie zadzwonił? Hm... Włoska policja przesyłała nam transkrypty. Może mają go na podsłuchu, a nasz chłoptaş jest ostrożny?...

– Brzmi sensownie, ale czemu... czemu wysyła to przez Internet?

– Bo myśli, że to bezpieczne. NSA złamała wiele systemów szyfrowania. Producenci tego nie wiedzą, ale chłopaki z Fort Meade są w tym niezli. Kiedy już się złamie szyfr, przestaje on być

szyfrem, choć szyfrujący tego nie wie. – Tak naprawdę Jack nie znał prawdziwej przyczyny. Programistów można było skłonić do umieszczenia w programie furtki. Często na to przystawali, czy to z pobudek patriotycznych, czy dla pieniędzy... a najczęściej z obu tych powodów. 56MoHa korzystał z najdroższego z dostępnych na rynku programów. W

dokumentacji zapewniano, że nikt nie może złamać szyfru, ponieważ algorytm programu jest prawnie zastrzeżony. Nie wyjaśniano tego oczywiście bliżej. Stwierdzano tylko, że szyfr opiera się na kluczu dwustupięćdziesięciosześciobitowym. Taka liczba robi wrażenie. W

dokumentacji nie wspomniano natomiast, że programista, który wymyślił ów klucz, pracował niegdyś w Fort Meade. Dlatego dostał tę pracę. Okazało się, że dobrze pamięta, jaką składał przysięgę... no a milion dolarów wolnych od podatku piechotą nie chodzi... Dzięki nim mógł sobie kupić malowniczo położony dom w hrabstwie Marin. I tak kalifornijski rynek nieruchomości przysłużył się bezpieczeństwu narodowemu.

– Więc możemy czytać jego e-maile? – dociekał Dominic.

– Niektóre – przyznał Jack. – Campus przechwytuje większość informacji przekazywanych z NSA do CIA i poddaje analizie. To w rzeczywistości prostsze, niż się zdaje.

Dominic w ciągu kilku sekund domyślił się reszty.

– Oż, kurwa... – wykrztusił, gapiąc się na sufit apartamentu Jacka. – Nic dziwnego... –

Urwał. – Koniec z piwem, Aldo. Jedziemy do Rzymu.

Brian w milczeniu skinął głową.

– Nie macie trzeciego miejsca, prawda? – spytał Jack.

– Obawiam się, że nie, junior. Nie w porsche 911.

– Dobra, złapię samolot. – Jack podszedł do telefonu i zadzwonił do recepcji.

W dziesięć minut zarezerwował miejsce w samolocie Alitalia. Boeing 737 lądował w międzynarodowym porcie lotniczym Leonardo da Vinci, a odlatywał za półtorej godziny.

Rozważał, czy nie zmienić skarpetek. Nie cierpiał zdejmować butów na lotnisku. Spakował

się w kilka minut. Wychodząc, zatrzymał się tylko, by podziękować portierowi. Taksówka marki Mercedes zawiozła go na lotnisko.

Dominic i Brian ledwo zdążyli się rozpakować. W dziesięć minut byli gotowi do drogi.

Dom zadzwonił po boya, a Brian poszedł do kiosku i kupił mapy. Miał jeszcze euro, które wybrał z bankomatu. Stwierdził, że więcej im nie trzeba. Oby tylko Enzo nie wpakował ich w jakąś alpejską przepaść. Ich samochód już czekał przed hotelem, a portier upychał ich torby w malutkim przednim bagażniku. Dwie minuty później Brian siedział z nosem w mapach, szukając najkrótszej drogi na *Sudautobahn*.

Jack wsiadł na pokład boeinga; jakoś ścierpiał upokorzenia, w końcu to była linia komercyjna. Z tęsknotą pomyślał o Air Force One, przypomniał sobie jednak, że aż nazbyt szybko przywykł do wygod i miłych gestów. Niestety, dość późno zrozumiał, przez co przechodzą zwykli ludzie. Było to bolesne.

Teraz musiał tylko zatroszczyć się o miejsce w hotelu. Jak to zrobić, będąc w samolocie?

Jego fotel w pierwszej klasie wyposażono na szczęście w płatny telefon. Przeciągnął zatem czarną kartę przez czytnik i ruszył na podbój europejskich linii telefonicznych. Jaki hotel? A czemu nie Excelsior? Za drugim podejściem udało mu się połączyć z recepcją. Tak, mają kilka wolnych pokoi. Zarezerwował niewielki apartament. Dumny z siebie, przyjął od przemiłej stewardesy kieliszek tokańskiego wina. Nawet życie w pośpiechu potrafi być przyjemne. Trzeba tylko wiedzieć, do czego się zmierza. Póki co, nie wyznaczał sobie zbyt dalekich celów.

Austriaccy inżynierowie musieli uczyć się budowy autostrad od Niemców, rozmyślał

Dominic. A może po prostu czytali ten sam podręcznik? W każdym razie droga przypominała betonowe wstęgi przecinające Stany. Z wyjątkiem znaków, tak różnych, że niemal niezrozumiałych. Głównie dlatego, że nie było na nich żadnych liter, z wyjątkiem nazw miast... które też wyglądały obco. Domyślił się, że czarne cyfry na białym tle w czerwonej otoczce to ograniczenie prędkości, jednak podawano je w kilometrach... W dwóch milach mieszczą się trzy takie... i jeszcze miejsce zostaje. Austriackie ograniczenia prędkości były niestety bardziej surowe od niemieckich. Może mają za mało lekarzy... nawet pośród wzgórz zakręty starannie okolonowano barierkami, a pobocza pozwalały na swobodny manewr, gdyby komuś przez przypadek pomyliły się strony. Porsche wyposażono w automatyczną regulację prędkości. Ustawił szybkość o pięć kilometrów wyższą od ograniczenia na znakach – ot, dla satysfakcji szybszej jazdy. Nie miał pewności, czy legitymacja FBI uchroni go przed mandatem, jak w Stanach.

– Daleko jeszcze, Aldo? – spytał Dominic.

– Trochę ponad tysiąc kilometrów. Może z dziesięć godzin.

– Cholera, to ledwie rozgrzewka. Za jakieś dwie godziny trzeba będzie zatankować. Masz gotówkę?

– Siedemset euro. Dzięki Bogu, można nimi płacić również we Włoszech. Jak mieli liry, to można

było oszaleć przy przeliczaniu. Nie ma dużego ruchu – dodał Brian.

– I kierowcy przyzwoicie się zachowują. Mapy w porządku?

– Owszem. We Włoszech trzeba będzie kupić plan Rzymu.

– To chyba nie będzie trudne. – Jak to dobrze, że ma brata, który potrafi czytać mapy. –

Kiedy zatrzymamy się na stacji benzynowej, możemy też coś przekąsić.

– Tak jest, braciszku.

Brian zapatrzył się na odległe góry. Musiał to być odstraszący widok w czasach, gdy ludzie poruszali się piechotą lub konno. Mieli zapewne dużo więcej cierpliwości. A może mniej rozsądku? Ech, co tam. Siedzenie było wygodne, a Dominic nie prowadził jak wariat.

Włosi okazali się nie tylko dobrymi projektantami samochodów, ale i świetnymi pilotami.

Samolot leciutko dotknął pasa. Jack mimo wszystko z ulgą opuścił maszynę. Latał zbyt wiele, by być tak nerwowym jak niegdyś ojciec, ale, jak większość ludzi, bezpieczniej czuł się, stąpając po twardym gruncie. Tu też znalazł taksówkę marki Mercedes, z kierowcą, który znał

trochę angielski – i drogę do hotelu.

Autostrady wyglądają tak samo na całym świecie. Przez chwilę Jack zastanawiał się, gdzie, do cholery, jest. Krajobraz wokół lotniska wyglądał na rolniczy, jednak dachy domów miały inny niż w Stanach kształt. Najwyraźniej rzadko padał tu śnieg. Teraz, późną wiosną, było na tyle ciepło, że mógł nosić koszulę z krótkim rękawem, ale nie nazbyt gorąco. Był

kiedyś we Włoszech z ojcem, który uczestniczył tu w jakimś szczycie ekonomicznym. Wtedy wszędzie woził go szofer z ambasady. Fajnie było udawać udzielnego księcia, niestety w ten sposób nie nauczył się odnajdywać drogę. W pamięci pozostały mu tylko miejsca. Nie miał

natomiast zielonego pojęcia, jak do nich dotrzeć.

Rzym. Miasto Cezara... i wielu innych postaci, które zapisały się w historii dobrymi lub złymi uczynkami. Zazwyczaj złymi. Taka już jest historia. I właśnie dlatego, napomniał się, zjawiłem się w tym mieście. Jak to dobrze, że nie jest sędzią. Nie jemu decydować, kto dobry, a kto zły. On tylko wykonuje tajne zadanie na rzecz swojego kraju. I nie sam podejmuje decyzje. Być prezydentem – jak ojciec przez ponad cztery lata – to nie zabawa, choć jest się wtedy potężnym i ważnym. W parze z władzą idzie odpowiedzialność. Jeśli w dodatku człowiek ma sumienie, musi się ono dawać we znaki. Dobrze jest wykonywać jedynie zadania, które inni uznali za słuszne. Poza tym zawsze mógł powiedzieć „nie”. Jasne, byłyby tego konsekwencje, ale przecież nie jakieś poważne. W każdym razie nie tak poważne jak w przypadku tego, co robili jego kuzyni.

Via Vittorio Veneto nie wyglądała na ulicę turystów. Raczej biznesmenów. Drzewa po obu jej stronach były marniutkie. Hotel nie był ani wysoki, ani ozdobny. Jack zapłacił

taksówkarzowi i wszedł do środka. Portier dźwigał bagaże. Hol był wyłożony przepiękną boazerią, a służba wprost gięła się w ukłonach. Może to jakaś dyscyplina, w której współzawodniczą wszyscy Europejczycy? Poprowadzono go do pokoju. Był klimatyzowany.

Jak miło...

– Przepraszam, jak masz na imię? – spytał boya.

– Stefano.

– Wiesz może, czy mieszka tu pan Hawkins... Nigel Hawkins?

– Ten Anglik? Tak, trzy pokoje dalej, w tym korytarzu. To przyjaciel?

– Znajomy brata. Nie mów mu nic, proszę. Może uda mi się zrobić niespodziankę – oznajmił Jack, wręczając mu dwadzieścia euro.

– Oczywiście, *signore*.

– Świetnie. Dziękuję.

– *Prego*. – I Stefano wrócił do holu.

Mało profesjonalna zagrywka, powiedział sobie Jack, ale niestety nie mamy zdjęcia tego ptaszka, a musimy dowiedzieć się, jak wygląda. Podniósł słuchawkę telefonu...

– Rozmowa przychodząca – oznajmił telefon Briana. Powtórzył to jeszcze trzykrotnie, nim właściciel wyłowił aparat z kieszeni.

– Tak? – Kto, do cholery, mógł dzwonić?

– Aldo, tu Jack. Jestem w hotelu Excelsior. Chcecie, żebym sprawdził, czy znajdują się dla was pokoje? Ładnie tu. Spodobałoby się wam.

– Poczekaj. – Położył komórkę na udzie. – Nie uwierzysz, gdzie zameldował się junior!

Oczywiście Dominic od razu się domyślił.

– Żartujesz.

– Nie. Pyta, czy zarezerwować nam pokoje. Co mu powiedzieć?

– Cholera... – Chwila namysłu. – No cóż, to on jest od wsparcia wywiadowczego, prawda?

– Jak dla mnie to trochę zbyt nachalne, ale skoro ty tak mówisz... – Podniósł telefon. –

Zgoda, Jack.

– Świetnie. W porządku, wszystko załatwię. Przyjeżdżacie tutaj, chyba że zadzwonię i powiem co innego.

– Dobra, Jack. Na razie.

– Cześć.

Brian się rozłączył.

– Wiesz co, Enzo, to chyba niezbyt mądre.

– To on jest na miejscu. Ma oczy. W razie czego, zawsze możemy się wycofać.

– Pewnie tak. Według mapy jeszcze osiem kilometrów i wjedziemy do tunelu.

Zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał 16.05. Minęli miasteczko Badgastein. Mieli niezły czas; teraz pięli się do góry.

Jack włączył komputer. Zanim zorientował się, jak go podłączyć do linii telefonicznej, upłynęło dziesięć minut. W końcu jednak się zalogował. Skrzynka była pełna wiadomości.

Granger gratulował wykonania wiedeńskiej misji, choć przecież Ryan nie miał z tym nic wspólnego. Potem przeczytał opinię Bella i Willsa o 56MoHa. Większość raportu rozczarowywała. Pięćdziesiąt sześć był oficerem operacyjnym czarnych charakterów. Albo coś robił, albo planował. Na pewno maczał palce w przygotowaniu akcji w czterech centrach handlowych. Więc skurwiel musi stanąć przed Bogiem. Nie było dokładnych danych o tym, co zrobił, jak go przeszkolono, jakie są jego możliwości, czy potrafi obchodzić się z bronią...

Jack chciałby to wszystko wiedzieć. Gdy już przeczytał rozszyfrowane e-maile, zaszyfrował je ponownie, by potem przejrzeć je z Brianem i Domem.

Tunel był jak z gry komputerowej. Ciągnął się bez końca. Dobrze, że nie zamienił się w ogniste piekło. Pamiętali, co wydarzyło się kilka lat temu w tunelu pod Mont Blanc między Francją a Szwajcarią. Po chwili, która zdawała się wiecznością, wyłonili się po drugiej stronie. Teraz już

będzie z górki.

– Przed nami stacja benzynowa – poinformował Brian. Istotnie, przejechali niecały kilometr i zobaczyli znak Elf. Czas zatankować.

– Dobra nasza. Muszę się wysikać i rozprostować kości.

Parking był czysty jak na standardy amerykańskie, a bar – całkiem inny. Żaden tam Burger King czy Roy Rogers jak w Wirginii, jednak toaleta męska była *in Ordnung*. Niestety, benzynę sprzedawali na litry. W pierwszej chwili nie zorientowali się w cenach, zaraz jednak Dominic przeliczył je w pamięci...

– Jezu, ale sobie za nią liczą!

– Człowieku, firma płaci – uspokoił go Brian, biorąc z półki paczkę ciastek. – Ruszamy, Enzo. Włochy czekają.

– Dobra.

Po chwili sześciocyndrowy silnik znów zamruczał i samochód wyjechał na drogę.

– Dobrze jest rozprostować kości – mruknął Dominic, wrzucając wyższy bieg.

– O, tak – zgodził się Brian. – Zostało siedemset dwadzieścia kilometrów, jeśli nie myłę się w rachunkach.

– Spacerek. Sześć godzin, jeśli nie będzie dużego ruchu. – Poprawił okulary przeciwsłoneczne i lekko poruszył ramionami. – W tym samym hotelu, co obiekt... cholera.

– Zastanawiałem się nad tym. Guzik o nas wie. Może nawet nie podejrzewa, że ktoś na niego poluje. Pomyśl: dwa zawały, w tym jeden przy świadku, oraz wypadek drogowy. Też przy świadku, którego zna nasz ptaszek. Pech, lecz nie wskazuje na wrogie działania, prawda?

– Na jego miejscu jednak bym się denerwował – zaproponował Dominic.

– I pewnie się denerwuje. Ale jeśli zobaczy nas w hotelu, uzna zapewne za kolejnych niewiernych. Wcale się nie wystawimy, pod warunkiem, że ujrzy nas tylko raz. Nigdzie nie napisano, że to musi być trudne, Enzo.

– Obyś się nie mylił, Aldo. Ta strzelanina była straszna.

– Nie przeczę.

Nie znajdowali się w najwyższej partii Alp. Ta rozciągała się na północny zachód od nich. Lepiej nie wyprawiać się tam pieszo, jak niegdyś rzymskie legiony. Pewnie legioniści błogosławili



wówczas brukowane drogi cesarstwa. Lepsze to niż błoto, ale tylko trochę.

Zwłaszcza gdy dźwiga się plecak, jak moi marines w Afganistanie, stwierdził Brian.

Legioniści byli twardzi. Pewnie nie różnili się zbytnio od współczesnych komandosów.

Wtedy jednak z wrogami radzono sobie prościej. Zabijano ich rodziny, przyjaciół, sąsiadów...

nawet psy – i to wszystko jawnie. Nie sprawdziłoby się to w epoce CNN. Poza tym, prawdę mówiąc, niewielu marines zniósłoby udział w rzezi. Jednak zabijanie jednego wroga po drugim jest w porządku, jeśli tylko ma się pewność, że nie są to niewinni cywile. Niewinnych cywili zabijają tamci. Szkoda, że nie mogą zmierzyć się na polu walki jak prawdziwi mężczyźni, ale terroryści nie dość, że są wredni, to jeszcze praktyczni. Nie ma sensu podejmować akcji zbrojnej, w której nie tylko się nie przegra, ale jeszcze zostanie zaszlachtowanym jak baran. Prawdziwi mężczyźni zebraliby siły, wyszkolili je i wyposażyli, po czym spuścili z łańcucha – zamiast podkradać się jak szczury atakujące niemowlęta w kołyskach. Nawet na wojnie obowiązują jakieś reguły. Są rzeczy gorsze niż wojna. Surowo uzbrojone mężczyznom w mundurach. Oni nie krzywdzą celowo osób, które nie biorą udziału w walce, i starają się unikać robienia tego przypadkiem. Marines poświęcali obecnie wiele czasu, pieniędzy i wysiłków na naukę walki w warunkach miejskich. Trzeba robić wszystko, żeby nie ucierpieli cywile, na przykład kobiety z wózkami. Nawet jeśli wiadomo, że niektóre trzymają w wózku również broń i z radością ujrzałyby plecy amerykańskiego marine... z odległości jakichś dwóch, trzech metrów, żeby dobrze wycelować. Przestrzeganie zasad nakłada pewne ograniczenia. Jednak dla Briana to już przeszłość. On i jego brat grali teraz w tę grę według reguł przeciwnika. Jeśli tylko wróg się nie zorientuje, gra może się opłacić. Ilu ludziom już ocalili życie, załatwiając bankiera, werbownika i kuriera? Problem w tym, że nigdy się tego nie dowiedzą. Teoria nieoznaczoności w praktyce. Nigdy też się nie dowiedzą, czy zrobią coś dobrego, czy uratują czyjeś życie, sprzątając 56MoHa. Ale ta ich niewiedza nie znaczy wcale, że to się nie dzieje naprawdę. To tak jak z tym pedofilem, którego Dominic zabił w Alabamie. Wyręczają po prostu Boga.

Praca na poletku Boga, zamyślił się Brian. Jakie piękne i zielone są te alpejskie łąki... O, stadko kóz... Jodło-hiii!...

– Że gdzie niby jest? – nie dowierzał Hendley.

– W Excelsiorze – odparł Rick Bell. – Mówi, że nasz dobry znajomy ma pokój na tym samym piętrze.

– Chłopak musi się chyba co nieco nauczyć – stwierdził ponuro Granger.

– Zastanów się. Nasi przeciwnicy o niczym nie wiedzą. Mogą równie dobrze przestraszyć się gościa z pralni, jak Jacka czy bliźniaków. Nie znają żadnych nazwisk, żadnych faktów, żadnej wrogiej organizacji... cholera, nie są nawet pewni, czy ktoś na nich czyha.

– To nieprofesjonalne – upierał się Granger. – Jeśli zauważą Jacka...

– To co? – spytał Bell. – Dobra, jestem tylko wywiadowcą. Nie działałam w terenie. Jednak wiem, co to logika. Oni nie mają pojęcia o Campusie. Nawet jeśli 56MoHa zrobi się nerwowy, to jego irytacja nie będzie skierowana przeciw konkretnej osobie. Kurde, w tej branży to normalka. Ale nie można być szpiegiem i bać się własnego cienia, prawda? Dopóki nasi ludzie nie są na widoku, nie muszą się niczym martwić... chyba że zrobią coś naprawdę durnego. A po tych dzieciakach tego bym się nie spodziewał.

Hendley przez cały czas siedział w milczeniu i obserwował ich. Więc taką robotą zajmuje się „M” w filmach z Jamesem Bondem. Szefowanie ma swoje zalety... ale też i wady. Jasne, miał w sejfie te prezydenckie ułaskawienia, lecz nie chciał z nich robić użytku. Stałby się wówczas jeszcze większym pariasem, a pismaki nigdy by go już nie zostawiły w spokoju. Aż do śmierci. Pewnie rychłej.

– Niech tylko nie udają pokojówek i nie próbują go sprzątnąć w pokoju – mruknął Gerry.

– Słuchaj, gdyby byli takimi idiotami, to już wylądowaliby w niemieckim więzieniu – stwierdził Granger.

Wjechali do Włoch jakby przejeżdżali z Tennessee do Wirginii. Kolejna zaleta Unii Europejskiej. Pierwszym włoskim miastem na ich drodze było Villaco. Jego mieszkańcy w oczach swoich krajanów wyglądali bardziej na Niemców niż na Sycylijczyków. Dalej bracia pojechali na południowy zachód autostradą A23. Muszą się jeszcze więcej nauczyć o rozjazdach, stwierdził Dominic, ale drogi są zdecydowanie lepsze od tych, po których jeżdżono w sławnym Mille Miglia, tysięcznym rajdzie z lat pięćdziesiątych zeszłego wieku. Już go nie organizowano, bo ginęło wtedy zbyt wielu gapiów.

Krajobraz nie różnił się od austriackiego. Nawet ферmy były takie same. Piękny kraj, trochę jak wschodnie Tennessee lub Wirginia Zachodnia. Łagodne wzgórza, krowy, które dawały mleko dla dzieci po obu stronach granicy... Minęli Udine, potem Mestre, po czym zjechali na autostradę A4 do Padwy, a następnie na A13. Godzinę później skierowali się w stronę Bolonii. Po lewej mieli Apeniny. Brian spojrzął na wzgórza i wzdrygnął się na myśl o znaczących je polach bitewnych. Wkrótce jednak znów zaczęło burczeć mu w brzuchu.

– Wiesz, Enzo, w każdym mieście, które mijamy, jest przynajmniej jedna świetna restauracja... wspaniały makaron, ser domowej roboty, cielęcinka, piwniczka z winami...

– Też jestem głodny, Brian. Wszędzie wokół włoskie żarcie. Tak się jednak składa, że mamy misję.

– Oby ten sukinsyn był tego wart.

– „Nie naszą rzeczą dociekać”, braciszku.

– Jasne. Drugą linijkę możesz sobie wsadzić tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Dominic skwitował to śmiechem. Jemu też się to nie podobało. Jedzenie w Monachium i Wiedniu

było wspaniałe, ale teraz byli w kraju, gdzie takie jedzenie wymyślono. Sam Napoleon zawsze miał przy sobie włoskiego kucharza. Na jego potrawach wzoruje się kuchnia francuska, tak jak wszystkie konie wyścigowe pochodzą od araba Eclipse. A on nawet nie wie, jak nazywał się ów kucharz! Szkoda, pomyślał, wyprzedzając ciągnik siodłowy. Pewnie kierowca wie, gdzie tu można smacznie zjeść. Cholera...

Jechali na włączonych światłach. We Włoszech było to obowiązkowe, a przestrzegania przepisów pilnowała *Polizia Stradale*, raczej niepobłażliwa. Utrzymywali stałą prędkość stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę – trochę powyżej dziewięćdziesięciu mil. Najlepszą dla porsche. Dominic ocenił, że samochód pali nieco ponad dwadzieścia pięć galonów.

Przeliczanie kilometrów i litrów na mile i galony przerastało jego możliwości, gdy musiał

skupiać się na prowadzeniu. W Bolonii wskoczyli na autostradę A1 i pojechali nią na południe, w kierunku Florencji – stamtąd pochodziła rodzina Caruso. Starannie zaprojektowana droga przecinała góry, zmierzając na południowy zachód.

Trudno było minąć Florencję. Brian znał tam doskonałą restaurację w pobliżu Ponte Vecchio – właścicielami są ich odlegli kuzyni. Wino było tam wspaniałe, a jedzenie prawdziwie królewskie. Jednak do Rzymu pozostały już tylko dwie godziny. Aldo pamiętał, jak pojechał kiedyś do Florencji pociągiem. Mundur marine z pasem oficerskim wyróżniał go z tłumu. Włosi, jak wszyscy cywilizowani ludzie, uwielbiają amerykańskich marines. Jakże nie chciało się wracać do Rzymu, a stamtąd do Neapolu, na okręt. Jednak był wówczas na służbie.

Całkiem jak teraz. Jadąc na południe, mijali kolejne łańcuchy górskie. Zaczęły pojawiać się znaki z napisem *Roma*. Nareszcie.

Jack posilał się w restauracji Excelsiora. Lepszego jedzenia nie mógł oczekiwać, a służba hotelowa traktowała go jak syna marnotrawnego, który powrócił na łono rodziny. Nie podobało mu się tylko, że niemal każdy tu palił. Może we Włoszech nie słyszeli o biernym paleniu. Kiedy dorastał, matka często zwracała na to uwagę ojcu, który ciągle starał się rzucić nałóg i nigdy mu się nie udawało.

Jadł powoli. Tylko sałatka była zwyczajna. Cóż, nawet Włosi nie wyczarują niczego z sałaty... ale dressing był cudowny. Młody Ryan zajął stolik w rogu, by mieć na oku całą salę.

Pozostali klienci wyglądali równie zwyczajnie jak on. Wszyscy dobrze ubrani. Znaleziona w pokoju broszura dla gości nie wspominała o stroju, założył jednak, że bez krawata nie wpuszczają. W końcu Włochy to ojczyzna mody. Miał nadzieję, że kupi tu sobie garnitur.

Jeśli czas na to pozwoli.

Na sali było trzydzieści, czterdzieści osób. Jack z miejsca skreślił żonaty. Szukał kogoś w wieku około trzydziestu lat, jedzącego samotnie... kogoś, kto zameldował się jako Nigel Hawkins. Trzech kandydatów. Postanowił szukać osobników niewyglądających na Arabów.

O jednego mniej. Co teraz? Czy powinien coś zrobić? Chyba sobie nie zaszkodzi... jeśli tylko nie zdemaskuje się jako oficer wywiadu?

Po co ryzykować? – zapytał się w duchu. Wyluzuj.

Wycofał się. Lepiej zidentyfikować gościa w inny sposób.

Rzym to istotnie piękne miasto, stwierdził Muhammad Hassan al-Din. Czasami zastanawiał się, czy nie wynająć tu mieszkania... albo nawet domu? Kto wie, może w dzielnicy żydowskiej? Były tam niezłe koszerne restauracje, gdzie mógłby bez obaw zamówić dowolną pozycję z menu. Oglądał kiedyś mieszkanie przy Piazza Campo di Fiori, jednak choć cena – nawet w wersji dla turystów – była przystępna, pomysł przywiązania się do jednego miejsca był dla niego cokolwiek przerażający. W jego branży lepiej być mobilnym. Wróg nie uderzy w kogoś, kogo nie można znaleźć. Już wystarczająco ryzykował, zabijając Greengolda. Sam Emir złażał go za to. Obiecał nigdy już tego nie robić. A co, jeśli Mosad miał jego zdjęcie? Jak cenny byłby wówczas dla organizacji? Emir był wściekły. A znany był

ze swego wybuchowego temperamentu. Więc koniec zabawy. Nie nosił już nawet ze sobą noża. Przechowywał go z atencją między przyborami do golenia, skąd czasem go wyjmował, by oglądać żydowską krew na składanym ostrzu.

Teraz będąc w Rzymie, mieszkał tutaj. Następnym razem, po powrocie z ojczyzny, ulokuje się gdzie indziej, może w tym przemiłym hotelu przy Fontana di Trevi. Trzeba jednak przyznać, że obecna lokalizacja lepiej odpowiadała jego potrzebom. No i to jedzenie! Włoskie potrawy były znakomite, w jego ocenie lepsze niż prosta strawa przyrządzana w ojczyźnie.

Jagnięta są dobre... ale nie codziennie! Poza tym tu ludzie nie patrzą jak na niewiernego, kiedy tylko upije się łyk wina. Zastanawiał się, czy jego imiennik Mahomet świadomie zezwalał wiernym na picie alkoholi wyrabianych z miodu, czy też po prostu nie wiedział, że istnieje miód pitny. Muhammad próbował go, kiedy studiował w Cambridge, i doszedł do wniosku, że nadaje się tylko dla kogoś, kto desperacko próbuje się upić.

Mahomet nie był więc ideałem. Ja też nim nie jestem, pomyślał terrorysta. Dokonywał

czynów w imię wiary, mógł więc sobie pozwolić na jakieś odstępstwa. Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one.

Przyszedł kelner, by uprzątnąć stół. Muhammad postanowił nie jeść deseru. Musiał być szczupły, jeśli miał udawać angielskiego biznesmena. Inaczej nie mieściłby się w swoich garniturach od Brioniego. Wstał więc od stołu i poszedł do windy.

Ryan zastanawiał się, czy nie wychylić kielicha przed snem, jednak doszedł do wniosku, że to nie najlepszy pomysł, i wyszedł z restauracji. W windzie ktoś już był. Ich oczy spotkały się na moment, jak to bywa w takich sytuacjach. Ryan chciał nacisnąć przycisk z trójką, ale zobaczył, że już świeci. A więc ten dobrze ubrany Brytyjczyk – bo na takiego wyglądał –

mieszka na jego piętrze.

Interesujące.

Po kilku sekundach kabina zatrzymała się, a drzwi otworzyły.

Przed nimi długi korytarz. Człowiek z windy poszedł nim do swojego pokoju. Ryan zwolnił kroku, by iść za nim w pewnej odległości. A on minął pokój Jacka, potem następny, jeszcze jeden... i zatrzymał się przy trzecich drzwiach. Odwrócił się i spojrzał na Ryana, być może zastanawiając się, czy go nie śledzi. Ale Jack przystanął i wyjął z kieszeni klucz. Potem popatrzył na tamtego mężczyznę i odezwał się normalnym głosem jak nieznajomy do nieznajomego

– Dobranoc.

– Wzajemnie, sir – brzmiała odpowiedź, udzielona nienagannym brytyjskim angielskim.

Jack wszedł do pokoju. Zdarzyło mu się już słyszeć taki akcent... u brytyjskich dyplomatów goszczących w Białym Domu lub spotykanych w Londynie, gdy bywał tam z ojcem. Taka wymowa charakteryzuje kogoś, kto albo urodził się posiadaczem ziemskim, albo zamierza się nim stać i zarabia tyle funtów szterlingów, że może zgrywać lorda. Obcy miał

angielską karnację, akcent rodem z wyższych sfer...

... i zameldował się jako Nigel Hawkins.

– A ja mam twojego e-maila, koleś – szepnął pod nosem Jack. – Sukinsyn.

Przejazd ulicami Rzymu zajął im niemal godzinę. Rzymianie guzik wiedzą o planowaniu, zżymał się Brian, starając się znaleźć drogę do Via Vittorio Veneto. W końcu zorientował się, że są już blisko celu. Przejechali pod łukiem, który niegdyś pełnił zapewne rolę bramy w murach miejskich, broniących miasta przed Hannibalem. Skręt w lewo, potem w prawo... i dowiedzieli się, że rzymskie ulice nie zawsze biegną prosto. Musieli zawrócić do Palazzo Margherita... i wreszcie dotarli do hotelu Excelsior. Dominic stwierdził, że na parę dni ma dość jeżdżenia. Po trzech minutach bagażnik został opróżniony, a oni sami znaleźli się w recepcji.

– Signor Ryan prosił, abyście panowie do niego zadzwonili. Macie panowie pokoje obok niego – poinformował recepcjonista, po czym skinął na boya, który poprowadził ich do windy.

– Długa podróż. – Brian westchnął, opierając się o ścianę.

– Co ty nie powiesz...

– Cholera, wiem, że lubisz szybkie samochody i szybkie kobiety, ale proponuję następnym razem polecieć. Może ci się poszczęści ze stewardesą?

– Palant z ciebie – odparował Dominic, ziewając.

– Tędy proszę, *signori*. – Boy wskazał im drogę.

– Gdzie jest ten pan, który zostawił nam wiadomość?

– *Signor* Ryan? Tutaj. – Boy wskazał pokój.

– Wygodnie – stwierdził Dominic, oglądając swój pokój. Otworzył drzwi, łączące go z pokojem Briana, i dał boyowi hojny napiwek. Po czym chwycił za telefon.

– Halo?

– Jesteśmy w pokoju obok, kolego. Co jest grane? – spytał Brian.

– Macie dwa pokoje?

– Tak.

– Zgadnijcie, kto zajmuje pokój obok?

– Ty mi powiedz.

– Brytyjczyk, niejaki Nigel Hawkins – oznajmił Jack i poczekał, aż kuzyn ochłonie. –

Musimy pogadać.

– Chodź do nas, junior.

Jack wskoczył w mokasyny i już był u nich.

– Jak podróż? – spytał.

Dominic nalał sobie wina z minibarku. Niewiele go zostało.

– Długa.

– Prowadziłeś przez cały czas?

– Pewnie. Chciałem tu przyjechać żywy.

– Baran – parsknął Brian. – Według niego jazda porsche jest lepsza niż seks.

– Wszystko zależy od techniki. Nawet seks może cię wykończyć. No dobra. – Dominic odstawił kieliszek. – Czy nie mówiłeś czasem?...

– Tak, jest tutaj. – Jack wskazał na ścianę. Po czym zbliżył dłoń do oczu. Widziałem skurwiela. Odpowiedzieli skinieniem głowy. – Prześpijcie się. Zadzwoń do was jutro i pomyślimy, co z naszym spotkaniem. Pasuje?

– Jak najbardziej – odparł Brian. – Zadzwoń koło dziewiątej, dobra?

– Spoko. Na razie. – Jack wyszedł. Wkrótce potem zasiadł do komputera. Ha! Nie on jeden go ma, prawda? To się może okazać przydatne...

Ósma rano wybiła cokolwiek za wcześnie. Muhammad wstał, odświeżył się i zasiadł do komputera, by sprawdzić pocztę. Mahmud również był w Rzymie. Przybył zeszłej nocy. W

skrzynce 56MoHa czekała wiadomość od Gadfly097, z prośbą o wyznaczenie miejsca spotkania. Muhammad uśmiechnął się do siebie: a moje poczucie humoru?

*RISTORANTE GIOVANNI, PIAZZA DI SPAGNA, odpisał. 13.30. ZACHOWAJ*

*OSTROŻNOŚĆ.* Chodziło mu o unikanie inwigilacji. Nie było właściwie powodu, by coś podejrzewać, dlatego że stracił trzech ludzi. Jednak głupcy nie dożywają wieku trzydziestu jeden lat, pracując w wywiadzie. On potrafił wyczuć niebezpieczeństwo. Sześć tygodni temu dorwałem Davida Greengolda, bo Żyd nie zobaczyłby fałszywej flagi, nawet gdyby mu nią zamachać przed nosem... no, powiedzmy za plecami, pomyślał Muhammad i uśmiechnął się lekko na to wspomnienie. Może powinien znów zacząć nosić przy sobie nóż – ot, na szczęście. Wielu ludzi z jego branży wierzyło w szczęśliwy traf jak sportowcy. Może Emir miał rację. Zabijając oficera Mosadu, niepotrzebnie ryzykował. Po co robić sobie wrogów?

Organizacja i tak miała ich dość, nawet jeśli jej nie znali. Lepiej niech pozostaną dla niewiernych cieniem w mroku, niewidzialnym i nieznanym. Jego współpracownicy nienawidzili Mosadu, bo się go bali. Żydzi budzili podziw. Byli bezlitośni i nieskończenie przebiegli. Wiadomo, co oni wiedzą, jakich sobie kupili Arabów za amerykańskie pieniądze?

W organizacji nie sposób było doszukać się zdrady. Pamiętał jednak słowa Jurija z KGB:

„Zdradzić mogą tylko ci, którym ufasz”. Pewnie popełnili błąd, zabijając tego Rosjanina. Był

doświadczonym oficerem terenowym, przez większość czasu działał w Europie i Ameryce.

Mógł opowiadać bez końca i można by się wiele od niego nauczyć. Muhammad pamiętał, jak z nim rozmawiał i jakie wrażenie zrobiły na nim jego doświadczenie i wiedza. Dobrze mieć instynkt, byle

nie przesadzić. Jurij dokładnie wyjaśnił, jak oceniać ludzi i jak odróżnić profesjonalistę od nieszkodliwego cywila. Gdyby nie strzał w tył głowy, mógłby niejedno jeszcze powiedzieć. Trzeba przyznać, że naruszyli zasady gościnności, a przecież Prorok powiedział: „Jeśli człowiek jadł twą sól, to nawet jeśli jest niewierny, będzie w twym domu bezpieczny”. Cóż, to Emir pogwałcił tę zasadę, głupio tłumacząc, że nie dotyczy to Rosjanina, bo był ateistą.

Jednak Muhammad i tak przyswoił sobie parę lekcji. Wszystkie e-maile szyfrował

najlepszym z dostępnych programów. Program zainstalował sam, sam też pisał wszystkie wiadomości. Nikt prócz niego nie miał dostępu do jego komputera. Nie wyglądał na Araba.

Nie mówił jak Arab. Nie ubierał się jak Arab. W każdym hotelu, w którym się zatrzymywał, służba dowiadywała się, czy pije alkohol, a przecież wszyscy wiedzą, że muzułmanie nie piją.

Powinien więc być całkiem bezpieczny. Owszem, Mosad domyślał się, że ktoś taki jak on zabił tę świnię Greengolda. Muhammad nie sądził jednak, by mieli jego zdjęcia. Na pewno nie wiedzą, kim – i czym – jest, chyba że zdradził go człowiek, którego wynajął, by wciągnął

Żyda w pułapkę. Jurij ostrzegał go, że może nie wszystko wie, ale też powiadał, że jeśli wpadnie w paranoję, może odkryć się przed ludźmi prowadzącymi inwigilację. Zawodowi wywiadowcy znają sztuczki, których nikt inny by nie użył. Można się zorientować, jak z nich korzystają, jeśli się ich uważnie obserwuje.

Był tylko trybikiem w wielkiej, stale obracającej się maszynie. Tak naprawdę nie miał pojęcia, czy poruszał kołem, czy zwalniał, czy przyspieszał.

Nie. Trzeba odrzucić takie myśli. Jest czymś więcej niż trybikiem. Jest jednym z silników. Może niewielkim, lecz ważnym. Wielkie koło może obracać się bez jego udziału, ale nigdy równie prędko i pewnie jak teraz. Jeśli Bóg da, będzie je nadal wprawiał w ruch, aż zmiażdży swoich wrogów, wrogów Emira... wreszcie wrogów Allaha.

Wysłał więc wiadomość na adres Gadfly097 i spokojnie czekał, aż przyniosą poranną kawę.

Rick Bell zarządził całodobowe dyżury przy komputerach. Aż dziw, że nie robili tak od początku. Teraz się to jednak zmieniło. Każdego dnia dowiadywali się czegoś nowego.

Niestety, ich przeciwnik też.

Między Europą Środkową a Wschodnim Wybrzeżem różnica czasu wynosiła sześć godzin. Przy komputerze siedział teraz Tony Wills. W ciągu pięciu minut od wysłania znał

już wiadomość od 56 do 097 i natychmiast przesłał ją Jackowi.

Ten przeczytał e-maila i zamyślił się. W porządku, znają cel i wiedzą, dokąd się udaje.



Wystarczy. Sięgnął po słuchawkę.

– Nie śpisz? – usłyszał Brian.

– Teraz już nie – odburknął. – Co jest?

– Chodźcie na kawę.

– Tak jest, sir.

– Mam nadzieję, że masz dobry powód, by nas budzić przed czasem – warknął Dominic.

Oczy miał jak szparki.

– Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje, kolego. Wyluzuj. Zamówiłem już kawę.

– Dzięki. Co się dzieje?

Jack wskazał ekran komputera. Obaj pochylili się nad nim, by przeczytać wiadomość.

– Kim jest ten Gadfly097? – spytał Dominic.

– Też wczoraj przyjechał z Wiednia.

Może to ten, co stał po drugiej stronie ulicy? – zastanawiał się Brian. Nie widział chyba mojej twarzy?...

– Dobra. No to jesteśmy umówieni – stwierdził Brian, patrząc porozumiewawczo na Doma.

Po kilku minutach przyniesiono kawę. Niestety, same fusy. Jakby kawa po turecku, lecz znacznie gorsza nawet od tej, którą parzyli Turcy. Ale lepsze to niż nic. Nie rozmawiali na najbardziej interesujący ich temat. Znali swoje rzemiosło na tyle, żeby nie rozmawiać o sprawach zawodowych w pokoju, który mógł być na podsłuchu. Nie wiedzieli przecież, jak to sprawdzić, zresztą i tak nie mieli odpowiedniego sprzętu.

Jack dopił kawę i poszedł pod prysznic. Znalazł tam czerwony łańcuch, najwyraźniej na wypadek ataku serca. Na szczęście nie musiał go używać. Czuł się znacznie lepiej niż Dominic, który wyglądał jak wyrzygany kleik.

Prysznic działał cuda. Młody Ryan wrócił ogolony i różowiutki, gotów ruszyć w tango.

– Jedzenie mają tu niezłe, ale nie powiedziałbym tego o kawie – stwierdził.

– Nie powiedziałbyś... Jezu, lepszą pewnie robią na Kubie – mruknął Brian. – Nawet wojskowa kawa jest lepsza niż ta.

– Nikt nie jest doskonały, Aldo – powiedział Dominic. Jednak i jemu nie posmakowała.

– To co, za pół godziny? – spytał Jack. Potrzebował jeszcze paru minut, by się przygotować.

– Jeśli nas nie będzie, wezwij karetkę – oznajmił Enzo. Miał nadzieję, że prysznic postawi go na nogi. Cholera, to nie fair, zżymał się. Kaca ma się po picciu, nie po jeździe samochodem.

Jednak w trzydzieści minut później wszyscy trzej spotkali się w holu. Elegancko ubrani, w okularach przeciwsłonecznych, chroniących przed mocnym blaskiem włoskiego słońca.

Dominic zapytał portiera o drogę. Trzeba iść na Via Sistina, potem obok kościoła Trinit dei Monti.

Sławne schody znajdowały się po drugiej stronie ulicy i kończyły jakieś dwadzieścia pięć metrów niżej. Obok znajdowała się też winda, którą można było zjechać aż na stację metra.

Jednak zejść po stopniach to żaden wyczyn. Wszyscy trzej zwrócili uwagę, że kościoły w Rzymie są jak sklepy ze słodyczami w Nowym Jorku. Spacer w dół okazał się całkiem miły, a sceneria była romantyczna. Brakowało tylko dziewczyny. Architekt Francesco De Sanctis zaprojektował schody tak, by biegly zgodnie z nachyleniem wzgórza. To tu odbywał się doroczny pokaz mody *Donna sotto le Stelle*. U podnóża schodów tryskała fontanna.

Marmurowa łódź upamiętniała powódź, choć wówczas przydawały się raczej łodzie z drewna.

Przy placu zbiegały się tylko dwie ulice. A nazywał się tak, bo była tu Ambasada Hiszpanii przy Stolicy Apostolskiej. Plac nie był wielki – znacznie mniejszy od takiego na przykład Times Square – jednak kipiał życiem. Poruszało się po nim tyle samochodów i pieszych, że łatwo tu chyba było o wypadek.

Ristorante Giovanni była po zachodniej stronie placu. Mieściła się w niczym niewyróżniającym się ceglany budynku, pomalowanym na żółto i kremowo, ze sporym ogródkiem pod markizą. Weszli do baru – wszyscy tam palili papierosy. Również policjant siedzący nad kawą. Dominic i Brian rozejrzeli się, po czym dołączyli do Jacka, który czekał

na zewnątrz.

– Rany, mamy trzy godziny – zauważył Brian. – Co teraz?

– O której musimy tu wrócić? – spytał Jack.

Dominic zerknął na zegarek.

– Nasz przyjaciel ma się pokazać około pierwszej trzydzieści. Proponuję zamówić lunch za piętnaście pierwsza i poczekać na rozwój wydarzeń. Jack, możesz go zidentyfikować?

– Bez problemu – zapewnił junior.

– Mamy zatem jakieś dwie godziny, żeby się powłóczyć. Byłem tu parę lat temu. Jest kilka niezłych sklepów.

– Czy to nie salon Brioni? – Jack wskazał wystawę.

– Chyba tak – odparł Brian. – Zakupy to dobra przykrywka.

– No to idziemy.

Jack nigdy nie miał włoskiego garnituru. Tylko kilka angielskich, kupionych na Savile Row 10 w Londynie. A może by kupić sobie jeden tutaj? Całe to szpiegowanie to obłąd.

Zamierzali zabić tu terrorystę, ale najpierw pójdą kupować ciuchy! Nawet kobieta by tego nie zrobiła... no, chyba żeby chodziło o buty.

Na Via del Babuino – czyli, nomen omen, ulicy Pawianiej – było mnóstwo sklepów. Jack wszedł do wielu z nich. Włochy istotnie okazały się światową stolicą mody. Przymierzył

lekką szarą marynarkę z jedwabiu. Leżała jak ulał. Kupił ją bez namysłu, płacąc osiemset euro. Musiał teraz nieść reklamówkę – ale czyż to nie wspaniała przykrywka? Jaki tajny agent tak by się obarczał?

Muhammad Hassan wyszedł z hotelu o 12.15 i poszedł tą samą trasą co bliźniacy dwie godziny wcześniej. Dobrze ją znał. Szedł tą drogą w dniu, w którym zabił Greengolda. Bawiła go ta myśl. Był piękny, słoneczny dzień. Temperatura sięgała trzydziestu stopni Celsjusza.

Ciepło, lecz nie gorąco. Dobry dzień dla amerykańskich turystów. Chrześcijan. Amerykańscy Żydzi jeździli do Izraela, żeby pluć na Arabów. Tutaj byli tylko chrześcijańscy niewierni –

robili zdjęcia i kupowali ciuchy. Cóż, on także kupował tu garnitury. Był taki sklep Brioni tuż przy Piazza di Spagna. Sprzedawca, Antonio, zawsze dobrze go traktował. W ten sposób przecież zarabiał pieniądze. A że Muhammad też wywodził się z kupieckiego kraju, nie mógł

za to kimś gardzić.

Czas na południowy posiłek. Ristorante Giovanni to jedna z najlepszych rzymskich restauracji. Jego ulubiony kelner od razu go rozpoznał i wskazał stolik, który zawsze zajmował, po prawej stronie, pod markizą.

– Jest nasz chłoptaş – powiedział Jack, wskazując go uniesionym kieliszkiem. Trzech Amerykanów przyglądało się, jak kelner niesie tamtemu butelkę wody Pellegrino i szklanekę z lodem. W Europie ludzie uważają, że lód jest po to, by jeździć na łyżwach, najwyraźniej jednak 56 lubił pić chłodną wodę. Jack miał lepsze stanowisko obserwacyjne.

– Zastanawiam się, co lubi jeść.

– Skazany ma prawo do ostatniego posiłku – stwierdził Dominic. Z wyjątkiem oczywiście tego skurwiela z Alabamy. Ale on i tak nie był pewnie smakoszem. Ciekawe, co też takiego serwują na lunch w piekle. – Jego gość ma przyjść o pierwszej trzydzieści, tak?

– Zgadza się. Pięćdziesiąt sześć polecił mu zachować ostrożność. Może ma sprawdzać, czy nie jest śledzony.

– Zdenerwowany? – zastanawiał się Brian.

– Cóż – odrzekł Jack – mieli ostatnio pecha.

– Ciekaw jestem, o czym też sobie myśli – Dominic odchylił się na krześle i przeciągnął, zerkając na obiekt. Trochę gorąco na marynarkę i krawat, mają jednak wyglądać jak biznesmeni, nie turyści. Teraz zastanawiał się, czy to rzeczywiście dobra przykrywka. Trzeba brać pod uwagę pogodę. Pocił się z powodu misji czy temperatury otoczenia? Nie denerwował się przecież w Londynie, Monachium czy Wiedniu, prawda? Nie, wtedy nie.

Jednak tu było więcej ludzi... nie, w Londynie chyba było tłoczniej?

Bywają korzystne i niekorzystne zbiegi okoliczności. Tym razem przydarzył się niekorzystny. Kelner z tacą pełną kieliszków chianti potknął się o nogę kobiety z Chicago, która szukała w Rzymie swoich korzeni. Kelner nie upuścił tacy, jednak kieliszki wylądowały na kolanach bliźniaków. Obaj mieli na sobie odpowiednie do pogody jasne garnitury. Efekt był łatwy do przewidzenia.

– Oż, kurde! – krzyknął Dominic. Jego beżowe spodnie Brooks Brothers wyglądały, jakby ktoś strzelił mu w krocze z wiatrówki. Ubranie Briana było w jeszcze gorszym stanie.

Kelner był przerażony.

– *Scusi, scusi, signori!* – przeproszał gorąco.

Nic jednak nie można było poradzić. Zaczął coś bełkotać o odesłaniu ubrań do pralni.

Dom i Brian patrzyli na siebie w milczeniu. Równie dobrze mogliby nosić znamię Kaina.

– W porządku – powiedział Dominic po angielsku. Zapomniał, jak się przeklina po włosku. – Nikt nie umarł. – Serwetki wiele tu nie pomogą. Może dobra pralnia chemiczna.

Pewnie mają taką w Excelsiorze lub w jego pobliżu. Ludzie patrzyli na nich przerażeni lub rozbawieni. Jego twarz zapamiętają równie dobrze jak ubranie. – Dobra, co teraz? – spytał, kiedy kelner odszedł jak niepyszny.

– Niech mnie szlag – odparł Brian. – Los nam nie sprzyja, kapitanie Kirk.

- Wielkie dzięki, Spock – odgryzł się Dom.
- Hej, jeszcze ja tu jestem? – przypomniał im Jack.
- Junior, nie możesz... – zaczął Brian, ale Jack mu przerwał.
- Niby czemu nie? – spytał cicho. – Takie to trudne?
- Nie zostałeś przeszkolony – oświadczył Dominic.
- To chyba nie finały golfa, co?
- Cóż... – znów zaczął Brian.
- Tak? – naciskał Jack.

Dominic wyjął pióro z kieszeni marynarki i podał je Jackowi.

- Przekręcić korpus i wbić mu w tyłek, tak?
- Tak. Ale na Boga, bądź ostrożny.

Była 13.21. Mubammad Hassan dopił szklankę wody i nalał sobie kolejną. Wkrótce zjawi się Mahmud. Nie będą sobie przerywać. Wstał i poszedł do toalety, z którą wiązały się tak miłe wspomnienia.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? – dopytywał się Brian.
- To terrorysta, tak? Ile trzeba, żeby to zadziało?
- Jakieś trzydzieści sekund, Jack. Skoncentruj się i myśl. Jeśli coś będzie nie tak, wycofaj się – poradził Dominic. – To nie jest jakaś pierdolona gra, stary.
- Dobra.

A, co tam, tacie też się zdarzało to robić, powiedział sobie. Zapytał kelnera, gdzie jest toaleta. Ten wskazał mu drogę i Jack poszedł w tamtym kierunku.

Zwykłe drewniane drzwi, opatrzone symbolem. Restauracja miała międzynarodową klientelę. A co, jeśli jest ich więcej? – spytał się w myślach.

Wtedy się wycofasz, głupku.

No dobra...

Wszedł do środka. Był tam ktoś jeszcze, kto właśnie suszył ręce. Zaraz jednak wyszedł i Ryan został

sam z 56MoHa, który zapiął rozporek i właśnie odwracał się w jego kierunku.

Jack wyciągnął pióro z wewnętrznej kieszeni marynarki i przekręcił korpus, by wysunąć irydową igłę. Już miał odruchowo sprawdzić igłę kciukiem. Dureń prześliznął się obok eleganckiego nieznajomego. Zgodnie z instrukcją opuścił dłoń i dźgnął w lewy pośladek.

Myślał, że usłyszy syk gazu, ale tak się nie stało.

Muhammad Hassan al-Din podskoczył, czując nagły, ostry ból. Odwrócił się i zobaczył młodego człowieka, jakich wielu... zaraz, widział już jego twarz w hotelu...

– Przepraszam, że na ciebie wpadłem, kolego.

Wypowiedział te słowa w taki sposób, że Muhammadowi zapaliło się ostrzegawcze światło. To Amerykanin, wpadł na niego, a on poczuł ukłucie w pośladek...

Przecież to tu zabił tego Żyda...

– Kim jesteś?

Jack odliczył jakieś piętnaście sekund. Był pewny siebie.

– Jestem człowiekiem, który właśnie cię zabił, 56MoHa – odparł spokojnie.

Arab zmienił się na twarzy, stał się naraz groźny. Prawą ręką sięgnął do kieszeni i wyciągnął nóż. Nagle przestało być zabawnie.

Jack instynktownie odskoczył. Twarz terrorysty była jak oblicze śmierci. Otworzył składany nóż – podetnie temu niewiernemu gardło. Uniósł nóż, zrobił pół kroku do przodu i...

Nóż wypadł mu z ręki... spojrzał na nią, zdziwiony, potem podniósł wzrok...

...a przynajmniej próbował. Głowa nie chciała się poruszyć. Stracił czucie w nogach.

Runął na podłogę. Kolana boleśnie uderzyły o kafelki. Upadł na twarz, lekko przekręcając się na lewy bok. Oczy wciąż miał otwarte, patrzył w górę, na metalową płytkę przyklejoną pod pisuarem, skąd Greengold próbował wyciągnąć paczuszkę...

– Pozdrowienia z Ameryki, 56MoHa. Zadarłeś nie z tymi, co trzeba. Niech ci będzie dobrze w piekle.

Muhammad kątem oka ujrzał, jak przeciwnik, teraz już tylko kształt, zbliża się do drzwi.

Otworzyły się, wpadło więcej światła, i znów zamknęły.

Ryan zatrzymał się i zawrócił. Arab wciąż trzymał nóż w dłoni. Jack wyjął z kieszeni chusteczkę, chwycił nóż, po czym wsunął go pod leżące na ziemi ciało. Lepiej się nie opierniczać, pomyślał. Lepiej... – Ale coś jeszcze przyszło mu do głowy. Sięgnął do kieszeni spodni MoHa. Znalazł to, czego szukał, i wyszedł. I nagle zachciało mu się sikać. Ruszył

szybkim krokiem – to podobno pomaga. Po kilku sekundach był już przy stoliku.

– Poszło bez problemów – oznajmił bliźniakom. – Chyba trzeba was zabrać do hotelu, co? Muszę coś zrobić. Idziemy – zakomenderował.

Dominic zostawił na stoliku pieniądze wraz z napiwkiem. Niezdarny kelner pobiegł za nimi, proponując, że zapłaci za pranie, ale Brian tylko się uśmiechnął i zbył go machnięciem ręki. Przeszli przez Piazza di Spagna. Windą wjechali na poziom kościoła, a stamtąd piechotą do hotelu. Po ośmiu minutach byli już w Excelsiorze. Bliźniacy czuli się dość głupio z czerwonymi plamami na ubraniu.

Recepcjonista natychmiast je zauważył i spytał, czy chcą oddać garnitur do pralni.

– Tak odparł Brian. – Mógłby pan wysłać kogoś na górę? Oczywiście, *signore*. Za pięć minut.

Założyli, że w windzie nie ma podsłuchu.

– I co? zagadnął Dominic.

– Dorwałem go. Mam też to – Jack pokazał im klucz do pokoju.

– A to po co?

– Miał komputer, zapomniałeś?

– Ano tak.

Pokój MoHa był już posprzątanym. Jack wstąpił do siebie, zabrał laptopa i zewnętrzny napęd FireWire. Miał dziesięć gigabajtów wolnej pamięci, które mógł czymś zapełnić. W

pokoju ofiary podłączył napęd do dellowskiego laptopa Muhammada Hassana.

Nie było czasu na zabawę. Na szczęście oba komputery miały ten sam system operacyjny.

Przesłał wszystkie dane z Della na napęd FireWire. Trwało to sześć minut. Potem wytarł

wszystko chusteczką i wyszedł z pokoju, wycierając również klawiaturę. Zobaczył boya z poplamionymi garniturami.

– I jak? – zapytał Dominic.

– Zrobione. Gościom z centrali powinno się to spodobać – oznajmił, pokazując FireWire.

– Nieźle kombinujesz, stary. Co teraz?

– Lecę do domu, chłopaki. Wyślijcie e-maila do centrali, dobra?

– Tak jest, junior.

Jack spakował się i zadzwonił do recepcji – dowiedział się, że niedługo z lotniska Da Vinci odlatuje samolot British Airways do Londynu; tam złapie lot do Waszyngtonu, pod warunkiem, że się pospieszy. Więc się pospieszył. Półtorej godziny później siedział już w samolocie.

Mahmud był w restauracji, zanim przyjechała policja. Rozpoznał współpracownika, gdy wywożono ciało z toalety. Szok. Nie wiedział, że policja zabrała nóż. Zauważono na nim ślady krwi. Prześlą go teraz do laboratorium kryminalistycznego. Spece od genetyki zostali przeszkoleni przez londyńską policję, a ona słynęła ze swoich ekspertyz opartych na DNA.

Mahmud nie miał komu złożyć raportu. Wrócił do hotelu i zarezerwował sobie bilet na lot do Dubaju. Musi komuś zameldować o tym kolejnym nieszczęściu... może samemu Emirowi, którego nigdy nie spotkał; znał go tylko z opowiadań i wiedział, że to groźny człowiek.

Mahmud był świadkiem śmierci jednego ze swoich kolegów. Na własne oczy ujrzał też ciało drugiego. Co za straszliwy zbieg okoliczności! Musi się nad tym wszystkim zastanowić przy kieliszku wina. Miłosiwy Allah na pewno wybaczy mu to odstępstwo. Za dużo widział jak na te kilka dni.

Podczas lotu na Heathrow Jack dostał dreszczy. Musiał z kimś pogadać, ale jeszcze długo nie będzie mógł. Zanim wylądowali w Anglii, wychylił dwie miniaturki szkockiej. Kolejne dwie – w boeingu 777, lecącym na lotnisko Dullesa. Sen jednak nie chciał przyjść. Nie tylko zabił, ale i dręczył. Żaden to powód do dumy, lecz też nie powód, by użalać się Bogu, prawda? Napęd FireWire zawierał trzy gigabajty danych z laptopa Muhammada. Czego dotyczyły? Na razie nie wiedział. Mógł podłączyć dysk do własnego laptopa, żeby się przekonać. Postanowił jednak zostawić to fachowcom.

Zabili czterech ludzi, którzy uderzyli w Amerykę. Teraz Ameryka wzięła odwet, działając na terytorium przeciwnika i zgodnie z jego regułami. Wrogowie nie domyślają się nawet, jaki kocur czai się w dżungli. Ledwie widzieli jego zęby.

Teraz spotkają się z mózgiem.

*Podziękowania*



*Marcowi we Włoszech za wskazówki nawigacyjne,*

*Ricowi i Mortowi za edukację w zakresie medycyny,*

*Mary i Edowi za mapy,*

*Madam Jacque za płyty,*

*UVA za rzut oka na mieszkanie TJ-a,*

*Rolandowi raz jeszcze za Kolorado,*

*Mike'owi za inspirację,*

*...oraz wielu innym za małe, lecz istotne okruchy wiedzy.*